

KODEKS ZDRADY to czysty suspens, genialna intryga  
i piorunująca akcja od pierwszej do ostatniej strony. Clive Cussler

# CHRISTOPHER REICH



# KODEKS ZDRADY

**Christopher Reich**

**Kodeks zdrady**

Wydawnictwo: Amber

Tytuł oryginalny: Rules of Deception

Tłumacz: Maria Frąc, Cezary Frąc

Wielka mistyfikacja, podwójni agenci i samotny amator w świecie zawodowych zabójców.

Jest lekarzem. Nie miesza się do polityki. Ale staje się głównym podejrzanym w przerażającym globalnym spisku...

Doktor Jonathan Ransom sądził, że po latach małżeństwa wie o swojej pięknej żonie wszystko. Aż do dnia jej tragicznej śmierci w szwajcarskich Alpach, kiedy w bagażu Emmy znalazł kluczyki do nowego mercedesa, sto tysięcy franków szwajcarskich i paszport z jej zdjęciem... na zupełnie inne nazwisko. Nagle wszystko wokół okazało się grą pozorów. Przyjaciele stali się wrogami. Jonathan musi odkryć, kim naprawdę była jego żona – nie tylko, żeby znaleźć spokój, ale żeby przeżyć...

## Prolog

Zimny wiatr omiatał równinę, niosąc ze sobą motyla. Owad wznosił się, opadał, szybował wysoko, a potem nisko. Jego piękne jaskrawożółte skrzydła z koronką czerni nie przypominały skrzydeł innych motyli. Miał też niezwykłą nazwę: *Papilio argus*.

Motyl przeleciał nad drogą, nad ogrodzeniem pod napięciem i zwojami drutu kolczastego. Dalej rozciągała się łąka porośnięta polnymi kwiatami, oszłamiającymi feerią kolorów. Nigdzie nie było widać ani domów, ani stodół, ani żadnych innych zabudowań. Tylko kopce świeżo skopanej ziemi, ledwo dostrzegalne pod kobiercem kwiatów, świadczyły o niedawno zakończonej pracy.

Przyleciał z daleka, lecz nie siadał na żadnych kwiatach. Nie szukał pachnącego pyłku, nie kusił go słodki nektar. Za to wzbił się wyżej, jakby czerpał energię z samego powietrza.

Wyglądał jak lśniący żółty proporczyk na tle jaskrawoniebieskiego nieba. Nie usiadł na krzaku lawendy, żeby odpocząć. Nie znęcił go też wartki strumień spływający z urwistych, majestatycznych gór na żyzne łąki. Krążył wciąż nad tym samym kilometrem kwadratowym kolorowej łąki, fruwał w tę i z powrotem, dzień po dniu, noc po nocy, nie jedząc, nie pijąc, nie odpoczywając.

Po siedmiu dniach z północy nadciągnął silny wiatr, naszi. Wypadł z rykiem z górskiej przełęczy i zaczął hulać po równinie, nabierając prędkości i mocy, zmiatając wszystko na swojej drodze. Motyl nie mógł się oprzeć szalejącym porywom. Krążył w obrębie ogrodzenia, słaby i bezbronny. Wirujący podmuch poderwał go, okręcił w powietrzu i cisnął na ziemię, rozbijając kruche ciało.

Strażnik patrolujący drogę dostrzegł na ziemi coś żółto-czarnego i zatrzymał dżipa. Podeszedł ostrożnie, ukląkł w wysokiej do kostek trawie. Ten motyl nie przypominał innych, jakie widywał wcześniej. Przede wszystkim był większy. Skrzydła miał sztywne, spod jedwabnej powłoki wystawały nierówne kawałki cienkiego jak papier metalu. Połówki pękniętego puszystego odwłoku łączył zielony przewód. Zaintrygowany strażnik podniósł i obejrzał znalezisko. Jak wszyscy, którzy pracowali w obiekcie, był przede wszystkim inżynierem, dopiero potem żołnierzem. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim.

W odwłoku znajdowała się bateria w aluminiowej obudowie, nie większa niż ziarnko ryżu, z przymocowanym nadajnikiem. Strażnik paznokciem kciuka zdarł powłoczkę z czułek, odsłaniając pęk światłowodów grubości ludzkiego włosa.

Nie, próbował przekonać samego siebie. To niemożliwe. Nie tak szybko.

Zerwał się i ruszył w stronę dżipa. Różne słowa przelatywały mu przez głowę.

Wyjaśnienia. Teorie.

Nic nie miało sensu. Zahaczył nogą o kamień i runął jak długi. Poderwał się, popędził do wozu. Liczyła się każda minuta.

Ręka mu drżała, gdy przez radio łączył się ze zwierzchnikami.

- Znaleźli nas.

# 1

Jonathan Ransom oczyścił gogle z lodu i spojrzał w niebo. Jeśli się pogorszy, wpadniemy w tarapaty, pomyślał. Padał coraz gęstszy śnieg. Drobinę lodu i kamyki niesione przez wyjący wiatr uderzały go w twarz. Urwiste, znajome szczyty, które otaczały wysoko położoną alpejską dolinę, znikły za armadą groźnych chmur.

Podniósł jedną nartę, potem drugą, i pochylony wspinał się na stok. Nylonowe foki przymocowane pod nartami wczepiały się w śnieg. Wiązania turystyczne ułatwiały mu wchodzenie. Jonathan miał trzydzieści siedem lat, był wysoki, wąski w biodrach i szeroki w ramionach. Gogle skrywały spojrzenie czarnych oczu. Widać było tylko zaciśnięte usta i policzki pokryte dwudniowym zarostem.

Zawsze, gdy szedł na wspinaczkę, wkładał starą kurtkę ratownika górskiego.

Niżej jego żona Emma, ubrana w czerwony skafander i czarne spodnie, z trudem wspinała się na zbocze. Posuwała się niepewnie, odpoczywając co trzy kroki, potem co dwa. Pokonali zaledwie połowę drogi, a ona już wyglądała na wykończoną.

Jonathan stanął bokiem na zboczach i wbił kijki w śnieg.

- Nie ruszaj się! - krzyknął, otaczając usta dłońmi. Czekał na potwierdzenie, ale żona nie usłyszała go w wyjącej wichurze. Z pochyloną głową, chwając się, kontynuowała wspinaczkę.

Jonathan zszedł bokiem. Zbocze, strome i wąskie, ograniczała z jednej strony pionowa skała, a z drugiej przepaść. Od czasu do czasu pod szybko mknącymi chmurami widzieli daleko w dole wioskę Arosa, leżącą na szerokim stoku we wschodnim szwajcarskim kantonie Gryzonia.

- Zawsze było tak trudno? - zapytała Emma, gdy Jonathan stanął przy niej.

- Ostatnim razem wyprzedziłaś mnie w drodze na szczyt.

- Od tego ostatniego razu minęło osiem lat. Starzeję się.

- Jasne, masz trzydzieści dwa lata. Istny dinozaur. Zaczekaj, aż będziesz w moim wieku, wtedy naprawdę jest z górki. - Wyjął z plecaka butelkę wody i podał żonie. - Jak się czujesz?

- Ledwo żywa - odparła, opierając się na kijkach. - Czas wezwać Szerpów.

- To nie ten kraj. Tu mają gnomy. Są mądrzejsze, ale o połowę słabsze.  
Poradzimy sobie sami.

- Tak uważasz? Pokiwał głową.

- Jesteś tylko przegrzana. Zdejmij na chwilę czapkę i wypij, ile zdołasz.

- Już się robi, doktorze. - Emma zdjęła wełnianą czapkę i łapczywie napiła się z butelki.

Teraz oczyma wyobraźni zobaczył ją na tej samej górze osiem lat wcześniej.

Była to ich pierwsza wspólna wspinaczka. On, świeżo upieczony chirurg po pierwszym pobycie w Afryce, gdzie pracował jako członek organizacji Lekarze bez Granic; ona, uparta angielska pielęgniarka, którą przywiózł do Szwajcarii jako swoją żonę. Zanim wyruszyli, spytał, czy wspinała się wcześniej. „Trochę - odparła. - Amatorsko”. Niedługo później dała mu popalić, wykazując się umiejętnościami doświadczonego alpinisty.

- Już mi lepiej. - Emma przegarnęła palcami niesforne kasztanowe włosy.

- Jesteś pewna?

Uśmiechnęła się, ale w jej oczach było widać zmęczenie.

- Przepraszam.

- Za co?

- Za to, że nie jestem tak sprawna, jak powinnam. Za to, że cię spowalnim. Za to, że od paru lat nie nadążam za tobą.

- Nie bądź głuptasem. Cieszę się, że tu jesteś. Emma podniosła głowę i pocałowała go.

- Ja też.

- Słuchaj - zaczął bardziej poważnie. - Robi się paskudnie. Myślę, że powinniśmy zawrócić.

Emma rzuciła mu butelkę.

- Nie ma mowy, stary. Kiedyś pokonałam cię na tej górze. Patrz, jak znów to robię.

- Założysz się o pieniądze?

- O coś lepszego.

- Ach tak? - Jonathan pociągnął łyk, ciesząc się, że znowu przekomarzają się w ten sposób. Ile czasu minęło? Sześć miesięcy? Nawet rok, odkąd zaczęły się bóle głowy i Emma na długie godziny znikwała w ciemnym pokoju. Nie był pewny daty. Wiedział tylko, że przed Paryżem, a Paryż był w czerwcu.

Podciągnął rękaw i sprawdził parametry na zegarku Suunto. Wysokość:

dwa tysiące osiemset metrów. Temperatura: minus dziesięć stopni Celsjusza.

Ciśnienie: dziewięćset milibarów. Patrzył na cyfry, nie wierząc własnym oczom.

Ciśnienie spadało na łeb, na szyję.

- O co chodzi? - zapytała Emma. Jonathan schował butelkę do plecaka.

- Burza się nasili, zanim osłabnie. Musimy się zbierać. Jesteś pewna, że nie chcesz zawrócić?

Pokręciła głową. Tym razem bez dumy, po prostu zdecydowanie.

- W takim razie zgoda - powiedział. - Ty prowadzisz. Ja będę na ogonie. Daj mi chwilę, poprawię wiązania.

Jonathan przykucnął i patrzył, jak śnieg przesypuje się nad czubkami jego nart.

Po paru sekundach narty zostały zasypane. A wtedy czubki zaczęły drżeć. Szybko zapomniał o wiązaniach.

Podniósł się ostrożnie. Nad jego ramieniem północnej ściany Furgi, pionowa ściana skały i lodu, wznosiła się na trzysta metrów do poszarpanego wapiennego szczytu. Wiatr spiętrzył luźny śnieg u jej stóp, tworząc wysoki, szeroki wał, który wydawał się zduszony i niestabilny. „Nabity”, w żargonie alpinistów.

Jonathanowi zaschło w gardle. Był doświadczonym alpinistą. Wspiął się w Alpach, w Górach Skalistych i nawet przez jeden sezon w Himalajach. Nieraz wpadał w tarapaty. Wychodził cało, gdy innym się nie udawało. Wiedział, kiedy należy się martwić.

- Czujesz to? - zapytał. - Lada chwila się zerwie.

- Słyszałeś coś?

- Nie. Jeszcze nie. Ale...

Gdzieś nad nimi, gdzieś wysoko, daleki grzmot przetoczył się nad szczytami.

Góry zadygotały. Jonathan pomyślał o śniegu na Furdze. Panujący od wielu dni mróz zmroził śnieg w ogromną płytę o wadze setek ton. Słyszał nie grzmot, lecz dźwięk pękającej płyty, odrywającej się od starszego, zeskorupiałego śniegu pod spodem.

Jonathan popatrzył na górę. Kiedyś porwała go lawina. Przez jedenaście minut leżał pod śniegiem, pogrzebany w ciemności, nie mogąc poruszyć ręką, nawet palcem, zbyt zmarznięty, żeby czuć, że lewa noga wyskoczyła ze stawu i wykręciła się do tyłu tak, iż kilkanaście centymetrów dzieliło kolano od ucha. Przeżył dzięki koledze, który widział krzyż na jego kurtce, zanim



zniknął pod śniegiem.

Minęło dziesięć sekund. Dudnienie ucichło. Wiatr zelżał i zapadła dziwna cisza. Jonathan bez słowa rozwinął linę asekuracyjną i przypiął koniec do pasa Emmy. Odwrót już nie wchodził w rachubę. Musieli zejść z drogi lawinie.

Ruchami rąk zasygnalizował, że ruszą prosto w górę ściany i że Emma ma się trzymać tuż za nim.

- Rozumiesz? - zapytał na migi.

- Rozumiem.

Ruszył. Zbocze wznosiło się stromo. Narzucił ostre tempo. Co parę kroków zerkał przez ramię i widział Emmę tam, gdzie powinna być, nie więcej niż pięć kroków za sobą. Znowu zerwał się wiatr, tym razem od wschodu i szarpał ich ubrania. Śnieg padał wielkimi płatami, prawie poziomo. Jonathan stracił czucie w palcach nóg. Dłonie mu drętwiały i sztywniały. Widoczność spadła z sześciu metrów do trzech, a potem widział nie dalej niż czubek własnego nosa. Tylko ogień w udach mówił mu, że wchodzi coraz wyżej, coraz dalej od żlebu.

Godzinę później dotarł na szczyt. Wyczerpany, ustawił narty bokiem i pomógł Emmie pokonać parę ostatnich metrów. Przełożyła narty nad skrajem, padła mu w ramiona. Oddychała gwałtownie, chrapliwie. Przytulał ją mocno, dopóki nie odzyskała tchu i mogła stać o własnych siłach.

Tutaj, w siodle pomiędzy dwoma szczytami, wiatr atakował z furją silnika odrzutowego. Niebo jednak było częściowo czyste i Jonathan zdołał zobaczyć dolinę, która wiodła do wioski Frauenkirch i dalej do Davos.

Przełożył narty na drugą stronę grani i popatrzył nad nawisem. Sześć metrów niżej żleb opadał pomiędzy skałami jak szyb windy.

- To Kres Romana. Jeśli zdołamy zjechać, wszystko będzie w porządku.

Kres Romana miał swoje miejsce w historii regionu. Nazwa upamiętniała przewodnika zabitego tu przez lawinę. Emma szeroko otworzyła oczy.

Popatrzyła na męża i pokręciła głową.

- Za stromo.

- Jeździliśmy w trudniejszym terenie.

- Nie, Jonathanie... popatrz na spadek. Nie ma innej drogi?

- Nie dziś.

- Ale...

- Em, albo zjedziemy, albo zamarzniemy na śmierć.

Przysunęła się do krawędzi, wyciągając szyję, żeby zobaczyć, co leży w

dole.

Odsunęła się, spuściła głowę.

- Do diabła - powiedziała zdecydowanie. - Zróbmy to.

- Tylko mały spadek, szybki zakręt i po krzyku. Dobrze wiesz, że robiliśmy gorsze rzeczy.

Emma pokiwała głową, teraz z większym przekonaniem. Przez chwilę miała taką minę, jakby wszystko było w porządku, jakby nie groziły im odmrożenia, jakby nie mogła się doczekać niemal samobójczego zjazdu.

- Dobra. - Jonathan zdjął narty i zerwał foki. Trzymając jedną nartę jak siekierę, wyciął metr kwadratowy nawisu i zrzucił śnieg z krawędzi. Płyta uderzyła w zbocze i pokoziołkowała w dół. Gdzieniegdzie śnieg poruszył się leniwie, ale pokrywa trzymała mocno.

- Przetnę szlak.

Emma stanęła obok niego, czubki jej nart zawisły nad nawisem.

- Cofnij się - powiedział, szybko przypinając narty. Wiedział, jaką ma minę.

Nawet nie musiał na nią patrzeć. Po prostu czuł. - Ja pierwszy.

- Nie pozwolę ci odwalać całej czarnej roboty.

- Nawet o tym nie myśl!

- Ostatni na dole, pamiętasz?

- Słuchaj... Nie!

Emma odepchnęła się kijkami, przez chwilę wisiała na krawędzi, potem opadła na zbocze, narty z sykiem zderzyły się z lodem. Wylądowała niezgrabnie i pomknęła z błyskawiczną prędkością. Jej dolna narta była lekko przekrzywiona, mocno przyciśnięta do śniegu. Ręce trzymała za wysoko, nogi miała za słabo ugięte. Wydawało się, że nie panuje nad swoim ciałem, traci kontrolę. Wzrok Jonathana powędrował na skały ograniczające żleb. Skręć! - krzyknął głos w jego głowie.

Trzy metry dzieliły ją od skał. Metr pięćdziesiąt. Chwilę później zrobiła idealny zwrot podskokiem i zmieniła kierunek.

Jonathan odetchnął.

Pędząc w dół, Emma wykonała kolejny bezbłędny zwrot. Opuściła ręce i ugięła kolana, amortyzując podskoki na niewidocznych nierównościach.

Wszelkie oznaki zmęczenia znikły.

Triumfalnie podniósł pięść. Udało jej się. Za trzydzieści minut będą siedzieli w boksie w restauracji Staffalp we Frauenkirch nad parującymi filiżankami cafe lutz, śmiejąc się z tej przygody i udając, że nie groziło im

najmniejsze niebezpieczeństwo. Może niewielkie. Później pójda do hotelu, padną na łóżko i...

Emma skręciła trzeci raz.

Albo zahaczyła o skraj, albo skręciła pół sekundy na późno i uderzyła nartami w skały. Ścisnęło go w dołku. Z przerażeniem patrzył, jak żłobi bruzdę, zsuwając się środkiem żlebu. Rękami drapała śnieg, ale spadek był zbyt stromy. Zbyt oblodzony. Zsuwała się szybko. Coraz szybciej. Uderzyła w garb, wyleciała w powietrze jak szmaciana lalka. Upadła na nienaturalnie wykręconą nogę. Zobaczył eksplozję śniegu. Narty śmignęły w powietrzu niczym wystrzelone z armaty. Emma koziółkowała, ręce i nogi miała szeroko rozłożone, jakby robiła gwiazdę.

- Emma! - krzyknął i skoczył w dół żlebu. Zjeżdżał jak szalowiec, szeroko rozkładając ręce dla lepszej równowagi, napięty, mierząc się z górą. Woal mgły przeciął zbocze i Jonathan na chwilę zagubił się w bieli, widoczność była zerowa, nie miał pojęcia, gdzie góra, a gdzie dół. Wyrównał narty i pomknął przez chmurę.

Emma leżała w dole zbocza, na brzuchu, głową w dół, a twarzą w śniegu.

Zatrzymał się trzy metry od niej. Odpiął narty i ruszył przez śnieg, wysoko unosząc nogi, wypatrując śladu ruchu.

- Emmo, słyszysz mnie?

Zsunął plecak, ukląkł, oczyścił jej usta i nos ze śniegu. Położył rękę na plecach żony i poczuł, jak klatka piersiowa unosi się i opada. Puls był; silny, miarowy. W plecaku miał nylonową siatkę z zapasową czapką, goglami i koszulą z poliestru capilene. Podłożył ją Emmie pod policzkiem.

Wtedy poruszyła się.

- O cholera - mruknęła.

- Nie ruszaj się - polecił tonem lekarza z ostrego dyżuru. Przeciągnął ręką po jej spodniach, zaczynając od uda. Nagle twarz Emmy wykrzywił grymas bólu.

- Nie... Przestań! - krzyknęła.

Jonathan cofnął rękę. Parę centymetrów nad kolanem coś napierało ostro na materiał spodni. Popatrzył na makabryczne wybrzuszenie. Tylko jedna rzecz mogła tak wyglądać.

- Złamanie, prawda? - Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, mrugała szybko. - Nie mogę ruszać palcami. Jakbym miała poniżej kolana luźny pęk przewodów. Boli. Naprawdę boli.

- Spokojnie, pozwól mi zobaczyć.

Nożem wojskowym rozciął spodnie i ostrożnie rozchylił materiał. Z dziury w termoaktywnej bieliźnie sterczała złamana kość. Materiał wokół niej był wilgotny od krwi. Miała skomplikowane złamanie kości udowej.

- Bardzo źle?

- Nie - odparł, jakby to było tylko małe pęknięcie. Wytrząsnął na dłoń pięć tabletek advilu i pomógł jej popić wodą. Plastrem z apteczki zakleił rozcięcie w spodniach. - Trzeba będzie położyć cię na plecach, gotowa?

Emma przytaknęła.

- Najpierw unieruchomię nogę. Nie chcę, żeby kość się przemieściła. Na razie po prostu leż spokojnie.

- Chryste, Jonathanie, wygląda na to, że nigdzie nie pójde?

Poszedł po jej narty i kijki. Położył kijki po obu stronach nogi, uciął kawałek linki asekuracyjnej, okręcił nią udo i łydkę. Klęcząc, podał jej swój skórzany portfel.

- Trzymaj.

Emma zacisnęła go w zębach.

Jonathan powoli zacieśnił linkę, aż kijki objęły złamaną kończynę. Emma wessała powietrze. Zamocował drugi koniec linki, potem przewrócił żonę na plecy i obrócił, żeby głowa znalazła się powyżej stóp. Poświęcił minutę na ubijanie śniegu w taki sposób, by mogła usiąść.

- Lepiej?

Skrzywiła się, łza spłynęła po jej policzku. Dotknął jej ramienia.

- W porządku, sprowadźmy pomoc. - Wyjął z kieszeni radiostację. - Pogotowie ratunkowe Davos - mówił, odwracając się od wiatru. - Zgłaszam wypadek.

Ranny narciarz na południowym zboczu Furgi u stóp Kresu Romana.

Odpowiedziała mu cisza.

- Pogotowie ratunkowe Davos - powtórzył. - Wypadek, potrzebna natychmiastowa pomoc. Odbiór.

Słyszał tylko śnieżycę białego szumu. Spróbował jeszcze raz. Brak odpowiedzi.

- To pogoda - powiedziała Emma. - Zmień częstotliwość. Jonathan przełączył na następny kanał. Przed laty, gdy pracował jako instruktor i ratownik w Alpach, zaprogramował radio na pasma wszystkich służb ratowniczych w okolicy - Davos, Arosa i Lenzherheide - a także Kantonspolizei, Szwajcarski Klub Alpejski i REGA, lotnicze pogotowie ratunkowe, znane narciarzom i wspinaczom jako „przewóz mięsa”.

- Służba ratownicza Arosa. Narciarz ranny na południowym zboczu Furgi.

Potrzebna natychmiastowa pomoc.

Znów bez odpowiedzi. Przysunął radio bliżej ust. Wskaźnik zasilania migał słabo. Uderzył radiem w nogę. Światelko zamrugało i zgasło.

- Padło.

- Padło? Radio? Jak to? Widziałam, że sprawdzałeś je wczoraj wieczorem.

- Wtedy było dobre. - Jonathan wyłączył i włączył je kilka razy, ale światelko się nie zapaliło.

- To baterie?

- Nie mam pojęcia, co jest. Wczoraj włożyłem nowe. - Zdjął rękawice, zajrzał do wnętrza radia. - To nie baterie. Przewody. Zasilanie nie jest podłączone do nadajnika.

- Podłącz.

- Nie mogę. Nie tu. Nie jestem pewien, czy mógłbym to zrobić, nawet gdybym miał narzędzia. - Wrzucił radio do plecaka.

- A telefon?

- Co telefon? Tu jest martwa strefa.

- Spróbuj.

Na ekranie komórki zobaczył ikonę anteny parabolicznej przekreśloną grubą linią. Brak zasięgu. Mimo wszystko wybrał numer REGA. Nie uzyskał połączenia.

- Nic. To czarna dziura.

Emma patrzyła na niego przez chwilę. Widział, że próbuje się trzymać.

- Ale musimy z kimś porozmawiać.

- Nie ma z kim.

- Jeszcze raz spróbuj przez radio.

- Po co? Mówiłem ci, jest zepsute.

- Spróbuj!

Jonathan ukląkł przy niej.

- Poradzimy sobie w inny sposób - powiedział, starając się mówić jak najbardziej spokojnie. - Zjadę na dół i sprowadzę pomoc. Masz nadajnik lawinowy, znajdę cię bez problemu.

- Nie możesz mnie tu zostawić. Nigdy mnie nie odnajdziesz, nawet z nadajnikiem. Widać nie dalej niż na sześć metrów. Zamarznę. Nie możemy... Ja nie mogę... - Jej głos ucichł. Odwróciła głowę, żeby nie widział łez. -

Prawie mi się udało, wiesz... ostatni zwrot... spóźniłam się trochę...

- Posłuchaj mnie. Wszystko będzie dobrze. Emma spojrzała na niego.

- Na pewno?

Jonathan stał łyzy z jej policzka.

- Obiecuję.

Sięgnął do plecaka, wyjął termos i nalał żonie kubek gorącej herbaty. Gdy piła, podniósł jej narty i ułożył na śniegu, tworząc X, żeby mógł zobaczyć je z daleka.

Zdjął kurtkę i przykrył Emmę, ściągnął czapkę i włożył jej na głowę, rozwijając tak, że zakryła szyję. Na koniec wyjął z plecaka koc termoizolacyjny, ostrożnie wsunął jej pod plecy i starannie otulił. Na kocu widniało wypisane dużymi odblaskowymi literami w pomarańczowym kolorze słowo „pomocy”, ułatwiające lokalizację ofiary w wypadku ewakuacji powietrznej. Ale dziś nie przyleci żaden śmigłowiec.

- Dolewaj herbaty co piętnaście minut - mówił, ujmując jej dłoń. - Jedź i przede wszystkim nie zasypiaj.

Pokiwała głową, jej ręka zacisnęła się jak imadło.

- Pamiętaj o herbacie - przypominał. - Co piętnaście...

- Zamknij się i zjeżdżaj. - Ostatni raz ścisnęła jego rękę. - Odejdź, zanim przerazisz mnie na śmierć.

- Wrócę jak najszybciej. Emma patrzyła mu w oczy.

- Jonathanie... nie trać wiary w siebie. Jeszcze nigdy nie zламаłeś słowa.

## 2

Trzysta kilometrów na zachód od Davos, na stołecznym lotnisku Bern-Belp, od rana sypał śnieg. Imponujące pługi CAT jeździły, dudniąc po pasach, tworząc śnieżne góry, brzydkie parodie Alp, spiętrzane przy początku drogi do kołowania.

Na zachodnim końcu pasa jeden-cztery stała grupa ludzi wpatrzonych w niebo.

Byli to policjanci, którzy czekali na lądowanie samolotu. Przyszli dokonać aresztowania.

Nieco z boku stał Marcus von Daniken, niski, pięćdziesięcioletni, miał jastrzębie rysy, czarne włosy ścięte jak grenadier i opuszczone kąciki ust, co nadawało twarzy ponury wyraz. Od sześciu lat kierował Służbą Analiz i Prewencji, lepiej znaną jako SAO. Zadanie SAO polega na ochronie kraju przed ekstremistami, terrorystami i szpiegami. Taką samą funkcję pełni w Stanach Zjednoczonych FBI, a w Wielkiej Brytanii MI5. W tej chwili von Daniken dygotał. Miał nadzieję, że samolot wyląduje niebawem.

- Jak warunki? - zapytał majora ze straży granicznej.

- Jeszcze dziesięć minut, a zamkną lotnisko. Widzialność do dupy.

- Jaki jest status maszyny?

- Jeden silnik padł. Drugi się przegrzewa. Maszyna właśnie skręciła do ostatniego podejścia.

Von Daniken przeskakał wzrokiem niebo. Nisko nad pasem w mgłę mrugały żółte światła lądowania. Chwilę później z chmur wyskoczył samolot. Był to gulfstream G-4 lecący ze Sztokholmu. Jego numer ogonowy, N415GB, znały wszystkie zachodnie agencje wywiadowcze. Ten sam samolot przewoził Abu Omara, radykalnego duchownego islamskiego, który w lutym 2003 roku został zatrzymany na jednej z mediolańskich ulic, przetrzucanego z Włoch do Niemiec, a stamtąd do Egiptu, gdzie przesłuchali go jego rodacy.

Przewoził również niejakiego Chaleda el-Masriego, aresztowanego w Macedonii Niemca pochodzenia libańskiego, do więzienia Słony Dół w bazie Sił Lotniczych Bagram pod Kabulem w Afganistanie. Tam w końcu stwierdzono, że więzień nie jest poszukiwanym terrorystą Chaledem el-Masrim. Jeden sukces.

Jedna porażka. Norma w dzisiejszych czasach, pomyślał von Daniken.

Ważne, że człowiek zostaje przy stole i gra dalej.

Samolot opadł ciężko na pas. Lód i woda bryzgały spod kół. Silnik ryczał, gdy maszyna kołowała na miejsce.

- Zadowoleni z siebie dranie - mruknął szczupły, niemal wymizerowany mężczyzna z przydługimi rudymi włosami i w okrągłych profesorskich okularach. - Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę ich gęby. Czas, żeby dostali nauczkę. - Nazywał się Alphons Marti i był szwajcarskim ministrem sprawiedliwości.

Marti reprezentował Szwajcarię w maratonie na igrzyskach w Seulu w 1988 roku. Wbiegł na stadion na szarym końcu, na nogach miękkich z gorąca, zataczając się jak pijak po trzech dniach balowania. Ratownicy medyczni próbowali go powstrzymać, ale jakoś zdołał ich odepchnąć. Upadł przed linią mety i został natychmiast odwieziony do szpitala. Niektórzy widzieli w nim bohatera i postrzegali go raczej jako amatora udającego zawodowca.

- Teraz żadnych błędów - mówił Marti, chwytając ramię von Danikena. - Na szali leży nasza reputacja. Szwajcaria nie zezwala na takie rzeczy. Jesteśmy państwem neutralnym. Czas, żeby zająć stanowisko i to udowodnić. Zgadzasz się?

Von Daniken był wystarczająco stary i mądry, żeby powstrzymać się od odpowiedzi. Podniósł radio do ust.

- Niech nikt nie zapala świateł, dopóki nie wydam rozkazu. Trzydzieści metrów dalej, za barierą w szachownicę, krył się konwój wozów policyjnych, czekających na sygnał wkroczenia do akcji. Von Daniken spojrział w lewo. Druga barykada zasłaniała transporter opancerzony z dziesięcioma uzbrojonymi po zęby żołnierzami wojsk ochrony pogranicza.

Sprzeciwiał się tej demonstracji siły, ale Marti nic sobie nie robił z jego zastrzeżeń. Minister sprawiedliwości długo czekał na ten dzień.

- Pilota poproszono o opuszczenie samolotu - powiedział major ze straży granicznej. - Wieża kieruje go do rampy celnej.

Von Daniken i Marti wsiedli do nieoznakowanego sedana i pojechali do wyznaczonego miejsca parkowania. Policjanci podążyli za nimi drugim wozem.

Gulfstream zjechał z pasa i zbliżył się do rampy celnej. Von Daniken zaczekał, aż samolot się zatrzyma.

- Wszystkie jednostki, naprzód.

Błękitne i białe migające światła rozjaśniły szare łupkowate niebo.



Radiowozy policyjne wystrzeliły z kryjówek i otoczyły samolot. Transporter opancerzony zajął pozycję, żołnierz obrócił wieżyczkę z karabinem kaliber 50. Komandosi wysypali się z pojazdów i utworzyli półkole, trzymając pistolety maszynowe na wysokości piersi, celując w drzwi samolotu.

Cały ten cyrk z powodu jednego faksu, pomyślał von Daniken, gdy wysiadł z wozu i sprawdził, czyjego pistolet jest zabezpieczony i w komorze nie ma naboju.

Trzy godziny wcześniej Onyx, szwajcarski satelitarny system nasłuchowy, przechwycił faks wysłany przez ambasadę syryjską w Sztokholmie do jej odpowiednika w Damaszku, zawierający listę pasażerów pewnego samolotu, który zmierzał na Bliski Wschód. Na pokładzie znajdowały się cztery osoby: pilot, drugi pilot i dwóch pasażerów. Jednym był agent rządu Stanów Zjednoczonych, drugim terrorysta poszukiwany przez organy ścigania dwunastu krajów Zachodu. Władze powiadomiono w ciągu paru minut od przejęcia. Jedną kopię przesłano pocztą elektroniczną von Danikenowi, druga trafiła do Martiego.

I tam zostały. Kolejna informacja przyjęta do wiadomości, niewymagająca podejmowania żadnych działań. Nie interweniowano, dopóki samolot nie zgłosił szwajcarskiej kontroli ruchu powietrznego, że ma awarię silnika i prosi o zgodę na lądowanie awaryjne.

Przednie drzwi odrzutowca otworzyły się. Marti wbiegł po schodkach, gdy tylko opadły, von Daniken zaraz za nim. Pilot pojawił się w drzwiach.

*Justizminister* wyjął nakaz i podsunął mu do sprawdzenia.

- Mamy informacje wskazujące, że przewozicie więźnia, naruszając prawa człowieka zawarte w Konwencji Genewskiej.

Pilot tylko zerknął na dokument.

- Jest pan w błędzie. Poza drugim pilotem i panem Palumbo na pokładzie nie ma żywej duszy.

- Nie jestem w błędzie - odparł Marti, przecisnął się obok pilota i wszedł na pokład. - Ziemia szwajcarska nie będzie wykorzystywana do praktykowania nadzwyczajnego przekazywania podejrzanych. Inspektorze von Daniken, proszę przeszukać samolot.

Von Daniken ruszył przejściem pomiędzy fotelami. Samotny pasażer siedział na szerokim, obitym skórą fotelu. Biały, koło czterdziestki, miał ogoloną głowę, barczyste ramiona i zimne szare oczy. Już na pierwszy rzut oka wyglądał na człowieka doświadczonego, kogoś, kto umie o sobie zadbać. Z okna miał dobry widok na żołnierzy otaczających samolot. Nie

sprawił wrażenia zbyt przejętego.

- Dzień dobry - powiedział von Daniken w dobrym, ale niepozbanionym obcego akcentu angielskim. - Pan Palumbo?

- A pan?

Inspektor przedstawił się i pokazał legitymację.

- Mamy powody podejrzewać, że przewozi pan więźnia, Walida Gassana. Mam rację?

- Nie, nie ma pan racji. - Palumbo założył nogę na nogę.

Von Daniken zauważył, że nosi buty z cholewkami i wzmocnionymi noskami.

- W takim razie nie będzie pan miał nic przeciwko przeszukaniu samolotu?

- To ziemia szwajcarska. Możecie robić, co tylko chcecie.

Von Daniken przykazał mu, żeby nie ruszał się z miejsca do czasu zakończenia przeszukania, potem ruszył na ogon. W zlewie w kuchence leżały talerze i szklanki. Naliczył cztery komplety. Pilot. Drugi pilot. Palumbo. Kogoś brakowało. Zajrzał do toalety, potem otworzył włącz i sprawdził luk bagażowy.

- Nikogo - powiadomił Martiego przez radio. - Kabina pasażerów i ładownia są puste.

- Co? - Marti parsknął. - Niemożliwe.

- O ile nie schowali go w walizce, nie ma go na pokładzie.

- Proszę szukać dalej.

Jeszcze raz obszedł luk bagażowy, sprawdzając puste przestrzenie. Gdy nic nie znalazł, zamknął drzwi i wrócił do kabiny pasażerskiej.

- Sprawdził pan cały samolot? - Marti stał ze skrzyżowanymi rękami obok kapitana.

- Dokładnie. Poza panem Palumbo na pokładzie nie ma innych pasażerów.

- Niemożliwe. - Minister obrzucił go oskarżycielskim spojrzeniem. - Mamy dowód, że pasażer jest na pokładzie.

- Jaki dowód? - zapytał Palumbo.

- Proszę nie udawać głupiego. Wiemy, kim pan jest i dla kogo pracuje.

- Tak? W takim razie może wam powiem.

- Co?

- Facet, którego szukacie... Wysadziliśmy go pół godziny temu nad tymi waszymi górami. Powiedział, że zawsze chciał zobaczyć Alpy.

Marti szeroko otworzył oczy.

- Nie mówi pan serio?

- Może to on zakleszczył silnik. Albo on, albo gęś. - Palumbo wyrztał przez okno, z rozbawieniem kręcąc głową.

Von Daniken odciągnął Martiego na bok.

- Wygląda na to, że otrzymaliśmy błędne informacje, *Herr Justizminister*.

Marti spojrział na niego, poblady z gniewu. Ramiona mu się zatrzęsły, jakby przebiegł go prąd. Nawet nie kiwnąwszy głową pasażerowi, opuścił samolot.

Jeden komandos został przy drzwiach. Von Daniken odprawił go ruchem ręki.

Gdy żołnierz zniknął na schodach, wrócił do Palumbo.

- Jestem pewien, że nasi mechanicy szybko naprawią silnik. Na wypadek, gdyby pogoda się nie zmieniła i lotnisko pozostało zamknięte, niedaleko znajdzie pan całkiem wygodny hotel Rossli. Proszę przyjąć nasze przeprosiny za wszelkie kłopoty.

- Przeprosiny przyjęte - odparł Palumbo.

- Aha, przy okazji, znalazłem to na podłodze. - Von Daniken wcisnął coś małego i twardego w rękę agenta CIA. - Mam nadzieję, że przekaże nam pan wszelkie informacje, które nas dotyczą.

Palumbo zaczął, aż von Daniken wysiadzie z samolotu, a potem otworzył palce.

Na dłoni leżał zakrwawiony paznokiec zerwany z kciuka.

### 3

Zniknęła.

Jonathan stał na wzgórzu dwieście metrów od podnóża Kresu Romana.

Wyjący wiatr dmuchał w porywach, w jednej chwili unosił tumany śniegu, w następnej słabł do zera. Jonathan trzymał lornetkę przy oczach. Widział skrzyżowane narty, litery „po...” krzyczące na kocu, a dalej na lewo pomarańczową saperkę. Ale nie widział Emmy.

Zostawił z tyłu trzech członków służby ratowniczej z Davos i popędził na ostatnie wzniesienie. Minęły cztery godziny, odkąd ruszył na dół po pomoc. Śnieg zasypał skrzyżowane narty po wiązania, ale plecak Emmy był tylko oproszony. Otworzył go i zobaczył, że kanapki i batony energetyzujące znikły. Termos był opróżniony. Rzucił plecak. Wgłębienie, gdzie leżała, jeszcze się odznaczało w śniegu. Odeszła niedawno.

Włączył przypięty na piersi wykrywacz lawinowy i obrócił się dokoła, przeszukując wszystkie strony świata. Urządzenie miało zasięg stu metrów.

Wyemitowało długi sygnał - funkcja testowa - a potem zamilkło. Po zboczu niosło się dudnienie osiadającego śniegu, niskie jak huk indiańskich bębnow wojennych.

- Masz sygnał? - zapytał Sepp Steiner, kierownik zespołu ratowników, gdy stanął przy Jonathanie. Był niskim, szczupłym mężczyzną z zapadniętymi policzkami i wąskimi szczelinami oczu.

- Nic.

Wtedy zobaczył: szkarłatny płatek na śniegu. Jonathan pochylił się, żeby dotknąć kropelkę krwi. Nieco dalej spostrzegł drugą, i kolejną jeszcze dalej.

- Tędy - powiedział, ruchem ręki wzywając pozostałych.

- Nie ryzykuj - ostrzegł Steiner. - Parę metrów dalej jest szczelina.

- Szczelina?

- Głęboka. Sięga do dna lodowca.

Jonathan zmrużył oczy, bezskutecznie wypatrując szczeliny za nieprzeniknioną ścianą bieli.

- Asekurujcie mnie. - Zdjął narty, włożył uprząż i przypiął linę do pasa.

- Proszę uważać - powiedział Steiner, gdy odpiął narty i połączył linę ze swoją uprzążą. - Nie chcemy stracić też ciebie.

Jonathan odwrócił się w jego stronę.

- Ona jeszcze nie jest stracona.

Z początku ledwo widział krople wielkości łebka szpilki. Potem stały się większe, rozmieszczone w bardziej równomiernych odstępach, aż zlały się w linię ciągłą, jakby ktoś przebił puszkę soku z granatów i wylewał zawartość na śnieg. Tylko że ten syrop miał barwę bogatej w tlen krwi z aorty.

Kiedy Emma tędy przeszła? Pięć minut temu. Dziesięć? Pochylił się i zobaczył, gdzie stawiała zdrową nogę, a gdzie powłóczyła drugą. Z przodu widniało zagłębienie w śniegu, a pośrodku ziała dziura.

Położył się, poczołgał i zaświecił latarką w głąb otworu. Galeria lodu i skały, bezdenna studnia o średnicy dziesięciu metrów, kusła. Przeturlał się na bok, spojrzął na wykrywacz. Cyfrowy wyświetlacz zamrugał i pojawiła się liczba 98.

Ścisnęło go w dołku. Dziewięćdziesiąt osiem metrów.

- Masz sygnał? - zapytał Steiner. - Jest tam?

- Tak - odparł krótko. - Schodzę. Z asekuracją.

- Z asekuracją - potwierdził Steiner.

Jonathan powiększył otwór czekanem. Bryła śniegu spadła i pod nim otworzyła się szczelina. Zwiesił nogi i przesuwiał się w tył, aż śnieg zarwał się pod jego torsem. Runął w ciemność, uderzając w ścianę, zanim lina się napięła i go zatrzymała.

- Jestem w środku.

Odbijając się nogami od ściany, luzował linę w palcach i zjeżdżał w głąb szczeliny. Światło latarki odkrywało dziewicze, dzikie widoki, wieczny pałac królowej lodu. To była iluzja. Szczeliny ulegały ciągłym zmianom, rozszerzając się i zwężając, niewolniczo zależne od interakcji lodowca i leżącej pod nim warstwy skalnej.

Dziesięć metrów niżej zauważył plamę czerni i bieli na półce skalnej. Czapka Emmy. Kołysał się jak wahadło, odpychając od lodowej ściany, żeby nabrać pędu. Za trzecim razem wychylił się ryzykownie, prawie do pozycji poziomej, i złapał czapkę.

Trzymając ją w dłoni, odzyskał równowagę i skierował światło latarki w stronę półki. Zobaczył śnieg poruszony i czerwony od krwi. Nie pojedyncze krople ani szlak, lecz plama wielkości grejpfruta. Nie mógł się dłużej okłamywać. Emma próbowała zejść z góry. Ruch sprawił, że pęknięta kość naruszyła tętnicę udową, główną arterię krwi pompowanej przez serce do nóg, stóp i palców. Jako chirurg znał konsekwencje. Bez opaski uciskowej musiała umrzeć w ciągu paru minut.

Słowami laika, wykrwawić się na śmierć.

Sprawdził odczyt na wykrywaczu lawinowym. Osiemdziesiąt dziewięć metrów. Wskaźnik kierunku wskazywał w dół. Zaświecił w głąb szczeliny.

Nicość.

- Niżej - poleciał.

- Mogę ci dać dwadzieścia pięć metrów. To wszystko, co mamy. Jonathan spojrział w górę. Otwór, przez który się opuścił, wydawał się jasny jak rozdarcie w nocnym niebie. Czekał, aż ratownicy zepną linki. Gdy Steiner szarpnął, zaczął się opuszczać. Zatrzymywał się co trzy metry, żeby świecić latarką dokoła, wypatrywać przeszkód i szukać Emmy. Liczby na ekranie malały. 85. 80. 75. Światło ze świata na górze powoli gasło. Lód połyskiwał upiornym błękitem. 70... 68... 64... nagle lina się napięła.

- Koniec - zawołał Steiner.

Jonathan przesuwiał latarkę, malując lód w dole bladym snopem światła.

Dostrzegł plamę czerwieni. Jego kurtka ratownika? Po lewej w smudze światła zobaczył błysk miedzi. Włosy Emmy? Serce mu zamarło.

- Potrzebuję więcej liny.

- Nie mamy więcej.

- Przynieście.

- To niemożliwe. Ze zbocza za nami zeszła mała lawina. Lada chwila runie cała góra.

Jonathan patrzył w dół. Skupił wzrok na plamie czerwieni. Krzyż na kurtce ratownika. Miedziane włosy żony. Emma. Jej imię utkwiło mu w gardle.

Widział ją teraz, przynajmniej kontury. Leżała na brzuchu, z ręką wyciągniętą nad głowę, jakby wzywała pomocy. Ale coś się nie zgadzało... Lód wokół niej nie był biały, ale ciemny. Leżała w kałuży własnej krwi.

- Jest tutaj - powiedział z uporem w głosie. - Możemy do niej dotrzeć.

- Spadła z wysokości stu metrów - odparł Steiner. - Nie przeżyła. Musisz wyjść. Nie będę narażał życia moich ludzi.

- Emmo! - krzyknął Jonathan. - To ja, Jonathan. Jeśli możesz, porusz ręką!

Ręka żony pozostała nieruchoma, gdy jego głos odbijał się echem w rozpadlinie.

- Cicho - rzucił Steiner ze złością. - Zabijesz nas wszystkich. Pociągnęli linę.

Jonathan uderzył o ścianę i wzniósł się o metr. Steiner go wyciągał. Wściekły, wbił raki w lód, potem wyjął nóż i przycisnął ostrze do linki, parę

centymetrów od twarzy. Miał raki. Miał czekan. Zejdzie do niej po ścianie.

Wpatrywał się w ciało. Już wydawało się mniejsze, jakby obce. Nie dostrzegł ruchu. Nieważne, czy Steiner miał rację co do wysokości, czy jakieś przeszkody spowolniły jej upadek. Na dole po prostu było za dużo krwi.

Odsunął nóż od linki i wyrwał raki z lodu. Ratownicy znowu szarpnęli linkę i podciągnęli go o kolejny metr w górę. Oświetlił latarką plamę czerwieni, lecz już jej nie zobaczył. Stracił żonę z oczu.

- Emmo! - ryknął, gdy łzy spłynęły mu po policzkach.

Ale odpowiedział mu tylko własny głos, bez końca zwielokrotniany echem.

## 4

Landrower pędził Seestrasse, zmierzając do Zurychu. Za kierownicą siedział mężczyzna. Miał bladą twarz ze śladami zarostu na policzkach i ciemne kręgi pod oczami. Był w drodze od dwudziestu czterech godzin. Powinien się najeść, wziąć prysznic i się wyspać. Wszystko w swoim czasie. Najpierw musiał zakończyć robotę.

Otworzył schowek, wyjął pistolet z tłumikiem i położył go na fotelu pasażera.

Spojrzał przez okno na jezioro. Białe grzywy błyskały w ciemności. W dali podskakiwały światła pozycyjne jakiejś dużej łodzi. Nie była to dobra noc na pobyt na wodzie.

Za następnym znakiem skręcił na wąską, krętą drogę. Padający śnieg oblepił reflektory, ale kierowca nie zwolnił. Znał trasę. Już tędy jechał, wczesnym wieczorem. Przystudiował mapę tego obszaru, zapamiętując trasy dojazdu i ucieczki.

Przyspieszył, wjeżdżając na płaskowyż. Po obu stronach ulicy stały wielkie, zadbane domy. Tę wschodnią stronę Zurichsee zwano Złotym Wybrzeżem nie tylko dlatego, że od rana do wieczora skąpana była w słońcu, ale również z powodu luksusowych rezydencji. Mężczyzna zmniejszył prędkość, gdy tylko zauważył dom celu. Wzorowany na francuskiej posiadłości wiejskiej, stał z dala od ulicy na wzniesieniu, otoczony przez zasypane śniegiem sady.

Dwadzieścia metrów dalej zatrzymał się w cieniu strzelistej sosny, zgasił światła. Siedział, słuchając tykania silnika i wiatru tłukącego w szyby. Sięgnął do kieszeni po srebrne pudełko. Leżały w nim cztery kule, smukłe naboje ze znakiem X wyciętym na płaszczy czubka w kolorze brązu. Wyjął je zwinnymi palcami i ułożył w rzędzie na desce rozdzielczej. Następnie zdjął z szyi ceramiczną fiolkę i odkręcił zakrętkę. Zaczął śpiewać, cicho i monotonnie, w starożytnym, zapomnianym języku. Według swoich rachunków zabił ponad trzysta osób, mężczyzn, kobiet i dzieci. Słowa składały się na modlitwę, która miała zapewnić ochronę duszy przed duchami z zaświatów. Dwadzieścia lat zabijania sprawiło, że stał się przesądny.

Jeden po drugim zanurzał naboje w fiolce, pokrywając je kleistym płynem o cierpkim zapachu. Zachowywał niezmienny rytuał. Najpierw modlitwa, potem to. Był profesjonalistą i wiedział, że nie ma czegoś takiego



jak nadmiar zabezpieczeń - w tym świecie czy w przyszłym. Dmuchał na każdy nabój i załadował do magazynka. Kiedy skończył, podniósł pistolet, wsunął magazynek w chwyt i wprowadził nabój do komory. Upewnił się, że broń jest odbezpieczona, potem wyjął torebkę z mocnego materiału i przymocował ją nad komorą.

Wysiadł z samochodu. Omiótł ulicę podejrzliwym wzrokiem. Nikogo nie zobaczył. Tego wieczoru pogoda mu sprzyjała. Nikt nie wyściubiał nosa z domu.

O wpół do dziesiątej w okolicy panował spokój.

Zapinając płaszcz, ruszył szybkim krokiem. Był szczupły, średniego wzrostu, z wąskimi ramionami i prostymi czarnymi włosami, które spadały na kołnierz. Policzki miał zapadnięte, nos wąski i arystokratyczny, cerę jasną jak u trupa. Z daleka mogło się wydawać, że nie idzie, ale sunie nad chodnikiem.

Tym połączeniem śmiertelnej bladości i eteryczności zapewnił sobie imię robocze. Duch.

Mijając dom celu, miał dobry widok do wnętrza przez okno w wykuszu przy drzwiach frontowych. Kobieta i troje dzieci siedzieli na kanapie, zahipnotyzowani przez wieczorny program telewizyjny. Duch zwolnił i zobaczył, że najmłodsze dziecko to chłopiec, ciemnowłosy i blady jak on, obejmujący matkę. Serce zabiło mu szybciej. Wspomnienia trzepotały w głębi czaszki jak uwięziony ptak, który bije skrzydłami w okno.

Odwrócił wzrok.

Sprawdził, czy nikt się nie zbliża, przeskoczył nad siatkowym ogrodzeniem i zajął pozycję za stosem drewna na opał, starannie ułożonego pod ścianą domu.

Kucnął na śniegu, czekając.

Przy innych okazjach pracował w zespole, choć nigdy nie dowodził. W akcji powinna uczestniczyć zmieniająca się dwuosobowa ekipa obserwująca cel w restauracji, samochód śledzący go w drodze do domu oraz grupa ewakuacyjna, żeby odstawić strzelca na najbliższe lotnisko lub dworzec kolejowy i ułatwić mu wyjazd z kraju. Taka była procedura operacyjna.

Ale wolał ten sposób. Sam w ciemności. Wysłannik śmierci.

Z bocznej kieszeni wyjął metaliczne pudełko, pstryknął przełącznikiem i schował je z powrotem. Urządzenie wysyłało sygnał blokujący, który uniemożliwiał otwarczenie drzwi garażu za pomocą pilota. Cel będzie musiał wysiąść z wozu, żeby otworzyć drzwi ręcznie albo wejść do garażu bocznymi

drzwiami i otworzyć go od środka.

Usłyszał płynący z daleka aksamitny pomruk potężnego silnika. Wyjął z kurtki pistolet z tłumikiem i skupił wzrok na drodze w miejscu, gdzie wóz celu - najnowszy model audi A8 - miał pojawić się na szczycie wzgórza. Błysnęły światła, były coraz silniejsze. Kciukiem przesunął bezpiecznik.

Nagle samochód pojawił się w polu widzenia. Gdy przejeżdżał pod latarnią, Duch zobaczył, że marka i numery rejestracyjne odpowiadają danym z instrukcji.

Wóz zwolnił, wjeżdżając na podjazd, i zatrzymał się przed garażem. Otworzyły się drzwi po stronie kierowcy. Cel wysiadł. Był to wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna z rudymi włosami i pyzatymi policzkami. Jakiś inżynier. Przykładowy mąż i ojciec. Człowiek ścisłej dyscypliny.

Duch ruszył. Trzema lekkimi krokami pokonał odległość dzielącą go od celu.

Mężczyzna spojrzał na niego z konsternacją. Dlaczego drzwi garażu się nie otworzyły? Kim jest ten nieznajomy, który zjawił się nie wiadomo skąd? Duch zobaczył to wszystko w jego oczach, gdy podniósł rękę i nacisnął spust. Trzy kule trafiły mężczyznę prosto w twarz. Łuski wpadły do woreczka z diagonalu. Cel upadł na podjazd.

Duch pochylił się nad ciałem. Przycisnął tłumik do piersi mężczyzny i przestrzelił mu serce. Ciało podskoczyło. Wtedy zauważył coś dziwnego na klapie celu. Jakąś szpilkę. Pochylił się jeszcze bardziej.

Motyl.

## 5

Marcus von Daniken wrócił do domu parę minut po jedenastej. Niósł dwie długie róże owinięte w papier z kwiaciarni. Przeszedł przez ciemne korytarze do kuchni, gdzie nad stołem paliło się światło. Położył kwiaty, potem rzucił pistolet i portfel na ladę. Tłumiąc ziewnięcie, otworzył lodówkę i wyjął butelkę piwa. Na blacie leżała kanapka z szynką, talerz sałatki ziemniaczanej i tarta cytrynowa.

Wszystko schludnie opakowane w celofan. Liścik od gospodyni przypomniał mu, że resztki ma schować do lodówki. Zarzucił marynarkę na oparcie krzesła, podwinął rękawy i umył ręce w zlewie. Zjadł kanapkę, potem posłusznie schował do lodówki nietkniętą sałatkę i placek.

Inspektor mieszkał w starym domostwie na wzgórzach pod Bernem. Dom był za duży dla samotnego mężczyzny. Należał do jego ojca, dziadka i tak dalej, aż do XIX stulecia. Von Daniken nie lubił mieszkać sam, ale jeszcze mniej podobał mu się pomysł przeprowadzki. Z biegiem lat zaprzyjaźnił się z rozbrzmiewającymi echem korytarzami, pełną zadumy ciszą i ciemnymi pokojami.

Wrócił do stołu, odwinął papier i wyjął róże. Ostrożnie przyciął łodyżki i wstawił kwiaty do wazonu z dmuchanego szkła, jednego z pary kupionych w słynnej fabryce w Murano podczas miesiąca miodowego. Wtedy dom nie przytłaczał wielkością, jednak żona błagała, żeby go sprzedał. Była prawniczką z Genewy, błyskotliwą w swojej dziedzinie, kobietą pełną werwy i impulsywną.

Uważała dom za relik, sztywny i skostniały jak społeczność, która go zbudowała. Nie zgodził się. Nigdy nie mieli okazji rozstrzygnąć sporu.

Zapalił światło w pokoju. Na kominku stało zdjęcie żony i córki. Dwie blondynki, Marie-France i Stephanie, odebrane mu piętnaście lat temu w katastrofie lotniczej. Zamienił stare róże na świeże, potem usiadł w fotelu i dopijał piwo. Podniósł pilota i włączył telewizor. Na szczęście w wiadomościach nie pojawiła się wzmianka o popołudniowym niedoszłym aresztowaniu. Zmieniał kanały, przez chwilę oglądał francuski program literacki. Nie interesowała go literatura, francuska czy jakakolwiek inna, ale podobała mu się prowadząca, zachwycająca brunetka w średnim wieku. Wyłączył dźwięk i patrzył na nią.

Idealna. Odpowiadało mu takie towarzystwo.

Telewizja była bezpieczniejsza niż prawdziwe życie. Przez lata miał mnóstwo pierwszych randek, mniej drugich, i tylko dwa związki, które trwały dłużej niż pół roku. Obie kobiety - atrakcyjne, inteligentne, dobre w łóżku - wypadają niekorzystnie w porównaniu z jego żoną. Gdy tylko to sobie uświadomił, związek się rozpadał. Nie odbierał telefonów. Rzadziej przychodził na spotkania.

Częściej odwoływał je w ostatniej chwili, tłumacząc się nawałem pracy. Kobiety szybko odbierały wiadomość. Dziwne, rozstania przynosiły więcej goryczy i bólu, niż gotów był przyznać.

Zadzwoił telefon komórkowy.

- Słucham.

- Widmer. Policja kantonu Zurych. Mamy problem. Morderstwo w Erlenbach.

Złote Wybrzeże. Robota zawodowca.

Wyłączył telewizor.

- Dlaczego ja? To sprawa policji kryminalnej.

Ale zerwał się z fotela. Poszedł do kuchni, wylał resztę piwa do zlewu.

Przypiął kaburę do pasa, włożył marynarkę i podniósł portfel.

- Ofiara jest w SIBW - wyjaśnił Widmer. - Plik jest opisany jako „tajny” z notką, że dwadzieścia lat temu prowadzono dochodzenie w sprawie tego gościa.

SIBW, czyli System Informacyjny Bezpieczeństwa Wewnętrznego, to baza danych policji federalnej z plikami ponad pięćdziesięciu tysięcy osobników podejrzanych o terroryzm, ekstremizm albo pracę dla zagranicznych agencji wywiadowczych, zaprzyjaźnionych lub nie.

- Kim jest ten szczęściarz? - zapytał von Daniken, zabierając kluczyki.

- Nazwisko Lammers. Holender. Posiadacz zezwolenia C. Mieszkał tu piętnaście lat. - Widmer urwał, a po chwili podjął z napięciem w głosie: - Jest coś jeszcze. Coś, co może chciałby pan sam zobaczyć.

- Będę za półtorej godziny.

Von Daniken potrzebował tylko osiemdziesięciu pięciu minut, żeby pokonać sto dziesięć kilometrów. Wysiadł z wozu, przeszedł ostrożnie po oblodzonym chodniku i zanurkował pod łopoczącą policyjną taśmą. Funkcjonariusz Kantonspolizei rozpoznał go i stanął na baczność.

- Dobry wieczór.

Inspektor poklepał go po ramieniu.

- Szukam kapitana Widmera.

- Tam. - Policjant wskazał w kierunku garażu.

Von Daniken ruszył podjazdem w kierunku baterii reflektorów ustawionych wokół miejsca przestępstwa. Rząd tysiącwatowych żarówek oświetlał ofiarę, jakby się opalała na Plage Tahiti w St. Tropez. Popatrzył na zwłoki, potem odwrócił wzrok.

- Niezła robota - mruknął.

Spojrzał na niego łysy, barczysty mężczyzna klęczący obok ciała.

- Trzy w głowę, jeden w pierś - powiedział Walter Widmer, szef wydziału zabójstw policji zuryskiej. - Mały kaliber. Dum-dum, wnosząc z obrażeń.

Ktokolwiek to zrobił, nie zostawił miejsca przypadkowi.

- Wciąż pan uważa, że to był zamach?

- Nie ma łusek. Nie ma świadków. - Widmer podniósł się, brwi miał ściągnięte - Przypuszczamy, że strzelec elektronicznie zablokował drzwi garażu, żeby Lammers musiał wysiąść z samochodu. Wszystko na to wskazuje.

Inspektor spiesznie wrócił na ulicę. Widok zmasakrowanej twarzy ofiary miał go prześladować przez wiele dni.

Marcus von Daniken nie był gliną z wydziału zabójstw. Prawdę mówiąc, miał niewielkie doświadczenie w sprawach brutalnych przestępstw. Wybrał inną drogę. Po czterech latach służby w piechocie wstąpił do wydziału przestępstw finansowych w policji federalnej. Odbył powolną wspinaczkę. Przez długie lata jako oficer śledczy miał do czynienia z oszustwami, fałszerstwami i praniem pieniędzy - świętej trójcy bankowości szwajcarskiej. Potem, dziesięć lat temu, nastąpił wielki przełom: zajął stanowisko przedstawiciela policji w szwajcarskiej grupie roboczej zajmującej się majątkiem ofiar nazizmu.

Pracując z dyrektorami największych banków w kraju, dyplomatami z tuzina państw i przedstawicielami zbyt wielu organizacji osób poszkodowanych, by wymieniać je z nazwy, odegrał zasadniczą rolę w opracowaniu programu, który został zaakceptowany przez wszystkie zainteresowane strony: rząd szwajcarski, banki szwajcarskie, Światowy Kongres Żydów, Biały Dom, rząd niemiecki i ostatnio same strony pokrzywdzone. Nagrodą było stanowisko w Służbie Analiz i Prewencji, uważanej za elitarny wydział policji federalnej.

- Co z żoną? - zapytał, wskazując panoramiczne okno, które wychodziło na garaż. - Widziała coś?

Widmer pokręcił głową.

- Jest twarda. Molukanka z urodzenia. Mówi, że oglądała z dziećmi telewizję, gdy to się stało. Zobaczyła podjeżdżający wóz. Nie usłyszała otwierających się drzwi garażu i poszła szukać męża. Przysięga, że minęły tylko dwie minuty.

Zadałem jej zwykłe pytania. „Czy mąż miał wrogów? Czy ostatnio mu grożono?

Czy w ciągu paru ostatnich dni zdarzyło się coś dziwnego?" Twierdzi, że wszystko było normalnie.

- Wierzy jej pan?

- Nie wierzę nikomu.

- Może pan Lammers znał zabójcę? Może dlatego nie otworzył garażu?

- Umówione wcześniej spotkanie? Wątpię. Znaleźliśmy ślady stóp za stosem drewna. Zaryzykuję stwierdzenie, że tam czekał zabójca.

- Znalazł pan coś w czasie, gdy tu jechałem?

- Tylko tyle, że w 1987 roku policja belgijska miała go pod tygodniową obserwacją. Gdy Lammers przeniósł się z Brukseli do Szwajcarii, podrzucili nam jego akta. Automatycznie umieściliśmy go w systemie. Więcej jest w archiwach, do których będę miał dostęp dopiero rano. Mogę panu powiedzieć, że po przyjeździe do Zurychu był praworządnym obywatelem. Płacił podatki. Nie wpadał w kłopoty. SIBW jest pełen ludzi takiego pokroju. Wie pan... jeszcze niewinnych.

- On był winny. Wejźmy do domu.

Widmer poprowadził go podjazdem. W holu skręcił i zszedł po schodach do pomieszczeń przylegających do garażu.

- Jeden z moich ludzi musiał skorzystać z toalety. Pani domu kazała mu zejść na dół, żeby nie naniósł błota. Stracił orientację i przez przypadek wszedł do warsztatu.

Von Daniken minął łazienkę. Drzwi były otwarte, światło zapalone.

- Nie rozumiem, jak mógł się zgubić - mruknął, idąc dalej korytarzem. Widmer zapalił światło w pomieszczeniu na końcu korytarza. Warsztat był cudem z nierdzewnej stali. Stalowy stół, stalowy regał na narzędzia, wszystko lśniące jak w dniu opuszczenia fabryki. Ale to nie warsztat niedzielnego majsterkowicza. Miejsce pił i młotków zajmował zbiór najnowocześniejszych przyrządów, które krzyczały „zawodowy inżynier”. Na stole leżała foliowa torebka pełna paszportów.

- Co to? - zapytał von Daniken.

- Mój człowiek znalazł to w szufladzie.

- Szukając papieru toaletowego, prawda?

Widmer parsknął i uniósł brew. Von Daniken miał odpowiedź. Policjant dokonał szybkiego, brudnego przeszukania lokalu. Dowód był ewidentny, ale co z tego? Lammers i tak nie stanie przed sądem.

- Holandia. Belgia. Nowa Zelandia. - Jeden po drugim sprawdził paszporty. - Prawdziwy obieżyświat. Czy pański człowiek przypadkiem znalazł coś jeszcze?

- Pod szafą- odparł Widmer. - Zdaje się, że pan Lammers wiedział, iż ma paru wrogów. Proszę uważać. Jest naładowany.

Von Daniken ukląkł i wetknął głowę pod warsztat. Zobaczył przypięty do ściany pistolet maszynowy Uzi. Czuł, jak puls mu przyspiesza.

- Niech pan spróbuje się dowiedzieć, kto mu to sprzedał - polecił, prostując się i zgarniając paszporty. - Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, iż je zabieram.

- Muszę mieć pokwitowanie.

Von Daniken wypisał kwit i wyrwał kartkę z notesu.

- Wszystko zgodnie z prawem. A teraz musi pan przesłuchać panią Lammers.

Proszę ją poinformować, że zostanie deportowana wraz z trójką dzieci w ciągu dwudziestu czterech godzin, chyba że powie nam wszystko, co wie o paszportach męża. Zobaczymy, czy wtedy będzie równie powściągliwa.

- To brutalne, prawda? Jej mąż jest ofiarą. Von Daniken zapiął płaszcz i ruszył do drzwi.

- Ofiarą? - Jego rysy stwardniały. - Każdy, kto ma trzy paszporty i załadowane uzi, nie jest ofiarą. Jest albo przestępcą, albo szpiegiem.

## 6

Ciemność napierała ze wszystkich stron. Jonathan zamrugał. Oczy miał otwarte, ale czerni pozostała nieprzenikniona. Spróbował podnieść głowę, lecz była unieruchomiona, podobnie jak nogi i ręce. Śnieg oblepiał jego ciało niczym beton. Nie mógł podnieść ręki ani ruszyć palcem. Przez cały czas opanowany głos nakazywał mu zachować spokój. Mówił, że nie jest tak zimno, jak się spodziewał. Ale było ciemno. Nikt nigdy nie wspominał o ciemności. Oddychał z trudem. Powietrza szybko ubywało. Zrozumiał, że jest pogrzebany głęboko pod powierzchnią i że najprawdopodobniej nikt nie znajdzie go na czas. Strach zrodzony gdzieś głęboko rozpełzał się po brzuchu, nabierając prędkości i siły, wypalając dyscyplinę i dławiąc spokojny, racjonalny głos rozsądku. Ciemność.

Nacisk. Brak powietrza. Opanowało go czyste przerażenie. Otwierając usta do wrzasku, zassał strugę śniegu i lodu. Usiadł gwałtownie w łóżku.

- Emma - wydyszał, przeszukując rękami materac obok siebie.

Znów miał ten sen. Pragnął usłyszeć jej głos. Poczuć rękę żony na swoim ramieniu. Zapalił światło. Pościel po drugiej stronie była nienaruszona.

Szeleszcząca biała kołdra leżała schludnie złożona. Koszula nocna wystawała spod poduszki.

Jej już nie ma.

Docierało to do niego powoli, jak zbliżająca się burza. Oddychał coraz szybciej. Czubki palców zaczęły mrowić. Zgiął się wpół, coś ostrego i zimnego wbiło się w żołądek. Zaszlochał.

Jej już nie ma.

Słowa przemykały mu przez głowę, gdy dręczyło go wspomnienie jej ciała, leżącego samotnie, porzuconego w lodowatej ciemności.

Wreszcie powróciła odrobina spokoju. Oddech zwolnił. Groza przeminęła, ale wiedział, że nie na zawsze. Czyha w pobliżu, przyczajona.

Wstał i podszedł do okna. Śnieg padał gęsto i nikły blask świtu nadawał niskim, statecznym chmurom pogrzebowy odcień. Z okna roztaczał się widok na faliste wzgórze usiane domami w stylu alpejskim. Kilkaset metrów dalej las piął się na zbocza imponujących szczytów, które otaczały miasto.

Otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na zewnątrz. Zimno wyprało powietrze z zapachów. Stanął przy balustradzie, przyglądając się wczorajszej trasie.



Prześledził ją, spoglądając daleko w góry, przez chmurę i mgłę na niewidzialny szczyt Furgi. I na drugą stronę, do Kresu Romana.

Znam tę górę i nie zrobiłem nic, żeby Cię przed nią ochronić.

Znam tę górę i zostawiłem Cię na niej samą.

Znam tę górę i pozwoliłem, by Cię zabiła.

Kiedy zaczął trząść się w sposób nieopanowany, wrócił do środka. Zdumiał go schludny wygląd pokoju. Wiedział, że głupio byłoby się spodziewać, iż powinien wyglądać inaczej teraz, gdy Emma odeszła. A jednak czuł się zdradzony przez normalność otoczenia w sytuacji, gdy nic nie jest normalne.

Usiadł przy biurku i otworzył szufladę. Wszystko porzucane: filtr przeciwsłoneczny, scyzoryk, mapy, pomadka ochronna do ust, chustka na szyję, wykrywacz lawinowy i radio. Podniósł radio, włączył je i wyłączył. Nie działało.

Przewód... zerwany.

Po zejściu z góry zabrano Jonathana na posterunek, gdzie zbadał go lekarz, a potem musiał odpowiedzieć na niezliczone pytania. Pełne nazwisko: Jonathan Robert Ransom. Miejsce urodzenia: Annapolis, Maryland. Zawód: chirurg.

Pracodawca: Lekarze bez Granic. Narodowość: Amerykanin. Miejsce zamieszkania: Genewa.

A potem pytania o Emmę. Miejsce urodzenia: Penzance, Anglia. Rodzice: nie żyją. Rodzeństwo: siostra Beatrice. Zawód: pielęgniarka. Administrator. Istota ludzka z przerośniętym sumieniem i „obowiązkiem interwencji”. Żona.

Najlepszy przyjaciel. Kotwica.

Były inne pytania. O jego doświadczenia alpinisty. Dlaczego nie sprawdził pogody. O upadek Emmy i czy krwawiła, gdy ją zostawił, i dlaczego przed wyjściem w góry nie zauważył, że radio jest uszkodzone. I wreszcie o jego decyzję kontynuowania wspinaczki, gdy zdawał sobie sprawę, że burza przybiera na sile. To nie ja tak postanowiłem, chciał powiedzieć. Ona zadecydowała.

Emma nigdy by nie zawróciła.

Położył radio na biurku i błędził wzrokiem po górach. Mógł prześledzić początki swojego romansu ze wspinaczką od podróży do Kalifornii, jaką podjęła rodzina Ransomów, gdy miał dziewięć lat. Zamierzali wejść na Mt. Whitney, najwyższy szczyt w Stanach Zjednoczonych poza Alaską. Plan był

taki, że starsi bracia o piątej rano wyruszą z Whitney Portal na wysokości trzech tysięcy sześciuset metrów i w jeden dzień zrobią trzydzieści pięć kilometrów w obie strony, zdobywając wierzchołek o wysokości ponad czterech tysięcy czterystu metrów. Jonathan miał im towarzyszyć z ojcem przez parę kilometrów, a potem zatrzymać się na piknik i łowić pstrągi do czasu ich powrotu.

Ale już wtedy Jonathan okazał się niezależny. Jak wszystkie dzieciaki, które uwielbiają starszych braci, chciał im dorównać. Ojciec, wówczas czterdziestolatek, nigdy nie marnujący szansy na posiłek z koktajlem, mógł sobie zostać. Ale nie on. I tak, gdy Ned Ransom zatrzymał się po przejściu sześciu kilometrów i zaproponował przerwę na wczesny lunch, Jonathan popędził dalej i nie zawrócił z drogi, chociaż go wołali. Nie zatrzymał się, dopóki nie dotarł na szczyt, trzysta kilometrów dalej. Sto metrów przed braćmi.

Kości zostały rzucone.

Gdy miał szesnaście lat, interesowała go wyłącznie wspinaczka. Mature zrobił eksternistycznie, bez konieczności uczęszczania do liceum. Studiów nie brał pod rozwagę. Lata spędzał jako przewodnik na górze McKinley, zimą przeczesywał stoki jako ratownik. Każdego zaoszczędzonego centa odkładał z myślą o następnej wyprawie. Zaliczył wiele szczytów: północną ścianę Eigeru, Aconcaguę, K-2 sławną Magie Line bez odrobiny tlenu z butli. To była frajda.

Sięganie do granic ludzkich możliwości, a potem wycofywanie się w ostatniej sekundzie.

W tym czasie zdał sobie sprawę z wady swojego charakteru. Wynikała ona z jego niemal nadnaturalnej siły i aż nazbyt bujnego temperamentu, a polegała na coraz większej skłonności do wszczynania bójek na pięści. W barach w górskich kurortach, jak we wszystkich innych, nie brakowało bufonów i nieudaczników. Jonathan był wybredny i zawsze wybierał najgłośniejszego z gromady. Kogoś, kto zasługiwał na lanie. Kogoś, kto wyglądał, jakby mieli równe szanse. Zamawiał bourbona, żeby nastroić nerwy jak trzeba, a potem to już tylko kwestia odpowiednich komentarzy. Przy odrobinie szczęścia po pięciu minutach wychodzili w zaułek na tyłach baru.

Walki miały brutalny przebieg i trwały krótko. Był inteligentnym pięściarzem, umiał szybko wykryć słabe punkty przeciwnika. Krążył przez minutę albo dwie, unikając zwracia i niezgrabnych zapasów

charakterystycznych dla amatorskich bójek. Potem ruszał. Prosty w szczękę, hak w brzuch i sierp w bok głowy. Rzadko kiedy trwało to dłużej. Szczycił się swoją ekonomią.

Wiedział, że ta cecha jest niebezpieczna i, co gorsza, autodestrukcyjna.

Wiedział również, że jest skutkiem jego uzależnienia od ryzyka. Prowokował coraz większych mężczyzn, zapuszczał się do naprawdę niebezpiecznych spelunek. Zaczął przegrywać. Mimo wszystko nie mógł wyplenić tego nawyku.

W czasie wspinaczki stawiał sobie coraz większe wyzwania. Szukał nienaniesionych na mapę tras. Łaknął niezdojanych ścian. Pragnął wchodzić wyżej, dalej, szybciej.

Potem pewnego dnia mu przeszło. Chęć do walki. Pragnienie pokonania pionowego odcinka granitu. Potrzeba narażania życia, żeby czuć, że żyje. Po prostu przeszło. Odwiesił sprzęt i zdecydował, że kończy ten etap życia.

Ludzie szeptali, że to z powodu lawiny. Mówili, że stracił odwagę. Mylili się.

Nie poddał się. Po prostu znalazł wyższy cel. Na betonowej autostradzie, nie pionowej ścianie.

Miał dwadzieścia jeden lat. W niedzielną noc wracał do Aspen po weekendowej wspinaczce na Angels Landing, wysokiej na sześćset metrów formacji skalnej w Parku Narodowym Zion. Jak zwykle, jazda przez góry była koszmarem. Parę wozów przed nim stary ford bronco próbował wyprzedzić osiemnastokółowca. Bronco, zdezelowany i beznadziejnie wolny, zderzył się z jeszcze większą ciężarówką, która nadjechała z przeciwnej strony. Kierowca zginął na miejscu. Pasażerka żyła, gdy Jonathan do niej dotarł. Młoda, najwyżej czternastoletnia. Wyniósł ją z samochodu i położył na ziemi. Dźwignia zmiany biegów przebiła klatkę piersiową i krew tryskała z rany jak woda z hydrantu.

Mógł polegać tylko na wiadomościach z kursu ratownika górskiego - mniej więcej wiedział, co robić - wcisnął pięść w ranę, dzięki czemu zatamował krwotok i utrzymał ciśnienie w pękniętej tętnicy. Dziewczyna przez cały czas była przytomna. Nie powiedziała słowa. Patrzyła na niego, gdy klęczał z ręką w jej klatce piersiowej, dopóki nie przyjechała karetka.

Przez cały czas czuł bicie jej serca... Prawdę mówiąc, czuł samo serce, pulsujące przy jego dłoni. Najwyższy cel.

W następnym tygodniu zwolnił się z pracy i zapisał na uczelnię, żeby studiować medycynę.

Gdy odwrócił się od okna, jego spojrzenie padło na szafkę nocną Emmy. Była w takim stanie, w jakim ją zostawiła. Otwarta butelka wody mineralnej. Okulary do czytania na stercie romansów. „Nie rozumiesz”, powiedziała kiedyś, próbując wyjaśnić, dlaczego z upodobaniem czyta historie o wielkich Szkotach i podróżujących w czasie korsarzach, którzy ratują damy w opałach i mieszkają w zamkach nad Zatoką Wieczną. Lubiła je, bo miały przejrzystą fabułę i gwarantowane szczęśliwe zakończenie. Stanowiły antidotum na jej pracę, gdzie rzadko kiedy coś kończyło się szczęśliwie, a jeśli już, to w sposób nieprzewidywalny.

Spojrzał na wystający spod poduszki skrawek materiału w kolorze anielskiego błękitu. Usiadł na łóżku, wyjął koszulę nocną żony i przytulił do twarzy. Wełna była podniszczona i ciepła, pachnąca wanilią i drzewem sandałowym. Omyła go fala wrażeń. Czuł Emmę, jej mocne, zaokrąglone mięśnie wzdłuż kręgosłupa.

Ciepło promieniujące z podstawy karku. Pożądanie wzbudzone przez jej nieśmiały uśmiech pod przysłaniającą twarz kaskadą włosów. „Tak?” - powiedziałaaby, przeciągając słowo jak wyzwanie.

Opuścił koszulę na kolana. Wszystko przepadło. Poryw tęsknoty zdominowała panika, narastała wraz z przejmującym doznaniem nieodwracalnej, nieodżałowanej straty.

Popatrzył na koszulę i odetchnął swobodniej. Nie był gotów na pożegnanie.

Złożył koszulę i schował ją pod poduszkę. Chciał zatrzymać Emmę jeszcze przez jakiś czas.

## 7

Siedziba Służby Analiz i Prewencji mieści się w nowoczesnym gmachu ze szkła i stali na Nussbaumstrasse w Bernie. Personel szwajcarskiego kontrwywiadu liczy mniej niż dwieście osób. Ich zadania polegają przede wszystkim na gromadzeniu i analizie informacji dotyczących zarejestrowanych agentów zagranicznych rządów, w większości rezydujących w Bernie, a także na monitorowaniu tego, co jest uważane za tajną łączność wpływającą do kraju i zeń wypływającą. Tylko trzydziestu funkcjonariuszy zajmuje się pracą bardziej aktywną - czyli zwykłymi śledztwami i infiltracją grup ekstremistycznych działających na terenie Szwajcarii, łącznie z zagranicznymi komórkami terrorystycznymi. Pod każdym względem jest to mała, ściśle kontrolowana operacja.

Marcus von Daniken przybył punktualnie o siódmej i zabrał się do pracy.

Podniósł telefon, wybrał wewnętrzny numer. Zgłosiła się kobieta.

- Schmid. SIBW.

Von Daniken się przedstawił.

- Potrzebuję wszystkiego, co mamy o Theo Lammersie. To pilne.

- Tak jest. Zaraz wyślę.

Minutę później komputer zasygnalizował odebranie poczty. Von Daniken z przyjemnością zobaczył, że to akta z SIBW. Raport był streszczeniem informacji przekazanych przez policję belgijską.

Theodor Albrecht Lammers urodził się w Rotterdamie w roku 1961. Po zrobieniu doktoratu z inżynierii mechanicznej na uniwersytecie w Utrechcie pracował w kilku przeciętnych firmach w Amsterdamie i Hadze. Zwrócił uwagę władz w 1987 roku, gdy w Brukseli zaczął współpracować z Geraldem Bullem, amerykańskim projektantem uzbrojenia. W tym czasie Buli był zajęty konstruowaniem „superdziała” dla Saddama Husajna. Broń artyleryjska, opatrzona kryptonimem „Babilon”, miała być idealnie celna i zdolna do wystrzeliwania pocisków na odległość setek kilometrów. Projekt realizowany dla potentata z Bliskiego Wschodu stał się publiczną tajemnicą. Policja belgijska uznała, że warto zainteresować się Bullem i jego współpracownikami, między innymi Theo Lammersem.

Von Daniken znał resztę historii. W roku 1990 Gerald Bull został zamordowany - dostał pięć strzałów w tył głowy, zabójca czekał w holu jego brukselskiego mieszkania. Z początku spekulowano, że wyeliminował go

Mossad, izraelska służba wywiadowcza, ale tak nie było. W tym czasie Izraelczycy utrzymywali dalekie, ale serdeczne stosunki z naukowcem. Jako potencjalni klienci, chcieli dokładnie wiedzieć, co zdoła osiągnąć. Z tego właśnie powodu zabili go Irakijczycy. Kiedy działo Babilon zostało skonstruowane, Saddam Husajn nie chciał, żeby Buli podzielił się z kimkolwiek jego sekretami, zwłaszcza z Izraelem.

Von Daniken zamknął pocztę, potem podszedł do okna. Ranek był szary i ponury, mokry śnieg padał z niskich chmur. Z okna roztaczał się widok na parking i na wpół ukończony biurowiec, gdzie pomimo złej pogody prowadzono prace.

A Lammers? - zapytał siebie w duchu. Z jakiego powodu trzymał uzi w warsztacie i różne paszporty w łazience? Dlaczego ktoś uznał za konieczne zlikwidowanie go i wysłał profesjonalnego zabójcę?

Wrócił do biurka. Leżało na nim kilka teczek: „Lotniska i urzędy imigracyjne”, „Antyterroryzm wewnętrzny”, „Antyterroryzm zagraniczny” i „Łączność”. Przejrzał ich zawartość, zostawiając „Antyterroryzm zagraniczny” na koniec.

Akta zawierały skrót depech od zagranicznych służb bezpieczeństwa. W roku 1971 szef szwajcarskiej służby wywiadowczej, zaalarmowany widmem aktów przemocy o podłożu politycznym, pomógł stworzyć konfederację zachodnioeuropejskich profesjonalistów ochrony porządku publicznego odpowiedzialnych za wewnętrzne bezpieczeństwo kraju. Konfederacja stała się znana jako Klub Berneński. Po jedenastym września sformalizowała swoją działalność i przyjęła nazwę Grupy Antyterrorystycznej.

Ostatni raport pochodził od szefa wywiadu szwedzkiego, który informował, że w Sztokholmie widziano Walida Gassana, ekstremistę (Szwedzi nie stosują określenia „terrorysta”), prawdopodobnie głównego sprawcę zamachu bombowego w hotelu Sheraton w Ammanie, stolicy Jordanii, oraz kilku nieudanych ataków, i załączył prośbę o bezzwłoczne przekazanie szwedzkiej służbie wywiadowczej wszelkich informacji dotyczących podejrzanego lub jego współników.

Raport był szczegółowy, choć niekompletny.

Walid Gassan w styczniu przejechał przez Szwajcarię. Kiedy von Daniken dostał cynk od informatora z „Wielkiego Meczetu” w Genewie, wysłał zespół, żeby wytropić i zatrzymać Gassana. Choć ten nie był poszukiwany w Szwajcarii, nakaz wydany przez Interpol dawał inspektorowi prawo do aresztowania. Jak się okazało, los sprzyjał Gassanowi i terrorysta

wymknął się za granicę, zanim von Daniken zdążył zrobić cokolwiek poza powiadomieniem Szwedów o jego miejscu pobytu. Pomyślał o paznokciu znalezionym w samolocie. Może z jego doniesień o ruchach Gassana wynikło coś dobrego. Nie wiedział jednak, czy terrorysta został uprowadzony z ulic Sztokholmu, czy jakiegoś innego miasta w Europie. Niech Philip Palumbo, szef Jednostki Przeniesień Specjalnych CIA, poinformuje Szwedów o aktualnym miejscu pobytu Gassana, jeśli i kiedy uzna to za stosowne.

Von Daniken zszedł na drugie piętro i ruszył chłodnym, wyłożonym szarą wykładziną korytarzem do ostatnich drzwi po prawej stronie. „KILA 2.8”, informowała tabliczka.

KILA oznacza Jednostkę Koordynacji ds. Dokumentów Tożsamości. Zadanie KILA polega na gromadzeniu dokumentów tożsamości ze wszystkich krajów świata. Gdzieś w przepastnych szafach znajduje się co najmniej jeden egzemplarz paszportu, prawa jazdy, metryki i innych powszechnie wydawanych dowodów tożsamości, będących w użyciu w ponad dwustu krajach świata.

Von Daniken wetknął głowę w drzwi.

- Max, jesteś zajęty?

Max Seiler kierował KILA. Był niski, miał wydatny tors, niebieskie oczy i rzadziejące jasne włosy.

- Pomyślałem, że wpadniesz - odparł, podnosząc głowę znad pracy. - Miałeś niezłą noc.

Von Daniken wprowadził go w szczegóły.

- Znaleziono je w domu ofiary - rzucił trzy paszporty na biurko. Seiler obejrzał dokumenty.

- Agent?

- Agent. Handlarz. Oszust. Jedno z wyżej wymienionych.

Seiler skupił uwagę na czerwonym paszporcie ze złotą koroną i słowami „Europese Unie Koninkrijk der Nederlanden” wytłoczonymi na okładce.

- Prawdziwy?

- Miał zezwolenie C, narodowość holenderska. SIBW przeszedł jego przeszłość do uniwersytetu w Holandii. Wątpię, by zmienił tożsamość przed ukończeniem osiemnastego roku życia. Mimo wszystko zależy mi na gruntownej kontroli. Przepuść je wszystkie przez *Identigate*, potem dowierć się do podstawowych papierów.

Podstawowe papiery obejmują karty ubezpieczenia społecznego i akty urodzenia: wydawane przez rząd dokumenty, które stwierdzają tożsamość

danej osoby.

Seiler przechylił się na bok i zdjął stertę papierów z krzesła. Leżały tam włoskie prawa jazdy, niemieckie karty ubezpieczenia zdrowotnego, angielskie metryki. Wszystkie fałszywe.

- Jules Gaye, urodzony w 1962 w Brukseli - przeczytał głośno, otworzywszy paszport belgijski. Wertując kartki, przyglądał się pieczęciom celnym, potem wrócił na pierwszą stronę i wsunął dokument pod lampę ultrafioletową. Ukazał się niewyraźny widok belgijskiego pałacu królewskiego.

- Tusz reaktywny wygląda dobrze - powiedział von Daniken.

- Nowe paszporty belgijskie są niezłe. Ten ma pięć zabezpieczeń utrudniających fałszowanie. Wycięta laserem mikroskopijna perforacja okładki, znak wodny Alberta II, hologram, który zmienia się z zielonego na niebieski w zależności od kąta patrzenia, i dwie cząsteczki substancji znakującej. Tak na poczekaniu powiedziałbym, że jest bez zarzutu.

- To znaczy czysty?

- Nie tylko czysty. Oficjalnie autentyczny. Wydany przez odpowiednie biuro paszportowe.

- Na pewno? - Sceptycyzm von Danikena wynikał z doświadczenia. Belgijskie paszporty zajmowały miejsce numer jeden na rynku fałszywych dokumentów.

Tanie, wiarygodne i łatwe do zdobycia. Od roku 1990 z belgijskich konsulatów, ambasad, ratuszów i placówek dyplomatycznych na całym świecie skradziono ponad dziewiętnaście tysięcy autentycznych formularzy. Kraj gubił paszporty tak, jak niektórzy gubią klucze.

- Możemy sprawdzić. - Seiler zalogował się w komputerze i wprowadził numer paszportu do *Identigate*, policyjnej bazy zawierającej informacje o ponad dwóch milionach skradzionych i podrobionych dokumentów z całego świata. - Belgowie są równie skrupulatni z meldowaniem o skradzionych dokumentach, jak beztroscy w ich gubieniu. Jeśli został skradziony, zaraz się dowiemy. - Po chwili stwierdził skonsternowany. - Nic. Zdaniem Belgów jest w porządku.

- Jesteś pewien, że nikt przy nim nie manipulował?

- Absolutnie. Zdjęcie jest zintegrowane z podłożem. To świadczy, że Lammers nie zastąpił zdjęcia pierwotnego właściciela własnym.

- Mogę skorzystać z telefonu?

- Proszę bardzo.



Von Daniken zadzwonił do znajomego z wydziału dokumentów tożsamości w Belgijskiej Policji Federalnej.

- Frank, mam na biurku jeden z waszych paszportów. Należy do człowieka, który dał się zabić zeszłej nocy. Gdybym nie wiedział, co w trawie piszczy, powiedziałbym, że jest prawdziwy. - Odczytał numer i nazwisko.

- Prawdziwy - potwierdził Frank Vincent po paru sekundach. - Numer jest w systemie.

- Dziwne. Tu facet figurował jako Lammers, obywatel Holandii. Szwajcarski rezydent z zezwoleniem C. Wyświadczyć mi przysługę: sprawdź dokładnie tego Jules'a Gaye'a. W tę i z powrotem. Czy jest prawdziwy, czy to figurant.

- Będę potrzebował trochę czasu. Wystarczy pod koniec dnia?

- Wolałbym przed lunchem. I jeszcze jedno, powiedz mi, dokąd wysłaliście paszport.

Von Daniken zakończył rozmowę. Max Seiler oglądał paszport nowozelandzki. Znowu zdał egzamin. Nie został sfalszowany i jego numer nie występował w żadnej bazie danych skradzionych dokumentów. Inspektor spojrział na zegarek. W Auckland była, siedemnasta trzydzieści. Wszystkie instytucje już zostały zamknięte. Postanowił skontaktować się z ambasadą w Paryżu. Ze względu na różnicę czasu to nowozelandzka placówka dyplomatyczna we Francji rozpatruje większość oficjalnych zapytań. Von Daniken zadzwonił i został poinformowany, że paszport jest autentyczny.

Według władz Nowej Zelandii właściciel paszportu, Michael Carrington z 24 Victoria Lane w Christchurch, jest obywatelem cieszącym się dobrą opinią.

Oficjalnie, NN. Nienotowany. Poprosił o sprawdzenie wydanych dokumentów i usłyszał zapewnienie, że prośba zostanie niezwłocznie spełniona.

- Rozumiesz coś z tego? - zapytał po odłożeniu słuchawki. Seiler wzruszył ramionami.

- Dwa ważne paszporty ze zdjęciem twojej ofiary i różnymi nazwiskami. Jest tylko jedna odpowiedź, prawda? Gaye i Carrington to niczego nieświadome parawany. Możemy wykluczyć nieuczciwego biznesmena. Wygląda na to, że mamy na głowie nielegalnego.

„Nielegalny" to wyszkolony agent rządowy działający potajemnie za granicą bez ochrony swojego kraju. Głęboko zakamuflowany szpieg.

Von Daniken pokiwał głową. Zaniepokojony, wrócił do swojego biura. Minęło siedem lat od czasu, gdy na jego biurko trafiło coś, co choć trochę przypominało tę sprawę. Miał tylko dwa pytania: Dla kogo pracował Lammers? I co takiego robił w Szwajcarii, że zasłużył na śmierć?

## 8

Był a siódma rano, gdy lewy silnik gulfstreama IV, numer ogonowy N415GB, został w końcu naprawiony i odrzutowiec przygotował się do odlotu z lotniska Bern-Belp. Pomimo propozycji Marcusa von Danikena, Philip Palumbo nie skorzystał z hotelu i został na pokładzie, gdzie przespał się na kanapie z tyłu kabiny pasażerów.

Kiedy odrzutowiec zaczął kołować, oddalając się od terminalu, Palumbo zanurkował we włazie luku bagażowego. Niewielkie pomieszczenie ze skośnym stropem nie miało okien. W kącie stały trzy walizki. Odstawił je na bok, ukląkł i przesunął płytkę maskującą mocny uchwyt z nierdzewnej stali. Szarpnął i podniósł część podłogi, odsłaniając przedział o wymiarach dwa metry na sto dwadzieścia centymetrów, wyposażony w materac i pasy do krępowania.

W przedziale leżał szczupły mężczyzna o oliwkowej cerze, ubrany w biały kombinezon jednoczęściowy, skuty kajdankami połączonymi łańcuchem i skrępowany taśmą zaciskową. Miał zgoloną brodę, czarne włosy obcięte po wojskowemu. Pielucha, którą mu założono, również była przepisowa. Podjęto wszelkie środki mające na celu depersonalizację więźnia, gwarantujące, że poczuje się bezsilny i bezbronny.

Wyglądał młodo. W okularach z drucianymi oprawkami mógłby uchodzić za studenta albo programistę komputerowego. Nazywał się Walid Gassan. Miał trzydzieści jeden lat, był zdeklarowanym terrorystą, w tym czy innym okresie powiązany z islamskim dżihadem, Hezbollahem i ulubioną przez każdego szanującego się islamskiego fanatyka Al-Kaidą.

Palumbo wyciągnął więźnia i zaprowadził do kabiny pasażerskiej, gdzie pchnął go na fotel i zapiął mu pas bezpieczeństwa. Przez chwilę smarował merкуроchromem jego okaleczone palce. Gassan stracił wcześniej trzy paznokcie, zanim Palumbo z nim skończył.

- Dokąd mnie zabieracie? - zapytał.

Palumbo nie odpowiedział. Pochylił się, rozpiął mu kajdanki na nogach i przez chwilę masował łydki, żeby przywrócić krążenie. Nie chciał, żeby Gassan wykorkował z powodu zakrzepicy żył, zanim wycisnie z niego informacje.

- Jestem obywatelem amerykańskim - podjął Gassan wyzywająco. - Mam prawa. Dokąd mnie zabieracie? Żądam odpowiedzi.

Jest pewna zasada postępowania, która wiąże się z nadzwyczajnym przemieszczaniem zatrzymanych. Gdy CIA chce przesłuchać uprowadzoną osobę, wysyła ją do Jordanii. Jeśli torturować, do Syrii. Jeśli delikwent ma zniknąć z powierzchni ziemi, trafia do Egiptu.

- Uznaj to za niespodziankę, Hadzi.

- Nie nazywam się Hadzi.

- Słusznie - powiedział Palumbo - Wiesz co? Nie masz nazwiska. Jeśli chodzi o świat, już nie istniejesz. - Pstryknął palcami przed nosem więźnia. - Rozpłynąłeś się w powietrzu.

Palumbo zapiął pas, gdy odrzutowiec wzniósł się w powietrze. Ekran na ścianie prezentował trasę na tle mapy świata oraz dane dotyczące prędkości, temperatury na zewnątrz i czasu, jaki pozostał do lądowania w miejscu przeznaczenia. Po paru minutach lotu na północ gulfstream zaczął skręt w lewo, aż dziób wskazał południowy wschód. W kierunku Morza Śródziemnego.

- Dam ci jeszcze jedną szansę. - Głos Palumbo brzmiał złowieszczo. - Zaczynaj gadać teraz albo zrobisz to później. Zapewniam cię, wolisz pierwszą opcję.

Gassan obdarzył go nieśmiałym spojrzeniem swoich brązowych oczu.

- Nie mam nic do powiedzenia.

Palumbo westchnął, kręcąc głową. Kolejny twardeł.

- A co z materiałami wybuchowymi, które zabrałeś z Niemiec? Zacznijmy od tego.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Oczywiście, nie wiesz.

Popatrzył na Gassana, wyobrażając sobie straszne rzeczy, które zrobił ten młody człowiek, śmierć, jaką spowodował, rodziny, które pogrzył w rozpacz.

A potem pomyślał, co go czeka po wylądowaniu.

Za cztery godziny pan Gassan dostanie to, na co zasłużył. I jeszcze trochę.

## 9

Ktoś zapukał do drzwi.

- *Moment, bitte.* - W drodze do drzwi Jonathan wciągnął na koszulkę podniszczony baskijski pulower i wsunął mokasyny.

Na korytarzu stał kierownik hotelu.

- W imieniu całego personelu składam wyrazy szczerego ubolewania. Jeśli moglibyśmy coś dla pana zrobić, ja lub ktoś z mojego personelu...

- Dziękuję - odparł Jonathan. - Już wszystko w porządku. Kierownik pokiwał głową, ale nie odszedł. Wyjął z kieszeni żółtą kopertę.

- Poczta. Do pańskiej żony.

Jonathan wziął kopertę i podniósł do światła. Emma Ransom, hotel Bellevue, Poststrasse, Arosa. Pismo duże, śmiałe i staranne. Ręka mężczyzny, pomyślał.

Odwrócił kopertę. Brak nazwiska i adresu zwrotnego.

- Dzień za późno, niestety - dodał kierownik. - Brygada powiększająca tunel kolejowy w pobliżu St. Peter-Molinas spowodowała zejście lawiny na tory.

Wyjaśniłem to wszystko pani Ransom. Była zdenerwowana. Jestem winny przeprosiny.

- Rozmawiał pan z nią o tym?

- Tak. Wczoraj wieczorem przed kolacją.

- Więc spodziewała się tego listu?

- Szepnęła coś o urodzinach. Kazała mi obiecać, że zachowam to dla siebie.

Urodziny? - zdumiał się Jonathan. Trzydzieste ósme urodziny obchodził trzynastego marca, za ponad miesiąc.

- Rozumiem. Dziękuję.

Zamknął drzwi, wszedł do sypialni, obracając kopertę w rękach. „Emma Ransom. Hotel Bellevue. Poststrasse, Arosa”. Stempel pocztowy był rozmazany.

Data pozostała czytelna, ale nazwa miasta, w którym nadano list, niewyraźna.

Pierwszą literą było A, a może R. Drugą - C albo O, a może E. Trzecią - L albo I.

Poddał się. To nie miało sensu.

Usiadł na brzegu łóżka, wsunął kciuk pod skrzydełko. Zaintrygował go niebieski stempel „Express”. To znaczyło, że list, nadany w piątek, miał zostać dostarczony nazajutrz. Odwrócił go jeszcze raz. Brak adresu zwrotnego.

Od jak dawna żywił podejrzenia? Pół roku temu? Rok? Po wyjeździe Emmy do Paryża czy może oznaki wystąpiły już wcześniej? Był zbyt zajęty, żeby zwrócić na nie uwagę.

Nie było przesady w stwierdzeniu, że kochał ją do szaleństwa. „Szaleństwo” to takie przerażające słowo. Sugerowało beztróskę, niebezpieczeństwo i porzucenie. Nic podobnego do jego uczuć do Emmy. Jego miłość do niej opierała się na absolutnym braku wątpliwości. Zobaczył ją i wiedział. Ten krzywy uśmiech, który prowokował: „Spróbuj. Jestem zwierzyną”. Dziką zwierzyną o kasztanowych włosach, których nie chciała poskromić. W podartych džinsach, które błagały o zszycie. „Są ważniejsze rzeczy, Jonathanie, niż splatanie włosów w warkocze i noszenie czystego kitla”. Jej wyzywające spojrzenie, które kazało mu dawać z siebie wszystko. Jakby została stworzona specjalnie dla niego. Nic nie skrywał, bo ona też była szczerą.

Tak, kochał ją do szaleństwa. Ale nie kochał jej ślepo.

Od paru miesięcy okazywała coraz mniejsze zainteresowanie pracą. Niegdyś czternastogodzinne dni pracy skróciły się do dwunastu, potem do ośmiu godzin.

Zajmowała się na szczeblu regionalnym logistyką w organizacji Lekarze bez Granic, koordynując operacje humanitarne na Bliskim Wschodzie. To znaczyło, że nadzorowała zatrudnianie i szkolenie pracowników i wolontariuszy, kontrolowała dostawy zaopatrzenia, współdziałała z lokalnymi agencjami rządowymi i zajmowała się finansami potrzebnymi do rozkręcenia i kontynuowania operacji. Była to szalona praca, mówiąc krótko.

Najpierw myślał, że zwalnia tempo, bo się wypaliła. Emma nigdy nie miała dla siebie litości. Jej płomień płonął zbyt jasno. Spalała się, dosłownie. Nic dziwnego, że potrzebowała odpoczynku.

Ale pojawiły się też inne sygnały. Bóle głowy. Samotne spacerki. Przedłużające się okresy milczenia. Czuł, jak z dnia na dzień oddalają się od siebie.

Wszystko zaczęło się po Paryżu.

Jonathan przesuwiał kopertę w palcach. Lekka jak piórko. Przypuszczał, że zawiera pojedynczą kartkę. Odwrócił ją i wbił oczy w puste miejsce, gdzie

powinien znajdować się adres zwrotny. Szwajcar, który nie wpisuje swojego nazwiska na kopercie, stoi o jeden krok od zdrady. To obraza narodowa równa pogwałceniu tajemnicy bankowej i podwędzeniu przepisu na czekoladę mleczną Lindta.

Jeśli nie zdrajca, zatem kto?

Z radia popłynęły cztery donośne sygnały. Oficjalny głos oznajmił po angielsku: „Jest godzina dwunasta czasu Greenwich. Tu światowy serwis BBC.

Wiadomości czyta..." Ale w głowie Jonathana rozbrzmiewał inny głos. „Otwórz, nalegał. Otwórz i miej to za sobą”.

Gdyby to było takie proste, pomyślał.

Prawdę mówiąc, nie był pewien, czy chce otworzyć kopertę. Emma nie żyje.

Pozostały mu tylko wspomnienia. Nie chciał ich zbrukać. Podniósł list wyżej i jego myśli popłynęły do jedyne miejsce, którego nie chciał ponownie odwiedzić.

Paryż... dokąd Emma pojechała na babski weekend, żeby chłonąć kulturę, rogaliki i obrazy na nowej wystawie Chagalla.

Paryż... gdzie Emma znikła na dwa dni i dwie noce, nieosiągalna nawet dla jego najbardziej gorączkowych wiadomości.

Paryż...

Jonathan śpi w namiocie, leżąc na pryczy w samych bokserkach.

O trzeciej nad ranem wciąż jest nieznośnie gorąco. To lato było wyjątkowo skwarne, nawet jak na wysokie standardy Bliskiego Wschodu. W czasie miesięcy przeżytych i przepracowanych w dolinie Bekaa nauczył się spać i pocić jednocześnie.

Prycza obok niego jest pusta. Emma wyjechała na tydzień do Europy. Cztery dni w siedzibie agencji w Genewie, potem trzy dni w Paryżu, gdzie ma się spotkać ze swoją najserdeczniejszą przyjaciółką, Simone, i rozpocząć szaloną wycieczkę po Mieście Światła. Popołudnie w Jeu de Paume, wieczór na podziwianiu Son et Lumičre w Wersalu. Z dawną energią zaplanowała każdą minutę tych dni.

Budzi go ryk silników. Noc warczy, gdy zbliża się mechaniczna inwazja.

Jonathan podnosi głowę z poduszki. Strzał huczy w ciemności.

Wyskakuje z łóżka i wybiega z namiotu. Raszid, młody Palestyńczyk, stoi przed szpitalem z rozpostartymi rękami, tarasując wejście. W pobliżu stoją dwa ubłocone pikapy toyoty. Muzyka płynie z głośników, melodia w

tonacji molowej z ogłuszającym rytmem. Uzbrojeni milicjanci otaczają chłopca, szturchają go lufami karabinów maszynowych, krzyczą, żeby otworzył drzwi.

Jonathan przepycha się pomiędzy nimi. Zna podstawy arabskiego, więc pyta w tym języku: - Czego chcecie?

- Ty tu rządzisz? - pyta dowódca, dwudziestoletni młodzieniec o ziemistej cerze, z rzadką brodą i kocimi oczami. - Ty jesteś doktorem?

- Jestem lekarzem.

- Potrzebujemy lekarstwa. Każ chłopakowi zejść nam z drogi.

- Nigdy! - krzyczy Raszid. Ma piętnaście lat, jest w okresie młodzieńczego buntu i niezależności. Od czasu przybycia Jonathana i Emmy nie odstępuje ich.

Jonathan jest jego idolem i mentorem, świętym patronem i szczególnym podopiecznym. Raszid zamierza studiować medycynę, choćby tylko po to, żeby zaopiekować się licznymi krewnymi. Szpital należy do niego w takim samym stopniu, jak do pracowników akcji humanitarnej.

- Proszę. - Jonathan uśmiecha się, żeby uspokoić nerwy. - Ja wam pomogę.

Jesteś chory? Któryś z twoich ludzi został ranny?

- Mój ojciec - odpowiada przywódca hałastry. - Serce. Potrzebuje lekarstwa.

- Przywieź go tu. Z przyjemnością się nim zajmiemy. - Zwraca uwagę na szkliste oczy chłopaka, jego senny uśmiech. Jest pijany? Na haju? Co zażył?

Raki? Hasz? Metę?

- Nie ma czasu.

- Byłeś w szpitalu w Mezza-al-Sharif? Jeśli ojciec choruje na serce, lepiej, żebyś zawiózł go do Bejrutu.

Ale do Bejrutu jest osiem godzin jazdy, a droga do Mezza-al-Sharif stała się nieprzejezdna z powodu gwałtownej powodzi.

- Odsuń się. - Dowódca odpycha Raszida. Ten popycha jego. Zanim Jonathan może zareagować, ostrzec chłopca i polecić, żeby ustąpił, przywódca podnosi karabin i strzela Raszidowi w twarz.

- Mój ojciec potrzebuje nitrogliceryny na serce - mówi milicjant, przestępując nad ciałem. - A my... - wskazuje swoich ludzi - potrzebujemy czegoś dla duszy.

Jonathan patrzy na Raszida i wie, że nie można nic zrobić. Prowadzi milicjantów do ambulatorium. Chciwe ręce opróżniają półki z morfiny,



vicodinu i kodeiny. Po paru minutach ambulatorium jest puste. Napad kończy się równie szybko, jak się zaczął. Życząc mu błogosławieństwa proroka, milicjanci wsiadają do wozów i odjeżdżają.

Minutę później Jonathan trzyma telefon przy uchu, mając rozpaczliwą nadzieję, że dodzwoni się do Paryża. Emma miała lecieć do Genewy i jechać prosto do siedziby Lekarzy bez Granic. Chce jej powiedzieć, żeby załatwiła pieniądze na ponowne zaopatrzenie szpitala.

W Libanie jest trzecia trzydzieści. W Paryżu po północy. Dzwoni do hotelu Trois Couronnes, ale żona nie odbiera. Jej komórka też milczy. Ponownie dzwoni do hotelu i prosi o dostarczenie wiadomości do jej pokoju. Emma nie oddzwania.

Nie tej nocy. Nie nazajutrz rano. Nawet nie po południu, gdy Jonathan jedzie do Bejrutu, żeby wydać resztę prywatnych oszczędności na zakup potrzebnych lekarstw od czarnorynkowego dostawcy.

Jego żona zaginęła.

Cierpliwość każdego mężczyzny ma swoje granice. Ze smutkiem odkrywa, że zaufanie nie jest niewyczerpanym towarem. O szóstej nazajutrz rano jeszcze raz dzwoni do hotelu i prosi o rozmowę z kierownikiem.

- Jest pan pewien, że zostawił wiadomości we właściwym pokoju? -pyta.

- Monsieur Ransom, ręczę słowem. Osobiście dostarczyłem ostatni list.

- Mógłby pan sprawdzić, czy moja żona jest w pokoju?

- Oczywiście. Przekieruję rozmowę na swoją komórkę. Jeśli zastanę pańską żonę, będzie pan mógł od razu z nią porozmawiać.

Jonathan jak duch towarzyszy kierownikowi w drodze na trzecie piętro. Przez telefon słyszy trzask zamykanych drzwi staroświeckiej windy, tupot eleganckich butów na wykładzinie korytarza, ostre pukanie do drzwi.

- *Bonjour*, madame. Tu Henri Gauthier, kierownik. Chciałbym spytać, czy nic pani nie jest.

Brak odpowiedzi. Czas płynie. Gauthier wchodzi do pokoju.

- Monsieur Ransom? - Jonathan słyszy uprzejmy głos. - Są tu wszystkie wiadomości.

- Co to znaczy?

- Leżą na podłodze. Żadna nie została otworzona. Wygląda na to, że pańskiej żony tu nie ma.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem.

- Nikt nie spał w łóżku. Nie widzę walizek ani żadnych innych rzeczy. - Gauthier milknie i Jonathan wyobraża sobie, jak z rezygnacją wzrusza

ramionami. - Do pokoju nikt się nie wprowadził.

Otwórz.

Jonathan przesunął palec pod skrzydełkiem i rozdarł kopertę. Wewnątrz znajdowała się jedna kartka. Pusta. Bez nazwiska. Bez nagłówka. Bez jednego słowa. Odwrócił kopertę i potrząsnął. Na dłoń wypadły dwie tekturki, identyczne pod względem kształtu i rozmiaru, z jednym brzegiem perforowanym, jakby zostały oddarte od innych kawałków. Pośrodku każdej widniała wydrukowana jasnoczerwonym tuszem sześciocyfrowa liczba. Przypominały pokwitowania, jakie dostaje się w szatni. W prawym rogu na dole było napisane drobną czcionką. SBB.

Schweizerische Bundesbahn. Kolej szwajcarska. Kwity bagażowe.

## 10

Drugi raz w ciągu dwunastu godzin Marcus von Daniken był w Zurychu.

Wysokie na metr, jaskrawoniebieskie litery nad wejściem oznajmiały: „Robótka AG”. Z dossier wynikało, że Theo Lammers założył firmę w roku 1994 i był jej jedynym właścicielem, a także dyrektorem generalnym. Profil produkcji określało enigmatyczne „części maszynowe”.

W recepcji stała krzepka służbistka z rękami założonymi za plecy, jakby czekała na inspekcję generała na placu apelowym.

- Michaela Menz - oznajmiła, zbliżając się dwoma żołnierskimi krokami.

Nosiła ponurą garsonkę i miała krótkie brązowe włosy z przedziałką na boku głowy. Jej wizytówka informowała, że zrobiła doktorat z inżynierii mechanicznej. Z wyróżnieniem.

Von Daniken pozwolił jej obejrzeć swoją legitymację i obdarzył kobietę cynicznym uśmiechem. Teraz byli sobie równi.

- Wciąż jesteśmy w szoku - powiedziała Menz, prowadząc go do biura. - Nikomu z nas nie przychodzi na myśl ktoś, kto mógłby źle życzyć panu Lammersowi. Taki cudowny człowiek.

- Nie wątpię - mruknął von Daniken. - Prawdę mówiąc, dlatego tu jestem.

Równie mocno jak pani pragnę znaleźć mordercę. Wszystko, co pani mi powie, będzie ogromnie pomocne.

Biuro Michaeli Menz było małe i schludne, bez zdjęć rodziny, kochanków, przyjaciół. Von Daniken uznał ją za pracoholiczkę i przypuszczał, że jest chora z niepokoju. Przejmowała się nie tyle śmiercią Lammersa, ile przyszłością firmy i jej kierownictwem.

- Myśli pan, że winny jest jakiś kolega po fachu? - zapytała tonem entuzjastycznej żałoby. - Może ktoś z zagranicy?

- Naprawdę w tym momencie nie mogę nic powiedzieć. Z zasady nie udzielamy informacji w trakcie dochodzenia. Może zaczniemy od firmy. Co dokładnie produkujecie?

Menz przysunęła fotel bliżej biurka.

- Systemy nawigacyjne. Nad ziemią, pod wodą, terminale mobilne. - Widząc konsternację inspektora, wyjaśniła: - Produkujemy przyrządy, które pozwalają określić dokładną pozycję samolotów, statków i samochodów.

- Jak GPS? Zmarszczyła brwi.

- Nie lubimy polegać na satelitach. Ostatnio opatentowaliśmy nowy

system nawigacji dla samolotu wykorzystujący metodę łączenia wskazań różnych układów pomiarowych. Nasze urządzenie łączy pomiary z inercyjnych systemów nawigacji, map cyfrowych i wysokościomierza radarowego. Poprzez mierzenie zmian wysokości terenu wzdłuż trasy przelotu i nałożenie danych na cyfrową mapę terenu możemy określić pozycję samolotu z dokładnością do milimetrów.

- A kto kupuje takie urządzenia?

- Mamy wielu klientów. Boeing, General Electric i Airbus między innymi.

Von Daniken był pod wrażeniem.

- Więc muszę dziękować wam, kiedy mój samolot pasażerski nie uderzy w górę?

- Nie tylko nam... ale poniekąd tak. Pochylił się, jakby chciał powierzyć jej sekret.

- Domyślam się, że prace tego rodzaju wiążą się też z militariami. Macie klientów w przemyśle zbrojeniowym? Producenci samolotów? Pociski naprowadzane laserowo? Tego typu rzeczy?

- Nie.

- Ale niektóre ze wspomnianych przez panią koncernów mają szerokie powiązania z firmami zbrojeniowymi, prawda?

- Możliwe, lecz one nie są naszymi klientami. Istnieje wiele innych firm produkujących wojskowe systemy nawigacyjne.

Von Daniken uznał, że odpowiedzi padają ciut za szybko. Ostatecznie Lammers został umieszczony na liście podejrzanych z powodu zaangażowania w produkcję broni artyleryjskiej, łącznie z „superdziałem” dla Saddama Husajna.

- Czy będzie dla pani niespodzianką wiadomość, że w przeszłości pan Lammers projektował broń artyleryjską?

- Był błyskotliwym człowiekiem. Przypuszczam, że miał wiele zainteresowań, o których ze mną nie mówił. Mogę tylko powiedzieć, że jako firma nigdy nie mieliśmy do czynienia z bronią żadnego rodzaju. - Menz ściągnęła brwi. - Dlaczego? Myśli pan, że ma to coś wspólnego z jego śmiercią?

- Na tym etapie wszystko jest możliwe.

- Rozumiem. - Odwróciła wzrok. Mógł zobaczyć, że rozważa ten pomysł. Jej rysy złagodniały. Schowała twarz w dłoniach, stłumiła szloch. - Proszę mi wybaczyć. Śmierć Theo strasznie mną wstrząsnęła.

Von Daniken zajął się sporządzaniem notatek. Nie był inspektorem Maigretem, ale wydawało się oczywiste, że Michaela Menz mówi prawdę. Albo, jeśli Lammers brał udział w jakichś przekrętach, ona o niczym nie wiedziała.

Zaczekał, aż kobieta się uspokoi, i zapytał: - Czy pan Lammers często podróżował w interesach? Menz uniosła głowę.

- Czy podróżował? Dobry Boże, tak- odparła, wycierając oczy. - Ciągłe wyjeżdżał. Kontrola instalacji. Przyjmowanie zamówień. Podtrzymywanie dobrych stosunków.

- W jakich krajach bywał najczęściej?

- Dziewięćdziesiąt procent naszych produktów trafia do Europy. Stale kursował pomiędzy Düsseldorfem, Paryżem, Mediolanem i Londynem. Głównie centra przemysłowe.

- Był kiedyś na Bliskim Wschodzie? W Syrii? Dubaju?

- Nie.

- Żadnych interesów z Izraelem czy Egiptem?

- Absolutnie nie.

- A kto bukował mu bilety?

- Sam to robił, jak sędzę.

- Mówi pani, że pan Lammers nie miał sekretarki, która dokonywałaby rezerwacji? Samoloty, hotele, samochody z wypożyczalni... W dzisiejszych czasach planowanie podróży zajmuje sporo czasu.

- Nie chciał słyszeć o wyręce. Był człowiekiem praktycznym, kupował bilety przez Internet.

Von Daniken nabazgrał informacje w notesie. Nie kupił tekstu o praktyczności. Lammers był przede wszystkim człowiekiem skrytym. Nie chciał, żeby ktoś zaglądał mu przez ramię, gdy rezerwował bilety jako Jules Gaye albo na inne ze swoich fałszywych nazwisk.

- Doktor Menz - zaczął z obiecującym uśmiechem - czy mógłbym obejrzeć jego gabinet? Dzięki temu lepiej go poznam.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

W rzeczywistości von Daniken już przekraczał swoje kompetencje. Nie miał czasu wystąpić o nakaz. W świetle prawa nie powinien węszyć po zakładzie.

- Chcę zrobić wszystko, co możliwe, żeby złapać człowieka, który go zabił - oświadczył, rzucając jej wyzwanie spojrzeniem. - A pani?

Michaela Menz wyszła zza biurka i ruchem ręki dała mu znać, żeby

poszedł za nią. Gabinet Lammersa mieścił się obok. Był tej samej wielkości, co biuro Menz, umeblowany równie oszczędnie. Uwagę von Danikena od razu zwrócił obiekt stojący na kredensie. Wykonane z jakiegoś przezrystego plastiku urządzenie miało pół metra wysokości i kształt litery V.

- A to? Jeden z waszych produktów? - zapytał.

- To mini-BSP. Bezpilotowy statek powietrzny mikro.

- Mogę? - Wskazał w stronę aparatu. Gdy Manz skinęła głową, podniósł urządzenie. Ważyło mniej niż kilogram. Skrzydła były jednocześnie niewiarygodnie twarde i dziwnie giętkie. - Naprawdę lata?

- Oczywiście - odparła obrażona. - Ma zasięg pięćdziesięciu kilometrów i może osiągnąć prędkość ponad czterystu kilometrów na godzinę.

- Niemożliwe! - zawołał von Daniken, zgrywając się na ciemniaka. -1 on to zbudował?

Menz z aprobatą pokiwała głową.

- Własnymi rękami w naszym laboratorium badawczo-rozwojowym. Ten jest najmniejszy spośród wszystkich, które skonstruował. Przedmiot jego dumny.

Von Daniken zapamiętał jej każde słowo. Zasięg: pięćdziesiąt kilometrów.

Prędkość: czterysta kilometrów na godzinę. Zbudowany własnoręcznie...

Najmniejszy ze skonstruowanych. Co znaczy, że mieli inne. Przyjrzał się dziwnemu samolocikowi. Bez wątpienia był sterowany przez system nawigacyjny z dokładnością do centymetrów.

- To jeden z waszych produktów? Myśleliście o dodaniu go do linii produkcyjnej? O rozszerzeniu oferty o zabawki?

Jak miał nadzieję, Menz zeszywniała, słysząc ostatnie słowo. Podeszła i odebrała mu zdalnie sterowany samolot.

- Mini-BSP nie jest zabawką. To najlżejszy aparat tego typu na świecie. Dla pańskiej informacji, zbudowaliśmy go dla bardzo ważnego klienta.

- Mogę spytać dla kogo?

- Niestety, to poufna informacja, ale mogę dać panu słowo, że nie ma nic wspólnego z wojskiem. Wręcz przeciwnie, prawdę mówiąc. Od razu rozpoznałby pan nazwę. Poczytujemy sobie współpracę z nimi za najwyższy zaszczyt.

- Ogromnie by nam pani pomogła, wyjawiając nazwisko klienta. Menz pokręciła głową.

- Nie rozumiem, jak mogłoby to pomóc w znalezieniu zabójcy Theo. Von

Daniken wycofał się z wdziękiem. Podziękował jej za poświęcony mu czas i poprosił, żeby zadzwoniła, gdyby chciała jeszcze coś dodać. Gdy wrócił do samochodu, nie myślał o robotach. Myślał o mini-BSP. Michaela Menz miała rację. To nie była zabawka. To broń w przebraniu.

## 11

Jonathan maszerował w dół wzgórza, wyprzedzając wolniejszych spacerowiczów. Trzymał ręce w kieszeniach, ugniatając w palcach kwity bagażowe.

Nadano walizki? Narty i buty? Dodatkowe zimowe ubrania? Po znalezieniu kwitów zadzwonił do biura Emmy, ale nikt sobie nie przypominał, żeby coś jej wysłał.

Jeśli nie oni, zatem kto? I dlaczego nie było listu, nie mówiąc o adresie zwrotnym? Pytania nie dawały mu spokoju. Ale przede wszystkim pytał siebie, dlaczego Emma chciała ukryć to przed nim.

Poststrasse z mnóstwem sklepów, kawiarni i hoteli po obu stronach wiała się przyjemnie, schodząc z góry. W całej Szwajcarii pierwszy tydzień lutego jest „tygodniem na nartach”, tradycyjnymi feriami szkolnymi. Rodziny od St. Gallen po Genewę uciekają *en masse* w góry. Dziś jednak z powodu bezustannie padającego śniegu i porywistego wiatru zamknięto wszystkie wyciągi, łącznie z Luftseilbahn. Na chodnikach panował niemiłosierny tłok. Dziś nikt nie pójdzie w góry. Ani on, ani nikt inny.

Mijając Lanz's Uhren und Schmuck Boutique, zatrzymał się nagle. W środkowym oknie pomiędzy lśniącymi zegarkami znajdował się staroświecki zestaw przyrządów meteorologicznych: termometr, higrometr i barometr w jednej obudowie. Stał w tym samym miejscu przed ośmiu laty, gdy przyjechał z Emmą na pierwszą wyprawę w góry. Był wielkości starej amatorskiej radiostacji i rejestrował graficznie warunki atmosferyczne. Paląca się pośrodku czerwona żarówka informowała, że ciśnienie spada. Kiepska pogoda miała się utrzymać. Śnieg będzie padać jeszcze przez jakiś czas.

Pochylił się, żeby przestudiować wykresy. W ciągu trzydziestu sześciu godzin temperatura obniżyła się z trzech stopni Celsjusza do minus jedenastu.

Wilgotność względna wzrosła w zawrotnym tempie, podczas gdy ciśnienie barometryczne spadło z tysiąca milibarów do siedmiuset.

„Dlaczego nie sprawdził pan pogody?” - zapytał policjant wczorajszej nocy.

Jonathan wrócił myślą na górę ze śniegiem, wiatrem i zabójczym zimnem.

Czuł swoją ręką wokół talii Emmy, gdy wspięła się na grań i padła mu w



ramiona. Widział w jej oczach spełnienie, przyływ dumy i głębokie przekonanie, że oboje mogą zrobić wszystko.

- Jonathanie!

Gdzieś w dali ktoś wykrzyknął jego imię. Chropawy głos z francuskim akcentem. Nie zwrócił uwagi. Wpatrywał się w czerwone światło, aż wypaliło koronę na jego siatkówce. Emma sprawdziła pogodę! Ale zbyt obstawała przy wspinaczce, żeby mu powiedzieć, iż prognozy nie są dobre.

Czyjaś ręka zacisnęła się na jego ramieniu.

- Co jest? - usłyszał głos z francuskim akcentem. - Muszę tropić swój własny komitet powitalny?

Jonathan odwrócił się i spojrzał w twarz wysokiej, atrakcyjnej, ciemnowłosej kobiety.

- Simone... jesteś.

Simone Noiret postawiła torbę i przytuliła go mocno.

- Przykro mi.

Odwzajemnił uścisk, zamykając oczy i zaciskając szczęki. Umiał walczyć, ale był bezsilny wobec emocji, które wzbudził widok znajomej twarzy. Po chwili Simone odsunęła go na długość ramienia.

- Jak się trzymasz?

- W porządku. Wcale nie. Nie wiem. Przede wszystkim czuję się odrętwiały.

- Wyglądasz marnie. Przestałeś się golić, kąpać i jeść? Niedobrze. Zdobył się na uśmiech, pocierając policzki.

- Chyba nie jestem głodny.

- Będziemy musieli coś z tym zrobić.

- Chyba tak.

Zmusiła go, żeby spojrzał jej w oczy.

- Chyba tak?

Jonathan wziął się w garść.

- Tak, Simone, musimy coś z tym zrobić.

- Znacznie lepiej. - Splotła ręce i pokręciła głową, jakby ganiła jednego ze swoich czwartoklasistów.

Simone Noiret była Egipcjanką z urodzenia, Francuzką z małżeństwa i nauczycielką z zawodu. Niedawno stuknęła jej czterdziestka, ale wyglądała dziesięć lat młodziej, co przypisywała swojemu arabskiemu pochodzeniu. To lewentyńskiej krwi zawdzięczała swe włosy, czarne i gęste jak trawa nilowa, spadające w eleganckiej kaskadzie na ramiona, i oczy, ciemne i nieufne,

robiące tym większe wrażenie, że nie szczydziła im tuszu do rzęs. Miała drogą skórzaną torbę na ramię. Sięgnęła do niej po papierosa - gauloise'a - jednego z około sześćdziesięciu, które wypalała każdego dnia. Jak na razie, papierosy ograniczyły swój szkodliwy wpływ do jej głosu, zgrzytliwego jak głos Breła ze starej płyty, którą wozila z sobą z miasta do miasta.

- Dzięki, że przyjechałaś - powiedział. - Chciałem mieć przy sobie kogoś...

kogoś, kto znał Emmę.

Simone zaczęła coś mówić, nagle przerwała, odwróciła się od niego i rzuciła papierosa na ziemię.

- W czasie jazdy pociągiem obiecałam, że nie będę płakać. Powiedziałam sobie, że potrzebujesz kogoś silnego. Kogoś, kto cię rozweseli. Zajmie się tobą.

Ale, oczywiście, to ty jesteś silny. Nasz Jonathan. Spójrz na mnie. Jak dziecko.

Łzy płynęły z kącików jej oczu, tusz brudził policzki. Jonathan wyjął chusteczkę z kieszeni i wytarł ciemne smugi.

- Paul składa kondolencje - wykrztusiła pomiędzy szlochami. - Przez tydzień będzie w Davos. Pan Gruba Ryba wygłosi mowę na temat korupcji w Afryce.

Teraz to oryginalny temat. Mam ci przekazać, że jest załamany, iż nie mógł przyjechać.

Mąż Simone, Paul, był francuskim ekonomistą, wysoko postawionym gryziptórkim w Banku Światowym.

- W porządku. Wiem, że przyjechałby, gdyby mógł.

- Wcale nie, i tak mu powiedziałam. Ostatnio wszyscy jesteśmy niewolnikami naszych ambicji. - Simone, widząc siebie w witrynie, skrzywiła się. - *Mais merde*. Teraz ja też wyglądam koszmarnie. Dobrana z nas para.

Ransomowie i Noiretowie poznali się w Bejrucie, gdzie Jonathan objął placówkę Lekarzy bez Granic. Mieszkali w tym samym bloku. W owym czasie Simone uczyła w amerykańskiej szkole w Bejrucie. Gdy się dowiedziała, że Emma zajmuje się pomocą humanitarną, wykorzystwała swoje kontakty, żeby załatwić tanie lokum dla misji. Ten akt życzliwości zagwarantował dozwoloną lojalność Emmy.

Skierowanie Jonathana do kwatery głównej Lekarzy bez Granic w Genewie zostało przyjęte z radością, przynajmniej przez kobiety. (Jonathan bał się przeniesienia... i nie bez powodu, jak się okazało). Paul Noiret wrócił

do Genewy dwa tygodnie wcześniej. Noiretowie znów pospieszyli na ratunek, pomagając Jonathanowi i Emmie znaleźć w miarę tanie mieszkanie na ich ekskluzywnym osiedlu w Cologny. Spotykali się na kolacjach, ilekroć pozwalał im na to rozkład zajęć. Burgery u Ransomów w jednym miesiącu. *Coq au vin* u Noiretów w następnym. Emma często podkreślała, że wymiana nie jest zbyt sprawiedliwa.

Jonathan podniósł torbę podrózną Simone.

- Chodź ze mną - powiedział, ruszając w dół wzgórza.

- Myślałam, że hotel jest w innym kierunku.

- Bo jest. Idziemy na stację kolejową.

Simone przyspieszyła, żeby dotrzymać mu kroku.

- Już się mnie pozbywasz?

- Nie. Muszę coś sprawdzić. - Pokazał jej dwa kartoniki.

- Co to?

- Chyba kwity bagażowe. Wczoraj przysły pocztą do Emmy. Poza nimi w kopercie była tylko pusta kartka. Bez podpisu. Bez listu. Tylko to.

Simone wzięła od niego kwiaty.

- SBB. To znaczy Schweizerische Bundesbahn. Zgubiła bagaż?

- Tego chcę się dowiedzieć.

- Kto je przysłał?

- Nie mam pojęcia. Nigdzie nie ma nazwiska. - Zabrał jej kwity. - Myślisz, że jakiś jej znajomy?

- Nie wiem.

- Byłaś z nią w Paryżu.

- Tak, byłam. I co z tego? Jonathan się zawahał.

- Gdy wyjechałyście, w pracy zdarzył się wypadek. Przez dwa dni próbowałem się z nią skontaktować. Bez skutku. Bardzo się niepokoiłem. Wyjaśniła, że biwakowała w twoim pokoju i nawet nie zajrzała do swojego.

To wtedy zrodziły się podejrzenia. Jawne wątpliwości. W świetle dnia wydawały się drobne i bezpodstawne.

- A ty jej nie uwierzyłeś? - Simone ścisnęła go za ramię. - Ale to prawda.

Trzymałyśmy się razem przez cały czas. To był nasz dziewczynski weekend.

Praktycznie dopiero po północy zaczynały się prawdziwe rozmowy. To wtedy silniki zaskakują. Cała Emma. Wszystko albo nic. Wiesz o tym. - Roześmiała się smutno, nie tyle wspominając tamte chwile, ile chcąc rozproszyć jego wątpliwości. - Emma cię nie oszukiwała. Nie była taka.

- A te bagaże? Nie wspominała ci o nich? Nie planowała jakiejś podróży? Jakiejś niespodzianki?

- Błyskawiczne safari?

- Coś takiego. - „Błyskawicznymi safari” nazywali wyprawy Emmy po zapasy.

Co najmniej raz w miesiącu, bez uprzedzenia, pędziła do bliskich i dalekich miejsc po krew grupy A, penicylinę, a nawet witaminę C. Po wszystko, od rzeczy prozaicznych po cudowne.

Pokręciła głową.

- Musiała coś zamówić. Dzwoniłeś do jej biura? Jonathan przytaknął i powiedział, że niczego jej nie wysłali.

- Cóż, ja bym się nie martwiła. - Simone wzięła go pod rękę, gdy szli do stóp wzgórza.

Przy głównym urzędzie pocztowym skręcili w lewo, idąc brzegiem Obersee, niewielkiego jeziora, zamrożonego i ogrodzonego linami, żeby nowy śnieg miał czas osiąść. *Bahnhof* 'był wyludniony. Dwa pociągi co godzina obsługiwały Arosę. Pierwszy, który zabierał pasażerów na dół do Chur, odjeżdżał trzy minuty po pełnej godzinie. Drugi, przywożący pasażerów, przybywał pięć minut później.

Podszedł do kasy bagażowej. Pracownik wziął bilety i wrócił po minucie, kręcąc głową.

- Nie tu.

Jonathan popatrzył w głąb przechowalni, gdzie na żelaznych półkach leżały tuziny toreb.

- Na pewno wszystko pan sprawdził?

- Proszę zapytać w kasie biletowej. Kierownik stacji powie panu, czy bagaże są w systemie.

Przy kasie biletowej też nie było podróżnych. Jonathan podszedł do lady i wsunął bilety przez okienko.

- Nie tu - powtórzył kierownik stacji, wpatrując się w monitor. - Bagaże są w Landquart. Przybyły dwa dni temu.

Landquart to mała wioska na trasie Zurych-Chur, lepiej znana jako stacja końcowa Klosters, ulubionego miejsca spotkań członków brytyjskiej rodziny królewskiej, i Davos, modnego ośrodka narciarskiego.

- Wie pan, skąd zostały przysłane? - zapytał Jonathan.

- Z Ascony. Część naszego programu przewozów bezpośrednich. Nadane o trzynastej pięćdziesiąt siedem do Zurychu. Stamtąd do Landquart.

Ascona, usiany palmami kurort, jeden z wielu nad Lago Maggiore, leży na granicy szwajcarsko-włoskiej. Jonathan nie znał tam nikogo. Najwyraźniej w przeciwieństwie do Emmy.

Simone pochyliła głowę w stronę okienka.

- Czy mógłby nam pan powiedzieć, kto nadał bagaże? Kierownik pokręcił głową.

- Z tego terminalu nie mam dostępu do takich informacji.

- A kto ma?

- Tylko stacja w Asconie.

Jonathan sięgnął po portfel, ale Simone go wyprzedziła. Przesunęła po ladzie swoją kartę kredytową.

- Dwa bilety do Landquart - powiedziała. - Pierwsza klasa.

## 12

Kompleks zwał się Al-Azabar i należał do palestyńskiego ramienia Far Falestin, wydziału syryjskiego wywiadu wojskowego. Philip Palumbo wszedł do budynku i skrzywił się, czując smród amoniaku w głównym holu. Nie pierwszy raz odwiedził to miejsce, ale gryzący zapach i gołe ściany wciąż na niego działały. Betonowa podłoga. Betonowe ściany. Zdjęcia prezydenta Baszara Al-Assada (zwanego przez obywateli „doktorem”, gdyż jest z wykształcenia okulista) i jego zmarłego ojca, dyktatora Hafiza Al-Assada, były jedynymi ozdobami w zasięgu wzroku. Pośrodku pomieszczenia stało biurko, za którym siedział oficer. U jego stóp spał owczarek niemiecki. Na widok Palumbo oficer wstał i zaszalutował. - Witam pana.

Palumbo minął go bez słowa. Oficjalnie go tu nie było. W razie potrzeby sfabrykowane zostaną dowody, że nigdy nie postawił stopy na syryjskiej ziemi.

Philip Palumbo kierował Jednostką Przemieszczeń Wyjątkowych CIA. Teoretycznie jednostka należała do Antyterrorystycznego Centrum Dowodzenia, ale w rzeczywistości funkcjonowała autonomicznie. Z tego powodu Palumbo podlegał bezpośrednio zastępcy dyrektora do spraw operacji, admirałowi Jamesowi Lafeverowi, drugiemu pod względem rangi człowiekowi w Agencji.

Robota Palumbo była dość prosta, polegała na lokalizowaniu podejrzanych terrorystów i porywaniu ich w celu przesłuchania. Rozporządzał flotą trzech odrzutowców i zespołem agentów gotowych udać się w najdalszy zakątek świata w ciągu godziny od powiadomienia. Miał także niepisane zezwolenie admirała Lafevera, a co za tym idzie, prezydenta Stanów Zjednoczonych, na robienie wszystkiego, co trzeba zrobić. Z jednym tylko zastrzeżeniem: Nie mógł dać się złapać. Z pewnością był to miecz obusieczny.

Samolot wylądował w Damaszku o trzynastej pięćdziesiąt pięć czasu lokalnego. Pierwsze posunięcie Palumbo polegało na przekazaniu więźnia władzom syryjskim. Po podpisaniu papierów w trzech egzemplarzach więzień numer 8889IZ stał się podopiecznym syryjskiego systemu penitencjarnego.

Gdzieś nad Morzem Śródziemnym Walid Gassam przestał istnieć. Oficjalnie został „osobą zaginioną”.

Schludny, poważny oficer w wykrochmalonym oliwkowym mundurze wszedł z jasno oświetlonego korytarza. Pułkownik Madżid Maluf - inaczej „pułkownik Mike”, jak należało, żeby go nazywano - miał poprowadzić przesłuchanie.

Pułkownik Mike nie grzeszył urodą, twarz miał wymizerowaną, policzki i szyję pokryte dziobami po ospie. Na powitanie ucałował Amerykanina z dubeltówki, objął go i uściśnął mu dłoń ręką silną jak potrzask na niedźwiedzie. Zabrał go do swojego biura, gdzie przez godzinę Palumbo omawiał szczegóły sprawy, koncentrując się na lukach, które musiał uzupełnić Gassan.

Syryjczyk zapalił papierosa i zajrzał do notatek.

- Jakie są ramy czasowe?

- Sądźmy, że zagrożenie jest bliskie - odparł Palumbo. - Może kilka dni.

Najwyżej parę tygodni.

- Zatem pilna robota.

- Niestety.

Pułkownik Mike zdjął z języka odrobinę tytoniu.

- Będziemy mieli czas, żeby sprowadzić krewnych?

Wypróbowana metoda przesłuchania polegała na pokazaniu podejrzanemu jego matki lub siostry. Sama groźba skrzywdzenia bliskiej osoby zwykle wystarczała, żeby uzyskać pełne zeznanie.

- Wykluczone - odparł Palumbo. - Zależy nam na szybkiej, niekoniecznie czystej robocie.

Syryjczyk wzruszył ramionami.

- Rozumiem, przyjacielu.

Oficjalnie Syria wciąż figurowała na amerykańskiej liście państw popierających terrorizm. Choć od roku 1986 nie miała bezpośrednich powiązań z żadnymi operacjami terrorystycznymi i nie zezwalała ugrupowaniom krajowym na przeprowadzanie ataków ze swojego terenu ani na atakowanie ludzi z Zachodu, było wiadomo, że udziela „biernego wsparcia” różnym bezkompromisowym grupom żądającym niepodległości Palestyny. W Damaszku mieściła się kwatera główna islamskiego dżihadu, a Hamas i lewicowy Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny miały w mieście swoje biura.

Pomimo to, i pomimo karygodnego łamania praw człowieka przez Syrię, rząd amerykański postrzegał Syryjczyków jako partnerów w wojnie z terroryzmem.

Po jedenastym września syryjski prezydent podzielił się ze Stanami Zjednoczonymi informacjami wywiadowczymi dotyczącymi miejsca pobytu pewnych agentów Al-Kaidy i potępił ataki. W czasie wojny irackiej wojsko syryjskie powstrzymywało napływ powstańców przez granicę do Iraku. Będąc dyktaturą świecką, Syria nie chciała uczestniczyć w ogarniającej świat islamskiej rewolucji fundamentalistów. Ekstremizm nie był tolerowany.

Pokój przesłuchań był wąskim, wilgotnym pomieszczeniem z zakratowanym, wysoko umieszczonym oknem i otworem odpływowym pośrodku podłogi.

Strażnik wprowadził więźnia. Chwilę później drugi strażnik przyciągnął szkolną drewnianą ławkę, krzesło połączone z pulpitem. Zmusili Gassana, żeby usiadł.

Jeden ze strażników zdjął mu z głowy czarny kaptur.

- Panie Gassan - zaczął pułkownik Mike po arabsku - witamy w Damaszku.

Jeśli zgodzi się pan współpracować i odpowie na nasze pytania, pański pobyt tutaj będzie krótki i przeniesiemy pana z powrotem do aresztu naszych amerykańskich przyjaciół. Czy pan rozumie?

Gassan nie odpowiedział.

- Chce pan papierosa? Wody? Cokolwiek?

- Wał się - mruknął Gassan, ale brawurę zepsuły nerwowe spojrzenia, jakimi obrzucał żołnierzy.

Pułkownik Mike dał znak i strażnicy rzucili się na Gassana. Jeden wykręcił mu lewą rękę za plecami, drugi szarpnął za prawą, przycisnął kolaniem przedramię i rozpląszczył dłoń na pulpicie. Palce drgały jak rażone prądem.

- Jestem obywatelem amerykańskim - krzyknął Gassan, wijąc się i szamocząc.

- Mam prawa. Uwolnijcie mnie natychmiast. Chcę zadzwonić do prawnika.

Żądam repatriacji.

Przesłuchujący oficer wyjął z kieszeni nóż o perłowej rękojeści i otworzył ostrze. Ostrożnie rozdzielił mały i serdeczny palec Gassana i wsunął pomiędzy nie korek od wina, żeby się nie ruszały.

- Chcę się zobaczyć z ambasadorem! Nie macie prawa! Jestem obywatelem amerykańskim. Nie macie prawa...

Syryjczyk położył ostrze w poprzek małego palca i przeciął go jak



marchewkę.

Gassan wrzasnął, potem jeszcze głośniej, gdy Mike przyłożył do kikutu bandaż namoczony w środku dezynfekcyjnym.

Palumbo patrzył, nie okazując emocji.

- No więc, przyjacielu - powiedział pułkownik Mike, przysiadając na piętach, żeby spojrzeć Gassanowi prosto w oczy. - Dziesiątego stycznia byłeś w Lipsku.

Spotkałeś się z Dimitrijem Szewczenką, handlarzem bronią, który miał w posiadaniu pięćdziesiąt kilogramów plastycznych materiałów wybuchowych.

Ach, jesteś zaskoczony! Nie trudź się, przyjacielu. Wiemy, o czym mówimy.

Twoi koledzy w Niemczech nie szczędzili informacji. Twoje milczenie jest bezcelowe. Wielka przykrość. Wielki ból. Wiesz, jak się mówi: „W końcu i tak wszystko powiesz”. Śmiało, *habibi*, bądźmy ludźmi cywilizowanymi.

Gassan skrzywił się, wbijając oczy w okaleczoną rękę. Pułkownik Mike podjął z westchnieniem: - Zapłaciłeś Szewczence dziesięć tysięcy dolarów i przewiozłeś trzy skrzynie z towarem w białej furgonetce Volkswagena. Wiemy o tym. Ty powiesz nam resztę. Mianowicie, komu dostarczyłeś plastik i co odbiorcy planują z nim zrobić.

Mogę ci obiecać, że nie wyjdiesz stąd, dopóki nie podasz nam tych informacji. I jeśli myślisz, że możesz skłamać, dodam, iż będziemy czekać, póki się nie dowiemy, czy powiedziałeś prawdę. Zaczynajmy. Powiedz nam o materiałach wybuchowych. Komu je dostarczyłeś?

Palumbo przyglądał się swoim butom. W takim momencie poznawali się charakteru człowieka.

Gassan splunął pułkownikowi w twarz. A zatem łatwo się nie podda.

Palumbo wyszedł z pokoju. Czas na kawę. To będzie długa noc.

## 13

Lodowe kły zwisały z zegara na stacji Landquart. Jonathan i Simone szli po peronie, schylając głowy w porywistym wietrze. Grupa ponurych narciarzy stała wokół przechowalni bagażu, oddając sprzęt. Dziś sobie nie pojeżdżą. Jonathan zajął miejsce na końcu kolejki, niecierpliwie klepał się po udzie, trzymając przygotowane kwity. Simone trąciła go ramieniem.

- Dzwoniłeś do krewnych Emmy?

- Miała tylko siostrę, Beatrice. Jest w Bernie.

- Ta architekt? Myślałam, że Emma jej nie lubi.

- Zgadza się, ale Bea to jej jedyna krewna. Wiesz, jak to jest. Między innymi z tego powodu Emma chciała przyjechać do Szwajcarii. Dzwoniłem do niej dziś rano, ale zgłosiła się automatyczna sekretarka. Nie mogłem zostawić wiadomości, że Emma... Po prostu nie mogłem.

- Co z nabożeństwem żałobnym?

- Zostanie odprawione, gdy wydobędziemy ciało.

- A kiedy to nastąpi?

- Trudno powiedzieć. Może za parę dni. Wszystko zależy od tego, kiedy będziemy mogli wrócić na górę.

- Pogrzeb odbędzie się tu czy w Anglii?

- W Anglii. To był jej dom.

Kolejka przesunęła się o krok do przodu.

- A twoi bracia? - zapytała Simone.

- Zadzwonię do nich, gdy będę miał coś do powiedzenia. Nie jestem w nastroju na wysłuchiwanie wyrazów współczucia.

Kolejka przyspieszyła i Jonathan stanął przed pracownikiem przechowalni.

Podał mu kwity. Mężczyzna wrócił z czarną torbą podróżną i niewielką prostokątną paczką w szarym papierze.

Czarna torba z miękkiej cielęcej skóry miała złoty suwak zabezpieczony złotym zamkiem. Niewątpliwie była droga. Torba do zabierania na weekendowy wyjazd do domu na wsi. Torba do kładzenia na przednim fotelu rangę rovera. Bez etykiety z nazwiskiem. Tylko kwit przymocowany do rączki.

Obejrzał paczkę. Pudełko na koszulę, pomyślał z roztargnieniem. Była okryta sznurkiem i też bez podpisu, tylko kwit. Podniósł ją i zdziwił się,

jaka jest lekka. Wyjął scyzoryk, chcąc przeciąć sznurek.

- Tego się spodziewałeś? To znaczy, to rzeczy Emmy?

- Na pewno - odparł krótko. - Ktoś jej przysłał.

- Następny proszę - zawołał pracownik nad jego głową.

Kolejka przesunęła się do przodu. Mężczyzna stojący za Jonathanem przepchnął się do lady. I tyle na temat szwajcarskich manier. Jonathan schował nóż, zabrał torbę i paczkę. Ruszył wzdłuż peronu, wypatrując miejsca, gdzie mógłby je otworzyć. Zdziwił się, gdy zobaczył, że bufet dworcowy jest pełen ludzi, a przed drzwiami wije się kolejka oczekujących na stolik.

- Pociąg do Chur odjeżdża za czterdzieści minut - powiedziała Simone, patrząc na monitory z rozkładem jazdy. - Po drugiej stronie ulicy jest herbaciarnia.

Pójdziemy na kawę?

- Czemu nie? Może tam znajdziemy trochę spokoju.

Zaczekali na dogodną chwilę i wbiegli na jezdnię. Gdy zbliżali się do chodnika, zza zakrętu wyskoczył srebrny sedan.

- Uważaj! - Jonathan złapał Simone i pociągnął ją na chodnik.

Wóz zjechał na prawy pas, koła podskoczyły na krawężniku. Zahamował z piskiem opon, przedni zderzak zatrzymał się ledwie pół kroku od ich nóg. Drzwi się otworzyły. Z obu stron wysiedli mężczyźni i ruszyli w ich stronę.

Jonathan przenosił spojrzenie z jednego na drugiego. Ten od strony kierowcy był niski i muskularny, ubrany w skórzaną kurtkę i okulary słoneczne z boczną osłoną, ostrzyżony na łyso, z dziobami po trądziku na policzkach. Drugi, wyższy i korpulentny, ubrany w dzinsy i golf, miał włosy jasne jak lód i oczy zbyt wąskie, by określić ich kolor. Mężczyźni poruszali się zwinnie, zbliżając się wyraźnie we wrogich zamiarach. Równie oczywiste było to, że on, Jonathan Ransom, jest ich celem. Zanim mógł zareagować - zanim mógł ostrzec Simone albo osłonić się ręką - blondyn w swetrze rybaka uderzył go w twarz. Pięścią w policzek. Jonathan osunął się na kolano, upuszczając pudełko i torbę.

- Jonathanie... Mój Boże! - zawołała Simone słabym głosem, cofając się o krok.

Blondyn pochylił się nad Jonathanem, podniósł torbę z cielejcej skórki i paczkę w szarym papierze.

- Los - powiedział do kolegi, kiwając głową.

Gdyby wtedy odeszli, Jonathan nic by nie zrobił. Twarz tętniła mu z bólu.

W oczach mu się ćmiło, w ustach czuł miedziany smak krwi. Miał doświadczenie w bójkach. Wiedział, kiedy oddać, a kiedy się wycofać.

Ale wtedy łysy mężczyzna przewrócił Simone. Krzyknęła. I coś w tym krzyku przywołało cały koszmar ostatnich czterdziestu ośmiu godzin - początek burzy, upadek Emmy, odkrycie ciała w szczelinie - rozdzierając świeżą ranę i powiększając ból.

Zanim się spostrzegł, co robi, biegł w kierunku blondyna. Tylko jedna rzecz miała znaczenie: ten gość ukradł rzeczy Emmy i Jonathan chciał je odzyskać.

Z krzykiem rzucił się na plecy złodzieja. Otoczył mu szyję ramieniem i próbował przewrócić. Natychmiast dostał łokciem w żebra. Sekundę później sierpowym w szczękę. Runął na ziemię, pozbawiony tchu i zszokowany.

Blondyn wrzucił torbę i paczkę do samochodu. Popatrzył na Jonathana z pogardliwą miną zwycięzcy i zamachnął się do kopniaka w twarz.

Ale tym razem Jonathan widział, na co się zanosi. Jedną ręką odepchnął but, chwycił stopę mężczyzny i przekręcił gwałtownie, łamiąc nogę w kostce.

Gdy tylko przeciwnik upadł, zaczął go okładać pięścią po oczach i nosie. Pękła chrząstka. Krew trysnęła z nozdrzy.

Drugi zbir w tym czasie biegł wokół maski samochodu. Był piętnaście centymetrów niższy od kolegi, miał spadziste ramiona i groteskowy kark futbolowego napastnika. Szarżował niczym byk na arenie. Jonathan podniósł się ociężale i przyjął postawę boksera.

Napastnik się zbliżył. Jonathan wyprowadził jeden cios, potem drugi.

Mężczyzna uniknął ich bez trudu. Chwycił go za skafander, rzucił na maskę, jedną ręką przycisnął mu ramię, a drugą złapał za gardło. Palce wbiły się w skórę, zaciskając tchawicę.

Jonathan tłukł go wolną ręką, ale ciosy były słabe i wyrządzały niewiele szkody. Zaciskając palce na antenie samochodowej, próbował wydostać się spod napastnika. Antena pękła i została mu w dłoni.

Nagle zobaczył cień nad głową. Simone wysoko podniosła rękę i uderzyła mężczyznę kamieniem.

- Przestań! - krzyknęła. - Puść go!

Napastnik rozluźnił rękę i uderzył ją w twarz. Przewróciła się, jej głowa z łoskotem uderzyła w chodnik. Sekundę później ręka wróciła na gardło Jonathana, zaciskając się jeszcze mocniej. Jego pole widzenia skurczyło się do oddalonej o parę centymetrów, wykrzywionej gniewem twarzy. Czuł odór piwa, cebuli i papierosów. Napastnik ściągnął go z maski i chwycił drugą

ręką za szyję, palce zacisnęły się jak stalowe szpony. Nacisk wzrósł i Jonathan czuł, jak przełyk ustępuje.

Zrozumiał, że już nie chodzi o ucieczkę, ale o przeżycie. Będzie musiał zabić tego mężczyznę. Bliski utraty przytomności, pomyślał o Emmie. Zobaczył jej zdeformowane ciało leżące na lodzie. Samotne. Porzucone. Wiedział, że to on jest winny, że nie może jej tam zostawić. Ktoś musi znieść ją z góry.

Ta myśl pobudziła go do działania.

Ścisnął antenę w palcach. Przebiegł wzrokiem twarz mężczyzny - oczy, nos, usta - szukając odpowiedniego miejsca. Ostatkiem sił usiadł na masce.

Jednocześnie antena zakreśliła szybki, morderczy łuk i dźgnęła napastnika w głowę.

Ręce natychmiast się rozluźniły.

Jonathan wbił antenę do oporu.

Mężczyzna chwiejnym krokiem odsunął się od wozu, z okularami zwisającymi z jednego ucha. Obrócił się wkoło, gorączkowo wciągnął powietrze.

Połowa anteny wystawała mu z ucha. Próbował ją chwycić, ale palce za każdym razem mijały cel w dużej odległości.

Oszołomiony Jonathan zsunął się z maski, ani na chwilę nie spuszczać oczu z napastnika. Kliniczny głos informował go, że po przebiciu bębienka antena wniknęła w mózdzek, gdzie uszkodziła ośrodek czynności ruchowych, autonomiczny układ nerwowy i Bóg wie, co jeszcze.

Mężczyzna osunął się na kolana. Broda opadła mu na piersi. Oczy miał otwarte, gdy znieruchomiał jak zabawka z wyczerpanymi bateriami.

Simone podniosła się z chodnika. Policzek miała czerwony i opuchnięty.

- Nie żyje?

Jonathan sprawdził palcami puls na szyi mężczyzny. Pokiwał głową. Wyprostował się, kopniakiem odłupał kawałek lodu i przyłożył jej do policzka.

- Kim on jest? - zapytała.

- Nie mam pojęcia. Nigdy w życiu ich nie widziałem.

Kurtka napastnika była rozchylona. Na pasie widniała srebrna odznaka, a obok niej pistolet. Jonathan ukląkł, żeby obejrzeć wygrawerowaną odznakę: „Graubünden Kantonspolizei”. Ścisnęło go w dołku. Wsunął rękę do kieszeni mężczyzny i wyjął legitymację. Sierżant Oskar Studer. Zdjęcie pasowało do twarzy.

- Glina. - Rzucił legitymację Simone.
- Idziemy - szepnęła. - Wynośmy się stąd.
- Nie mogę. Muszę powiedzieć policji, co się stało.
- Oni są z policji.

Jonathan miał kłopoty z przyjęciem tego do wiadomości.

- Czego chcieli? Nie powiedzieli nawet słowa.
- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Wychowałam się w kraju, gdzie nie można ufać policji. Zabrali mojego ojca. Zabrali mojego wuja. Bez słowa wyjaśnienia. Wiem, do czego zdolne są władze.

- Bądź poważna. Nie jesteśmy w Egipcie. Popatrzyła na niego jak na durnia.

- A więc? Ta odznaka jest fałszywa?

- Nie wiem... To nieważne. Tak nie można. Nie mogę uciec. Facet nie żyje.

Zabiłem go. Nie mogę po prostu...

- Ty! *Amerikaner*. Nie ruszaj się. - Trzy metry dalej gruby blondyn klęczał, podpierając się ręką. Chwiał się, ale głos brzmiał pewnie. Trzymał pistolet i celował w ich stronę.

*Amerikaner*, pomyślał Jonathan z niedowierzaniem. Nigdy dotąd nie widział tego człowieka. Skąd on mógł wiedzieć coś o nim?

Blondyn wycelował i nacisnął spust. Nic się nie stało. Patrząc z konsternacją na pistolet, próbował go odbezpieczyć.

Jonathan przeniósł spojrzenie z Simone na trupa, a potem na zakrwawionego mężczyznę, który próbował się podnieść, celując w niego z pistoletu. - Wsiadaj do wozu! - krzyknął. - Szybko!

Drzwi od strony kierowcy były otwarte. Wskoczył za kierownicę i zapuścił silnik. Simone wylądowała na fotelu pasażera i z dzikim wzrokiem zatrzęsła drzwiami.

Ułamek sekundy później tylna szyba wybuchła, okruchy szkła posypały się na ich szyje i plecy.

Simone wrzasnęła. Wrzucił wsteczny i wcisnął gaz. Pojazd uderzył w strzelca, który z łoskotem runął na chodnik.

Jonathan zahamował i wrzucił pierwszy bieg. Zbyt szybko puścił sprzęgło i samochód najpierw szarpnął, dopiero potem popędził ulicą.

Minutę później wyjeżdżali z miasta, pędząc sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

## 14

Marcus von Daniken stał pod markizą restauracji Sterngold na Bellevueplatz z komórką przyciśniętą do ucha.

- Tak, Frank - powiedział głośno, żeby zagłuszyć głosy gości. - Masz coś w związku z paszportem?

Była pierwsza. Silny wiatr wył nad jeziorem, porywał drobiny piany z grzywaczy, unosił je w powietrze i ciskał w jego policzek.

- Interesujące pytanie - odparł Frank Vincent z belgijskiej policji. - Powiedz mi, Marcusie, czy jest może coś, co zapomniałeś powiedzieć o Lammersie?

Chodzi mi o powiązania z nami.

- Jakie powiązania?

- Z naszym krajem. Z Belgią.

- Nie. Lammers przez parę lat pracował w Brukseli, ale to było w osiemdziesiątym siódmym, dwadzieścia lat temu. Co masz?

Vincent chrząknął, nie kryjąc zawodu.

- Widzisz, wytropiliśmy prawowitego właściciela paszportu, Jules'a Gaye'a.

Znaleźliśmy jego wniosek i sprawdziliśmy adres zamieszkania, metrykę, nawet zeznania podatkowe. Jest biznesmenem międzynarodowym, jeśli chcesz wiedzieć. Posiada tuzin firm na całym świecie. Specjalizuje się w ubraniach.

Dużo podróżował. Dubaj. Delhi. Hongkong.

Von Daniken pomyślał o stemplach w paszportach Lammersa. Lammers też często podróżował.

- Więc jest prawdziwy?

- O tak. Żona, dzieci, dom na Avenue Tervuren. Facet jest prawdziwy jak najbardziej.

- Chcesz powiedzieć, że Lammers wiódł podwójne życie? Jedna rodzina w Zurychu, druga w Brukseli?

- Nie. To możemy wykluczyć. Lammers i Gaye to dwie różne osoby. Dopiero wtedy von Daniken zwrócił uwagę na trąbienie samochodu w tle.

- Frank, gdzie jesteś?

- Przy automacie. Ostatnim w Brukseli.

- Dzwonisz z automatu? Do licha, dlaczego?

- Dbam o własne bezpieczeństwo.  
- Frank, znalazłeś Gaye'a czy nie?  
- Oczywiście, znalazłem. - Vincent umilkł, a gdy podjął, jego głos miał ostre brzmienie. - Gaye złożył wniosek o wydanie nowego paszportu. Zgubił stary w czasie podróży i musiał na miejscu wyrobić nowy. Zjawił się w naszym konsulacie w Ammanie.

- W Ammanie? Co tam robił?  
- Odwiedzał zakłady tekstylne. Wszystko zgodnie z prawem. Zadzwoiłem do naszych chłopców, a oni przypomnieli sobie tę sprawę. Można śmiało powiedzieć, że nigdy jej nie zapomną.

Von Danikiem przycisnęła telefon do ucha, żeby jak najlepiej słyszeć głos Vincenta w warkocie samochodów. Zastanawiał się, co było takie niezapomniane w wydaniu paszportu turyście.

- Zdarzyło się to dwa lata temu, w sierpniu - mówił Vincent. - Gaye zjawił się z historyjką, że z pokoju hotelowego skradziono mu paszport, a także portfel i inne rzeczy. Pokazał prawo jazdy na potwierdzenie tożsamości. Miły gość, z tego, co mówią. Paszport został wydany od ręki. Jakies dwa tygodnie później w wadi na pustkowiu znaleziono zwłoki Europejczyka i jego żony. Miejscowi żandarmi powiedzieli, że para została zabita przez bandytów, ale to nic pewnego. Nie żyli od wielu tygodni. Może miesiący. Wyobrażasz sobie zwłoki w tym gorącu, nie wspominając o muchach i pustynnych szakalach. Złodzieje uciekli z ich rzeczami, więc identyfikacja nie była możliwa. W końcu policja na podstawie karty z wypożyczalni samochodów trafiła do małego hotelu. Zabrali kierownika do kostnicy, a on potwierdził, że trupy w dziupie to jego goście. Rozpoznał mężczyznę po koszuli. Według niego to był Gaye.

- Ale nie udowodniono...  
- Udowodniono. Rodzina poprosiła o przeprowadzenie badań DNA. Zabrało to trzy miesiące, ale kierownik hotelu miał rację. To był Gaye.

- Mówisz, że to Lammers złożył wniosek o wydanie paszportu?  
- Ty mi powiedz. Czy Lammers miał metr osiemdziesiąt wzrostu, osiemdziesiąt pięć kilo wagi, jasne, siwiejące włosy i niebieskie oczy?

Wyobraził sobie zwłoki leżące na śniegu.  
- Mniej więcej.  
- Wiesz, o czym myślę, Marcusie? Ta robota na pustyni... też wskazuje na profesjonalistę.

Von Danikena wciąż trapiła jedna rzecz.



- Ale to było rok temu. Musieliście zablokować paszport.
- Oczywiście. Zrobiliśmy to natychmiast.
- Więc w czym problem? Dlaczego dzwoni z automatu?
- Bo miesiąc później ktoś go odblokował.
- Kto? - zapytał von Daniken.

Zapadła cisza. Daleko na zatłoczonym bulwarze w Brukseli zatrąbiła ciężarówka.

- Ktoś wysoko postawiony, Marcusie. Bardzo wysoko.

## 15

Dranie! *Espece de salopards!* - Simone Noiret tłukła pięścią w deskę rozdzielczą, akcentując epitety. - Chciał cię zabić! Dlaczego?

- Nie wiem - odparł Jonathan z roztargnieniem. Owiewał go strumień ciepłego powietrza z ogrzewania, lecz nie mógł opanować drzenia. Widok policjanta niezdarnie próbującego złapać antenę wystającą z czaszki zajmował pierwszoplanowe miejsce w jego myślach.

- Ale musisz wiedzieć - upierała się Simone.

- Chcieli zabrać bagaż. To wszystko, co przychodzi mi na myśl. Faceta poniosło, gdy się na niego rzuciłem.

- Bagaż? To wszystko? Musi być coś więcej. Z pewnością...

- Co mam ci powiedzieć! - warknął Jonathan, odwracając się w jej stronę.

- Nigdy w życiu nie widziałem tych ludzi. Jestem równie przerażony, jak ty.

Wyklócanie się nam nie pomoże. Musimy wykombinować, co zrobić.

Simone wzdrygnęła się, zaskoczona tym wybuchem.

- Wybacz mi - powiedziała, poprawiając się w fotelu. - Masz rację. Oboje jesteście przerażeni. Nie chciałam sugerować...

- Wiem, że nie chciałaś. Zatrzymajmy się na parę minut, ochłonmy i pomyślmy, co dalej zrobić.

Zaparkowali na polanie wśród sosen, wysoko na zboczu góry wznoszącej się nad miastem. Pod nimi, nie więcej niż trzy kilometry dalej, chmara błyskających świateł zgromadziła się na stacji kolejowej. Jonathan naliczył dziesięć wozów policyjnych i dwie karetki.

Wetknął palec wskazujący w schludną okrągłą dziurkę, którą kula wywierciła w desce rozdzielczej.

- Tamci ludzie... Jeden nie żyje, drugi jest co najmniej poważnie ranny. Nie mogę tak siedzieć. Musimy wyjaśnić, co się stało. Muszę im powiedzieć, że ta cała sprawa to jedna wielka pomyłka. Zaatakowali niewłaściwą osobę...

- Popatrz na dziurę po kuli, Jon. To twoja policja ją zrobiła. A teraz chcesz oddać się w ich ręce? - Simone z irytacją uniosła dłonie.

- Jaki mam wybór? W tej chwili każdy glina w kantonie i prawdopodobnie w całym kraju ma nasze rysopisy. Wysoki szpakowaty Amerykanin podróżujący z ciemnowłosą kobietą srebrnym bmw seria pięć. Za godzinę będą mieli nasze nazwiska... a przynajmniej moje. Łatwo nas znajdą.

- A wtedy co powiesz? Że działałeś w obronie własnej? Nie uwierzą w ani jedno słowo. - Simone sięgnęła do torebki po papierosa. - *Pourris*, Jon. Wiesz, co to znaczy? Zepsuty. Skorumpowany. Ci policjanci nie byli dobrzy. - Musiała użyć dwóch rąk, żeby utrzymać zapalniczkę.

Jonathan otworzył skórzaną saszetkę. Dokumenty należały do Oskara Studera.

*Wachtmeister*. Graubünden Kantonspolizei. Potem zauważył, że samochód nie jest wyposażony jak inne wozy policyjne. Nie było radiotelefonu. Ani komputera. Ani wieszaka na broń. Wnętrze niezwykle czyste. Ani drobiny brudu na chodnikach. Żadnych pustych kubków po kawie. Licznik wskazywał dwa tysiące kilometrów. W bocznym schowku leżały jakieś papiery. Dokumenty z wypożyczalni wystawione na niejakiego Oskara Studera. Samochód został wynajęty tego dnia rano o dziesiątej i miał zostać zwrócony w ciągu dwudziestu czterech godzin.

*Pourris*. Dobrze wiedział, co znaczy to słowo.

Przestał myśleć o zgłoszeniu się na policję.

Schował papiery.

- Wiedzieli, że jestem Amerykaninem. Czekali na mnie.

Simone pokiwała głową i spojrzała mu w oczy, dzielając jego niepokój.

Zerknął na skórzaną torbę i starannie zapakowaną paczkę.

- Otwórz - powiedziała. - Przekonajmy się, co to takiego.

Na pierwszy ogień wziął paczkę. Nożem szwajcarskim przeciął sznurek.

Rozwinął papier, odsłaniając lśniące czarne pudełko. Złota nalepka z nazwiskiem projektanta zdobiła górny prawy róg.

- Bogner - przeczytała Simone. - To musi być prezent.

- Na to wygląda - potwierdził Jonathan bez przekonania, przecinając wstążkę owijającą pudełko.

Bogner projektuje luksusowe, ciepłe, eleganckie ubrania dla znanych i bogatych wybierających się w Alpy. W czasie wypadu do Chamonix w październiku ubiegłego roku dla żartu zajrzeli z Emmą do jednego ze sklepów firmowych. Był słoneczny dzień, pamiętał, jesienno-zimowy weekend, kiedy szczypiące powietrze zaczyna kęsać.

- Który ci się podoba? - zapytała Emma szeptem, gdy skradali się alejkami sklepu. Byli komandosami działającymi za linią wroga. „Wrogiem” - próżni i bogaci. Ci, którzy ignorowali ich „obowiązek interwencji”.

Jonathan wskazał grafitowy sweter pod szyję.

- Wybieram ten.
- Uważaj go za swój.
- Serio? - Bawił się razem z nią.
- Będzie ci w nim do twarzy. Bierzemy ten - powiedziała do krążącej w pobliżu ekspedientki.
- Naprawdę? - zapytał Jonathan głośno, ryzykując spalenie przykrywki. Emma pokiwała głową, ujmując go pod rękę.
- Mam ukryte zasoby - szepnęła mu do ucha, najpierw skubnąwszy je zębami.
- Czy pani ma jakieś zaskórniaki w pudełku po butach?
- Emma nie odpowiedziała. Rozmawiała z ekspedientką, jakby go tam nie było.
- W rozmiarze XL. Proszę zapakować. To prezent dla męża. - Już nie mówiła ściszym, dyskretnym tonem. I nie miała żartobliwej miny.
- Emmo, chodź - powiedział. - Dość tego. Chodźmy stąd.
- Nie. Zasłużyłeś. Zaległa wypłata.
- Za co?
- Nie powiem.

W tym momencie Jonathan zobaczył etykietkę z ceną, omal nie zemdlął i wyciągnął żonę ze sklepu. Na zewnątrz śmieli się z jej impulsywnego zachowania. Ale nawet wtedy obrzuciła go lodowatym spojrzeniem, które mówiło, że popełnił grzech i jest skazany na niełaskę do czasu odwołania.

Jonathan przypomniał sobie jej minę, gdy zdjął pokrywkę z pudełka. Pod cienkim papierem zobaczył ciemny sweter. Rozchylił opakowanie, częściowo wyjął go z pudełka. Zapomniał, jaki był miękki.

- Piękny - powiedziała Simone.

Sweter z Chamonix. Prosty, grafitowy, pod szyję. Porządnie zrobiony i elegancki, ale na pierwszy rzut oka zupełnie zwyczajny, dokładnie w jego stylu.

Przesunął palce wokół wycięcia pod szyją. Poczwórny kaszmir. Nie ma nic bardziej miękkiego pod słońcem. Kosztował tysiąc sześćset dolarów. Pół miesięcznej pensji.

„Mam ukryte zasoby”.

Czy był to prezent urodzinowy, o którym wspomniała kierownikowi Bellevue?

Odłożył sweter do pudełka. Saldo doktora i pani Ransom na rachunku bieżącym wynosiło obecnie około piętnastu tysięcy franków szwajcarskich.

W przybliżeniu dwanaście tysięcy dolarów. I to przed uregulowaniem rachunku za hotel.

Odsunął pudełko na bok, położył na kolanach torbę z cielecej skórki. Nie powinien oglądać zawartości, podobnie jak wcześniej nie powinien otwierać listu do Emmy. „Ci, którzy słuchają pod zamkniętymi drzwiami, rzadko słyszą dobre rzeczy o sobie”, przestrzegła go matka, gdy był nastolatkiem. Ale dla niego dobro i zło już nie istniało. Teraz jest tylko prawda i kłamstwo. Nie mógłby wyrzucić torby, podobnie jak wcześniej nie mógł zignorować kwitów bagażowych. Miał wrażenie, że otwiera kolorową rosyjską matryoszkę, odkrywając kolejne, coraz mniejsze lalki bliźniaczki.

Mocny złoty zamek unieruchamiał suwak. Jonathan popatrzył na Simone.

Pokiwiała głową. Na ten znak wbił ostrze noża w skórę i pociągnął, rozcinając torbę.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, była plastikowa torebka z zamknięciem strunowym, zawierająca komplet kluczyków do wozu marki Mercedes-Benz, a także ręcznie wyrysowany plan z kwadratem opisanym „Bahnhof i przylegającym do niego prostokątem „Parking” ze znakiem „X”. Czy chodziło o stację Landquart? W Szwajcarii jest mnóstwo dworców kolejowych.

Pod kluczykami i planem leżał granatowy żakiet z krepy, pasujące do niego spodnie i bluzka w kolorze kości słoniowej. Elegancki komplet noszony przez młodą żeńską kadrę kierowniczą we Frankfurcie i w Londynie. Przez kobiety, które często widuje się na lotniskach, gdy pędzą na dziesięciocentymetrowych obcasach, z komórką przyciśniętą do ucha i z torbą z laptopem na ramieniu. Głębiej znalazł czarny koronkowy biustonosz i majtki.

Frywolne, pomyślał, wyjmując je palcem. Fatałaszki mające robić wrażenie na zupełnie innych klientach.

Przejrzał zawartość kosmetyczki. Tusz do rzęs. Kredka do oczu. Szminka.

Podkład, puder, mleczko nawilżające i, Boże dopomóż, zestaw sztucznych rzęs.

Były też perfumy. Tender Poison Diora.

A Emma? - zapytał w duchu. Wierna Tender Touch Burberry. Angielska Róża z imienia i cnoty.

Pod tubkami, słoiczkami i puderniczkami leżał atlasowy woreczek zawiązany eleganckim złotym sznureczkiem. Szarpnął go wcale nie

elegancko. Wewnątrz znalazł skarb pirata: bransoletka od Cartiera i szmaragdowa bagietka, diamentowe kolczyki i złoty siatkowy naszyjnik. Nie znał się na biżuterii, ale umiał poznać wartość, a te precjoza były wartościowe.

Zerknął w bok i zobaczył, że Simone na niego patrzy. Poczł dziwną duchową bliskość. Ich Emma nie nosiła drogich kostiumów. Ich Emma nie paradowała z płomiennie czerwoną szminką na ustach. Nie nosiła sztucznych rzęs, nie muskała się za uchem perfumami Diora i z całą pewnością nie mogłaby się pochwalić biżuterią księżniczki. Miał wrażenie, że przegląda rzeczy należące do innej kobiety.

Simone ogłądała obrączkę wyjętą z sakiewki.

- E.A.K. - powiedziała. - Znasz kogoś o takich inicjałach?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Spójrz. - Wewnątrz jest wygrawerowane „E.A.K. 2-8-01”. - Do tej osoby należy torba. Do pani E.A.K., która wyszła za mąż ósmego lutego 2001 roku. To na pewno jakaś przyjaciółka Emmy.

Jonathan przebiegł myślą wszystkie znane mu osoby o imieniu zaczynającym się na E. Ed, Ernie i Etienne, ale nie sądził, żeby to był ich rozmiar. Lista kobiet sprowadzała się do jednego nazwiska, Evangeline Larsen, duńskiej lekarki, z którą pracował cztery lata temu.

W woreczku z biżuterią znaj do wał się jeszcze jeden przedmiot. Damski rolex z nierdzewnej stali i złota z wysadzaną diamentami ramką szkiełka. Dla niego to najpewniejszy dowód, że jego żona nie miała żadnych praw do tej torby. Rolex stał się symbolem wszystkiego, co uważali za złe na tym świecie. Status na sprzedaż za pięć tysięcy dolców. Jaki zegarek miała Emma? Cassio G-force, ulubiony przez hokeistów, amerykańskich żołnierzy piechoty morskiej i profesjonalistów z „obowiązkiem interwencji”.

W torbie było coś więcej. Para butów. Rozmiar pięć i pół. Numer Emmy.

Wiedział, bo miała małe stopy i często narzekała, jak trudno jest znaleźć coś odpowiedniego. Rajstopy. Pudełko miętówek. Etui zawierające modne okulary w szylkretowych oprawkach.

Jonathan obmacał wnętrze torby. Poczł z jednej strony coś twardego, prostokątnego. Portfel, domyślił się. Ale gdy rozpiął suwak i wyjął portfel z krokodylej skóry, coś nie dawało mu spokoju. Obrączka. Mężatka nie zdejmuje obrączki, chyba że bierze kąpiel albo pływa w basenie, i nawet wtedy nie zawsze.

Myśl o zostawieniu obrączki w kiepsko zabezpieczonej torbie, która

została nadana zwyczajnym pociągiem, była... cóż, nie do pomyślenia.

Portfel zawierał Eurocard, szwajcarską kartę do bankomatu Credit Suisse, American Express i Rainbow Card uprawniającą do korzystania z publicznych przewozów kolejowych przez rok.

- Eva Kruger - odczytał nazwisko właścicielki. E.A.K. – Słyszałaś o niej? Simone pokręciła głową.

- Musi być znajomą Emmy. Cieszę się, że to ty zadzwonisz do niej z informacją, że rozprułeś jej piękną torbę, nie ja.

Ale Jonathan nie zareagował. Ani na komentarz, ani na ukryty dowcip. Zajął się przeglądaniem portfela. Tysiąc franków szwajcarskich i pięćset euro w gotówce. W przegródce na bilon znalazł cztery franki i pięćdziesiąt centymów.

Nagle wyprostował ramiona. Przyszło mu na myśl, że brakuje jednej rzeczy.

Czegoś, bez czego pani Eva Kruger, praworzędna właścicielka mercedesa benz, nie chciałaby zostać przyłapana za kierownicą. Mając mętlik w głowie, otworzył portfel z krokodylej skóry. Jego pewne ręce chirurga zadawały kłam szaleńczemu biciu serca, gdy przerzucał karty kredytowe i banknoty, sięgając we wszystkie zakamarki.

Znalazł prawo jazdy Ewy Kruger, wsunięte w przegródkę pod kartami kredytowymi. Rozłożył je i przyjrzał się kolorowej fotografii. W obiektyw patrzyła atrakcyjna kobieta z zaczesanymi gładko brązowymi włosami i pełnymi ustami, w eleganckich okularach w szylkretowej oprawce, przysłaniającymi duże bursztynowe oczy.

- Kto to? - zapytała Simone. - Masz taką minę, jakbyś zobaczył ducha.

Ale Jonathan nie mógł odpowiedzieć. Coś silnie ścisnęło mu pierś, pozbawiając tchu. Jeszcze raz spojrzął na prawo jazdy. Spod makijażu diwy i szminki dziwki patrzyła na niego Emma.

Otworzył drzwi i wysiadł. Przeszedł parę kroków, zatrzymał się i oparł o drzewo. Trudno było utrzymać się na nogach, zachowywać tak, jakby niebo nie waliło mu się na głowę. Zmusił się do spojrzenia na poważną kobietę z gładką fryzurą i w modnych okularach, patrzącą śmiało w obiektyw. Eva Kruger.

Wystarczyło jedno spojrzenie na zdjęcie, a myśl, że Emma ma romans, wydała się błahostką. Utrapieniem nie gorszym niż mucha dla konia. Ale to... fałszywe prawo jazdy, fałszywe nazwisko, całe podwójne życie... to była czarna dziura.

Simone obeszła wóz i stanęła obok niego.

- Jestem pewna, że istnieje jakieś wyjaśnienie. Zaczekaj, aż wrócimy do Genewy. Wtedy się dowiemy.

- Ten zegarek kosztuje dziesięć tysięcy franków. A reszta biżuterii? Ubrania?

Kosmetyki? Powiedz mi, Simone, jakie wyjaśnienie masz na myśli?

Zamyśliła się.

- Nie... nie mam żadnego.

Spojrzał na swoją kurtkę i zobaczył zaschniętą plamę krwi. Nie wiedział, czy to jego, czy któregoś policjanta. Nieważne, widok wzbudził w nim odrazę. Zdjął kurtkę i rzucił na maskę. Natychmiast zaatakowało go zimno.

- Podasz mi sweter?

Simone sięgnęła do wozu i wyjęła kaszmirowy sweter.

- Proszę...

Koperta wypadła z fałdów swetra na śnieg. Jonathan wymienił spojrzenie z Simone, potem podniósł kopertę. Bez podpisu, ale ciężka. Natychmiast rozpoznał zawartość. Odpowiedni ciężar, odpowiedni kształt. Rozdarł ją. Pieniądze.

Mnóstwo. Banknoty tysiącfrankowe. Świeżo wydrukowane i szeleszczące jak kalka techniczna.

- Boże - szepnęła Simone, wytrzeszczając oczy. - He tego jest?

- Sto - odparł po przeliczeniu pliku.

- Sto czego?

- Sto tysięcy franków szwajcarskich. „Mam ukryte zasoby”.

- Żartujesz. - Simone wybuchła piskliwym, histerycznym śmiechem, który w każdej chwili mógł wymknąć się spod kontroli.

- Teraz wiemy - powiedział Jonathan, zahipnotyzowany przez plik banknotów.

- Co?

- Dlaczego policjantom zależało na torbie.

Wsunął banknoty do koperty i wepchnął ją do kieszeni. Ciekawe, skąd wiedzieli, że przesyłka jest w Landquart i, co ważniejsze, przynajmniej dla niego, dlaczego Emma miała odebrać taką sumę.

Wiatr zagrzechotał gałęziami, zrzucając grudy śniegu na ziemię. Drżąc, wciągnął sweter przez głowę. Kaszmirowy, pod szyję, otulił mu pierś i ramiona.

Rękawy były siedem, osiem centymetrów za krótkie.



Sweter dla innego mężczyzny.

## 16

Widziałeś? - zapytał Alphons Marti, minister sprawiedliwości, gdy von Daniken wszedł do jego biura. - „NIZ”. „Tribüne de Geneve”. „Tage Anzeiger”. - Chwycił plik wiadomości telefonicznych i zgniótł je w dłoni. - Wszystkie gazety w kraju chcą wiedzieć, co się stało wczoraj na lotnisku.

Von Daniken zdjął płaszcz i przewiesił go przez ramię.

- Co im pan powiedział?

Marti rzucił do kosza zmiętą kulkę.

- Bez komentarza. A jak myślisz, co miałem powiedzieć?

Gabinet na czwartym piętrze Bundeshaus był istic pałacowy. Wysokie sufity zdobione listkami złota i malowidło *trompe d'oeil*, przedstawiające wniebowzięcie Chrystusa, orientalne dywany na wyfroterowanej drewnianej podłodze i mahoniowe biurko wielkie jak ołtarz w kaplicy św. Piotra. Poobijany drewniany krucyfiks wiszący na ścianie świadczył, że Marti jest naprawdę tylko zwyczajnym człowiekiem.

- Kiedy odlecieli? - zapytał.

- Samolot wystartował zaraz po naprawie silnika - odparł von Daniken. - Po siódmej rano. Pilot podał Ateny jako port docelowy.

- Kolejna kupa gówna, jakie według Amerykanów mamy przełknąć z uśmiechem. Dzięki mnie zahamowanie praktyki nielegalnego przerzucania podejrzanych na ziemi europejskiej stało się kamieniem węgielnym polityki tego rządu. Prędzej czy później ktoś pogada z prasą, a wtedy obrzucą mnie jajkami. - Marti żałośnie pokręcił głową. - Więzień był w samolocie. Jestem o tym przekonany. Onyx nie kłamie.

Korzystając z trzystu sfazowanych anten, umieszczonych wysoko na zboczu nad miastem Leuk w dolinie Rodanu, Onyx monitoruje łączność cywilną i wojskową przekazywaną przez satelity na orbicie geosynchronicznej. Specjalnie opracowany algorytm przeprowadza analizę składniową transmisji pod kątem słów kluczowych sugerujących cenne informacje.

Niektóre z tych słów brzmią: „Federalne Biuro Śledcze”, „wywiad” i „więzień”. Wczoraj o czwartej pięćdziesiąt pięć Onyx trafił na żyłę złota.

- Zeszłej nocy przejrzałem przechwyconą wiadomość - podjął Marti. - Nazwiska. Plan podróży. Wszystko jest tu. - Pchnął szarą teczkę po stole.

Van Daniken podniósł ją i otworzył. Wewnątrz znajdowała się fotokopia

telefaksu wysłanego z konsulatu syryjskiego w Sztokholmie do zarządu wywiadu w Damaszku, zatytułowana: „Lista pasażerów: transport więźnia #767”. Na liście widniały również nazwiska pilotów oraz dwa, które brzmiały bardziej znajomo.

Philip Palumbo i Walid Gassan.

- Spójrz na znacznik czasu, Marcusie. Lista została nadana po starcie samolotu.

Gassan był na pokładzie. Ani przez chwilę nie wierzę, że Palumbo go wypchnął.

Wiesz, co myślę? Ktoś dał cynk panu Palumbo, że zamierzamy przeszukać samolot. Chciałbym, żebyś zaczął śledztwo w tej sprawie.

- Tylko paru z nas ma kopie przechwyconej wiadomości. Pan, ja, nasi zastępcy i naturalnie technicy w Leuk.

- Otóż to.

- Przeszukaliśmy samolot od góry do dołu - powiedział von Daniken, gdy odłożył teczkę na biurko. - Ani śladu obecności więźnia.

- Chcesz powiedzieć, że ty go przeszukałeś. - Wpatrywał się w niego niebieskimi oczami, których wytrzeszcz wskazywał na nadczynność tarczycy.

- Zdaje mi się, że pan też był obecny.

- Więc możemy wykluczyć się wzajemnie. - Marti pokazał w uśmiechu brzydkie zęby. - To ułatwi ci dochodzenie. Spodziewam się raportu dzisiaj. - Dwa razy stuknął knykciami w teczkę, wskazując, że sprawa została zamknięta. - A więc? O co chodzi? Twój sekretarz poinformował mnie, że masz coś w sprawie wczorajszego morderstwa w Erlenbach. O co chodzi z tym nakazem przeszukania?

Van Daniken zawahał się, czekając, aż Marti poprosi go, żeby usiadł. Kiedy stało się jasne, że zaproszenie nie padnie, zaczął streszczać to, czego się dowiedział o Lammersie, łącznie z projektowaniem broni artyleryjskiej w przeszłości i niedawnym zainteresowaniem mini-BSP. Na zakończenie wyraził podejrzenie, że Holender wchodził w skład większej siatki, i poprosił o wydanie nakazu przeszukania terenów Robotica AG.

- To wszystko? - zapytał Marti. - Nie mogę wpisać na nakazie „podejrzany miniaturowy samolot”. To dokument prawny. Potrzebuje uzasadnionego powodu.

- Moim zdaniem, Lammers stanowił zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

- Jak? Człowiek nie żyje. Tylko dlatego, że widziałeś model samolotu... Nawet nie model... parę skrzydeł Bóg wie z czym.

Von Daniken uśmiechnął się, żeby zamaskować wrzący gniew.

- To nie tylko samolot, panie ministrze. To cały układ. Lammers był na miejscu przez długi czas. W przeszłości bawił się ze złymi chłopcami, a potem pewnego dnia, ni z tego, ni z owego, otworzył własną firmę. Jestem pewien, że coś się kroi. Albo się schodzi, albo rozpada. Dowody mogą być w jego biurze.

- Domysły - szczechnął Marti.

- Ten człowiek miał w warsztacie uzi i plik umiejętnie podrobionych paszportów, które zostały skradzione osobom mieszkającym na Bliskim Wschodzie albo tam bywającym. To nie domysły.

Ambasada Nowej Zelandii we Francji oddzwoniła parę minut przed wejściem von Danikena do gabinetu Martiego z doniesieniem, że paszport znaleziony w samochodzie Lammersa został skradziony ze szpitala w Stambule. Prawowity właściciel paszportu miał porażone kończyny i od trzech lat przebywał w zakładzie opiekuńczym. Nawet nie wiedział, że stracił paszport. Lammers zastosował tę samą sztuczkę, co w Jordanii, podając się za biznesmena, który zgubił dokumenty.

- Tylko z jednego powodu ktoś chciałby kraść paszporty belgijskie i nowozelandzkie - mówił von Daniken. - Łatwy wjazd na Bliski Wschód i łatwy wyjazd. Zwłaszcza dla krajów z ograniczoną swobodą przemieszczania się.

Jemen. Iran. Irak. Ten rodzaj operacji wymaga nie tylko funduszy, ale infrastruktury i od cholery finezyjnego manewrowania. Lammers się bał.

Wiedział, co nadchodzi. Operacja była w toku.

- Domysły - powtórzył Marti. - To, że się bał, nie stanowi podstaw do wydania nakazu rewizji w zarejestrowanej firmie szwajcarskiej. Mówimy o korporacji, nie o prywatnym obywatelu.

Von Daniken spuścił oczy i zmusił się do policzenia do pięciu.

- Nawiasem mówiąc, panie ministrze, oficjalna nazwa urządzenia brzmi: bezpilotowy statek powietrzny mikro. Jest również zwany dronem.

- Możesz go nazwać komarem na sterydach, nic mnie to nie obchodzi - parsknął Marti. - Nie podpiszę nakazu. Jeżeli tak bardzo zależy ci na przeszukaniu firmy, zwróć się do sędziego śledczego w Zurychu. Jeśli uzna, że masz dość dowodów, by wydać nakaz, nie będziesz mnie potrzebował.

- Formalności potrważą co najmniej tydzień.

- I co z tego?

- A jeśli istnieje bliskie zagrożenie dla kraju?

- O Chryste, nie wpadajmy w histerię.

Za biurkiem wisiało zdjęcie Martiego zrobione w chwili, gdy wbiegał na stadion olimpijski na końcu swojego fatalnego maratonu. Nawet na nieruchomym zdjęciu wyglądał, jakby się zataczał. Było widać, że wcześniej wymiotował. Von Daniken zastanawiał się, jaki trzeba mieć charakter, żeby pokazywać siebie w najgorszej, najbardziej upokarzającej chwili w życiu.

- Skoro jesteś przekonany, że istnieje bliskie zagrożenie, w takim razie spróbuj to jakoś uzasadnić - powiedział Marti. - Mówiłeś, że Lammers projektował broń artyleryjską. Pięknie. Zatem pokaż mi wielką armatę. Taki nakaz nie zniknie w papierach. To moja głowa poleci, jeśli cię posłucham. Niech mnie diabli, jeśli pozwolę, żebyś zrobił nieprzemyślany krok, mobilizując wszystkie środki w celu sprawdzenia niedorzecznego przeczucia.

Nedorzeczne przeczucie? Do tego sprowadza się trzydzieści lat doświadczenia? Von Daniken uważnie przyjrzał się Martiemu. Zapadnięte policzki.

Zbyt modne długie włosy ufarbowane zbyt modną henną. Ten człowiek mógłby zrobić z prawa precel, gdyby chciał. Utrudniał celowo, odgrywając się za nieudany nalot na odrzutowiec CIA.

- A uzi? - zapytał von Daniken. - A paszporty? To też nic?

- Sam to powiedziałaś. On się bał. Uciekał. To za mało, żeby naruszać jego prywatność.

- Ten człowiek nie żyje. Już nie ma prywatności.

- Nie pogrywaj ze mną! Nie będę spierać się o semantykę!

- Nie daj Boże, żebyśmy mieli kogoś wkurzyć. - Von Daniken szanował konstytucję, jak każdy inny. Ani razu w czasie pracy nie odszedł od jej litery ani od jej założeń. Ale w ciągu ostatnich dziesięciu lat robota policyjna zmieniła się radykalnie. Jako antyterrorysta musiał zapobiegać przestępstwom. Przepadł luksus zbierania dowodów po fakcie i przedstawianie ich sądowi do spraw drobnych wykroczeń. Często jedynym dowodem było jego doświadczenie i intuicja.

Podszedł do okna i spojrzał na rzekę Aare. Zmierzch przemienił niebo w pole bitwy różnych odcieni szarości, walczących ze sobą nisko nad dachami miasta.

Śnieg, który wcześniej zelżał, znów sypał nie na żarty. Porywisty wiatr zbijał płatki we wściekłe wiry.

- Proszę nie zawracać sobie głowy nakazem - powiedział w końcu. Marti wstał i okrążył stół, potrząsając głową.

- Cieszę się, że nabrałeś rozumu.

Von Daniken odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Muszę iść.

- Chwileczkę...

- Tak?

- Co zamierzasz zrobić w sprawie tego małego samolotu? Tego mini-BSP?

Von Daniken wzruszył ramionami, jakby sprawa już go nie interesowała.

- Nic.

Było to kłamstwo.

## 17

Jonathan omiatał wzrokiem wejście stacji Landquart i parking po drugiej stronie ulicy, gdzie pośrodku trzeciego rzędu stał najnowszy model mercedesa, dokładnie w miejscu zaznaczonym na planie z torebki Evy Kruger. Miał punkt obserwacyjny pięćdziesiąt metrów dalej, we wnęce drzwiowej zamkniętej restauracji. Półtorej godziny krążył wokół stacji. Co pół godziny przybywały pociągi z Chur i Zurychu. Przez parę minut na chodniku panował tłok.

Samochody wjeżdżały i wyjeżdżały z parkingu. Potem ruch zamierał do czasu przyjazdu następnego pociągu. Jonathan ani razu nie dostrzegł policjanta, lecz nie mógł stwierdzić, czy parking nie jest pod obserwacją. Niezależnie od tego, jak wyglądała prawda, Simone miała rację. Gliniarze, którzy chcieli ukraść bagaże Emmy, byli nieuczciwi.

Za pięć szósta wieczorne natężenie ruchu osiągnęło szczyt. Reflektory przesuwają się w oślepiającej paradzie. Jonathan przytupywał, żeby przyspieszyć krążenie. Zostawił Simone na skraju miasta, choć usilnie się sprzeciwiała. Nie zawsze pracuje zespołowo, teraz przyszedł czas na pracę indywidualną. Miał przed sobą akcję solo, bez cienia wątpliwości. Kuląc się w kurtce, nie spuszczał oka z mercedesa.

Zabierz list.

Pokaż kwity.

Odbierz bagaż.

Sprawdź na planie miejsce parkowania wozu.

Zmień ubranie. Przyliż włosy. Nie zapomnij o obrączce.

Zmień tożsamość.

Dostarcz sweter z kopertą zawierającą sto tysięcy franków.

Ale gdzie? Kiedy? Komu? I najbardziej dręczące pytanie: Dlaczego?

Muskał palcami kluczyk do samochodu, myśląc o Emmie.

Pytanie: Kiedy twoja żona jest twoją żoną? A kiedy nie jest twoją żoną, to kim jest?

Doktor Jonathan Ransom, absolwent Uniwersytetu Colorado w Boulder, Southwestern Medical School, naczelnny chirurg rezydent w Sloan Kettering Cancer Center w Nowym Jorku, stypendysta Dewes w oksfordzkim szpitalu Radcliffe'a ze specjalizacją w chirurgii odtwórczej, stoi na płycie lotniska Monrovia-Roberts w Liberii. Ostatni pasażerowie wysiadają i przechodzą

obok niego. O ósmej rano słońce wisi nisko na złym, pomarańczowym niebie. Dzień już jest gorący i duszny. Powietrze przesycone zapachem paliwa lotniczego i soli morskiej tną krzyki chmary ludzi, którzy przyciskają czarne twarze do wysokiej siatki biegnącej wzdłuż pasa. Ze wszystkich stron, zbyt blisko, dobiega jazgot karabinów maszynowych.

Nie ma powodów do obaw, zapewniali w czasie szkolenia. Walki toczą się wyłącznie na terenach wiejskich.

Idzie w stronę budynku, w którym odbywa się kontrola paszportowa, mijając dwa spuchnięte trupy wiszące na ogrodzeniu. Matka i córka, sądząc z tego, jak się obejmują, choć roje much uniemożliwiają potwierdzenie domysłu.

- Ransom?

Podjeżdża do niego zdezelowany wojskowy dżip. Za wielką kierownicą siedzi młoda opalona kobieta z rozwichrzonymi kasztanowymi włosami związanymi w koński ogon.

- To ty? - krzyczy, żeby usłyszał ją w ryku startującego transportowca. - Doktor Ransom? Wsiadaj. Wyratuję cię z tego cyrku.

Jonathan rzuca torbę na tył dżipa.

- Myślałem, że walki w kraju się zakończyły.

- To nie walka. To tak zwany dialog. Nie czytasz gazet? - Wyciąga rękę. - Emma Rose. Bardzo mi miło.

- Taa. Wzajemnie.

Jadą przez najgorsze slumsy, jakie dotąd widział, mur ubóstwa długi na osiem kilometrów i wysoki na dziesięć pięter. Miasto urywa się nagle. Zaczynają się tereny wiejskie, tak ciche i bujne, jak miasto było hałaśliwe i jałowe.

- Pierwsza misja? - pyta Emma. - Zawsze przysyłają nowicjuszy.

- Dlaczego?

Nie odpowiada. Uśmiech Mony Lisy uchodzi za odpowiedź.

Szpital mieści się w przebudowanej przepompowni ścieków na skraju bagien mangrowych. Wokół burego budynku na trawie i w czerwonym spieczonym błocie leżą tuziny kobiet i dzieci. Wiele spośród nich jest rannych, niektóre poważnie. Ich milczenie jest zniewagą.

- Co parę dni przyjmujemy taką grupę - mówi Emma, zatrzymując dżipa na tyłach szpitala. - Ostrzał z moździerzy. Na szczęście większość ran jest powierzchowna.

Jonathan patrzy na chłopca ze sterczącym z łydki odłamkiem wielkości



trzech żelazek. Powierzchnowa rana znaczy, że ranny nie wykrwawi się na śmierć.

Niski brodaty mężczyzna z zaczerwienionymi oczami wita go ciepło. To doktor Delacroix z Lyonu.

- Dobrze, że samolot przyleciał o czasie - mówi, wycierając ręce w zakrwawioną koszulkę. - Dziewczyna w drugiej sali operacyjnej jest twoja. Odrąb jej prawą rękę.

- Odrąbać?

- Nie wiesz? - Delacroix macha ręką, naśladując spadający nóż gilotyny. - Weź maczetę.

- Gdzie mam się przygotować? - pyta Jonathan.

- Przygotować? - Doktor wymienia zmęczone spojrzenie z Emmą. - Możesz umyć ręce w ubikacji. Znajdziesz tam jakieś rękawiczki. Oszczędzaj je. Staramy się używać każdą parę co najmniej trzy razy.

Jonathan stoi przed szpitalem na łacie posypanej wapnem ziemi, która służy jako taras, recepcja i punkt selekcji rannych. O północy powietrze jest parne, pełne krzyków wyjców i pojedynczych strzałów z broni krótkiej.

- Kawy? - Emma podaje mu kubek. Wygląda inaczej niż wcześniej. Chudsza, nawet mniejsza, jakby wyprana z młodzieńczej energii.

- Zabrakło zero plus - mówi Jonathan. - Straciliśmy dwóch pacjentów, bo mamy za mało krwi.

- Kilku uratowałeś.

- Tak, ale... - Kręci głową, przygnębiony. - Zawsze tak jest?

- Tylko każdego innego dnia. Teraz on nie odpowiada. Emma patrzy na niego z zadumą.

- Starsi nie przyjeżdżają - mówi po chwili.

- Słucham?

- Chciałeś wiedzieć, dlaczego przysyłają tylko nowicjuszy. Taki jest powód.

Po jakimś czasie robi się za ciężko. Wszystko jest na twojej głowie. To ścina z nóg. Starsi nie wyrabiają. Mówią, że możesz patrzeć na martwych ludzi dopóty, dopóki sam nie poczujesz się martwy.

- Potrafię zrozumieć.

- Inaczej niż w Anglii, prawda? - mówi Emma współczującym tonem, towarzysz do towarzysza. - Wiem, że byłeś w Oksfordzie. Ja skończyłam porównawcze systemy polityczne w St. Hilda.

- Nie jesteś lekarzem?

- Boże, nie. Zrobiłam na boku kurs pielęgniarki, ale moja działka to administracja. Logistyka i tak dalej. Jeśli kiedyś będziemy mieć wystarczającą ilość zero plus, to będzie moja zasługa.

- Nie chciałem... - Jonathan zaczyna przeproszać.

- Oczywiście, że nie.

- Z początku się nie połąpałem, że jesteś Angielką. Chodzi mi o akcent.

Myślałem, że albo szkocki, albo londyński z korzeniami w Europie Środkowej.

Praga albo coś.

- Ja? Boże, nie. Jestem z południowego zachodu. Z Kornwalii. Tam wszyscy śmiesznie mówimy. Blisko Land's End. Penzance. Znasz to miasto?

- Penzance? W pewnym sensie. - Bierze oddech i choć wie, że będzie wyglądać głupio, nadyma pierś i recytuje śpiewnie: *Znam się na matematyce, rozumiem równania, proste i kwadratowe, mam mnóstwo wiadomości o dwumiennych teorematach z wieloma radosnymi faktami o kwadracie przeciwprostokątnej.*

Kiedy Emma nic nie mówi, dodaje: - Gilbert i Sullivan. *Piraci z Penzance*. Nie mów mi, że nie znasz Nowoczesnego Generał-Majora?

Nagle Emma wybucha śmiechem.

- Oczywiście, znam. Po prostu nikt nie jest przyzwyczajony, żeby słuchać tego w afrykańskiej dziczy. Mój Boże. Fan.

- Nie ja. Mój tata. Był dyplomatą. Mieszkaliśmy w różnych krajach.

Szwajcaria, Włochy, Hiszpania. Gdzie tylko się przenosiliśmy, chodził na operetki. Mógłby zaśpiewać tę piosenkę po angielsku, niemiecku i francusku.

Rytmiczny łoskot płynie pod rozgwieżdżonym nocnym niebem. Elektryczne dudnienie ostrych basów. Emma przekrzywia głowę, nadśluchoje.

- Klub Muthaiga. Wielki dansing. Choć, jak się obawiam, nie grają *Mikado*.

- Klub Muthaiga jest w Nairobi. Widziałem *Pożegnanie z Afryką*.

- Ja też - szepcze, stając na palcach. - Nie mów nikomu, że buchnęłam nazwę.

Idziesz?

- Tańczyć? - Kręci głową. - Za długo byłem na nogach. Jestem usmażony.

- Więc? - Emma bierze go za rękę i ciągnie w kierunku źródła pulsującej muzyki.

Jonathan się opiera.

- Dzięki, ale naprawdę muszę odpocząć.

- To mówi stary ty.

- Stary ja?

- Naczelnny rezydent. Wól roboczy. Ten, który dostaje wszystkie te nagrody i stypendia. - Szarpie go za rękę. - Nie patrz tak na mnie. Mówiłam ci, jestem administratorem. Czytałam twoje papiery. Chcesz posłuchać rady? Zapomnij o swoim dawnym wcieleniu, o tym, które się przepracowuje. Nie przetrwa tutaj tygodnia. - Jej głos opada i Jonathan nie jest pewien, czy Emma mówi poważnie, czy tylko go prowokuje. - To Afryka. Tu wszyscy zaczynają nowe życie.

Później, po tańcach, piwie domowej roboty i dzikich radosnych śpiewach, wyprowadza go z klubu w busz, z dala od tętniących bębnow i stłoczonych ciał.

Idą przez zagajnik kazuaryn po ścieżce, rysie w cieniu nocy, na polanę. Nad nimi krzyczy wyjec, skacząc z drzewa na drzewo. Emma odwraca się w stronę Jonathana, patrzy mu w oczy, włosy spadają jej na twarz.

- Czekałam na ciebie - mówi, chwytając go za pasek i przyciągając do siebie.

On też na nią czekał. Nie od tygodni czy miesięcy, ale dłużej. Uwiodła go w ciągu jednego dnia. Całuje ją, ona całuje jego. Wsuwa rękę pod jej koszulę, czując twardą, wilgotną skórę, sięga wyżej, obejmuje pierś. Ona gryzie jego wargę i przyciska się do niego.

- Jestem grzeczną dziewczynką, Jonathanie. Po prostu, żebyś wiedział, w co wchodzisz.

Rozpina mu koszulę i zsuwa ją z ramion. Pociera dłonią jego tors, potem sięga niżej. Odsuwa się, zdejmując koszulkę przez głowę i ściąga dzinsy. Chłonie jego wygłodniałą uwagę.

- Skąd wiesz? - pytają, gdy się do niego przytula.

- Stąd, skąd ty.

Kładzie się na trawie, a ona lokuje się nad nim. Księżycowa poświata tańczy po jej miedzianych włosach. Drzewa się kołyszają. Daleki krzyk przeszywa niebo.

Przyjechał pociąg z Chur, a minutę później z przeciwnej strony, z Zurychu.

Pasażerowie wylegli tłumnie na chodnik przed dworcem. Teraz albo nigdy. Jonathan wysunął się z wejścia i przebiegł przez ulicę. Przeskoczył przez murek na parking, ruszył środkowym przejściem. Jeśli ktoś

obserwował dworzec, widział go wyraźnie. Wysoki na metr dziewięćdziesiąt męczyzna w nowym granatowym skafandrze, w dopasowanej czapce narciarskiej nasuniętej głęboko na czoło, by ukryć gęste, lekko kręcone ciemne włosy, które zaczęły siwieć, gdy miał dwadzieścia trzy lata.

Nie biegnij, powiedział sobie, starając się panować nad mięśniami.

Wyjął kluczyki z kieszeni i zdalnie otworzył drzwi. Miał wrażenie, że wszystko tu jest zapięte na ostatni guzik. Emma zawsze miała bzika na punkcie organizacji. Wóz pisnął w odpowiedzi. Nie rozglądaj się, przykazał sobie. To Emmy, czyli twój. S-sześćsetka. Diamond black. Taki wóz to normalka dla żony każdego chirurga.

Wsunął się za kierownicę i zamknął drzwi. Dotknął dźwigni zmiany biegów i silnik z pomrukiem zbudził się do życia. Podskoczył w fotelu, uderzając głową w sufit.

- Cholera - mruknął, zanim zdał sobie sprawę z tego, że wcisnął guzik zapłonu na gałce. Była to najnowsza funkcja automatyczna. Usiadł wygodnie, odzyskał oddech. Niedługo, pomyślał, samochody będą same jeździć.

Potem rozejrzał się po wnętrzu. Zapach świeżej skóry, nieskazitelnie czysta kabina, trzaskająca w powietrzu nowość pojazdu. Nie tylko mercedes, ale zupełnie nowy, model najwyższej klasy. Cena: astronomiczna. Nie tyle wóz, ile świątynia luksusu; inżynieria motoryzacyjna wyniesiona na wyższą płaszczyznę.

Usadowił się, dostosowując fotel, poprawiając lusterka, zapinając pas. Wrzucił wsteczny i wycofał z miejsca parkowania. Wóz sunął w ciszy, jadąc po pokrytej lodem nawierzchni, jakby unosił się na chmurze.

Poczuł do niego nagłą irracjonalną nienawiść, nie tylko dlatego, że był dowodem oszustwa Emmy, ale ponieważ reprezentował życie, jakiego nigdy nie pragnął. Zbyt wielu rezydentów chirurgów w Sloan-Kettering głośno marzyło o praktyce na Park Avenue i domach w Hamptons. Niech sobie mają swoje błyskotki. Bóg wiedział, że ciężko na nie pracowali. Dla niego medycyna nie stanowiła drogi do celu. Była celem sama w sobie. Nie chciał, żeby jego wartość określano na podstawie stanu posiadania. Po samochodach takich jak ten. Liczyły się czyny. Doktor Jonathan Ransom troszczył się o innych.

Skręcił i pojechał do wyjścia. Na głównej drodze pojazdy spieszyły w obu kierunkach. Piesi skorzystali z okazji i przeszli przez jezdnię przed mercedesem.

Jakiś mężczyzna zbliżył się i stanął w blasku reflektorów. Osłaniając oczy, spojrzął na niego przez szybę. Policjant, był tego pewien.

Zdjął ręce z kierownicy i czekał, aż mężczyzna wyjmie pistolet i krzyknie: „Wysiadać! Jesteś aresztowany”.

Ale chwilę później mężczyzna odszedł, kolejna głowa podskakująca w morzu wracających do domu ludzi.

Droga wolna. Jonathan wyjechał na ulicę, skręcił w lewo, oddalając się od dworca. Cztery przecznice dalej podjechał do krawężnika i spuścił szybę.

- Wsiadaj.

Simone wsiadła do wozu. Otulając się płaszczem, rozejrzała się po wnętrzu.

- To Emmy?

- Chyba. - Jonathan wjechał na autostradę, kierując się na wschód. Znak na poboczu oznajmiał „Chur - 25 km”.

Cień przemknął po twarzy Simone.

- Dokąd jedziesz?

- Do hotelu. Musimy się dowiedzieć, kto wysłał te bagaże.

## 18

Podgrzać.

Strażnik przekręcił zawór dyszy regulujący palniki gazowe. Błękitne płomienie rozbłysły pod wielką miedzianą kadzią. Wskaźnik temperatury wskazywał sześćdziesiąt stopni. Igła zaczęła się podnosić.

Tak zwany Garnek pochodził z początku XVII wieku. Wysoki na półtora metra i dwakroć szerszy, należał do wyposażenia pralni publicznej w Aleppo, kiedy Syria była prowincją imperium osmańskiego. Igła wskazała sześćdziesiąt pięć stopni. Zanurzony do ramion w szybko podgrzewanej wodzie, Gassan miotał się szaleńczo. Nie postawił stóp na dnie ze strachu, że zostaną poparzone.

Igła minęła siedemdziesiąt stopni.

To była długa noc. Gassan wykazał się imponującym hartem ducha. Cierpiał, a jednak nie powiedział, komu dostarczył pięćdziesiąt kilogramów plastiku. Jego wąsy opadły, ciężkie od potu. Zło tego miejsca wsączało się w jego pory.

- Jeszcze.

Przy brzegach kotła utworzyły się bąbelki. Gassan zaczął krzyczeć. Nie modlił się, nie wzywał Allaha. Z jego ust płynął potok przekleństw, przeklinał Zachód, przeklinał prezydenta, przeklinał FBI i CIA. Nie był fanatykiem. Zaliczał się do tych drugich. To terrorysta definiowany przez swoje czyny. Buntownik, który nie wierzy w żadną sprawę, jego celem jest samo niszczenie.

Philip Palumbo siedział w kącie na krześle. Dawno temu zmęczyły go żalosalne krzyki. Przestał współczuć łajdakom pokroju Gassana w czasie, gdy zajmował się rozpracowywaniem zamachów bombowych na Bali. Dwadzieścia ciał.

Mężczyźni, kobiety i dzieci bawiący się na wypadzie nad morze w tropikach.

Wszyscy martwi. Ponad setka rannych. Życie zakończone. Życie zrujnowane. I w imię czego? Kolejna bezsensowna próba zastraszenia Zachodu. Palumbo wierzył, że każdy podpisuje umowę ze społeczeństwem, zobowiązując się do uczciwego traktowania innych i przestrzegania prawa. Zerwij umowę, przekrocz granice fair play, a znajdziesz się na straconej pozycji.

Gassan chciał zabić niewinnych ludzi. Palumbo zamierzał go powstrzymać.

Zwiększyć temperaturę i niech zacznie się zabawa.

- Wróćmy do początku - powiedział pułkownik Mike z doprowadzającym do szału spokojem. - Dziesiątego stycznia spotkałeś się w Lipsku z Dimitrijem Szewczenką. Zapakowałeś plastik do białego vana marki Volkswagen. Dokąd pojechałeś? Musiałeś komuś przekazać materiały wybuchowe. Nie przypuszczam, żebyś trzymał je dłużej niż to konieczne. Jesteś bystrym chłopakiem. Masz doświadczenie. Powiedz mi, co się stało później. Nawet ci pomogę. Dostarczyłeś plastik użytkownikowi końcowemu. Chcę znać jego nazwisko. Zaczynaj mówić, a zakończymy te przykrości. Powiem ci, że nie sypiam dobrze po czymś takim.

Pytania nie zmieniły się w ciągu dziesięciu godzin.

Na zewnątrz psy czekały do księżyca. Przeleciał wielki transportowiec, wstrząsając murami.

Gassan zaczął coś mówić, potem ściągnął usta i spuścił głowę na piersi.

Zduszony krzyk zrodził się w jego gardle i wybuchnął z ust.

- Podgrzać - rzucił pułkownik.

Płomienie zasyczały. Igła wskazała osiemdziesiąt stopni.

- Jakie mają plany? Podaj mi cel. Chcę znać miejsce, datę, godzinę. Mike był nieustępliwy. Człowiek albo się nadaje do tych rzeczy, albo nie. On miał smykałkę do torturowania jak dżokej do gonitwy. Osiemdziesiąt pięć.

- Najpierw odpadnie ci kutas. Wybuchnie jak przegrzana kiełbasa. Potem spuchnie żołądek i płuca zaczną się gotować. Popatrz na swoje ramiona. Ciało się złuszcza. Smutne, że to może trwać bardzo długo.

Gassan wytrzeszczał oczy, przeklinając niesprawiedliwość swojego losu.

- Nazwisko twojego kontaktu? Do czego użyją materiałów wybuchowych?

Dziewięćdziesiąt stopni.

- Zgoda - wrzasnął Gassan. - Powiem. Wypuście mnie! Proszę!

- Co mi powiesz?

- Wszystko. Wszystko, co wiem. Nazwisko. A teraz mnie wypuście!

Pułkownik Mike dał znak ręką strażnikowi obsługującemu zawór. Stał tak blisko kadzi, że gorąco wysuszyło pot na jego czole.

- Kto jest użytkownikiem końcowym? Nazwiska, które padło, Palumbo wcześniej nie słyszał.

- Dostarczyłem plastik osobiście. Zapłacił mi dwadzieścia tysięcy

dolarów.

- Dokąd dostarczyłeś materiały wybuchowe?

- Do Genewy. Do garażu na lotnisku. Czwarte piętro.

Tama pękła. Gassan zaczął mówić, informacje tryskały jak woda z pękniętej rury. Nazwiska. Pseudonimy. Kryjówki. Hasła. Język nie nadążał za słowami.

Palumbo wszystko nagrywał. Wyszedł z pokoju, żeby zweryfikować informacje. Wrócił po pięciu minutach.

- Parę nazwisk zostało potwierdzonych, ale mamy mnóstwo do zrobienia.

- A więc? - zapytał pułkownik Mike. - Jeszcze jakieś pytania do naszego szacownego gościa?

- Tak. Pan Gassan od dawna jest w biznesie. Dopiero zaczęliśmy. Pułkownik Mike skinął na strażnika.

- Podgrzej.



## 19

Jonathan dotarł do Arosy w półtorej godziny. Wjechał na Poststrasse i zaparkował naprzeciwko hotelu Kulm, trzysta metrów od Bellevue. Simone siedziała skulona na fotelu pasażera, paląc papierosa.

- Nie ma powodu, żebyś szła ze mną - powiedział. - Lepiej, jeśli się rozdzielimy. Ja mogę to zabrać.

- Ja chcę to zrobić - odparła, zerkając przez okno.

- Wracaj do domu. Spełniłaś swój obowiązek. Trzymałaś mnie za rękę, gdy tego potrzebowałem. Nie mogę się tobą opiekować.

Było oczywiste, że ta sugestia ją zirytowała.

- Nikt cię o to nie prosi - warknęła. - Wielkie dzięki, od dawna umiem o sobie zadbać.

- Co powiesz Paulowi?

- Powiem, że pomagałam przyjacielowi.

- To zabrzmi miło, gdy zadzwonisz do niego z więzienia. Jak dotąd, tylko wpadasz w coraz większe kłopoty.

Simone zmieniła pozycję i przeniosła na niego spojrzenie. Policzek miała fioletowy po ciosie policjanta. Siniak psuł jej zwykle nieskazitelną prezencję.

- A co ty robisz, Jon?

Jonathan powiedział sobie, że będzie robił po jednym kroku naraz. Formalnie rzecz biorąc, wiedział, że jest poszukiwany, ale to nie policji, uczciwej czy nieuczciwej, się bał. Bał się prawdy.

- Jeszcze nie jestem pewien - odparł po chwili. Simone usiadła bardziej prosto.

- Ilu masz braci? Pytanie go zaskoczyło.

- Dwóch. I siostrę. A co?

- Gdyby któreś z nich było na twoim miejscu, pojechałbyś do domu?

- Nie. Nie pojechałbym.

- Ja nie mam braci ani sióstr - mówiła Simone. - Jestem żoną człowieka, który traktuje pracę jak kochankę. Mam dzieci w szkole i mam Emmę. Podobnie jak ty, nie wiem, do czego zmierzała. Jeśli mogę w jakiś sposób pomóc ci się tego dowiedzieć, chcę spróbować. Rozumiem twoją troskę o mnie i jestem ci wdzięczna. Jutro pojedę do Davos, żeby zobaczyć się z Pauliem. Wierzę, że do tej pory wyjaśnimy sprawę. Ale jeśli czeka nas starcie z policją, nie zamierzam cię zostawić.

Jonathan zrozumiał, że nic nie poradzi. Nie mógł zaprzeczyć, że jej obecność mu pomoże, gdy stanie przed komendantem policji. Simone była nauczycielką współpracującą z prestiżową szkołą w Genewie; jej mąż był szanowanym ekonomistą.

Wyjął jej z ust papierosa.

- W porządku, wygrałaś. Ale jeśli zostajesz, musisz przestać palić. Chce mi się rzygać.

Simone natychmiast wyjęła z torebki następnego papierosa i wsunęła go w kącik ust.

- Allez. Będę na ciebie czekać. - Pochyliła się i pocałowała go w policzek. - Uważaj.

Jonathan szedł ulicą z pochyloną głową. Wiatr podrywał śnieg i rzucał mu w twarz z taką siłą, że musiał osłaniać oczy, chcąc widzieć na trzy metry. Skręcił z Poststrasse w boczną ulicę, a stamtąd na ścieżkę biegnącą przez Arlenwald, las porastający dolne partie góry. Tu wiatr był słabszy, mógł więc iść szybciej.

Z dala od latarni ulicznych ścieżka ledwo majaczyła w mroku, ocieniona przez wysokie sosny i brzozy sztywne jak kołki. Po prawej stronie zbocze opadało stromo. Po paru minutach marszu Jonathan znalazł się na tyłach hotelu i zszedł na dół w głębokim po kolana śniegu. Zatrzymał się na skraju lasu, wypatrując swojego pokoju. Trzecie piętro. Narożnik od frontu. W pobliżu budynku rosła stuletnia sosna, górne gałęzie sięgały zwodniczo blisko balkonów na drugim i trzecim piętrze.

Wtedy poczuł, jak włos mu się jeży na karku. Odwrócił się gwałtownie, pewien, że ktoś go obserwuje. Zlustrował zbocze. Zahukała sowa siedząca wysoko na drzewie. Gardłowe, niskie pohukiwanie przyprawiło go o dreszcz.

Patrzył jeszcze przez chwilę, ale nikogo nie zobaczył.

Wystarczyło pięć kroków, a stanął przy mocnym pniu. Wybrał gałąź, wciągnął się na drzewo, wspiał wyżej. Dziesięć metrów nad ziemią wczołgał się na konar.

Zbocze nachylało się tak stromo, że gdyby spadł, wylądowałby w śniegu trzy metry niżej. Balkon miał na wyciągnięcie ręki. Zawisł na gałęzi i machał nogami, aż sięgnęły za balustradę. Przeniósł ciężar ciała i zeskoczył na balkon.

Światło przebijało przez zaciągnięte zasłony. Drzwi balkonowe były uchylone.

Stąpił na palcach. Nagle zasłony rozsunęły się, drzwi otworzyły do

środka.

Zobaczył w przelocie mężczyznę w garniturze, który otwierał drzwi, rozmawiając z kobietą. Przeskoczył przez balustradę. Zaczepiony czubkami palców - alpiniści nazywają to zwisem nietoperza - przesunął się w stronę sąsiedniego balkonu. Poręcz była oblodzona i bardzo zimna. Spojrzał w dół.

Piętnaście metrów do podjazdu, a gdyby nie trafił, kolejne piętnaście do ulicy.

Palce mu zdrętwiały. Próbował sobie wmówić, że to się nie różni od zwisania z występu na granitowej ścianie. Ale nigdy nie uprawiał wspinaczki klasycznej w środku zimy. Centymetr po centymetrze przesunął się po zewnętrznej stronie balkonu. Stęknął, wciągając się nad poręczą.

Chwytną oddech, pchnął drzwi. Nie były zamknięte, tak jak zostawił je rano.

Światła zgaszone. Wszedł do pokoju i przystanął na chwilę, żeby oczy przywykły do mroku. Pokojówka sprzątnęła pokój. Oba łóżka zostały zasłane. W powietrzu unosił się przyjemny zapach środka do czyszczenia drewna. Mimo to prześladowało go uczucie, że coś jest nie w porządku.

Podszedł do łóżka. Koszula Emmy leżała pod poduszką. Na szafce nocnej piętrzył się schludny stosik książek. Podniósł pierwszą. Za dawne winy. Tytuł pasował do okoliczności, ale na pewno tej jeszcze nie zaczęła czytać. Znalazł tę, którą czytała, na samym spodzie.

Wyszedł na korytarz i otworzył szafę. Szuflada po szufladzie przejrzał rzeczy Emmy. Szukał tropów, które pozwoliłyby odgadnąć, czym się zajmowała. Ale jakich tropów? Nie miał pojęcia, co robiła, więc skąd mógł wiedzieć, czego szukać?

Zamknął szafę i spojrzał wyżej, gdzie leżały walizki. Stojąc na palcach, ściągnął większą. Była to walizka Emmy, sztywna, firmy Samsonite, podobna do tych ulubionych przez stewardesy. Położył ją na podłodze i zamarł.

Nigdy nie kładł walizki Emmy na swojej, mniejszej i mniej wytrzymałej. Ktoś był w pokoju.

Przez chwilę trwał w bezruchu. Nasłuchiwał z przekrzywioną głową. Każde uderzenie serca wbijało gwóźdź w jego piersi. Ale poza wibracją napiętych nerwów nie słyszał nic. Wreszcie podniósł walizkę, zaniósł ją na łóżko i otworzył.

Kolejna niespodzianka. Podszewka została oderwana jak płat przejrzystego plastiku, pod który wsuwa się zdjęcia w albumie. Nie została

przecięta ani uszkodzona w jakikolwiek inny sposób. Przyglądając się uważniej, odkrył zamknięcie podobne do tego w torebkach strunowych. W nikłym księżycowym świetle dostrzegł prostokątne zagłębienie wielkości portfela albo talii kart.

Skrytka do chowania papierów albo dokumentów, czegoś, co powinno uniknąć kontroli celnej.

Zamknął walizkę i odłożył ją na miejsce. Pod biurkiem leżała torba Emmy. Nie czarna z cielej skóry, ale odpowiedni na każdą pogodę plecak, podniszczony po latach używania. Otworzył zewnętrzną kieszeń i z ulgą zobaczył, że portfel jest na miejscu. Dokumenty nietknięte, pieniądze także, osiemdziesiąt siedem franków. Karty kredytowe nienaruszone. Sprawdził portmonetkę. Parę franków.

Spinka do włosów. Tik-taki. Zamknął torbę, przeciągnął ręką po dnie. Palce zaczepiły o bransoletkę. Emma nosiła ją od czasu do czasu. Była jasnoniebieska, silikonowa, podobna do bransoletek livestrong spopularyzowanych przez Lance'a Armstronga, siedmiokrotnego zwycięzcę Tour de France.

Trzy czwarte obwodu bransoletki było cienkie, w przeciwieństwie do miejsca pod nadgarstkiem. Przeciągnął palcem po zgrubieniu. Wewnątrz znajdowało się coś twardego i prostokątnego. Przez chwilę bawił się bransoletką, potem spostrzegł, że może ją rozpiąć. Zrobił to i zobaczył pendrive'a, urządzenie umożliwiające przenoszenie plików z jednego komputera na drugi. Emma nie miała sobie równych, gdy chodzi o obsługę blackberry, ale rzadko wynosiła laptop z biura. Złączył bransoletkę i wsunął na nadgarstek.

Wtedy usłyszał kroki w korytarzu. Odłożył plecak i przeszukał biurko. Mapy.

Pocztówki. Jego kompas. Pióra. Kroki, coraz głośniejsze, niosły się echem.

- Tędy, panie władzo. To pokój na końcu korytarza.

Rozpoznał głos kierownika hotelu. Klucz wsunął się do zamka. Jonathan otworzył środkową szufladę i zobaczył książkę w oprawie z brązowej skóry.

Podniósł plecak Emmy, wrzucił do niego książkę i popędził na balkon.

Drzwi się otworzyły. Światło wlało się z korytarza.

- Policjant nie żyje? - mówił kierownik.

Nie oglądając się za siebie, Jonathan uciekł z pokoju i zeskoczył z balkonu na zbocze.

- Byli tam - wysapał Jonathan, gdy wskoczył do mercedesa. - Ktoś przeszukał...

Spojrzał na fotel pasażera. Simone nie było w samochodzie, jej torebka też zniknęła. Odeszła, pomyślał. Poszła po rozum do głowy i uciekła z tego piekła, póki mogła. Oparł ręce na desce rozdzielczej, chwytając oddech. Zatrzymał spojrzenie na stacyjce. Kluczyków nigdzie nie było widać. Z przerażeniem odwrócił się i sprawdził z tyłu. Nie było ani torby Emmy, ani pudełka ze swetrem. Simone odeszła i zabrała wszystko.

Opadł na fotel, zdezorientowany, zmęczony. Popatrzył na grubą książkę, którą trzymał na kolanach. Otworzył ją, zaczął przeglądać nazwiska, adresy i numery telefonów. To początek, pomyślał.

Wtedy otworzyły się drzwi. Simone Noiret wsunęła się do wozu.

- Gdzie byłaś?

Simone aż się wzdrygnęła.

- Przespacerowałam się na szczyt wzgórza i z powrotem. Jeśli musisz wiedzieć, chciałam zapalić.

- A rzeczy Emmy?

- Włożyłam je do bagażnika na wypadek, gdyby któreś z nas chciało się położyć.

Jonathan pokiwał głową, uspokoił się.

- Przepraszam. Nie chciałem na ciebie warczeć. To dlatego, że właśnie tam przyszli. Do naszego pokoju w hotelu. Wszystko przetrząsnęli. Od góry do dołu.

Ale byli dobrzy. Staranni. Muszę im to oddać. Większość rzeczy odłożyli na miejsce. Mało brakowało, a bym się nie połapał.

Simone patrzyła na niego, w jej oczach odbijał się jego strach.

- O czym ty mówisz? Kto? Policja?

- Nie. Przynajmniej nie prawdziwa policja. - Powiedział jej o oderwanej podszewce wewnątrz walizki i dziwnym zagłębieniu wielkości talii kart.

- Chodziło im tylko o walizkę Emmy? - zapytała Simone. - Czego szukali?

- Nie wiem.

- Pomyśl, Jon. Co mogło być w środku? Zignorował pytanie. Nie miał pojęcia.

- Zapuść silnik. Może już idą.

- Spokojnie - powiedziała Simone. - Nikt nie idzie. Spójrz. Popatrzył przez tylną szybę. Ulica była pusta. Taka pogoda skłaniała do tego, żeby

siedzieć w czterech ścianach. Usiadł wygodnie i zamknął oczy.

- W porządku - mruknął. - Nic nam nie grozi.

- Oczywiście.

- Słyszałem głosy w korytarzu. Chyba kierownik hotelu był z policją.

Rozmawiali o policjancie z Landquart. Wiedzą, że to ja.

- Na razie jesteś bezpieczny. To najważniejsze. - Simone wskazała książkę na jego kolanach. - Co to?

- Książka adresowa Emmy. Muszę znaleźć kogoś, kogo znała w Asconie. Jeśli te bagaże przysłał jej znajomy, tu będzie jego nazwisko.

- Mogę?

Jonathan podał jej oprawiony w skórę notes. Był gruby jak Biblia i dwa razy cięższy. Emma lubiła mówić, że zawiera jej życie, ni mniej, ni więcej. Simone położyła go na kolanach i otworzyła z powagą, jak modlitewnik. Na wyklejce widniało nazwisko Emmy. Poniżej adresy. Najnowszy na Avenue de Collonges, Genewa. Wcześniej Rue St. Jean w Bejrucie. ONZ-owski obóz dla uchodźców Darfur w Sudanie. Lista ciągnęła się w przeszłość, mapa drogowa niegdyś jego życia.

- Ile ma tu nazwisk? - zapytała Simone.

- Jest tu każdy, kogo kiedykolwiek poznała. Emma nigdy nikogo nie zapomniała.

Razem ślęczeli nad kolejnymi stronami. A-Z. Szukali adresu w kantonie Ticino. Ascona. Locarno. Lugano. Numeru telefonu z kierunkowym 078.

Znaleźli nazwiska ze wszystkich zakątków świata. Tasmania, Patagonia, Laponia, Grenlandia, Singapur, i Syberia. Ale nie znaleźli wzmianki o Asconie.

Pół godziny później Simone odłożyła książkę adresową na deskę rozdzielczą.

Emma nie знаła nikogo, kto mieszkałby w leżącym najbardziej na południe kantonie Szwajcarii. Ascona nie istniała.

Jonathan przetrząsnął kieszenie i wyjął połówki kwitów bagażowych Emmy.

- Wciąż je mamy. Portier powiedział, że nazwisko nadawcy zostało zanotowane na stacji nadania.

- Nie sądzę, żeby w Szwajcarii łatwo było wydobyć takie informacje. Zażądają dokumentów.

- Pewnie masz rację. - Jonathan podał jej kwity, potem zapuścił silnik.

- Dokąd jedziemy?

- A jak myślisz? - Spojrzał przez ramię, wycofując auto na drogę. Simone poruszyła się w fotelu, odgarnęła włosy za ucho.

- Ale Emma nie miała tam nikogo znajomego. Nie wiemy, gdzie zacząć poszukiwania. Na co liczysz?

Jonathan skręcił w dół i położył nogę na pedale gazu.

- Wiem, jak się dowiedzieć, kto przysłał Emmie te rzeczy.

## 20

Pięć minut przed północą nieoznakowana furgonetka podjechała do strefy załadunku na zapleczu Robotica AG w przemysłowej dzielnicy Zurychu.

Wysiadło czterech mężczyzn. Wszyscy mieli ciemne ubrania, czapki głęboko naciągnięte na czoła, chirurgiczne rękawiczki i buty na gumowych podszewkach.

Ich przywódca, niższy o jakieś osiem centymetrów od pozostałych, stuknął w drzwi po stronie pasażera i van odjechał.

Wgramolił się na rampę i minął drzwi z karbowanej stali, które strzegły wstępu do strefy załadunku. Trzymał w ręce dwa klucze. Pierwszym wyłączył system alarmowy. Drugim otworzył wejście dla pracowników. Mężczyźni kolejno weszli do ciemnego budynku.

- Mamy siedemnaście minut do czasu następnej rundy patrolu - powiedział główny inspektor Marcus von Daniken, gdy zamknął za nimi drzwi.

- Spieszcie się, ale uważajcie, czego dotykacie, i pod żadnym pozorem nie wolno wam niczego wynieść z terenu zakładu. Pamiętajcie, że nas tu nie ma.

Mężczyźni wyjęli z kurtek latarki i ruszyli korytarzem. Von Danikenowi towarzyszył Myer z logistyki i wsparcia, Kübler z sił specjalnych i komandos Krajcek. Wszyscy znali okoliczności towarzyszące operacji. Wszyscy wiedzieli, że jeśli zostaną przyłapani, to koniec ich kariery i mogą trafić do więzienia.

Lojalność wobec von Danikena przeważała nad ryzykiem.

Myer z logistyki skontaktował się z firmą ochroniarską, żeby poznać grafik ochroniarza i uzyskać klucze zapewniające spokojne wejście na teren zakładu.

Przemysł szwajcarski ma długą historię współpracy z policją federalną.

Kübler przepuścił pozostałych, a sam wyjął z torby prostokątne urządzenie przypominające duży, gruby telefon komórkowy. Ruszył powoli korytarzem, nie odrywając oczu od histogramu pulsującego na ekranie. Nagle zatrzymał się i wcisnął kciukiem czerwony guzik. Histogram zniknął. Jego miejsce zajął symbol Am-241. Podniósł głowę. Wprost nad nim znajdował się wykrywacz dymu.

Urządzenie, które trzymał, było ręcznym detektorem materiałów



wybuchowych i promieniotwórczych. Nie przejmował się obecnością Am-241 -izotopem 241 ameryku, pierwiastka stosowanego w wykrywaczach dymu.

Szukał czegoś bardziej ekscytującego. Poszedł dalej, machając przed sobą czujnikiem jak różdżką. Miejsce wydawało się czyste. Na razie.

Von Daniken nie miał klucza do biura Theo Lammersa. Chętna do współpracy czy nie, firma ochroniarska nie mogła dostarczyć tego, czego nie miała, a biuro dyrektora naczelnego stanowiło strefę zakazaną. Myer rozwinął na podłodze zamszowy rulon zawierający wytrychy i zabrał się do pracy. Były instruktor akademii policyjnej potrzebował tylko trzydziestu sekund, żeby otworzyć zamek.

Inspektor omiół biuro światłem latarki. Mini-BSP stał na stole, gdzie widział go ostatnio. Podniósł urządzenie, oglądając je pod każdym kątem.

Zdumiewające, że takie małe mogło osiągać zawrotną prędkość. Najbardziej interesowało von Danikena jego przeznaczenie, pokojowe czy inne.

Odstawił mini-BSP i zrobił kilka zdjęć aparatem cyfrowym, potem podszedł do biurka Lammersa. Dziwne, ale szuflady nie były zamknięte na klucz.

Wyjmował z nich kolejne teczki martwego dyrektora, rozkładał dokumenty na biurku i fotografował. Większość wyglądała na korespondencję klientów, wewnętrzne notatki służbowe i rachunki. Nie zobaczył niczego, co wskazywałoby, dlaczego Lammers uznał, że warto mieć w domu trzy paszporty i załadowane uzi.

To jego życie publiczne, powiedział sobie von Daniken. Uśmiechnięta strona lustra.

- Dwanaście minut - szepnął Krajcek, wtykając głowę do biura. Pełnił funkcję ochrony, o czym świadczył heckler & koch MP-5 z tłumikiem w jego rękach.

Terminarz.

Von Daniken zauważył go niemal przypadkiem, na kredensie obok zdjęcia Lammersa z żoną i dziećmi. Podniósł oprawiony w skórę notes i przewertował.

Krótkie wpisy, niemal jak szyfr, dotyczyły głównie spotkań, zawierały nazwę firmy i nazwisko przedstawiciela. Spojrzał na ostatnią zapisaną stronę, z dnia śmierci Lammersa. Kolacja o dziewiętnastej w Ristorante Emilio z „G.B.". Obok numer telefonu.

Sfotografował stronę.

Gdy skończył w biurze, razem z Myerem minął recepcję i przez wahadłowe drzwi wszedł do hali fabrycznej.

- Gdzie jego warsztat? - zapytał Myer, gdy kluczyli pomiędzy stanowiskami roboczymi.

- Skąd mam wiedzieć? Powiedziano mi tylko, że tam Lammers zbudował swój miniaturowy aparat latający.

Myer zatrzymał się i złapał go za ramię.

- Jesteś pewien, że tu?

- W zasadzie. - Von Daniken pamiętał, że asystentka Lammersa nie wspominała, że jego warsztat znajduje się na terenie zakładu.

- W zasadzie? Narazam swoją emeryturę dla „w zasadzie”?

W głębi hali znajdowało się zamknięte pomieszczenie. Wejścia strzegły stalowe drzwi z napisem „Privat”.

- W zasadzie jestem pewien, że to tu - powiedział von Daniken. Myer przykląkł i podniósł latarkę.

- Zamknięte jak Nationalbank - mruknął.

- Dasz radę otworzyć?

Obrzucił go miazdzącym spojrzeniem.

- W zasadzie jestem pewien.

Rozłożył swoje narzędzia i zaczął wsuwać jedno po drugim do dziurki. Von Daniken stał w pobliżu, serce waliło mu na tyle głośno, by słyszeli je w Austrii.

Nie nadawał się do takich rzeczy. Najpierw włamanie i wejście bez nakazu, a teraz grzebanie we własności prywatnej. Co w niego wstąpiło? Nigdy nie popierał akcji w stylu szpiegowskim. Prawda wyglądała tak, że był urzędnikiem i czuł się dumny. Pięćdziesiąt lat to trochę za dużo, żeby uczestniczyć w pierwszej tajnej operacji.

- Dziewięć minut - przypomniał Krajcek, jego obojętny głos wsączył się do ucha von Danikena.

Kübler wszedł do hali z detektorem promieniowania. Skierował urządzenie w prawo i histogram ustąpił nowemu symbolowi. C3H6TM606. Obok widniało słowo „cyklotrimetylenotrinitroamina”. Rozpoznał nazwę, ale przywykł do handlowej. RDX. Może jednak to nie było szukanie wiatru w polu.

- Osiem minut!

Kłęcząc na podłodze, Myer manipulował dwoma wytrychami z wprawą

prestidigitatora.

- Mam - oznajmił, gdy zapadki wskoczyły na miejsce i drzwi się otworzyły.

Von Daniken wszedł do środka. Snop światła z latarki padł na warsztat pełen narzędzi elektrycznych, szczypiec, drutów i skrawków metalu. Wystarczył rzut oka, by zrozumiał, że znaleźli warsztat Theo Lammersa.

Zapalił światło. Była to większa wersja pomieszczenia, które zeszłej nocy widział w Erlenbach. W obu końcach stały stoły kreślarskie, oba pokryte rysunkami technicznymi i światłokopiami schematów. Na podłodze stały różnego rodzaju pudła. Wydrukowane na nich nazwy wskazywały na producentów sprzętu elektrycznego.

Na ścianie wisiała przyklejona taśmą światłokopia projektu jakiegoś statku powietrznego. Stając na palcach, von Daniken przyjrzał się specyfikacji.

Długość: dwa metry. Rozpiętość skrzydeł: cztery i pół metra. To nie był zminiaturyzowany aparat latający. Coś znacznie większego. Rysunki identyfikowały to jako „dron”, zdalnie sterowany samolot używany do przelotów nad terytorium wroga i, jeśli się nie mylił, czasami do wystrzeliwania pocisków.

Ta myśl podniosła mu włosy na karku. W rogu światłodruku wisiała fotografia gotowego produktu. Był naprawdę duży. Wielki, jak na zdalnie sterowany samolot. Obok stał jakiś człowiek. Ciemne włosy. Ciemna karnacja. Przysunął zdjęcie. Znacznik czasu wskazywał, że zostało zrobione tydzień temu. Odwrócił je. Na odwrocie zobaczył datę oraz inicjały: „TL. i CE”. T.L. To Lammers. Kim był C.E.?

- Cztery minuty - rzucił Krajcek.

Von Daniken wymienił zatroskane spojrzenie z Myerem. Obaj kontynuowali poszukiwania. Myer przeglądał kartony, podczas gdy inspektor szperał w papierach na stołach kreślarskich.

- Dwie minuty.

Wtedy von Daniken przypomniał sobie inicjały w terminarzu Lammersa. G.B.

Spojrzał jeszcze raz na odwrotną stronę fotografii. To nie były litery „C.E.”, ale „G.B.”.

Podniósł aparat i użył zoomu, żeby powiększyć zdjęcie, które zrobił w biurze, i odczytał numer telefonu obok liter G.B. Kierunkowy 078. Kanton Ticino, leżący najdalej na południu, z miastami Lugano, Locarno i Ascona.

Był to jego pierwszy prawdziwy trop.

Potem zobaczył Küblera w drzwiach. Mężczyzna szedł w jego stronę jak automat, w milczeniu, z oczami wbitymi w wykrywacz promieniowania.

- RDX - powiedział. - Pełno tu tego.

Skrót nie wymagał tłumaczenia. RDX, Royal Demolition Explosive, był dobrze znany policjantowi, który miał do czynienia z antyterroryzmem.

Wyprodukowany przez Brytyjczyków przed II wojną światową, RDX stanowił główny składnik wielu plastycznych materiałów wybuchowych i służył jako materiał inicjujący w broni atomowej.

Von Daniken poczuł się tak, jakby poraził go piorun. Dron, firma produkująca hiperdokładne systemy naprowadzające, a teraz materiały wybuchowe.

- Ale nigdzie go nie widzę - zauważył. - Gdzie może być schowany?

- Tu go nie ma. Wykrywam tylko ślady. Ale odczyty są świeże.

- Jak świeże?

Kübler przyjrzał się ekranowi.

- Sądząc po tempie rozpadu, powiedziałbym, że dwadzieścia cztery godziny.

Przed kolacją Lammersa z G.B.

- Sześćdziesiąt sekund - zameldował Krajcek. - Wóz patrolowy jest trzy przecznice stąd i się zbliża.

- Wychodzimy - poleciał von Daniken, szybko fotografując światłodruki.

Kübler wybiegł z warsztatu. Myer za nim. Von Daniken podszedł do drzwi. Już miał zgasić światła, gdy to zobaczył.

Młodszy braciszek.

Na końcu pomieszczenia, w głębi półki pod stołem, stała mniejsza może o połowę wersja mini-BSP z biura Lammersa - nie więcej niż dwadzieścia centymetrów długości, dwadzieścia wysokości. Skrzydła jednak miały inny kształt, niemal trójkątny. Zauważył, że są umocowane do centralnego zawiasu i mogą łopotać jak ptasie.

Przez chwilę stał, nie wiedząc, czy zostać, czy wyjść. W końcu podbiegł i podniósł miniaturowy samolot. Ważył nie więcej niż pięćset gramów.

Niezupełnie lekki jak piórko, ale cholernie blisko.

- Czy to lata? - zapytał Michaelę Menz wcześniej tego dnia.

- Oczywiście - odparła z oburzeniem. - Wystrzelimy go ze strefy załadunku.

Von Daniken zauważył, że spodnia strona skrzydeł pokryta jest lekkim,

rozciągliwym materiałem w krzykliwe żółty kolorze ze znajomym czarnym wzorem.

Myer wetknął głowę do biura.

- Cholera jasna, człowieku, co tu jeszcze robisz? Musimy się wynosić!

Von Daniken podniósł aparat.

- Spójrz na to.

- Zostaw! - wyszczał Myer. - Do diabła, po co ci motyl-zabawka?

## 21

Pod Wiedniem, w leżącej wśród lasów wiosce Sebastiendorf, w oknach Flimelen, tradycyjnego austriackiego domku myśliwskiego, paliły się światła.

Zbudowana dla cesarza Franciszka Józefa, pełna zakamarków posiadłość zamieniała się w ruinę po śmierci właściciela, który zmarł pod koniec I wojny światowej. Przez czterdzieści lat stała opuszczona i zaniedbana. Wybite szyby, drzwi powyrywane i porąbane na opał, kamienie fundamentów zabrane do budowy innych, mniej majestatycznych domów - wydawało się, że dwór zostanie w całości połknięty przez las.

A potem, w 1965 roku, narodził się na nowo. Pewnego dnia przybyli robotnicy i zaczęli odrestaurowywać ruinę. Wstawiono nowe okna. Założono mocne drzwi.

Przy drodze zbudowano wartownię. Pewna organizacja, potrzebując odludnego miejsca do omawiania spraw najbardziej poufnych, wystąpiła o przejęcie Flimelen na własność. Nie rząd, ale twór wielu rządów, skupiony na zapobieganiu katastrofom czy wojnom.

Czterej mężczyźni i kobieta zajmowali miejsca wokół długiego stołu w wielkiej sali. U szczytu stołu zasiadał sztywny, posępny mężczyzna pochodzenia bliskowschodniego z siwiejącą grzywką i schludnie przystrzyżonym wąsem.

Nosił wąskie szkła uczonego i rzeczywiście miał stopnie naukowe z prawa i dyplomacji z uniwersytetów w Kairze i Nowym Jorku. Choć zbliżała się północ, a pozostali mężczyźni dawno zdjęli krawaty i rozpięli kołnierzyki, on sobie na to nie pozwolił. Z największą powagą potraktował powierzoną mu funkcję. Za swoje starania dostał Pokój ową Nagrodę Nobla. Niewielu ludzi mogło powiedzieć, że od nich zależy los świata, nie wychodząc na aroganckich, bezczelnych kłamców. On się do nich zaliczał.

Nazywał się Mohamed El Baradei. Był przewodniczącym Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej.

- To nie może być prawda - mówił, przesuwał palcem po raporcie.

- Obawiam się, że nie ma wątpliwości - powiedział mężczyzna siedzący obok niego, Jurij Kulikow, Rosjanin z twarzą pokerzysty, kierujący wydziałem energii nuklearnej MAEA.

- Ale jak? - El Baradei powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych. - Jeśli tak, nie spełniłmy naszego obowiązku.

- Program zinstytucjonalizowanego oszustwa - odparł Kulikow. - Gra w trzy karty. Od lat koncentrowaliśmy uwagę na jednym miejscu, podczas gdy oni potajemnie pracowali w drugim.

Mężczyźni i kobieta siedzący obok niego byli najwyżej postawionymi członkami sekretariatu, zespołu profesjonalistów kierującego MAEA. W zebraniu uczestniczyli także: Oniguchi, Japończyk, który kierował działem fizyki jądrowej i jej zastosowań, Brandt, Austriaczka, jedyna kobieta w tym gronie, zajmująca się współpracą techniczną, i Pekkonen, flegmatyczny Fin zarządzający zabezpieczeniami i weryfikacją, najbardziej znanym wydziałem MAEA.

- Dokładność daty nie budzi wątpliwości - oznajmił Pekkonen. - Czujnik był wyposażony w mikroukład następnej generacji, określający sygnaturę emisji promieniowania gamma z dziesięciokrotnie większą dokładnością niż starszy model.

El Baradei nie miał wykształcenia w tej dziedzinie, ale dwudziestoletnia praca w MAEA w Wiedniu pozwoliła mu poznać podstawy fizyki jądrowej. Emisje materiałów radioaktywnych, takich jak uran czy pluton, dają unikatową sygnaturę. Dokładnie zmierzone sygnatury pozwalają określić wiek i wzbogacenie materiału radioaktywnego, a także, co ważniejsze, przynajmniej dla niego i ludzi siedzących przy stole, zamierzone zastosowanie.

Uran w postaci naturalnej nie może zostać użyty do zainicjowania reakcji jądrowej. Musi zostać wzbogacony, czyli napompowany konkretnym izotopem uranu - U-235. Najbardziej rozpowszechniona metoda wzbogacania polega na poddawaniu gazowego sześćfluorku uranu wirowaniu frakcjonującemu w wirówce, szybkoobrotowym stalowym bębnie. Każdy cykl wirowania powiększa koncentrację uranu wzbogaconego. Aby przyspieszyć proces, wirówki są połączone, więc gaz spływa kaskadą z jednego urządzenia do następnego. Droga do sukcesu jest prosta: im więcej wirówek, tym szybsze wzbogacenie.

Do zastosowań cywilnych, jako paliwo w elektrowniach atomowych, pierwiastek radioaktywny musi zostać wzbogacony do trzydziestu procent.

W przypadku wykorzystania uranu jako materiału rozszczepialnego - czyli zdolnego do spowodowania reakcji jądrowej - wzbogacenie musi osiągnąć dziewięćdziesiąt trzy procent. W raporcie, na który patrzył El Baradei, sygnatury promieniowania gamma wskazywały na zdumiewający poziom dziewięćdziesięciu sześciu procent.

- Motyl krążył nad obszarem docelowym przez siedem dni - podjął Pekkonen.

- W tym czasie wysłał tysiące pomiarów atmosfery. Mało prawdopodobne, by wszystkie były błędne.

- Ale odczyty są niebotycznie wysokie - sprzeciwił się El Baradei. - Jak mogli ukrywać to przed nami tak długo?

- Nowy obiekt został zbudowany głęboko pod ziemią i zamaskowany jako zbiornik podziemny.

- Jeśli jest tak dobrze zamaskowany, jak go znaleźliśmy? Pekkonen pochylił się, jasny lok nad jego czołem kontrastował z rumianą karnacją.

- Członek amerykańskiej delegacji do ONZ przekazał nam pogłoskę o lokalizacji. Informacje pochodziły od źródła zajmującego wysokie stanowisko w rządzie Iranu. Amerykanie uznali, że może zdołamy je potwierdzić albo obalić.

Grupa naszych inspektorów przebywała sto sześćdziesiąt kilometrów na południe od wskazanego miejsca. Mogliśmy wystrzelić motyla i monitorować go stamtąd bez przyciągania uwagi.

- I zrobiliście to bez mojej aprobaty, a nadto z całkowitym pogwałceniem naszego mandatu do przeprowadzenia inspekcji w obiektach za zgodą i przy współpracy naszych gospodarzy?

Pekkonen pokiwał głową.

- Dobra robota - pochwalił El Baradei. - Czy Amerykanie już wiedzą o naszych odkryciach?

- Nie, panie dyrektorze.

- I niech tak pozostanie. - El Baradei powiódł wzrokiem po twarzach obecnych. - Rok temu doszliśmy do przekonania, że Iran posiada pięćset wirówek i wzbogacił nie więcej niż pół kilograma uranu do sześćdziesięciu procent. Daleko od poziomu wymaganego do użycia jako broni. A teraz to! Ile wirówek potrzeba, żeby uzyskać takie odczyty?

- Ponad pięćdziesiąt tysięcy - odparł Oniguchi.

- A skąd mogli je wziąć? Nie mówimy o skrzyni podróbek iPodów. To samolot pełen najbardziej monitorowanych urządzeń na świecie, podlegających ścisłej kontroli.

- Najwyraźniej przemycili - powiedział Pekkonen.

- Najwyraźniej - powtórzył El Baradei. - Ale kto? Skąd? Mam czterystu inspektorów, którzy mają obowiązek mieć oko na tego typu rzeczy. Jeszcze pięć minut temu sądziłem, że są wyjątkowo kompetentni. - Zdjął okulary i



położył je na stole. - Więc? Ile mają uranu zdatnego do budowy broni?

Pekkonen spojrział nerwowo na przełożonego.

- Panie dyrektorze, nasza konkluzja jest taka, że Republika Iranu posiada obecnie nie mniej niż sto kilogramów wzbogaconego uranu 235.

- Sto? A ile bomb mogą z tego zbudować? Fin przełknął ślinę.

- Cztery. Może pięć.

Mohamed El Baradei włożył okulary. Cztery. Może pięć. Pekkonen równie dobrze mógł powiedzieć tysiąc.

- Dopóki nie otrzymamy niezależnej oceny danych, nikt z tu obecnych nie powie nikomu słowa o tych odkryciach.

- Ale czy nie powinniśmy podzielić się... - zaczęła Milli Brandt, Austriaczka.

- Nikomu ani słowa - powtórzył El Baradei z naciskiem. - Ani Amerykanom.

Ani naszym kolegom w Wiedniu. Proszę o zachowanie absolutnego milczenia.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, jest jakiś incydent, zanim informacje zostaną zweryfikowane.

- Ale, panie dyrektorze, mamy obowiązek...

- Jestem w pełni świadom naszych obowiązków. Czy wyraziłem się zrozumiale?

Milli Brandt pokiwała głową, ale jej oczy zdradzały, że powzięła inną decyzję.

- Zebranie zamknięte.

Czekając, aż wszyscy wyjdą, El Baradei, dręczony przez własne myśli, słuchał wiatru grzechoczącego okiennicami. Wreszcie trzasnęły drzwi. Głosy ucichły.

Został sam.

Złożył ręce, zapatrzył się w nocne niebo. Nie był człowiekiem religijnym, ale stwierdził, że splata palce w modlitwie. Jeśli wieści o raporcie wyjdą z tego pokoju, skutki będą natychmiastowe i katastrofalne.

- Boże, dopomóż nam, zwykłym zjadaczom chleba - szepnął. - To będzie wojna.

## 22

Po zakończeniu kontroli przed lotem Pilot przeciągnął ręką po skrzydłach samolotu. Zbiorniki pełne paliwa. Płyn przeciw zamarzaniu wlany. Ptaszek był gotów do lotu. Pilot ruszył po pasie, kopiąc kamyki.

Dziś miał się odbyć ostatni lot próbny. Wszystko musiało zostać wykonane dokładnie tak, jak w dzień ataku. Powtarzanie zapewnia precyzję, a precyzja jest gwarancją sukcesu. Dużo zapłacił za naukę tych zasad. Jego ciało nosiło blizny ignorancji. Jeszcze raz podszedł do samolotu, dwa razy stuknął w skrzydło na szczęście, potem wrócił do domu.

Minęło wiele lat, odkąd brał udział w ostatniej misji bojowej. Był wtedy młody, beztrocki i przystojny. Pijak. Kobieciarz. Człowiek, który stronił od Drogi Prawości. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Już nie był młody, już nie był beztrocki. Bóg świadkiem, już nie był przystojny.

Nie mógł patrzeć na siebie bez rozpamiętywania. Wspomnienia tego zapomnianego przez Boga miejsca zawsze czyhały blisko powierzchni, widma spowite przez strach, poczucie winy i ogień. Dobrze pamiętał noc na pustyni.

Doskonałe nastroje, duch zwycięstwa, przekonanie, że Bóg walczy po ich stronie. Po stronie wiernych. Nie mógł znieść echa ich głosów w uszach.

Przyjaciele. Towarzysze. Bracia.

A potem nagle zerwał się habub. Wielka chmura dziko wirującego piasku wzbijała się z pustyni na setki metrów w niebo, spowijając ich wszystkich, wzniesając chaos i panikę. Rozpętało się piekło.

Misja zakończyła się w płomieniach. Ośmiu ludzi spłonęło żywcem. Pięciu odniosło poważne obrażenia. Był wśród nich, z oparzeniami trzeciego stopnia obejmującymi siedemdziesiąt procent powierzchni ciała.

W następnych dniach - długich dniach naznaczonych bólem i zwątpieniem - przyszło mu na myśl, że został ocalony nie bez powodu. Dostał drugą szansę.

Blizny, które nosił, miały przypominać mu o tej szansie, o wyparciu się posłuszeństwa Jemu. Jeśli Wszchemogący odebrał mu przyrodzone dary fizyczne, to w zamian obdarował go duchowym przebudzeniem. Przyciągnął go blisko i przemówił do niego. Aby uczynić go jednym ze swoich osobistych sług.

Namaszczonym. Wszystko służyło pewnemu celowi, a cel ten był

szczytny.

Pilot spłonął dla Sprawiedliwego. Żył tylko dla Jego powrotu.

Zebrał załogę w pokoju odpraw. Wszyscy chwycili się za ręce.

- Boże Wszchemogący, modłę się do Ciebie, abyś przyspieszył przyjście swojego ostatniego powiernika, Obiecanego, czystej i doskonałej istoty ludzkiej, Tego, który napełni świat sprawiedliwością i pokojem.

Krąg pękł. Mężczyźni zajęli stanowiska.

Pilot z drzeniem podszedł do pulpitu sterowniczego. Wiele się zmieniło od czasu jego ostatniej misji bojowej. Zamiast szeregu tarcz i przyrządów, miał przed sobą ścianę sześciu płaskich monitorów z wyświetlonymi głównymi funkcjami samolotu. Usiadł w fotelu i rozejrzał się. Zaciśnął rękę na joysticku i wyczuwał go przez chwilę.

- Kontrola systemów zakończona - zameldował jeden z techników. - Połączenie naziemne utworzone. Łączność satelitarna nawiązana. Wideo działa.

- Potwierdzam. - Pilot odpalił silnik. Wszystkie światła na tablicy sterowniczej miały zielony kolor. Silnik turbowentylatorowy Willimas przyspieszał płynnie przed włączeniem na pełną moc.

Dochodziła druga. Na zewnątrz „kabiny” noc była czarna jak smoła. W wysoko położonej alpejskiej dolinie, gdzie odbywała się próba, nie paliło się ani jedno światło. Pilot skupił oczy na ekranie zajmującym centralne miejsce na pulpicie. Widział ziarnisty zielony obraz pasa, przekazywany z kamery na podczerwień zamontowanej w dziobie samolotu. Miał wrażenie, że patrzy na świat przez słomkę.

- Proszę o zezwolenie na start.

- Masz zezwolenie. Bezpiecznego lotu. Allah akbar.

Pilot przesunął dźwignię przepustnicy. Zwolnił hamulec i samolot zaczął się toczyć po pasie. Gdy osiągnął prędkość stu węzłów, poderwał go w powietrze.

Spojrzał na ekran radaru rozpoznającego ukształtowanie terenu. Dolinę otaczały góry, niektóre szczyty miały cztery tysiące metrów. Miejsce nie było idealne, ale zapewniało jedną ważną rzecz: prywatność. Zwiększył prędkość do czterystu pięćdziesięciu węzłów i zmienił ustawienie lotek. Samolot reagował płynnie na jego polecenia, tylko z nieznacznym opóźnieniem.

- Przystępuję do testu numer jeden - powiedział po zakończeniu przelotu nad doliną.

Pilot spojrzał na ekran radaru. Minęła chwila i pojawił się pulsujący

punkt.

Cel, oddalony o sześć kilometrów, nabierał wysokości. Wcisnął klawisz kontaktu i określił punkt jako „Alfa 1”. Komputer pokładowy wykreślił bezpośrednią drogę do celu.

- Rozpaczynam podejście do celu. Kontakt za dwie minuty dziesięć sekund.

- Dwie minuty dziesięć sekund, odliczanie - powiedział kontroler lotu.

Pilot ustawił samolot za celem. Punkt zbliżał się do środka monitora. Był tylko kilometr dalej i dwieście metrów niżej niż on. Nagle samolot wszedł w ławicę chmur. Stracił go z oczu. Sprawdził na drugim monitorze z obrazem w podczerwieni. Nie dostrzegł śladu termicznego. Gwałtowny podmuch skierował dziób ku ziemi. Zabrzęczał alarm. Ostrzeżenie przed przeciągnięciem. Dreszcz paniki przebiegł mu po kręgosłupie. To było jak noc na pustyni przed laty. Znów się czuł jak w habubie, wirującej burzy piaskowej, która wzbijała się z pustyni i wzniosła spiralą na setki metrów w niebo. Jego spojrzenie skakało z jednego monitora na drugi.

Zaufaj przyrządom. Kardynalna zasada pilota.

Wspomniał kolizję. Bryzgające na niego paliwo lotnicze, płomienie trawiące drugiego pilota. Okropny smród płonącego ciała. Jego ciała. Zaufaj przyrządom.

Tym razem mówił do niego inny głos. Spokojny, niepodważalny. Polegaj na mnie.

Pociągnął drążek sterowniczy do siebie i pchnął dźwignię przepustnicy.

Prędkość trzysta węzłów. Nos się podniósł. Nagle wyszedł z chmury. Ponad nim mrugały gwiazdy. Puls zwolnił, ale czuł pot spływający wzdłuż kręgosłupa.

Znów zajął pozycję za celem. W odległości pięciuset metrów uzbroidł gondolę.

Cel pojawił się w polu widzenia, wielki jak wieloryb. Pilot zwiększył prędkość i zbliżył się do ofiary.

Trzy... dwa... jeden...

Samolot uderzył w cel. Punkt opisany jako Alfa 1 zniknął z ekranu.

- Bezpośrednie trafienie. Cel zniszczony - oznajmiła kontrola naziemna.

Załoga krzyknęła na wiwat. Tym razem cel był symulacją komputerową.

Pilot okrążył dolinę i gładko sprowadził samolot na ziemię. Wysiadł z kabiny, przeszedł przez pokój kontroli i odciągnął zasłony wielkiego panoramicznego okna. Na zewnątrz na pasie stał dron, którego pilotował.

Grupa ludzi otoczyła samolot i zaczęła go rozkładać.  
Pilot spuścił oczy i podziękował Bogu.  
Następnym razem to nie będzie symulacja.

## 23

Zegar wskazywał czwartą czterdzieści jeden, gdy Jonathan zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Deszcz bębnił po przedniej szybie. Mgła spowijała dwupiętrowy budynek z kamienia i terakoty.

- Zamknięte - powiedziała Simone. - Nikogo nie ma.

Jonathan wskazał linki do rozwieszania prania przy oknie na drugim piętrze.

- Zawiadowca stacji mieszka nad biurem. - Wyciągnął rękę. - Masz? Simone wyłowiła z torebki identyfikator sierżanta Oskara Studera.

- A jeśli nie uwierzy?

- Jest piąta rano. Nie przypuszczam, że zaczniesz wypytywać policjanta, który przychodzi do jego domu. Poza tym nie mogę machać tą legitymacją w biały dzień, chyba że przybiorę dwadzieścia kilo na wadze, ogolę głowę i parę razy złamię sobie nos. Spójrz tylko. Co widzisz? - Jonathan przysunął legitymację do twarzy. Simone kręciła głową i mrużyła oczy, wpatrując się w zdjęcie wielkości kciuka. Dał jej trzy sekundy i zatrasnął portfel. -1 co?

- Jest za ciemno. Nie mogłam nic zobaczyć.

- Otóż to.

Nie dała się jednak łatwo przekonać..

- Ale skąd wiesz, że coś znajdziesz?

Jonathan wyjął kwity z kieszeni i wsunął je do portfela z legitymacją.

- Nikt nie wysyła takich pieniędzy bez możliwości ich odzyskania. Simone pokręciła głową. Z rękami skrzyżowanymi na piersi, bez wcześniejszej brawury, wydawała się mniejsza, starsza. Już nie była chętną współpracowniczką.

- Naprawdę, Jon, myślę, że powinniśmy poczekać.

- Przesiądź się za kierownicę. Jeśli nie wrócę za piętnaście minut, odjedź.

Otworzył drzwi i wyszedł w deszcz.

- Si?

Nieogolony mężczyzna we flanelowej piżamie spojrzął zaczerwienionym okiem przez szczelinę uchylonych drzwi. Jonathan pokazał mu policyjną odznakę.

- Signor Orsini - zaczął poprawną włoszczyzną. - Graubtinden Kantonspolizei.

Potrzebujemy pańskiej pomocy.

Orsini wyrwał legitymację z jego ręki i podniósł ją do twarzy. Skupił wzrok.

- Co takiego nie może zaczekać do rana? - zapytał, przenosząc spojrzenie z legitymacji na stojącego przed nim człowieka.

- Jest rano - odparł Jonathan, zabierając mu legitymację. Wcisnął się w drzwi, zmuszając zawiadowcę do cofnięcia się za próg. - Morderstwo. Policjant. Mój partner, prawdę mówiąc. Może słyszał pan o tym w wiadomościach.

Czekał na komentarz na temat zdjęcia, ale Orsini tylko parsknął ze złości.

- Nie, nie widziałem. Nikt mnie nie uprzedził, że pan przyjdzie. Jonathan mówił dalej, jakby nie interesowało go, kto powinien czy nie powinien go uprzedzić.

- Parę godzin temu stwierdziliśmy, że na tej stacji zostały nadane bagaże należące do podejrzanego. Mamy kwity bagażowe. Musimy znać nazwisko człowieka, który je nadał.

- Ma pan pisemne upoważnienie?

- Jasne, że nie. Nie było czasu. Morderca kieruje się w tę stronę. Wieści nie zrobiły wrażenia na Orsinim.

- Gdzie jest Mario? Porucznik Conti?

- Prosił, żebym udał się bezpośrednio na stację.

Zawiadowca przemyślał jego słowa, pociągnął nosem i podciągnął dół piżamy.

- Chwileczkę. - Zamknął drzwi.

Wyszedł pięć minut później, starannie uczesany, umyty, ubrany w szare spodnie i niebieską marynarkę portiera. Jonathan wyszedł z nim na zewnątrz, do kasy biletowej.

Chwilę później Orsini siedział za biurkiem, wystukując na klawiaturze komputera numery z kwitów bagażowych.

- Zobaczmy... wysłane do Landąuart... bagaż odebrany wczoraj po południu.

Bastal Za późno. Po odebraniu bagaży plik jest automatycznie kasowany. Nie mogę panu pomóc.

Zrezygnowana mina Orsiniego rozwścieczyła Jonathana.

- Jest jakiś inny zapis? - zapytał. - Może, gdy klient kupował bilet? Mówimy o morderstwie. Nie o kradzieży torebki. Proszę mi podać nazwisko!

- Uderzył dłonią w blat.

Orsini cofnął się, ale chwilę później zaczął walić w klawiaturę jak

szaleniec.

- Za bilety zapłacono gotówką... Musiał wypełnić pokwitowanie...  
chwileczkę... - Wstał, minął Jonathana i podszedł do rzędu szaf na akta.

Mrucząc nerwowo, wyjmował pliki spiętych pokwitowań, oglądał je i  
rzucał na stół. Nagle uderzył palcami w wybrany świstek. - Mam go!  
Jonathan stanął za nim.

- Kto to?

- Blitz. Gottfried Blitz. Villa Principessa. Via Della Nonna - oznajmił  
Orsini triumfalnym głosem, przeglądając kwity. - Zadowolony, panie  
władzo?

Ale kiedy się odwrócił, biuro było puste. Jonathan już wyszedł.



## 24

arcus von Daniken krążył po terminalu na lotnisku Bern-Belp. Na płycie stał śmigłowiec „Sikorsky”. Załoga zajmowała się usuwaniem oblodzenia z wirników. Z wieży napłynęła wiadomość, że pogoda nad Alpami się polepsza.

Mieli sześćdziesiąt minut, żeby przelecieć nad górami do Ticino, zanim nadciągnie kolejny front i skutecznie oddzieli północną część kraju od południowej. Von Daniken nie przepadał za lataniem, ale tego ranka nie miał wyboru. Przy północnym wjeździe do tunelu św. Gotharda wywróciła się osiemnastokołowa ciężarówka i utworzył się korek długi na dwadzieścia pięć kilometrów.

Z megafonów popłynął komunikat zapraszający na pokład helikoptera. Von Daniken niechętnie wyszedł z ciepłego wnętrza, a za nim Myer i Krajcek.

- Jak długo? - zapytał pilota, gdy wsiadł na pokład.

- Dziewięćdziesiąt minut... jeśli pogoda się utrzyma - odpowiedział pilot i podał mu torebkę chorobową.

Von Daniken przypiął się mocno. Popatrzył na białą papierową torebkę i wymruczał krótką modlitwę.

Śmigłowiec wylądował na przedmieściach Ascony sześć minut po dziewiątej.

Silny przeciwny wiatr sprawiał, że maszyna miotła się jak piłeczka w bębnie maszyny losującej. Pilot dwa razy pytał, czy nie zawrócić. Za każdym razem von Daniken tylko kręcił głową. Gorsze od mdłości było podejrzenie, że w tym czasie Blitz pakuje walizki i pryska za włoską granicę.

Okazało się, że numer telefonu z terminarza Lammersa należy do niejakiego Gottfrieda Blitzza, mieszkańca Villi Principessa w Asconie. Von Daniken uprzedził telefonicznie miejscową policję o swoim rychłym przybyciu. Wydał instrukcje, że pod żadnym pozorem nie wolno kontaktować się z podejrzanym ani dokonać aresztowania.

Silnik jęknął i ucichł. Łopaty zwolniły i wygięły się pod własnym ciężarem.

Gdy von Daniken postawił nogę na twardej ziemi, zrobił wszystko, żeby nie paść na kolana i nie pocałować płyty lotniska. Niech się dzieje, co chce, do domu wróci samochodem.

Na skraju lądowiska stał porucznik Mario Conti, komendant policji kantonu Ticino.

- Zawiozę pana do domu Blitz - powiedział. - Pański asystent chyba już tam jest.

Von Daniken ruszył prosto w kierunku czekającego wozu. Wciąż miał w uszach hałas silnika, więc nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

- Mój asystent? To są moi ludzie: pan Myer i pan Kraj cek. Nikt inny z mojego biura nie pracuje nad tą sprawą.

- Rano odebrałem telefon od signora Orsiniego, zawiadowcy stacji, który powiedział, że odwiedził go policjant i wypytywał o bagaże. Założyłem, że pracuje nad tą samą sprawą.

- O jakim właściwie bagażu mówimy? - Von Daniken zatrzymał się w pół kroku.

- O tym, który został wysłany do Landquart - wyjaśnił porucznik.

-Funkcjonariusz poinformował signora Orsiniego, że bagaż należy do człowieka podejrzanego o zabicie policjanta.

- Nie prowadzę dochodzenia w sprawie zabójstwa policjanta w Landquart. Nie wysłałem nikogo do zawiadowcy stacji.

Conti pokręcił głową, policzki mu poczerwieniały.

- Ale ten policjant... pokazał legitymację. Jest pan pewien, że nie pracujecie razem?

Von Daniken zignorował pytanie, dążąc do sedna.

- Czego dokładnie szukał ten policjant?

- Chciał poznać nazwisko i adres człowieka, który nadał torby.

Von Daniken ruszył do samochodu. Przyspieszył kroku, gdy pewna myśl wpadła mu do głowy.

- A nazwisko tego człowieka to...

- Blitz - powiedział komendant policji, niemal biegnąc, żeby nie zostać w tyle.

- Człowiek, którego pan szuka, oczywiście. Mieszka w Asconie. Coś się stało?

Von Daniken otworzył drzwi wozu, - Jak daleko jest do jego domu?

- Dwadzieścia minut jazdy.

- Zawieź nas tam w dziesięć.

## 25

gła, która spłynęła ze zbocza, spowijała stuletnie budynki i wiła się wąskimi brukowanymi uliczkami. Człowiek znany niektórym jako Duch jechał przez spokojny kurort Ascona. Kilka razy musiał zwolnić i pełzł jak żółw, gdy mgła gęstniała i zasłaniała drogę. Mgła... podążała za nim wszędzie.

Było mglisto, gdy przybyły oddziały, wspominał w czasie jazdy wiejskimi drogami przez wzgórza wokół miasta, mijając sielskie wille i zadbane ogrody.

Mgła inna niż ta. Nocna mgła z wysokiej górskiej doliny, gdzie jego rodzina uprawiała kawę, mgła podstępna i wijąca się jak zabójcza żmija. Patrzył, jak żołnierze wyciągają jego rodziców z łóżek, wloką ich na zewnątrz, rozbierają i zmuszają, żeby nago położyli się w błocie. Potem zabrali jego siostry, nawet Teresę, która nie miała jeszcze pięciu lat. Zamknął oczy, ale nie mógł odciąć się od ich krzyku, lamentu duchów walczących, dopóki nie straciły woli walki.

Kiedy żołnierze skończyli, strzelili dziewczętom w brzuch. Kilku weszło do domu i znalazło należącą do ojca cenną butelkę szkockiej. Stali na tarasie, pijąc i żartując, gdy jego siostry odchodziły do innego świata.

Był chłopcem, siedmioletnim i przerażonym. Commandante wcisnął mu pistolet w dłoń i zaprowadził do rodziców, którym kazano podnieść się na kolana.

Chwycił jego rękę, podniósł i położył palec na spuście. Potem szepnął mu do ucha, że jeśli chce żyć, musi zastrzelić rodziców. Dwa strzały huknęły jeden po drugim. Ojciec i matka upadli w błoto. To chłopiec pociągnął za spust.

Potem, nie okazując strachu ani wahania, wycelował w siebie.

Cudem nie umarł.

Będąc pod wrażeniem jego ogromnej odwagi, commandante podjął decyzję.

Zamiast zostawiać go z ojcem i matką, czterema siostrami i psem jako przykład dla wieśniaków, że nie warto domagać się prawa do głosowania, zabrał go z gór.

Chirurdzy wyjęli kulę, która zmasakrowała szczękę. Dentyści naprawili połamane zęby. Po operacjach chłopiec trafił do prywatnej szkoły, gdzie

okazał się pilnym uczniem. Za wszystko zapłacił rząd. Była to inwestycja w bardzo szczególny „projekt”.

Chłopiec celował we wszystkich przedmiotach. Nauczył się francuskiego, angielskiego i niemieckiego, władał tymi językami równie dobrze jak ojczystym.

W sporcie był szybki i poruszał się z wdziękiem. Stronił od konkurencji zespołowych i koncentrował się na rywalizacji indywidualnej: pływanie, tenis, biegi.

Commandante zaglądał do niego co tydzień. Razem chodzili na herbatę i ciastka do miejscowej kawiarni. Z początku chłopiec skarżył się, że ma koszmary. Co noc w snach spotykał się z ojcem i matką, którzy błagali go o darowanie życia. Obrazy były takie dręczące, takie prawdziwe, że towarzyszyły mu na jawie. Commandante powtarzał, żeby się nie martwić. Wszyscy żołnierze mają takie koszmary. Z czasem zrodziła się pomiędzy nimi więź. Chłopiec zaczął nazywać starszego mężczyznę ojcem. Polubił go. Ale koszmary nie minęły.

Zaczął mieć problemy w szkole.

Pierwszy dotyczył jego życia społecznego. Albo nie mogąc, albo nie chcąc, nie nawiązał normalnych kontaktów z rówieśnikami. Był uprzejmy. Chętny do pomocy... ale w pewnych granicach. Nigdy nie zrzucił skorupy lodowatej rezerwy. Nie miał przyjaciół i nie pragnął ich mieć. Posiłki jadał samotnie. Po ćwiczeniach na boisku wracał do pokoju, gdzie pilnie odrabiał prace domowe. W weekendy grał w tenisa z jednym z kilku znajomych (nigdy nie zostając z nimi po meczu) albo siedział w pokoju i uczył się języków.

Wszystko to było tym bardziej dziwne, że wyrastał na przystojnego młodzieńca. Twarz miał szczupłą, jego wyraziste, arystokratyczne rysy zdradzały kroplę indiańskiej krwi po matce. Co więcej, miał charyzmę urodzonego przywódcy. Bardziej popularni chłopcy zabiegali o jego towarzystwo. Zawsze odmawiał. Wzgardzone zaproszenia szybko ustąpiły szyderstwom. Wyzywano go od pedałów, bękartów i świrów. Reagował z brutalnością nietypową dla tak młodego chłopca. Odkrył, że jest dobry w walce na pięści i że bicie do krwi sprawia mu przyjemność. Wieść szybko się rozeszła. Uznano go za samotnika, którego lepiej się nie czepiać.

Drugim grzechem, w szkole katolickiej znacznie poważniejszym, była niechęć do uczestniczenia w praktykach religijnych. Wymagano, żeby uczniowie codziennie uczestniczyli w mszy. Chłopiec przychodził, lecz ani

się nie modlił, ani nie śpiewał hymnów. Klęcząc przed ołtarzem, nie chciał przyjąć ciała i krwi Jezusa Chrystusa. Kiedyś, gdy ksiądz próbował siłą wsunąć mu hostię do ust, ugryzł go w palce, aż pociekła krew. Co gorsza, kierownictwo szkoły zauważyło, że zaczął się uczyć języka przodków matki. Krążyły też pogłoski, że nawet modli się do pogańskiego bóstwa w zapomnianych słowach.

O tym wszystkim powiadomiono commandante, ale ten, zamiast zniechęcić się do „projektu”, nie krył zadowolenia. Wiedział, jak wykorzystać ludzi, których sumienie zostało wyszorowane do czysta. Zwłaszcza kogoś, kto miał wykształcenie i prezencję dżentelmena. Ktoś taki będzie się poruszać wśród osób wysoko postawionych. Będzie miał wstęp na najbardziej elitarne spotkania.

Krótko mówiąc, był to zabójca doskonały.

„Zabójca doskonały” wyjechał z miasta na otaczające je wzgórza. Skręcił na Via delia Nonna i dość łatwo znalazł Villę Principessa. Zaparkował kilometr dalej na końcu cienistej ślepej ulicy. Tam odprawił swój rytuał. Odmawiając modlitwę zdjął fiolkę z szyi, kolejno zanurzył kule w bursztynowej cieczy i podmuchał lekko na każdą.

Kiedy skończył, wysiadł w wozu i otworzył bagażnik. Włożył pulower z polaru, błyszczący płaszcz przeciwdeszczowy i płomiennie czerwoną czapkę ferrari. Ludzie zobaczą czapkę, nigdy twarz. Potem zamienił mokasyny na buty turystyczne. Plecak zarzucony na ramiona dopełnił przebrania. Szwajcarzy mają bzika na punkcie wędrówek. Duch zamknął bagażnik, wetknął broń za pas i ruszył ulicą.

Przeszedł sto metrów, gdy zobaczył, jak ciemnowłosa mężczyzna z trzema jamnikami wychodzi z Villi Principessa i skręca w jego stronę. Miał około pięćdziesięciu pięciu lat, niebieskie oczy i granatowy sweter. To on.

Duch podszedł z ciepłym uśmiechem.

- Dzień dobry - zagadnął przyjaźnie. Nieczęsto miał okazję rozmawiać z tymi, których miał zabić. Z radością skorzystał z okazji. Z biegiem lat opracował pewne teorie na temat śmiertelności i przeznaczenia i był ciekaw, czy ten człowiek przeczuwa, że jego czas na ziemi się kończy.

- Dzień dobry - odparł Gottfried Blitz.

- Mogę? - Duch pochylił się, żeby poklepać psy, które z zapalem polizwały go po rękach.

Blitz kucnął i podrapał jamniki po głowach i karkach.

- Moje dzieci. Grete, Isolde i Eloise.

- Trzy córki. Czy dobrze opiekują się tatą?
- Bardzo dobrze. Dzięki nim zdrowie mi służy.
- Na czym jeszcze polegają dziecięce obowiązki?

Mężczyzn dzieliły centymetry. Duch patrzył w oczy Blitza. Wyczuwał w nim prąd niepokoju. Nie strachu, ale ostrożności. Spoglądał mu w oczy dość długo, żeby go przekonać, że nie stanowi zagrożenia. Nie widzi tego, pomyślał. Jest nieświadom swojego losu.

Z nonszalanckim salu zabójca wyprostował się i ruszył ku wylotowi ulicy.

Rzucił okiem przez ramię i zobaczył, że Blitz idzie w przeciwną stronę.

Spotkanie nim wstrząsnęło. Ten człowiek mógł być zaniepokojony, ale nie podejrzewał, że jego życie dobiega końca. Dusza nie brała pod uwagę takiej możliwości.

Zdusił ukłucie strachu. Nic nie przerażało go bardziej niż perspektywa śmierci bez ostrzeżenia.

Skręcił za róg i wbiegł na niskie wzgórze. Pięćdziesiąt metrów dalej od ulicy odchodziła gruntowa droga. Szedł nią, licząc domy. Gdy zbliżył się do czwartego, przeskoczył przez niskie ogrodzenie i niespiesznie podszedł do drzwi na tyłach willi. Spojrzał w prawo i lewo, wypatrując ciekawskich oczu.

Zadowolony, że nikt go nie podgląda, zapukał głośno dwa razy. Trzymał pistolet z jedną kulą w komorze i trzema dodatkowymi w magazynku na wypadek, gdyby pierwsza nie wykonała zadania. Zauważył, że w domu nie ma systemu alarmowego. Arogancki, ale niemniej miły akcent. Przycisnął opuszki palców do drzwi, żeby wyczuć wibracje. W domu panowała cisza. Blitz jeszcze nie wrócił ze spaceru.

Parę sekund później Duch był w środku.

## 26

Milli Brandt nie mogła spać. Rzucała się w łóżku w swoim domu w Joseph-stadt, modnej dzielnicy Wiednia i nie mogła myśleć o niczym, z wyjątkiem przekłętego werdyktu Mohameda El Baradei wydanego na zebraniu nadzwyczajnym sześć godzin wcześniej. „Wzbogacenie dziewięćdziesiąt sześć procent...

Sto kilogramów... Dość na cztery czy pięć bomb". Słowa przesładowały ją jak wspomnienie jakiegoś okropnego zdarzenia. Ale wyraz twarzy El Baradei był jeszcze gorszy. Ból, wściekłość i frustracja maskowały to, co uznała za rezygnację. Przyszłość została przesądzona. Świat znów zmierzał ku wojnie.

Nagle usiadła. Miała przyspieszony oddech i musiała zrobić przerwę, gdy piła wodę ze szklanki stojącej przy łóżku. Wstała, spojrzała na męża i poszła cicho do swojego gabinetu. Zamknęła za sobą drzwi, podeszła do biurka. Narastało w niej zdecydowanie. Już nie myślała, tylko działała. To obowiązek, powiedziała sobie.

Pewnym ruchem podniosła słuchawkę. Zdumiewające, pamiętała numer, który kazano jej zapamiętać całe lata temu i pod który miała dzwonić tylko w sprawach najwyższej wagi. Usłyszała jeden, potem drugi sygnał. Czekać, uświadomiła sobie, że jej życie zmieniło się dramatycznie w ciągu jednej minuty. Już nie była zastępcą dyrektora do spraw współpracy technicznej w Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. Od tej chwili była patriotką i troszeczkę szpiegiem.

Nigdy w życiu nie czuła się taka pewna siebie.

- Słucham - usłyszała szorstki, rozkazujący głos.

- Tu Millicent Brandt. Chcę porozmawiać z Hansem o królewskich lipicanach.

- Proszę się nie rozłączać. - Niemal słyszała, jak mężczyzna po drugiej stronie zagląda do swoich teczek czy plików, czy gdzie tam zaglądają zawodowcy zajmujący się wywiadem, gdy dzwoni do nich agent.

„Agent” oczywiście nie jest właściwym słowem. Z drugiej strony, Millicent Brandt to nie było jej prawdziwe nazwisko. Ludmiła Nilskowa, urodzona w Kijowie, była trzecią córką żydowskiego chemika, który ponad trzydzieści lat temu wyemigrował do Jerozolimy, a potem przeniósł się do Austrii. Choć od dzieciństwa mówiła po niemiecku, uczęszczała do

austriackich szkół i miała austriacki paszport, nigdy nie zapomniała kraju, który umożliwił jej rodzinie wyjazd ze Związku Radzieckiego. Niedługo po rozpoczęciu pracy w MAEA odebrała telefon od mężczyzny podającego się za dawnego znajomego rodziny.

Rozpoznała akcent, ale nie nazwisko.

Spotkali się w dyskretnej restauracji w pobliżu Belwederu, po drugiej stronie miasta od jej miejsca pracy. Była to miła kolacja, rozmawiali na wiele tematów.

Trochę polityki, trochę kultury. Co ciekawe, znajomy (którego nigdy wcześniej nie spotkała) wiedział wszystko o jej zamiłowaniu do jazdy konnej, o miłości do Mozarta i nawet o comiesięcznych spotkaniach badaczy Biblii.

Po kolacji zapytał, czy wyświadczy mu przysługę. W głowie natychmiast zabrzączał dzwonek alarmowy. Mężczyzna lekko dotknął jej ramienia. Żle zrozumiała. Nie chciał niczego natychmiast. Niczego niestosownego. Z pewnością niczego, co groziłoby jej utratą pracy. Przeciwnie, ważne, żeby zachowała stanowisko. Prosił tylko, by miała na względzie ich najlepsze interesy.

Obiecała, że da mu znać, jeśli dowie się czegoś, co może postawić pod znakiem zapytania bezpieczeństwo jej przybranej ojczyzny.

Podał numer telefonu i hasło, które miała powtórzyć, gdyby kiedykolwiek uznała, że należy do niego zadzwonić. Poprosił, żeby zapamiętała jedno i drugie, i przepytывał ją, dopóki poprawnie nie podała dziesięciocyfrowego numeru i hasła. Po zakończeniu interesów odzyskał swobodę w sposobie bycia. Uściskał ją i podziękował gorąco.

Gdy Millicent Brandt, z domu Ludmiła Nilskowa, wsiadła do taksówki, żeby jechać do domu, czuła w piersi nieznaną dotąd uczucie. Częściowo strach, częściowo niepokój, częściowo dreszczyk emocji. Wstąpiła w szeregi niezliczonych innych - kierowników, urzędników, biurokratów i profesjonalistów ze wszystkich środowisk - którzy zostali zaprzysiężeni do służby Izraelowi i obiecali pomagać krajowi w sposób dla niego najbardziej odpowiedni.

Usłyszała w słuchawce ostry głos.

- Hans spotka się z panią w Gloriette w pałacu Schonbrunn o dziesiątej. Proszę zabrać numer „Wiener Tagblatt”, złożony w taki sposób, żeby było widać winietę.

- Tak, oczywiście - odparła, i połączenie zostało przerwane.



Milli Brandt odłożyła słuchawkę. Zrobiła to. Dotrzymała obietnicy. Oficjalnie została sajjan. Przyjacielem.

## 27

Gottfried Blitz wprowadził trzy jamniki do domu. Zamknął za sobą drzwi i stanął nieruchomo, nasłuchując alarmu. Nosy psów były lepsze niż jakikolwiek elektroniczny system zabezpieczeń. W domu panowała cisza. Wszedł do pokoju.

Psy leżały na marmurowej podłodze, ziejąc po porannym wysiłku.

Podszedł do okna, odchylił zasłonę i spojrzał na drogę. Ulica pusta. Ani śladu turysty, z którym rozmawiał na spacerze. Miał wykształcony nawyk zapamiętywania twarzy i wiedział, że wysportowany mężczyzna o oliwkowej cerze nie jest sąsiadem. Mówił płynnie po włosku, ale nie był to jego język ojczysty. Zatem kto? Turysta wybierający się na wędrowkę po okolicznych wzgórzach? Przy takiej pogodzie? I dlaczego nie kierował się w stronę szlaku, który zaczyna się na końcu drogi?

Spojrzał na ciemniejące niebo. Jeszcze nie minęła dziewiąta, a dzień już się kończył. Zaczął padać deszcz. Słuchał, jak coraz większe krople uderzają w szyby. Z drżeniem opuścił firankę.

Wystraszyła go śmierć Lammersa. Gazety podawały, że zabójca czekał na niego w domu. Padły sugestie, że to robota zawodowca i że Lammers mógł mieć powiązania z przestępczością zorganizowaną. Blitz wiedział swoje, jeśli Lammers został zdemaskowany, niedługo to samo spotka jego.

Kiedy indziej zwinąłby manatki i zmył się z kraju. Zdawał sobie sprawę z tego, co mu groziło.

Ale to nie było kiedy indziej.

Zaczęła się gra końcowa. Pilot przebywał w kraju. Ostatni test drona zakończył się spektakularnym sukcesem. Status operacji zmienił się na czerwony. Na dobrą sprawę atak już się rozpoczął.

A teraz jatka w Landquart. Jeden człowiek nie żyje, drugi ranny.

Blitz przygryzł wargę. Opowiadał się przeciwko nadawaniu przesyłki pociągiem, ale nie mieli wyboru. Chodziło nie tylko o brak ludzi (w kraju pracowało tylko siedmiu agentów), lecz o ryzyko. Na tym etapie przekazywanie bagażu osobiście groziło zbyt wielkim niebezpieczeństwem. Nie miał zastrzeżeń do szwajcarskiej poczty, choć teraz rozumiał, że wpisanie nazwiska na pokwitowaniu to błąd. Ci z finansów się uparli. Nie chcieli, żeby wynikło coś złego, jeśli pieniądze nie zostaną odebrane. Bywało, że operacje kończyły się w taki sposób. Pieniądze są kluczem,

powiedzieli. To pierwsza rzecz, której będą szukać. Okruszki na ścieżce, tak brzmiała ich logika. Musisz poprowadzić policję za nos, jeśli chcesz, żeby coś znaleźli. A wszystkie tropy wiodły do niego. Do Gottfrieda Blitza.

Wciąż nie mógł przestać myśleć o Theo Lammersie. Robota zawodowca. Ktoś czekał na niego w domu. Zadrżał. To mogło znaczyć tylko jedno. Sieć została spenetrowana.

W salonie włączył stereo. Wagner, jak zawsze. Na tyle głośno, żeby sąsiedzi wiedzieli, że jest w domu i że dzisiejszy dzień nie różni się od innych.

Przyjaciele i sąsiedzi znali Gottfrieda Blitza jako zamożnego niemieckiego biznesmena, jednego z tysięcy, którzy uciekli do południowej Szwajcarii, żeby cieszyć się łagodniejszym klimatem i śródziemnomorską atmosferą. Jeździł najnowszym modelem mercedesa. Co roku odbywał pielgrzymkę do Bayreuth na Festiwal Wagnerowski. W niedzielę rano pobożny Herr Blitz uczestniczył w luterańskich nabożeństwach jak każdy dobry chrześcijanin. Przykrywka była kompletna.

Blitz wszedł do gabinetu, usiadł za biurkiem i wyjął pistolet, który nosił za pasem. Wsunął broń do górnej szuflady, włączył laptopa i przebiegł wzrokiem listę spraw do załatwienia. „Nowy sweter od Bognera dla P.J. Papiery na ŚFE dla H.H. Przelew 100 tys. gotówką”. Zagwizdał cicho. Następne sto tysięcy franków.

Chłopcy z finansów nie będą zachwyceni. Z drugiej strony, taka suma to drobiazg w porównaniu z tym, co już wydali. Dwieście milionów franków, żeby kupić kontrolę nad zakładami w Zug. Następne sześćdziesiąt milionów za dostawę sprzętu. Samemu tylko P.J.

zapłacili dwadzieścia milionów franków, nie licząc mercedesa ze specjalnym wyposażeniem.

Skończył pisać prośbę o przelew i wysłał e-maila do finansów. Nagle przekrzywił głowę i spojrzął na drzwi. Włoski podniosły mu się na przedramieniu.

- Halo? - zawołał. - Jest tu kto?

Nie usłyszał odpowiedzi. W domu panowała zbyt wielka cisza. I gdzie szczekanie, które zapowiada przybycie gościa?

- Gretel, Isolde - zawołał.

Usiadł prosto, nasłuchując stukotu psich pazurów na marmurowej podłodze.

Wagner płynął z salonu. Kotły dudniły niczym daleki grzmot. Teutońska

dziewica lamentowała, oplakując pokonanego księcia.

Gdzie są psy?

Coś przesunęło się za jego plecami. Obecność, ciemna i zimna. Gdzieś pod czaszką zabrzmiał klakson. Blitz popatrzył na szufladę z pistoletem, potem na komputer. Jedno albo drugie.

Trzydzieści lat szkolenia przeważyło. Najpierw misja. Zawiesił palce nad klawiaturą i wpisał komendę „zniszcz”, kasując zawartość twardego dysku laptopa. Poczłł ruch powietrza na karku. Coś zimnego i twardego przycisnęło się do jego skroni.

Nagle rozbłysło światło. Trzasnął piorun o piekielnych barwach. Ułamek sekundy później zapadła ciemność i cisza.

## 28

Principessa stała na końcu zwirowego podjazdu. Był to odrestaurowany dom z XVIII wieku z bluszczem pnącym się po nierównych ścianach i skrzynkami geranium pod oknami na piętrze. Niski kamienny murek otaczał uśpione rozarium od frontu. O dziewiątej strugi deszczu zlały się w gęstą zasłonę, szumiącą nieprzerwanie jak wodospad. Simone zapięła płaszcz i odgarnęła włosy za uszy.

- Więc pójdziemy do niego tak po prostu? A jeśli powie, że nie wysłał tych paczek? Co wtedy zrobimy?

- Dlaczego miałyby się wypierać? - Kiedy tylko się dowie, że Emma nie żyje, ucieszy się z odzyskania samochodu.

- I gotówki?

- I gotówki. - Otworzył schowek i wyjął kopertę z pieniędzmi. - Myślałem o tym przez całą noc... To znaczy, zastanawiałem się, co takiego robiła Emma.

Oczy Simone nakazywały, żeby mówić dalej.

- Lekarstwa. Emma zawsze mówiła, że pomoc nigdy nie dociera do miejsca przeznaczenia. To doprowadzało ją do szału. Wiesz, jak sprawa wygląda tam, gdzie pracujemy. Połowa ładunków jest konfiskowana przez rząd albo rozkradana przez celników, którzy potem próbują odsprzedać nam towar za podwójną cenę. Jeśli dostajemy siedemdziesiąt procent tego, co powinniśmy, jest dobrze. Widzę pewien związek. Spójrz tylko na dom. Musiał kosztować fortunę.

Przypuszczam, że Blitz zajmuje kierownicze stanowisko w jednym z wielkich koncernów farmaceutycznych. Razem coś kombinowali. Kogoś przekupywali.

Dawali w łapę. Emma zawsze uważała, że robi za mało, żeby cokolwiek zmienić.

- I spodziewasz się, że Blitz ci o tym powie?

- Za sto tysięcy franków można kupić sporo współpracy.

- Albo milczenie. Wydaje mi się, że coś przeoczyłeś. Nie przyszło ci na myśl, że może to Blitz nasłał policjantów?

- Nie pasuje. Przede wszystkim musiałby wiedzieć o wypadku Emmy, co jest niemożliwe. Jak to sobie wyobrażasz? Że wysłał Emmie bagaże, potem nasłał na nią skorumpowanych gliniarzy, żeby zabrali, gdy tylko je odbierze?

Wykluczone. To nie Blitz. Musiał być ktoś inny.

- Ktoś, kto wiedział o wypadku Emmy?

- Albo ktoś, kto od początku czekał na przesyłkę.

Jonathan wysiadł z wozu i przeszedł przez furtkę z kutego żelaza. Simone zrównała się z nim chwilę później. Na tabliczce pod dzwonkiem widniało nazwisko „Gottfried Blitz”. Jonathan nacisnął guzik i dzwonek zadźwięczał jak karylion w kampusie. Nikt nie odpowiedział. Jonathan sięgnął do kieszeni, znalazł miętówki, które zabrał z torby Evy Kruger, i wsunął jedną do ust.

- Chcesz?

Simone pokręciła głową.

Przycisnął ucho do drzwi. Z wnętrza płynęły tony muzyki klasycznej.

Zadzwonił jeszcze raz. Gdy nikt nie podszedł do drzwi, przełożył nogę nad poręczą i wyciągnął szyję, żeby zajrzeć przez okno. Trzy jamniki spały na marmurowej podłodze. Kątem oka dostrzegł przesuwany się cień.

- Panie Blitz! - krzyknął. - Muszę z panem koniecznie pomówić. Proszę otworzyć.

Popatrzył na psy. Zwierzęta leżały nieruchomo. Nienaturalnie nieruchomo, jak dla oka lekarza. Przyjrzał się tułowiom. Żaden z psów nie oddychał. Jeden leżał z dziwnie wykręconą głową, z wywieszonym językiem.

Jonathan nacisnął klamkę. Zamknięte.

- Co robisz? - odezwała się Simone. - Nie możesz wejść. Załomotał w drzwi.

- Panie Blitz! Nazywam się Ransom. Chyba zna pan moją żonę Emmę. Proszę otworzyć. Chodzi o bagaże. Mam je. Pieniądze też.

Drzwi trzasnęły w głębi domu.

- Pukaj - polecił, zbiegając po schodach.

- Dokąd idziesz?

- Na tyły. Coś jest nie w porządku.

- Ale... Zaczekaj!

Pobiegł wzdłuż bocznej ściany domu i natknął się na ścieżkę prowadzącą przez ogród. Gdzieś za nim Simone krzyczała, żeby się zatrzymał, ale jej słowa tylko go rozpraszały. Drzwi na tyłach domu były otwarte. Muzyka płynęła ze stereo. Lot Walkirii. Wszedł do wnętrza, znalazł się w wąskiej kuchni. Ruszył do drzwi, krzywiąc się na każde skrzypnięcie parkietu. Wyczuwał brak równowagi w atmosferze, ale zamiast strachu przenikało go ożywienie i radosne podniecenie. Był gotów do bitwy.

Wyszedł z kuchni i przeszedł przez salon do miejsca, gdzie blisko drzwi frontowych leżały psy. Żaden nie podniósł głowy. Pochylił się nad nimi. Jamniki nie żyły, miały skręcone karki. Wyprostował się, świadom ostrego oddechu i skurczów serca. Wprost przed nim schody prowadziły na piętro. Usłyszał coś bliżej... coś na wprost... Ruszył korytarzem. Otworzył drzwi po lewej stronie.

Łazienka dla gości: pusta. Dźwięk stał się wyraźniejszy. Wytężony, rytmicznie świszczący oddech.

Wtedy poczuł woń prochu i zaczęły łzawić mu oczy.

Stanął w drzwiach gabinetu.

- O Boże - szepnął i wbiegł do środka.

Mężczyzna leżał na biurku. Usta miał otwarte, klatka piersiowa unosiła się ciężko, jakby walczył o oddech. Blitz? Z pewnością. Na skroni widniała rana wlotowa, schludna dziurka otoczona przez drobiny prochu. Samobójstwo?

Jonathan cofnął się, szukając pistoletu, ale nigdzie go nie zobaczył. Wspomnił cień widziany kątem oka w salonie. Nie samobójstwo. Morderstwo.

Spojrzał ku drzwiom, zastanawiając się, czy zabójca nadal jest w domu i czy on sam nie znalazł się w niebezpieczeństwie. Odsunął od siebie tę myśl i zaczął mówić do Blitzu, podał mu swoje nazwisko, powiedział, że jest mężem Emmy. Kazał mu się trzymać i oznajmił, że zrobi wszystko, żeby utrzymać go przy życiu.

Delikatnie położył go na podłodze, sprawdził drożność dróg oddechowych.

Obrócił głowę i przyjrzał się ranie wlotowej. Widział zbyt wiele podobnych obrażeń. Duży kaliber. Wydrażony czubek. Nie dawał Blitzowi dużych szans. A jednak człowiek żył. Nic innego nie miało znaczenia.

Wbiegł do salonu, podniósł słuchawkę i wybrał 144, numer pomocy w nagłych wypadkach. Kiedy dyspozytor zapytał, co się stało, powiedział: Zagrożająca życiu rana głowy z dużą utratą krwi. Kiedy uświadomił sobie, że mówi po angielsku, powtórzył to samo po włosku.

- Jon, co się dzieje? Co się stało? - Simone stała w drzwiach salonu, patrząc z niepokojem. - Masz krew na rękach.

- W głębi korytarza jest łazienka. Namocz ręczniki w gorącej wodzie i przynieś.

- Ręczniki? Co się stało? Dlaczego...

- Prędko!

Wrócił do gabinetu i ukląkł obok Blitza. Niewiele mógł zrobić do czasu przybycia ratowników, tylko sprawdzić, czy serce mężczyzny wciąż bije. Źrenice Blitza były rozszerzone, oddech płytki. Jonathan złapał go za nadgarstek, ale nie wyczuł pulsu. Przystąpił do reanimacji. Trzy uciśnięcia mostka, dwa oddechy.

Simone wpadła do pokoju. Na widok Blitza krzyknęła i upuściła ręczniki na podłogę.

- Wezwałem pogotowie - powiedział. - Powinni być lada moment. Połóż ręczniki przy jego głowie.

- Ale dlaczego? - Z ociąganiem podniosła ręczniki i położyła je na podłodze obok Jonathana. Wyprostowała się szybko i zachwiała, gdy zobaczyła rosnącą kałużę krwi na dywanie. - On nie żyje.

- Jeszcze żyje. Jeśli zdołam podtrzymać akcję serca do czasu przyjazdu ratowników, będzie miał szansę.

- Dostał w głowę. Zostaw go.

Przyłożył ucho do piersi Blitza. Serce przestało bić. Oddech ustał. Popatrzył na Simone i pokręcił głową.

- Kto to zrobił? - zapytała.

- Coś widziałem... Ciebie... Usłyszałem trzaśnięcie drzwi. Uciekł.

- Zaraz tu będzie policja. Musimy iść.

Jonathan wstał. Nagle światło stało się przeraźliwie jasne i musiał zamrugać.

Odetchnął, czekając na wyrzuty sumienia nieuchronnie towarzyszące śmierci pacjenta. Ale nie nadeszły. Jeśli coś czuł, to tylko rzeškość, niemal szczęście, i zbyt dużą energię jak na kogoś, kto przez całą noc nie zmrużył oka. Przegarnął ręką włosy. Poczł mrowienie w czubkach palców.

Wszystkie zmysły miał wyostrzone. Wzrok. Dotyk. Słuch. Usta w środku miał jednak suche i kleiste. Przejrzał się w lustrze wiszącym na ścianie. Spojrzały na niego dzikie, oskarżycielskie oczy z maksymalnie rozszerzonymi źrenicami.

Wewnętrzne wibracje przybierały na sile i nagle rozpoznał, co to jest: wysokooktanowa, czysto spalająca się amfetamina z odrobiną czegoś specjalnego, co wyostrza zmysły. Wyjął z kieszeni pudełeczko miętówek. Ile wziął w ciągu godziny? Dwie? Trzy?

- Chodź, Jonathanie. Natychmiast. - Simone złapała go za ramię i próbowała poprowadzić do drzwi, ale się uwolnił.



- Chwileczkę - powiedział, analizując sytuację. - Nie wyjdę, póki nie dowiem się czegoś o tym facecie.

- Ale...

- Nie słyszałaś? - warknął. - Myślisz, że mamy tylko uciekać? - Odetchnął, żeby się uspokoić, walcząc z szaleńczym głosem w głowie. - Blitz znał Emmę.

Pracowali razem. To nasza jedyna szansa, żeby odkryć, nad czym.

Na biurku leżał otwarty laptop, na ekranie szalała śnieżycą pikseli. Uderzył w parę klawiszy, ale obraz się nie zmienił. Skierował uwagę na biurko i jego zawartość. W górnej szufladzie zobaczył pistolet półautomatyczny. Znał broń na tyle dobrze, żeby rozpoznać sig sauera, ulubionego przez oficerów w Trzecim Świecie. Poza tym wypełniały ją papiery, pióra i ołówki. Wysypał wszystko na biurko i przejrzał. Notes z nazwiskami i numerami telefonów. Rachunki. Pudełka zapalek.

Druga szuflada była zamknięta. Złamał nóż do papieru, próbując ją otworzyć, i w końcu zrezygnował. Zajął się tackami z korespondencją przychodzącą i wychodzącą na kredensie za biurkiem. Przewertował papiery. Na notce służbowej widniał nagłówek „ZIAG”, a poniżej pełna nazwa firmy: Zug Industriewerk AG. List został wysłany przez niejakiego Hannesa Hoffmanna do Ewy Kruger i do Gottfrieda Blitzla. Temat: Projekt Thor.

Eva Kruger.

Oto miał dowód czarno na białym. Jakby trup z kulą w mózgu nie wystarczał.

Notatka brzmiała następująco: „Zakończenie przewidziane na koniec pierwszego kwartału 200-. Ostatnia dostawa do klienta przed 10.2. Demontaż aparatury przemysłowej do 13.2”.

- Słyszę syrenę - powiedziała Simone. - Proszę, Jonathanie, wynośmy się stąd.

- Za chwilę. - Pod notką leżało kilka szarych kopert. W pierwszej znalazł trzy zdjęcia paszportowe Emmy, podobne do tego na fałszywym prawie jazdy. Druga koperta zawierała więcej fotografii, tym razem bladego jasnowłosego mężczyzny mniej więcej w jego wieku. Na odwrocie widniało nazwisko Hoffmann, wypisane tym samym męskim charakterem pisma, co adres na liście do Emmy.

Przyjrzał się zdjęciu. Hannes Hoffmann. Nadawca notki do Ewy Kruger.

- Przykrywka - mruknął, przypominając sobie słowo podłapanie z powieści szpiegowskich, które pożerał jako nastolatek. Wszystko jest

przykrywką. Emma, która nie jest Emmą. Amfetamina w postaci miętówek. Przebranie, wszystko i wszyscy. Popatrzył na ciało leżące na podłodze. A Blitz? Kim był, gdy nie był Blitzem?

Jonathan zadrżał, skala oszustwa stała się wyraźniejsza. To nie jednorazowy wyskok. Emma nie przekupywała afrykańskich ministrów zdrowia ani nie kupowała leków na czarnym rynku. To było coś większego. Coś na całkiem inną skalę. Świat pigulek amfy, fałszywych nazwisk i idealnie podrobionych praw jazdy.

- Jonathanie, proszę! - Simone zaciskała ręce na oparciu krzesła, jakby powstrzymując się od ucieczki.

Syreny. Co najmniej dwie. Podniósł głowę i zrozumiał, że się zbliżają, nie oddalają, i pędzą z prędkością światła. Machnął ręką po blacie biurka, zgarnął wszystkie papiery i wepchnął je do skórzanej aktówki, która stała przy kredensie.

- Idź - polecił. - Będę tuż za tobą.

- Szybko!

- Zaraz idę - powiedział, wypychając ją z pokoju. - Wyjdź tylnymi drzwiami!

Simone pobiegła.

Jonathan stanął w drzwiach. Syreny zawodziły przed domem. Podniecone głosy przebijały się przez nieustanny szum deszczu. Zamiast odejść, podbiegł do biurka i otworzył górną szufladę. Spojrzał na pistolet i wetknął go za pas.

W korytarzu zwolnił i zobaczył wozy policyjne na ulicy, policjantów z bronią biegnących w stronę domu. Niski, zdeterminowany mężczyzna w czarnym płaszczu prowadził ich po żwirowej ścieżce.

Policja? Gdzie ambulans, który wezwał?

Pytania. Zbyt wiele pytań.

Pobiegł przez dom, dopędził Simone przy drzwiach na tyłach. Chwycił ją za rękę, pociągnął przez ogród.

- Dokąd idziemy? - zapytała, starając się dotrzymać mu kroku. - Wóz jest z drugiej strony.

- Zapomnij o nim. Możemy po niego wrócić.

Nie zatrzymali się na drodze gruntowej, tylko szli dalej na wzgórze. Nie zwracając uwagi na wiatr, deszcz i wysokie do piersi zarośla, Jonathan parł na szczyt. Simone posapywała, oddychała ciężko i klęła, ale nie zostawała w tyle.

Gdy się obejrzał, byli sto dwadzieścia metrów wyżej, a willa została

kilometr za nimi.

- Nie mogę już iść - Silone z trudem chwytała oddech. - Muszę odpocząć.

Ale on słyszał głos Emmy i przez chwilę gotów był przysiąc, że ją widzi, ubraną w czerwono-czarny kombinezon, stojącą na zboczu pod nimi.

Chwycił Simone za rękę.

- Chodź. To jedyna droga.

Przyciskając aktówkę do piersi, odwrócił się i ruszył wyżej w góry.

## 29

Milli Brandt szła żwawym krokiem po zasłanej śniegiem ścieżce pomiędzy wysokimi, przyszczyżonymi żywopłotami. Kiedy indziej spacer po ogrodach pałacu Schonbrunn sprawiłby jej dużą przyjemność. Idealnie utrzymane tereny pałacowe, długie i szerokie na prawie dwa kilometry, mówiły o minionej epoce, kiedy rodzina królewska miała nieograniczoną władzę. Na dobre i na złe.

Po raz pierwszy odwiedziła ogrody pałacowe niedługo po przyjeździe z Izraela. Wraz z rodzicami i siostrą spędziła dzień na spacerowaniu z jednego końca w drugi. Razem weszli na wzgórze do Gloriette, ogromnej kolumnady zbudowanej w roku 1775 przez cesarza Józefa i jego żonę Marię Teresę. Już wtedy dziewczęta były ambitne. Milli marzyła, że zostanie wybitnym sędzią.

Towa planowała karierę dyplomatyczną. Szybciej osiągnęła cel. W wieku dwudziestu pięciu lat wróciła do Jerozolimy i zajęła stanowisko rzecznika izraelskiego ministra spraw zagranicznych. Mężatka, matka małej córeczki, regularnie pojawiała się w wieczornych wiadomościach.

Pewnego wieczoru Towa pojechała z mężem do Tel Awiwu, gdzie jedli kolację - owoce morza - w jednej z eleganckich restauracji, które ciągną się wzdłuż wybrzeża. Była w nastroju do świętowania. Badanie lekarskie potwierdziło, że jest w ciąży.

Rozumiejąc, że to może być ich ostatnia okazja do zabawy na długi czas, postanowili potańczyć w Teddy'Z, dyskoteci pod gołym niebem. Wybiła północ, gdy opalony, przystojny młodzieniec o nazwisku Naser Brimm wszedł do dyskoteki i przepchnął się na środek parkietu. Zanim ktokolwiek zauważył, że jego nienaturalne ruchy zachowanie i wełniany sweter niezupełnie pasują do parnej wiosennej nocy, było za późno.

Policja stwierdziła, że Towa stała obok zamachowca, gdy zdetonował ukryty pod swetrem ładunek C-4 pełen tysięcy gwoździ, nakrętek i bolców. Głowa pozostała dziwnie nietknięta, jedyna znaleziona część jej ciała.

Śmierć zabrała szesnaścioro młodych mężczyzn i kobiet. Okaleczenia to utrata wzroku, rąk, paraliż od szyi w dół. W rzeczywistości ostateczne żniwo śmierci było wyższe. Nikt nie policzył życia rosnącego w łonie Towy.

- Pani Brandt.

Milli odwróciła się na dźwięk głębokiego głosu z obcym akcentem. Szczupły, uśmiechnięty mężczyzna o wyglądzie nauczyciela akademickiego

stał parę kroków za nią. Nie słyszała, kiedy podszedł.

- Pan Katz?

- Widzę, że ma pani gazetę. Miło mi, że przestrzega pani naszych wskazówek.

Wziął ją pod rękę i szli razem przez puste ogrody jak mąż i żona. Powiedziała mu o nadzwyczajnym zebraniu w podwiedeńskich lasach i o informacjach przekazanych przez Mohameda El Baradei.

- Wzbożacy do dziewięćdziesięciu czterech procent. Jest pani pewna?

Milli przytaknęła.

- Czy istnieje możliwość wystąpienia błędu w pomiarach?

- Coś takiego zdarzyłoby się po raz pierwszy. Przykro mi, że przekazuję takie wieści. Uznałam to za swój obowiązek.

- „Nasze posłuszeństwo królowi należne”\*. Nikt mnie w tym nie popiera, ale jestem przekonany, że Szekspir był Żydem. - Uśmiechnął się nieśmiało, gdy stanął i zwrócił w jej stronę. - Nikt nie lubi zdradzać zaufania.

Milli patrzyła, jak wysoki, szczupły mężczyzna znika wśród wymyślnie przyszyżonych, okrytych śniegiem żywopłotów. Ostry wiatr wypełniał jej uszy jękiem beznadziejnego smutku. Spodziewała się, że mężczyzna \* W. Szekspir Henryk V, tłum. St. Koźmian.

powie, iż postąpiła właściwie. Chciałaby usłyszeć, że odpowiednie służby natychmiast przystąpią do działania, że ocaliła tysiące istnień ludzkich. Nie powiedział niczego takiego.

Na pożegnanie tylko poprosił, żeby zadzwoniła pod podany numer, jeśli się dowie czegoś ważnego. Nawet nie podziękował.

## 30

- On?

Von Daniken porównał zdjęcie Gottfrieda Blitzza stojącego obok drona z twarzą mężczyzny leżącego na podłodze.

- Ty mi powiedz - odparł, podając zdjęcie Kurtowi Myerowi. Odwrócił się szybko, żeby żółć nie podeszła mu do gardła.

- Ten sam sweter. Te same oczy. To on. - Myer kucał, okiem eksperta przyglądając się zwłokom. - Został zabity, gdy siedział na krześle, a potem przeniesiony na podłogę. Strzał oddano z wysokości pasa, z lufą skierowaną w dół, żeby mózg rozbryznął się po biurku i ścianie.

Piórem wskazał drobiny prochu na skórze.

- Spójrz na otarcia i chropowatość. Zabójca stał o krok, gdy nacisnął na spust.

Blitz nawet nie wiedział, że ktoś tu jest. Pracował na laptopie do ostatniej chwili.

Ale von Danikena zainteresowało coś innego.

- Wróćmy do tego, co powiedziałaś, Kurt. Co to znaczy „przeniesiony na podłogę”? Mówisz, że zabójca go zastrzelił, a potem położył na dywanie? I przyniósł mu ręczniki?

- Ktoś to zrobił. Z pewnością nie pan Blitz. - Myer obejrzał ręczniki spiętrzone obok ciała. - Jeszcze ciepłe.

Wymienili zatroskane spojrzenia.

Z ulicy napłynął dźwięk kolejnej syreny. Trzasnęły drzwi. Na korytarzu zapanowało jakieś zamieszanie. Do gabinetu weszli dwaj ratownicy medyczni.

- Szybko przybyliście - powiedział von Daniken.

- To pan dzwonił? - zapytał jeden z ratowników. - Dyspozytor mówił, że to Amerykanin.

- Amerykanin? - Von Daniken znów wymienił spojrzenia z Myerem. - Jak dawno temu zadzwonił?

- Dwanaście minut temu. O dziewiątej sześć.

- To on - stwierdził Myer. - Ransom.

Von Daniken pokiwał głową i spojrzał na zegarek. W czasie jazdy z lotniska zadzwonił do signora Orsiniego, zawiadowcy stacji. Poprosił o podanie rysopisu mężczyzny, który wczesnym rankiem zapukał do jego

drzwi, podając się za funkcjonariusza policji, i wypytywał, kto wysłał dwie sztuki bagażu do Landquart. Później skontaktował się z policją kantonu Gryzonia, żeby zapytać o szczegóły popełnionego tam zabójstwa policjanta. Opis podany przez Orsiniego idealnie pasował do tego, jaki podał świadek przestępstwa. Policja w Landquart miała nawet nazwisko: doktor Jonathan Ransom. Amerykanin. Było jeszcze coś więcej. Żona Ransoma zginęła dwa dni wcześniej w nieszczęśliwym wypadku w czasie wspinaczki w górach w pobliżu Davos.

- Jeśli wezwał ich Ransom - powiedział do Myera - to wyjaśnia obecność ręczników. Jest lekarzem.

Porucznik Conti, który przysłuchiwał się rozmowie, przycisnął podbródek do szyi i podniósł ręce w typowo włoskim geście.

- Ale dlaczego Ransom miałby zabijać Blitzę, a potem wzywać pogotowie, żeby go ratować?

Von Daniken spojrzał na Myera. Żaden z nich nie chciał na razie odpowiadać na to pytanie.

Podszedł do biurka i wcisnął parę klawiszy laptopa. Na ekranie widniał melanz kolorowych pikseli. Coś innego nie dawało mu spokoju. Czy Blitz pracował na zepsutym komputerze, gdy padł strzał? A może umyślnie go zniszczył, żeby nikt się nie dowiedział, co zawierał twardy dysk?

Kolejno otwierał szuflady biurka. Dwie górne były puste, pomijając parę skrawków papieru, gumek recepturek i piór. Dolna zamknięta, ale wyglądała na to, że ktoś próbował ją otworzyć. Podniósł głowę i zobaczył tekturowe pudła pod ścianą. Podszedł, żeby sprawdzić zawartość, i nie krył zawodu, gdy okazały się puste.

Zjawili się technicy z kryminalistyki. Niepotrzebne osoby zostały wyproszone z pokoju. Myer minął von Danikena w korytarzu, szepcząc, że przyniesie „wączacza stokrotek”, jak nazywał wykrywacz materiałów wybuchowych i promieniowania.

Gdy technicy weszli do domu, von Daniken poszedł na górę, żeby rozejrzeć się po sypialni Gottfrieda Blitzę. Myślał nie tyle o nim, ile o człowieku, który być może go zabił. Szukał jakiejś wskazówki, dlaczego zabójca, którego żona zginęła w wypadku w czasie wspinaczki, w takim pośpiechu złożył mu wizytę.

Przeszukanie sypialni Blitzę nic nie wyjaśniło. Na nocnej szafce leżał stos niemieckich ilustrowanych magazynów, komoda była pełna starannie złożonych ubrań, łazienka pękała w szwach od wody kolońskiej,

kosmetyków i różnorodnych lekarstw. Nigdzie nie znalazł niczego, co wiązałyby Blitza z dronem albo wskazywało, jak planował go użyć.

Von Daniken usiadł na łóżku i spojrzał w okno. Niewykluczone, że istnieją dwie grupy i być może w jakiś sposób z sobą walczą. Z jednej strony Lammers i Blitz, a z drugiej ci, którym zależało na ich śmierci. Charakter zabójstw w połączeniu z odkryciem drona i RDX wskazywał na operację wywiadu.

Ogarnęła go złość. Jeśli jakaś agencja wywiadowcza wiedziała o planach dotyczących RDX i drona tyle, żeby podjąć zdecydowane kroki ich storpedowania, dlaczego nie podzieliła się z nim tymi informacjami?

Skierował myśli ku doktorowi Jonathanowi Ransomowi, który najprawdopodobniej wezwał pogotowie. Według zawiadowcy stacji, Ransomowi ogromnie zależało na odkryciu, kto wysłał bagaż do Landquart. Logiczne wydawało się, że nie znał Blitza. Jak zatem wszedł w posiadanie kwitów bagażowych? Gdyby jednak przyjąć, że Ransom i Blitz pracowali razem - że się znali - wszystkie kawałki układanki pasowałyby idealnie. Ransom, zatrzymany przez policję po odebraniu bagaży, spanikował, zabił policjanta, który chciał go aresztować, i potracił jego partnera podczas ucieczki. Gdy przykrywka została spalona, popędził do Ascony po instrukcje od swojego kontrolera. Fakt, że nie znał adresu Blitza, mógł zostać przypisany kardynalnej zasadzie szpiegostwa: Dziel informacje, żeby poszczególne osoby wiedziały nie więcej niż potrzeba.

Dlatego musiał wypytać Orsiniego.

A żona? Angielka, która zginęła w dziwnym wypadku w czasie wspinaczki?

Może Ransom ją zabił, gdy odkryła, że jest agentem?

Von Daniken zmarszczył czoło. Szukał po omacku. Snuł bezpodstawne fantazje. Wstał, poszedł ku schodom. Chciałby się dowiedzieć, co znajdowało się bagażu, za który Ransom nie wahał się zabić. Miał niewielkie szanse, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Policjant potracony przez Ransoma był w śpiączce. Rokowania nie wyglądały optymistycznie.

Zabrzączał telefon, przerywając mu rozmyślenia.

Dzwonił Myer. Sprawiał wrażenie zmartwionego.

- W garażu. Chodź szybko.



## 31

ż był oddalony od domu i miał boczne wejście. Wewnątrz z jednej strony stał najnowszy model mercedesa. Miejsce obok było puste, ale świeża plama oleju i odciski zabłoconych opon świadczyły, że niedawno parkował tu drugi wóz - albo półciężarówka, albo furgonetka, wnioskując z rozstawu kół.

Myer ominął samochód i podszedł do szafy wbudowanej w tylną ścianę.

Otworzył drzwi i odsunął się, żeby von Daniken miał dobry widok.

- Czy to jest to, co myślę? - zapytał inspektor. Na półkach leżały cegły owinięte folią i sklezione taśmą po pięć sztuk.

- Dwadzieścia kilogramów semteksu w fabrycznych opakowaniach. Nietrudno stwierdzić, skąd pochodzi.

Plastyczne materiały wybuchowe są znakowane specjalnym związkiem chemicznym, który pozwala zidentyfikować nie tylko producenta, ale też numer partii. To ułatwia określenie ich pochodzenia, a także, przynajmniej teoretycznie, walkę z nielegalnym handlem.

- Weź jedną.

Myer wahał się chwilę, zanim podniósł cegłę i rzucił Krajcekwowi, który wsunął ją pod płaszcz. Jako dowód rzeczowy materiały wybuchowe należały oficjalnie do policji kantonu Ticino, ale von Daniken nie miał ochoty pisać podania i czekać tydzień na skatalogowanie i wydanie dowodu. Plastik to nie paszporty.

- Sprawdziliście wóz?

- Tylko bagażnik. Czysty.

Von Daniken wszedł do mercedesa i rozejrzał się po wnętrzu. Wóz był zarejestrowany na Blitza. Prawo jazdy leżało w kieszeni na drzwiach. Gdy je wyjął, niebieski prostokąt spadł mu na kolana.

Koperta. Jedna z cienkich staromodnych kopert ze znaczkiem „Air Mail”.

Zobaczył adres i serce mu zamarło. Napisany po arabsku, spłowiałym niebieskim atramentem. Stempel pocztowy informował: „Dubaj, ZEA, 10.12.85”.

Von Daniken otworzył kopertę. List też napisano po arabsku. Jedna strona, pismo staranne i precyzyjne. Drukarka laserowa byłaby niewiele lepsza. Nie umiał przeczytać ani słowa, lecz to nie miało znaczenia. Spłowiałe zdjęcie powiedziało mu wszystko, co musiał wiedzieć.

W obiektyw patrzył rosły młody żołnierz w zielonym mundurze z pasem

z koalicijką, w wielkiej czapce oficerskiej na głowie. Obok niego stali rodzice. Dumne uśmiechy są takie same na całym świecie. Von Daniken nigdy nie był w Iranie, ale rozpoznał widoczne w tle zdjęcie ajatollaha Ruhollaha Chomeiniego. Wiedział, że wysoki na cztery piętra portret postaci religijnej mógł się znajdować tylko w Teheranie. Mimo to jego uwaga wciąż wracała do twarzy wojskowego i dziwnych niebieskich oczu. Oczy fanatyka, pomyślał.

Zadzwońska komórka. Spojrzał na ekran. Numer zastrzeżony.

- Von Daniken.

- Marcusie, tu twój amerykański kuzyn.

Inspektor podał list Myerowi i polecił mu znaleźć kogoś, kto zna arabski.

Potem wyszedł z garażu i podjął rozmowę.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o kłopoty z silnikiem.

- Wszystko pod kontrolą.

- Cieszę się.

- Rozmawialiśmy z Walidem Gassanem.

- Domyślałem się. - Von Daniken zastanawiał się, gdzie ukryli go w samolocie. - Kiedy go zdjęliście?

- Pięć dni temu w Sztokholmie. Jeden z naszych informatorów usłyszał, że Gassan odebrał w Lipsku dostawę jakichś materiałów wybuchowych.

Ściągnęliśmy grupę szybkiego reagowania, żeby go zwinąć, ale pozbył się towaru przed aresztowaniem.

- Semtex?

- Skąd wiesz? Dostał go od tej ukraińskiej kanalii, Szewczenki.

- Jesteś pewien?

- Dość powiedzieć, że pogadaliśmy od serca, i postanowił wyznać swoje grzechy.

Von Daniken nie potrzebował żadnych innych szczegółów.

- Gassan był pomocnikiem - kontynuował Palumbo. - Przekazał materiały wybuchowe niejakiemu Mahmoudowi Quitabowi. Sprawdziliśmy nazwisko w bazach danych Langley i Interpolu, ale bez skutku. W każdym razie ten Quitab zabrał towar białym volkswagenem vanem ze szwajcarskimi tablicami. Numeru nie mamy.

Von Daniken krążył po garażu. Gdy słuchał, zauważył, że mały kawałek betonu został odłupany od kolumny rozdzielającej dwa stanowiska. Dostrzegł smugę białego lakieru.

- Białym vanem? Jesteś pewien?

- Facet powiedział, że biały. Nazwisko Quitab coś ci mówi?

- Nic a nic. - Von Daniken starał się, żeby jego głos nie zdradzał zaniepokojenia. - Masz jeszcze coś o tym Quitabie... telefon, adres, rysopis?

- Jego numer telefonu należy do karty SIM z francuskim prefiksem.

Wystosowaliśmy prośbę do francuskiej telekomunikacji, żeby go sprawdzili. To samo robimy z wszystkimi przychodzącymi i wychodzącymi rozmowami zarejestrowanymi w telefonie Gassana. Nie znamy adresu ani miejsca pobytu Quitaba, ale mamy rysopis. Około pięćdziesiątki. Ciemne włosy. Szczupły.

Średniego wzrostu. Elegancki. Dobrze ubrany. Jeden z nich, ale ma niebieskie oczy.

Jeden z nich, czyli Arab.

Inspektor spojrział na zdjęcie Blitzla. Ciemne włosy. Średniego wzrostu.

Wytworny. I oczywiście oczy niebieskie jak diament.

Zjawiał się Myer z policjantem. Von Daniken poprosił Palumbo, żeby chwilę zaczekał, potem zapytał: - Przeczytał pan list?

Policjant skinął głową i wyjaśnił, że to list do rodziców, mówiący o codziennych sprawach. Dodał, że nie ma wzmianki o jakiegokolwiek działalności sprzecznej z prawem.

Von Daniken zapamiętał informacje.

- A nazwisko? Może mi pan powiedzieć, do kogo jest adresowany?

- Tak, oczywiście. - Policjant podał nazwisko.

Musiało tak być, pomyślał von Daniken. W tej grze nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności.

- Jesteś tam, Marcusie? - zapytał Palumbo.

- Tak, mów dalej.

- Najwyraźniej ten Quitab coś kombinuje na twoim podwórku. Dzwonię, żeby cię ostrzec.

- Tak, wiem.

- Co to znaczy, wiem? - Głos Palumbo zdradzał rozdrażnienie. - Myślałem, że nigdy o nim nie słyszałeś.

- Prawdę mówiąc, jestem teraz w jego domu.

- Chcesz powiedzieć, że wiesz o tej operacji?

- To bardziej skomplikowane. Quitab nie żyje.

- Nie żyje? Quitab? Jak... To znaczy... świetnie! Chryste, dobra wiadomość.

Przez chwilę się martwiłem. Myślałem, że przeżywacie prawdziwy

koszmar.

Znalazłeś materiały wybuchowe?

- Tak.

- Całe pięćdziesiąt kilo? Dzięki Bogu. O włos uniknęliście wielkiej kuli.

Von Daniken szybko wrócił do garażu. Policzył cegły semteksu. Cztery paczki po pięć cegieł. Najwyżej dwadzieścia kilo.

- Co to znaczy, że uniknęliśmy kuli, Phil? Masz pojęcie, co planował Quitab?

- Myślałem, że ty masz... - Odbiór się pogorszył i głos Palumbo zniknął w gąszczu trzasków. - Pieprzony szalony sukinsyn.

- Tracę cię. Mogę zadzwonić linią naziemną?

- Wykluczone. Jestem w drodze.

Mając nadzieję na zwiększenie siły sygnału, von Daniken wyszedł z garażu i stanął w deszczu.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że o włos uniknęliśmy wielkiej kuli?

- Gassan powiedział, że ten pieprzony szalony Irańczyk Quitab przyjechał do Szwajcarii, żeby strącić samolot.

## 32

Izraelu było trzy godziny wcześniej niż w Szwajcarii. Zamiast deszczu i śniegu, palące słońce władało niebem. Słupek rtęci podniósł się do ponad trzydziestu siedmiu stopni, wschodnie brzegi Morza Śródziemnego zlewały się potem w fali upałów wczesnej wiosny.

Piętnaście kilometrów na północ od Teł Awiwu, w mieście Herzlija, na skalistym wybrzeżu, na piętrze Instytutu Wywiadu i Operacji Specjalnych, lepiej znanego jako Mossad, izraelska służba wywiadu zagranicznego, odbywało się zebranie nadzwyczajne. Uczestniczyli w nim szefowie najważniejszych wydziałów: wywiadowczego, który zajmuje się gromadzeniem informacji, politycznego i współpracy, odpowiedzialnego za kontakty z zagranicznymi służbami wywiadowczymi, i operacji specjalnych, czyli Metsady, nadzorującego mroczną stronę interesu: zabójstwa, sabotaż, kidnaping i tym podobne.

- Od kiedy mają obiekt w Chalusie? - zapytał krążący po pokoju gruby i brzydki, ale dumny mężczyzna. - Ostatnio, jak słyszałem, koncentrowali się na wzbogacaniu uranu w Natanz i Isfahanie. - W koszuli z krótkimi rękawami, rzadziejącymi czarnymi włosami, gładką twarzą i wytrzeszczonymi oczami gada mógł mieć czterdzieści, jak i siedemdziesiąt lat. W przeciwieństwie do nieokreślonego wieku otaczająca go aura wrzącej determinacji nie budziła wątpliwości. Nazywał się Zvi Hirsch i od siedmiu lat był dyrektorem Mossadu.

- Nie możemy nic znaleźć na mapach. Nie ma obrazowania satelitarnego - odparł szef wydziału wywiadowczego. - Byli bardzo przebiegli. Zdołali zachować budowę w tajemnicy.

- Naprawdę w tajemnicy? - dociekał Zvi Hirsch. - Ile wirówek potrzebowali, żeby przetworzyć taką ilość uranu? Mówimy o stu kilogramach w niespełna dwa lata.

- W tak krótkim czasie? Co najmniej pięćdziesiąt tysięcy.

- A ile zakładów wytwarza taki sprzęt?

- Mniej niż sto. Wywóz za granicę podlega ścisłej kontroli.

- Rozumiem - stwierdził Hirsch cierpko.

- Najwyraźniej otrzymali sprzęt z zewnątrz innymi niż zwykle kanałami - powiedział szef Metsady. Ciemnowłosy i chudy jak szczapa, miał łagodny głos, który sugerował, że nie skrzywdziłby muchy. - Najprawdopodobniej od

producentów sprzętu dwójakiego zastosowania.

- Mów po ludzku.

- Produkty przeznaczone do celów cywilnych mogą być wykorzystane przez przemysł obronny. W tym wypadku byłby to sprzęt do wzbogacania paliwa.

Wysokoobrotowe wirówki, sprzedawane zakładom mleczarskim do produkcji jogurtu, mogą być użyte do frakcjonowania sześćciufluorku uranu. Wymienniki ciepła zaprojektowane dla stalowni można wykorzystać do chłodzenia reaktorów. Eksport tych urządzeń nie podlega ograniczeniom ani nie wymaga certyfikatów użytkownika końcowego. Uważajmy to za operację pod fałszywą flagą.

- Pod fałszywą flagą? Myślałem, że zmonopolizowaliśmy rynek w tej dziedzinie. - Hirsh skrzyżował ręce na pękatej piersi. - Dobra, więc mają wzbogacony uran. Mogą nas zbombardować?

- Sześćdziesiąt dni temu przeprowadzili udaną próbę wystrzelenia pocisku szahab-4 dalekiego zasięgu - odparł szef sekcji wywiadowczej.

- Po jakim czasie od wystrzelenia pocisk spadłby na naszą ziemię?

- Po godzinie, maksymalnie.

- Możemy go zestrzelić?

- Teoretycznie jesteśmy bezpieczni jak niemowlę w ramionach matki. Izrael ma dwupoziomową strukturę obrony powietrznej do niszczenia pocisków dalekiego zasięgu. Pierwszy poziom to pociski ziemia-powietrze arrow II, a drugi to system patriot nowej generacji. Jeden i drugi ma tę samą wadę. Pociski mogą zostać wystrzelone dopiero wtedy, gdy nadlatująca rakietą znajdzie się w odległości stu kilometrów od celu - czyli parę minut przed uderzeniem. I żaden z nich nie został przetestowany w warunkach bojowych.

- A co z czymś, co przeleci pod radarem? Czy mają jakieś pociski samosterujące?

- Krążą pogłoski, nic poza tym.

- Miejmy nadzieję, że tylko pogłoski - powiedział Hirsh. - Co z dokładnością szahabów?

Człowiek z wydziału politycznego włączył się do rozmowy.

- Dokładnością muszą się martwić Niemcy, Francuzi i Amerykanie. Dla nas to bez znaczenia. Każde uderzenie w odległości osiemdziesięciu kilometrów od celu jest uderzeniem fatalnym w skutkach. Skoro pod naszym bokiem przeszmyglowali pięćdziesiąt tysięcy wirówek i zbudowali

supernowoczesny zakład wzbogacania uranu, o którym nikt nie słyszał, nie byłbym zaskoczony, gdyby na tym polu też zrobili postępy.

- I co? - mruknął Hirsch, pocierając grube, bezwłose przedramiona. - Mamy podnieść ręce i się poddać? Czy tego pragną nasi perscy przyjaciele? Czy spodziewają się, że będziemy czekać z założonymi rękami, podczas gdy będą zbroić swoje rakiety w głowice bojowe, które mogą zniszczyć nasze miasta?

Jako były generał dywizji izraelskich sił zbrojnych zbyt dobrze znał scenariusz uderzenia jądrowego na swoją ojczyznę. Izrael ma niespełna pięćset kilometrów długości i dwieście pięćdziesiąt szerokości. Dziewięćdziesiąt procent ludności skupia się w rejonie Jerozolimy i Tel Awiwu, miast oddalonych tylko o pięćdziesiąt kilometrów. Atak nuklearny na jeden z tych ośrodków nie tylko unicestwi znaczący odsetek populacji, ale zniszczy infrastrukturę przemysłową kraju. Opad radioaktywny sprawi, że obszar przez wiele lat nie będzie się nadawał do zamieszkania. Krótko mówiąc, ci, którzy przeżyją, mogą pójść tylko na pustynię. Nowa diaspora.

Żaden z szefów sekcji nie odpowiedział.

- Za godzinę mam spotkanie z premierem - podjął Hirsch. - Chciałbym pokazać, że nie zostaliśmy przyłapani ze spuszczoneymi spodniami.

Przypuszczam, że będzie zainteresowany jedną i tylko jedną kwestią. Czy nas zaatakują?

Szef wywiadu ściągnął usta.

- Prezydent Iranu wierzy w apokaliptyczny koniec świata, jak napisano w Koranie. Uważa za osobistą misję przyspieszenie powrotu dwunastego imama, znanego jako Mahdi, prawowitego potomka proroka Mahometa. Jest napisane, że jego powrót będzie poprzedzony przez starcie pomiędzy siłami dobra i zła, rozumiane jako okres długotrwałej wojny, przewrotów politycznych i rozlewu krwi. Pod koniec tego okresu Mahdi wprowadzi świat w erę powszechnego pokoju. Ale najpierw musi zniszczyć Izrael.

- Cudownie - burknął Hirsch. - Przypomnij mi, żebyśmy następnym razem nie przychodził do ciebie po dobre wiadomości.

- To nie wszystko. Dążenie prezydenta do uzyskania pełni władzy zakończyło się niewiarygodnym powodzeniem. Setki osób, które nie podzielały jego przekonań, straciły stanowiska w resorcie edukacji, zdrowia i dyplomacji, zwalniając miejsca dla jego kumpli ze straży republikańskiej. Co gorsza, jego człowiek został przywódcą religijnym kraju. Pół roku temu wysokie duchowieństwo mogło hamować ambicje prezydenta. Teraz już nie.

Ten nowy gość, ajatollah Razdi, kwalifikuje się do czubków. Regularnie rozmawia z Mahometem. Zdecydowanie nie jest przy zdrowych zmysłach.

- Jeśli chcecie wiedzieć, czy naciśnie spust - powiedział Hirsch - to chyba już znamy odpowiedź.

Szef sekcji wywiadowczej pokiwał głową.

- Prezydent cofa Irak do czasów Mahometa. Przy licznych okazjach głosił publicznie, że sam prorok przemówił do niego i poinformował go, iż powróci za dwa lata. Jedną rękę trzyma na Koranie, a drugą na spuście.

- Nie może w nieskończoność utrzymywać programu w tajemnicy. - Głos szefa Metsady ociekał jadem. - Kiedy wieść się rozniesie, będzie wiedział, że zareagujemy.

- Chyba że zareaguje pierwszy. - Hirsch stęknął, podnosząc się z fotela. - To jak powtórka marszu z 1936 roku.

- To znaczy?

- Hitler wysłał wojsko do Nadrenii, żeby odzyskać terytorium zaanektowane przez Francję po I wojnie światowej. Żołnierze byli kiepsko wyszkoleni i żałośnie uzbrojeni. Niektórzy nawet nie mieli naboju do karabinów. Dowódca otrzymał dwa komplety rozkazów. Jeden miał otworzyć, gdy Francuzi staną do walki, a drugi, jeśli tego nie zrobią. Francuzi wpuścili szkopów i nawet powitali ich jak wyzwolicieli. Dowódca otworzył pierwsze rozkazy. Miał zająć terytorium i rozdać mieszkańcom niemieckie flagi. Wydarzenie miało charakter przełomowy. Do tego dnia polityka Hitlera sprowadzała się do wrzasków i pustosłowia. Po zajęciu Nadrenii zaczął traktować siebie z większą powagą.

Podobnie jak reszta świata.

- Przepraszam, Zvi - wtrącił szef sekcji wywiadowczej. - Co mówiły drugie rozkazy?

- Drugie rozkazy? - Zvi Hirsch uśmiechnął się ze smutkiem. - Jeśli Francuzi staną do walki, dowódca ma nakazać natychmiastowy odwrót do koszar. W zasadzie miał uciekać na pierwszy znak oporu. Niemcy nie zniosłyby takiej hańby. Rząd by upadł. Wystarczyłby jeden strzał, a Hitler zostałby zmuszony do rezygnacji z urzędu.

- Mówisz, że musimy stawić im czoło? Hirsch odwrócił się i zapatrzył w okno.

- Nie sądzę, że teraz będzie to takie proste.



## 33

Jonathan siedział z kolanami podciągniętymi do piersi, oparty plecami o ścianę. Naprzeciwko, w niszy, stał wazon ze świeżymi kwiatami. Nad nim wisiał prymitywny żelazny krucyfiks. Schron zbudowany na zboczu przez Szwajcarski Klub Alpinistyczny przypominał grotę, z podłogą i ścianami z kamienia i zaprawy. Z miejsca, gdzie siedział, miał dobry widok na wszystkie prowadzące tu szlaki. Jeden biegł ze wschodu, prosto po łagodnym zboczu. Drugi schodził od jeziora, zygzakując w szeregu zakosów. Trzeci prowadził z zachodu. W dole, za stromymi pagórkami i zasłoną ulewnego deszczu, na horyzoncie majaczył szary półksiężyc Lago Maggiore.

Simone leżała na plecach na nierównym podłożu, ubranie miała mokre, jej pierś unosiła się ciężko.

- Widzisz kogoś? - zapytała zasapana. - W ogóle kogoś? Tropią nas?

- Nie. Nikogo nie ma.

- Jesteś pewien?

- Tak.

- Dzięki Bogu. - Stęknęła, siadając. - To za wiele - powiedziała, łapiąc się za głowę. - Boję się. To znaczy... Blitz... Nigdy nie widziałam zastrzelonego człowieka. Co zrobimy?

- Jeszcze nie jestem pewien.

Nagle Simone podniosła głowę, jakby wpadła na pomysł.

- Powiem ci, co zrobimy. Musimy zejść z tej góry. Pojedziemy autobusem do Lugano i znajdziemy jakieś miejsce, w którym będziemy mogli się osuszyć.

Kupimy ci nowe ubranie. Garnitur. Coś eleganckiego. Potem obetniemy i ufarbujemy ci włosy, a następnie wsadzimy cię do pociągu do Mediolanu. Oto, co zrobimy.

- Najpierw muszę mieć paszport. Najlepiej taki bez mojego nazwiska czy zdjęcia.

Zrezygnowała z pierwotnego planu.

- Dobrze, dajmy sobie spokój z pociągiem. Zaczekamy jakiś czas i wrócimy po samochód. Przejedziemy przez granicę. Wszystkich przepuszczają. Nie zatrzymają bankiera w mercedesie. Pojadę z tobą.

Wwiercała w niego oczy. Chryste, pomyślał, jeśli ja mam równie przerażoną minę, to jesteśmy w kłopotach.

- A co potem? - zapytał. - Dalsza ucieczka? - Podniósł się, wskazał w kierunku Willi Blitza. - Spójrz. Policja wie o moim zagranieniu na stacji kolejowej. Moje odciski palców są wszędzie w gabinecie Blitza. Jestem zabójcą, Simone. Jestem facetem, który rozwalił Blitzowi mózg. Szanse przekonania ich, że wczoraj działałem w samoobronie, przepadły.

- Dlatego musisz wyjechać z kraju.

- To niczego nie rozwiąże.

- Ale będziesz żył. Będziesz bezpieczny.

- Jak długo? Nie przestaną mnie szukać tylko dlatego, że przekroczyłem granicę. Roześlę moje zdjęcie do wszystkich krajów w Europie.

Jonathan skrzyżował ramiona, próbując wyobrazić sobie, co będzie, jeśli opuści kraj. Za każdym razem trafiał w ślepy zaułek. Nie mógł zobaczyć przyszłości częściowo dlatego, że nie był przyzwyczajony do uciekania. Przez lata mierzył się z niezdobytymi zbroczeniami w najbardziej nieprawdopodobnych warunkach. Po jakimś czasie doszedł do przekonania, że człowiek może zrobić wszystko, jeśli tylko się nie podda. Nie trzeba być wielkim. Wystarczy iść do przodu.

W młodości arogancki i trochę zadufany w sobie Jonathan mawiał, że jest przeciwny odwrotowi dla zasady. Dzięki tej uporczywości w ciągu siedmiu lat skończył studia i akademię medyczną, a potem pracował w terenie, podczas gdy jego koledzy odpadali jeden po drugim.

„Łamią się i uciekają - mawiała Emma po paru kieliszkach Jacka Daniela.

- Większość z nich to tchórze. Mają mysie serca i niewiele większe jaja".

Słyszał jej głos tak wyraźnie, jakby siedziała obok niego. Nagle oczy go zapiekły. Chciał trzymać Emmę za rękę. Tęsknił za jej siłą. Simone patrzyła na niego zza splecionych, mokrych włosów.

- Do licha, co się dzieje?

- O co ci chodzi?

- W co się wplątała nasza dziewczyna?

- Nie wiem.

- Nigdy ci nie mówiła? Jak mogła trzymać w sekrecie coś takiego? Musisz coś wiedzieć. Dlatego nie przestajesz... Dlatego ścigasz jej ducha. Powiedz mi prawdę, Jonathanie. Byłeś w tym z nią? Tworzyliście zespół? Słyszałam o parach zaangażowanych w takie rzeczy.

- W jakie rzeczy?

Simone zawahała się, z konsternacją pokręciła głową.

- Nie wiem, jak to się nazywa. Szpiegostwo. Agentura. Bo chyba o to

chodzi, prawda? Fałszywe prawo jazdy. Ludzie próbujący przejąć bagaże. Pieniądze. Sto tysięcy franków. To nie złodziej zastrzelił Blitz, prawda?

- Nie. Nie złodziej.

Odpowiedź chyba potwierdziła jej najgorsze podejrzenia. Opuściła ramiona, jakby pod ciężarem sumy oskarżeń. Jonathan przesunął się i usiadł obok niej.

- Nie wiem, w co była zamieszana Emma. A Bóg świadkiem, chciałbym wiedzieć.

Patrzyła mu w oczy odrobinę za długo.

- Nie wiem, czy ci wierzyć.

Odwrócił wzrok i przeciągnął rękami po twarzy, zastanawiając się, co powinien zrobić.

- A więc - zaczął w końcu - co zamierzasz?

- Ja? Mówiłam ci. Pojedziemy do Lugano i sprawimy ci nowe ubranie. Potem zmienimy twój wygląd. A potem...

- Simone, przestań. Nie możesz ze mną zostać. Wszystko wymknęło się spod kontroli.

- Spodziewasz się, że cię zostawię?

- Rozdzielimy się po zejściu z góry. Pojedziesz do Davos na spotkanie z Paulem i zapomnisz o wszystkim, co się stało.

- Aty?

Jonathan podjął decyzję.

- Mam zamiar się dowiedzieć, co robiła.

- Dlaczego? Co to da? Musisz myśleć o sobie.

- Myślę. Nie rozumiesz?

Kiwając głową, Simone sięgnęła do torebki po papierosa. Zapaliła i wydmuchnęła obłok dymu. Zauważył, że jej ręce już nie drżą.

- Pozwól, że ci pomogę przynajmniej kupić ubranie - powiedziała. - Zanim odejdę...

Jonathan objął ją i przytulił.

- Tyle możesz zrobić. A teraz zobaczmy, czy zdołamy coś zrozumieć z papierów, które zabrałem z jego gabinetu.

Otworzył aktówkę Blitz, zaczął przeglądać dokumenty. Rachunki, rozmaite świstki związane z prowadzeniem domu. Podawał je Simone, ona poświęcała każdemu jeden szybki rzut oka, a potem wrzucała do aktówki. Nie znaleźli nic, co rzuciłoby światło na to, kim był Blitz albo dla kogo pracował.

W bocznej kieszeni Jonathan znalazł palmtopa: telefon, edytor tekstów, poczta elektroniczna, przeglądarka internetowa. Włączył urządzenie. Ekran pojaśniał.

W górnym rogu pojawiła się mrugająca gwiazdka, sygnalizując napływającą wiadomość. Kliknął na nią. Komputer zażądał hasła. Wystukał 1-1-1-1, potem 7-7-7-7. Odmowa dostępu. Zaklął pod nosem.

- Co to? - Simone przysunęła się bliżej, patrząc na ekran.

- Palmtop Blitz. Wszystko chronione hasłem. Nie mam dostępu. Ani do poczty, ani Worda, ani przeglądarki. Jakie masz hasło?

- To zależy. Miałam różne hasła do każdego konta. Używałam dnia urodzin mojej matki, a potem numeru domu w Aleksandrii, gdzie się wychowałam.

Obecnie wpisuję jeden-dwa-trzy-cztery. Tak jest łatwiej.

Aon? Miał tylko jedno hasło. Urodziny żony: 11-12-77.

Nagle przypomniał sobie o bransoletce z pendrive'em, którą znalazł w torbie podróźnej Emmy. Zsunął ją z nadgarstka, otworzył i wsunął drive do portu USB palmtopa. Na ekranie pojawiła się ikona opisana „Thor”. Kliknął na nią dwa razy, a program w odpowiedzi zażądał hasła.

- Niech to cholera.

- To twoje? - zapytała Simone, wyciągając rękę po pendrive'a.

- Emmy. Znalazłem w jej rzeczach, gdy wróciłem do hotelu. Też chce hasła. - Wpisał datę urodzin Emmy, potem swoją. Wystukał ostatni PIN do bankomatu, następnie poprzedni. Spróbował z rocznicą ślubu. Bez powodzenia. Poddał się.

Thor.

Wskazał ikonkę.

- Widziałem tę nazwę w notatce do Evy Kruger. Coś o zamknięciu czy demontażu.

- Było podane, kiedy?

- Dziesiątego lutego. W poniedziałek.

- Co robisz?

Przewertował papiery, znalazł notkę wypisaną na papierze firmowym ZIAG, adresowaną do Evy Kruger i dotyczącą Projektu Thor.

- Zadzwoń i zapytam ich o to.

- Kogo?

- ZIAG czy jak tam nazywa się firma, dla której pracował Blitz. Simone bez większego przekonania spróbowała wyrwać palmtopa z jego rąk.

- Nie, Jonathanie, nie rób tego. Wpadniesz w jeszcze większe kłopoty.

- Większe kłopoty? - Wstał i poszedł na drugą stronę groty, włączył telefon i usłyszał sygnał. Przynajmniej ta funkcja nie wymagała hasła. Z kartką w rękę wystukał numer podany u góry strony. Telefon został odebrany po drugim sygnale.

- Dzień dobry, Zug Industrialwerke. Z kim mam połączyć? Głos, bardzo profesjonalny, należał do młodej kobiety.

- Z Evą Kruger proszę.

- A kto mówi?

Jej mąż, odparł w duchu Jonathan. Nie miał przygotowanej odpowiedzi, bo nie spodziewał się, że firma naprawdę istnieje.

- Znajomy - odparł po chwili.

- Nazwisko?

- Schmidt. - Było to nazwisko najbliższe Smithowi, jakie przyszło mu na myśl.

- Chwileczkę. - Zabrzmiał cichy sygnał, gdy recepcjonistka przełączała na numer wewnętrzny. Zgłosiła się poczta głosowa. „Tu Eva. Nie ma mnie przy biurku. Jeśli podasz nazwisko i numer telefonu, oddzwonię jak najszybciej. W celu uzyskania dalszej pomocy wciśnij gwiazdkę, a połączysz się z moją asystentką, Barbarą Hug”.

Język był płynny, szwajcarski niemiecki z berneńskim akcentem. Bez wątplenia Eva Kruger jest rodowitą Szwajcarką. Problem w tym, że słyszał głos Emmy. Emmy, która potykała się na grüezi i nie wypowiedziała by chuechikaestli, nawet gdyby od tego zależało jej życie. Emmy, która, poza przyzwoitą znajomością tego, co nazywała „szkolną francuszczyzną”, była, jak sama mówiła, odporna na języki obce.

Jonathan wcisnął gwiazdkę. Chciał porozmawiać z Barbarą Hug. Chciał zapytać, czy to jej prawdziwe nazwisko, czy przybiera je tylko na czas kontaktów, które wymagają również sztucznych rzęs i skąpej bielizny, nie wspominając o kopertach pełnych zimnej, twardej gotówki.

Ale po chwili usłyszał krótki komunikat z poczty głosowej Fräulein Hug i przerwał połączenie.

Natychmiast zadzwonił ponownie. Gdy zgłosiła się recepcjonistka, znów podał nazwisko Schmidt. Teraz on też miał pseudonim.

- Chciałbym rozmawiać z przełożoną pani Kruger - powiedział, pamiętając o obrączce ślubnej z wygrawerowaną rocznicą ślubu. - W pilnej sprawie.

- Niestety, w tej chwili jest zajęty.
- Oczywiście - syknął Jonathan.
- Słucham?

Jonathan znalazł kopertę zawierającą zdjęcia paszportowe Emmy i mężczyzny o nazwisku Hoffmann.

- Proszę połączyć mnie z panem Hoffmannem. Usłyszał męski głos.
- Pan Schmidt? Mówi Hannes Hoffmann. Pani Kruger wyjechała z kraju.

O czym chciał pan z nią mówić?

- O Thorze.

Cisza. Najwyraźniej obejście Hoffmanna też wymagało hasła. Potem, ku jego zaskoczeniu: - Tak, a mianowicie?

- Myślę, że możecie mieć problem z szybkim zakończeniem projektu.
- Panie Schmidt, nie rozmawiamy o interesach z obcymi.

- Nie jestem obcy. Mówiłem, jestem znajomym Emmy. I dodam, że już nie możecie liczyć na Gottfrieda Blitzę. - Jonathan spodziewał się kolejnego stwierdzenia, że firma nie rozmawia o interesach z obcymi, ale słyszał tylko martwą ciszę. - Zna go pan, prawda? Jego nazwisko jest na notce, którą pan wysłał.

- Tak - padła ostrożna odpowiedź. - Co z panem Blitzem?

- Nie żyje.

- O czym pan mówi?

- Załatwili go dziś rano. Zakradli się do jego domu i strzelili mu w głowę.

- Kim pan jest?

- Już panu mówiłem. Nazywam się Schmidt.

- Skąd pan wie o panu Blitzu?

- Byłem tam. Widziałem go.

- Niemożliwe. - Hoffmann powiedział to lekkim tonem, jakby Jonathan próbował go nabrać.

- Proszę posłać kogoś do jego domu, jeśli mi pan nie wierzy. Policja już tam jest. Niech pan zadzwoni, a będzie pan widział.

- Zrobię to. Bezwzględnie. A teraz proszę mi powiedzieć, kim pan jest naprawdę?

- Proszę sprawdzić numer telefonu.

Nastąpiła przerwa, a po niej zabrzmiał szmer gwałtownie wciąganego oddechu.

- Kto mówi? Co pan zrobił Blitzowi?

Jonathan przerwał połączenie. Od tej chwili to on zamierzał zadawać

pytania.

## 34

Zgodnie z zasadami, które odnosiły się do wszystkich zabójstw, ciało Theodore H. Lammersa, dyrektora generalnego Robotica AG, obywatela Holandii, przypuszczalnie agenta pracującego dla nieznanego kraju i ofiary zawodowego zabójcy, zostało przewiezione do kostnicy szpitala uniwersyteckiego i poddane autopsji. Autopsję przeprowadzał doktor Erwin Rohde, naczelny lekarz sądowy w kantonie Zurychu.

Rohde, sześćdziesięcioletni, drobny jak skrzat, miał wodniste niebieskie oczy i strzechę siwych włosów. W tym przypadku nie trzeba dociekać przyczyny śmierci, pomyślał, kiedy stał nad denatem i oglądał rany na twarzy i piersi. Jeśli strzały w głowę nie uśmierciły ofiary, dokonał tego strzał w pierś. Okrągła czarna dziura po kuli znajdowała się dokładnie nad sercem.

Morderstwa w Zurychu, a zasadniczo w całej Szwajcarii, zdarzały się stosunkowo rzadko. W ubiegłym roku odnotowano sześćdziesiąt siedem zabójstw. Mniej niż w amerykańskim mieście San Diego, gdzie mieszka ponad milion ludzi, czyli jedna siódma populacji Szwajcarii. Z tych sześćdziesięciu siedmiu zabitych, dwudziestu padło ofiarą organizacji przestępczych i głównie byli to również przestępcy. Ale czegoś takiego Rohde nie widział od lat.

Wybrał skalpel, zrobił nacięcie pośrodku czoła i dokoła głowy. Po zerwaniu skóry (połowa spadła na twarz, połowa na kark) użył piły elektrycznej, żeby ściąć czubek czaszki. Brudna robota. Pociski przemieniły mózg w miazgę.

Rohde wygrzebał kilka zniekształconych kawałków ołowiu i wrzucił je do miski stojącej po prawej stronie. Były to kule dum-dum z wydrążonym płaszczem na czubku, rozplaszczające się w grzybek po zderzeniu. Wyłuskał kolejny kawałek metalu i znieruchomiał. Przecież nie jest taki stary? - pomyślał.

Zamiast normalnego różowego koloru, tkanka wokół fragmentu pocisku była brązowawa. Zwykle taka barwa wskazuje na martwicę, obumarcie tkanki spowodowane przez czynnik zewnętrzny, infekcję, zapalenie albo zatrucie.

Pobrał fragment mózdzka i umieścił go w specjalnej torebce. Zostawiając zamknięcie czaszki asystentowi, zajął się badaniem rany w piersi. Kula rozplaszczyła się, uderzając w serce, ale poza tym była cała. Usunięcie jej nie



zabrało wiele czasu. Poprawił ustawienie lampy i pochylił się, żeby obejrzeć organ. Serce miało dojrzały, zdrowy, rdzawoczerwony kolor. Całe, z wyjątkiem okolic rany. Tu mięsień miał ten sam brązowy kolor kału, który zaobserwował w mózgu.

Rohde wyciął kawałek tkanki i podniósł go do światła. Nie miał wątpliwości, że ma przed oczami zaawansowany przypadek martwicy. Tę próbkę też schował do plastikowej torebki.

Zabrał obie, zdjął fartuch i opuścił salę operacyjną.

Dwie minuty później wszedł do laboratorium medycyny sądowej.

- Muszę skorzystać z MS-GC - powiedział, mając na myśli spektrometr masowy i chromatograf gazowy.

Coś na kuli zabijało ciało.

C31-H42-N2-06.

Erwin Rohde patrzył na wzór na wyświetlaczu spektrometru masowego, czekając, aż maszyna przetłumaczy go na nazwę znanej substancji. Minęło dziesięć sekund, a słowa się nie pojawiły. Spektrometr, zdolny do zidentyfikowania ponad sześćdziesięciu czterech tysięcy substancji, nie potrafił sobie z tym poradzić. Powtórne żądanie analizy tkanki zaowocowało tym samym wynikiem. Rohde pokręcił głową. Po raz pierwszy od dwudziestu lat maszyna sprawiła mu zawód.

Zapisał wzór i pospieszył do swojego biura. Toksyna albo trucizna, był tego pewien. Pytanie, jaka. Spróbował sprawdzić wzór w swoim komputerze. Znow bez rezultatu. Skonsternowany odsunął fotel. Znał pewnego człowieka, który mógł udzielić mu odpowiedzi.

Zajrzał do książki adresowej, wybrał numer: 44 - Anglia, 171 - Londyn.

Czterocyfrowy prefiks należał do New Scotland Yardu.

- Wickes - usłyszał oschły angielski głos.

Przedstawił się i oznajmił, że zeszłego lata brał udział w jego seminarium zatytułowanym „Nowe techniki medycyny sądowej”. Wickes był zajęтым człowiekiem, który nie przejmował się uprzejmościami.

- O co chodzi?

Rohde streścił wyniki sekcji Lammersa i powiedział, że spektrometr masowy nie rozpoznał związku chemicznego powodującego martwicę mózgu i mięśnia sercowego.

- Wystarczy skład - przerwał mu Wickes. - Resztę proszę zostawić mnie.

Rohde odczytał listę składników. Kiedy Wickes wrócił do telefonu, był znacznie mniej wyniosły.

- Gdzie pan znalazł tę tkanę?  
- Wokół ran po kuli w głowie i piersi.  
- Interesujące - powiedział Wickes.  
- Czy to znaczy, że zidentyfikował pan substancję?  
- Oczywiście. Podał mi pan skład batrachotoksyny. Rohde przyznał, że nigdy nie słyszał o takiej toksynie.

- Nie bez powodu - odparł Wickes. - Nic z pańskiego podwórka, prawda? Z greki batrachos to żaba.

- Jad żaby?

- Rodzaj Dendrobates. Dokładnie, drzewołaz złocisty, najbardziej jadowita żaba na świecie. Mały diabeł wielkości pańskiego kciuka. Znany z lasów deszczowych Ameryki Środkowej. Zachodnia Kolumbia, Nikaragua, Salwador, Kostaryka. Batrachotoksyna jest jednym z najbardziej zabójczych jądów na świecie. Jedna setna mikrograma - to mniej więcej ciężar dwóch ziarenek soli - wystarczy, żeby zabić mężczyznę ważącego siedemdziesiąt kilogramów.

Jedynym znanym zastosowaniem toksyny, oczywiście poza funkcją ochronną samych żab, jest zatrucie strzał przez Indian polujących na mały i inne zwierzęta.

- Kule zostały pokryte trucizną? Ale dlaczego? Zamiast odpowiedzieć, Wickes zadał własne pytanie: - Czy pańscy ludzie wiedzą coś o zabójcy? Czy go aresztowali?

- Nie.

- Tak sądziłem. Jestem pewien, że to profesjonalista.

Rohde przyznał mu, że zdaniem policji morderstwo zostało popełnione przez wyszkolonego zabójcę.

Wickes chrząknął, a kiedy się odezwał, jego głos brzmiał konspiracyjnie.

- Przypomina mi się coś, co widziałem podczas służby w Królewskiej Piechocie Morskiej, będąc w Salwadorze. W osiemdziesiątym pierwszym albo drugim. Byliśmy daleko od Belize, na wspólnych ćwiczeniach z jankesami.

Wtedy kraj stał w ogniu. Wszyscy zaciekle walczyli o władzę. Komuniści, faszyci, nawet paru demokratów. Rząd wysyłał szwadrony śmierci na wieś, żeby rozprawiły się z opozycjonistami. W rzeczywistości mordowali z zimną krwią.

Kilku żołnierzy było Indianami, niezbyt uszczęśliwionych tym, co im kazano robić. To przesądna banda. Wiara w duchy i świat duchów. Szamani.

Zmiennokształtni. Co pan tylko sobie życzy. Mieli rytuał dla ochrony przed duchami ludzi, których zabili. Maczali kule w truciźnie, żeby nie prześladowały ich duchy ofiar. Żeby zabić duszę, zanim opuści ciało.

- Straszne.

- Wie pan, kto szkolił te szwadrony, prawda? - zapytał Wickes.

- Co to znaczy, szkolił?

- Nauczył ich fachu. Wysyłał w pole. Mówił im, co mają robić.

- Nie mam pojęcia - odparł Rohde.

- Jankesi. Kompania. Tak się wtedy nazywali. Chce pan znaleźć zabójcę, niech pan tam zacznie szukać.

- W Kompanii? Chodzi panu o CIA?

- Zgadza się. Banda cholernych sukinsynów.

Wickes rozłączył się bez pożegnania.

Erwin Rohde usiadł. Potrzebował chwili, żeby przetrwać informacje. Zatrute kule. Zabójcy. Takie rzeczy po prostu nie zdarzały się w Szwajcarii.

Niemal niechętnie podniósł telefon i wybrał prywatny numer głównego inspektora Marcusa von Danikena.

## 35

Nigdy go nie zestrzelicie - powiedział brygadier Claude Chabert, dowódca trzeciego skrzydła myśliwców szwajcarskich sił powietrznych. - Turbośmigłowce są dość trudne. Latają z prędkością tylko dwustu kilometrów na godzinę, ale to małeństwo ma silnik odrzutowy w ogonie. Dajcie sobie spokój.

- Nie można wystrzelić pocisku? - gderał Alphons Marti, podchodząc do środka stołu, żeby lepiej widzieć światłokopie planów drona, czyli „bezzałogowego statku powietrznego”, według Chaberta. - A stinger? Mówi pan, że to odrzutowiec. Musi zostawiać ślad termiczny.

Chabert, Marti i von Daniken stali przy stole w biurze inspektora na Nussbaumstrasse. Dochodziła siedemnasta. Chabert, inżynier elektryk i pilot horneta F/A-18 z sześcioma tysiącami wylatanych godzin, przybył pospiesznie ze swojej bazy w Payerne, żeby wygłosić błyskawiczny wykład na temat niszczenia bezzałogowych aparatów latających. Smukły i jasnowłosy, ze zmarszczkami wokół niebieskich oczu pasterza, ubrany w kombinezon lotniczy, był modelowym przykładem doświadczonego pilota.

- Ślad termiczny nie wystarczy - wyjaśniał cierpliwie. - Trzeba pamiętać, że to mały odrzutowiec. Rozpiętość skrzydeł cztery metry. Kadłub zaledwie dwa i pół na pięćdziesiąt centymetrów. Niewielki cel, gdy porusza się z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę. Konwencjonalne radary używane przez kontrolę ruchu powietrznego są umyślnie „przykręcone”, żeby uniknąć wychwytywania małych obiektów, takich jak ptaki. A ten samolot jest niewidzialny dla radaru. Ma niewiele ostrych kątów. Dysze znajdują się przy statecznikach ogonowych. Gdybym miał się założyć, powiedziałbym, że srebrna powłoka na kadłubie to RAM.

- Co to jest RAM? - zapytał Marti takim tonem, jak gdyby chodziło o coś wymyślnego wyłącznie po to, żeby go zirytować.

- Materiał absorbujący promieniowanie radarowe. Metaliczny kolor dodatkowo utrudnia dostrzeżenie go ludzkim okiem. - Chabert skończył oglądać plany i zwrócił się do van Danikena: - Przykro mi, Marcusie, ale radar cywilny go nie zobaczy. Macie pecha.

Von Daniken usiadł w fotelu i przegarnął ręką włosy. W ciągu godziny wiele się dowiedział o rozwoju dronów i wykorzystaniu ich jako broni. Wiatach pięćdziesiątych izraelskie siły powietrzne zapoczątkowały

stosowanie samolotów bezzałogowych do lotów nad północną granicą z Libanem. Wtedy dron był zdalnie sterowaną zabawką z przypiętym pod kadłubem aparatem fotograficznym, który robił zdjęcia nad terytorium nieprzyjaciela. Najnowsze modele mają skrzydła o rozpiętości piętnastu metrów, przenoszą pod nimi pociski powietrze-ziemia hellfire i są sterowane via satelita przez operatorów z bezpiecznych bunkrów tysiące kilometrów dalej.

- Wiecie coś o celu? - zapytał Chabert.

- Samolot Żodparł von Daniken. - Prawdopodobnie tu, w Szwajcarii.

- Wiadomo gdzie? Zurych, Genewa, Bazylea?

- Nie. - Von Daniken chrząknął. Trudy ostatnich dni dały mu się we znaki.

Miał ciemne kręgi pod oczami i nawet gdy siedział, garbił ramiona. - Proszę mi powiedzieć, jakiego pasa potrzebuje taki aparat, żeby wystartować?

- Dwieście metrów wolnej drogi. Drona tej wielkości można rozpakować, złożyć i wysłać w powietrze w pięć minut.

Von Daniken wspomniał spotkanie w Robotica AG, firmie Lammersa, i podany z dumą opis metody łączenia wskazań różnych układów pomiarowych. Z tego, co wiedział, pilot - inaczej operator - mógł się znajdować w Brazylii albo gdziekolwiek indziej, jeśli o to chodzi.

- Istnieje możliwość zablokowania sygnału?

- Lepiej zlokalizować stację naziemną. Dron funkcjonuje w oparciu o trzy elementy. Stacja naziemna, satelita i sam aparat, z sygnałami bezustannie przekazywanymi pomiędzy nimi.

- Jak duża jest stacja naziemna?

- To zależy. Ale jeśli pilot ma sterować aparatem znajdującym się poza zasięgiem wzroku - to znaczy, polegać na pokładowych kamerach drona - musi mieć monitory wideo, radar, stałe źródło zasilania i nieprzerwaną łączność satelitarną.

- Czy może być mobilny? - zapytał von Daniken. - Powiedzmy, czy może siedzieć w furgonetce?

- Zdecydowanie nie - oświadczył Chabert. - Operator musi przebywać w obiekcie nieruchomym. Inaczej nie będzie miał dość mocy, żeby wysłać sygnał na dużą odległość. Mówiłeś, że zamierzają zestrzelić samolot. Ten BSP jest za mały, żeby przenosić pocisk powietrze-powietrze. Czy jesteś pewien, że ten, kto za tym stoi, zamierza uderzyć dronem w inny samolot?

Jeśli tak, będzie chciał mieć cel w zasięgu wzroku. Sterowanie tymi aparatami z pomocą kamery i radaru jest cholernie trudne.

- Nie wiem niczego na pewno. Ale prawdopodobnie zostaną użyte plastyczne materiały wybuchowe.

- Cóż - mruknął Chabert i wyjaśniał. - W takim razie przynajmniej wiemy, do czego służy gondola. Założyłem, że do umieszczenia dodatkowej awioniki.

- O jakiej gondoli mówisz?

Pilot postukał piórem w pojemnik w kształcie łyżki pod dziobem drona.

- Udźwig trzydzieści kilogramów.

Von Daniken jęknął w duchu. W garażu Blitzza brakowało około dwudziestu kilogramów semteksu.

- Wystarczy, żeby strącić samolot? - zapytał Marti.

- Z powodzeniem. - Bomba, która spowodowała katastrofę PanAm 103 nad Lockerbie, mieściła się w magnetofonie. Wystarczyło mniej niż kilogram C-4, żeby wyrwać dwumetrową dziurę w kadłubie boeinga 747. Na wysokości dziesięciu tysięcy metrów samolot nie ma żadnych szans. Wyobraźcie sobie drona pędzącego z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę z ładunkiem pięćdziesiąt razy większym.

Marti odsunął się od stołu. Jego twarz miała kolor zsiadłego mleka.

- Ale to tylko połowa waszego problemu - dodał Claude Chabert. Von Daniken zmrużył oczy.

- To znaczy?

- Z ładunkiem tej wielkości sam dron jest pociskiem. Niekoniecznie trzeba czekać, by samolot znalazł się w powietrzu, żeby zabić wszystkich na pokładzie.

Równie łatwo można zniszczyć cel na ziemi. Wybuch zapali paliwo w zbiornikach w skrzydłach. Kula ognia i odłamki zainicjują reakcję łańcuchową.

Wszystkie samoloty w promieniu dwudziestu metrów wybuchną jak przegrzana amunicja.

Krzywiąc się, przeciągnął ręką po karku.

- Panowie, równie dobrze możecie stracić całe lotnisko.

Chabert wyszedł pięć minut wcześniej. Von Daniken siedział na skraju stołu konferencyjnego, z rękami skrzyżowanymi na piersi, podczas gdy Alphons Marti krążył po pokoju. Zostali tylko oni dwaj.

- Musimy powiadomić odpowiednie władze - powiedział von Daniken. -

Myślę, że telefon powinien pochodzić z pańskiego biura.

Lista była długa i obejmowała Zarząd Federalny Lotnictwa Cywilnego, Federalną Służbę Bezpieczeństwa, wydziały policji w Zurychu, Bernie, Bazylei i Lugano, a także ich siostrzane agencje we Francji, Niemczech i Włoszech, w krajach, nad które mógł wtargnąć dron. Od nich miało zależeć skontaktowanie się z liniami powietrznymi.

- Zgadzam się, ale sądzę, że na tym etapie gry jest jeszcze za wcześnie. Chodzi mi o to, o jakim właściwie ataku mówimy?

- Myślałem, że właśnie to omówiliśmy.

- Tak, tak, ale co z konkretnymi? Czy znamy datę, godzinę albo choćby miejsce?

Jak na razie, wszystko, co wiemy, jest oparte na majaczeniach terrorysty, który przekazał informacje pod przymusem, jakiego wolę sobie nie wyobrażać.

Marti mówił stonowanym głosem, jak cierpliwy rodzic karcący niesforne dziecko. Von Daniken podchwycił nutę.

- Gassan mógł mówić pod przymusem, ale prawdę. Nie kłamał, kiedy powiedział, że dostarczył pięćdziesiąt kilogramów semteksu Gottfriedowi Blitzowi, alias Mahmoudowi Quitabowi. Mamy również zdjęcie świadczące, że Blitz albo jest, albo był irańskim oficerem. Mogę z łatwością założyć, że Lammers zbudował drona i dostarczył go Blitzowi. Gassan zeznał, że celem Blitz jest zniszczenie samolotu w Szwajcarii. Uważam, że to więcej niż potrzeba, żeby zgłosić wszystko władzom.

- Zgodza, ale Lammers i Blitz nie żyją. Czy założenie, że inni członkowie ich grupy... jak się to nazywa? - ich komórki - również są martwi, byłoby niedorzeczne? Gdybyś mnie spytał, powiedziałbym, że ktoś odwała za nas brudną robotę.

Von Daniken myślał o drobinach białego lakieru na narożniku w garażu Blitz, o dwudziestu brakujących kilogramach materiałów wybuchowych, o śladach opon pasujących do volkswagena vana użytego do przewiezienia materiałów wybuchowych.

- Jest ich więcej. To nie jest dwuosobowa operacja.

- Może tak, Marcusie. Nie będę twierdzić, że nic się nie dzieje. Ale dajesz mi za mało amunicji. Powiadomię szefów lotnictwa cywilnego, i co potem?

Spodziewasz się, że odwołają loty? Czy zmienią trasy przelotów, kierując wszystkie samoloty do Monachium, Stuttgartu i Mediolanu, a pasażerów przewiozą koleją i autobusami? A gdyby zagrożony był tunel? Czy

zamknęlibyśmy San Bernardino i Świętego Gotarda? Oczywiście, że nie.

Inspektor spojrział na niego twardo.

- Będziemy potrzebować współpracy miejscowej policji - oświadczył po chwili, udając, że nie słyszał ani słowa z tego, co powiedział Marti. - Będziemy chodzić od domu do domu w promieniu dziesięciu kilometrów od lotniska.

Potem...

- Nie słuchałeś generała? - przerwał mu Marti tym samym, doprowadzającym do szału, spokojnym tonem. - Dron może zostać wystrzelony z każdego miejsca.

Może strącić samolot we Francji albo w Niemczech, albo... albo w Afryce, z tego, co wiemy. Marcusie, proszę.

Von Daniken wbił paznokiec w dłoń. Nawet zmusił się do uśmiechu, żeby pohamować wybuch. To się nie dzieje naprawdę, powtarzał sobie w duchu. Marti nie lekceważy zagrożenia.

- Jak mówiłem, rozpoczniemy przeszukiwanie domów. Obiecuję, że będzie przeprowadzane po cichu. Zaczniemy od Zurychu i Genewy.

- Ilu policjantów miałoby wziąć w tym udział?

- Kilkuset.

- Aha. Kilkuset cichych policjantów, którzy będą chodzić na paluszkach i nie szepną słówka, dlaczego musieli zostawić żony i dzieci w środku nocy, żeby pukać od drzwi do drzwi i szukać uzbrojonego pocisku.

- Nie szukać. Rozmawiać z mieszkańcami i pytać, czy nie zauważyli czegoś podejrzanego. Przeprowadzimy operację pod pozorem poszukiwania zaginionego dziecka.

- Cisi policjanci. Przyjazne dociekanie. Do jutra rana połowa kraju będzie wiedziała, co robimy, a w wieczornych wiadomościach uświadomię drugą połowę, iż sądzimy, że na terenie naszego kraju działa komórka terrorystyczna zmierzająca do zestrzelenia samolotu pasażerskiego i że za cholerę nie możemy nic zrobić, żeby temu zapobiec.

- Otóż to - powiedział van Daniken. - Sądzimy, że na terenie naszego kraju działa komórka terrorystyczna, która ma właśnie takie zamiary.

Przegrywał. Czuł, że argumenty uciekają mu z rąk jak piasek przesypany się przez palce.

Marti obrzucił go potępiającym spojrzeniem.

- Czy masz pojęcie, jaką panikę to wzbudzi? Równie dobrze możesz zamknąć całą sieć transportu powietrznego w środkowej Europie. To nie



bomba w czyimś bagażu. Sam koszt ekonomiczny... nie wspominając o reputacji naszego kraju...

- Będziemy musieli umieścić stanowiska stingerów na dachach lotnisk i rozlokować baterie przeciwlotnicze wokół pasów.

Czekał na sprzeciw, ale minister sprawiedliwości zachował milczenie. Usiadł i splótł ręce na karku, patrząc w przestrzeń. Po chwili pokręcił głową i von Daniken zrozumiał, że sprawa została zamknięta. Przegrał. Co gorsza, wiedział, że Marti niezupełnie się myli, nawołując do zachowania spokoju.

- Przykro mi, Marcusie. Zanim zrobimy jedną z tych rzeczy, musimy potwierdzić istnienie spisku. Jeśli ten Blitz czy Quitab... czy jak go tam zwał... miał współników, znajdź ich razem z brakującymi dwudziestoma kilogramami materiałów wybuchowych i białą furgonetką. Jeśli chcesz, żebym zamknął cały kraj, musisz dać mi konkretny dowód na istnienie spisku, którego celem jest zestrzelenie samolotu na szwajcarskiej ziemi. Nie sparaliżuję kraju na podstawie zeznań wydobytych przez twoich kumpli z CIA.

- ARansom?

- Co z nim? - zapytał Marti lekkim tonem, gdy wstał i ruszył do drzwi. - Jest podejrzany o morderstwo. Zostaw go policji kantonu.

- Zaczekam, może ranny detektyw zbudzi się ze śpiączki. Mam nadzieję, że rzuci trochę światła, dlaczego Ransomowi tak zależało na tym bagażu.

- Nie zwracaj sobie głowy. Poinformowano mnie, że ranny detektyw zmarł godzinę temu. Teraz Ransom jest poszukiwany za dwa morderstwa.

Von Daniken miał wrażenie, że dostał nożem w plecy.

- Ale on jest kluczem...

Marti zmrużył oczy i na jego policzkach pojawiły się plamy czerwieni. Złość od początku w nim wrzała. Po prostu była dobrze ukryta.

- Nie, inspektorze, kluczowe dla tego dochodzenia jest odnalezienie furgonetki i ludzi, którzy chcą zestrzelić odrzutowiec nad Szwajcarią. Proszę zapomnieć o Ransomie. To rozkaz.

## 36

Van jechał ulicami śpiącego osiedla. Już nie był biały. Kilka dni wcześniej został przemalowany na czarno, na bokach widniała nazwa fikcyjnej firmy cateringowej. Na reklamie miał prawdziwy numer telefonu i gdyby ktoś zadzwonił, dyżurująca pod nim osoba udzieliłaby profesjonalnej odpowiedzi.

Szwajcarskie tablice rejestracyjne zostały zamienione na niemieckie, zaczynające się od liter „ST”, przyporządkowanych Stuttgartowi, wielkiemu miastu przemysłowemu w pobliżu granicy.

Pilot siedział za kierownicą. Przed wyjazdem sprawdził, czy wszystkie światła są sprawne. Uważał, żeby nie przekroczyć ograniczenia prędkości. Zatrzymywał się na każdym znaku stopu. Na żółtych światłach zwalniał i czekał. Pod żadnym pozorem nie mógł przyciągnąć uwagi policji. Kontrola skrzyń z nierdzewnej stali w przedziale bagażowym skończyłaby się katastrofą. Jeśli plan miał jakieś słabe punkty, to ten: konieczność transportu drona publicznymi ulicami bez ochrony.

Furgonetka przecięła Oerlikon, Glattburg i Opfikon na przedmieściach Zurychu. Niedługo później zostawiła za sobą dzielnice mieszkalne i wjechała w rzadki las sosnowy. Droga pięła się stromo wśród drzew. Po paru minutach las się skończył i van wjechał na wzgórze, gdzie znajdował się rozległy, zasypany śniegiem park. Biegła przez niego asfaltowa droga długości około kilometra.

Czarny lód pokrywał asfalt. Pilot czuł, jak opony tracą przyczepność nawet przy niewielkiej prędkości. Nie przejmował się tym zbytnio. Miejsce spełniało jego wysokie wymagania. Droga - albo pas, jak wolał o niej myśleć - była prosta jak linijka. W pobliżu nie rosły drzewa, które utrudniałyby start. Lód zniknie za parę dni. Prognozy pogody zapowiadały przejście nad tym obszarem frontu wysokiego ciśnienia, który od piątku zapewni bezchmurne niebo i gwałtowny skok temperatury.

Dotarł do końca drogi i skręcił na prywatny podjazd. Drzwi garażu były otwarte, nawierzchnia została oczyszczona ze śniegu i lodu. Parę sekund po tym, jak wjechał pod dach, drzwi zamknęły się za nim.

Opuścił garaż bocznymi drzwiami, chętny rozprostować nogi po długiej jeździe. Gdy szedł w stronę parku, ryk narósł w powietrzu, przeraźliwy, rozdzierający gwizd, aż bolały uszy. Hałas stawał się coraz głośniejszy. Pilot

spojrzał w nocne niebo, po którym przemykał brzuch samolotu, nie więcej niż trzysta metrów wyżej. Był to airbus-380, nowy dwupokładowy jumbo jet mogący przewozić do sześciuset pasażerów. Silniki zawodziły dostojnie, gdy samolot wspinał się coraz wyżej w niebo. Przelatywał tak blisko, że był widoczny emblemat na ogonie. Purpurowa orchidea, a pod nią słowo „Thai”. Lot dwudziesta pierwsza trzydzieści do Bangkoku.

Pilot patrzył, jak samolot niknie w chmurach, potem odwrócił się i spojrzął za siebie. Na równinie leżało miasto w mieście. W lawinie światła połyskiwały długie pasy betonu, terminale ze stali i szkła i przestronne hangary, otoczone przez pola śniegu.

Lotnisko zuryskie.

Widok nie mógłby być lepszy.

## 37

Położ głowę - poleciała Simone, wcierając farbę w jego świeżo umyte włosy. - Najpierw niech się przyjmie, potem spłuczemy, a potem podetniemy. Sycylijska czern. Sam siebie nie poznasz.

- Nie o siebie się martwię.

Siedząc na stołku, Jonathan opuścił głowę do umywalki i zamknął oczy. Silne palce Simone wcierały farbę we włosy, masując skronie, ciemię, sięgając do karku. Amfetamina dawno przestała działać. Sztucznie napędzane szaleństwo, które kazało mu wdrzeć się do domu Blitzla i napisać scenariusz ostrej rozmowy z Hannesem Hoffmannem, kierownikiem z ZIAG, odeszło w tę samą zamgloną, daleką przeszłość. Czuł się potwornie zmęczony, skóra wciąż go mrowiła po gorącym prysznicu. Ręce Simone rozluźniły napięte mięśnie u podstawy czaszki.

Odetchnął i po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin pozwolił sobie na chwilę relaksu.

Czekali w górach do wczesnego popołudnia, a potem zeszli na drogę i pojechali autobusem do leżącego trzydzieści kilometrów na wschód Lugano, stutysięcznego miasta na brzegu jeziora o tej samej nazwie. Podczas gdy Jonathan przyczał się w kinie, Simone chodziła od sklepu do sklepu, kupując nowe ubrania dla nich obojga. Później poszli na przedmieścia, szukając miejsca, gdzie mogliby spędzić noc.

Hotel nazywał się Albergo del Lago. Był mały, rodzinny, usytuowany na peryferiach Lugano. Zdobiony terakotą pałac miał dwadzieścia pokoi z widokiem na jezioro, pizzerię na dole i dwie gwiazdki. Używając paszportu i karty kredytowej Simone, zameldowali się jako pan i pani Noiret. Zamiast walizek przynieśli torby pełne ubrań i przyborów toaletowych, a także piezzonego kurczaka i pommes frites z prowansalskich delikatesów na kolację.

Dla ciekawskich oczu byli kochankami zmierzającymi do hotelu po dniu spędzonym w mieście.

- Skończone - oznajmiła Simone, zdejmując lateksowe rękawiczki. - Za piętnaście minut włosy będziesz miał czarne jak Elizabeth Taylor.

- Nie wiedziałem, że była Sycylijką. Simone klepnęła go po ramieniu.

- Mądrała. Teraz siedź i ani drgnij, aż kolor się przyjmie.

Zakryła mu oczy złożonym ręcznikiem, żeby nie ściekła w niego farba.

Następną rzeczą, jaką wiedział, było to, że Simone potrząsa go za ramię, każąc mu się zbudzić.

- Czas na płukanie.

Zdjęła ręcznik z jego twarzy. Zamrugął w blasku lampy.

- Przysnąłem na minutkę.

- Prędeż na dwadzieścia. - Simone odkręciła kurek i gdy popłynęła ciepła woda, zmyła farbę. Kupionymi nożyczkami ostrzygła go krótko, ścinając kędziory, aż włosy nie falowały, gdy je uczesała.

- Wstań. Pokaż się. Jonathan wstał.

- Jeszcze drobne poprawki. - Brzytwą ogoliła mu kark. Przetarła skórę ciepłym ręcznikiem, żeby usunąć ścięte włoski. Przykładając palce do szczęki, przytrzymała mu głowę, układając fryzurę. Gdy spełniła jej oczekiwania, położyła mu ręce na ramionach i odwróciła go, żeby mógł się zobaczyć w lustrze.

- Zrobione. Poznajesz tego faceta?

- Wstrząsające.

- Nie takiej reakcji oczekiwałam.

Mężczyzna patrzący na niego wyglądał dziesięć lat młodziej. Był dyplomata, o jakim zawsze marzył jego ojciec, chętnym kraść surowce mineralne z jakiegoś kraju Trzeciego Świata. Chirurgiem z Park Avenue z doktoratem z prawienia nieszczerych komplementów. Musiał się powstrzymać, żeby nie zlikwidować przedziałka. Uśmiechnął się i zęby naprawdę błysnęły w jasnym świetle. Nie wyglądał na człowieka, któremu chciałbyś wcisnąć używany wóz, pomyślał.

Krótko mówiąc, idealnie.

- Nie Liz Taylor - powiedział, wychodząc z łazienki. - Ale poprzestanę na Vinsie Vaughnie.

- Jesteś co najmniej Bradem Pittem.

- On jest blondynem.

- Kogo to obchodzi? Zrobię go na taki kolor, na jaki zechce.

Jonathan wszedł do sypialni i podniósł torbę z nowymi ubraniami. Postawił ją na łóżku, wyjął granatowy garnitur i płaszcz. Telewizor był włączony.

Komentator mówił po włosku, że zmarł drugi policjant zaatakowany wczoraj w Landquart i że obława na amerykańskiego lekarza poszukiwanego w związku z przestępstwem rozciągnęła się na kanton Ticino, gdzie dziś wczesnym rankiem znaleziono ciało niemieckiego biznesmena. Jonathan

usiadł i słuchał. Dwa razy usłyszał swoje nazwisko. Dottore Jonathan Ransom. Na szczęście nie pokazano zdjęcia.

Komentator przeszedł do prognozy pogody, ale Jonathan już nie zwracał na niego uwagi. Myślał o telewizorze w holu, ryczącym na cały regulator, gdy się meldowali, i o konsjerżu, którego wąskim oczom nic nie umykało. Jeśli obława rozciągnęła się na Ticino, policja skontaktuje się z każdym hotelem w okolicy.

Zostaną rozesłane faksy z jego nazwiskiem i rysopisem. Może nawet wiedzą, że towarzyszy mu kobieta.

Otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na deszcz. Daleko nad jeziorem dostrzegł błyskające niebiesko-białe światła. Sto metrów za nimi drugie.

Przez chwilę patrzył na zbliżające się światła. Mogły zmierzać gdzie bądź.

Konsjerż na dole nie miał powodu go podejrzewać. Światła błyskały w deszczu.

Wiedział, że wcale nie jadą „gdzie bądź”. Kierowały się do Albergo del Lago.

Jechali po niego.

- Simone, musimy iść! - zawołał. - Jedzie policja! Wysunęła głowę z łazienki.

- Mówiłeś coś o policji?

- Był komunikat w wiadomościach... Konsjerż na dole... wezwał policję.

- Jonathanie, wolniej... O co chodzi?

- Wiedzą o nas... że podróżujemy razem. Policja będzie tu za parę minut.

Musimy uciekać!

Włożył ubranie, które kupiła dla niego po południu. Biała koszula, granatowy garnitur, kaszmirowy płaszcz i sznurowane buty. Przejrzał się w lustrze.

Garnitur. Czarne jak smoła włosy przycięte nad uszami i uczesane z przedziałkiem. A Emma? Co by pomyślała? Był wrogiem. Diabłem w ciemnoniebieskim garniturze. Nienawidził widoku samego siebie.

Wrócił na balkon. Światła zdecydowanie zmierzały w tę stronę. Teraz były nie dalej niż kilometr. Słyszał atonalne zawrozczenie syreny, coraz głośniejsze.

- Idziemy. - Przeszedł przez pokój, otworzył drzwi na korytarz.

Za nim Simone wkładała buty. Chwyciła torebkę, pospieszyła za nim.

- W porządku. Jestem gotowa.

Ominęli windę i główne schody, idąc na koniec korytarza, gdzie za francuskimi drzwiami i firanką balkon wychodził na tyły hotelu. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Jonathan wyszedł na balkon, rzucił na ziemię aktówkę Blitza i zjechał po rynnie.

- Nie mogę - zawołała z góry Simone.

- To tylko pierwsze piętro. Będę tuż pod tobą.

- A jeśli spadnę?

- Dasz radę. Chodź. Nie możemy czekać!

- Mais merde. - Simone przeszła przez poręcz, bez dalszego namawiania złapała rynnę i ześliznęła się na ziemię. Trzy sekundy i po wszystkim.

- I co, było tak źle? - zapytał.

- Owszem.

Chwycił ją za rękę i poprowadził główną drogą. Instynkt mówił mu, że pary są mniej podejrzane niż samotni mężczyźni. Światła Włoch mrugały po drugiej stronie jeziora. Żaglówki i łodzie motorowe podskakiwały na kotwicy. Ażyl, pomyślał, patrząc na wodę.

Dziesięć minut później minął ich pierwszy radiowóz.

W mieście zatrzymali taksówkę i kazali się zawieźć na Via delia Nonna w Asconie. Jonathan polecił kierowcy zatrzymać się dwie przecznice od domu Blitza. Deszcz na chwilę zelżał. W okolicy panował spokój. Łagodne światła płonęły za firankami. Zapach sosny płynął ze wzgórza. W pobliżu szczekał pies.

- Ja pójdę po samochód - powiedziała Simone, wyciągając rękę po kluczyki.

- Zbyt ryzykowne. Na razie policja nie wie o twoim istnieniu. Lepiej niech tak zostanie. Czekaaj na ulicy. Będę za dziesięć minut.

Ruszył w kierunku mercedesa. Żółta taśma przegradzała bramę Villi Principessa, a druga frontowe drzwi. Na podjeździe stał wóz policyjny. Spokój i poczucie bezpieczeństwa, jakim się cieszył w hotelu, przepadły. Mięśnie miał napięte. Znow uciekał. Odczekał chwilę, żeby uspokoić nerwy, żeby pogodzić się ze swoim nowym statusem zbiega. Ogarniało go coraz większe zaniepokojenie.

Niemal czuł stryczek opuszczany na głowę, szorstką linę drapiącą szyję, węzeł naciskający twardo na potylicę.

Czy Emma czuła to samo? - zastanawiał się, patrząc na martwą fasadę willi i zadbane ogród różany. Czy żyła w ciągłym strachu przed zdemaskowaniem? W lęku, że w każdej chwili pętla może zacisnąć się na jej

szyi?

Mercedes stał tam, gdzie go zostawił, trzydzieści metrów od domu Blitza.

Jonathan ostatni raz rzucił okiem na radiowóz, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy. Kątem oka zobaczył, że policjant wysiada z samochodu. Przypominając sobie, że ma nowy garnitur i płaszcz, przystanął na chwilę i zmusił się do odwrócenia głowy w jego stronę. Z uśmiechem, podnosząc rękę, wykrzyknął słowa powitania. Policjant patrzył na niego długo i twardo, zanim odpowiedział, a potem wrócił do wozu.

Jonathan szedł dalej. Pisnął zdalnie sterowany zamek. Wsunął się za kierownicę i zapuścił silnik. Odjechał od krawężnika, minął radiowóz i skręcił w następną ulicę. Zatrzymał się dwie przecznice dalej, żeby zabrać pasażerkę.

- I? - zapytała Simone, wsiadając do wozu.

- Jeden glina parkuje przed domem. Pomachałem do niego.

- Co takiego? Boże, jesteś do tego stworzony.

- I tu się mylisz.

Pojechali krętą drogą do miasta i skręcili do stacji kolejowej. Jonathan dwa razy zauważył w dali za nimi przygaszone światła ksenonowe. Poprosił Simone, żeby zobaczyła, czy nie są śledzeni. Spojrzała przez tylną szybę i zameldowała, że nie widzi żywej duszy. Sprawdził jeszcze raz, gdy zbliżyli się do stacji, ale świateł już nie było.

Zatrzymał się w cieniu na tyłach parkingu.

- Musimy się rozdzielić - powiedział. - Szukają pary.

- Przesadzasz. Nie możesz być pewien, że wiedzą o mnie.

- Simone. - Westchnął, ściszył głos. - Nie będę mógł zrobić tego, co muszę, jeśli będziesz ze mną.

Spuściła oczy.

- Co masz nadzieję zyskać, gdy się rozdzielimy? - Gdy nie odpowiedział, podniosła głowę i popatrzyła na niego. - Posłuchaj mojej rady. Wyjedź z kraju, póki możesz. Znajdź sobie prawnika. Potem wróć, jeśli musisz.

Ujął jej rękę.

- Pozdrów Paula ode mnie. Spotkam się z wami, gdy wrócę do Genewy.

- Martwię się o ciebie.

- Zmów modlitwę.

- Nie wiem, czy to wystarczy.

- W takim razie życz mi szczęścia.

- Głupek. - Simone z irytacją pokręciła głową, potem pochyliła się, objęła



go i uściskała mocno. - Weź to. Zapewni ci bezpieczeństwo. - Zdjęła z szyi medalion na rzemyku i wcisnęła mu w dłoń. - Święty Krzysztof. Patron podróżnych.

- Ale on już nie jest święty.

- To jest nas dwoje.

Jonathan popatrzył na medalik, włożył go na szyję.

- Do zobaczenia.

- Adieu.

Patrzył, jak Simone idzie przez parking. Kiedy doszła do stacji, pomyślał, że podniosła rękę do twarzy i starła łzę.

## 38

Simone Noiret zarzuciła torbę na ramię i weszła na dworzec kolejowy. Na peronie kilkanaście osób czekało na pociąg. Ostry wiatr gwizdał w krokwiach, mroząc ją do szpiku kości. Wsunęła ręce w kieszenie, podeszła do monitorów wyświetlających informacje o przyjeździe i odjeździe pociągów.

Próbowałam, powiedziała sobie. Zrobiła wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby go ostrzec. Mimo to nie zdołała zawrócić go z kursu. Dobry człowiek. Nie zasługiwał na ponoszenie konsekwencji za zachowanie jego żony. Zastanawiała się, czyjej mąż zrobiłby dla niej tyle. Wątpiła w to. Paul nie był dobrym człowiekiem. Dlatego za niego wyszła.

Pociąg dwudziesta zero sześć wpadł z podmuchem na stację. Ekspres regionalny z dwoma silnikami i ponad dwudziestoma wagonami z Locarno do Regensburga na granicy niemieckiej. Zatrzymał się z piskiem hamulców.

Pasażerowie wysiedli. Simone rozejrzała się po peronie, gdy podróżni wsiadali do pociągu. Wreszcie też wsiadła. Przedział dla palących był pełen tylko w połowie, ale poszła dalej, do części dla niepalących. Tu też nie brakowało wolnych miejsc. Nie usiadła. Patrzyła na peron. Nie zobaczyła Jonathana.

Przeszła na koniec wagonu, otworzyła drzwi i wyskoczyła z pociągu.

Stała na peronie i patrzyła, jak pociąg odjeżdża ze stacji.

Kiedy światła zgasły w ciemności, poszła do bufetu urządzonego w stylu francuskiej piwiarni. Restauracja nie mogła narzekać na brak klientów, głównie byli to biznesmeni wzmacniający się piwem albo ristretto w drodze z pracy do domu. Zajęła stolik przy oknie i zapaliła papierosa.

Gdy zjawił się kelner, zamówiła whisky. Uno droppelte, per favore. Szybko obsłużona, wypła alkohol jednym haustem. Zadzwoiła do męża i pogawędziła z nim o tym, co się dzieje na Światowym Forum Ekonomicznym, potem powiadomiła go, że przyjedzie do Davos po pierwszej w nocy.

- Jonathan ma się dobrze - dodała. - Naturalnie, jest bardzo przygnębiony, biedaczysko, i dusi wszystko w sobie. Cały on. Nie, jeszcze nie ma daty nabożeństwa żałobnego.

W tej chwili stolik zagrzechotał i naprzeciwko niej usiadł blady, niewysoki mężczyzna. Simone popatrzyła na niego ostro.

- Obawiam się, że ten stolik jest zarezerwowany - powiedziała, opuszczając telefon. - Jest mnóstwo innych wolnych miejsc.

- Lubię siedzieć przy oknie.

Powstrzymała się od komentarza, który miała na końcu języka.

- Paul, muszę iść. Mam pociąg. Na razie, kochanie. - Wrzuciła telefon do torebki. Po raz pierwszy spojrzała bezpośrednio na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie stołu. Miał smutne oczy i skórę tak jasną, że wydawała się niemal przejrzysta. Nie mogła się zmusić, żeby wytrzymać jego spojrzenie dłużej niż parę sekund. - Tak, widok może być ładny - odparła. - Ale wolę go latem.

- Latem będę w Zurychu.

Simone przesunęła po stole kawałek papieru.

- Jest w czarnym mercedesie. Na próbnym numerach. Jedzie do Goppenstein.

Transport samochodów koleją pod masywem. Powiedział, że spróbuje złapać pociąg dziesiąta dwadzieścia jeden do Kandersteg.

Duch przez chwilę patrzył na kartkę, potem przedarł ją na pół i wrzucił do popielniczki.

- A stamtąd?

- Do Zug. Nie powinieneś mieć kłopotów ze śledzeniem. Ma na szyi nadajnik.

- To sporo ułatwi. - Duch zapalił zapałkę i podpalił strzępki papieru.

- Co zamierzasz zrobić?

Nie odpowiedział, a jej zrobiło się głupio i była na siebie zła, że okazała zainteresowanie.

- Ma ze sobą aktówkę - podjęła twardszym tonem. - Zabierz ją. I znajdź pendrive'a. Jest ukryty w opasce na jego prawej ręce. I uważaj, gdy siedzisz na ogonie - dodała. - Widziałam cię przez całą drogę od domu Blitza.

- To nie byłem ja. Czekałem na parkingu.

- Jesteś pewien? Wbił w nią czarne oczy.

- Trzymam się ściśle twoich instrukcji - powiedział ciszej.

- To dobrze. - Pokiwała głową. - Aha, jeszcze jedno... Jest uzbrojony.

Duch podniósł się z krzesła.

- To nie ma znaczenia.

Simone usiadła wygodniej i zapaliła kolejnego papierosa. Patrzyła w ciemność za oknem.

## 39

wyjeździe z Ascony Jonathan nie skręcił na wschód, w kierunku Lugano, ani do tunelu Świętego Gotarda, którym mógłby przejechać pod przełęczą i w trzy godziny stanąć u celu podróży. Jak zeszłej nocy, pojechał w góry. Wpisał do pokładowego systemu nawigacyjnego nazwę miasta, do którego zmierzał. Na ekranie ukazała się trasa. Głos kazał mu skręcić w lewo po pięciu metrach. Droga zwężyła się z czterech pasm do dwóch i oddaliła od wody, biegnąc dnem doliny, a potem szeregiem zakosów w góry. Ławice srebrzystych chmur spływały ze zboczy. Zaczęło padać, a niedługo później deszcz przeszedł w deszcz ze śniegiem, uderzając w przednią szybę jak garście gwoździ.

Aktówka Blitzta stała na podłodze. Jonathan pomyślał o notce do Ewy Kruger, dotyczącej zakończenia Projektu Thor. Treść brzmiałaby niewinnie, gdyby nie wzmianka o Thorze na pendrivie Emmy. „Kim jesteś?” - zapytał Hoffmann nie tyle ze złością, ile z wyraźnym strachem.

To samo pytanie Jonathan zadawał sobie. Podstęp bolał go najbardziej.

Planowanie. Kłamstwa. Oszustwo. Jak długo to trwało? - chciałby spytać Emmę.

Kiedy się zaczęło? Ile razy mnie okłamałaś? I, na koniec, jak mogłem się nie zorientować?

Włączył ogrzewanie. Ciepłe powietrze wirowało w samochodzie, niosąc znajomy zapach. Wanilia i drewno sandałowe. Odruchowo, pełen oczekiwania, spojrzął na fotel pasażera. Fotel był pusty, oczywiście, ale przez sekundę czuł obecność Emmy. Czuł zapach jej włosów.

- Muszę się do czegoś przyznać - mówi Emma. - Czytałam twoją pocztę.

Jest sierpień. Niedzielny ranek. Przebywają w mieście Sanaya przy wschodniej granicy Jordanii z Irakiem. To tymczasowa misja. Trzy dni zastępstwa za jednego z kolegów Emmy, który miał zapalenie wyrostka robaczkowego. Praca jest przyjemna, choć mało absorbująca. Przeziębienia.

Infekcje. Drobne skaleczenia i siniaki.

Jest wcześnie i leżą obok siebie na skłębionych prześcieradłach. Przez otwarte okno wpada ciepły, kapryśny wiatr i śpiew muezina wzywającego wiernych na modlitwę. Sami, przez nikogo nieniekajeni, odkryli dawne nawyki: zalecali się do siebie, kochali co rano, zasypiali i znów się kochali.

Paryż popadł w zapomnienie. Nie ma bólów głowy. Nie ma pustych

spojrzeń.

- Czytasz moją pocztę? - pyta Jonathan. - Znalazłaś coś ekscytującego?

- Ty mi powiedz.

- List od mojej dziewczyny z Finlandii?

- Nigdy nie byłeś w Finlandii.

- Numer „Playboya”?

- Nie - mówi, wsuwając się na niego i siadając. - Nie potrzebujesz magazynu z dziewczynkami.

- Poddaję się. - Jonathan wodzi rękami po jej udach i piersiach, czując, jak się podnieca. - Co to było?

- Podpowiem ci: Voules-vous coucher avec moi? - Ma koszmarny akcent, paryski z korzeniami w Penzance.

- Właśnie to robiliśmy. Przynajmniej myślę, że to się liczy. Emma kręci głową z irytacją.

- Ach, oui, oui - kontynuuje. - Uch, Je t'aime. Pepe le pew. Magnifique...

- Kochasz Pepé le Pew? Teraz wiem, że poślubiłem wariatkę.

- Non, non. Fromage. Duck a l'Orange. Patisserie.

- Coś francuskiego. Czytałaś mój przewodnik Michelin. Emma klaszcze, jej oczy jaśnieją. Jonathan idzie dobrym tropem.

- Um... Croix Rouge... Jean Calvin... Fondue - mówi ona, wesoło przeciągając słowa.

Światelko zapala się w jego głowie. Emma mówi o liście z organizacji Lekarze bez Granic. O krótkiej notce od jego szefa z zapytaniem, czy przyjmie stanowisko w siedzibie głównej w Genewie.

- Aha, to.

- Aha, co? Mów - prosi Emma, opadając na łóżko obok niego. - Nie zamierzałeś mi powiedzieć? To wspaniała nowina.

- Tak?

- Daj spokój. Zrobiliśmy, co do nas należało.

- Genewa? To administracyjna robota. Będę siedział za biurkiem.

- Awans. Pokierujesz kampanią zwalczania malarii na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej.

- Jestem lekarzem. Powinienem być z pacjentami.

- To nie będzie trwało wiecznie. Poza tym zmiana tempa dobrze ci zrobi.

- Genewa nie jest zmianą tempa. To zmiana zawodu.

- Zobaczysz swoją pracę z innej strony, to wszystko. Pomyśl, ile się nauczysz.

Poza tym będziesz wyglądał super w garniturze. Nawet przystojnie, jak przypuszczam.

- Tak, cały ja. Zaraz potem każesz mi wstąpić do country klubu i grać w golfa.

- Czy lekarze nie powinni kochać golfa?

Jonathan przeszywa ją poważnym spojrzeniem. Wie, że w grę wchodzi coś więcej.

Emma podnosi się na łokciu.

- Jest inny powód.

- Jaki?

- Ja chcę jechać. Od jakiegoś czasu mam dość. Chcę jadać w restauracji z białymi serwetami. Chcę pić wino z czystych kieliszków. Z kieliszków do wina.

Chcę zrobić makijaż i nosić sukienkę. Czy to brzmi tak dziwnie?

- Ty? Sukienka? Niemożliwe. - Jonathan odrzuca prześcieradło i wstaje z łóżka. Nie chce o tym rozmawiać. Ani teraz, ani nigdy. - Przykro mi, nie nadaję się do papierkowej roboty.

- Proszę, tylko się zastanów.

Odwraca się i patrzy na żonę leżącą w białej bawełnianej pościeli. Jej policzki są szorstkie i opalone, spierzchnięte od słońca i wiatru. Kasztanowe włosy przeszły całą drogę od rozwichrzonych, przez potargane, do po prostu udręczonych. Skaleczenie na podbródku goi się o wiele za długo.

Tylko się zastanów...

W Genewie mieliby mnóstwo takich poranków. Czas na lenistwo. Czas nie tylko na rozmowy o założeniu rodziny, ale na podjęcie działań w tej kwestii. I oczywiście wspinaczka. Chamonix, dwie godziny jazdy na północ. Berneński Oberland, dwie godziny na wschód. Dolomity na południu.

- Może - mówi, odciągając zasłonę i patrząc na surowy, jałowy krajobraz. - Ale jeszcze nie rób sobie nadziei.

Luźna grupa zgromadziła się przed meczetem na poranną modlitwę.

Mężczyźni witają się po arabsku, pocałunkiem w policzek.

- Wstajesz? - pyta przez ramię. - Jeśli chcesz, mogę wyjść i przynieść ci śniadanie...

Wtedy dostrzega samochód. Biały sedan pędzący szaleńczo przez plac.

Samochód, gdzie nie powinno być żadnego samochodu. Pióropusze pyłu strzelają spod opon, gdy wóz kołysze się i grzechocze na wyboistej powierzchni.

Za szybą widać dwie sylwetki.

- Uciekajcie! - krzyczy do tłumu, choć jego głos jest tylko szeptem. Potem głośniej: - Z drogi! Uciekać! Szybko!

Bezradnie patrzy, jak wóz wbija się w tłum, wyrzucając ciała w powietrze.

Wrzaski. Strzały. Samochód uderza w ścianę meczetu, cegły i zaprawa spadają na maskę. Przez chwilę panuje cisza. Jonathan odlicza w myślach.

Błysk.

Jaskrawy błysk, który wypala się na siatkówce.

W ćwierć sekundy napływa huk. Uderza w bębniaki tak mocno, że aż się krzywi. Nie pojedyncza eksplozja, ale trzy, jedna po drugiej.

Jonathan rzuca się na łóżko, własnym ciałem zakrywając Emmę, gdy fala uderzeniowa wybija szyby, zasypuje pokój szkłem, ciska karniszem jak włócznią krzyżowca i wzbija woal pyłu i zaprawy.

- Samochód pułapka - mówi, gdy hałas cichnie. - Wjechał do meczetu.

Oszołomiony, wstaje i wytrzepuje okruchy z włosów. Emma zrywa się z łóżka i biegnie lekkim krokiem do komody, szybko narzuca ubranie. Jonathan szuka apteczki, ale Emma już ją trzyma i napełnia gazą, bandażami i tamponami ze środkiem odkażającym z podręcznego kufra. Podchodzi do niej i zaczyna wyliczać leki, jakich będzie potrzebował. Półtorej minuty później ma pełną torbę.

Czarny dym wzbija się w niebo. Meczet zniknął. Wybuch zniszczył budowlę.

Zostały tylko fundamenty, ścięte mury przypominające połamane zęby. Z nieba syją się skrawki papieru i kawałki drewna.

Jonathan zwalnia, zbliżając się do zniszczonego pojazdu. Patrzy na parę dymiących butów. W pobliżu ramię sięga do nieba, dłoń zaciska się na Koranie.

Dalej leży tułów bez nóg. Wszystko jest zwęglone, zbryzgane krwią. Wokół niego ci, którzy przeżyli, podnoszą się z ziemi i krążą bez celu. Inni biegną w ich stronę, przyciągani żałosnymi krzykami rannych. Smród płonącego oleju i spalonego ciała wręcz dusi.

- Tu - mówi Emma. Jej głos jest twardy jak skała. Stoi obok młodego człowieka, który leży na plecach. Twarz mężczyzny przemieniła się w krwawą miazgę, tors jest odarty ze skóry i paskudnie poparzony. Ale to jego noga przykuwa uwagę Jonathana. Strzaskana kość sterczy z nogawki. Skomplikowane złamanie kości udowej.

- Nie ruszaj się - mówi po arabsku. - Leż spokojnie. - Do Emmy: - Zrobię łupki.

Ważne, żeby leżał, jak leży, bo inaczej kość przebije arterię udową.

Emma chwyta mężczyznę za ramiona i przytrzymuje go, gdy Jonathan unieruchamia nogę.

Jonathan podnosi głowę i odlicza tuzin innych, którzy pilnie potrzebują pomocy.

- W porządku - mówi, patrząc Emmie w oczy.

- Co w porządku?

- Genewa. Jedziemy.

- Poważnie?

- Te białe obrusy teraz wydają się całkiem niezłe.

Jonathan zaczął kręty zjazd do Brig. Dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć.

Temperatura na zewnątrz minus trzy stopnie Celsjusza. Pokonując ostry zakręt, czuł, jak opony się ślizgają, ale sekundę później odzyskały przyczepność. Droga była oblodzona.

Pomimo niepogody miał dobry czas. Jak się spodziewał, na drodze alpejskiej panował niewielki ruch. Naliczył sześć pojazdów jadących w naprzeciwka. Żaden nie należał do policji. Kilka razy dostrzegł błysk świateł z tyłu, lecz kierowcy albo zjeżdżali z drogi, albo nie nadążali. UPS znów kliknął. Do celu podróży pozostało trzydzieści osiem kilometrów. Po prawej stronie zauważył znak z napisem „Lötschberg” i symbolem samochodu na platformie kolejowej.

Emma zaaranżowała awans. Oczywiście nie ona sama, ale ludzie, dla których pracowała. Jej zwierzchnicy. Implikacje były jasne. Mieli swojego człowieka w organizacji Lekarze bez Granic.

Ale kogo? Kogoś z personelu? Jednego z wicedyrektorów? Samego dyrektora? W zarządzie zasiadał Somalijczyk, dwóch Anglików i Szwajcar.

Czy to by coś zmieniło, gdyby był Amerykanin? - zastanowił się Jonathan. Czy wtedy uznałby problem lojalności Emmy za rozwiązany? Wmieszanie Ameryki tylko powiększyłoby zamęt. Emma głośno krytykowała „największą demokrację świata”. Nie wierzyła w budowanie państwa i strefa wpływów, w doktryny znane pod wszelkimi możliwymi nazwami i politykę realną.

Ale jeśli nie pracowała dla Ameryki, to dla kogo? Dla Anglików? Izraelczyków? Jak Francuzi nazywają swoją agencję szpiegowską... tych



prawicowych świrów, którzy dawno temu zatopili „Rainbow Warrior” w zatoce Aucland? Z przerażeniem uświadomił sobie, że Emma mogła pracować dla każdego. Kraj nie miał znaczenia. Liczyły się tylko idee.

Emma i jej obowiązek interweniowania.

Gdy szyba zrobiła się biała i wokół niego zamknęła się lodowata noc, umysł Jonathana skupiał się na kuli ognia, która pochłonęła meczet. Na oślepiającym błysku milisekundę przed eksplozją, która poraziła jego uszy.

Czy samochód pułapka też był tego częścią? Ostatnią kroplą, żeby przekonać go do wyjazdu? Błagał Emmę o odpowiedź. Ale stracił z nią kontakt.

Pozbawiony złudzeń, słyszał tylko ciszę.

## 40

arcus von Daniken rzucił teczkę na biurko.

- Miałem nadzieję na więcej ludzi - powiedział. - Ale dacie radę.

Popatrzył na czterech mężczyzn siedzących wokół stołu. Żaden nie zmrużył oka od trzydziestu sześciu godzin. Stos pustych kubków po kawie świadczył, że są nabuzowani kofeiną. Jaskrawe światła niewiele pomagały.

Do zwykłej grupy złożonej z Myera, Krajceka i Seilera dołączył Klaus Hardenberg, oficer śledczy z wydziału przestępstw finansowych. Po paru minutach przekomarzenia postanowili nazwać się oddziałem specjalnym, pomimo niewielkiej liczby członków. W ten sposób łatwiej będzie wyjaśnić długie godziny pracy żonom, chociaż obowiązywał ich zakaz rozmawiania o tym, nad czym pracują.

Von Daniken nie próbował im schlebiać, że są najlepsi w jego wydziale.

- Zacznijmy od pytań - powiedział, opadając na krzesło. - Posłuchajmy, co was gryzie.

Rozbrzmiały pełne złości głosy. Kto, jego zdaniem, zabił Lammersa? Jaki jest związek między Lammersem a Blitzem/Quitabem? Jeśli Quitab był irańskim oficerem, czy nie powinni przekazać jego nazwiska wszystkim zaprzyjaźnionym agencjom, żeby sprawdzić, czy wiadomo coś na temat jego przeszłości? Czy poza zeznaniem terrorysty znaleziono jakieś dowody wiążące Walida Gassana z Blitzem/Quitabem i Lammersem? Czy wiadomo coś o działalności Gassana w czasie przejazdu przez Szwajcarię w ubiegłym miesiącu? Które lotnisko może być najbardziej prawdopodobnym celem? I co z Amerykaninem, Ransomem? Do czego pasuje? Jak należy rozumieć zabójstwo dwóch policjantów w Landquart?

Czy mógł mieć czas, żeby w dniu śmierci żony zabić Lammersa?

I pytanie zadawane w takiej czy innej formie przez wszystkich obecnych: Dlaczego Marti unika odpowiedzi?

Von Daniken nie miał żadnych danych, a jego niewiedza uwypuklała największy mankament śledztwa. W gruncie rzeczy nie wiedzieli nic o konspiratorach czy spisku.

Sprowadzało się to do jednego: mieli zbyt wiele do zrobienia i zbyt mało czasu, żeby to zrobić.

Podzielił dochodzenie na cztery obszary. Finanse. Łączność. Śledztwo w terenie. I transport. On miał wziąć finanse. Dzięki pracy w Komisji

Holokaustu miał mnóstwo znajomych i kontaktów, a także paru przyjaciół w bankach.

- Zaczniemy od Villi Principessa - oświadczył. - To nie rudera z dzikimi lokatorami w Hamburgu. Urządzenie się tam wymagało prawdziwych pieniędzy.

Musiał się dowiedzieć, kto wynajął dom, na jak długo i skąd pochodziły opłaty. Kluczem miało być odkrycie, który bank obsługiwał Blitz. Ze wszystkich nici ta rokowała największe nadzieje. Gdy odkryje, gdzie prowadził zwyczajne interesy, będzie mógł wytropić pochodzenie funduszy przelanych na jego konto. Co ważniejsze, sprawdzi, dokąd później popłynęły pieniądze.

Finansowy trop w jedną stronę miał doprowadzić go do mocodawców Blitz - organizacji albo rządu pokrywającego koszty jego działalności. W drugą, wieść do jego wspólników.

Klaus Hardenberg miał się zająć drugim torem śledztwa. Von Daniken chciał mieć wszystkie dane dotyczące operacji finansowych Blitz, Lammersa i Ransoma z ostatnich dwunastu miesięcy. Wydatki mogły stanowić cenne źródło informacji o ich codziennych poczynaniach i pomóc stworzyć mapę drogową ich ruchów w ciągu roku.

Lammers miał być z tej trójki łatwiejszy. W jego portfelu znaleziono pięć kart płatniczych. Aby uniknąć deportacji, żona zgodziła się na współpracę i odpowiadała na pytania.

Blitz to już całkiem inna historia. W domu nie znaleziono ani portfela, ani dowodów tożsamości. Jednak szczęśliwym trafem jedna kartka grudniowego zestawienia transakcji dla Eurocard spadła za kredens w jego gabinecie. Dzięki niej mieli poznać historię kredytową wraz z adnotacjami banku i numerem identyfikacji krajowej.

Jeszcze za wcześnie, żeby rozstrzygnąć kwestię Ransoma. Urząd imigracyjny dopiero się nim zajął. W tej chwili numery paszportu i ubezpieczenia społecznego Ransoma były sprawdzane przez Interpol i system Centrum Informacyjnego Federalnego Biura Śledczego.

Kurt Myer zajmował się łącznością. Zaczął pracę po powrocie z Ascony.

- Telekomunikacja szwajcarska przysłała listę wszystkich rozmów wychodzących z domu Blitz w ciągu minionych sześciu miesięcy - zameldował.

- Już mamy billing Lammersa za ten sam okres. Najpierw je porównamy i zobaczymy, czy mieli wspólnych znajomych. Potem cofniemy się o jeden

poziom i przyjrzymy się wszystkim rozmowom przychodzącym i wychodzącym.

Powinniśmy mieć pierwsze raporty o siódmej rano.

- Dobrze - powiedział von Daniken. Pięć lat wcześniej walnie przyczynił się do wprowadzenia w życie rozporządzenia, by wszystkie firmy telekomunikacyjne przez sześć miesięcy przechowywały wykazy łączności dla każdego zarejestrowanego numeru. - Po porównaniu obu list wyizoluj wszystkie numery komórkowe. Zobaczmy, czy znajdziemy jakieś jednakowe nazwiska. Jeśli używają kart SIM, wytrop numery do punktu sprzedaży.

- Jestem pewien, że znajdziemy podobne nazwiska - mówił Myer. - Pytanie tylko, jak bardzo są ostrożni. Wszyscy popełniają błędy.

- Skrzyżujcie palce, żeby nie byli zarejestrowani u zagranicznych operatorów - powiedział von Daniken.

Kraj cek przewrócił oczami.

- Oby nie u niemieckich.

Nikt nie chroni prywatności swoich obywateli bardziej zaciekle niż Republika Federalna Niemiec.

Finanse i łączność pracowały wspólnie. Gdy dociekania von Danikena zaczną przynosić efekty, wszystkie powiązane numery telefoniczne zostaną wprowadzone do programu, który wykorzysta dane do stworzenia mapy „sieci relacji” ilustrującej życie społeczno-ekonomiczne Blitza i Lammersa.

Von Daniken zabrał z kącika rekreacyjnego kubek espresso - dwie kostki cukru, odrobina cytryny - i wypił kawę w dwóch łykach. Była dziesiąta wieczorem, a on nie spał od trzydziestu ośmiu godzin. Zmęczenie jednak ustąpiło spokojnemu optymizmowi. Na początku wszystko jest możliwe.

Popatrzył na pusty kubek. Z drugiej strony, może to kawa podnosiła go na duchu.

Plasnął dłonią w stół, żeby przyciągnąć uwagę.

- Pan Kraj cek jutro odwiedzi naszych agentów terenowych w Genewie, Bazylei i Zurychu, prawda?

- Z samego rana.

Od trzech lat Służba Analiz i Prewencji miała agentów w najważniejszych meczetach w kraju. Większość stanowili ochotnicy, gdyż muzułmanów złościło zawłaszczanie ich religii przez fundamentalistów. Innych, nieskłonnych do współpracy, trzeba było przymuszać groźbami deportacji do kraju ojczystego. W ten sposób uzyskano ważne informacje o

przemycie ręcznych granatników przeciwpancernych i karabinów AK-47, a także o sieci hawala - czyli transferu pieniędzy - wykorzystywanej przez algierską komórkę terrorystyczną działającą we Francji, Szwajcarii i północnych Włoszech.

- Skoncentruj się na znalezieniu kogoś, kogo Gassan odwiedził w czasie ostatniego przejazdu przez Genewę - mówił von Daniken. - Interesują nas kontakty, miejsca, gdzie się zatrzymał, i jakiegokolwiek wzmianki o jego zamiarach.

Kraj cek zapisał wszystko w notesie. Inspektor przeszedł do następnego w kolejce.

- A teraz, panie Hardenberg...

Hardenberg próbował się uśmiechnąć, ale zrobił taką minę, jakby wydała kamień nerkowy. Był gruby, w średnim wieku, z nalaną twarzą, głową łąsając kolano. Nosił okulary w grubych szylkretowych oprawkach, za którymi kryły się brązowe oczy o nieśmiałym spojrzeniu. Von Daniken nie znał bardziej wrednego, bardziej zawziętego śledczego. Nosił przydomek Rottweiler.

- Znajdziesz volkswagena, którego Gassan użył w Lipsku do odebrania plastiku. Nos mi mówi, że furgonetka została użyta również do transportu drona.

Znajdź vana, a znajdziesz naszych ludzi.

Za tą krótką instrukcją kryło się gigantyczne zadanie. Hardenberg chrząknął i skinał głową. Bez słowa wstał i wyszedł z pokoju. Nikt ani przez chwilę nie myślał, że poszedł do domu. Wszystkie wypożyczalnie samochodów, salony i agencje rządowe były zamknięte, ale Hardenberg miał siedzieć do rana za biurkiem i obmyślać najlepszy sposób przypuszczenia ataku nazajutrz, gdy wszystko będzie otwarte.

Ostatni, ale nie mniej ważny, był Max Seiler. Dostał podwójne zadanie. Po pierwsze, używając paszportów Lammersa jako punktu wyjścia, miał wynotować wszystkie stemple wjazdu i wyjazdu i zrekonstruować ostatnie podróże właściciela dokumentów. Poza tym miał się zwrócić do wszystkich głównych linii lotniczych o sprawdzenie list pasażerów pod kątem występowania prawdziwych i fałszywych nazwisk Lammersa, Blitza i Ransoma w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Odkrycia Seilera być może nie pomogą znaleźć drona, ale przyczynią się do wszczęcia dochodzenia w sprawie mocodawców stojących za planowanym atakiem.

Von Daniken odsunął krzesło od stołu.

- Czas do pracy.

## 41

Goppenstein, miasto liczące trzy tysiące mieszkańców, leży na wysokości tysiąca pięciuset metrów w głębi doliny Lôtsch. Nie ma ambicji historycznych ani widokowych. Jeśli jest znane, to tylko jako południowa stacja końcowa długiego na dwanaście i pół kilometra tunelu kolejowego, który biegnie pod Lótschberg i łączy kanton Berno, a tym samym północną Szwajcarię, z kantonem Valais na południu.

Zbudowany w roku 1911 tunel jest reliktem. Może go przemierzać tylko jeden pociąg naraz. Nie ma tam tunelu ewakuacyjnego, który jest normą w nowoczesnych konstrukcjach. Tylko końce są dość szerokie, żeby zmieścić dwa ciągi torów, i tylko na długości tysiąca metrów. Ale to ważny relik. Codziennie pociąg przewozi przez górę ponad dwa tysiące samochodów, ciężarówek i motocykli.

Po uiszczeniu opłaty w wysokości dwudziestu sześciu franków Duch wjechał na parking. Linie namalowane na asfalcie oddzielały sześć ponumerowanych pasów. Dwa pierwsze były już zajęte przez auta osobowe i osiemnastokołowe TIR-y. Człowiek w odblaskowej pomarańczowej kamizelce ruchem ręki kazał mu zająć miejsce w trzecim rzędzie.

Za parkingiem stał pociąg. Zamiast wagonów pasażerskich miał platformy ze stalowymi daszkami do ochrony przed deszczem i śniegiem. Niezliczone platformy ciągnęły się wzdłuż stacji i nikły w ciemności. Przypominały węża, który wystawia głowę z jaskini. Wielkiego, zardzewiałego, metalowego węża.

Duch spojrział na zegar. Do odjazdu pociągu zostało dziewięć minut.

Obserwował w lusterku wstecznym, jak Ransom zatrzymuje się trzy pojazdy za nim. Stuknął dłonią w kierownicę. Wszystko było w porządku.

Otworzył schowek, wyjął pistolet, zamocował tłumik, położył broń na fotelu.

Zdjął fiolkę z szyi. Powoli i z żarem wyrecytował modlitwę, słysząc daleki huk bębnow w lesie deszczowym. Jedną po drugiej namaszczał kule trucizną. Pewny, że dusza ofiary nie będzie prześladować go na tym świecie, Duch załadował pistolet.

Czekał.

Błysnęło zielone światło. Zamruczały silniki. Zamrugwały światła stopu. Sznur samochodów zaczął wjeżdżać na platformy. Pasy po prawej stronie

opustoszały.

Wóz przed nim ruszył. Jonathan wjechał po rampie na wąską platformę i posuwał się do przodu pociągu. Po obu stronach wznosiły się niskie barierki, a ponad nimi biegła poręcz obwieszona tablicami, które nakazywały zaciągnięcie hamulca ręcznego i zakazywały wysiadania z pojazdu. Reflektory aut oświetlały ograniczoną przestrzeń. Jonathan miał wrażenie, że przesuwa się w lufie strzelby.

Zatrzymał mercedesa na końcu platformy, niecałe dwa metry za ostatnim samochodem na sąsiedniej. W pociągu kierowcy wyłączali silniki. Światło w tunelu przygasło. Mijały minuty. Pociąg szarpnął i ruszył, budząc się z drżeniem jak zaspane zwierzę. Rytmiczny stukot nabrał tempa. Góry się przysunęły, otaczając tory. Słyszał szum sygnalizujący zbliżanie się do tunelu. Poczł pyknięcie w uszach, gdy zmieniło się ciśnienie powietrza. Pociąg jakby nabrał pędu, gdy zanurzył się w czarnej jak smoła ciemności.

Jonathan miał otwarte oczy, ale nic nie widział. Po jakimś czasie ujrzał w ciemności twarz Emmy. Spoglądała na niego przez ramię. „Za mną”, powiedziała i jej głos odbił się echem w jego głowie. Uderzył podbródkiem w pierś i zbudził się z drżeniem. Spojrzał na zegarek. Trytowe wskazówki informowały, że drzemał pięć minut. Otrząsnął się i zapalił górne światło.

Wyjął z aktówki dokumenty Zug Industriewerk. Najpierw przeczytał notatkę od Hoffmanna do Evy Kruger o Thorze: „...ostatnia dostawa do klienta przed 10.02”. Z jakiegoś powodu data nie dawała mu spokoju. Dziesiąty za trzy dni.

Wtedy zrozumiał. Za dwa dni Emma miała jechać do Kopenhagi na regionalne spotkanie Lekarzy bez Granic. Po raz pierwszy był zmuszony ocenić jej poczynania przez pryzmat podejrzliwości. Czy naprawdę zamierzała jechać do Danii? A może coś innego chodziło jej po głowie? Coś, co zaaranżował Blitz, Hoffmann lub jakaś inna nieznana mu postać z jej „drugiego” życia.

Zajął się lśniącym folderem firmy. Fotografia wewnątrz okładki przedstawiała zadbane trzypiętrowy budynek i przyległą fabrykę. Obejrzał zdjęcia imponujących srebrzystych maszyn i pracowników zaangażowanych w poważne rozmowy.

„Zakłady Zug Industriewerk, założone w roku 1911 przez Wenera Stutza, pierwotnie wytwarzały lufy karabinowe - informowała krótka historia firmy. - Na początku lat trzydziestych pan Stutz rozszerzył asortyment na uzbrojenie lekkie i ciężkie, a także rozpoczął masową produkcję stalowych



skrzydeł do samolotów".

Dobre wyczucie czasu, skomentował Jonathan w duchu. Połowa świata miała niedługo potrzebować tyle karabinów, ile miała rąk do ich trzymania. To historia sukcesu, która powtarzała się wiele razy w czasie krwawego XX wieku. Na razie wszystko było na dobrej drodze, żeby przedstawienie powtórzyło się w XXI.

Skierował uwagę z powrotem na folder i przestudiował liczby. Dochód: pięćdziesiąt pięć milionów. Zysk: sześć milionów. Pracownicy: czterystu siedemdziesięciu ośmiu. Liczby miały znaczenie, jakiego nie mogły wyrazić słowa. Pieniądze są prawdziwe. Konkretne. Pieniądze nie kłamią.

Im dłużej czytał, tym większa złość w nim narastała. Nie wątpił, że ZIAG jest legalną firmą. Jak więc się stało, że kobieta, która nie istniała, została jej pracownikiem?

Wtedy usłyszał stuknięcie w szybę. Czymś twardym.

Podskoczył w fotelu i obrócił głowę.

Potrzebował tylko ręcznika. Nie spodziewał się takich nieprzeniknionych ciemności. Płomienie z tłumika będą widoczne dziesięć samochodów dalej.

Sięgnął do podręcznej torby i wyciągnął czarną koszulkę. Oderwał pas materiału i okręcił tłumik. Ostatnie zadanie przed opuszczeniem samochodu polegało na przymocowaniu woreczka, do którego miały wpadać łuski.

Ostrożnie otworzył drzwi i zostawił je uchylone. Wąska przestrzeń dzieliła wóz od poręczy. Pochylony, ruszył po platformie. Powietrze w tunelu było lepkie i lodowate. Dziobata ściana przemykała o wyciągnięcie ręki. Zauważył samochód Ransoma, trzy pojazdy z tyłu. Kierowcy pogasili wewnętrzne światła trzech oddzielających go aut, pewnie drzemali. W wozie Ransoma paliło się światło. Ransom czytał jakieś papiery, oświetlony jak na scenie.

Kucając, Duch przesuwiał się w stronę celu. Minął jeden wóz, potem drugi.

Zatrzymał się, żeby spojrzeć na zegarek. Minęło dziewięć minut, odkąd pociąg wjechał do tunelu. Kasjer powiedział, że przejazd zajmuje piętnaście minut. Skupił wzrok na Ransomie. Wewnętrzne światła stanowiły problem. Nie chciał, żeby ktoś zobaczył zwłoki przed Kandersteg. W tym tunelu komórki działały. Ktoś mógłby powiadomić policję. Przysiadł na piętach.

Minęła minuta. Potem druga. Wreszcie ruszył dalej.

Przesunął się obok tyłu ostatniego samochodu, przesiadł z platformy na platformę. Mercedes stał na samym początku. Tu nie było poręczy i musiał

uważać, żeby noga się nie obsunęła. Zrobił krok, położył rękę na błotniku mercedesa. Zbliżył się do drzwi po stronie kierowcy. Odbezpieczył pistolet, wyprostował się i stuknął lufą w szybę.

Jonathan Ransom spojrzał wprost na niego.

Duch nacisnął na spust.

Jonathan patrzył przez okno. Coś tam było. Cień. Kształt. Przyjrzał się uważniej. Zobaczył pistolet wycelowany w swoje czoło. Nagle oślepił go błysk.

Skulił się, odwrócił głowę. Usłyszał trzask. Znow to samo. Spojrzał, gdy smuga ognia zbryzgała szkło. Szyba wgięła się do wewnątrz. Zobaczył gwiaździste pęknięcia w miejscach, gdzie uderzyły pociski.

Szkło kuloodporne.

Nie miał czasu zareagować. Drzwi wozu się otworzyły i ręka wsunęła się przez szczelinę. Jonathan zobaczył pistolet wycelowany w policzek. Odruchowo szarpnął głowę w tył i pchnął rękę, odsuwając ją od swojej twarzy, zanim kolejna kula ugrzęzła w dachu. Chwycił nadgarstek oburącz i wykręcił w dół. Zerknął na drzwi i dostrzegł twarz. Oczy nakryte ciężkimi powiekami. Wyraz zimnego skupienia.

W tej chwili pociąg wjechał w szerszą część tunelu. Ściana po prawej stronie znikła i miał wrażenie, że znalazł się w jaskini. Z przodu zobaczył mrugające światło. Stacja Kandersteg.

Zabójca wyszarpnął rękę. Jonathan zatrzasnął i zablokował drzwi. Cień stopił się z ciemnością. Zapуścił silnik. Ale dokąd jechać? Nie mógł jechać ani do przodu, ani do tyłu, i nie mógł siedzieć, czekając na strzał. Uderzył dłonią w klakson, potem zapalił światła i przełączył na długie. Ksenonowe snopy zalały samochody przed nim niebieskim jak diament blaskiem. Dopiero teraz zauważył, że pomiędzy wagonami nie ma poręczy. Luke zamykał mocny łańcuch długości dwóch metrów.

Pociąg wyjechał z tunelu. Tory skręcały w lewo, biegnąc wzdłuż rampy wyładowniczej. Jonathan wrzucił bieg, przekręcił kierownicę i wcisnął pedał gazu. Silnik V-12 rzucił wóz do przodu, mercedes zerwał łańcuch i wyskoczył na peron. Śniegowe błoto obryzgało przednią szybę. Jonathan na oślep szukał przełącznika wycieraczek, przysuwając twarz do szyby. Przed nim majaczyło coś niskiego i ciemnego. Wreszcie znalazł przełącznik i wycieraczki oczyściły szybę.

Kiosk stał tylko dziesięć metrów dalej. Jonathan szarpnął kierownicę i samochód ominął przeszkodę o kilkanaście centymetrów.

Zjechał na parking i zatrzymał się na czerwonym świetle przed wjazdem na autostradę. Za nim pociąg się zatrzymywał, żelazne koła zgrzytały i pojękiwały.

Samochody jeszcze nie zaczęły zjeżdżać z platform.

Światła zmieniły się na zielone.

Wjechał na autostradę i przez dziesięć minut rwał z maksymalną prędkością, potem skręcił na pierwszy napotkany zjazd i ruszył szeregiem wąskich dróg, oddalając się od autostrady. Zadowolony, że nikt go nie śledzi, zatrzymał się na poboczu i wyłączył silnik. Spojrzał na siebie w lusterku wstecznym. Zobaczył oczy uciekiniera. Płytki, urywany oddech sprawił, że dostał zawrotów głowy i mdłości.

Strzelano do niego nie po raz pierwszy. Pracując w szpitalu polowym w Liberii, znalazł się na ziemi niczyjej pomiędzy dwiema walczącymi frakcjami.

Operował, gdy zaczęła się strzelanina. Przeprowadzał amputację, w ranę od maczety wdała się gangrena. Nawet teraz, po siedmiu latach, mógł zobaczyć, jak stoi z piłą w ręku, gdy nagle kule zaczęły drzeć bielone betonowe ściany. Z zewnątrz dobiegły krzyki i jęki. Przypomniał sobie męski głos, wołający: Cachez-vous vite. Ils vont nous tous tuer. Kryć się, szybko. Zabiją nas wszystkich. Ale nikt w pokoju operacyjnym nawet nie drgnął. Nawet gdy pocisk rozbił kroplówkę.

Odwrócił się i spojrzał na okno po stronie kierowcy. Nie dostrzegł rys ani pajęczyny pęknięć. Tylko trzy gwiazdki w szkle. Przeciągnął palcami po szybie.

Nawet wkleśnięcia. Zdumiewające, pomyślał, zastanawiając się, jak tafla mogła wytrzymać uderzenie kuli wystrzelonej z takiej odległości. Przypuszczał, że to w ogóle nie jest szkło, tylko jakieś tworzywo. Cokolwiek to było, spodobało mu się.

Cholernie mu się podobało. Wetknął palec w dziurę w suficie, szukając kuli, ale nie znalazł.

Usiadł za kierownicą, przytłoczony powagą swojej sytuacji. W pewnym momencie przekroczył linię. Nie był pewien, czy w czasie ucieczki przed policją w Landquart, czy może wtedy, gdy postanowił wytropić Gottfrieda Blitza. To nie miało znaczenia. Już nie szperał, nie był zrozpaczonym mężem szukającym informacji o podwójnym życiu żony. Ojej tajnej działalności. Teraz brał w tym udział... cokolwiek to było.

Stawiając czoło deszczowi, wysiadł i obejrzał mercedesa, szukając

uszkodzeń.

Na przednim błotniku widniała rysa, a poniżej wgłębienie, lecz poza tym wóz znajdował się w doskonałym stanie.

Czołg, pomyślał z nieuzasadnioną dumą.

Wrócił do środka i zwiększył ogrzewanie. Zastanawiał się nad człowiekiem, który próbował go zabić. Bez wątpienia ten ktoś zabił Blitzę. Musiał go śledzić przez cały dzień, nie spiesząc się, czekał na odpowiednią chwilę. Ale dlaczego czekał tak długo? Miał mnóstwo okazji, w górach i w mieście. Nie znał odpowiedzi.

Jedno jest pewne: zabójca nie spodziewał się, że wóz jest opancerzony.

Zgadza się, stary! Pieprzony czołg!

Musnął szyję, czując na skórze medalik ze świętym Krzysztofem. Patron podróżnych. Miał ochotę pocałować medalik. Uśmiech zgasł po paru sekundach, starty przez strach. Ani przez chwilę nie wierzył, że zabójca weźmie nogi za pas.

Był gdzieś za nim i nadciągał, jak zawzięty jednoręki mężczyzna w starych historiach o duchach.

Jonathan zapuścił silnik. Zawrócił na trzy razy i ruszył bocznymi drogami z powrotem do autostrady. Skreślił na północ w kierunku Berna. Inne pojazdy mijają go regularnie. Często spoglądał w lusterko wsteczne, ale nie widział powodu do zmartwień.

Góry zostały z tyłu, a na horyzoncie z przodu pojawił się matowy pomarańczowy blask. Światła miasta.

Wóz opancerzony, sto tysięcy franków i kaszmirowy sweter... Ale dla kogo?

## 42

Północ w Jerozolimie.

Żar otulał starożytne miasto jak zniszczony koc. Niespodziewanie wysoka temperatura wypędziła ludzi z domów. Głosy niosły się po brukowanych uliczkach. Kierowcy trąbili niecierpliwie. Ulice tętniły żywiołową, wyzywającą energią typową dla całego Izraela.

W rezydencji premiera przy ulicy Balfour czterej mężczyźni siedzieli przy długim, odrapanym stole. Gabinet o wymiarach zaledwie trzy i pół na cztery i pół metra gdzie indziej byłby uważany za mały dla głowy państwa. Choć niedawno odmalowany, wciąż pachniał pleśnią i starością.

„Czerwona linia” została przekroczona. Irańczycy nie tylko posiadali środki do produkcji wysoko wzbogaconego uranu, ale mieli sto kilogramów produktu.

To już nie była kwestia prewencji, lecz samoobrony.

Zvi Hirsch stał przy mapie Iranu, ostre światła nadawały twarzy mężczyzny odcień zielonkawej bladości, wskutek czego jeszcze bardziej przypominał jaszczurkę. Trzydzieści żółto-czarnych plakietek, oznaczających materiały radioaktywne, wskazywało lokalizację znanych instalacji nuklearnych.

- Irańczycy mają dziesięć zakładów zdolnych do produkowania uranu przystosowanego do użycia bojowego - rzucił, wskazując różne miejsca laserowym wskaźnikiem. -1 dodatkowe cztery, gdzie uran może być umieszczony w głowicach bojowych. Najważniejsze ośrodki to Natanz, Esfahan i Bushehr. I oczywiście niedawno odkryta instalacja w Challus. Aby powiodło się pierwsze uderzenie, musimy zniszczyć wszystkie obiekty.

- Cztery to za mało - mruknął ktoś cicho.

- Wybacz, Danny - powiedział Hirsh. - Musisz mówić głośniej.

- Cztery to za mało. - Generał Danny Ganz, szef sztabu sił powietrznych i dowódca nowo powołanego okręgu irańskiego, odpowiedzialny za planowanie i operacje związane z atakiem na Republikę Islamską, podniósł się z fotela. Był chudy i nerwowy, z jastrzębim nosem i przymrużonymi brązowymi oczami. Lata walki wyryły głębokie zmarszczki wokół jego oczu i pobruździły mu czoło.

Zbliżył się do mapy.

- Jeśli chcemy zahamować ambicje atomowe Iranu, musimy zniszczyć co

najmniej dwadzieścia instalacji, łącznie z obiektem w Challus. To nie będzie łatwe. Cele są rozproszone po całym kraju. Nie mówimy też o pojedynczych budynkach. To rozległe kompleksy. Weźmy Natanz w centrum kraju. - Uderzył w mapę tak głośno, że wszyscy podskoczyli w fotelach. - Kompleks zajmuje ponad dziesięć kilometrów kwadratowych. Tuziny budynków, fabryk i magazynów. Ale wielkość to tylko połowa problemu. Większość głównych zakładów produkcyjnych została zbudowana co najmniej siedem i pół metra pod ziemią, pod warstwami zbrojonego betonu.

- Co można zrobić? - zapytał premier.

Ganz starał się ukryć pogardę. Nie tak dawno temu premier głośno wyrażał swoje pacyfistyczne przekonania, nawoływał do wstrzymania budowy nowych osiedli na Zachodnim Brzegu. Jego zdaniem był renegatem, stał o krok od zdrady. Ale, z drugiej strony, podobne zdanie miał na temat większości polityków.

- Zanim zaczniemy mówić o ataku na cel, musimy dojść do tego, jak tam dotrzeć - podjął. - Z naszych wysuniętych najdalej na południe lotnisk jest tysiąc trzysta kilometrów do Natanz i tysiąc sześćset do Challus. Musimy lecieć nad Jordanią i Arabią Saudyjską albo nad Irakiem. Nie sądzę, żebyśmy mogli liczyć na to, że dwa pierwsze kraje dadzą nam zezwolenie na skorzystanie z przestrzeni powietrznej... W ten sposób pozostaje Irak. Ganz popatrzył na premiera, czekając na komentarz.

- W stosownej chwili porozmawiam z Amerykanami - powiedział premier.

- Ta chwila minęła kilka godzin temu - wycedził Zvi Hirsch kątem ust. Premier zignorował kpinę. Zwrócił się do Ganz: - Co z naszymi samolotami? Są gotowe do wykonania zadania?

- Nasze F-15 mogą lecieć w tę i z powrotem, ale F-16 to zupełnie inna sprawa - odparł generał. - Będą wymagały uzupełnienia paliwa. Iran właściwie nie dysponuje siłami powietrznymi, ale mają radar. W ciągu paru ostatnich lat dokonali poważnych zakupów rosyjskich systemów pocisków ziemia-powietrze.

W Natanz, na przykład, wyrzutnie są rozmieszczone na północ, wschód i południe od kompleksu. Będziemy musieli założyć wysokie straty w ludziach.

- Jak wysokie? - zapytał Zvi Hirsch.

- Czterdzieści procent. - Ganz skrzyżował ramiona, gdy usłyszał szmer złości i zniechęcenia zebranych. Chciał mieć pewność, że wszyscy obecni

będą znali cenę, jaką przyjdzie zapłacić jego ludziom.

- Boże - szepnął premier.

- Trudno uniknąć pocisków, gdy się dostarcza bombę do celu - powiedział Ganz.

- A co z uderzeniem wyprzedzającym, redukującym obronę przeciwlotniczą? - zapytał Hirsch.

- Za mało samolotów. - Ganz chrząknął i podjął: - Jeśli chcemy unicestwić cele, musimy uderzyć niejeden raz. I to prosto na ich głowy. Muszę mieć dokładne współrzędne GPS zakładów produkcyjnych. Wiem, co wszyscy myślicie. Robiliśmy to wcześniej. Możemy zrobić znowu. Przepraszam, panowie. To nie będzie powtórka „Opery”.

Ganz nawiązywał do operacji pod kryptonimem „Opera”, niespodziewanego uderzenia z powietrza na reaktor nuklearny w Osirak pod Bagdadem, przeprowadzonego siódmego czerwca 1981 roku. Tego dnia piętnaście izraelskich samolotów wystartowało z bazy lotniczej Etzion, przeleciało nad Jordanią i Arabią Saudyjską, by zdusić w zarodku ambicje nuklearne Saddama Husajna. Wszyscy bezpiecznie wrócili do domu. Samoloty otrzymały pomoc od amerykańskiego agenta, który rozmieścił wzdłuż trasy nadajniki, umożliwiając izraelskim pilotom lot na przyrządach poniżej zasięgu jordańskich i saudyjskich radarów. Ten sam agent podświetlił cele laserem, ułatwiając trafienie.

- Co prowadzi do ostatniej kwestii - kontynuował generał. - Uzbrojenie.

Zakładając, że dwadzieścia naszych odrzutowców zdoła przebyć półtora tysiąca kilometrów do każdego celu i że przynajmniej dwanaście z nich przedrze się przez obronę przeciwlotniczą, czym uderzymy? Najlepsze, co mamy, to pavewaye trójki. Dziewięćset kilogramów materiałów wybuchowych z głowicą bojową, która może przebić beton o grubości dwóch i pół metra. Zgadza się, to cholerne walnięcie, ale jeśli obiekt znajduje się siedem metrów pod powierzchnią? Albo pięćdziesiąt? Albo nawet sto? Co wtedy? Pavewaye sprawią, że trochę kurzu posypie się z sufitu, to wszystko.

- Jest lepsza broń - zasugerował Hirsch, spoglądając na premiera. - Robi znacznie większe bum.

- Paveway-N z głowicą Ból - powiedział Ganz. - Bomba penetrująca z ładunkiem jądrowym o mocy paru kiloton. Jedna dziesiąta bomby zrzuconej na Hiroszimę. Amerykanie przeprowadzili próby w zeszłym roku. Polegały na strzelaniu pociskiem w beton w celu zmierzenia jego siły niszczącej. Osiągnęli penetrację do trzydziestu metrów. Krater miał pół kilometra

obwodu.

- Wystarczy, żeby zniszczyć fabrykę - dodał Hirsch ostrożnym tonem. - Przecież nie jesteśmy barbarzyńcami.

Oczy wszystkich spoczęły na premierze. Był to starszy mężczyzna, prawie siedemdziesięcioletni, u kresu burzliwej kariery politycznej. Miał opinię człowieka ugodowego, negocjatora. Wrogowie kwestionowali jego zasady.

Przyjaciele nazywali go oportunistą.

Z odrazą pokręcił głową.

- Zawsze hołdowaliśmy zasadzie, że nie wolno dopuścić, by Irańczycy weszli w posiadanie środków do produkcji uranu do budowy bomby atomowej.

Niestety, przekroczyli tę barierę. Za późno na odwrót. Nie jestem jednak zdecydowany w kwestii ataku. Moim naczelnym obowiązkiem jest dobro obywateli. Ale nie mogę zaryzykować kroku, który mógłby sprowokować atak jądrowy na naszą ziemię. Chciałbym lepiej znać ich możliwości.

- Zapomina pan o czymś - wtrącił Hirsch. - Znamy ich możliwości. Mają bombę i zamierzają jej użyć.

Premier odchylił się w fotelu, złączył dłonie czubkami palców, przysłaniając nos i usta. Wreszcie głośno wypuścił powietrze i wstał.

- W przeszłości daliśmy wrogowi przywilej wątpliwości. Nie stać nas na zrobienie tego ponownie. W ciągu dwudziestu czterech godzin chcę mieć na biurku plan ataku. Skontaktuję się z Amerykanami i zobaczę, co można zrobić w sprawie zezwolenia na skorzystanie z przestrzeni powietrznej Iraku.

- Popatrz na Ganza. -1 innej pomocy, Boże dopomóż.

Powoli wszyscy wstali. Zvi Hirsch pierwszy klasnął. Pozostali dołączyli do niego. Kolejno ściskali dłoń premiera. Wszyscy mówili to samo.

- Długiego życia, Izraelu.



## 43

Von Daniken nie mógł zasnąć. Leżał w łóżku, patrząc w sufit, i słuchał zwyczajnych odgłosów nocy, gdy mijały godziny. O północy wyłączył się kaloryfer. Stary drewniany dom zaczął drżeć, oddając nagromadzone ciepło w jękach, trzaskach i cichych, przenikliwych głosach, które wydawały się zawodzić bez końca. O drugiej pociąg towarowy przejechał przez most Rumweg. Tory biegły pięć kilometrów od domu, ale w rozrzedzonym powietrzu mógłby policzyć wagony dudniące na filarach. Dron.

Wiedział, że ta sprawa zadecyduje o jego karierze. Wiedział, bo takie rzeczy nie zdarzają się często w małej, przytulnej Szwajcarii, z czego zresztą był dumny.

Wyobrażał sobie mknący po niebie samolot bezzałogowy, niosący gondolę pełną plastiku. Rozważał prawdopodobne cele. Terrorysta Gassan powiedział, że Quitab chce strącić samolot, ale w łóżku, w ciemności nocy, von Daniken widział tuzin innych możliwości, od tamy w Alpach po elektrownię atomową w Gosgen.

Taki dron mógł lecieć wszędzie.

W wyobraźni biały samolot bezzałogowy robił się coraz większy i zmieniał kształt, aż przeobraził się z drona nafaszerowanego dwudziestoma kilogramami plastiku w DC-9 linii Alitalia z Mediolanu do Zurychu, przewożący czterdziestu pasażerów i sześćoosobową załogę, w tym jego żonę, ich nienarodzone dziecko i trzyletnią córkę. Śnił na jawie i miał tego świadomość, ale wiedza nie zmniejszała nadciągającego koszmaru. Widział, jak samolot leci przez chmurę z opuszczonym podwoziem, gotów do lądowania. Był listopad, nie luty, ale noc taka jak ta. Mroźno. Deszcz ze śniegiem. Przyziemna mgła.

W śnie stał w kabinie pilotów, pouczając kapitana, że nie powinien latać w takich warunkach. Kapitan jednak był zajęty rozmową ze stewardesą, bardziej zainteresowany zdobyciem jej numeru telefonu niż wskazaniem zepsutego wysokościomierza, który kazał mu lecieć trzysta metrów za nisko.

A potem, z nieubłaganą ostrością typową dla wszystkich snów, von Daniken zobaczył żonę i córkę siedzące z tyłu kabiny, gdy maszyna mknęła w stronę góry.

Jak miał w zwyczaju, zajął miejsce obok nich i delikatnie zakrył im oczy, zamykając powieki i prowadząc w głęboki, spokojny sen. Dopilnował, żeby

główka małej Sophie opierała się na ramieniu jego żony.

Czternastego listopada 1990 roku, o dziewiętnastej jedenaście, lot numer 404 Alitalia uderzył w Stadelberg, wysokość czterysta metrów nad poziomem morza, czołowo, zaledwie piętnaście kilometrów od Zürich Flughafen. Prędkość w chwili zderzenia wynosiła czterysta węzłów. Według raportów z wypadku, gdy rozbrzmiał alarm, kapitan miał niespełna dziesięć sekund na uniknięcie zderzenia z górą.

Von Daniken usiadł w łóżku, żeby nie zobaczyć eksplozji samolotu.

- Nie znowu - powiedział do siebie, oddychając szybko i płytko.

Na jego wachcie nie spadnie więcej samolotów.

On na to nie pozwoli.

## 44

śódziesiąt kilometrów na południe, w górskiej wiosce Kandersteg, światła płonęły w małym pokoju hotelowym, gdzie szczupły, muskularny mężczyzna stał nago przed lustrem, wstrząsany gwałtownymi dreszczami. Wyglądał makabrycznie. Wielkie smugi krwi odznaczały się na jego wymizerowanym ciele. Czarne oczy patrzyły gorączkowo z głębokich oczodołów. Pasma prostych włosów przylepiły się do mokrego czoła.

Duch umierał.

Zabijała go trucizna.

Jedna z jego własnych kul rykoszetowała od kuloodpornej szyby i weszła w brzuch nad wątrobą. Rana była wielkości nasionka słonecznika, ale skóra wokół niej miała kolor żółtawobrązowy, jak tygodniowy siniak. Z każdym uderzeniem serca strumyczki krwi spływały po płaskim, bezwłosym brzuchu. Duch czuł ołów tkwiący blisko powierzchni. Uderzenie o szkło zniszczyło wydrążony płaszcz.

To był tylko odprysk, pokryty ledwie mikrogramami trucizny. W innym wypadku już by nie żył.

Chwycił go skurcz. Zamknął oczy, pragnąc, żeby przeminał. Oddychał z trudem i ćmiło mu się w oczach. Palce go mrowiły jak kłute igłami. Oczyma duszy patrzył w głąb otchłani. Widział tam kształty, bestie wijące się w katuszach. Widział też twarze. Ofiary wykrzykiwały jego imię. Czekwały na jego przybycie.

Odsunął się od przepaści i otworzył oczy. Jeszcze nie, powiedział sobie.

Jeszcze nie był gotów odejść.

W jednej ręce trzymał nóż. W drugiej bandaż z gazy zwilżony w alkoholu do nacierania. Czubkami palców wymacał kawałek ołowiu i ustawił nad nim ostrze.

Opanował drżenie, potem ciął wprawnie i szybko, wyciągając odłamek.

Opatrunek palił jak cholera.

Później usiadł na łóżku i zmusił się do wypicia herbaty. Leżał przez trzy godziny, tocząc walkę z trucizną. Wreszcie drgawki ustały. Przestał się pocić, oddech wrócił do normy. Wygrał bitwę. Miał żyć, ale zwycięstwo go osłabiło, mentalnie i fizycznie.

Choć wyczerpany, nie mógł sobie pozwolić na sen. Wziął prysznic, żeby oczyścić ciało z krwi. Wytarł się, potem ustawił ołtarzyk na parapecie okna.

Ołtarzyk upleciony z pędów drzewa banian zawierał szczyptę ziemi z okolic jego domu rodzinnego i krople wody ze świętych źródeł rzeki Guarano. Duch wzniósł modły do Hanhau, boga świata podziemnego, i Cacochy, stwórcy. Prosił, żeby dane mu było znaleźć i zabić człowieka, który uciekł śmierci tej nocy. Gdy skończył, spryskał wodą krąg wokół łóżka, w ten sposób chroniąc się przed złymi duchami.

Dopiero potem się położył.

A gdy zasnął, głos ostrzegł go, że nigdy więcej nie zobaczy domu. Że nie zabije Amerykanina, ale że Ransom zabije jego. Błagał, żeby sam odebrał sobie życie. Był to Hanhau, próbujący zwabić go do świata cieni. Duch śmiał się w odpowiedzi, żeby pokazać bogu, iż nie zwraca na niego uwagi.

Zbudził się o świcie z jednym tylko zamiarem.

Zabić Ransoma.

## 45

O dziesiątej rano jednostka specjalna zaliczyła swoje pierwsze, łatwe zwycięstwa.

Von Daniken przycisnął Banco Populäre delia Ticino, z którego usług korzystał Blitz. W ciągu godziny miał dostać kopie wszystkich transakcji na jego koncie - wpłaty, wypłaty, płatności, przelewy elektroniczne. Dodatkowo dowiedział się, że Villa Principessa nie została wynajęta, jak podejrzewał, ale kupiona dwadzieścia cztery miesiące temu za trzy miliony franków przez jakiś podejrzany fundusz inwestycyjny z Antyli Holenderskich. Robotą papierkową zajmował się powiernik w Liechtensteinie. Von Daniken wysłał emisariuszy do Vaduz, stolicy małego górskiego księstwa, żeby przesłuchali ludzi przeprowadzających transakcję.

Myer też trafił na żyłę złota, zestawiając listę dwunastu numerów telefonów, pod które Blitz i Lammers dzwonili regularnie. Kilka należało do koncernów, z którymi Robotica prowadziła interesy. Wydano wezwania do sądu, żeby zmusić firmy do wyjawienia nazwisk ludzi odbierających te telefony. Inne numery należały do komórek zagranicznych operatorów. Uzyskanie nakazów zapewniających dostęp do danych mogło się odbyć za pośrednictwem ambasad we Francji, Hiszpanii i Holandii.

Krajceek pojechał do Zurychu, gdzie szukał informacji, i jeszcze się nie zgłosił.

Tylko Hardenberg był sfrustrowany. Jak dotąd, udało mu się zawęzić listę do osiemnastu tysięcy sześciuset pięćdziesięciu czterech właścicieli volkswagenów vanów w kraju. Czekał na wiadomości od wypożyczalni samochodów i policji kantonów o skradzionych furgonetkach, które pasowałyby do opisu.

- Co z SIBW? - zapytał van Daniken, przysiadając na biurku.

- Wystosowałem zapytanie. Biały volkswagen van na szwajcarskich numerach. Zobaczymy, co to nam da.

- Spróbuj skoncentrować poszukiwania najpierw na Niemczech.

- Już to zrobiłem. Na główny cel wybrałem Lipsk, a na drugi wszystkie miasta w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Powinniśmy mieć parę trafień.

Katalogowanie nakazów i przechowywanie informacji o osobach uznanych przez rząd za interesujące stanowiło tylko część systemu SIBW.

Druga była połączona z setkami tysięcy kamer monitorujących zainstalowanych w całej Europie. Codziennie co minutę kamery fotografują pojazdy (i ludzi) w swoim zasięgu. Numery rejestracyjne każdego sfotografowanego wozu trafiają do systemu łączącego bazy danych agencji wywiadowczych ponad trzydziestu krajów. Jest to swego rodzaju „kryminalny Internet”. Każda baza danych porównuje numery z rejestracjami skradzionych czy podejrzanych pojazdów w kraju. Po całej Europie bezustannie krążą ostrzeżenia, że samochód skradziony w Hiszpanii widziano w Paryżu. Albo że ciężarówkę użytą w czasie napadu na sklep jubilerski w Nicei zauważono w Rzymie. Taki system pilnowania porządku publicznego bez udziału policjantów co roku doprowadza do tysięcy aresztowań.

Minusem jest to, że proces przebiega nieznośnie powoli. Sama liczba zdjęć - miliony dziennie - sprawia, że uzyskanie wyników w czasie rzeczywistym nie wchodzi w rachubę.

- Kontynuuj. Daj mi znać w chwili, gdy coś wyniknie. Masz mój numer.

Hardenberg skinął głową i zabrał się do pracy.

Zadowolony z dobrego początku, von Daniken zjechał windą na parter i wyszedł z budynku. Wsiadł do samochodu i ruszył prosto do autostrady A1, gdzie skręcił w kierunku Genewy. Musiał się pospieszyć, jeśli chciał przed południem dotrzeć do siedziby głównej Lekarzy bez Granic.

## 46

Gasthof Rössli stał naprzeciwko bramy fabrycznej Zug Industriewerk. Beiz, czyli rodzinną restaurację, urządzono w dawnym stylu z sosnowymi ścianami, drewnianą podłogą i rzędami wybielonych rogów koziorożców na ścianach. W południe główna jadalnia była ciepła, duszna i pękała w szwach.

Jonathan przeszedł pomiędzy stolikami, zwracając uwagę na obfitość niebieskich bluz roboczych z wyhaftowaną gotyckim pismem nazwą firmy nad lewą kieszenią na piersi. Ta sama nazwa, wydrukowana tą samą czcionką, widniała na identyfikatorach noszonych na szyi przez prawie wszystkich klientów. ZIAG. Najwyraźniej Gasthof Rössli była ulubioną alternatywą zakładowej stołówki.

Kilku klientów przy barze popijało piwo i jadło lunch. Jonathan usiadł na wolnym stołku obok krzepkiego, brodatego mężczyzny, którego wydatny brzuch i pożyłkowany nos zdradzały, że nie stroni od alkoholu. Jak większość innych, nosił na szyi biały identyfikator na niebieskim sznurku. Jonathan miał trzydzieści minut, żeby zdobyć plakietkę.

Rzucił okiem na menu. Widział, że mężczyzna go obserwuje. Wysoko w kącie stał telewizor nastawiony na wiadomości, ale z wyłączonym dźwiękiem.

Jonathan w trudem powstrzymywał się od spoglądania. Zamówił zupę i piwo, czekał na odpowiednią chwilę.

Przybył do Zug o jedenastej po spędzeniu nocy na tylnej kanapie wozu na parkingu przedstawicielstwa handlowego Mercedes-Benz pod Bernem. Pozwolił sobie na pierwszy odpoczynek od trzydziestu sześciu godzin i choć chętnie spałby dłużej, powitał nowy dzień przynajmniej trochę odświeżony.

Rankiem okrążył fabrykę, najpierw jadąc samochodem, a później pieszo.

Najwyraźniej spodziewano się wizyty. Hoffmann wziął jego słowa do serca.

Jonathanowi wystarczył widok samochodu Securitasu, dobrze znanej firmy ochroniarskiej, w pobliżu wejścia do biurowca. Podobny pojazd parkował w dyskretnym miejscu niedaleko bramy zakładu. W obydwu siedzieli umundurowani strażnicy, z daleka obserwując pracowników wchodzących do zakładu. Wszystko odbywało się bez rozgłosu. Nie raziło. Obecność ochroniarzy nie rzucała się w oczy, ale była zauważalna.

Problem polega na tym, że są zbyt dyskretni, pomyślał Jonathan. Gdyby

mój przyjaciel został zabity dzień wcześniej, a moje nazwisko było następne na liście, wynajęłbym całą firmę ochroniarską, żeby pilnowała mojego miejsca pracy. Nie siliłbym się na dyskrecję.

Potem wpadło mu do głowy, dlaczego...

Hannes Hoffmann nie miał innej możliwości.

Zakład ZIAG jest legalną firmą, obecną na rynku od stu lat. Dziewięćdziesiąt milionów franków dochodu. Zatrudnia pięćset osób. Hannes Hoffmann, Gottfried Blitz i Eva Kruger byli intruzami. Nie wchodzili w skład trzonu prawdziwej firmy. Oni tworzyli lewą firmę. Firmę w firmie. W zмовie z kimś wysoko postawionym, wczepili się w ZIAG jak kleszcz w skórę. Pasożyt żywiący się krwią gospodarza.

Przykrywka.

Ale co robili? Dlaczego wybrali ZIAG?

Jonathan dostał zamówioną zupę. Siedzący obok brodac z obrzucił go spojrzeniem i życzył mu zdawkowo: En guete. Jonathan podziękował i skupił uwagę na zupie. Nie chciał zdradzać, że bardzo mu zależy na nawiązaniu rozmowy. Zjadł zupę, potem podchwycił spojrzenie mężczyzny.

- Przepraszam - zagadnął z należnym szacunkiem - może pan wie, czy firma potrzebuje ludzi?

Pracownik zmierzył wzrokiem jego formalny strój.

- Zawsze kogoś szukają, choć nic mi nie wiadomo o posadzie dyrektora.

- Pogrzeb - powiedział Jonathan tytułem wyjaśnienia, dlaczego ma ciemny garnitur i krawat. - Z zawodu jestem mechanikiem. A pan?

- Inżynier elektryk.

Mężczyzna miał lepsze wykształcenie, niż na to wyglądał. Inżynieria elektryczna to dziedzina dla kujonów, zapaleńców bez trudu rozwiązujących równania różniczkowe.

- Myślałem, że ZIAG należy do przemysłu zbrojeniowego.

- Dawno temu. Teraz robimy rzeczy na zamówienie klienta. Maszyny precyzyjne. Wytłaczarki. Wymienniki ciepła. Systemy ostrzegające przed zbliżaniem się do ziemi.

- Mnie to kojarzy się z bronią.

- Wszystko ściśle cywilne.

- Zastanawiam się, czy zna pan niejaką Evę Kruger.

- Z jakiego działu?

- Chyba sprzedaży albo marketingu. Nie jest inżynierem. Tyle wiem.

Kasztanowe włosy. Zielone oczy. Bardzo ładna.



Mężczyzna pokręcił głową.

- Niestety.

- Pracuje z Hannesem Hoffmannem.

- Znam go. Nowy, z Niemiec. Przyszedł z nowymi właścicielami. Realizuje własny projekt. Chodzą słuchy, że to coś nowatorskiego. Mówią, że facet zna się na rzeczy. Bystry, ale nieczęsto się pokazuje. Skoro pana przyjaciółka z nim pracuje, to musi być podobna. To wszystko, co wiem. Ja mam pod sobą dziesięciu matołów. Więcej niż potrzeba. Jeśli ta Kruger pracuje w sprzedaży albo marketingu, to jest w biurowcu. Tam niech pan jej szuka.

Kelnerka postawiła na barze talerz ze sznyclem wiedeńskim i pommes frites.

Inżynier wetknął serwetkę pod brodę, zamówił następne piwo, a potem z wilczym apetytem rzucił się najedzenie.

Jonathan spojrzął na identyfikator. Wiedział, jak go zdobyć, ale nie był pewien, czy starczy mu odwagi. Pomyślał o zabójcy, który w nocy przycisnął lufę do okna samochodu. Taki człowiek nie miałby skrupułów, żeby zrobić co trzeba w takiej sytuacji.

- Popilnuje mi pan miejsca przez parę minut? - zapytał z większą pewnością siebie, niż się spodziewał. - Muszę zajrzeć do parkomatu. Stoję za rogiem. Zaraz wrócę.

- Jasne. - Inżynier nawet na niego nie spojrzął.

Na zewnątrz Jonathan postawił kołnierz, bo padał śnieg, i pobiegł do niedalekiej apteki. Mrugający zielony krzyż nad drzwiami należał do pospolitych widoków. W Genewie, w drodze z mieszkania do oddalonego o pięć przecznic przystanku tramwajowego, mijał co najmniej cztery apteki. Podszedł prosto do lady. Bez wahania pokazał międzynarodową legitymację lekarza i poprosił o dziesięć pięćsetmiligramowych kapsułek triazolamu, lepiej znanego pod nazwą handlową halcion.

Choć był świadom, że jest celem ogólnokrajowego polowania, ocenił ryzyko wpadki na niezbyt wysokie. Po pierwsze, halcion to często przepisywany lek uspokajający stosowany w przypadku bezsenności. Dziesięć kapsułek nie wywoła alarmu. Po drugie, w przeciwieństwie do Stanów, apteki w Szwajcarii są niezależnymi sklepami rodzinnymi. Nie ma tam ani ogólnokrajowej bazy danych monitorującej recepty, ani łączącego apteki systemu komputerowego, przez który władze mogłyby ostrzec farmaceutów, żeby mieli się przed nim na baczności. Jeśli policja nie

rozesłała faksem albo pocztą elektroniczną jego nazwiska do wszystkich aptek w kraju - a takiej możliwości nie brał pod uwagę z powodu krótkiego czasu, jaki minął od zdarzenia w Landquart, oraz inercji typowej dla wielkiej instytucji rządowej - był bezpieczny.

Farmaceuta podał mu buteleczkę pigułek nasennych. Jonathan wyszedł i przystanął w bramie, żeby wysypać zawartość połowy kapsułek na starannie złożony banknot dziesięciofrankowy. Zamknął banknot w lewej dłoni i pospieszył do restauracji.

Po dwunastu minutach znów siedział przy barze.

- Jeszcze jedno? - zapytał mężczyznę. Inżynier uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Czemu nie?

Jonathan zamówił piwo - tym razem stein - i sznapsa dla siebie.

- Prosit - powiedział, gdy barman zrealizował zamówienie. Alkohol rozgrzał mu żołądek. Cmoknął i wyjął pióro z kieszeni. - Naprawdę mi pan pomógł.

Mógłbym prosić o nazwisko kierownika kadr?

- Jesteśmy firmą publiczną. Tutaj nazywają to działem personalnym. - Inżynier podał mu nazwisko i Jonathan ostentacyjnie pstryknął długopisem mocno potrząsając ręką. Długopis uciekł mu z palców i upadł na podłogę po drugiej stronie mężczyzny. Zgodnie z jego oczekiwaniami inżynier zsunął się ze stołka, żeby je podnieść. Gdy tylko jego głowa znikła pod barem, Jonathan przesunął lewą rękę nad jego piwem i wrzucił zawartość pięciu kapsułek halcionu do kufła.

Chwilę później mężczyzna wyprostował się z długopisem w ręce. Jonathan podniósł szklanę.

- Danke. Kolejny toast.

Dziesięć minut później kufel był suchy jak pustynia Gobi, a talerz inżyniera czysty jak świąteczna porcelana. Inżynier wziął z koszyka ostatni kawałek chleba i pożarł go w dwóch kęsach. Jonathan zaczął się martwić, czy sama ilość jedzenia w żołądku nie spowoduje działania leku.

Inżynier mówił bez chwili przerwy o pracy, o eksporcie do Afryki i na Bliski Wschód, o robocie papierkowej, zezwoleniach, licencjach. Jonathan dyskretnie zerknął na zegarek. Lek powinien już działać. Alkohol nasila skutki halcionu.

Dwa i pół tysiąca miligramów zwałyłoby z nóg słonia.

Mężczyzna miał rozszerzone źrenice, ale wciąż mówił z bezbłędną

dykcją.

Jonathan spojrział na jego brzuch. Dość wielki, by zmieścić piłkę lekarską. Może pięć kapsułek to za mało.

- Tak? Prowadzicie interesy z Afryką Południową? - zapytał, próbując podtrzymać rozmowę, żeby inżynier nie wyszedł.

- Sssą najgorsi. Popieprzeni biurokraci.

- Naprawdę? - Lek wreszcie zaczął działać.

- To tylko jeden z minusów tego biznesu. Nie masz się czym przejmować. - Powieki mu opadły na niezwykle długą chwilę. Potem zadrzał, szeroko otworzył oczy. - Chyba że, oczywiście, dołączysz do nass... - Zamknął oczy i jego głowa zakołysała się jak u szmacianej lalki na tylnym siedzeniu starego gruchota.

- Przepraszam. Muszę skorzystać z łazienki. Potem wracam do roboty. - Wstał i położył ręce na barze, żeby nie stracić równowagi. Kolano się pod nim ugięło.

Jonathan podtrzymał go, gdy upadał.

- Spokojnie, człowieku. Tędy. Pomogę.

Ostrożnie poprowadził inżyniera na tyły restauracji i na dół, do męskiej toalety. Gdy wrócił minutę później, miał w kieszeni biały identyfikator ZIAG.

Pan Walter Keller spędzi popołudnie na drzemce w kabinie WC.

## 47

Czekaj i obserwuj.

Duch patrzył na restaurację, stojąc po drugiej stronie ulicy. Na punkt obserwacyjny wybrał kiosk z gazetami i czasopismami. Zabijał czas, czytając sprawozdania z meczów piłki nożnej. Kiedy podchwycił paskudne spojrzenie sprzedawcy, kupił gumę do żucia, paczkę papierosów (choć nie palił) i „Corriere della Sera”, włoską gazetę.

Z gazetą pod pachą przeszedł do skrzyżowania. Długa nocna walka wyczerpała go i zużył resztę sił, żeby przebyć tę niewielką odległość. Mimo wszystko zrobił to, pilnując się, żeby nikt nie zwrócił uwagi na jego słabość.

Nosił trencz z postawionym kołnierzem, szary wełniany garnitur od krawca z Neapolu i ręcznie szyte buty w kolorze whisky. Dziś był włoskim biznesmenem.

Wczoraj szwajcarskim miłośnikiem wędrówek. Przedwczoraj niemieckim turystą. Mógł być każdym, byle nie sobą. Nie było mu wolno być tylko sobą. Nie miał nic przeciwko. Po dwudziestu latach w tym fachu im mniej czasu spędza się we własnym towarzystwie, tym lepiej.

Znalazł Ransoma o świcie, gdy wyjeżdżał z parkingu przedstawiciela handlowego, gdzie spędził noc. Przekonał się, że Amerykanin to niezdarly amator w swoich próbach wypatrzenia ogona. Jechał wolno, gdy powinien wcisnąć gaz do deski. Zatrzymywał się regularnie, żeby spoglądać przez ramię.

Zaparkował za blisko miejsca przeznaczenia. Na próżno się starał. Każdą próbę ukrycia niweczył nadajnik w medaliku, który miał na szyi.

Duch zadowalał się czekaniem i obserwowaniem. Jego domeną było zabijanie z bliska. Zrobił karierę, opierając się na ostrożności i planowaniu, przestrzegając zasady, żeby nigdy nie podejmować nieprzemyślanego działania. Najpierw przeprowadzał rozpoznanie, przygotowywał pułapkę, a potem przyczajał się i czekał. Kiedy opracował plan, nigdy od niego nie odstępował. Sprawa Lammersa stanowiła modelowy przykład planowania i realizacji. W przypadku Blitza trochę improwizował, bo miał za mało czasu na przygotowania. Reakcja na nagłe przybycie Ransoma ilustrowała ryzyko, jakie wynika z działania w pośpiechu.

Poza tym, oczywiście, miał sen.

Ransom go zabije.

Duch nie chciał być przesądny. Wiara w sny to dobre dla Indian, którzy pracowali na należącej do jego rodziny plantacji kawy. Nie dla człowieka wykształconego. Ajednak...

Wtedy zobaczył Ransoma wychodzącego z restauracji.

Patrzył, jak Amerykanin przechodzi przez ulicę i znika w tłumie przy bramie zakładu.

Na razie był zadowolony z dzielącej ich odległości.

Wykorzysta okazję, gdy tylko się nadarzy.

Do tego czasu będzie obserwować i czekać.

I modlić się.

## 48

Jonathan zaczekał na szczyt o pierwszej, a wtedy dołączył do grupy kilkunastu pracowników w niebieskich bluzach, którzy szli do bramy, mijając samotnego strażnika w wozie Securitasu. Zdjął krawat i postawił kołnierz płaszcza. Na szyi miał skradziony identyfikator, na wszelki wypadek zdjęciem do piersi.

W budynku, zamiast strażników, elektroniczny kołowrót strzegł wejścia na korytarz za holem. Jonathan przesunął identyfikator nad elektronicznym okiem i już był w środku. Mężczyźni skręcali w jedną stronę, kobiety w drugą. Wszedł do szatni. Na ścianie wisiał zegar. Czekał w kolejce z innymi, wbijając oczy w podłogę, żeby nie przyciągnąć niczyjej uwagi. Kiedy nadeszła jego kolej, wybrał kartę na chybił trafił i odbił ją w zegarze. Na szczęście nie należała do żadnego z sześciu mężczyzn za jego plecami. Za umywalnią stała szafa pełna świeżo wyprasowanych ubrań roboczych. Wziął bluzę, potem przez wahadłowe drzwi wszedł do hali fabrycznej.

Przestronna, widna hala przywodziła na myśl kryty stadion, a podobieństwo podkreślały aluminiowe wsporniki podtrzymujące wysoki strop. Wśród nich uwijała się mała armia pracowników, jedni pieszo, inni na wózkach widłowych lub elektrycznych. Rozległą przestrzeń dzieliły stojące w nierównych odstępach, wysokie na dziesięć metrów stosy skrzyń. Dziwne, sam rozmiar fabryki tłumił dźwięki, co tworzyło niezwykłą atmosferę.

W pobliżu wejścia na kontrolę czekało kilka rzędów stalowych zbiorników ciśnieniowych z nierdzewnej stali. Jonathan okrążył je i szedł przez halę, od czasu do czasu przystając, gdy coś go zainteresowało. Robotnicy byli w większości uprzejmi, chętnie odpowiadali na pytania i znali się na rzeczy.

Dowiedział się na przykład, że zbiorniki ciśnieniowe są w rzeczywistości mieszarkami zamówionymi przez wielką szwajcarską firmę farmaceutyczną.

Grupy pracowników krzątały się wokół autoklawów, wymienników ciepła, wycłaczarek. Szeroka gama produktów, jak na jednego wytwórcę. Jak powiedział mężczyzna w restauracji, Zug Industriewerk już nie należał do przemysłu zbrojeniowego.

Po drugiej stronie hali zauważył drzwi, z których korzystało niewielu pracowników. Wejścia strzegł czytnik biometryczny oka. Tabliczka obok drzwi oznajmiała: „THOR. Termohydrologiczny Ośrodek Rozwojowy.

Wstęp tylko dla upoważnionych".

THOR. Nazwa z pendrive'a Emmy. Nazwa z notatki, którą znalazł na biurku Blitza. „Zakończenie przewidziane na koniec pierwszego kwartału 200-. Ostatnia dostawa do klienta przed 10.2. Demontaż aparatury przemysłowej do 13.2".

Jonathan wiedział, że lepiej nie podejmować próby wejścia na zakazany teren.

Odwrócił się i ruszył w inną stronę. Znajdzie odpowiedzi na swoje pytania gdzie indziej. W biurowcu.

Na ścianie wisiała podkładka z klipsem, a pod nią stała skrzynka z kilkoma lśniącymi zaworami. Zabrał jedno i drugie. Kierując się znakami na wewnętrznych ścianach, dotarł do głównego budynku administracji. Mijając recepcjonistkę uprzejmie skinął głową i wszedł do windy.

Piętra były oznaczone według funkcji. Parter: recepcja. Pierwsze piętro: rachunkowość. Drugie: sprzedaż i marketing. Trzecie: zarząd. Wcisnął dwójkę.

Na trzecim piętrze zauważył, że pokoje są numerowane sekwencyjnie: 2.1, 2.2. Pod każdym numerem widniało nazwisko albo nazwiska. Hanness Hoffmann zajmował ostatnie biuro po lewej. W pomieszczeniu za drzwiami siedziała ufryzowana sekretarka.

- Do pana Hoffmanna - powiedział, podnosząc pudełko jak prezent gwiazdkowy.

- Kogo mam zapowiedzieć?

Jonathan podał nazwisko człowieka, któremu ukradł identyfikator.

- Próbki do kontroli dla pana Hoffmanna. Sekretarka nie spojrzała na plakietkę ze zdjęciem.

Nie siedzi w tym, pomyślał Jonathan. Nie należy do Thora.

- Zadzwoń - powiedziała.

- Nie trzeba. Czeka na mnie.

Nie myśląc o konsekwencjach, napędzany pragnieniem poznania prawdy - o Emmie, o Thorze, o wszystkim - pchnął drzwi i wszedł do biura Hannesa Hoffmanna.

## 49

Hannes Hoffmann, wiceprezes działu inżynierii według tabliczki na drzwiach, siedział za jasnym drewnianym biurkiem z telefonem przy uchu, stukając ołówkiem w terminarz jak w bęben. Był krępy i nijaki, z rzadziejącymi jasnymi włosami uczesanymi gładko nad pulchną, zadowoloną twarzą ze zbyt szeroko rozstawionymi niebieskimi oczami. Twarz ze zdjęcia z biurka Blitza. Twarz, którą Jonathan widział setki razy... znajoma, a jednak nieznajoma.

Hoffmann zeszywniał na jego widok. Jego oczy namierzyły cel jak lasery. To on? Takie pytanie praktycznie rysowało się neonowymi literami na jego czole.

Jonathan nawet nie drgnął. Z uśmiechem podwładnego zapytał, gdzie postawić skrzynkę z zaworami. Hoffmann zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Potem wskazał swoje biurko i wrócił do rozmowy.

- Dostawa musi być w magazynie celnym jutro przed dziesiątą rano - powiedział. - Inspektorzy nie wydłużą ponownie ostatecznego terminu.

Zadzwoń do mnie, gdyby wynikły jakieś problemy. - Odłożył słuchawkę i z irytacją spojrzął na gościa. - A pan...?

- Rozmawialiśmy wczoraj.

- Pan Schmidt?

- Zgadza się. - Jonathan postawił skrzynkę na biurku. - Krzycz - powiedział. - To twoja szansa. Śmiało. Wołaj sekretarkę.

Hoffmann siedział nieruchomo jak skała. Milczał.

- Nie może pan, prawda? - podjął Jonathan. - Nie zaryzykuje pan, bo przybędzie policja, a ja powiem wszystko, co wiem o operacji, którą prowadzi pan z Evą Kruger.

- Ma pan rację - odparł Hoffmann spokojnie. - Ale to broń obosieczna. Ja nie mogę krzyczeć, a pan nie może zmusić mnie do mówienia.

- Chcę tylko wiedzieć, w co była zamieszana. Hoffmann skrzyżował ręce na piersi.

- Proszę spocząć, doktorze Ransom.

Jonathan z wahaniem podszedł do biurka. Usiadł na brzegu krzesła, krzywiąc się lekko, gdy sig sauer zatknięty za pas ucisnął mu kręgosłup. - Jak to działa?

Firma w firmie? Tajny projekt wewnątrzzakładowy? Tak?



Hoffmann wzruszył ramionami na znak, że podejmuje daremne próby.

- Niech pan skończy tę zgadywanę.

- Domyślam się, że produkujecie coś, czego nie powinniście, i przekazujecie komuś, komu nie powinniście. Co to jest? Karabiny? Pociski? Rakiety? Bo z jakiego innego powodu mielibyście działać w takim miejscu? Widziałem część hali zamkniętą dla projektu Thor. Czym jest Termohygekologiczny Ośrodek Rozwojowy?

Hoffmann pochylił się, jego serdeczność natychmiast wyparowała.

- Nie ma pan pojęcia, na co się pan natknął.

- Mam pewne pojęcie. W zeszłym roku, gdy byliśmy w Libanie, złapaliście Emmę w swoje szpony. Domyślam się, że macie też kogoś w Lekarzach bez Granic, kto pomógł mnie tu sprowadzić.

- To się zaczęło wcześniej niż w Libanie.

- Nie. Wszystko zaczęło się w Bejrucie. Tam zdecydowała. - To musiało być wtedy, powiedział sobie. Dlatego miała bóle głowy, depresję. Podejmowała decyzję. - Czy pojechała do Paryża na spotkanie z panem?

- Atak, Paryż. Pamiętam. Dzwonił pan do niej, lecz nie zastał jej w hotelu.

Mieliśmy przejmować rozmowy, ale doszło do usterki w usługach technicznych.

Szkoda. Powiedziała mi, że przyjaciółka ją kryła. Powiedziała, że pan jej uwierzył. Nie sądzę.

Jonathan zignorował przytyk.

- Dla kogo pan pracuje?

- Wystarczy powiedzieć, że jesteśmy potężną grupą. Proszę się rozejrzeć. Ma pan mercedesa. I gotówkę, jak przypuszczam. Widział pan dom Blitza i jak się tu ustawiliśmy. - Hoffmann położył ręce na biurku. Wyglądał nieszkodliwie, jak agent ubezpieczeniowy próbujący sprzedać polisę na życie. - Obawiam się, że musimy kończyć.

- Nie dziś.

- Niech się pan odwróci, doktorze Ransom - powiedział Hoffmann surowo. - Proszę wyjść z tego biura. Opuścić kraj. Mogę sprawić, że policja wycofa nakazy aresztowania. Cokolwiek pan zrobi, proszę nie oglądać się za siebie. Jeszcze ma pan czas, żeby wywikłać się z tej sytuacji.

- Czy to również znaczy, że odwoła pan faceta, który strzelał do mnie zeszłej nocy?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- A co z gliniarzami, którzy próbowali ukraść bagaże Emmy? Może o nich też nic pan nie wie?

- Policjanci działali na zlecenie. Okazali się nadgorliwi. Przepraszam. Choć muszę dodać, że miał pan większe szczęście niż oni.

- W takim razie kto zabił Blitza?

Hoffmann przez chwilę rozważał pytanie. Westchnął i zamrugał szybko.

- Ludzie z innymi zamiarami niż nasze.

- Ludzie, którzy uważają, że Thor to niezbyt dobry pomysł? A jeśli nie pozwolą mi spokojnie odejść?

- Nie mogę mówić za nich. Jeśli podjęli próbę zamachu na pańskie życie, to przypuszczalnie dlatego, że są przekonani, iż pracuje pan z żoną.

- Chce pan powiedzieć, że ich zdaniem pracuję z panem? Hoffmann zmarszczył czoło. Wyraźnie nie spodobał mu się ten pomysł.

- Tak czy siak, nie mogę panu pomóc.

- Doceniam szczerść. Niestety, nie rozwiąże to mojego problemu. Hoffmann odsunął fotel od biurka. Założył ręce za głowę i odchylił się do tyłu, jakby na znak, że formalna część spotkania dobiegła końca. Teraz mogli rozmawiać jak przyjaciele.

- Współczuję panu, doktorze Ransom. Niewiedza jest najgorsza. Moje małżeństwo nie przetrwało trzech lat. Pan dociągnął do ośmiu. Powiedziałbym, że powiodło się panu lepiej niż większości.

Gdy mówił, mrugał szybko. Czkawka oczna. Był to dziwny tik, przypominający Jonathanowi kogoś, kogo znał dawno temu.

- Powtarzam swoją sugestię - kontynuował Hoffmann. - Proszę wyjść z tego biura. Jak najszybciej wyjechać z kraju. Nie chcemy, żeby spotkało pana coś złego. W naszym przekonaniu jest pan jednym z dobrych facetów.

Ogromnie nam pan pomógł, czy pan o tym wiedział, czy nie. Proszę dać mi słowo, że nie będzie pan wnikać w nasze poczynania, a odwołam psy.

- Mam pańskie słowo?

- Tak.

Hoffmann zamrugał, powieki trzepotały prawie przez dwie sekundy. W tej chwili Jonathan dopasował nazwisko do twarzy. Minęło pięć lat, może więcej, ale był pewien swego.

To się zaczęło wcześniej niż w Libanie.

- Znam cię.

Hoffmann nic nie powiedział, ale na jego policzkach nagle pojawiły się wyraziste plamy czerwieni.

- Nazywasz się McKenna. Z gwardii królewskiej, oddelegowany do sił pokojowych ONZ w Kosowie. Major, zgadza się?

Hoffmann zaśmiał się, jakby usłyszał kawał. Wyprostował się z rozbawionym wyrazem twarzy, a kiedy przemówił, język niemiecki berlińczyka ustąpił afektowanemu mamrotaniu rodem z eleganckiej dzielnicy Belgravia.

- Zajęło ci to trochę czasu, Jonny. Masz rację. Kosowo. Sylwester, jeśli się nie mylę. Wypiliśmy niemało tej nocy. Ty, ja i Em. Przybrałeś na wadze od tamtej pory, ale kto nie przybrał? Z wyjątkiem tu obecnych, jak myślę. Jesteś w doskonałej formie, Jonny, biorąc wszystko pod uwagę.

To był on. McKenna. Przybyło mu dwadzieścia kilogramów, ubyło trochę włosów i nie miał nastroszonych wąsów. Te same mrugające oczy. Denerwujący nawyk zwracania się do niego per „Jonny”.

Jonathan poczuł w skroniach straszny, pulsujący ucisk. Kosowo. Sylwestrowe przyjęcie w brytyjskich koszarach. Major Jock McKenna w szkockim kilcie, maszerujący o północy z dudami, na których grał AuldLang Syne. Potem wspomniał ostatnią część. Powód, z jakiego tak późno rozpoznał McKennę.

- Ale ty nie żyjesz. Zginąłeś w wypadku samochodowym dwa dni przed naszym wyjazdem z kraju.

Hoffmann wzruszył ramionami, jakby dawał do zrozumienia, że rozwiła się kolejna zasłona dymna.

- Jak widzisz, nie zginąłem.

- Kim ty jesteś, do diabła?

- Kimkolwiek muszę.

Wyskoczył zza biurka. Jonathan sięgnął po pistolet, ale był za wolny.

Niedoświadczony. Ręka mężczyzny śmignęła, wytrąciła pistolet z jego dłoni.

Krótkie obusieczne ostrze wysunęło się spomiędzy palca środkowego i serdecznego drugiej ręki Hoffmanna. Ostrze o włos minęło jego szyję, tnąc klapy bluzy. Jonathan odskoczył, przewracając krzesło.

- Twoja kolej - powiedział Hoffmann, gdy okrążył biurko. - Śmiało. Krzycz.

Zależy ci na policji? Świetnie. Wezwij ich. Ja bronię się przed mordercą.

Jonathan podniósł krzesło i osłonił się przed roślejszym mężczyzną. Hoffmann skoczył, ostrze rozmyło się w powietrzu. Jonathan poderwał krzesło, odbił cios.

Popatrzył na biurko. Na brzegu stała skrzynka z zaworami z nierdzewnej stali.

Każdy zawór, wielkości szklanki, ważył prawie kilogram. Skoczył do przodu, zmuszając Hoffmana do cofnięcia się, i chwycił zawór. Trzymając krzesło jedną ręką, był bezbronny. Hoffmann zrozumiał to natychmiast. Złapał nogę krzesła i szarpnął w bok. Jednocześnie przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i zaatakował.

Jonathan cofał się za wolno. Stal świsnęła w powietrzu. Tym razem ostrze przebiło bluzę i skaleczyło pierś. W tej samej chwili Jonathan zadał cios. Zawór musnął czoło Hoffmanna, przecinając skórę nad okiem. Hoffmann stęknął, otrząsnął się i przypuścił atak, napierając ciałem na krzesło jak napastnik futbolu.

Jonathan rzucił zawór i chwycił krzesło oburącz. Hoffmann napierał, przybliżając się. Był cięższy i choć wyglądał niemrawo, miał ogromną siłę.

Ostrze błysnęło i Jonathan poczuł pieczenie z boku szyi.

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Wszystko w porządku, panie Hoffmann?

- W idealnym - odparł absurdalnie wesołym głosem. Pchał krzesło, twarz mu poczerwieniała, pot wystąpił na czoło. Podniósł rękę, przygotowując się do zadania ciosu. Oddzielał ich niespełna metr.

Nagle Jonathan ukląkł i szarpnął krzesło w lewo. Zaskoczony Hoffmann poleciał w tę samą stronę. Stracił równowagę i upadł na kolano. Jonathan okrążył go, wziął drugi zawór ze skrzynki i trzasnął go w tył głowy. Gdy mężczyzna zaczął się podnosić, uderzył drugi raz.

Hoffmann runął na podłogę.

- Panie Hoffmann! - krzyknęła sekretarka, waląc pięściami w drzwi. - Proszę!

Co to za hałasy? Mogę wejść?

Oszołomiony Jonathan zatoczył się do tyłu i przytrzymał biurka, żeby nie upaść. Dostrzegł swoje odbicie w szybce oprawionego zdjęcia. Godny pożalowania widok. Z rany na szyi spływała krew. Nóż o dwa centymetry minął tętnicę. Wyjął chusteczkę z kieszeni i przycisnął do rany.

- Chwileczkę - powiedział, uśmiechając się groteskowo, żeby naśladować radosny głos Hoffmanna.

Rozejrzał się po biurze. Za oknem ziała trzypiętrowa przepaść. Tym razem nie było rynny, po której mógłby zjechać. Podbiegł do drzwi, podniósł pistolet i wsunął go za pas.

- Proszę wejść.

Sekretarka weszła w pośpiechu. Zanim zdążyła zorientować się w sytuacji, zamknął za nią drzwi.

- Boże, co się stało? - zapytała, łącząc powoli poszczególne elementy.

Jonathan przycisnął ją do drzwi, unieruchomił przedramieniem.

- Jeśli będziesz cicho, nie zrobię ci krzywdy. Rozumiesz? Sekretarka energicznie pokiwała głową.

- Ale...

- Sza. Nic ci się nie stanie. Lepiej się odpręż. Oczy kobiety rozszerzyły się z przerażenia.

Przycisnął palce do jej arterii szyjnej, odcinając dopływ krwi do mózgu.

Szarpnęła się raz w jego ramionach i pięć sekund później zemdląła. Położył ją na dywanie. Oceniał, że odzyska przytomność za dwie do dziesięciu minut.

Hoffmannowi zajmie to trochę więcej czasu.

Jonathan powiódł wzrokiem po biurze. Nie mógł wyjść w takim stanie. Zdjął niebieską bluzę roboczą, włożył płaszcz Hoffmanna i zapiął guziki pod szyję.

Powoli szedł korytarzem, z pochyloną głową, trzymając chusteczkę przy szyi.

Zszedł na parter i wyszedł główną bramą. Przecznicę dalej ruszył truchtem, a niedługo później popędził co sił w nogach.

Znalazł mercedesa w garażu na Zentralstrasse naprzeciwko stacji kolejowej.

Wysunął apteczkę spod fotela, wyjął gazę i plaster. Niewiele to dało. Rana wymagała szycia.

Jedną ręką naciskając szyję, powoli przejechał przez miasto do autostrady i ruszył w kierunku Berna.

Znał tylko jedno miejsce, do którego mógł się udać.

## 50

Von Daniken jechał lewym pasem, prędkościomierz wskazywał sto osiemdziesiąt. Autostrada biegła wśród tarasowych winnic na zboczach nad Jeziorem Genewskim. Szeroka błękitna tafla jeziora wypełniała boczną szybę. Dalej wznosiły się spowite przez chmury, ośnieżone szczyty już na terenie francuskiego departamentu Haute Savoie.

Gdy zbliżał się do Nyon na przedmieściach Genewy, zadzwonił telefon komórkowy. Wcisnął guzik „odbierz” na kierownicy.

- Rohde, zurskie biuro lekarza sądowego.

- Tak, doktorze... - Von Daniken przypominał sobie, że zeszłej nocy skasował numer Rohdego z listy połączeń.

- Chodzi o autopsję Lammersa. Odkryliśmy coś dziwnego. - Rohde przez kilka minut mówił o odkryciu batrachotoksyny, żabiego jadu, na kulach. - Mój kolega, doktor Wiekes ze Scotland Yardu, jest przekonany, że ten, kto zabił Theo Lammersa, współpracował kiedyś z Centralną Agencją Wywiadowczą.

Von Daniken nie odpowiedział. CIA. To pasowało. Kiedy wyszło na jaw, że Blitz nie był Niemcem, tylko Irańczykiem, na dodatek kiedyś związany z wojskiem, zaczął podejrzewać, że zabójstwa dokonała profesjonalna agencja wywiadowcza. Pomyślał o Philipie Palumbo. Albo amerykański agent nie brał udziału w operacji, albo celowo zataił przed nim tę informację.

Inspektor podziękował i zakończył rozmowę. Autostrada zwęziła się, gdy wjechał do miasta. Droga opadła i biegła wzdłuż linii brzegowej. Po lewej rozciągał się wielki park z zaśnieżonymi łąkami, które dochodziły do brzegu jeziora. Mijał kolejne okazałe kompleksy wzniesione na tych terenach.

Organizacja Narodów Zjednoczonych. Światowa Organizacja Handlu. Światowa Organizacja Zdrowia.

Adres, którego szukał, znajdował się w mniej okazałej części miasta.

Zaparkował na Rue du Lausanne przed chińską restauracją i tureckim krawcem.

Było pięć po dwunastej. Spóźnił się. Osoba, z którą miał się spotkać, będzie musiała poczekać trochę dłużej.

Przewinał spis telefonów do litery P. Słyszał ciche brzęczenie, gdy sygnał skakał pomiędzy wieżami przekaźników, łącząc go Bóg wie z jakim zakątkiem świata.

- Cześć, Marcusie - usłyszał szorstki głos.

Von Daniken wiedział, że nie ma co pytać Philipa Palumbo o miejsce pobytu.

- Uprzedzam, że ta rozmowa wykracza poza granice naszych formalnych kontaktów - zaczął bez wstępów, gdyż uważał je za pobawione sensu.

- Czy ma związek z informacjami, które przekazałem ci wczoraj?

- Tak. Muszę wiedzieć, czy wiesz coś więcej o Quitabie, człowieku znanym nam jako Gottfried Blitz.

- To wszystko, co mam, przyjacielu. Po raz pierwszy usłyszałem o nim dwa dni temu, bezpośrednio z ust Gassana.

- Żadnych wcześniejszych sygnałów, że jakaś komórka w Szwajcarii planuje atak? Nic o wspólnikach? Na przykład o człowieku nazwiskiem Lammers?

- Zaczynasz mnie wkurzać. Co chcesz wiedzieć?

- Czy macie zespół na moim terenie.

- Jaki zespół?

- Nie wiem, jak to nazywacie. Mokra robota. Likwidacja. Sankcje.

- To nie byle jakie pytanie.

- Tak, i myślę, że jesteś mi winien odpowiedź.

- Sądziłem, że wczoraj spłaciłem dług.

- Wczoraj wszystko szło zgodnie z przepisami. Powstrzymanie Gassana i jego kumpli leży zarówno w naszym, jak w waszym interesie. Zwycięstwo pójdzie też na twoje konto.

- Możliwe - przyznał Palumbo. - Tak czy owak, za mało wiem, żeby cokolwiek zrobić.

Von Daniken westchnął, zastanawiając się, ile informacji może mu przekazać.

W gruncie rzeczy nie miał wyboru. Taka jest cena współpracy z supermocarstwami. A dokładniej, z jedynym istniejącym dziś supermocarstwem.

Nie mógł wymagać zaufania od Palumbo bez okazania własnej dobrej woli.

- Też pracowaliśmy nad Blitzem, ale pod innym kątem. Ten człowiek, o którego pytałem, Theo Lammers, był jego wspólnikiem. Spotkali się wieczorem cztery dni temu. Jesteśmy przekonani, że Lammers przekazał Blitzowi supernowoczesnego drona zdolnego rozwinąć prędkość pięciuset kilometrów na godzinę i wyposażonego w gondolę z dwudziestoma

kilogramami plastiku.

Lammers zginął w nocy po spotkaniu. Profesjonalna robota. Przypuszczamy, że ten sam człowiek zabił Blitzę. Mamy dowody sugerujące, że zabójca jest jednym z was.

- Jakie dowody?

Von Daniken powiedział mi o kulach maczanych w żabim jadzie 1 szkoleniu Indian należących do salwadorskich oddziałów kierowanych przez CIA.

- Zdaje się, że naciągasz fakty - stwierdził Palumbo. - Przesądni Indianie, szwadrony śmierci, trucizna... Cofnąłeś się o prawie trzydzieści lat. Stare dzieje.

- Nie sądzę, by któryś z nas wierzył w zbiegi okoliczności.

- Punkt dla ciebie - przyznał Palumbo, ale nie zaoferował pomocy.

- Phil, zapytam wprost: Facet jest na liście płac Agencji czy pracuje jako wolny strzelec dla kogoś innego?

- Tego nie mogę ci powiedzieć. Mówisz o czymś, co byłoby kierowane przez biuro operacji specjalnych. To piąte piętro. Za wysokie progi. Nie sądzę, by zastępca dyrektora potraktował mnie uprzejmie, gdy zacznę wtykać nos, gdzie nie trzeba.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale ktoś płaci temu człowiekowi. Ktoś wskazuje mu właściwy kierunek. Przypuszczam, że on wie więcej o tym, co się dzieje, niż ty czyja. To przerażające. Pomyślałem, że mógłbyś popytać. Może...

nieoficjalnie.

- Nieoficjalnie?

- Cokolwiek znajdziesz...

- Żabia trucizna, co? Wtedy będziemy kwita?

- Rachunki wyrównane - powiedział von Daniken z entuzjazmem, który Amerykanin uznał za szczery.

Palumbo zastanawiał się, pozwalając mu słuchać szmeru łączności bezprzewodowej.

- Niech będzie - odezwał się w końcu.

- Co niech będzie?

- Zadzwoń do ciebie - odparł krótko. Przerwał połączenie.



## 51

cichej dzielnicy mieszkalnej niedaleko centrum Berna, na Waldhoheweg 30, stała przyjemna czteropiętrowa kamienica. Wzdłuż chodnika mniej więcej co dwadzieścia metrów, rosły nagie, patykowate brzozy, przypominające szkielety.

Jonathan powoli przejechał obok budynku, sprawdzając, czy nie jest obserwowany. O czwartej w okolicy panował spokój, osiedle wyglądało niemal jak wymarłe. Nie widząc niczego niezwykłego, zaparkował trzy przecznice od domu.

Emma jest prawdziwa, bo Bea jest prawdziwa, powiedział sobie, gdy wysiadł z samochodu. W czasie jazdy z Zug przypomniał sobie wszystko, co wiedział o Bei. Trzydzieści pięć lat, architekt z wykształcenia, absolwentka uniwersytetu w Leeds, choć nigdy nie pracowała w zawodzie. Bywała sfrustrowaną artystką, sfrustrowanym fotografikiem i sfrustrowanym dmuchaczem szkła, ale zawsze była wędrowniczką. Wolnym duchem. Osobą z krwi i kości, może trochę zagubioną, ale prawdziwą. Zawsze w luźnych dżinsach i podartej kurtce motocyklowej, ze skłonnością do rywalizacji.

W ciągu wszystkich tych lat widział ją dwa, może trzy razy. Ostatni raz osiemnaście miesięcy temu, na lunchu w Chamonix, gdy wrócili z Bliskiego Wschodu. Czy w ten sam weekend żona chciała mu kupić sweter od Bognera?

Odkąd przeprowadzili się do Szwajcarii, Emma kilka razy wyskoczyła do Berna w odwiedziny, on jednak nie miał czasu, żeby jej towarzyszyć.

Jonathan zbliżał się do domu Bei, idąc po drugiej stronie ulicy. Nie widział żywego ducha. Powiódł wzrokiem po zaparkowanych samochodach. Nikt nie siedział za kierownicą. Przebiegł przez jezdnię, przyciskając bandaż ręką. Przy wejściu znajdowała się lista mieszkańców. Strasser. Rutli. Kruger. Zehnder.

Zatrzymał się i sprawdził jeszcze raz. Poczł bryłę lodu w żołądku. Nie znalazł żadnej Beatrice Rose, tylko E. A. Kruger pod 3A.

Zaczął drzeć. Na co czekał? Zadzwoił. Minęła minuta. Cofnął się i popatrzył na budynek. Ruch sprawił, że rana się otworzyła. Wtedy pojawiła się jakaś kobieta i otworzyła drzwi kluczem.

- Przyszedłem do panny Kruger - powiedział. - Jest moją szwagierką. Czy mogę poczekać w holu?

Oczy kobiety z przestraczem zatrzymały się na jego szyi. Patrząc na swoje odbicie w szybie, Jonathan zobaczył, że gaza jest czerwona od krwi.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała bez cienia życzliwości.

- Wypadek. Nie jest tak źle, jak wygląda.

- Powinien pan pójść do lekarza.

- Jestem lekarzem. - Wymuszonym uśmiechem próbował zbagatelizować sprawę. - Sam sobie pomogę, gdy tylko wejdę do środka. Z pewnością zna pani Evę. Mniej więcej pani wzrostu. Kasztanowe włosy. Orzechowe oczy. Nosi okulary.

Kobieta pokręciła głową, rozważając całą sytuację.

- Przykro mi - powiedziała po chwili. - Nie znam panny Kruger. Myślę, że będzie lepiej, gdy zaczeka pan na zewnątrz.

- Oczywiście. - Jonathan odwrócił się z uśmiechem i policzył do pięciu. Gdy spojrział przez ramię, hol był pusty. Frontowe drzwi zamykały się powoli. Jeszcze parę centymetrów i się zatrzasną. Skoczył, uderzył noskiem buta w ościeże. Za późno. Drzwi się zamknęły.

Odwrócił się, klnąc swój pech. Pomyślał, że wciśnie wszystkie brzęczyki, może ktoś otworzy. Odrzucił pomysł jako zbyt ryzykowny. Już został zauważony. Nie chciał, żeby powiadomiono policję.

Wcisnął ręce do kieszeni. Palce musnęły klucze Emmy. Może miał klucz...

Wyjął klucze Ewy Kruger. Poza kluczykami do samochodu, na łańcuszku wisiały trzy inne, każdy oznaczony kolorowym gumowym kółeczkiem.

Wypróbował je po kolei. Czarny nie pasował. Czerwony też nie. Zielony wsunął się gładko. Jonathan przekręcił go w zamku. Chwilę później był za drzwiami.

Dobrze oświetlone schody wiły się wokół szybu windy. Na każdym piętrze znajdowały się trzy mieszkania, do których wchodziło się z podestu w stylu art deco, z rośliną w doniczce, stolikiem i lustrem. Zgodnie ze szwajcarskim zwyczajem, nazwisko mieszkańca było wygrawerowane pod dzwonkiem.

Znalazł mieszkanie Ewy Kruger na trzecim piętrze. Zadzwoił, lecz nikt nie odpowiedział.

To się zaczęło wcześniej niż w Libanie.

Hoffmann był McKenną z Kosowa. A Kosowo było pięć lat przed Libanem.

Wszystko mogło zacząć się przed Libanem, ale Jonathan nie mógł

sięgnąć dalej w przeszłość. Jego umysł nie potrafił cofnąć się tak daleko. Może nie chciał.

Prawda wyglądała tak, że już nie miał żadnego wyboru Wsunął klucz do zamka i otworzył drzwi mieszkania Evy Kruger.

Z drugiej strony korytarza kobieta patrzyła przez wizjer, jak ranny mężczyzna wchodzi do mieszkania. Oczywiście znała Evę Kruger, choć niezbyt dobrze. Nie można nawiązać bliższej znajomości z osobą, która podróżuje tak często. A jednak rozmawiała z nią kilka razy i uznała, że jest miła. Ale była za mądra, żeby mówić o tym nieznanemu. Na pewno nie komuś oblanemu własną krwią.

Nie po raz pierwszy w tym tygodniu nieznani ludzie szukali Frdulein Kruger.

Dwa dni wcześniej, wieczorem, widziała pod domem dwóch mężczyzn, którzy dziwnie się zachowywali. Weszła, nie rozmawiając z nimi, a później usłyszała hałas na podeście i spojrzała przez wizjer. Zdążyła zobaczyć, jak wchodzi do mieszkania Evy. Wciąż miała wyrzuty sumienia, że nie powiadomiła policji.

A teraz człowiek z raną na szyi.

Nie popełni drugi raz tego samego błędu.

Wróciła do salonu, podniosła słuchawkę i zadzwoniła na policję.

- Chciałabym zgłosić... - Prawdę mówiąc nie wiedziała co. Ostatecznie ten człowiek miał klucz. Odpędziła wątpliwości. Był intruzem. - Chciałabym zgłosić intruza na Waldhoheweg 30... Proszę przyjechać natychmiast. Jest w mieszkaniu.

Sprawdzali mieszkanie. Tym razem nie starali się ukryć swojej obecności, zauważył Jonathan. Miał przed sobą dowody drobiazgowego, metodycznego przeszukania przeprowadzonego bez strachu przed odkryciem.

Salon duży i oszczędnie umeblowany, z szynowym systemem oświetlenia. Na wprost drzwi czarna skórzana kanapa, poduszki zdjęte, ułożone wzdłuż mebla, jak do czyszczenia. Książki z półek ustawione na podłodze, obok nich czasopisma. Perski dywan na wpół zwinięty. Fotel Eamesa. Niski stolik ze zbyt dużą ilością chromu i polerowanego metalu. Udręczony płat stali, który uchodził za rzeźbę. Ktoś tu mieszkał... ale nie Emma.

Wyjął z kieszeni prawo jazdy i spojrzał na zdjęcie swojej żony. Meble pasowały do szykownych okularów, prostej fryzury, jaskrawej szminki. To były meble Evy Kruger.

Ruszył w głąb mieszkania. Kuchnia czysta, wręcz sterylna. Otwarte szafki.

Talerze wyjęte, spiętrzone na ladzie. Szklanki również. Otworzył lodówkę. Sok pomarańczowy. Białe wino. Szampan. Puszka kawioru z białugi. Cebula.

Zapakowany w folię bochenek czarnego chleba. Słoik korniszonów. Było to mieszkanie, w którym Emma gościła w czasie swoich „błyskawicznych safari”.

W zamrażalniku leżała oszroniona butelka polskiej wódki. Sprawdził markę.

Żubrówka. Na źdźbłach trawy o tej samej nazwie. Wyżej na półce stały dwa kieliszki.

Otworzył butelkę, nalał do kieliszka. Wódka miała jasnożółty kolor i konsystencję syropu. Przyłożył kieliszek do ust i odchylił głowę.

- Za Emmę - powiedział powoli. - Kimkolwiek naprawdę byłaś.

Alkohol spłynął w dół gardła jak płonący jedwab.

Opadł go ogromny smutek. Poczł tak wielki ciężar na ramionach, że zrobienie dziesięciu kroków do gabinetu stało się heroiczną wyprawą. Niewielkie pomieszczenie. Nieskazitelne. Metalowe biurko i fotel Aeron, o którym Emma marzyła, lecz na który nie było jej stać. Komputer zniknął, ale na podłodze obok drukarki leżały przewody. Żadnych papierów. Żadnych notatek.

Wszedł do sypialni. Pościel rzucona w kąt. Rozprute poduszki. Szafy z kilkoma strojami. Symfonia czerni. Armani. Dior. Gucci. Dopasowane buty. Pięć i pół. Rozmiar Emmy. (Dlaczego musiał stale sprawdzać, choć już wiedział?) Jedna suknia koktajlowa, również czarna, skrojona w taki sposób, żeby zaparło dech najbardziej zblazowanemu gościowi.

Wbrew woli wyobraził sobie, jak Emma wchodzi w niej do pokoju. Jego spojrzenie przesunęło się po długich nogach, zatrzymało na wysokości dekoltu, potem ogarnęły kasztanowe włosy spadające w falach na ramiona. Tak, zdecydował, suknia spełniała swój cel. Idealny strój, by podać wódkę i kawior dla dwojga.

Dwie osoby. Dwie osobowości. Ale która prawdziwa? Jak rozpoznać różnicę pomiędzy prawdą i fikcją? A jeśli on nie mógł, jak robiła to Emma?

Przyszło mu na myśl, że on też brał w tym udział. Doktor Jonathan Ransom, lekarz obieżyświat, wysyłany na misje do różnych punktów zapalnych świata, jak się dogodnie składało. Przecież został przeniesiony do

Genewy specjalnie po to, żeby Emma mogła wziąć udział w tym... w tym projekcie „Thor”, cokolwiek to było. Czy wcześniej nie mogło być podobnie? Jonathan jako pionek.

Nie, nie pionek. Przykrywka.

Usiadł na brzegu łóżka i podniósł telefon. Sygnał zgłoszenia zamruczał mu w uchu. Zadzwoił na centralę międzynarodową i zapytał o numer szpitala St. Mary w Penzance w Anglii.

- Jak daleko w przeszłość to sięga? - zapytał siebie na głos. Przed Bejrutem był Darfur. A przed Darfurem Indonezja, Kosowo i Liberia, gdzie Emma powitała go w zdezelowanym dziupie na płycie lotniska.

Gdzie Emma wyrysowała linię? Albo, co ważniejsze, kiedy? Zanotował numer szpitala i zadzwonił. Gdy usłyszał miły angielski głos, poprosił o połączenie z archiwum. Zgłosiła się kobieta.

- Archiwum.

- Dzwonię ze Szwajcarii. Moja żona niedawno zmarła i potrzebna mi jest kopia metryki. Urodziła się w waszym szpitalu.

- Z przyjemnością przefaksuję kopię, gdy tylko otrzymamy oficjalny wniosek.

- Z pewnością nie będzie z tym problemu, ale teraz chciałbym wiedzieć, czy na pewno macie oryginalny dokument. Nazwisko Emma Rose. Urodzona dwunastego listopada 1975 roku.

- Proszę chwileczkę poczekać.

Jonathan przytrzymał słuchawkę ramieniem. Miał obrączkę ślubną Ewy Kruger. Przyszło mu na myśl, że w mieszkaniu nie dostrzegł śladów obecności pana Krugera. Dlaczego nosiła obrączkę? - zastanowił się. Wszystko inne zostało drobiazgowo dopracowane. Całe podwójne życie, ze sztucznymi rzesami włącznie.

- Proszę pana, tu pielęgniarka Poole. Znaleźliśmy akta Emmy Rose.

- To dobrze. To znaczy, dziękuję. - Wiadomość przerwała mu rozmyślenia.

Słowa więzły mu w gardle. Był na skraju załamania albo początków rekonwalescencji. Nie wiedział, czego.

W wyobraźni widział, jak jedzie z Emmą obok szpitala, niskiego ceglanego budynku w centrum miasta. Tylko raz odwiedzili jej rodzinne strony, rok po ślubie. „Tu wszystko się zaczęło - powiedziała z dumą. - Przyszłam na świat punktualnie o siódmej, wrzeszcząc jak potępieniec. Od tej pory nie dałam się uciszyć. Tu zmarła moja mama. Krąg życia i tak dalej, jak

sądzę".

Pielęgniarka mówiła dalej.

- Jest pewien problem. Jest pan pewien, że żona urodziła się w 1975?

- Oczywiście.

- Widzi pan, to dość dziwne. Czy na drugie imię miała Everett?

- Tak.

Kolejny dowód, że to ona. Nie była Evą Kruger. Była Emmą. Jego Emmą.

- Rzeczywiście znalazłam w naszych aktach niejaką Emmę Everett Rose - mówiła pielęgniarka teraz bardziej twardym głosem. - Urodziła się dwunastego listopada... ale rok wcześniej. To problem.

- Musi być błąd drukarski w dokumencie. To na pewno ona.

- Obawiam się, że nie - oświadczyła pielęgniarka. - Nie wiem, jak to powiedzieć.

Jonathan przesunął się na skraj łóżka.

- Co takiego?

- Przykro mi, proszę pana, ale Emma Everett Rose, urodzona dwunastego listopada 1974 roku w szpitalu St. Mary, nie żyje. Zginęła w wypadku samochodowym dwa tygodnie po narodzinach, dwudziestego szóstego listopada.

## 52

to kompletna lista jego misji? - Marcus von Daniken siedział w ciasnym biurze bez okien w siedzibie Lekarzy bez Granic. Ogrzewanie hałasowało i czuł, jak z każdą spędzoną tu minutą ubywa mu cierpliwości.

Kierowniczką działu kadr patrzyła na niego z drugiej strony biurka. Była pięćdziesięcioletnią Somalijką, która przyjechała do Szwajcarii dwadzieścia lat temu. Miała ogoloną głowę i złote obręcze w uszach, i nie starała się ukryć wrogości. Pochylona nad stertami papierów perorowała, wskazując go czubkiem bardzo długiego, wymyślnie pomalowanego paznokcia.

- Dlaczego lista miałyby być niekompletna? - zapytała, gdy podała mu teczkę Jonathana Ransoma. - Czy wyglądam, jakbym coś ukrywała? Niedorzeczne, powiem panu. Wszystko jest niedorzeczne. Jonathan Ransom mordercą! To szaleństwo.

Von Daniken nie zawracał sobie głowy udzielaniem odpowiedzi. Policjanci kantonu Gryzonia wyprzedzili go o dzień i było jasne, że ich wizyta podziałała komuś na nerwy. Byłoby lepiej, gdyby pogadał z nimi, zamiast wyklócać się z nią. Wziął teczkę Ransoma i niespiesznie przejrzał papiery. Bejrut, Liban. Szef grupy programu szczepień ochronnych. Darfur, Sudan. Kierownik biura do spraw uchodźców. Kosowo, Serbia. Lekarz naczelny koordynujący tworzenie lokalnych ośrodków psychoterapeutycznych. Wyspa Sulawesi, Indonezja.

Monrowia, Liberia. Lista politycznego piekła na całym świecie.

- Czy to normalne, że wasi lekarze tyle czasu spędzają za granicą? - zapytał, podnosząc oczy znad teczek. - Widzę, że doktor Ransom w niektórych z tych miejsc spędził po dwa lata.

- To nasza praca. - Pogardliwe westchnienie. Oczy wzniesione ku sufitowi. - Jonathan lubi wyzwania. Jest jednym z naszych najbardziej oddanych lekarzy.

- Co to znaczy?

- Często warunki są straszne. Bywa, że lekarz traci szerszą perspektywę, ulega emocjom i grzęźnie w cierpieniu, jakie go otacza. Przytłacza go daremność podejmowanych wysiłków. Mamy sporo przypadków nerwicy pourazowej, podobnej do nerwicy frontowej. Ale Jonathan nigdy nie unikał trudnych misji.

Niektórzy z nas myślą, że to z powodu Emmy.

- Emmy? Jego żony?
- Uważaliśmy, że ma skłonności do zbyt dużego solidaryzowania się z mieszkańcami. Utożsamia się z tubylcami, że tak powiem.
- Czy często mąż i żona pracują w jednym zespole?
- Nikt nie chce się żenić tylko po to, żeby zostawiać małżonka tysiące kilometrów dalej.

Von Daniken zastanawiał się nad tym przez chwilę. Zaczynał rozumieć, jak to może działać. Zagraniczne misje. Ciągłe podróże.

- W jaki sposób decydujecie, dokąd wysłać lekarzy?
- Dopasowujemy ich siły do naszych potrzeb. Od dawna próbowaliśmy zwabić doktora Ransoma do naszej siedziby w Szwajcarii. Jego doświadczenie w pracy terenowej wniosłoby dawkę zdrowego rozsądku do naszych projektów.
- Rozumiem, ale kto dokładnie decyduje o przydziałach doktora Ransoma?

- Robimy to wspólnie. Nas troje. Jonathan, Emma i ja. Przeglądamy listę możliwości i decydujemy, gdzie będą najbardziej potrzebni.

Von Daniken nie miał pojęcia, że żona Ransoma była tak głęboko zaangażowana w pomoc humanitarną. Zapytał o jej rolę na misjach.

- Emma robiła wszystko. Miała stanowisko logistyk. Organizowała misję, pilnowała, żeby lekarstwa docierały na czas, koordynowała pomoc lokalną i opłacała bandziorów, żeby zostawiali nas w spokoju. Kierowała misją, żeby Jonathan mógł ratować życie. Ona jedna warta była pięciu zwyczajnych śmiertelników. To, co ją spotkało, to tragedia. Już nam jej brakuje.

Żona zaangażowana w pracę męża. Kobieta przedsiębiorcza. Kobieta, która zadawała pytania. Von Daniken zastanawiał się, czy nie zadała o jedno za wiele.

- A nad czym doktor Ransom pracuje obecnie?
- Chodzi panu o czas, zanim zaczął mordować policjantów? - Somalijka uśmiechnęła się krzywo, żeby pokazać, co myśli o jego dochodzeniu.
- Nadzoruje kampanię antymalaryczną, którą prowadzimy we współpracy z Fundacją Bates. Nie sądzę, żeby czuł się uszczęśliwiony. To robota administracyjna, a on woli pracować w terenie.
- Jak długo ma trwać ten przydział?
- W takich wypadkach czas nie jest określony. Miał zajmować stanowisko do czasu wprowadzenia programu w życie, następnie zaznajomić



następcę z zakresem obowiązków i przekazać mu wodze. Niestety, ostatnio otrzymałam skargę na jego zachowanie. Najwyraźniej był trochę szorstki wobec amerykańskiej strony tego... wobec strony pieniędzy - szepnęła.

- Pani Bates go nie lubi. Zapadła decyzja, żeby zdjąć go ze stanowiska.

Von Daniken skinął głową, ale usłyszał wewnętrzny dzwonek i był świadom, że zlokalizował niewidzialną rękę, która kierowała przenoszeniem Ransom'a z kraju do kraju. Zaczęło się od skargi zgłoszonej kierownicze kadr. Od sugestii.

Może czegoś mniej zawołanego. Kobieta rozumiała, w czym rzecz. Jonathan Ransom musi jechać do Bejrutu. Trzeba go wysłać do Darfuru.

- Orientuje się pani, dokąd miał pojechać?

- Myślałam z nadzieją o Pakistanie. Mamy wakat w nowej misji w Lahore.

Dyrektor zmarł na atak serca. Ledwie pięćdziesiąt lat, wielka szkoda. We wtorek planował ważne spotkanie z ministrem zdrowia i opieki społecznej. Miałam nadzieję, że przekonam Jonathana, by poleciał w niedzielę, żeby go zastąpić.

- W tę niedzielę?

- Tak. Nocny lot. Wiem, wiele żądam od człowieka, który niedawno stracił żonę, ale, znając Jonathana, wyszłoby mu to na dobre.

- W niedzielę - powtórzył von Daniken, gdy wszystko zaczęło się układać.

Siedemdziesiąt dwie godziny.

Teoria von Danikena była prosta. Ransom był wyszkolonym agentem na usługach jakiegoś rządu. Praca dla Lekarzy bez Granic stanowiła idealny pretekst do przenoszenia go z kraju do kraju bez przyciągania zbytej uwagi. Zbadanie, co robił w przeszłości, mogło doprowadzić do odkrycia, dla kogo pracował.

Dlatego von Daniken siedział przy komputerze w komendzie policji na Rue Gauthier w Genewie, patrząc na zdjęcie poważnie rannej kobiety wydobytej z gruzów szpitala. Zdjęcie pochodziło z pierwszej strony „Daily Star”, anglojęzycznej gazety libańskiej z trzydziestego pierwszego lipca ubiegłego roku.

Artykuł nosił tytuł „Policyjny oficer śledczy ginie w wybuchu” i dotyczył eksplozji, w której zginęło siedemnaście osób, w tym wysoko postawiony funkcjonariusz policji prowadzący dochodzenie w sprawie zabójstwa byłego premiera Libanu. Policjant przebywał w szpitalu, gdzie poddawano go

cotygodniowej dializie. Detektyw obecny na miejscu zdarzenia ujawnił, że podejrzewa, iż bomba została umieszczona pod podłogą w czasie zakończonego trzy miesiące wcześniej remontu szpitala. Oceniał, że wybuch miał siłę czterdziestu pięciu kilogramów TNT.

Gazeta donosiła, że nikt nie przyznał się do zamachu i że policja sprawdza pogłoski, iż w szpitalu przed wybuchem widziano agentów syryjskich.

Von Daniken podniósł wzrok znad ekranu komputera. Bomba podłożona w czasie remontu trzy miesiące przed atakiem. Równoważnik czterdziestu pięciu kilogramów trotylu. Skala ataku przyprawiła go o zimny dreszcz. Musiały brać w tym udział dziesiątki osób. Budowniczowie, kontraktorzy, urzędnicy miejscy, którzy wydali zezwolenia, ktoś w gabinecie lekarza, by przekazać szczegóły na temat wizyt ofiary. Jako policjant był pod wrażeniem. Jako człowiek czuł przerażenie.

Przed Libanem, Darfur...

Transporter C-141 Organizacji Narodów Zjednoczonych, przewożący przywódców muzułmańskich Dżandżawidów i rdzennych Sudańczyków do Chartumu na zaproponowane przez rząd rozmowy o zawieszeniu broni, eksplodował w powietrzu. Nikt nie przeżył. Odkryto dowody wskazujące, że bomba została umieszczona w jednym z silników. Obie strony obwinały się wzajemnie o spowodowanie katastrofy. Wojna domowa się nasiliła.

A przed Darfurem, Kosowo. Strona druga „National Gazette”: „W eksplozji zginął generał w stanie spoczynku Vladimir Drakić, powszechnie znany jako Drako, i dwadzieścia osiem innych osób. Drakić, 55 lat, uczestniczył w tajnym spotkaniu zdelegalizowanej prawicowej Partii Patriotów, której podobno przewodził. Drakić od ponad dziesięciu lat był celem międzynarodowej obławy, poszukiwanym przez Komisję Narodów Zjednoczonych do spraw Zbrodni Wojennych w związku z masakrą dwóch tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci w pobliżu miasta Srebrenica w listopadzie 1996 roku. Dowody znalezione na miejscu zdarzenia świadczą, że przyczyną wybuchu było uszkodzenie przewodu gazowego. Policja bada pogłoski, że w zamachu brała udział konkurencyjna organizacja albańska. Aresztowano dwie osoby”.

Te trzy ataki miały podobne cechy. Wszystkie wymierzone przeciwko wysoko postawionym, dobrze chronionym osobom. Wszystkie wymagały starannego planowania, nadzwyczajnego wywiadu i długotrwałego zaangażowania. I w każdym wypadku znajdowano dowody wskazujące na

osoby trzecie.

Ale tym, co ostatecznie przekonało von Danikena o udziale Ransoma, był czas tych trzech incydentów. Zamach bombowy w Bejrucie miał miejsce cztery dni przed jego wyjazdem z Libanu do Jordanii. Katastrofa sudańskiego odrzutowca nastąpiła dwa dni przed jego wyjazdem z kraju. A atak w Kosowie tylko jeden dzień przed jego powrotem do Genewy.

A jednak nie miał pojęcia, kto miałyby zyskać najwięcej wskutek tych ataków.

Cui bono? Na czyją korzyść? Motyw stanowił podstawę dla oficera śledczego, a tu nie było go widać.

Von Daniken odsunął krzesło od komputera. Słowa kierowniczkki działu kadr zadźwięczały mu w uszach.

„Mamy wakat w Lahore. Miałam nadzieję, że poleci w niedzielę”.

## 53

Dwóch policjantów z patrolu zareagowało na zgłoszenie o obecności intruza na Waldhoheweg 30. Zadzwonili do mieszkania osoby, która powiadomiła policję, i zostali wpuszczeni do budynku. Nie byli zbyt przejęci. W statystykach przestępczości ulica i okolica należały do najbezpieczniejszych w mieście. W ciągu ostatnich trzech miesięcy zgłoszono tylko dwa włamania. W ciągu roku nie odnotowano ani jednego przypadku napadu z bronią w ręku, gwałtu czy morderstwa.

- Jest w środku - powiedziała przejęta gospodyni, gdy wpuściła policjantów do mieszkania. - Patrzyłam od czasu zgłoszenia. Nie wyszedł.

- Dlaczego pani uznała, że to włamywacz?

- Nie mówiłam, że jest włamywaczem. Powiedziałam, że to intruz. Nie powinno go być w budynku. Najpierw twierdził, że czeka na Evę Kruger.

Chciał wejść. Ale krwawił, tu... - Wskazała na szyję. - Odparłam, że skoro go nie znam, będzie lepiej, jeśli zaczeka na szwagierkę przed domem. Chwilę później usłyszałam go na podeście. Miał klucz do mieszkania. Patrzyłam, jak wchodzi.

- Panna Kruger jest jego szwagierką?

- Tak powiedział. Mógł kłamać. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Policjanci kolejno zadawali jej pytania.

- Widziała pani tę kobietę, która tam mieszka... tę pannę Kruger?

- Nie.

- Pytała go pani o zranienie?

- Mówił, że miał wypadek. Powiedział, że jest lekarzem i sam potrafi się tym zająć, gdy tylko wejdzie do mieszkania.

Policjanci nie kryli irytacji.

- Czy ten doktor groził pani w jakiś sposób?

- Nie. Był uprzejmy... ale nie powinno go tu być w czasie nieobecności panny Kruger. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Przestraszyłam się.

Policjanci wymienili spojrzenia. Kolejna wścibska baba, która ma za dużo wolnego czasu.

- Zamienimy słowo z tym panem. Czy przypadkiem podał nazwisko? Kobieta ściągnęła brwi i pokręciła głową.

- Proszę tu zostać, proszę pani.

Jonathan stał w łazience z wysoko podniesioną brodą i oglądał szyję.

Krew krzepła, rana zaczynała się zasklepić. W terenie takie obrażenia to normalka.

Nie chcąc, żeby została blizna, musiałby otworzyć ranę, oczyścić i dopiero potem założyć szwy, ale dziś takie rozwiązanie nie wchodziło w rachubę.

Nalał żubrówki do kieliszka i wypił dla kurażu.

- Nie ruszaj się - szepnął, przysuwając igłę z nitką do szyi. Wciągnął powietrze, przystąpił do pracy. Igła nie była zła jak na taką z przybornika do szycia. Dość ostra. W miarę sterylna. Pracował gorszymi.

Założył szew, palcami lewej ręki trzymając brzegi rany.

Wszystko od samego początku oparte było na kłamstwie. Emma nie była Emmą. Do pewnego stopnia jego życie było farsą. Sztuką reżyserowaną przez jakiegoś niewidzialnego reżysera. Zaskakujące, czuł się bardziej wyzwolony niż rozczarowany. Jakby kłapki spadły mu z oczu i po raz pierwszy zobaczył rzeczy takimi, jakimi są naprawdę. Nie tylko to, co leżało wprost przed nim, ale to, co kryło się na peryferiach. Przygnębiający widok. Jonathan jako pionek. Jonathan jako kukła. Jonathan jako niczego nieświadoma, pełna entuzjazmu marionetka w rękach jakiegoś rządu.

Kto to był? - zastanawiał się. Kto ją do tego namówił?

Założył trzeci szew. Nić ocierała skórę, aż łzawiły mu oczy. Szarpnął igłę i zawiązał supełek.

Zły. To czuł, złość. Zły na Emmę. Zły na Hoffmanna. Zły na tego, kto ukradł mu życie i uformował je odpowiednio do swoich celów. Była to kradzież niewybaczalna.

A reszta? Ta część jego życia, która należała tylko do nich dwojga? Czy to też była gra? Kusiło go, żeby uznać ich prywatne chwile za wyjątkowe, oderwane od wyższego obowiązku Emmy. Ich miłość. Sekretne spojrzenia. Dotyk jej ręki i momenty milczącego porozumienia.

Osiem lat... Jak to możliwe?

Opuścił igłę, oparł się o zlew, żeby nie stracić równowagi.

Spojrzał w lustro. Nic nie kapujesz. Nigdy nie zdradziła ci prawdziwego nazwiska. Dopilnowała, żebyś jeździł po Afryce, Europie i Bliskim Wschodzie, żeby mogła wykonywać swoją robotę. Miała całe sekretne życie. Spójrz na to mieszkanie. Spójrz na tę kusą kieckę. Sprowadzała tu mężczyzn. Piła z nimi wódkę. Uwodziła ich.

Spojrzał głęboko w swoje oczy i stawiał czoło prawdzie.

Odrętwiały, nie czując bólu, szybko i sprawnie zakończył szycie,

zawiązał nitkę i odciął ją nożyczkami, które znalazł w przyborniku. Wykonał dobrą robotę, biorąc pod uwagę okoliczności. Przemył ranę alkoholem, potem założył plaster z opatrunkiem. Podniósł koszulę, wszedł do kuchni i nalał następny kieliszek wódki. Zanotował nazwę w pamięci, żeby wiedzieć, czego szukać w przyszłości.

Żubrówka. Po polsku, „tępy naiwny dupek”.

Zarzucił płaszcz i wsunął ręce w kieszenie z kaszmirową podszewką. Wyjął obrączkę. Obiecał sobie, że będzie ją nosić przez cały czas, ku pamięci. Zgasił światła w kuchni i wszedł do salonu. Zrobił obchód po mieszkaniu. Wszystko było iluzją. Niczym więcej jak dekoracją sceniczną.

Ktoś zabębnił pięścią w drzwi.

- Policja. Chcemy z panem porozmawiać.

Jonathan zamarł. To ta kobieta z dołu. Musiała wszcząć alarm. Wyobraził sobie rozwój wypadków. Prośba o identyfikację. Rutynowe sprawdzenie wystawionych nakazów. Reakcja będzie natychmiastowa: Doktor Jonathan Ransom poszukiwany za morderstwo dwóch policjantów. Podejrzany o posiadanie broni i niebezpieczny. Skują go i rozłożą na podłodze w okamgnieniu.

Znów łomotanie.

- Policja. Panie doktorze, wiemy, że pan tam jest. Proszę otworzyć. Chcemy porozmawiać z panem o szwagierce, panie Kruger.

Za daleko zaszedł, żeby się poddać. Skoro już w tym tkwił, równie dobrze mógł kontynuować.

Pobiegł do sypialni, otworzył francuskie drzwi na balkon. Spojrzał z boku na bok, w górę i w dół. Najbliższy balkon dwa piętra niżej. Ściana gładka, bez żadnych występów. Nie da rady po niej zejść.

Walenie do drzwi stało się gwałtowniejsze.

Wrócił do salonu, zajrzał do gabinetu, do sypialni, do kuchni. Zatrzymał się, rozzłoszczony daremnością swoich wysiłków. Nie ma czego szukać. Jedyne wyjście są drzwi.

Skoro nie może się wydostać, musi zwabić ich do środka...

Wszedł do kuchni. Już się nie spieszył. Ani razu nie obejrzał się za siebie ani nie pomyślał o zareagowaniu na coraz bardziej gwałtowne łomotanie. Obejrzał piekarnik. Nowoczesny, konwekcyjny, przód ze stali nierdzewnej i panel dotykowy. Nic mu po nim. Ale kuchenka była gazowa. Zdjął krążki z palników.

Nożem z szuflady uderzył w płomyk pilotujący. Przekręcił na maksimum

gałki wszystkich pięciu palników. Gas syczał, lekki mdłosłodki zapach wypełniał pomieszczenie.

Łomotanie ucichło. Z korytarza napłynęły podniecone głosy. Klamka się poruszyła. Chwilę później rozległ się zgrzyt metalu. Policjanci próbowali wyłamać zamek.

- Idę - zawołał. - Chwileczkę.

- Proszę się pospieszyć. W przeciwnym wypadku użyjemy siły.

- Zaraz! - wrzasnął. Zamknął drzwi kuchni i popędził do gabinetu. Znalazł na biurku jakąś gazetę i zwinął w stożek. Odłożył ją, wziął duży kąpielowy ręcznik i zmoczył go zimną wodą. Wyżał ręcznik, złożył i przerzucił przez ramię. Wszedł do salonu po zapalki, które leżały w popielniczce.

Znów rozległo się łomotanie. Przez drzwi słyszał trzaski policyjnego radionadajnika.

Gaz sączył się pod kuchennymi drzwiami. Wciągnął powietrze nosem i cofnął się szybko. Zajął pozycję, przyciskając plecy do ściany na zewnątrz kuchni, zarzucił ręcznik na głowę i ramiona, zapalił zapalkę, a od niej gazetę. Czekał, trzymając ją daleko od siebie, aż zapłonęła niczym pochodnia.

Teraz! - powiedział sobie.

Otworzył drzwi kuchni, wrzucił pochodnię i padł na podłogę.

Kula ognia eksplodowała w zamkniętej przestrzeni, zdmuchując talerze z lady, roztrzaskując szkło, tłukąc szyby w oknie, i z rykiem ekspresu wpadła do salonu.

Potem została wessana z powrotem do kuchni.

Jonathan poczołgał się po podłodze i ukrył w szafie przy drzwiach. Sekundę później huknął strzał. Drzwi otworzyły się do środka. Dwaj policjanci wbiegli do mieszkania z bronią w rękach, szukając źródła pożaru. Jonathan widział ich przez szczelinę niedomkniętych drzwi szafy.

Jeden z nich zbliżył się do płomieni.

- Wypadł przez okno.

Drugi przeszedł nad zniszczonym meblem i zajrzał do kuchni.

- Już po nim.

Jonathan wysunął się z szafy, wymknął za drzwi i zbiegł po schodach. Minutę później wyszedł z budynku.

Pięć minut później siedział w mercedesie, dodawał gazu i kierował się ku autostradzie.

## 54

Philip Palumbo po powrocie do Stanów Zjednoczonych z „wypraw myśliwskich” przestrzegał ustalonego porządku zajęć. Z lotniska jechał do sali gimnastycznej w Alexandrii w Wirginii. Przez dwie godziny jeździł na rowerze treningowym, podnosił ciężary i pływał. Gdy wreszcie wypocił z organizmu całe gówniane żarcie, brud i trujące powietrze, szedł do sauny, gdzie pozbywał się smrodu zepsucia. Uporczywego poczucia winy, które rosło jak guz w ciemnościach ludzkiej duszy. Nazywał to „chodzeniem do spowiedzi”. Dopiero potem mógł jechać do domu, przywitać się z żoną i trójką dzieci.

Dziś jednak zapomniał o zmywaniu grzechów i pojechał prosto do Langley, gdzie szybko znalazł drogę do archiwów Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Uzyskał dostęp do cyfrowego pliku sekcji Ameryka Łacińska, zawierającego szczegółowe dane o działalności firmy w Salwadorze w latach osiemdziesiątych.

Znalazł sprawozdanie z misji, omawiające potrzebę budowania demokracji w regionie jako szansa przed komunistycznym reżimem sandinistów, którzy zapuścili korzenie w sąsiedniej Nikaragui i zagrażali rządowi Gwatemali i Salwadoru. Dalej natknął się na wzmiankę o operacji „Gołębiak”, kierowanej z ambasady w San Salvador na początku wiosny 1984 roku. Protokoły operacji sklasyfikowane zostały jako tajne i dostęp do nich wymagał zgody zastępcy dyrektora. To było to. Żadna inna operacja w pliku nie została utajniona.

Palumbo wrócił do listy pracowników Agencji przydzielonych w tym czasie do ambasady. Rozpoznał nazwisko kolegi, z którym pracował w Antyterrorystycznym Centrum Dowodzenia. Chudy, towarzyski Irlandczyk, Joe Leahy.

Palumbo znalazł go w przeszklonym biurze wychodzącym na podzieloną na boksy przestrzeń na poziomie operacyjnym Centrum Dowodzenia.

- Joe, masz chwilę?

Jak zwykle, Leahy wyglądał niczym bankier z Wall Street. Miał granatowy garnitur spod igły, wypucowane półbuty i przylizane włosy. Nie mógł tylko zamaskować nosowego głosu filadelfijczyka.

- O co chodzi?



- Muszę pogrzebać ci w głowie w związku z czymś, co działo się dawno temu.

Masz czas na kawę?

Palumbo zabrał go do bufetu i wziął dwie podwójne kawy ze skondensowanym mlekiem. Usiedli przy stoliku w kącie.

- Byłeś w Salwadorze, prawda?

- Dawno temu - odparł Leahy. - Ty jeszcze dmuchałeś studentki w Yale.

- Więcej było prób i porażek. Ale co możesz mi powiedzieć o „Gołębiaku”?

- To nazwa z przeszłości. Dlaczego pytasz? Przeprowadzasz audyt? Palumbo pokręcił głową.

- Nic z tych rzeczy. Tylko zasięgam języka.

- Stare dzieje. Byłem juniorem. Nowicjuszem. Szczeniakiem.

- Nie musisz się martwić, Joe. Masz moje słowo. Wszystko zostanie między nami.

- Jak w Vegas. Zgadza się?

- Tak jak w Vegas. - Palumbo pochylił się, przysunął głowę. - „Gołębiak”, Joe.

Powiedz mi.

Leahy pochylił się w jego stronę.

- Zaczęło się jako szkolenie. Metoda na urobienie paru rekrutów. Kompletnych kmiotów. Połowa z nich ledwo zrzuciła przepaski biodrowe. Ściągnęliśmy paru z Zielonych Beretów z Bragg. I trochę broni. Idea była taka, żeby nauczyć ich podstaw żołnierki. Pomóc umocnić demokrację w regionie. Zwykle bzdury.

- Myślałem, że od tego mamy Szkołę Ameryk w Benning?

- Jasne. Ale szkoła jest oficjalna. Tamto było sub rosa. W każdym razie, el presidente spodobało się, co robimy, więc wcielił kilka tych jednostek do swoich prywatnych sił zbrojnych. Odwalaliśmy brudną robotę.

Musisz pamiętać, jak było wtedy, z Dannym Ortegą kokietującym Biankę Jagger, sandinistami pogrążającymi region w ogniu. No mas comunista.

Przynajmniej takie było założenie. Operacja wymknęła się spod kontroli prawie na samym początku. Nic nie szło zgodnie z planem. Ale działało. Wszyscy srali ze strachu. W osiemdziesiątym czwartym było po wszystkim. Prezydent został ponownie wybrany. Spakowaliśmy manatki i wróciliśmy do domu.

- A co z facetami, których wyszkoliliście? Któryś z nich też wrócił z

wami do domu?

- Co masz na myśli, mówiąc „wrócił do domu”?

- Nie wiem. Może znaleźliście paru odpowiednich i zaprosiliście ich do pracy w Firmie.

Niefrasobliwy ton Leahy'ego przepadł bez śladu.

- Wypływasz ze swojej głębi. Nawigujesz po ciemnych wodach.

- Między nami, Joe... Jak gines z Filadelfii i makaroniarz z południa Bostonu.

Leahy zaśmiał się, ale nic nie powiedział. Palumbo ciągnął: - Rzecz w tym, że chyba natknąłem się na jednego z nich na moim podwórku.

Rozwalił paru ważnych biznesmenów, zostawiając po sobie jakieś pieprzone czary-mary. Chodzą słuchy, że maluje kule żabim jadem, bo myśli, że dzięki temu dusze ofiar nie będą go prześladować na tym świecie. Słyszałeś o takich bredniach?

Leahy kręcił głową, wspomnienia błyskały mu w oczach.

- Kojarzysz, prawda, Joe?

- Wchodzisz na grząski teren. To brudne sprawy. Jeśli wiesz, co jest dobre dla twojej ślicznej żony i tych brzdąców, które masz w domu, lepiej daj sobie spokój.

Palumbo był arogancki, jak każdy inny agent. Ostrzeżenie tylko podsyciło jego ciekawość.

- Ci faceci, których zabił, byli zamieszani w spisek z Walidem Gassanem.

Zamierzali strącić samolot pasażerski. Finezyjna robota. Mówimy o dronie, który wyciąga czterysta kilometrów na godzinę z dwudziestoma kilogramami semteksu. To pocisk samosterujący dalekiego zasięgu, ja tak to widzę.

Wykluczone, by jakiś arabski kutas potrafił zrobić coś takiego.

- Wygląda na to, że ten gość wykonuje dobrą robotę.

- Bez wątplenia.

- Jeśli więc nie Arabowie, to jak myślisz, kto za tym stoi? - zapytał Leahy.

- Nie twierdzę, że wiem, ale coś mi chodzi po głowie. Ostatecznie, ilu ludzi dysponuje takimi środkami?

- Sądzisz, że sponsorem jest państwo.

- Tak. - Palumbo postukał palcami w stół. - Ale ta informacja zostaje między nami.

Leahy machnął ręką przy piersi, kreśląc znak krzyża.

- W tych plikach było coś dziwnego - podjął Palumbo. - Musiałem z tobą o tym pogadać. Widzisz, nie ma nazwiska agenta kierującego operacją. Można by przypuszczać, że zostało usunięte przed digitalizacją. Powiedz mi, Joe, który z naszych kierował „Gołębiakiem”?

Leahy patrzył na niego przez chwilę. Potem wstał od stołu. Gdy przechodził, pochylił się i szepnął w powietrze jedno słowo: - Admirał.

Palumbo siedział, dopóki Leahy nie wyszedł z bufetu. „Admirałem” był James Lafever. Zastępca dyrektora do spraw operacyjnych.

## 55

Stał dwie godziny. - Von Daniken rzucił płaszcz na oparcie krzesła. - Tyle mamy czasu. Ransom jest naszym celem. Nie ma co do tego wątpliwości. Robił wcześniej takie rzeczy. Podkładał bomby. W Bejrucie, w Kosowie, w Darfurze. Zabija ludzi i jest w tym dobry.

Jednostka specjalna spotkała się w „kostnicy”, nijakim pokoju konferencyjnym w piwnicy komendy głównej policji federalnej. Pięć biurk stało w półkolu. Zniesiono tu komputery, telefony i kopiarki. Pokój wyglądał na opuszczony. W spotkaniu uczestniczyli tylko Seiler i Hardenberg. Widok pustych miejsc w przestronnym pomieszczeniu nie podnosił na duchu.

- Zwolnij, Marcusie - przerwał Max Seiler. - Co to znaczy siedemdziesiąt dwie godziny?

Von Daniken usiadł i powiedział im o swoich odkryciach.

- Zwiewa z kraju natychmiast po fakcie - mówił, gdy już opisał szczegółowo zbrodnie Ransoma. - Najwyraźniej nasz doktor ma zamiar w niedzielę wieczorem polecieć do Pakistanu. Może udawać, że nie wie o przeniesieniu, ale wie. Jego ludzie prawdopodobnie zabili tego biedaka, którego miejsce ma zająć. Musimy znaleźć Ransoma i to natychmiast. Mamy coś ofurgonetce? Ktoś musiał ją widzieć.

„Ktoś”, czyli kamera monitorująca na kontynencie europejskim, gdzieś pomiędzy Dublinem a Dubrownikiem.

- Ani śladu - odparł Hardenberg. - Myer jest w SIBW, sprawdza, czy można ich trochę podgonić.

- Dwa miliony kamer i wszystkie są ślepe. Jakie szanse? - Von Daniken z niesmakiem pokręcił głową.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Kurt Myer, podciągając spodnie na wydatnym brzuchu.

- Jesteś. - Von Daniken zatrzymał na nim spojrzenie. - Właśnie rozmawialiśmy o tobie. Co znalazłeś?

Myer powiódł wzrokiem po zatroskanych twarzach. Widział, że coś się zmieniło, ale nie był pewien, co. Podniósł plik fotografii.

- Lipsk dwa dni temu. Zrobione w pobliżu Bayerischerplatz przy stacji kolejowej. Mamy vana.

- Dzięki Bogu! - zawołał von Daniken, wstał i obejrzał fotografię.

Na wyraźnym zdjęciu widniała biała furgonetka volkswagen ze

szwajcarskimi tablicami, prowadzona przez mężczyznę w okularach z drucianymi oprawkami.

- Gassan siedzi za kółkiem. Kiedy poznałem numery, mogłem zacząć poszukiwanie zaawansowane. Zaliczyłem trafienie w Zurychu, siedem dni temu.

- Myer puścił w obieg kolejne zdjęcie.

- Gdzie dokładnie zamontowana jest kamera? - zapytał von Daniken.

- Na rogu Badenerstrasse i Hardplatz.

- W pobliżu znajduje się firma Lammersa, prawda?

- Niedaleko - odparł Myer. - Parę kilometrów dalej. Spójrz na tylne okno.

Furgonetka wiezie coś bardzo dużego. Przeanalizowaliśmy zdjęcia i doszliśmy do wniosku, że to stalowe skrzynie.

- Dron?

- Nie mam pojęcia. Ale cokolwiek to było, jest duże i ciężkie. Patrzcie, jak siadło zawieszenie. Porównajcie to zdjęcie z innymi. Przypuszczamy, że na tym drugim furgonetka przewozi ładunek ważący co najmniej sześćset kilogramów. - Myer wybrał z pliku następne zdjęcie. - Ostatnie, jakie mamy, pochodzi z Lugano, zrobione w sobotę.

Lugano leży zaledwie trzydzieści kilometrów od Arosy, gdzie mieszkał Blitz.

Von Daniken miał rację co do odprysków lakieru w garażu Blitz. Furgonetka stała w jego garażu.

- A zatem Gassan odbiera materiały wybuchowe w Lipsku, przekazuje je Blitzowi razem z vanem, potem zwiewa do Szwecji. Blitz jedzie do Zurychu i zabiera drona z fabryki Lammersa. - Przez chwilę przyglądał się zdjęciom. - Co dalej?

- To wszystko, co mamy na temat białej furgonetki. Von Daniken przeszył go wzrokiem.

- Co to znaczy białej furgonetki? Jest jakaś inna, o której mi nie powiedziałeś?

- Teraz jeździ czarną. Przemalował ją.

- Skąd wiesz?

- Nie wiemy, skąd pochodziła biała, ale wiemy, że tablice zostały skradzione z identycznej furgonetki w Schaffhausen. Większość ludzi nie zwraca sobie głowy zgłaszaniem takich rzeczy na policję. Uważają coś takiego za głupi kawał i zgłaszają stratę wydziałowi pojazdów mechanicznych. Gassan i jego kumple myślą, że są cwani. Ale my jesteśmy

cwański. Uznałem, że jeśli ukradli jeden komplet tablic, mogli ukraść drugi. Poszperałem i sprawdziłem zgłoszenia o zagubionych czy skradzionych tablicach rejestracyjnych. Właściciel czarnej furgonetki volkswagen z Lozanny zgłosił, że dwa tygodnie temu zginęły mu blachy. Sprawdziłem numery w SIBW. Patrzcie, co znalazłem.

Myer puścił w obieg ostatnią fotografię, dwadzieścia centymetrów na dwadzieścia pięć. Czarny van volkswagen przejeżdżał przez skrzyżowanie. W tle widniał billboard z reklamą czekolady Lindta i logo znanego sklepu meblowego.

- Zdjęcie zostało zrobione wczoraj o siedemnastej na przedmieściach Zurychu.

- Ale skąd możemy wiedzieć, czy to ten sam wóz?

- Porównaj przednie zderzaki. Na jednym i drugim widać wyraźne wgniecenie pod światłami. I w obu furgonetkach na lusterku wstecznym wisi odświeżacz powietrza w kształcie choinki. Jedno może być zbiegiem okoliczności. Ale jedno i drugie? Nigdy.

- Zadzwoń do policji miejskiej, każ wydać nakaz na vana. Niech sprawdzą wszystkie zdjęcia wszystkich pojazdów zrobione we wschodniej połowie kraju w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- Załatwione.

Von Daniken podniósł zdjęcie.

- Kto prowadzi? To nie może być Blitz. Wtedy już nie żył. - Pokazał zdjęcie Myerowi, który ściągnął brwi i włożył dwuogniskowe okulary. - Coś tu jest nie w porządku. Facet nie wygląda zwyczajnie.

- Przekażmy zdjęcie do laboratorium. Niech je powiększą i wyślą do Interpolu, żeby przepuścić przez program do rozpoznawania twarzy.

Myer wyszedł z pokoju.

Inspektor obrócił się na krześle i skupił uwagę na dwóch pozostałych mężczyznach.

- I tyle co do frontu wschodniego. Jakiś postępy na zachodzie?

Nadeszła kolej na Klause Hardenberga. Gruby oficer śledczy o ziemistej cerze zrezygnował z lukratywnej posady w międzynarodowej firmie rachunkowej w Zurychu na rzecz brutalnej przepychanki na policyjnych pastwiskach.

- Blitz korzystał z Banco Popolare della Ticino. Znamy nazwę banku z Eurocard. Średnie miesięczne saldo na koncie wynosiło dwanaście tysięcy franków. Opłaty zwyczajne. Koszty utrzymania domu. Spłata kart

kredytowych.

Gaz. Prąd. Facet co tydzień wypłacał pięćset franków, zawsze z tego samego bankomatu w Asconie. Razem wzięwszy, skromne życie jak na człowieka jeżdżącego luksusowym wozem i mieszkającego w willi wartej wiele milionów franków.

- Chyba że willa nie należała do niego - zaznaczył van Daniken.

- Jestem dokładnie tego samego zdania. - Hardenberg uśmiechnął się lekko. - Pierwszą rzeczą, jaka zwróciła moją uwagę, był przelew na jego konto dokonany tydzień temu i wynoszący równe sto tysięcy franków. Notka na instrukcji płatności brzmi: „Darowizna dla P.J”. Nazajutrz Blitz wypłacił całą sumę w oddziale banku w Lugano. Wszystko legalnie. Zadzwoił wcześniej, porozmawiał osobiście z dyrektorem i wyjaśnił, że to zaliczka za jacht, który buduje na Antylach.

- Czy ktoś znalazł pieniądze w jego domu?

- Zapytałem porucznika Contiego. Nic nie znaleziono.

- Kto przesłał sto tysięcy Blitzowi?

- Ha - mruknął Hardenberg. - Tu zaczyna robić się ciekawie. Pieniądze pochodzą z konta numerowego w Royal Trust and Credit Bank na Bahamach.

Oddział Freetown.

- Nigdy nie słyszałem o tym funduszu. - Von Daniken z racji pracy w Komisji Holokaustu miał kontakty z większością znaczących instytucji finansowych na świecie.

- Mały bank, mniej niż miliard w aktywach. Nie ma nawet siedziby. Istnieje na papierze. Jeśli pozwolicie, chciałbym na chwilę zostawić Blitz'a i przejść do Lammersa.

Odpowiedziały mu skinieniem głową. Hardenberg pokrzepił się połową puszki red bulla i zapalił gauloise'a.

- Theo Lammers. Prowadził legalny interes. Wszystkie konta są w Narodowym Banku Szwajcarskim, a to godna zaufania firma. Sprawdziłem cyfry.

Dziewięć miesięcy temu na jego konto wpłynęły dwa miliony franków z Royal Trust and Credit Bank z Bahamów.

- Dwa miliony z tego samego banku? - Von Daniken przesunął się na brzeg fotela. - Jeśli ci sami ludzie wysłali sto tysięcy Blitzowi, będziemy dokładnie wiedzieli, kto finansuje przekręt. Co wiadomo o tych pieniądzach?

- Pozwoliłem sobie zadzwonić do Michaeli Menz z Robotica. Pieniądze

trafiły na konta należności. To znaczy, że dwa miliony franków były zapłatą. Problem w tym, że nie zna numeru faktury. Nie wie, za co zapłacono.

Myer popatrzył na von Danikena.

- Za drona.

Inspektor pokiwał głową. Teraz coś mieli.

- Czy pieniądze pochodziły z tego samego konta w Royal Trust and Credit?

- Gdyby tak było, nasze życie stałoby się zbyt łatwe - odparł Hardenberg.

- Pochodziły z niepowiązanych kont. Przynajmniej niepowiązanych na powierzchni. Szanse, że Blitz i Lammers przypadkowo robili interesy z tym samym bankiem na Bahamach, wynoszą jeden do miliona. Podzieliłem się tym odczuciem z panem Davisem Brunswickiem, dyrektorem. Nie palił się do współpracy. Z początku starałem się być czarujący. Potem powiedziałem, że jeśli nie udzieli mi informacji, do kogo należą konta, jego bank znajdzie się na czarnej liście krążącej po ponad trzech tysiącach instytucji finansowych w Szwajcarii, znanej wszystkim organom przestrzegania porządku publicznego w całym zachodnim świecie.

- Zadziałało?

Hardenberg wzruszył ramionami.

- Jasne, że nie. W dzisiejszych czasach wszyscy są twardzi. Musiałem uciec się do planu B. Na szczęście przed rozmową zebrałem trochę informacji na temat pana Brunswicka. Odkryłem, że ma w naszym kraju kilka kont osobistych, a na nich jakieś dwadzieścia sześć milionów franków. Dałem mu słowo, że jeśli nie wykrztusi, kto stoi za tymi kontami - i kto może być z nimi powiązany - osobiście dopilnuję, żeby pieniądze co do franka zostały zamrożone do końca jego życia.

- I?

- Pan Brunswick zaczął śpiewać jak dziecko. Oba konta numerowe zostały utworzone przez firmę powierniczą, która jest filią banku Tingeli. Ta sama firma dokonała zakupu Villi Principessa w imieniu spółki holdingowej z Antyli Holenderskich.

- Jak odkryłeś, że Brunswick ma konta w naszym kraju? - zapytał von Daniken.

Hardenberg skrzywił się i pokręcił bardzo dużą, bardzo okrągłą i bardzo łysą głową.

- Wierz mi, nie chcesz wiedzieć. Mężczyźni parsknęli śmiechem. Seiler chrząknął.



- O ile pamiętam, Marcusie, znasz osobiście Tobiego Tingelego. Teraz von Daniken zrobił grymas.

- Pracowaliśmy razem w Komisji Holokaustu.

- Myślisz, że wyświadczy ci przysługę?

- Tobi? Nie wie, co znaczy to słowo.

- Ale zapytasz?

Von Daniken pomyślał o Tobiaszu „Tobim” Tingelim IV i o jego ciemnych sprawkach. Tingeli był bogaty, próżny, napuszony i jeszcze gorzej. W pewnym sensie Marcus von Daniken czekał na ten dzień od dziesięciu lat.

Myśl o zemście nie sprawiała mu przyjemności.

- Tak, Max - odparł cicho. - Zapytam.

## 56

Reflektory były zabójcze. Po drugiej stronie autostrady doszło do wypadku.

Sznur samochodów ciągnął się po horyzont. Mrużąc oczy, Jonathan zezował na pobocze, żeby nie oślepił go blask. Gdzieś w głębi czaszki dudnił bezlitośnie bęben. Wynosć się, huczał. To cię przerasta. Jesteś amatorem, który ma przeciwko sobie profesjonalistów.

Ren płynął sto kilometrów na północ. Za rzeką leżały Niemcy. Wiele dróg prowadzi przez granicę. Do Francji miał równie blisko. Mógł jechać przez Genewę, potem przekroczyć granicę w Annecy. Za trzy godziny mógłby siedzieć przy fondue w Chamonix. Dobrze znał miasto. Przywołał z pamięci listę pensjonatów i hoteli, gdzie mógłby się zaszyć na parę dni. Ale myśl o szukaniu schronienia wcale go nie pociągała. Schronienie jest tymczasowe. Musiał znaleźć wyjście z tej sytuacji.

Zjechał z autostrady w Egerkingen, gdzie droga się rozdziela. Na północ do Bazylei. Na wschód do Zurychu. Była tam restauracja sieci Movenpick, motel i galeria sklepów dla turystów. Zaparkował i wszedł do restauracji. Szybko złożył zamówienie. Schnipo und ein cola, bitte. Sznycel wiedeński, pommes frites i cola.

Ulubiony zestaw każdego szwajcarskiego ucznia.

Gdy czekał, opadły go wspomnienia z mieszkania w Bernie. Lokum Evy Kruger. Pomyślał o pieczołowitości, z jaką umeblowano je w taki sposób, by pasowało do jej osobowości; o czasie i wysiłku potrzebnym do stworzenia takiej wypracowanej sztuczki. Pomijając skalę oszustwa, to dyscyplina napawała go podziwem i trwogą. Przez myśl mu nie przeszło, że Emma może być agentką.

Szpiegiem na usługach aparatu wywiadowczego jakiegoś państwa. Jak głupi wyobrażał sobie, że miała romans. Zastanawiał się, jakie trzeba przejść szkolenie, żeby przez osiem lat oszukiwać współmałżonka, nie budząc żadnych podejrzeń.

Sięgnął do kieszeni, namacał obrączkę. Po chwili wyjął ją i obejrzał. Coś nie dawało mu spokoju. Pewnie to, że nie pasowała. Psuła przykrywkę, a tym samym musiała coś znaczyć. Wiadomość. Przypomnienie. Eva Kruger nie była zamężna, więc skąd obrączka?

Podano jedzenie. Dziesięć minut temu konał z głodu. Nagle stracił apetyt.

Napił się, odsunął talerz.

Obrączka.

Przyjrzał się wygrawerowanej dacie. 2-8-01. Ósmy lutego 2001 roku. Gdzie wtedy przebywał? W Sudanie. W czasie pory suchej, gdy muchy są nie do zniesienia. Ale data nie miała szczególnego znaczenia dla niego i, o ile wiedział, dla Emmy.

Nagle zrozumiał.

Obrączka nie należała do Emmy. To była obrączka Ewy Kruger. Niewłaściwie czytał datę. Amerykanie piszą datę w układzie miesiąc-dzień-rok. Ale Eva Kruger była Szwajcarką. Kazała wygrawerować rocznicę w formacie europejskim. Dzień-miesiąc-rok.

2-8-01.

Gdy patrzył na cyfry, czuł w brzuchu nieprzyjemne zimno.

Drugiego sierpnia 2001 roku on i Emma Everett Rose pobrali się w czasie skromnej prywatnej ceremonii w Cortinie we Włoszech. Bez krewnych.

Nalegała. Ani z jego rodziny, ani z jej. I nikogo z pracy. „To nasz dzień, Jonathanie - powiedziała. - Dzień, w który oddaję się tobie”.

W zewnętrznej kieszeni miał palmtop, który znalazł u Blitza. W porcie wciąż tkwił pendrive Emmy. Z rozmyślnym spokojem włączył komputer. Pojawiła się ikona podpisana „Thor”. Kliknął na nią i na ekranie ukazało się żądanie hasła.

Wprowadził liczby z obrączki. 2-8-01.

Ekran zamrugał i wyświetlił „przyjęte”.

Zrobił się niebieski. Pośrodku u góry otworzyło się okienko „Intelink”. Słowo błyskało jak neon oznajmiający wolne miejsca w motelu. Kliknął. Przez chwilę nic się nie działo. Ścisnęło go w dołku. Kolejna ślepa uliczka. Potem ekran błysnął jaskrawoniebiesko. Pojawiły się linie tekstu. Tekst był zapisany stenograficznie, każdy wpis opatrzony datą, godziną i kryptonimem nadawcy.

Ostatni brzmiał następująco: „9-2; 15:16 CET. 1 Kormoran”.

Dzisiejsza data. Wiadomość wysłana o piętnastej szesnastce przez kogoś, kto zwał się „Kormoran”.

„Gawron spenetrował Thor. Próba likwidacji nieudana. Gawron ranny i ucieka. Proszę o spotkanie, podam szczegóły”.

Poprzednia wiadomość została wysłana trzy godziny wcześniej, o 12:10 CET, przez Jastrzębia.

„Temat: możliwość zakupu nowego pancernego mercedesa.

Rozmawiałem z Daimler-Benz. Do końca marca nie będzie nowych pojazdów. Jeden używany.

Kolor: czarny. Tapicerka: szara. 100 tys. km. Cena: 275 000 E. Czekam na potwierdzenie".

Zapis czatu, pomyślał Jonathan, gdy jego oczy przesuwają się po ekranie.

Czat, gdzie logują się tajni agenci, żeby wymieniać informacje dotyczące swoich misji. Szpiegostwo w czasie rzeczywistym.

Przejrzał ekran w poszukiwaniu adresu www. Nie znalazł. Wszedł do katalogu, potem sprawdził program przeglądarki. Adres domeny <http://international.resources.net>. Nazwa nic mu nie mówiła.

Wrócił do głównej strony Intelink. Kolejne wpisy: „7-2; 13.11 CET. Sokół. Wiadomość wysłana dzień przed tą od Jastrzębia".

„Potwierdzam Drozd nie żyje. Zakończyć łączność. Czekać na instrukcje z kwatery głównej".

„7-2; 10.55 CET. Kormoran. Gawron nawiązał kontakt. Mówił o Thorze. Ma palmtop Drozda. Twierdzi Drozd nie żyje. Potwierdź".

„7-2; 9.55 CET. Sokół. Przelew zaaprobowany".

„7-2; 8.45 CET. Drozd. Prośba przelew 100 000 frs na konto w BPT.

Zastąpienie zaginionych funduszy".

Jonathan ponownie przeczytał tekst. „Kormoran" to Hoffmann. „Jastrząb" nieznany. „Sokół" chyba dowodził. Człowiek, który aprobował przelewy i potwierdził śmierć Drozda. „Drozd" to Gottfried Blitz. A Emma? Gdzie była?

1 CET - Central European Time (ang.) - czas środkowoeuropejski.

Czytał dalej.

Przewiął liczne posty, szukając konkretnej daty i godziny. Znalazł. Wtorek.

Dzień po wypadku Emmy.

„5-2; 7.45 CET. Sokół. Słowik zginął wypadek w górach. Gawron żyje".

Jest. Emma to „Słowik". On był „Gawronem".

Czytając linię po linii, odtworzył wypadki ostatnich dni widziane oczami drugiej strony. Blitz oznajmia, że samochód jest na miejscu w Landquart i że kwity bagażowe zostały wysłane do hotelu Emmy. Ona odpowiada, że lawina na torach spowodowała opóźnienie i że odbierze bagaż nazajutrz. Posty zostały wysłane o szóstej trzydzięci wieczorem przed ich wyprawą w góry.

Jonathan podniósł głowę. Zatłoczone wnętrze restauracji wirowało mu przed oczami. Światła były zbyt jasne. Głosy za głośne.

Wtedy na ekranie pojawiła się nowa linia. Litery mrugały, żeby przyciągnąć uwagę czytającego.

Ktoś był online.

„7-2; 21.56 CET. Sokół. PJ wylądował 20.16 ZRH. Jedzie do hotelu.

Spotkanie potwierdzone 9-2; 12.00 Belvedere. Zabierz zawiadomienie o wysyłce. Wymień na złoto”.

Jutro, dziewiątego lutego, o drugiej po południu. Znał hotel Belvedere w Davos. Pięciogwiazdkowy pałac dla bogatych i sławnych. Ale kim jest PJ? I czym jest „złoto”, które miał wymienić za zawiadomienie o wysyłce?

Niemal w tej samej chwili napłynęła odpowiedź od Kormorana. „Potwierdzam. Hoffmann kierował się do Davos”.

Litery mrugały przez pięć sekund, potem przyjęły normalną postać.

Jonathan dopiero teraz zauważył zakładkę na dole strony, opisaną jako „odsyłacz”. Kliknął na słowo i zobaczył listę hiperlinków. Kolejny szyfr. Data, potem nazwa, którą poznał dobrze. ZIAG. Zug Industriewerk.

Otworzył pierwszy link.

Rachunek dostawy sprzętu z ZIAG do Xanthus Medical Instruments w Atenach. Dwieście sztuk nowoczesnych ręcznych systemów nawigacyjnych.

Specyfikacje techniczne zgodne z zamówieniem. Cena: dwadzieścia tysięcy franków szwajcarskich za sztukę. Do wysłania w piątek, dziewiątego lutego, z Zurychu do Aten na pokładzie samolotu Swissair o siódmej wieczorem.

Czego dotyczyło zawiadomienie o wysyłce wspomniane we wcześniejszym poście Sokoła dla Kormorana?

Kliknął na inne hiperlinki. Mniej więcej to samo. Szczegółowe faktury. Nie systemy GPS, ale pompy insulinowe, lampy próżniowe, wyłaczarki. Wysłane dziesiątego grudnia z Zurychu do Kairu przez Niceę. Wysłane dwudziestego listopada z Zurychu do Dubaju. Wysłane dwudziestego pierwszego października z Genewy do Ammanu przez Rzym. Ostatecznym punktem przeznaczenia zawsze był Bliski Wschód.

Czytając listę towarów, uświadomił sobie, że miał rację, gdy powiedział Hoffmannowi o swoich podejrzeniach: „Robicie to, czego nie powinniście, i sprzedajecie ludziom, którym nie powinniście”.

Ale kim był PJ ? I po co przyjeżdżał na Światowe Forum Ekonomiczne do Davos?

Jonathan dokończył posiłek i zapłacił gotówką. Po wyjściu z restauracji wstąpił do kiosku i przejrzał prasę. Prawie każda miała nagłówek

nawiązujący do Światowego Forum Ekonomicznego. Kupił dwie szwajcarskie gazety, a także „Herald Tribune” i „Financial Times”. Trzymając je pod ręką, ruszył przez parking do mercedesa.

Skręcił w swoją uliczkę i znalazł się w snopie światła jadącego wolno wozu.

Dopiero po chwili zobaczył światła na dachu. Szedł spokojnym krokiem, prosto w kierunku radiowozu, który zbliżał się w żółwym tempie. Dwuosobowy patrol.

Latarka oświetliła jedną tablicę rejestracyjną, potem drugą. Jonathan wsiadł do mercedesa. Chwilę później wewnątrz zalało światło. Czekał ze wstrzymanym oddechem. W blasku widział rzuconą na fotel gazetę. Zdjęcie na pierwszej stronie „Neue Zürcher Zeitung” przedstawiało człowieka z Bliskiego Wschodu wygłaszającego płomienną orację. Podpis informował, że to Parvez Jinn, irański minister technologii, który w piątek wieczorem wystąpi na Światowym Forum Ekonomicznym. W przemówieniu przedstawi szczegóły dotyczące atomowych aspiracji swojego kraju.

Parvez Jinn. Jonathan zwrócił uwagę na inicjały. Znalazł PJ.

A potem we wnętrzu wozu zrobiło się ciemno. Reflektor przeniósł się na następny pojazd. Zastanowił się, czy była to rutynowa kontrola, czy szukali jego.

Zapuścił silnik i wyjechał z parkingu. Wracał w góry. Jechał do Davos.

Tobias Tingeli mieszkał w imponującej wiktoriańskiej rezydencji wysoko na zboczach Zurichberg w pobliżu hotelu Dolden Grand. Trzypiętrowa kamienna budowla należała do jego ojca, a wcześniej do ojca ojca, i tak aż do roku 1870, kiedy pierwszy Tobias Tingeli zbił fortunę na finansowym wspieraniu kajzera Wilhelma I w wojnie z Napoleonem III.

Relacje pomiędzy Niemcami a prywatnym bankiem przez lata były bliskie.

Podczas II wojny światowej z Banku Tingeli korzystali nie tylko narodowi socjaliści, dokonujący w jego biurach sprzedaży ogromnych ilości złota, ale też amerykańskie, brytyjskie i rosyjskie służby szpiegowskie, które uznały usługi przedsiębiorstwa za równie dogodne. Później bank skoncentrował się na klienteli prywatnej, ale pogłoski o kontrowersyjnej działalności nigdy zupełnie nie ucichły.

- Wejdz, Marcusie - zagrzmiał Tobias Tingeli. - Zdziwiłem się, gdy dostałem wiadomość.

Von Daniken uśmiechnął się. Bardzo zdziwiony, bez wątpienia, pomyślał.

- Cześć, Tobi. Jak leci? Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Ależ skąd. Wejdz, nie marznij. Daj mi płaszcz.

Tobias Tingeli IV, dla przyjaciół Tobi, należał do nowego pokolenia finansistów. Był młody, dziesięć lat młodszy od von Danikena. Ubrany w spłowiałe džinsy, czarny golf, z modnie rozwichrzonymi gęstymi czarnymi włosami, wyglądał bardziej na artystę niż na bankiera.

Von Daniken zdjął płaszcz. Kiedy odwiedził ten dom dziesięć lat temu, legion pokojówek i lokajów odbierał okrycia i podawał koktajle. Zastanowił się, czy Tingeli zrezygnował z luksusu, czy odprawił służbę przed jego wizytą. Łączyło ich coś, co mogło zostać nazwane historią. Bardzo sekretną historią. Przesadnie wylewne zachowanie Tobiego Tingelego świadczyło, że nie podoba mu się obecność von Danikena pod jego dachem.

- Za mną, Marcusie. Pamiętasz drogę, prawda? - Poprowadził go do salonu, gdzie wysokie od podłogi do sufitu okno zdawało się pożerać Jezioro Zuryskie. - Drinka? - zapytał, wyciągając korek z kryształowej karafki.

Von Daniken odmówił.

- Jak wspomniałem, to pilna sprawa - zaczął. -1 proszę, żeby wszystko, o

czym będziemy rozmawiać, zostało między nami. Wiem, że mogę liczyć na twoją dyskrecję.

Tingeli z powagą pokiwał głową. Usiedli naprzeciwko siebie w skórzanych fotelach. Von Daniken ogólnikowo wyjaśnił, czego dotyczy śledztwo w sprawie Lammersa i Blitzza - morderstwa, materiały wybuchowe znalezione w garażu Blitzza, powiązania z terrorystą Walidem Gassanem. Pilnował się, żeby nie wspomnieć o zagrożonym samolocie.

- Wytropiliśmy ich finanse do spółki założonej przez twoją filię w Liechtensteinie. Nazywa się Excelsior Trust.

- Czy masz pojęcie, ile złamię praw, jeśli wyjawię informacje dotyczące klientów?

- Jeśli chcesz, mogę skłonić Alphonsa Martiego do wydania nakazu. Tingeli machnął ręką, bagatelizując tę sugestię.

- Zapomnij o przepisach. Założę się, że fundusz ma prawników. Oni wszystko wiedzą. Idź do nich.

- Podaj mi nazwiska, a pójdę. Jak pamiętam, spółka musi mieć pewną liczbę dyrektorów. Ich nazwiska będą w papierach.

Tingeli błysnął oślepiającym uśmiechem.

- Chciałbym ci pomóc, ale jeśli rozejdzie się wieść, że pracujemy z rządem, wypadniemy z interesu.

Von Daniken rozejrzał się po salonie. Meble były minimalistyczne i nieliczne.

Po prawej stronie wisiał wielki olej, jakiś abstrakcyjny psychologiczny koszmar wart bez wątpienia dziesięć czy dwadzieścia milionów franków. Tani w porównaniu z wiszącym naprzeciwko obrazem Paula Klee. W zeszłym roku Klee osiągnął rekordową cenę na aukcji. Jakieś sto trzydzieści milionów dolarów.

Tingeli mógłby stracić paru klientów i wciąż zaliczać się do najbogatszych ludzi w Europie.

- Obawiam się, że nie proszę o pomoc. Żądam. Jutro z samego rana chcę zobaczyć dokumenty związane z holdingiem w Curaçao. Nazwiska prawników, dyrektorów, wszystko.

- Rząd nie ma prawa mi rozkazywać.

- Kto mówi o rządzie?

- Daj spokój, Marcusie, nikogo już nie obchodzą tamte dawne sprawy. Wojna skończyła się ponad sześćdziesiąt lat temu. Ludzie ledwo pamiętają Hitlera, nie mówiąc o nazistach. Poza tym spłaciliśmy długi. Za miliard



dolarów można kupić sporo wyrozumiałości.

Pracując w Komisji Holokaustu, von Daniken miał za zadanie przyjrzeć się rozmiarowi współpracy banków szwajcarskich z głównym biurem ekonomicznym i administracyjnym SS, agencji odpowiedzialnej za kierowanie finansami Trzeciej Rzeszy. Jeśli banki szwajcarskie opieszale załatwiały sprawy ocalałych po wojnie, ogromna większość mogła z czystym sumieniem powiedzieć, że tylko przestrzegała dawno ustanowionych reguł gwarantujących prywatność i bezpieczeństwo depozytów swoich klientów. Te same zasady, które odmawiały spadkobiercom dostępu do kont zmarłych klientów, obowiązywały również w wypadku oficerów niemieckich masowo wysłanych do Zurychu, Bazylei i Genewy z rozkazami wyrwania z chciwych bankierskich palców pieniędzy należących do uwięzionych, skazanych na rychłą zagładę Żydów.

Jeden bank był znacznie mniej rygorystyczny w ich egzekwowaniu. Bank Tingeli nie tylko współpracował z Niemcami i przelewał miliony franków prawowitych żydowskich właścicieli do Trzeciej Rzeszy, ale nawet utworzył wewnętrzne biuro dla oficerów SS, służące do systematycznego łupienia tych kont. Von Daniken odkrył to wszystko w czasie swoich badań, łącznie ze zdjęciem dziadka Tobiego Tingelego, Tobiasa II, w towarzystwie Hermanna Göringa, Josepha Goebbelsa i Reichsführera Adolfa Hitlera. Na zdjęciu Tingeli nosił czarny mundur oficera SS w stopniu Standartenführera, czyli pułkownika.

Wiadomości o odkryciu zostały starannie wyciszone. W zamian za milczenie komisji, Bank Tingeli przekazał sto milionów dolarów na fundusz tych, którzy przeżyli wojnę. Sprawa zamknięta.

- Masz rację - powiedział von Daniken. - Wojna to stare dzieje. Mówię o czymś niedawnym. - Wyjął kopertę z kieszeni i podał ją bankierowi. Tobi Tingeli otworzył. Wewnątrz znajdowały się zdjęcia. Nie nazistów z minionej epoki, ale równie szokujące.

- Skąd je masz? - Twarz Tingelego straciła kolory.

- Jestem upoważniony do tropienia ekstremistów. Moim zdaniem, to, co widać na zdjęciach, podpada pod tę kategorię. Nie jest to ekstremizm polityczny, niemniej dosyć skrajne zachowanie. Widzisz, Tobi, nie lubię cię. Twojego ojca też nie lubię. O wiele za długo pozwalano wam kupować czyste sumienie.

Miałem cię na oku. Zawsze wiedziałem, że jesteś dziwny. Nie wiedziałem tylko, jak bardzo.

Zdjęcia były tylko dwa, ale wystarczyły. Na pierwszym Tobi Tingeli stał przy barze w zaciemnionym pokoju, ubrany w dziadkową bluzę mundurową SS, w zawadiacko przekrzywionej czapce z trupiągłówką. Nie miał na sobie nic więcej.

Bez spodni. Bez skarpetek. Bez butów. Trzymając penisa w ręce, smagał pejczem włochaty biały tyłek pochylonego mężczyzny.

Drugie zdjęcie było, jeśli to możliwe, jeszcze dziwniejsze. Tingeli klęczał, ubrany od stóp do głów w czarny lateksowy kombinezon ze szczelinami na oczy, nos i usta. Ręce miał skute za plecami, twarz wtulał w krocze kobiety. Prawda, twarz była niewidoczna - w przeciwieństwie do wielkiego złotego sygnetu z rodzinnym herbem, który nosił na prawej ręce. Gliniarze z tajnej grupy naśmiewali się z tego miesiącami.

- Coś takiego nie wzbudziłoby entuzjazmu akcjonariuszy, prawda? - ciągnął von Daniken - Przypuszczam, że brukowce wiele by dały za takie zdjęcia.

Gdybym chciał, mógłbym bardzo ładnie umościć sobie emerytalne gniazdko. Jak myślisz, ile bym dostał? Sto tysięcy? Dwieście?

Tingeli rzucił zdjęcia na stolik.

- Drań.

- Na to liczyłem. Tingeli wstał.

- Rano będziesz miał nazwiska. W zamian za te zdjęcia.

- Umowa stoi. - Von Daniken ruszył do drzwi. - Ale pamiętaj, zawsze mogę mieć więcej.

## 58

Alphons Marti wsunął głowę do pustego biura Marcusa von Danikena. Górne światła były zgaszone. Paliła się lampka na biurku, rzucając krąg światła na papiery. Dochodziła dwudziesta. Marti zajrzał, żeby zapytać, jak postępuje śledztwo. Szedł korytarzem, aż znalazł biuro, w którym wciąż ktoś pracował.

- Przepraszam - powiedział, pukając do drzwi - szukam pana von Danikena.

Krępy, łysy mężczyzna poderwał się zza biurka.

- Hardenberg, panie ministrze. Niestety, naczelny inspektor von Daniken jest w tej chwili nieobecny.

- Widzę. Miał przekazać mi informacje na temat dzisiejszych postępów.

- To do niego niepodobne, by zapomniał o spotkaniu. Było umówione? Marti nie odpowiedział. Zjawił się niespodziewanie. Nie chciał, żeby von Daniken miał czas na spreparowanie informacji.

- Gdzie on jest?

- W Zurychu. Sprawdza trop dotyczący finansowania operacji.

- Naprawdę? Czy banki o tej porze nie są zamknięte?

- Nie pojechał do banku. Składa wizytę Tobiasowi Tingelemu. Znają się z Komisji Holocaustu. Może go pan złapać przez komórkę.

Marti zastanowił się.

- To nie będzie konieczne - odparł po chwili. - Jestem pewien, że pan mnie wprowadzi. Wspomniał pan o tropie związanym z finansowaniem operacji. Czy orientujecie się, jakie ugrupowanie stoi za spiskiem? Straż Rewolucyjna?

Al-Kaida? Islamski Dżihad? A może jakaś organizacja, o której nie słyszeliśmy?

- Jeszcze nie jesteśmy pewni. Wiemy tylko, że dom Blitzla został zakupiony przez zagraniczną firmę z siedzibą w Curaçao. Gdy się dowiemy, kto płacił jego rachunki, będziemy znacznie bliżsi odkrycia, kto planuje atak.

- Co stoi na przeszkodzie?

- Prawo, panie ministrze. Ochrona danych osobowych przez banki utrudnia nam uzyskanie potrzebnych informacji. A jednak pan von Daniken jest pewien, że zdoła je uzyskać. Ma bliskie powiązania z wieloma bankierami.

- Tak, tak, oczywiście - mruknął Marti, siląc się na okazanie zadowolenia.
- Dobra robota, tak trzymać.

Hardenberg odprowadził go do drzwi.

- Powiem panu von Danikenowi o pańskiej wizycie. Jestem pewien, że nie przegapił spotkania umyślnie.

Marti szybko zbiegł po schodach. Człowiek z misją.

W swoim gabinecie w Bundeshaus Marti przekopywał akta, dopóki nie znalazł urzędowej prośby do Swisscomu, krajowego zarządu telekomunikacji, o wykaz wszystkich rozmów telefonicznych Blitzla, Lammersa i Ransoma. Z kartką w ręku zadzwonił do osoby ze Swisscomu odpowiedzialnej za kontakty sądowe.

Przedstawił się i powiedział: - Potrzebuję kompletnego rejestru wszystkich rozmów wychodzących i przychodzących do tych numerów. - Podał numer biurowy, domowy i komórkowy Marcusa von Danikena.

- Oczywiście. Jaki okres pana interesuje?
- Zeszły poniedziałek od ósmej rano do czwartej po południu.
- Tylko?
- To wszystko. Jak szybko dostanę informacje?
- Jutro w południe.
- Muszę je mieć o ósmej.
- Będzie pan miał.

Marti się rozłączył. Za niespełna dwanaście godzin będzie miał dowód.

## 59

Jonathan jechał, dopóki starczyło mu sił. Kompletnie wyczerpany, zjechał z autostrady w Rapperswil, na południowym brzegu Jeziora Zuryskiego, i przejechał przez miasto na leżące za nim wzgórza. Gdy przez dziesięć minut nie widział domu ani świateł innego samochodu, zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Do Davos miał jeszcze sto kilometrów.

Używając latarki przypiętej do wewnętrznej ścianki schowka, ślęczał nad kupionymi gazetami. Niewiele wiedział o Światowym Forum Ekonomicznym poza tym, co nadawano w wiadomościach telewizyjnych.

Odbywające się co roku Światowe Forum Ekonomiczne skupia około tysiąca przywódców politycznych i prezesów największych światowych korporacji, którzy dzielą się informacjami na tematy uważane za najważniejsze dla przyszłości świata. W tym roku głównym zagadnieniem było rozprzestrzenianie broni jądrowej. Artykuł informował, że „weźmie udział osiemnastu szefów państw, dwustu ministrów i czterdziestu siedmiu dyrektorów generalnych z listy Fortune 100". W tym roku Forum miało gościć między innymi dwóch byłych prezydentów USA, brytyjskiego premiera, sułtana Brunei, króla Jordanii, prezesów Shell Oil, Intel i Deutsche Bank.

Artykuł w „Financial Times” poruszał kwestię bezpieczeństwa spotkania.

Okolo trzech tysięcy żołnierzy miało wesprzeć dwustu miejscowych policjantów w zapewnieniu ochrony Światowemu Forum Ekonomicznemu. Nikt nie miał prawa wstępu bez uprzedniego skontrolowania. W gazecie zamieszczone były zdjęcia wielkich ogrodzeń na zasłanych śniegiem polach, imponujących reflektorów, uzbrojonych strażników z owczarkami niemieckimi. Na tych zdjęciach Davos bardziej przypominało obóz koncentracyjny niż modny ośrodek narciarski.

W „Tages Anzeiger” Jonathan znalazł reklamę szwajcarskiej firmy produkującej czytniki kart identyfikacyjnych, wydawanych przez władze tym osobom, które miały prawo wstępu na Forum. Dyrektor firmy chwalił się, że nikt nie zdoła obejść jego czytników. Zaznaczył, że są trzy poziomy zabezpieczeń.

Zielona strefa była dostępna dla mieszkańców i odwiedzających, którzy musieli wylegitymować się w jednym z trzech punktów kontrolnych, żeby otrzymać oficjalne identyfikatory, przez cały czas obowiązkowo noszone na

szy. Strefa żółta obejmowała część miasta w pobliżu Kongresshaus, gdzie miało odbyć się Forum, oraz tereny w sąsiedztwie hoteli goszczących VIP-ów. Uzyskanie wstępu do strefy żółtej wymagało oficjalnego zaproszenia na Forum i uprzedniego sprawdzenia przez szwajcarską policję federalną.

Strefa czerwona obejmowała Kongresshaus, gdzie wygłaszano wszystkie przemówienia i gdzie odbywały się dyskusje panelowe, a także hotel Belvedere, w którym zatrzymało się wielu VIP-ów. Wszystkie identyfikatory zezwalające gościom na wstęp do tych trzech stref były zaopatrzone nie tylko w zdjęcia, ale również w kości pamięci z informacjami personalnymi. Osoby mające zgodę na wstęp do strefy czerwonej otrzymały własne czytniki kart. Czytniki skanowały obszar o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych, wychwytyjąc sygnały innych uczestników, wyświetlając ich zdjęcie i dane biometryczne. Prawdopodobnie każdy rozpoznałby Billa Gatesa czy Tony'ego Blaira, ale minister przemysłu naftowego Arabii Saudyjskiej to zupełnie inna historia.

Jonathan wyrzucił na fotel zawartość schowka. Doszedł do wniosku, że jeśli Emma miała dostarczyć wóz dla PJ do Davos, musiała mieć identyfikator zezwalający na wstęp do strefy czerwonej. Przejrzał przewodnik dla kierowcy, książkę obsługi pojazdu, papiery celne, potem pochylił się i obszukał ręką wnętrze schowka. Nic.

Zaczął się zastanawiać. Jeśli plakietka nie znajdowała się w bagażu wysłanym przez Blitza do Landquart, musiała znajdować się w samochodzie. Ale gdzie?

Instrukcja użytkownika wyjaśniała, że opancerzenie nie było jedyną wyjątkową cechą pojazdu. Samochód miał również opony odporne na przebicia, hamulce przeciwpoślizgowe i automatyczny hamulec postojowy.

Znalazł to, czego szukał, w punkcie „na życzenie klienta”: sejf ukryty pod tylną kanapą. Wysiadł z wozu i otworzył tylne drzwi. Pochylił się, szarpnął uszko pośrodku siedziska. Siedzenie podniosło się, odsłaniając skrzynkę z czarnej matowej stali. Pstryknął zatrzaskiem. Wewnątrz leżała koperta z wydrukowanym nazwiskiem „Eva Kruger”. Rozdarł ją. Na dłoń wypadł plastikowy identyfikator ze sznureczkiem. Wydany przez Światowe Forum Ekonomiczne, miał to samo zdjęcie, które widniało na jej prawie jazdy. Znalazł coś więcej: francuski paszport ze zdjęciem Parveza Jinna i telefon komórkowy.

Paszport w komplecie ze stoma tysiącami franków szwajcarskich i opancerzonym mercedesem. Wszystko, domyślał się Jonathan, w zamian za

„złoto” dostarczone przez Parveza Jinn, ministra technologii fundamentalistycznej Islamskiej Republiki Iranu.

Podniósł telefon. Jeden z najtańszych modeli. Odwrócił go i zobaczył, że kosztował pięćdziesiąt franków szwajcarskich. Dlaczego ktoś miałby zostawiać Emmie telefon? Chyba że miała do kogoś zadzwonić spod konkretnego numeru.

Parvez Jinn? Otworzył spis telefonów, ale nie znalazł żadnego wpisu. A może to Jinn zamierzał zadzwonić do niej? To wydawało się bardziej sensowne. Minister technologii miał znaleźć odpowiednią chwilę, gdy uwolni się od ochroniarzy.

Jonathan zaczął rozumieć, co się działo. Na razie widział tylko sam szkielet.

Dostawy w zamian za informacje. Nazywali je „złotem”. Przychodził mu na myśl tylko jeden rodzaj produktów, jakich potrzebował Iran. Zakazanych im przez świat zachodni.

Z walącym sercem wyprostował się w fotelu. Zalogował się na stronie Intelink i zaczął przeglądać listę dostaw. Wirówki, systemy nawigacyjne, lampy próżniowe. Przejrzał wcześniejsze miesiące: grudzień, listopad, październik.

Wyłaczarki. Stal maraging. Systemy chłodzące. I wcześniej. Wrzesień, sierpień.

Magnesy pierścieniowe. Wymienniki ciepła. Nie miał wątpliwości, że produkty są fałszywie opisane. Nie miało znaczenia, czy zna ich dokładne funkcje. Znał ich cel i to wystarczyło.

Nagle ogarnęła go potrzeba wyjścia z samochodu. Wysiadł, ruszył wzdłuż drogi. Wydłużył krok i zaczął biec pod górę, męcząc się, upajając paleniem w nogach, waleniem serca, przyspieszonym oddechem.

Jego myśli zaczęły błędzić i wyobraził sobie siebie w górach, na odludziu, po kilku dniach wyprawy, gdy nagle zdaje sobie sprawę, że przynajmniej teraz - na ostrą, oślepiającą chwilę - zostawił wszystko za sobą: przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. To nowy świat, oddzielony od wszystkiego, co było wcześniej, i żadne zobowiązania, żadne oczekiwania nie ciągną cię do przodu. Jest samotnym wędrowcem, sam wśród skał, drzew i wartkich potoków. Jedno bijące serce otoczone przez świat, który istniał na długo, zanim człowiek zaczął go plądrować. Przez tę chwilę jest zuchwale i cudownie żywy.

Po dziesięciu minutach dotarł na szczyt wzgórza. Na wierzchołku wznosił

się kopiec kamieni. Okrążył go z ogniem w płucach, z oczami szczypiącymi z zimna.

Na północy długi, zakrzywiony cień Jeziora Zuryskiego ciągnął się jak kosa otoczona migotliwymi klejnotami. Na południu leżała dolina, długa i ciemna, oświetlona tu i ówdzie przez skupiska świateł. Niespełna kilometr dalej podnóża Alp napierały na równinę, wybuchając z płaskiej, żyznej ziemi niczym strzeliste granitowe skarpy, wznoszące się na tysiąc metrów, zwieńczone poszarpanymi wierzchołkami.

Dlaczego, Emmo? - zapytał w duchu. Jak mogłaś wysłać te rzeczy najbardziej niebezpiecznemu krajowi na świecie? To służy do produkcji bomb. I to nie byle jakich bomb. Bomb atomowych.

Po chwili ruszył na dół. Dziesięć minut później zbliżył się do mercedesa.

Wsiadł i włączył ogrzewanie. Jedno pytanie wybijało się ponad wszystkie inne.

Dla kogo pracowała?

Odchylił głowę i zamknął oczy, ale jego umysł pracował. Zasnął dopiero wtedy, gdy pierwszy blask świtu rozlał się nad horyzontem i nadał niebu martwy, szary kolor popiołu.



## 60

To nie twoja sprawa. Daj sobie spokój. Nie wyjdzie ci to na dobre.

Philip Palumbo przemyślał te słowa, potem pochylił się w fotelu i wyjął służbową broń ze schowka w samochodzie. Wszystko dlatego, że nikt nie zajął stanowiska w związku z tym, iż świat jest w takim opłakanym stanie.

Była to beretta kaliber 9 milimetrów z czasów, gdy służył jako oficer w 82. Dywizji Powietrznodesantowej. Poświęcił wojsku czternaście lat, łącznie z nauką w West Point, i odszedł w stopniu majora. Przedsiębiorstwa prywatne oferowały wiele możliwości człowiekowi z jego przeszłością, ale nigdy zbytnio nie interesowało go robienie pieniędzy. Siedem tygodni po rozstaniu się z armią skreślił swoje nazwisko na kontrakcie z Centralną Agencją Wywiadowczą. I wbrew temu, co widział i co zrobił, wciąż uważał, że nie mógł podjąć lepszej decyzji. Nie cieszyła go myśl o rezygnacji z tego wszystkiego.

Sprawdził, czy magazynek jest pełen, wprowadził nabój do komory i odbezpieczył broń.

Dom był piętrowy, w stylu kolonialnym, z okiennicami w kolorze leśnej zieleni i gontowym dachem. Wysiadł z wozu, wsunął pistolet za pas na plecach i sprawdził, czy nie widać go pod marynarką. Wbiegł po schodach po dwa stopnie naraz i zadzwonił. Drzwi otworzył szczupły, niezbyt atrakcyjny mężczyzna w szarym swetrze, z dwuogniskowymi okularami na łańcuszku na szyi.

- Jesteś, Phil - powiedział admirał James Lafever, zastępca dyrektora do spraw operacji w Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Pilna sprawa, jak się domyślam.

Palumbo wszedł do domu.

- Jestem wdzięczny, że przyjął mnie pan tak szybko.

- Żaden problem. - Lafever wprowadził go do przestronnego holu. Był pracoholikiem i mieszkał sam. - Kawy?

Palumbo odmówił.

Lafever wszedł do kuchni i nalał parującej kawy do kubka.

- Rozumiem, że uzyskałeś pewne informacje od Walida Gassana, które pomogły zapobiec atakowi.

Wie, pomyślał Palumbo. Ktoś dał mu cynk.

- W istocie, dlatego przyszedłem.

Lafever dodał cukru do kawy, potem dał znać, żeby Palumbo mówił dalej.

- W drodze powrotnej z Syrii odebrałem telefon od Marcusa von Danikena, który kieruje szwajcarską służbą kontrwywiadowczą. Prowadzi w Zurychu dochodzenie w sprawie morderstwa niejakiego Theo Lammersa, obywatela narodowości holenderskiej, który został zastrzelony przed swoim domem.

Fachowa robota. Czysta. Żadnych świadków. Lammers miał przedsiębiorstwo projektujące i produkujące wysokiej klasy systemy naprowadzające. Na boku budował drony. Bezzałogowe aparaty latające. Małe, duże, do wyboru. Von Daniken zajął się tym, gdy zginął również kolega Lammersa, Irańczyk Mahmoud Quitab, mieszkający w Szwajcarii pod nazwiskiem Gottfried Blitz. Czy to coś panu mówi?

- A powinno?

- Z całym szacunkiem, panie admirale, myślę, że tak.

Lafever dolał nieco mleka do kawy. Kiedy skierował uwagę na Palumbo, wyraz jego twarzy uległ zmianie. Towarzyska część wizyty oficjalnie dobiegła końca.

- Mów dalej, Phil. Zostawmy moją część na koniec. Palumbo umiał rozpoznać rozkaz.

- Zadzwoiłem do Marcusa, żeby przekazać mu szczegóły z przesłuchania Gassana.

- Chodzi ci o udział Gassana w spisku mającym na celu zestrzelenie samolotu pasażerskiego?

- Tak. Von Daniken był zaskoczony, skromnie mówiąc. Okazało się, że obaj zamordowani mężczyźni to wspólnicy Gassana.

- Prawdziwy zbieg okoliczności. - Lafever jasno dawał do zrozumienia, że wie, iż było zupełnie inaczej.

Palumbo podjął: - Nazajutrz von Daniken otrzymał od koronera raport stwierdzający, że obie ofiary zostały zabite przez kogoś, kto lubi maczać kule w truciźnie. Koroner rozpytał, czy ktoś kiedyś natknął się na podobną sprawę. Jeden z jego kolegów ze Scotland Yardu dokładnie wiedział, o co chodzi. Jest byłym brytyjskim żołnierzem piechoty morskiej i widział, jak takiej trucizny używano w Salwadorze na początku lat osiemdziesiątych. Przypuszczam, że to powszechna praktyka wśród tamtejszych Indian. Jakaś lokalna magia do odstraszenia złych duchów. Anglik wyraził przekonanie, że to my ich szkoliliśmy. Według niego, człowiek, który zabił Lammersa i jego

wspólnika, w tym czy innym czasie pracował dla CIA. Von Daniken chce wiedzieć, czy mamy agenta działającego na jego podwórku. Panie admirale, jeśli posiadamy wiarygodne informacje o komórce zamierzającej strącić samolot pasażerski w szwajcarskiej przestrzeni powietrznej, naszym obowiązkiem jest podzielenie się nimi ze Szwajcarami.

- A co mu powiedziałeś?

- Że spróbuję się czegoś dowiedzieć.

- Rozmawiałeś z nim od tamtej pory? Palumbo pokręcił głową.

- Pan kierował bazą w Salwadorze. Czy „Gołębiak” nie był jedną z pańskich operacji?

- To tajne informacje.

- Mam certyfikat tajności. Jeden z miejscowych został polecony do rekrutacji.

Nazywał się Ricardo Reyes. Jego matka była półkwi Indianką. Przeszedł szkolenie na Farmie, potem wysłano go za granicę. Wciąż jest na liście płac.

- Szperałeś, co?

- Przypuszczam, że to on pociągał za spust.

Admirał Lafever podszedł bliżej i Palumbo poczuł zapach kawy w jego oddechu.

- Co cię obchodzi jedna z moich operacji?

Palumbo przestąpił z nogi na nogę i poczuł pistolet za plecami.

- Nic. To nie mój poziom. Po prostu udało mi się wyszperać trochę informacji o Lammersie, człowieku zastrzelonym w Zurychu.

- A więc?

- Panie admirale, mam na tego człowieka teczkę grubą na ćwierć metra. Przez dziesięć lat był na naszej liście płac. Pracował w szpiegostwie przemysłowym i podlegał naszej londyńskiej podstacji. Wypadł z rejestru w 2003 roku.

Zastanawiałem się, dlaczego, u licha, Walid Gassan dostarczał materiały wybuchowe ludziom, którzy są choćby luźno powiązani z amerykańskim rządem. Coś mi tu nie pasowało. Podzwoniłem po mieście i popytałem, czy Lammers przeszedł na drugą stronę.

- Czego się dowiedziałeś?

- Och, zgadza się, zmienił front. Dwa lata temu został zwerbowany przez Departament Obrony. W chwili śmierci pracował jako konsultant Agencji Wywiadu Obronnego. Admirale, czy może mi pan powiedzieć, co, na Boga, robimy, likwidując naszych amerykańskich agentów?

- Myślałem, że bardziej cię zainteresuje, dlaczego Pentagon chce strącić samolot pasażerski.

- To moje następne pytanie.

Palumbo spodziewał się tyrady. Zamiast tego Lafever odstawił kubek z kawą i uśmiechnął się ponuro.

- Znasz jednostkę zwaną Dywizją?

- Dywizją? Nie, panie admirale.

- Tak sądziłem. - Ujął go za łokieć i poprowadził ku rozsuwanym drzwiom kuchni. - Wyjdźmy na zewnątrz. Muszę zapalić.

Palumbo wyszedł z nim na taras za domem i zszedł po schodkach do ogrodu.

Wieczór był zimny, niebo ponure i puste. Śnieg chrzęścił pod butami, gdy szli wśród nagich drzew.

- To Austen. On stanowi problem - powiedział Lafever, wyjmując papierosa z paczki marlboro. - Szalony chrześcijański sukinsyn jeszcze mnie popamięta.

Pomiędzy spotkaniami modlitewnymi i ortodoksyjnymi czarami-marami nie może się powstrzymać od wtykania nosa w nie swoje sprawy.

- Mówi pan o generale dywizji Johnie Austenie z sił powietrznych?

- Jedynym i niepowtarzalnym. Zaczęło się osiem lat temu, jeszcze przed jedenastym września. Chłopcy z Pentagonu postanowili, że zaczną organizować tajne operacje za granicą. Wkurzało ich, że terroryści penetrują nasze zagraniczne obiekty i przechwalają się, że my, z CIA, nie możemy ich powstrzymać. Biurowce w Chobar w Arabii Saudyjskiej, zamachy bombowe na nasze ambasady w Nairobi i Dar-es-Salaam, liczne ataki przeciwko amerykańskim przedsiębiorstwom międzynarodowym działającym za granicą.

Austen poszedł do prezydenta i zapytał, czy może stworzyć zespół agentów i pozwolić im spróbować. Długo nie musiał go przekonywać. Prezydent naciskał na nas, żebyśmy się dowiedzieli, kto stał za atakiem na USS „Cole”, a my nie mogliśmy nic zrobić. Zespół Austena znalazł winnych w okamgnieniu.

Trzydzieści dni później prezydent podpisał dyrektywę prezydencką bezpieczeństwa narodowego upoważniającą Departament Obrony do utworzenia jednostek za granicą.

Nazwali je Dywizją. Austen kierował nimi z mało znanego biura zwanego Służbą Wywiadu Osobowego, którego oficjalne zadanie polega na

zarządzaniu attaché wojskowymi w naszych ambasadach. Działał szybko. W ciągu roku miał w terenie piętnaście zespołów. Mówimy o najczarniejszych z czarnych operacji.

Ściśle tajne. Kontrowersyjne. Poza nadzorem Kongresu czy nawet prezydenta.

Rodzaj carte blanche, za jakie każdy oficer wywiadu dałby się zabić. Łącznie ze mną. Zrobili trochę dobrego. Nie będę przeczyć. Załatwili tego zbrodniczego szaleńca w Bośni, Drako, i paru watażków w Sudanie. Sukcesy uderzyły Austenowi do głowy. Zaczął przekraczać granice. Maczał palce w aferze z libańskim premierem. Wmieszał się w powstanie w Iraku. Jesteśmy oficerami wywiadu. Nasza robota polega na zbieraniu i przekazywaniu informacji. Nie jesteśmy sędzią, ławą przysięgłych i katem. To polityka, a o ile mi wiadomo, kieruje nią Biały Dom. W każdym razie, na Boga, Phil, po jakimś czasie miałem dość.

- Ale, panie admirale, oni są amerykańskimi agentami.

- Nie są Amerykanami. Quitab jest Irańczykiem. Lammers jest Holendrem.

Urodzeni i wychowani za granicą.

- Dlaczego więc nie poszedł pan do prezydenta?

- I co miałbym powiedzieć? Wyszedłbym tylko na zazdrosnego rywala.

Prezydent wydał zgodę. Tylko on może wyciągnąć wtyczkę.

- Nie sądzę, by zezwolił amerykańskim agentom na tajną współpracę z irańskim nielegalnym agentem przy zestrzeleniu samolotu.

- Zgadza się, ale również nie pozwoliliby mi na wpuszczenie kreta w sieć Austena. Afiszując się ze swoimi przekonaniem, z piersią obwieszoną wszystkimi tymi błyszczącymi medalami, John Austen uchodzi za świętego na Pennsylvania Avenue. Od początku bierze udział w walce. Mam na myśli naszą świętą wojnę przeciwko dżihadowi. Austen opracował plan uwolnienia naszych zakładników w Iranie w 1980 roku. Zorganizował pierwsze zespoły operacji specjalnych. I, jak nasz głównodowodzący, płonie z miłości do Chrystusa. Co może w tej sytuacji zrobić taki popijający whisky poganin jak ja?

- Ale próba ratunku w Iranie skończyła się fiaskiem - zauważył Palumbo.

- Rozbiliśmy się i rzeczywiście spłonęliśmy. Straciliśmy ośmiu ludzi.

- To nie ma znaczenia, Phil. John Austen jest bohaterem. Jak ten z góry Kalwarii. Cokolwiek mówi, przechodzi... dopóki nie okaże się inaczej.

- Z całym szacunkiem, admirale, nie mogę czekać z założonymi rękami i

pozwolić, żeby stracił samolot.

- Nie ma innego wyjścia, Phil. W tym kraju nie mogą istnieć dwie odrębne służby szpiegowskie, które prowadzą operacje, nie informując się o nich nawzajem. Od zbyt długiego czasu chłopcy z Obrony nie mają kontroli. Kiedy sprawa się rypnie, to będzie koniec. John Austen nie uzyska zgody na wysłanie zespołu w teren. Pentagon na zawsze wypadnie ze szpiegowskiego biznesu.

- Wysłał więc pan Reyesa, żeby to zakończyć?

- Wysłałem Ricarda Reyesa, żeby pokazać, że nie siedzimy z kciukiem w dupie, podczas gdy to wszystko się sypie. Sprawa jest poważna. Jeśli powstrzymamy się od jakichkolwiek działań, to tylko udowodni, że wszystko, co Austen mówi prezydentowi o CIA, jest prawdą. Ale jeśli zdołamy podejść na włos od przejścia tego drona... jeśli zgarniemy członków spisku... wtedy wyjdziemy na bohaterów. - Lafever zgniótł niedopałek obcasem. - Pan Reyes nie zdołał powstrzymać ataku i, szczerze mówiąc, nie chcę, żeby to zrobił. Kiedy samolot spadnie, pójdę do prezydenta z dowodem, kto jest winny, i wykażę, że wszystko wymknęło się spod kontroli. Dowiodę też, że próbowałem temu zapobiec. Prezydent nie będzie miał innego wyboru, jak udzielić mi pełnego poparcia. Dywizja ulegnie natychmiastowej likwidacji.

W ostatecznym rozrachunku te sukinsyny z Obrony publicznie dostaną po dupie, a Agencja znowu będzie górą.

Palumbo nie miał nic do powiedzenia. Stał jak wrośnięty w ziemię, oszołomiony i przygnębiony.

Lafever podszedł bliżej.

- Nie mogę pozwolić, żeby mój oficer w patriotycznym ferworze rozgadywał, co, jego zdaniem, odkrył. Musisz dać mi słowo, że będziesz trzymać język za zębami.

- Panie admirale, samolot... wszyscy pasażerowie...

- Musisz dać mi słowo.

- Ale.

- Żadnych ale! To niska cena za pewność, że Austen nie zrobi czegoś jeszcze bardziej głupiego.

Palumbo westchnął. Wiedział, co musi zrobić.

- Przykro mi. Po prostu nie mogę na to pozwolić.

Lafevre popatrzył na niego jak na biednego, tępego kmiotka siłą oderwanego od pług.

- Ja też nie.

Kiedy podniósł rękę, trzymał niewielki niklowany rewolwer wycelowany w serce Palumbo. Była to broń jednorazowego użytku, ze spiłowanym numerem, załadowana standardową amunicją, zapewne wyniesiona ze składnicy. Techniki szpiegowskie starego były ściśle regulaminowe.

Rewolwer wystrzelił dwa razy. Kule uderzyły Palumbo w pierś i rzuciły go na ziemię. Leżał przez chwilę z szeroko otwartymi oczami, pozbawiony tchu.

Lafever zrobił krok i stanął nad nim, kręcąc głową. Wtedy Palumbo kaszlnął i Lafever zrozumiał, że ma kamizelkę. Zastępca dyrektora do spraw operacji Centralnej Agencji Wywiadowczej szybko poderwał broń. Tym razem był za wolny.

Palumbo strzelił mu w czoło.

Admirał James Lafever zginął na miejscu.

## 61

ęły dwadzieścia cztery godziny od zwołania narady wojennej na Balfour Street. W tym czasie rozmowy telefoniczne przemykały nad Atlantykiem z gwałtownością wiosennej burzy. Izraelskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych do amerykańskiego Departamentu Stanu. Dowództwo grupy irańskiej do Centralnego Dowództwa wojsk USA. Mossad do CIA.

O jedenastej wieczorem premier Izraela stał w swoim gabinecie z jedną ręką za plecami, w drugiej trzymając telefon. Jak każdemu innemu dworzaniecowi ubiegającemu się o posłuchanie u cesarza, kazano mu czekać na swoją kolej.

Prezydent Stanów Zjednoczonych miał go wysłuchać za chwilę.

Zvi Hirsch stał przy premierze, gotując się z niecierpliwością. Chwila minęła pięć minut temu. Każda kolejna sekunda stanowiła coraz większą obrazę dla jego wrażliwego serca.

Nagle w słuchawce zabrzmiał kobiecy głos: - Prezydent Stanów Zjednoczonych.

Zanim premier zdążył zareagować, usłyszał zimny głos technokraty: - Cześć, Avi, miło cię słyszeć.

- Panie prezydencie, żałuję, że okazja nie jest szczęśliwsza.

- Chciałem podziękować za konsultowanie się z nami - powiedział amerykański prezydent. - Sytuacja nas zaskoczyła. Nie wiedzieliśmy, że rozwija się tak szybko.

- Obaj zostaliśmy zaskoczeni. Jestem pewien, że rozumie pan nasze stanowisko. Nie możemy tolerować broni jądrowej w rękach reżimu, który jednoznacznie oświadczył, że pragnie zetrzeć Izrael z mapy.

- Oświadczenia to jedno. Czyny to zupełnie inna sprawa.

- Czyny Iranu są powszechnie znane. Irańczycy od lat finansują działalność terrorystyczną Hamasu, Islamskiego Dżihadu i Brygad Męczenników Al-Aksa.

Ich działalność nie ogranicza się do Izraela. Nie muszę mówić o zamęcie wznieconym w Iraku. Mają dwa cele: zdobyć kontrolę na Bliskim Wschodzie i zniszczyć mój kraj. Są na dobrej drodze do pierwszego. Nie pozwolę, żeby osiągnęli drugi.

- Stany Zjednoczone zawsze utrzymywały, że każdy akt przemocy wymierzony przeciwko Izraelowi będzie postrzegany jako akt przemocy



przeciwko nam.

- To nie jest sytuacja, w której możemy czekać, aż zostaniemy zaatakowani.

Pierwsze uderzenie może być katastrofalne w skutkach.

- Rozumiem, ale myślę, że jest za wcześnie na podejmowanie działań. Musimy poruszyć problem na forum ONZ.

- Gdyby pan wiedział, że dziewiętnastu porywaczy planuje porwać wasze odrzutowce i uderzyć w World Trade Center, czy nie podjąłby pan działań prewencyjnych?

- Atakowanie państwa to co innego niż zgarnięcie bandy terrorystów - odparł prezydent starannie wyważonym tonem. Każda wzmianka o jedenastym września sprawiała, że miał się na baczności. Otaczana czcią data i natychmiastowe wezwanie do broni, jakie zainspirowała, stały się „pamiętajcie o Alamo!” tej epoki.

- A broń jądrowa to co innego niż samolot - odparł premier. - Jedna bomba zabije miliony Izraelczyków.

Prezydent wciągnął powietrze.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Avi?

- Potrzebujemy zgody na przelot przez iracką przestrzeń powietrzną - powiedział premier Izraela.

- Jeśli i kiedy państwo Izrael zostanie zaatakowane, otrzymacie zezwolenie.

- Z całym szacunkiem, panie prezydencie, wtedy będzie za późno.

- Irańczycy podejmą kroki odwetowe.

- Możliwe. Ale pewnej walki nie można wykluczyć.

Nastąpiła pauza i premier usłyszał, jak prezydent USA naradza się ze współpracownikami. Minutę później Amerykanin powiedział: - Rozumiem, że masz drugą prośbę.

- Potrzebujemy czterech waszych bomb penetrujących B 61-11 EPW.

- To nie byle jaka prośba. Mówimy o pociskach z głowicami jądrowymi.

- Zgadza się.

Amerykański prezydent został uprzedzony o tej prośbie i przygotował odpowiedź z pewną precyzją.

- Posłuchaj uważnie, co mam do powiedzenia. Ameryka pod żadnym pozorem nie zainicjuje użycia broni jądrowej. Wierzimy jednak, że Izrael ma prawo do silnej, zdecydowanej obrony. Z tego względu i z szacunku dla naszej wieloletniej przyjaźni rozkazałem natychmiastowe przekazanie

czterech Ból generałowi Ganzowi. Żądam jednakże twojego słowa, że nie użyjecie tej broni, jeśli nie zostaniecie bezpośrednio sprowokowani.

- Nie wiem, czy mogę ręczyć za to słowem.

- Wymóg jest bezwarunkowy. Powtarzam. Jeśli ten sukinsyn z Iranu tknie was bodaj palcem albo ugodzi w wasze interesy, macie moją zgodę na użycie tych bomb według waszego uznania. Będziecie mogli latać nad Irakiem w tę i z powrotem, od świtu do zmierzchu. Ale musisz dać mi słowo, że dopóki nie stanie się to, co powiedziałem, będziecie trzymać bomby pod kluczem.

Zvi Hirsch, który słuchał na drugiej linii, spojrział na premiera ze zdumieniem.

Gwałtownie zaczął kiwać głową na znak, że premier ma natychmiast się zgodzić.

Premier posłuchał.

- Masz moje słowo. W imieniu własnym i ludu Izraela, dziękuję. Rozmowa została zakończona.

Zvi Hirsch odłożył słuchawkę.

- Słyszałeś go?

- Jasne - odparł premier. - Dlaczego się tak gorączkujesz?

- Powiedział, że możemy użyć bomb, jeśli i kiedy zostaniemy bezpośrednio sprowokowani.

- I co z tego?

Zvi Hirsh był tak podniecony, że z trudnością dobierał słowa.

- Nie rozumiesz? Nie muszą nas zbombardować. To może być cokolwiek...

obojętnie co... bylebyśmy tylko mogli powiązać to z Teheranem.

Wystarczy, że pogrożą nam palcem.

## 62

Pilot włączył stoper. - Pięć minut. Start.

Ludzie ruszyli szybko, ale bez pośpiechu, ze swoich stanowisk w garażu.

Dzieląc się na trzy dwuosobowe zespoły, podeszli do stojących pod ścianą trzech dużych skrzyń ze stali nierdzewnej, zwanych trumnami. Dwie zawierały wypukłe skrzydła, każde rozłożone na dwie ponadpółtorametrowe części. Trzecia mieściła kadłub z trzewiami operacyjnymi samolotu: inercyjny system nawigacyjny, Kubandowy procesor komunikacyjny, zbiornik paliwa, podstawowy moduł kontroli, silnik turbowentylatorowy i kamerę dziobową.

Pierwszy zespół zamontował podwozie i postawił kadłub na ziemi. Pozostali złożyli skrzydła i przymocowali je do kadłuba za pomocą zaczepów z tungstenu.

W tym czasie Pilot podjechał wózkiem o niskim zawieszeniu. Na wózku leżała metaliczna gondola w kształcie łyży, wielkości dużego arbuza, ważąca trzydzieści kilogramów. Zawierała potężny ładunek wybuchowy.

Projekt był podobny do głowicy bojowej używanej w pociskach sidewinder.

Światłokopia pochodziła zresztą z koncernu zbrojeniowego Raytheon, w którym ponad trzydzieści lat temu opracowano tę wersję pocisku powietrze-powietrze.

W tym czasie niewiele się zmieniło. Tylko materiały wybuchowe mają większą moc rażenia.

Gondola składała się z obudowy, dwudziestu kilogramów semteksu-H, detonatora i pięciuset tytanowych prętów odłamkowych. Po wykryciu celu - w tym wypadku samolotu pasażerskiego - czujnik zbliżeniowy uaktywni mechanizm zapalnika, który zdetonuje śrut wybuchowy wokół semteksu. Śrut z kolei zdetonuje dwadzieścia kilogramów materiałów wybuchowych, powodując błyskawiczne uwolnienie ogromnej ilości gorącego gazu. Siła rozprężającego się gazu rozepchnie tytanowe pręty, łamiąc je na tysiące śmiertelnych strzałek, które skutecznie zniszczą kadłub samolotu.

Celem było zniszczenie nie tylko samolotu, ale również drona, żeby nigdy nie znaleziono śladu po urządzeniu, które dostarczyło bombę.

Gdy tylko gondola została przymocowana, a przewody podłączone do głównej tablicy przyrządów, Pilot wysunął wózek spod aparatu i zawołał: -

Stop.

Odczytał czas na stoperze.

- Cztery minuty dwadzieścia siedem sekund.

Mężczyźni nie krzyknęli na wivat ani w żaden inny sposób nie okazali satysfakcji. Tak szybko, jak zaczęli, rozmontowali drona. Nie mogli ryzykować, że jakaś przypadkowa kontrola odkryje stojący w garażu, gotów do startu samolot. Po paru minutach trzy zapakowane trumny zostały zamknięte w szafach w domu.

Po przeanalizowaniu każdego aspektu ćwiczenia Pilot wszedł do salonu, gdzie okno panoramiczne wychodziło na lotnisko w Zurychu. O dwudziestej zauważył światła lądowania nadlatującego z północy samolotu pasażerskiego. Z radością stwierdził, że przybył o czasie. Z drugiej strony, te akurat linie należały do najbardziej punktualnych na świecie.

Śledził światła, dopóki airbus A380 nie wylądował. Samolot wydawał się ogromny nawet z odległości czterech kilometrów. Pilot znał jego dane na pamięć.

Siedemdziesiąt trzy metry długości. Dwadzieścia cztery metry szerokości.

Rozpiętość skrzydeł prawie osiemdziesiąt metrów, niemal jak boisko futbolowe.

Pod każdym względem największy samolot pasażerski świata. Mógł zabrać pięciuset pięćdziesięciu pasażerów. Tego wieczoru na liście widniało nieco mniej niż pięćset nazwisk. Jutro będzie komplet.

Samolot kołował do miejsca parkowania. Był taki wielki, że na jego potrzeby zbudowano specjalny rękaw. Wreszcie Pilot dostrzegł pięcioramienną gwiazdę na ogonie.

Samolot linii El Al, numer lotu 863, przyleciał z Tel Awiwu.

## 63

Von Daniken zjawił się pod drzwiami Tobiego Tingelego punktualnie o dziewiątej. Pokojówka zaprowadziła go do gabinetu. Tingeli siedział za wielkim mahoniowym biurkiem, rozmawiając przez telefon. Dżinsy i golf znikły. Był ubrany w czarny garnitur z perłowoszarzym krawatem, włosy miał uczesane i utrwalone żelem. Powitał von Danikena gniewnym spojrzeniem i pchnął teczkę po biurku.

Inspektor podniósł ją. Wewnątrz znajdowała się dokumentacja związana z powstaniem Excelsior Trust z siedzibą w Curaçao, Antyle Holenderskie. Holding został utworzony z kapitałem inwestycyjnym pięćdziesięciu tysięcy franków szwajcarskich. Na liście widniały nazwiska trzech dyrektorów, z których dwóch było pracownikami banku. Ostatnie nazwisko nic mu nie mówiło. Z zaciekawieniem jednak dowiedział się, że klient odwiedził biura Banku Tingeli w Vaduz w sierpniu zeszłego roku. Wizyta zbiegała się z powrotem Ransoma z Bliskiego Wschodu.

Bardziej interesujące okazały się kolejne dokumenty. Miesięczne wyciągi z kont przysłane przez fundusz z Bahamów, przechowywane przez Bank Tingeli w imieniu Excelsior Trust. Wyciągi wyszczególniały ruch na dwóch kontach numerowych, z których przesyłano pieniądze do Lammersa i Blitza, oraz na trzecim koncie, użytym do zakupu Villi Principessa.

Wciąż nie znał odpowiedzi na pytanie, kto złożył pierwotny depozyt w bahamskim banku. Uważnie przeglądał papiery. Oba konta numerowe zostały otwarte na podstawie czeków bankierskich. Znalazł ich kopie i przeczytał nazwę banku emisyjnego wydrukowaną w prawym górnym rogu. Serce mu zamarło.

Była to jedna z najbardziej szacownych instytucji w środowisku amerykańskiej finansjery.

- I co? - zapytał Tingeli. Odłożył telefon i obszedł biurko. - Nie tego się spodziewałeś?

Von Daniken wspomniał swojarozmowę z Philipem Palumbo. Zastanawiał się, czy nie naraził kolegi z CIA na niebezpieczeństwo.

- Tobi, ani słowa na ten temat. Tingeli wyjął teczkę z jego rąk.

- Nie byłem zachwycony zakończeniem naszego wczorajszego spotkania. Nie mogę żyć tak, jak mi się podoba, żebyś nie zaglądał mi przez ramię, więc wykonałem trochę dodatkowej pracy. Powiedz swoim przełożonym, jak

pewien lojalny Helweta spełnia swój patriotyczny obowiązek. Chcesz, żebym siedział cicho? Jasne. Żaden problem. To moja robota, prawda? Ale w zamian masz zostawić moją dupę w spokoju, raz na zawsze. Może jestem dziwny, ale to mój wybór. Nie łamię prawa. Von Daniken nie krył sceptycyzmu.

- Na razie nie widzę nic, co zasługiwałoby na obietnicę z mojej strony.

Przekazanie tych informacji nic cię nie kosztowało. Wszystko jest w aktach. Za tydzień mógłbym przyjść z nakazem i dostać dokładnie to samo, co mi dałeś.

- Domyślałem się, że to powiesz. - Tingeli podał mu teczkę, kciukiem zaznaczając stronę. - Masz coś, czego pierwotnie brakowało w dokumentach.

Musiałem odbyć parę rozmów telefonicznych, żeby to zdobyć. Drogo mnie kosztowało.

Teczka była otwarta na potwierdzeniu przelewu elektronicznego z banku na Bahamach w wysokości pięciuset tysięcy franków. Pieniądze zostały wysłane z jednego z kont numerowych na rachunek w jednym z największych banków szwajcarskich. Poniżej widniało nazwisko właściciela rachunku.

Von Daniken sapnął.

- Jesteś tego pewien? Tingeli pokiwał głową.

- Umowa stoi?

Von Daniken uścisnął wyciągniętą dłoń.

- Stoi.

Tingeli pociągnął go do przodu, aż znaleźli się nieprzyjemnie blisko siebie.

- W takim razie wynocha. I powiedz swoim kumplom w Bernie, że rodzina Tingeli zrobiła dość dla tego kraju, Inspektor zszedł po schodach i ruszył do samochodu. Od początku był świadom obecności niewidzialnej ręki w dochodzeniu, lecz nie mógł wskazać jej palcem. Miał tylko przeczucie. Jak większość policjantów, wiedział, że nie należy odrzucać podszeptów intuicji. Informacje, jakie teraz posiadał, mogłyby wstrząsnąć krajem, co dopiero gliniarzem w średnim wieku, który wciąż wierzył w nieprzekupność swojego rządu. Stał przez chwilę, zastanawiając się, co zrobić, oceniając, komu może, a komu nie może zaufać.

Gdy otworzył drzwi, ciemny, najnowszy model audi podjechał z rykiem i zahamował obok jego wozu. Szyba się opuściła, odsłaniając zarumienioną twarz Kurta Myera.

- Znaleźliśmy Ransoma.  
- Macie go w areszcie?  
- Jeszcze nie, ale wiemy coś na temat jego miejsca pobytu.  
- Skąd, co się stało?  
- Wczoraj wieczorem dwaj policjanci w Bernie sprawdzili zgłoszenie dotyczące intruza w mieszkaniu. Zapukali do drzwi i facet odpowiedział.

- Ransom?  
- Na to wygląda. Zanim otworzył, w mieszkaniu doszło do wybuchu. Policjanci wyłamali drzwi. Kuchnia i łazienka stały w płomieniach. Najwyraźniej eksplozja gazu. Przeciek w kuchence...

Eksplozja gazu. Von Daniken wspomniał pęknięty przewód, który spowodował śmierć Drako, bośniackiego watażki. Myer kontynuował: - Z początku policjanci myśleli, że siła wybuchu wyrzuciła go przez okno, ale nie było krwi, a poszukiwania na zewnątrz nic nie ujawniły. Kobieta, która zgłosiła obecność intruza, powiedziała, że podał się za lekarza. Wyglądał na skaleczonego nożem. Jeden z policjantów uznał, że mężczyzna może być poszukiwany, i sprawdził rysopis w bazie nakazów. Wskoczyło nazwisko Ransoma. Wydrukowali zdjęcie i pokazali kobiecie. Rozpoznała go, ale twierdziła, że miał czarne, bardzo krótkie włosy.

- Co robił w Bernie?  
- Powiedział, że przyszedł do szwagierki. Nazywa się Eva Kruger.  
- Co o niej wiemy?  
- Nic. Jest duchem. Nie ma numeru identyfikacji krajowej. Nie ma zezwolenia na pracę. Sąsiadka mówi, że rzadko kiedy bywa w domu.

- Ale widziała ją? Na własne oczy?  
- Tak mówi. Według niej, ta Eva Kruger ciągle podróżuje. Oczywiście, pomyślał von Daniken. Bez wątplenia do egzotycznych miejsc, takich jak Darfur, Bejrut i Kosowo. Najwyraźniej była kolejnym członkiem siatki Ransoma.

- Mówiłeś, że wiecie coś o Ransomie.  
- Sprawdziliśmy Evę Kruger w systemie ogólnokrajowym. Dostaliśmy info od szefa ochrony Światowego Forum Ekonomicznego, które odbywa się w Davos.

Powiedział mi, że tydzień temu sprawdzał tę Evę Kruger, zamieszkałą w Bernie, i wydał jej przepustkę. Przepustka jest ważna przez jeden dzień.

- Dziś?  
Myer ponuro pokiwał głową.

- To przepustka VIP-a. Może wejść wszędzie, gdzie zechce, nawet do Kongresshaus.

- Co dziś tam robią?

- Przez cały dzień mają panele. Grube ryby z całego świata. Główne przemówienie wygłosi Parvez Jinn, Irańczyk.

- Powiadomiłeś ochronę?

- Jeszcze nie.

- Zrób to natychmiast. Powiedz im, żeby unieważnili jej identyfikator. Daj im ostatni rysopis Ransoma. Może być uzbrojony.

- To wszystko?

- Nie. Powiedz, że będę tam za godzinę.



## 64

Jonathan zauważył pierwsze ciężarówki przy wjeździe do doliny. Dwa transportery wojskowe z wałęsającym się w pobliżu tuzinem żołnierzy. Pięć kilometrów dalej stały kolejne dwie ciężarówki. Tu żołnierze się nie obijali.

Należeli do elitarnych jednostek, mieli nowe stroje kamuflujące i pistolety maszynowe na piersi. Lustrowali dokładnie każdy przejeżdżający pojazd.

Do alpejskiego miasta Davos prowadzi jedna droga, przecinająca dolinę z północy na południe. W miarę jak autostrada wchodziła coraz głębiej w dolinę, przybywało wojska. Dżipy. Transportery opancerzone. Blokady drogowe na poboczu, gotowe do natychmiastowego rozstawienia. Pułapka gotowa do zatrzaśnięcia. Jonathan spodziewał się, że w każdej chwili żołnierz albo policjant wyskoczy na jezdnię, machnie rękami i każe mu zjechać na pobocze, ale mercedes nie przyciągał większej uwagi.

O jedenastej przejechał przez miasto Klosters. Śnieg przestał padać, niebo pojaśniało. Parę razy dostrzegł nawet łatę błękitu. Kiedy dzwony kościelne wybiły godzinę, ich melancholijne brzmienie sprawiło, że dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie.

Gdy trasa w serii zakosów zaczęła wspinać się na zbocze, usłyszał warkot śmigłowca. Włożył na szyję identyfikator Światowego Forum Ekonomicznego.

Wydrukowane czarnymi literami nazwisko zmieniło brzmienie z „Eva Kruger” na „Evan Kruger”. Miejsce jej zdjęcia zajęło to, które zrobił rano w Ziegelbrücke.

Zmiana nazwiska zajęła mu godzinę. „N” spreparował za pomocą szablonu w taki sposób, żeby pasaż do czcionki. Zamiana zdjęcia okazała się trudniejsza i wymagała użycia laminatora.

Zostałem wyszkolony, nie będąc tego świadom.

Od początku byłem pionkiem Emmy.

Ukończenie studiów medycznych nie stanowiło jedynego warunku podjęcia pracy dla Lekarzy bez Granic. Smykałka do kradzieży i śmiała wyobraźnia także miały wysokie notowania. Jonathan nie mógłby zliczyć, ile razy fałszował dokumenty importowe i eksportowe, żeby ułatwić przewóz leków przez granicę albo, co równie ważne, uniknąć dawania łapówek skorumpowanym urzędnikom.

Jeśli penicylina była zakazana, zmieniali ją w papierach na ampicylinę, antybiotyk jeszcze silniejszy, ale mniej znany. Gdy stwierdzili, że strażnicy graniczni kradną z transportów morfinę, zmieniali nazwę na „morazyna”. Niech sobie sprawdzają w wykazie leków... i odkryją, że nie ma czegoś takiego.

Jedyną częścią identyfikatora Światowego Forum Ekonomicznego, jakiej nie mógł zmienić, była kość pamięci. Jego rozwiązanie polegało na przesunięciu magnesu po chipie i skutecznym wymazaniu danych. Mógłby się założyć, że w trakcie sprawdzania tysięcy kart identyfikacyjnych strażnicy ochrony natkną się na kilka podobnych przypadków.

Przeróbka prawa jazdy Evy Kruger poszła mu łatwo. Tekturka wydawana przez władze szwajcarskie praktycznie prosiła się o sfalszowanie. Nóż z wymiennymi ostrzami i rozcieńczalnik do odklejenia zdjęcia Emmy. Drugie zdjęcie paszportowe wkleił w miejsce oryginalnego. Jonathan subtelnie zmienił wygląd. Zamiast garnituru z krawatem i przylizanej fryzury miał kurtkę zapiętą pod szyję i rozwichrzone włosy. Choć fotki zrobione zostały w odstępie paru minut, wyglądały tak, jakby pochodziły z różnych okresów.

Przerobił imię Eva na Evan. Wzrost Emmy, metr sześćdziesiąt osiem, zmienił na metr osiemdziesiąt osiem. W rzeczywistości miał cztery centymetry mniej.

Wagę zwiększył z pięćdziesięciu kilogramów na osiemdziesiąt.

Był dotkliwie świadom, że ani prawo jazdy, ani identyfikator Forum nie zda egzaminu, jeśli kontrola nie będzie pobieżna. Poddane rygorystycznej inspekcji, oba dokumenty szybko wyjawiają wszystkie swoje sekrety i zostaną uznane za fałszywe. Ale jego as w rękawie to papiery mercedesa na nazwisko Parvez Jinn z Teheranu. Usprawiedliwiały go w sposób, z jakim nie mógł się równać prosty identyfikator.

Przyjął założenie, że do tej chwili nikt nie może wiedzieć, iż są mu znane szczegóły planowanego spotkania Evy Kruger z Parvezem Jinnem. Wiedział również, że nie będzie drugiego mercedesa dla Jinna. Tym samym, podczas gdy Sokół mógł organizować zastępstwo dla Emmy, żeby wykorzystać swoją akredytację w punkcie kontrolnym numer 1, prawdopodobnie nie unieważnił oryginalnej przepustki dla Evy Kruger.

Jonathan stosował tę samą bezlitosną logikę, jak wcześniej. Nie przyciągać uwagi. Był pewien, że jeśli nazwisko Evy Kruger wciąż jest w systemie, to towarzyszy mu adnotacja, iż osoba ta dostarcza mercedesa irańskiemu oficjelowi. W takim wypadku sam mercedes posłuży za

przepustkę. Trudno kłócić się z furą wartą dwieście tysięcy dolarów.

Pierwsza blokada znajdowała się dwa kilometry przed Davos. Był to punkt kontroli pojazdów na prostym odcinku drogi. Po obu stronach stały podniszczone wiejskie domy. Jonathan zwolnił i stanął w kolejce czterech aut. Podciągnął krawat i wyprężył ramiona. Prawo jazdy trzymał w pogotowiu, wraz z dowodem rejestracyjnym. Identyfikator Forum miał na szyi. Mimo to zaschło mu w ustach, a serce biło gdzieś w okolicach jabłka Adama. Zbliżył się do blokady. Zauważył, że żołnierze otaczają każdy pojazd. Czuł mrowienie w palcach i miał przyspieszony oddech.

Emmo, jak ty to robiłaś przez osiem lat?

- Proszę pana! - Policjant stuknął w jego okno. - Proszę kawałek dalej.

Jonathan przejechał kilka metrów, omal nie uderzył zderzakiem w barierę.

Kazano mu wysiąść i pokazać prawo jazdy.

- Cel podróży?

- Davos. Jestem uczestnikiem Forum.

- Ma pan oficjalne zaproszenie?

- Dostarczam ten wóz gościowi z hotelu Belvedere. Panu Parvezowi Jinnowi.

- Proszę pokazać identyfikator.

Jonathan zdjął z szyi laminowaną plaketkę. Policjant wsunął ją do czytnika podobnego do tego, jaki Jonathan widział w gazecie. Kątem oka patrzył, jak policjant wyjmuje kartę i wsuwają drugi raz.

Gdy czekał, żołnierze wsuwali lusterka pod podwozie, szukając materiałów wybuchowych. Jeden krzyknął i oficer, który sprawdzał identyfikator, podszedł do niego. Zamienili parę słów i oficer wrócił.

- To pojazd opancerzony?

- Tak - odparł Jonathan. - Jak powiedziałem, prowadzę go dla Parveza Jinna, irańskiego ministra technologii. Wyeksportuje go do Iranu. - Zmusił się do uśmiechu. - Słyszałem, że bywa tam niebezpiecznie.

- Proszę zaczekać.

Oficer odszedł parę kroków i połączył się przez radio ze swoim kontrolerem.

Jonathan podsłuchał, że podał jego nazwisko i zapytał, czy jest jakaś wzmianka o dostawie mercedesa. Minęła minuta. Wreszcie oficer skinął głową i wrócił.

- W porządku. Muszę prosić o zgodę na sprawdzenie wnętrza pojazdu.

- Proszę bardzo.

Oficer wyszczał rozkazy. Pięciu policjantów rzuciło się do wozu. Zajrzeli do schowka i bocznych kieszeni, podnieśli tylne siedzenie i zażądali, żeby Jonathan otworzył sejf, sprawdzili wewnątrz wykrywaczem materiałów wybuchowych.

- Proszę podnieść wszystkie szyby.

Jonathan wsunął się na fotel i zamknął okno. Oficer wskazał ślady zostawione przez kule napastnika.

- Co się stało? Ktoś do pana strzelał?

- Kamienie - odparł Jonathan. - Jakies szczeniaki w Zurychu. Podszedł starszy policjant, uderzając plakieta w otwartą dłoń.

- Skąd pan ma ten identyfikator? - zapytał.

- Nie rozumiem. - Jonathan z trudem zachowywał spokojne brzmienie głosu.

- Odebrał pan na komendzie policji w Chur?

- Odebrałem pocztą. Jakiś problem?

- Kość pamięci jest uszkodzona.

- Nawet nie wiedziałem, że tam jest jakaś kość - powiedział Jonathan ze skrucha. - Proszę zadzwonić do mojego pracodawcy.

- Źle mnie pan zrozumiał - mówił oficer policji. - Chciałem przeprosić za usterkę. Wszystkie dane zostały potwierdzone. W Davos spodziewają się samochodu. Zgłosiłem wadliwy identyfikator, więc dostanie panu nowy.

- Nowy? - Jonathan szczerzył zęby jak idiota. Nic nie mógł na to poradzić. - Dziękuję. Jestem wdzieczny.

- Usterki techniczne nadal się zdarzają od czasu do czasu. Jest tylko jedna niezgodność.

- Tak?

- Pan nie ma na imię Eva, prawda?

Jonathan powiedział, że oczywiście nie, a oficer oddał mu identyfikator.

- Proszę jechać do głównego punktu kontrolnego na Davosstrasse przy wjeździe do miasta. Zrobią panu nowe zdjęcie i wydadzą nowy identyfikator.

Proszę pilnować, żeby przez cały czas był widoczny. Alies klar? - Uderzył lekko w drzwi, wyprostował się i odszedł do następnego samochodu.

- Jazda! Nie mamy całego dnia!

W głównym punkcie kontrolnym Jonathan dostał nowy identyfikator i harmonogram dnia, a także plan miasta i przepustkę na korzystanie z dwóch wagoników kolejki linowej na Jakobshorn i Parsenn. Oficer odprowadził go

do mercedesa i wskazał drogę do hotelu Belvedere, który stał na zboczu trzysta metrów dalej.

Jonathan jechał poniżej dziesięciu kilometrów na godzinę. Chodniki były niewiarygodnie zatłoczone. Żołnierze stali na każdym rogu, wybiórczo sprawdzając identyfikatory. Policjanci z owczarkami niemieckimi na krótkich smyczach patrolowali ulice. Droga wiała się przez miasto, wzdłuż butików z biżuterią i sklepów dla narciarzy, uroczych hotelików i kawiarni. Stromy podjazd wiódł do portyku Belvedere. Bariierka strzegła wjazdu. Po obu stronach biegła wysoka na trzy metry siatka zwieńczona zwojami drutu kolczastego. Jonathan zobaczył, że tymczasowe ogrodzenie niknie za hotelem, otaczając przyległe tereny.

Witamy w czerwonej strefie.

Zahamował. Uzbrojony strażnik zbliżył się i przeciągnął jego plakietkę przez ręczny czytnik. Bariierka się uniosła. Jonathan ruszył pod górę i zatrzymał się przed obrotowymi drzwiami. Po obu stronach stali żołnierze z pistoletami maszynowymi. W lusterku wstecznym zobaczył, że bariierka opadła. W jego uchu stuknięcie zabrzmiało niczym huk zatraskujących się na zawsze drzwi bankowego skarbcza.

Siedział za kierownicą, zastanawiając się, co zrobić. Czy spotkanie miało się odbyć w hotelu? Czy powinien zadzwonić do Jinna, czy tylko czekać? Dwunasta.

Żaden szwajcarski bankier nie był bardziej punktualny. Spojrzał w stronę szerokich schodów okrytych dywanem, prowadzących do wielkich obrotowych drzwi. Strażnicy pochylili się, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Jeden ruszył w jego stronę. Jonathan przełknął ślinę, świadom, że pot zbiera mu się na czole. Zajął się oglądaniem paznokci, rzucił okiem na krawat. Strażnik wrócił na posterunek i lustrował podjazd do hotelu, jakby samo jego spojrzenie, a nie trzymetrowy płot z drutem kolczastym, mogło powstrzymać intruzów.

W następnej chwili rozpętało się piekło. Gromada śniadych mężczyzn w czarnych garniturach wylała się drzwiami. Nie mógł ich zliczyć. Poprzestał na siedmiu. Wtedy go zobaczył. Wysoki, dostojny, elegancki, z cieniem zarostu.

Człowiek, który stąpał po wyższych gruntach niż reszta. Był z nimi i zarazem osobno. Ale to wyraz gniewnego oburzenia na dumnych rysach przyciągnął uwagę Jonathana. Dopasował twarz do zdjęcia, które widział w nocy. Parvez Jinn.

Nagle rozległ się krzyk. Jonathan przez chwilę myślał, że to alarm. Ale nie był to okrzyk strachu. Żaden zabójca czy zamachowiec samobójca nie został wyłapany przez radar. Przeciwnie. Krzyk radości. Parvez Jinn stał u stóp schodów, przyciskając do policzków kształtne dłonie. Wrzący gniew na jego twarzy ustąpił wniebowziętej minie.

- Mój wóz - powiedział po angielsku. - S-sześćsetka. Dzieło sztuki.

- V osiem? - zapytał ktoś.

Głos Jinna smagnął zuchwałego psa.

- V dwanaście!

W jednej chwili cała grupa rzuciła się do samochodu, okrążając go z szeroko otwartymi oczami, unosząc ręce nad karoserią, nie śmiejąc jej dotknąć. Jinn przeszedł wzdłuż pojazdu. Żaden klient nie miał bardziej krytycznego oka.

Jonathan opuścił szybę, żeby nikt nie zauważył śladów pozostawionych przez kule zabójcy. Sam wyklepał wgięty błotnik. Pracownik stacji obsługi znalazł pasujący czarny lakier. Nie wyszło idealnie, ale trzeba by położyć się na plecach pod podwoziem, żeby dostrzec różnicę w odcieniu. Potem mycie i detale. Pokrył opony pianką armor all tuż przed wjazdem w granice Davos. Z wyjątkiem szyby, wóz wyglądał na fabrycznie nowy.

Jonathan wysiadł.

Natychmiast zbliżył się szef ochrony, ale bez wrogości. Ukłonił się i ostentacyjnie uścisnął mu rękę, sławiąc piękno auta. Jonathan, sto osiemdziesiąt cztery centymetry wzrostu, uczesany z przedziałkiem, w nieskazitelnym garniturze, prezentował idealny wizerunek niemieckiego sprzedawcy samochodów. Kraj Mercedes-Benz był od dawna sprzymierzeńcem Islamskiej Republiki Iranu. Podszedł Jinn. Jeśli zdziwił go widok mężczyzny w miejscu Evy Kruger, nie okazał tego. Wyciągnął rękę do Jonathanana i zwrócił się do niego po angielsku: - Witam, przyjacielu.

- Evan Kruger - przedstawił się Jonathan, ujmując wiotką dłoń. Poczul, jak przebiegło przez nią drżenie, gdy Jinn usłyszał nazwisko. Irańczyk przysunął się ze sztywnym uśmiechem na przystojnej twarzy, i Jonathan szepnął: - Eva miała wypadek. Zostałem przysłany na jej miejsce. - Potem powiedział głośnie: - Z przyjemnością zademonstruję panu możliwości nowego pojazdu, panie Jinn.

Szef ochrony natychmiast przybliżył się do Jinna i wymienił w farsii szereg zastrzeżeń. Jonathan rozumiał tylko połowę, ale wyłapał sens. Minister technologii nie wsiądzie do wozu i nie pojedzie nigdzie sam, bez

ochrony. Parvez Jinn go odprawił. Nikt nie będzie mu mówić, co ma robić. Z lekceważącym ruchem ręki okrążył samochód i usiadł w fotelu pasażera.

- Jedziemy!

Jonathan skinął głową i otworzył drzwi po stronie kierowcy. Wszystko się zgadzało. Spotkanie miało odbyć się w samochodzie. Wymiana informacji wymagała prywatnego miejsca. Wóz był dobrym pomysłem, zarazem paszportem, umożliwiającym Evie Kruger wjazd do Davos, i zasłoną dymną, za którą Jinn mógł przekazać drugiej stronie swoje informacje zdrajcy.

Wsiadając do samochodu, Jonathan zauważył Hannesa Hoffmanna idącego podjazdem. Kormoran. Hoffmann miał szew nad okiem i kapelusz naciągnięty głęboko na czoło, żeby ukryć siniak. Ich oczy się spotkały. Hoffmann zaczął biec po oblodzonej drodze. Jonathan zatrzasnął drzwi. Silnik zamruczał i Jinn podskoczył w fotelu, jak Jonathan kilka dni wcześniej.

- Automatyczny zapłon - wyjaśnił, odgrywając swoją rolę. - Można zaprogramować na ręczny.

- Cudo. - Jinn rozglądał się z dumą po bogato wyposażonym wnętrzu.

- Mam prezent obiecany przez Evę - powiedział Jonathan, gdy wrzucił bieg i nacisnął gaz. - Sweter i oczywiście należność w gotówce.

- Proszę poczekać. - Jinn dał mu znak, żeby nie wyjmował pieniędzy, dopóki nie oddalą się od hotelu.

Jonathan podniósł szyby i przyciemnione szkło osłoniło wnętrze wozu.

Hoffmann próbował go zatrzymać, stając pośrodku drogi, ale Jonathan nie miał zamiaru zwalniać. Wciskając pedał gazu, nabierał prędkości. Hoffmann uskoczył i wpadł w zaspę.

Parvez Jinn był zbyt zajęty oglądaniem systemu nawigacji pokładowej, żeby to zauważyć.

## 65

Helikopter „Sikorsky” z maksymalną prędkością leciał nad doliną. W przeciwieństwie do podróży sprzed dwóch dni tym razem pogoda dopisywała i tylko lekki wiatr kołysał maszyną. Niebo przecierało się z minuty na minutę. Łaty błękitu pojawiały się i znikwały. Przez chwilę wyglądało słońce, ostre i oślepiające po dniach bezustannej szarości. Mrużąc oczy, von Daniken rozmawiał przez radio.

- Nazwisko Kruger - mówił do oficera dyżurnego w bazie ochrony Światowego Forum Ekonomicznego w Chur. - Jeśli osoba o tym nazwisku albo podobnym stawi się w punkcie kontrolnym, ma spotkać się z odmową wstępu na tereny Forum. Należy uznać ją za uzbrojoną i niebezpieczną. Użyć koniecznej siły. Natychmiast aresztować. Zrozumiano?

- Przyjąłem, panie inspektorze. Rozumiem.

W dole widział dwupasmową autostradę, która przecina dno doliny za miastem Klosters. Punkty kontrolne również były doskonale widoczne, zbiorowiska ludzi i sprzętu po obu stronach drogi. Dziesięć kilometrów w głębi doliny dostrzegł miasto. Davos. Liczba mieszkańców: pięć i pół tysiąca.

Wysokość: tysiąc osiemset metrów. Alpejska wioska na zboczu góry. Promienie słoneczne odbijały się od kopuły protestanckiego kościoła. Na szczycie góry dostrzegł szafirową gondolę kolejki Jakobshornbahn.

Radio zatrzeszczało.

- Inspektorze von Daniken, tu baza ochrony.

- O co chodzi?

- Jakiś Kruger już przybył. Imię: Evan. Przejechał przez punkt kontrolny w dolinie o jedenastej siedem. O jedenastej trzydzieści jeden w głównej placówce ochrony wydano mu nowy identyfikator.

- Mówi pan, że ten człowiek otrzymał nowy identyfikator?

- Raport oficera z posterunku kontrolnego stwierdza, że karta Krugera miała usterkę, wadliwy chip. Jest również wzmianka o błędzie w danych.

- Co to znaczy?

- Identyfikator wystawiono na nazwisko Eva Kruger, ale gość jest mężczyzną.

Ma dostarczyć sedana marki Mercedes-Benz Parvezowi Jinnowi, członkowi delegacji irańskiej.

Jinn, irański podżegacz. Von Daniken przypomniał sobie notkę dołączoną



do polecenia przelewu stu tysięcy franków szwajcarskich na konto Gottfrieda Blitza, vel Mahmouda Quitaba. „Dar dla P.J”. Teraz wiedział bez cienia wątpliwości, dla kogo przeznaczone były pieniądze, choć charakter powiązań dwóch mężczyzn pozostał niejasny.

Von Daniken wrócił myślą do artykułów, które czytał wcześniej, dotyczących zabójstwa bośniackiego watażki i libańskiego inspektora policji. Czy Ransom planował następne morderstwo? Jeśli tak, dlaczego miałyby dawać człowiekowi sto tysięcy franków i nowy wóz wart dwa razy tyle?

- Gdzie jest Evan Kruger?

- Chwileczkę, panie inspektorze. Muszę sprawdzić. Czekać, von Daniken kłął pod nosem.

- Jest w czerwonej strefie. Osiem minut temu wjechał na tereny hotelu Belvedere.

- Wyślij ludzi do hotelu - rozkazał von Daniken. - Otoczyć go jak najszybciej.

Nie przejmuj się zamieszaniem. Masz moją zgodę. Za cztery minuty siądę na południowym lądowisku. Każ komuś, żeby mnie stamtąd zabrał.

## 66

Powstała w roku 1291 Szwajcaria uważa się za najstarszą ciągłą demokrację na świecie. Rząd opiera się na tradycji parlamentu dwuizbowego i czerpie z konsytuacji amerykańskiej i brytyjskiej. Izbę niższą, czyli Radę Narodową, tworzy dwustu deputowanych wybieranych w zależności od liczby mieszkańców dwudziestu sześciu kantonów. Izba wyższa, zwana Radą Kantonów, składa się z czterdziestu sześciu reprezentantów, po dwóch z dwudziestu kantonów i po jednym z pozostałych sześciu półkantonów. Zamiast wybierać premiera z rządzącej partii większości, by pełnił funkcję szefa organu wykonawczego, parlament co cztery lata wybiera siedmiu członków do Rady Związkowej, w której miejsca są podzielone proporcjonalnie według reprezentacji każdej partii politycznej. Każdemu członkowi podlega jedno z siedmiu ministerstw, i co roku jeden z nich jest wybierany na prezydenta.

Alphons Marti, choć miał czterdzieści pięć lat, był najmłodszym członkiem Rady Związkowej. Nie miał zamiaru czekać sześciu lat na zajęcie fotela prezydenta. Stał się znany jako bojownik, najpierw w swoim rodzinnym kantonie Genewa, gdzie zlikwidował przestępczość zorganizowaną, a potem na poziomie międzynarodowym, gdy prowadził kampanię przeciwko amerykańskiej praktyce nadzwyczajnego przekazywania podejrzanych.

Siedząc za wielkim biurkiem w ten zimny piątkowy poranek, patrzył na papiery w ręce i bez cienia wątpliwości wiedział, że zawarte w nich informacje będą jego biletem do prezydentury.

Papiery przysły dziesięć minut wcześniej z Swisscomu i zawierały listę rozmów telefonicznych wychodzących i przychodzących z numerów należących do Marcusa von Danikena. Było ich łącznie trzydzieści osiem. Większość numerów należała do kolegów von Danikena z policji. Trzy razy Marti zobaczył swój numer, o ósmej pięćdziesiąt, gdy Onyx przechwycił listę pasażerów czarteru CIA, o dwunastej piętnaście, gdy amerykański odrzutowiec otrzymał pozwolenie na lądowanie w Szwajcarii, i o trzynastej pięćdziesiąt, gdy von Daniken zadzwonił, by skoordynować wyjazd na lotnisko.

Przesuwając palec po liście numerów telefonicznych, zatrzymał się na kierunkowym 001. Stany Zjednoczone. Numer kierunkowy 703 - Langley w

Wirginii. Numer należał do Centralnej Agencji Wywiadowczej Stanów Zjednoczonych.

Marti miał swój dowód.

Odłożył papiery i zadzwonił do Hardenberga, oficera śledczego, z którym rozmawiał wczoraj wieczorem.

- Gdzie jest von Daniken? Muszę z nim mówić.

- Helikopter zabrał go z Zurychu piętnaście minut temu - odparł Hardenberg. - Poleciał do Davos z Kurtem Myerem.

- Do Davos? - Martiemu twarz się wydłużyła. - Po co?

- Mamy namiary na Jonathana Ransoma. Najwyraźniej dostarcza samochód dla Parveza Jinna, irańskiego ministra technologii.

Marti ścisnął grzbiet nosa, aż zaboląło.

- Uprzedziliście ochronę w Davos?

- Tak sądzę.

- Jeśli dowiedzie się czegoś nowego, zadzwońcie do mnie natychmiast.

Marti rozłączył się, potem wybrał numer szefa policji federalnej.

- Tak, Herr Direktor - zaczął - mamy poważny problem. Człowiek zajmujący wysokie stanowisko w naszej organizacji został zidentyfikowany jako agent działający na korzyść obcego państwa. Człowiekiem, którego szukamy, jest Marcus von Daniken. Tak, też byłem zaskoczony. Nie wiadomo, komu można ufać.

Oderwał oczy od obciążającej listy i popatrzył przez okno. Jego spojrzenie powędrowało na wschód, w kierunku gór.

- Jak szybko może pan wysłać swoich ludzi do Davos?

## 67

Kim pan jest?

Parvez Jinn siedział sztywno w fotelu, mierząc wzrokiem Jonathana.

- Przyjacielem Ewy.

- Pracujecie razem?

- Od ośmiu lat.

- Aha - mruknął Jinn, próbując zdusić niezadowolenie z niespodziewanej zmiany planów. - Więc zna ją pan dobrze?

- Tak. - Jonathan mógł powiedzieć tylko tyle bez zdradzania swojej ignorancji.

Pięćdziesiąt metrów z przodu, pośrodku drogi, stał policjant kierujący ruchem.

- Co się jej stało? Dlaczego nie przyjechała? Jonathan przeniósł spojrzenie na Jinna.

- Nie żyje.

Wieść spadła na mężczyznę jak młot.

- Nie żyje? Kiedy? Jak? Nie mogę uwierzyć.

- W poniedziałek. Wspinała się z mężem. Zginął w wypadku.

- Z mężem? Oczywiście. Była zameżna. Frau Kruger. - Spuścił oczy i Jonathan zobaczył, że mocno zaciska usta.

- Dobrze się pan czuje? Jinn spojrzał na niego ostro.

- Oczywiście. Nie wiem, dlaczego miałbym czuć smutek po tym, co mi zrobiła.

Irańczyk patrzył prosto przed siebie. Jego usta poruszały się przez chwilę, ale nie padły żadne słowa. Ręka zacisnęła się mocno na podłokietniku, knykcie zbielały jak kreda. Doznał umiarkowanego szoku. Jonathan patrzył na niego, nienawidząc go. Miał ochotę strzelić Jinna w szczękę i wbić w szybę jego nikczemną głowę. Ten człowiek nie miał prawa opłakiwać Emmy.

Jonathan odwrócił wzrok, odzyskując kontrolę nad emocjami. Musiał oderwać myśli Jinna od Ewy Kruger - od Emmy - zanim Irańczyk kompletnie się załamie.

Przypomniał sobie informacje z Intelinka. Faktury. Potwierdzenia wysyłkowe.

Deklaracje celne.

- Otrzymał pan ostatnią dostawę, prawda?

Jinn skinął głową, ale nie od razu odzyskał mowę.

- Obiekt w Challus funkcjonuje - odezwał się słabym głosem. - Czteryście kaskad. Pięćdziesiąt pięć tysięcy wirówek. Zamknęliśmy wszystkie inne instalacje i przenieśliśmy wszystko tam, żeby zrealizować nasz cel.

Kaskady. Wirówki. Funkcjonujący obiekt. Podejrzenia Jonathana okazały się prawdą. ZIAG nielegalnie eksportował sprzęt wykorzystany do zamknięcia pełnego cyklu wzbogacania uranu. Ale dlaczego? W czym interesie? Gdyby to wiedział, byłby znacznie bliższy odkrycia tożsamości pracodawcy Emmy.

Przypominał sobie artykuły, które czytał zeszłej nocy, o Iranie pragnącym zostać potęgą nuklearną.

- Jaką macie wydajność?

- Cztery kilogramy miesięcznie wzbogacone do dziewięćdziesięciu sześciu procent.

- Wystarcza wam taki wynik? Nie można dojść do setki? Jinn obrzucił go lekceważącym spojrzeniem.

- Dziewięćdziesiąt sześć to znacznie więcej niż trzeba. Myślałem, że będzie pan pod wrażeniem.

- Ja... to znaczy... jesteśmy. - Jonathan czuł się tak, jakby błędził w ciemności po nieznanym domu, zawsze pół kroku od zderzenia się z meblem czy strącenia wazonu na podłogę. Musiał zachować większą ostrożność.

Jeśli Jinn zacznie podejrzewać, że nie jest kolegą Ewy Kruger, wtedy nie wiadomo, co zrobi. - A druga strona?

- Jaka druga strona? - Jinn robił się niespokojny. Już nie patrzył na niego z wcześniejszym szacunkiem.

Instynkt podpowiadał Jonathanowi, że celem tego spotkania nie było sprawdzenie obecnego statusu Iranu. Zostało zaaranżowane z innego powodu.

Przypuszczał, że chodziło o zapłatę. Pieniądze i mercedes w zamian za „złoto”. A „złotem” musiały być informacje. Jinn nie miał nic innego do zaoferowania.

- Wie pan - powiedział z naciskiem.

- Jeśli zastanawia się pan, czy mam to, o co prosiliście, to proszę się uspokoić.

Czy daliście mi inny wybór?

Jonathan spojrział na niego z ukosa.

- Wszyscy mamy robotę do wykonania. Jinn uśmiechnął się niewesoło.

- Wie pan, że każą ministrom uczestniczyć w egzekucji szpiegów? Francuzi nazywają to pour encourager les autres. Aby dodać ducha pozostałym. - Nie czekał na odpowiedź. Znalazł rytm i Jonathan uważał, żeby go nie zakłócić. - Gdy cię złapią, zaczynają od rodziny. Najpierw biorą najmłodsze. To dość humanitarne, jeśli takiego słowa można użyć w odniesieniu do plutonu egzekucyjnego. Pasza ma osiem lat. Jaśmin będzie następną. W zeszłym tygodniu skończyła trzynaście. Według nowego prawa, musi zacząć nosić czador w miejscach publicznych.

Dostanie czarną jedwabną chustę od Hermesa z Paryża. Pamiętaj, żeby powiedzieć o tym swoim analitykom w Wirginii, Londynie, Tel Awiwie czy skąd do diabła jesteś.

Przetarł oczy, gest zmęczenia, który wyrażał pełne rezygnacji pogodzenie się z losem.

- A tak w ogóle, gdzie ją znaleźliście? - zapytał. - Jest produktem jakiejś chorej szkoły, którą założyliście, żeby wykorzystywać ludzi takich jak ja? Czy tak? - Było to kolejne pytanie retoryczne. Jinn już znał wszystkie odpowiedzi.

Rozpracował swoją sytuację w koszmarnych szczegółach i chyba odczuwał ulgę, dzieląc się nimi z drugim człowiekiem. - Wiesz, to zabawne - podjął bez cienia uśmiechu - do dziś jakaś część mnie wierzy, że jej na mnie zależało. Wbrew wszystkiemu. Pomimo jej gróźb. Zdjęcia podpadają pod szantaż czy wymuszenie? A dokumenty bankowe? Wszystkie te łapówki, które mi wciskała?

Zabita przez góry, co? Nie sądzę, by coś innego mogło dokonać tej sztuki.

Jonathan milczał. Miał wrażenie, że Jinn mówi w jego imieniu. Światła zmieniły się na zielone. Ruszył dalej główną arterią miasta, zwaną Promenadę, i skręcił w stronę dworca. Jinn odzyskał panowanie nad sobą. Wyprostował ramiona i przyjął postawę zeloty, na jakiego musiał pozować.

- Przejdźmy do rzeczy - powiedział. - Poproszę o pieniądze, panie Kruger.

Jonathan podał mu kopertę. Uzupełnił sumę, jaką wydał, pieniędzmi z własnego konta.

- Sto tysięcy franków szwajcarskich.
- Czy dokonano przelewu na moje konto w Zurychu?
- Oczywiście - odparł, choć nie miał pojęcia, o co chodzi.
- Całe dwadzieścia milionów?

- Tak.

- To dla moich dzieci, wie pan - wyjaśnił Jinn. - Nie mogę tknąć pieniędzy, dopóki nie opuszczę kraju.

Irańczyk wyjął z kieszeni na piersi pendrive'a i położył go na konsoli.

- Wszystko jest tu. Lokalizacja naszych rakiet. Zakładów zbrojeniowych.

Obiektów produkcyjnych. Światłokopie naszego programu nuklearnego od A do Z. Wiem, co zamierzacie z tym zrobić. W Iraku popełniliście błąd. Nie chcecie go powtórzyć. Macie swój dymiący pistolet. Tym razem nikt nie powie, że nie mieliście dobrego powodu.

- Nasz dymiący pistolet?

- Tak, kimkolwiek jesteście. Amerykanami, Francuzami, Brytyjczykami, Izraelczykami. Nie ma znaczenia. Wszyscy chcecie tego samego. Wojny.

Jonathan wiedział z gazet dość, by się zorientować, jak musiała przebiegać jego rekrutacja. Zaczęło się w czasie jednej z podróży Jinna na Zachód. Niski rangą urzędnik w ministerstwie technologii miał za zadanie spotkać się z biznesmenem chętnym nawiązać kontakty handlowe z Iranem. Pierwsze spotkanie odbyło się w Bejrucie czy w Genewie? A może gdzieś indziej? To nie miało znaczenia. Z początku musiała być tylko jakaś sugestia. Dyskretna uwaga rzucona w czasie spotkania. Za określoną cenę ZIAG mógłby zaaranżować eksport pewnych „kontrolowanych technologii”. Oczywiście, Eva to zmontowała. Przynęta musiała być nieodparta dla takiego mężczyzny jak Jinn.

Od początku musiał widzieć możliwości. Szansę na awans. Na to, że zostanie patriotą rangi inżyniera A.Q. Khana, twórcy pakistańskiego programu atomowego. A nawet bohaterem narodowym. I wszystko to w połączeniu ze względami kobiety, niepodobnej do tych, jakie znał. Łapczywie rzucił się na jej ofertę.

Z początku ich relacje miały charakter zawodowy. Eva, Hoffmann i Blitz dopilnowali, żeby dostawy przybywały bez wypadku. Było ważne, żeby ustalić pozycję Jinna w oczach przełożonych. W powszechnym mniemaniu Parvez Jinn błyskawicznie wspinał się po szczeblach kariery. W ciągu sześciu miesięcy został ministrem technologii. Miał większą swobodę podróżowania. Bez wątpienia odwiedzał ZIAG w Szwajcarii. Wizyty zbiegały się z „błyskawicznymi safari” Emmy, jej niezapowiedzianymi wyjazdami do nieznanymi miejsc po zaopatrzenie. To w czasie jednej z tych wizyt Emma zarzuciła haczyk. Może zaproponowała wyjazd do Berna, żeby kontynuować rozmowy w bardziej prywatnym otoczeniu. Rozmowy, które

obejmowały odwiedziny w jej mieszkaniu, chłodzone kieliszki polskiej wódki i wszystko, co później się działo.

Posłużyła się najstarszą sztuczką świata. Kiedy mieli zdjęcia, dodali łapówki.

Przelewy na konto w Zurychu. Nawet ajatollahowie mogliby zrozumieć upadek z powodu takiej kobiety jak Eva. Jednak okazaliby się mniej wyrozumiali w kwestii brania łapówek.

Jinn był ugotowany.

Jonathan patrzył na siedzącego obok irańskiego urzędnika, gorączkowo liczącego pieniądze. Ty biedny sukinsynu, pomyślał z odnowioną nienawiścią.

Nie dorastałeś do pięt mojej żonie.

- To wszystko? - zapytał, obracając w palcach pendrive'a.

- Światłokopia programu nuklearnego mojego kraju. Pomyślałbym, że to wystarczy.

- Nic pan nie zataił? Możemy zatrzymać się i sprawdzić. Mam czas do końca świata.

- Jest jeszcze jedno. Rok temu weszliśmy w posiadanie czterech rosyjskich pocisków dalekiego zasięgu KH-55. Pociski są przechowywane w bazie lotniczej Karshun nad Zatoką. Każdy ma głowicę o sile dziesięciu kiloton. Jeśli nasze zakłady wzbogacania zostaną zaatakowane, nie zawahamy się ich użyć. Plan polega na zajęciu Jerozolimy i pól naftowych w Ghawar. Nasz prezydent planuje w przyszłym tygodniu wydać oświadczenie. Jestem tu, aby przygotować scenę.

Powiedz swoim panom, żeby zastanowili się dwa razy, zanim przystąpią do czynu.

- Przekażę wieści.

- A więc? - zapytał Jinn. - Gdzie są zdjęcia? Gdzie mój paszport? Muszę wiedzieć, że mogę się wydostać. Już nie jestem waszym pachółkiem. Eva obiecała, że wszystko odda.

Jonathan podał mu francuski paszport.

- Na zdjęcia będzie pan musiał poczekać. Eva je miała. Nie musi się pan martwić. To koniec operacji. Już nikt nie będzie pana niepokoić.

Wtedy zauważył zamieszanie. Oddział żołnierzy ustawiał barierki, żeby zablokować oba pasma. Policjanci tłoczyli się na chodniku, wyszczekując instrukcje dla pieszych. Jedni zawracali pospieszne, inni w panice kryli się pod murem. Kilka osób nawet upadło na ziemię i zakryło głowy rękami.



Zadzwoił telefon Jinna. Minister chrząknął i odebrał. Wbił spojrzenie w Jonathana. Rozłączył się po dziesięciu dręczących sekundach.

- Policja otoczyła hotel - powiedział Parvez Jinn. - Szukają człowieka, który przyprowadził mercedesa. Wygląda na to, przyjacielu, że mnie zabiłeś.

## 68

Jonathan patrzył prosto przed siebie. Oddział policji zbliżył się środkiem jezdni, celując z pistoletów w mercedesa. W lusterku wstecznym zobaczył podobny widok. Niewysoki, zdeterminowany mężczyzna w garniturze i płaszczu wyłonił się z grupy z przodu. Miał worki pod oczami, ale każdy jego krok zdradzał energię albo słabo zawoalowany gniew. Był to ten sam policjant, który dowodził szarżą na podjeździe Villi Principessa dwa dni temu.

- Dla kogo pan pracuje? - zapytał Jinn. - CIA? MI6? Mossad? Człowiek ma prawo wiedzieć, dla kogo umiera.

- Jestem jej mężem.

- Czym mężem?

Jonathan spojrział na niego z ukosa.

- Evy Kruger.

- Ale... - Rysy Jinna stwardniały. - Oddaj - zażądał. - Daj mi pendrive'a.

- Przykro mi. To nie wchodzi w rachubę.

- Ale policja go znajdzie... wszyscy będą wiedzieli, że ci go dałem. Muszę go odzyskać.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

Jonathan popatrzył na zbliżające się falangi policji i żołnierzy. Od początku planował się poddać, gdy tylko zdobędzie dowód. Teraz, pomyślał, miał pendrive'a z programem nuklearnym Iranu, a także szpiega, który mógł potwierdzić jego słowa o wypadkach ostatnich dni. Zrozumiał, że to jeszcze za mało. Policja skonfiskuje pendrive'a. Jinn wróci do swojej delegacji i zwieje z kraju. A on? Będzie zdany na siebie, odsiadując od dwudziestu lat dożywocia.

Miał tylko jedno wyjście. Musi wydostać się z miasta. Musi dać pendrive'a jedynym ludziom, którzy będą wiedzieli, co z nim zrobić.

Wrzucił wsteczny i zaczął cofać, klucząc wśród samochodów. Po dwudziestu metrach zahamował, wrzucił bieg, przekręcił kierownicę i skręcił w boczną drogę. Chwilę później zawyły syreny. Zobaczył kilku żołnierzy przyklękających na drodze z tyłu, z pistoletami maszynowymi opartymi o ramiona. To był łatwy strzał: trzydzieści metrów, żadnych przeszkód, droga prosta jak strzała. Ale nikt nie strzelił. Nie zachodziła potrzeba. Miasto było zamkniętą klatką.

Jonathan wcisnął gaz i mercedes wdarł się na stromy stok. Skręcił w lewo na szczycie. Jechał równolegle do Promenadę, mijając domy w stylu alpejskim i apartamentowce. Zatrzymanie go to tylko kwestia czasu. A on potrzebował czasu. Czasu do namysłu. Żeby opracować plan. Uknuć spisek. Był teraz jednym z nich. Członkiem grupy Emmy. Profesjonalistą.

- Stój! - krzyknął Jinn. - Zabijesz nas obu! Jonathan spojrział na niego kątem oka.

- Nie o ciebie się martwię.

Policyjny wóz wjechał na drogę za nimi. Zachowywał odległość, zadowolając się zamykaniem jednego końca pułapki. Jonathan skręcił. Droga zwęziła się, przeszła w jednopasmówkę. Korony sosen spotkały się nad jezdnią. Wyjechał poza oficjalne tereny Forum. W tej części wsi nie uprzątnięto śniegu. Lód pokrywał szosę, która ostro skręciła pod górę w cienisty las, a potem urwała się nagle. Ściana śniegu blokowała przejazd. Jonathan wcisnął hamulec i wóz zarzucił, zanim się zatrzymał.

Jinn sięgnął do drzwi, chcąc uciec. Jonathan włączył centralny zamek i ręką przycisnął Irańczyka do fotela.

- Siedź!

Cofnął się i zobaczył, że wóz policyjny tarasuje drogę. Po prawej było pastwisko, po lewej biegł szlak turystyczny. Jonathan szarpnął kierownicę w lewo. Drewniane płoty ciągnęły się po obu stronach szlaku. Ścieżka opadła, wyrównała, znowu opadła. Mercedes kołysał się na boki, uderzał w ogrodzenia.

Niezwykłe, Jonathan miał spokojny oddech, bicie serca tylko trochę przyspieszone. Śnieg to jego żywioł. Zamiast panikować, wziął się w garść. Lekko trzymał kierownicę, pilnując, żeby nie wykonać zbyt gwałtownego skrętu.

- Uważaj! - krzyknął Jinn.

Wprost przed nimi rodzice ciągnęli dzieci na spiętych sankach. Jonathan wcisnął hamulec, wóz zarzucił w lewo, ale się nie zatrzymał. Uderzył dłonią w klakson. Para spojrzała z przerażeniem i zaczęła biec. Jedno z dzieci zerknęło przez ramię i z uśmiechem pomachało rączką.

Jonathan znów nacisnął pedał hamulca, co sprawiło, że zupełnie stracił panowanie nad kierownicą. Nie było możliwości zatrzymania wozu.

Mercedes szybko zmniejszył odległość. Dwadzieścia metrów dzieliło go od rodziny. Piętnaście. Dziesięć. Matka pośliznęła się i upadła. Jej usta otworzyły się w bezgłośnym krzyku.

Z prawej strony pojawiła się ścieżka.

Jonathan skręcił. Zgubił ogon. Wcisnął pedał gazu i znów panował nad pojazdem. Opony odzyskały przyczepność, mercedes rwał do przodu. Ale tylko przez chwilę. Szlak opadał w cień sosen. Śnieg przemienił się w lód. Opony straciły przyczepność. Ślizgali się bezradnie bez kontroli. Tył zarzucił w lewo, potem w prawo o czterdzieści pięć stopni, gdy coraz szybciej sunęli w dół.

Jinn siedział z wybałuszonymi oczami, przyciskając rękę do sufitu, wrzeszcząc.

Samochód podskoczył, gdy zjechał ze ścieżki. Uderzył w coś twardego i odbił się jak kula bilardowa od bandy. Jonathan zobaczył przemykającą chatę.

Wszystko poruszało się za szybko. Zaciskał ręce na kierownicy i modlił się o życie. Tył podskoczył gwałtownie i nagle jazda stała się gładka. Zgrzyt ucichł, zapadła cisza. Jonathan zrozumiał, że lecą w powietrzu. Tył wozu opadł, maska wzniosła się jak czarna fala. Zamrugął, gdy słońce zaświeciło mu w oczy.

Samochód wylądował z okropnym łoskotem, przewrócił się na bok, przekoziółkował i spoczął na dachu.

Jinn był nieprzytomny, miał zamknięte oczy. Wbił zęby w wargi i krew spływała mu z ust, ale chyba nie odniósł innych obrażeń. Jonathan pchnął drzwi ramieniem i wyturlał się na ziemię. W uszach mu dzwoniło, lewą rękę miał zdrętwiałą. Drżąc, podniósł się na kolana. Mercedes spadł z krawędzi, stoczył się po krótkim stoku i wylądował na niewielkim pastwisku. W powietrzu pulsowało zawrodożenie tuzina syren, wszystkie zmierzały w jego stronę. Widział niebieskie światła błyskające wzdłuż ścieżki w lesie ponad nim. Zamrugął i zrozumiał, że widzi podwójnie. Pewny znak wstrząsu. Zmrużył oczy i ujrzał wszystko wyraźniej. Patrząc w dół, widział Davosstrasse pomiędzy tyłami sklepów i domów. Podniósł się i ruszył chwiejnym krokiem w tamtą stronę. Oszołomiony i odrętwiały, zachował dość przytomności umysłu, żeby sprawdzić, czy ma pendrive'a.

Dzięki Bogu, był.

Ciepłe tchnienie wiatru musnęło jego policzek, a potem został uniesiony w powietrze. Porwała go siła eksplozji. Wylądował na brzuchu, twarzą w śniegu. Podniósł się na łokciu i spojrział przez ramię. Mercedes stał w płomieniach, okna były wytłuczone, maska wygięta.

Nie wiedział, co się dzieje, czy wybuchł zbiornik z benzyną, czy stało się

coś groźniejszego. Na zboczu nad łąką, za płonącym samochodem, zatrzymał się radiowóz. Wskoczył z niego mężczyzna.

- Doktorze Ransom! - wrzasnął. - Stać. Nie ma pan dokąd uciec.

Był to oficer z Ascony, szpakowaty glina, którego widział ledwie parę minut temu na ulicy.

Jonathan pobiegł.

## 69

Von Daniken rzucił się w dół zbocza. Śnieg, głęboki po kolana i mokry, wpadał do skórzanych półbutów. Nie dbał o to. Wystawił wydziałowi rachunek za nową parę. Położył rękę na broni, potem ją odsunął. W ciągu trzydziestu lat służby nigdy nie wyciągnął broni i nie widział powodu, żeby robić to teraz.

Za nim na drogę wjechał drugi wóz policyjny. Wsiadło kilku funkcjonariuszy po cywilnemu. Nie znał żadnego z nich. Bez wątpienia z policji federalnej.

Zwrócił się do Myera.

- Niech postawią kordon na Davosstrasse, żeby Ransom nie wrócił na główną ulicę.

- Inspektorze von Daniken!

Von Daniken spojrział przez ramię. Znał ten głos. Uważnie przyjrzał się mężczyznom. Nigdy wcześniej ich nie widział.

- Proszę nie ruszać się z miejsca - przykazał znajomy głos. - Mamy nakaz aresztowania.

Von Daniken zareagował z opóźnieniem. To moja kwestia, pomyślał, gdy dopasował twarz do głosu. Zobaczył szczupłą postać pomiędzy samochodami.

Błada cera. Rude włosy, za długie u mężczyzny w tym wieku.

- Oskarżony o spiskowanie z zagraniczną służbą wywiadowczą - zawołał Alphons Marti. - Wracaj do samochodu, Marcusie, bo każę swoim ludziom zatrzymać cię siłą.

Von Daniken brnął dalej przez śnieg. Nakaz aresztowania. Śmieszne. A jednak w głębi duszy czekał, aż młot spadnie. Chodziło nie tylko o to, co rano powiedział mu Tobi Tingeli, choć to przypieczętowało sprawę. Wiedział już dwa dni temu, wieczorem, gdy Marti nie pozwolił mu zwerbować policjantów do poszukiwania drona.

Obejrzał się na Kurta Myera, ale już go zabrali i wsadzili na tył radiowozu.

- Oskarża mnie pan o szpiegostwo? - zapytał.

- Prawo oskarża. Ja tylko je egzekwuję.

Von Daniken przeniósł spojrzenie z Ransoma na Martiego. Kilku jego ludzi schodziło po zboczu. Jeden z nich nawet wyciągnął pistolet.

Amerykanin biegł w przeciwną stronę, oddalając się od samochodu.

- Nie powstrzyma go pan? To jego szukamy!

- Nie dziś, Marcusie. Dziś ty jesteś podejrzanym numer jeden.

W tym czasie tłum zebrał się na skrajach łąki. Kilka osób biegło w stronę samochodu, jakiś mężczyzna niósł gaśnicę. Ransom kluczył wśród nich, zwalniając kroku, coraz bliżej wolności.

Von Daniken ruszył przez łąkę, przyspieszając do truchtu.

- Ransom! - zawołał. - Stój! Słyszysz mnie?

Z każdą sekundą na scenie zdarzenia przybywało żołnierzy i policjantów. Nie mniej niż dziesięciu umundurowanych mężczyzn szło po zachodniej stronie łąki.

Rozchodzili się promieniście, zmierzając do płonącego wozu. Von Daniken pomachał do nich ręką.

- Tam jest! - krzyknął, wskazując Ransoma. - W ciemnym garniturze. Wysoki brunet.

Spojrzenia policjantów przeniosły się z von Danikena na Martiego. Wszyscy znali z widzenia członków Bundesrata. Jako członek siedmioosobowej Rady Związkowej, która rządziła krajem, Marti był wybitną postacią. Nie odważyliby się nie posłuchać jego rozkazów.

Marti wyszczał komendę do jednego z podwładnych, który przekazał wiadomość przez krótkofalówkę. Zgromadzeni żołnierze zignorowali Ransoma i przybliżyli się do von Danikena. Opierając ręce na kolanach, szef Służby Analiz i Prewencji, jeden z najwyższych postawionych funkcjonariuszy policji w kraju, zatrzymał się i czekał jak pospolity przestępca.

- W porządku - wysapał. - Dajcie mi chwilę.

Wyprostował się i popatrzył przez śnieżną łąkę. W dali spostrzegł zarys ciemnej postaci. Czarnej jak krucze skrzydło. Potem zniknęła. Ransom uciekł.

## 70

Jonathan przemykał z cienia w cień, kryjąc się w ciemnych zakamarkach i wnękach drzwi, w wilgotnych zaułkach i bezludnych przejściach. Głowa go bolała po wybuchu i wiedział, że ma siniaki na żebrach. A jednak był wolny, a wolność podnosiła na duchu. Miał tylko jeden cel: wydostać się z miasta.

Szedł boczną ulicą, śliską od czarnego lodu. Chciał jak najszybciej oddalić się od centrum. Jeśli to w ogóle możliwe, ulice patrolowało jeszcze więcej policjantów niż wtedy, gdy przybył do miasta. Nie minęła minuta, by żołnierz czy policjant nie wyrastał jak spod ziemi, spiesząc na wzgórze. Kolumna czarnego dymu ściągała wszystkich niczym latarnia. Zespoły ochroniarzy waliły do czerwonej strefy jak do bitwy.

Minął kilka domów, garaż i warsztat elektryka. Zmuszał się, by iść niedbałym krokiem. Z jednej strony chciał pędzić, jakby diabeł deptał mu po piętach, z drugiej zaś miał ochotę wpełznąć do jakiejś piwnicy, skulić się i schować.

Najgorsze było trudne do opanowania pragnienie oglądania się przez ramię.

Kilka razy czuł, że ktoś go śledzi, ale po zlustrowaniu chodników nie dostrzegł ogona za plecami.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył stromą ścieżką pomiędzy kilkoma alpejskimi domkami. U stóp wzgórza ścieżka się rozszerzyła. Po lewej stronie znajdował się stadion z lodowiskiem do gry w hokeja. Po prawej biegła droga prowadząca na dworzec. W pobliżu torów stało kilka radiowozów. Wydostanie się z Davos pociągami nie wchodziło w rachubę.

Zastanawiał się, dokąd pójść. Im bardziej uczęszczana droga, tym większe prawdopodobieństwo, że natknie się na policję. Potrzebował spokoju. Musiał pomyśleć. Przeskoczył przez niskie ogrodzenie wokół długiej drewnianej chaty.

Smród nawozu sączył się zza ścian zrobionych z grubsza obciosanych bali.

Słuchając muczenia krów i szelestu słomy, szedł na tyły obory.

Zatrzymał się nagle.

Znowu to samo. Mrowienie u podstawy karku. Był pewien, że ktoś go obserwuje.

Przycisnął plecy do ściany, wysunął głowę zza węgła i spojrzał na



ścieżkę.

Nikogo nie zobaczył.

Oparł głowę o drewno, nakazując sobie zachowanie spokoju. Wyjął pendrive'a z kieszeni. To jego klucz do wolności. Pozostało pytanie: Kto ma zamek?

Wziął się w garść, planując następne kroki. Znajdzie kryjówkę, zaczeka do nocy, a potem ruszy w góry. Większość przemówień wygłaszano po szóstej wieczorem. Gdy goście zgromadzą się w Kongresshaus, ulice będą spokojniejsze i być może siły policyjne zostaną zredukowane. Przekradnie się za Promenade, tam będzie bezpieczniej. Ogrodzenie wokół miasta miało tylko dwa metry wysokości. Pokona je w dziesięć sekund. Rankiem będzie w Landquart, gdzie wszystko się zaczęło. Stamtąd pojedzie pociągiem albo stopem do Zurychu.

Zamarł, pewny, że jest obserwowany.

Odwrócił się w stronę ulicy i stanął twarzą w twarz ze szczupłym, niewysokim mężczyzną. Mężczyzna miał na sobie ciemny kombinezon narciarski, ale Jonathan wiedział, że nie jest narciarzem. Czarne oczy przyglądały mu się pytająco, jakby czekając na wyjaśnienie. Jonathan natychmiast rozpoznał twarz.

Człowiek z pociągu.

Zabójca poderwał rękę ze sztyletem. Jonathan zrobił unik, popychając mężczyznę w bok. Nóż. Oczywiście. Nikt nie mógłby przejść z bronią palną przez kordon ochrony. Zabójca uderzył w ścianę i opadł na kolano.

Jonathan nie podjął wyzwania. W ciągu paru dni dwa razy wystawił szczęście na próbę i w obu przypadkach nie wyszedł bez szwanku. Z jego punktu widzenia sytuacja nie była korzystna.

Pobiegł.

Przemknął wzdłuż obory, skręcił w wąskie przejście oddzielające ją od stodoły. Wrócił na brukowaną drogę, pędząc co sił w nogach. Po stu metrach dotarł do rozwidlenia. Wybrał odnogę prowadzącą na wzgórze. Z przodu widział samochody i pieszych na Davosstrasse. Spojrzał przez ramię. Na ulicy było pusto. Zabójca zniknął. Zwolnił do normalnego kroku.

Na rogu parkowały dwa radiowozy. Za nimi wznosiło się ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym. Był to punkt kontrolny strzegący dostępu ze strefy zielonej do czerwonej.

Jonathan wsunął się za garaż firmy zajmującej się dystrybucją piwa. Na placu stały rzędy beczulek i skrzynek ustawionych po cztery. Wszedł w

labirynt i często skręcając, trafił w ślepią uliczkę. Nie mając dokąd pójść, usiadł na skrzynce. Przez chwilę czuł się bezpieczny.

Otulił się płaszczem i zaczął rozpatrywać możliwości. Lista okazała się przygnębiająco krótka. Nie mógł czekać do zmierzchu. Jeśli zabójca raz go znalazł, znajdzie go znowu. Ukrywanie się nic nie da. Pograżony w cieniu, zadrżał z zimna.

Gdyby tylko mógł zaczekać do zmroku... dopóki nie złączą się przemówienia.

Wieczorem Paul Noiret miał wygłosić mowę na temat korupcji w Trzecim Świecie. Jeśli Paul tu był, Simone też.

Otrząsnął się z chwilowego marazmu, wyjął telefon Blitza i wystukał numer.

- Allo.

- Simone - mówił jednym tchem - tu Jonathan.

- Boże, gdzie jesteś?

- W Davos. Wpakowałem się w kłopoty. A ty gdzie jesteś?

- Też tu oczywiście. Z Paulem. Jesteś bezpieczny?

- Na razie. Ale muszę się stąd wydostać.

- Dlaczego? Co się stało? Mówisz tak, jakbyś się bał.

- Widzisz tę chmurę dymu niedaleko od Belvedere?

- To na wprost mojego hotelu. Słyszałeś wybuch? Oboje z Paulem sądzimy, że to bomba. Nie pozwolił mi wyjść z pokoju.

- Możliwe, że bomba.

Wracając myślą do eksplozji, uświadomił sobie, że zbiornik paliwa nie miał powodu eksplodować i że wybuch był znacznie potężniejszy, niż mógłby to usprawiedliwić na wpół opróżniony bak. Przypominał wybuch pocisku artyleryjskiego. W samochodzie musiała być bomba. Jonathan nie wiedział, jak została odpalona ani dlaczego policja w punkcie kontrolnym nie znalazła materiałów wybuchowych. Wiedział tylko, że eksplozja wyrwała silnik i wygięła karoserię, jakby była z tektury.

- Chcesz powiedzieć, że wiesz coś o tym? - zapytała Simone.

- Siedziałem w samochodzie pół minuty przed tym, zanim wyleciał w powietrze. Posłuchaj, Simone, musisz mi pomóc. Czy Paul ma wóz?

- Tak, ale...

- Słuchaj, nic nie mów. Jeśli się nie zgodzisz, zrozumieć. - Jonathan zmuszał się, żeby mówić powoli. - Musisz wywieźć mnie z miasta. Muszę jechać do Zurychu. Jeśli ruszysz teraz, zdążysz wrócić na wystąpienie Paula.

- Co mam mu powiedzieć?
- Prawdę.
- Ale ja nie znam prawdy.
- Powiem ci wszystko w samochodzie.
- Jon, stawiasz mnie w trudnej sytuacji. Mówiłam ci, żebyś wyjechał z kraju.
- Wyjadę, gdy tylko dostanę się do amerykańskiego konsulatu.
- Do konsulatu? Ale po co? Wydadzą cię szwajcarskiej policji.
- Może tak. Może nie. Mam coś, co pozwoli mi zyskać na czasie.
- Co takiego? Znalazłeś w końcu dowód?
- To nieważne - warknął, tracąc cierpliwość. - Zrobisz to?
- Nie mogę powiedzieć Paulowi. Nie zgodzi się.
- Gdzie jest teraz?
- Z kolegami, przygotowuje się do wystąpienia.
- Zrób to dla Emmy.
- Gdzie jesteś?
- Jedź Davosstrasse do biura turystycznego. Skręć w lewo i jedź do stóp wzgórza. Po lewej stronie zobaczysz starą stodołę, z przodu stoi koryto, a z tyłu rdzewiejący traktor. Tam będę czekać.
- No dobrze. Daj mi pięć minut - odparła Simone po chwili wahania. Srebrny renault podjechał do stodoły. Simone opuściła szybę.
- Jonathan! - zawołała. - Jesteś tam?
- Odczekał parę sekund, patrząc na drogę za nią, sprawdzając, czy nikt jej nie śledził. Nie dostrzegł żadnego auta, ale nie od razu opuścił kryjówkę. Był pewien, że gdzieś tam jest zabójca.
- Wreszcie wyskoczył zza szopy po drugiej stronie drogi i przypadł do samochodu.
- Otwórz bagażnik - polecił, stukając w okno po stronie pasażera. Simone podskoczyła.
- Szybko - dodał. - Ktoś mnie śledzi.
- Kto? Gdzie? Widziałeś go?
- Dokładnie nie wiem, ale jest blisko.
- Mówią, że w samochodzie zginął irański minister. Parvez Jinn. Dziś miał wygłosić główne przemówienie.
- Jonathan skinął głową.
- Bagażnik.
- Powiedz mi, w co się pakuję.

- Znalazłem się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

Pospiesz się!

Simone po namyśle pokiwała głową. Chwilę później otworzyła bagażnik.

- Zatrzymaj się w Landquart, żeby mnie wypuścić - powiedział. -Wtedy wszystko ci wyjaśnię.

Pospieszył na tył wozu, ulokował się w bagażniku i zatrzasnął klapę.

## 71

Mam go - powiedziała cicho Simone Noiret do telefonu komórkowego. - Zabiorę cię tam, gdzie uzgodniliśmy.

Rozłączyła się, potem ściszyła radio.

- Trzymasz się? - zawołała przez ramię. - Słyszysz mnie?

Odpowiedział jej stłumiony głos i dwa stuknięcia. Bagażnik mógł być ciasny, ale powietrza z powodzeniem wystarczy na czas krótkiej jazdy. Przecież nie zamierzała wieźć Jonathana do Zurychu.

Od ponad dwóch lat Simone Noiret pracowała nad zinfiltrowaniem Dywizji.

Może wydawać się dziwne, że zwróciła się przeciwko własnemu krajowi, ale ostatnio świat stał się zdecydowanie dziwnym miejscem. Rywalizacja pomiędzy organizacjami miała przebieg równie ostry, jak pomiędzy wrogimi państwami.

Urodziła się jako Fatima Françoise w dzielnicy Queens w Nowym Jorku. Była córką francuskiej Algierki i Egipcjanina. Jej najwcześniejsze wspomnienia dotyczyły pieniędzy, a raczej kłótni na temat ich braku. Ojciec był sympatycznym dusigroszem. Zlewała się potem na myśl o wyrwaniu marnych dziesięciu dolarów z jego zaciśniętej garści. W wieku osiemnastu lat wstąpiła do wojska, bo przed nią zrobił to jej brat. Dzięki zdolnościom językowym trafiła do wywiadu. Poza francuskim, arabskim i angielskim znała farsi. Przeszła szkolenie w Fort Huachuca w Arizonie i ukończyła Wojskowy Instytut Języków Obcych w Monterey, a potem została wysłana do Niemiec. Wyjechała stamtąd w stopniu sierżanta. Dzięki oszczędnościom i z pomocą wojska, które opłacało chesne, uczęszczała na Uniwersytet Princeton, gdzie z wyróżnieniem ukończyła studia bliskowschodnie.

Niespełna miesiąc później odebrała telefon i została zaproszona na spotkanie z przedstawicielem CIA. Gość mówił bez ogródek. Zarząd operacji miał Simone na oku od czasu jej służby w wojsku. Zaproponowali jej pracę za granicą. Czyste, proste szpiegowanie. Nie jak w filmach, ale naprawdę. Miałyby przejść kurs na Farmie, w ośrodku szkoleniowym CIA pod Williamsburgiem w Wirginii. Jeśli zda, przejdzie dalsze szkolenie na tajnego agenta. Mężczyzna powiedział, że chce znać odpowiedź w ciągu dwudziestu czterech godzin. Od razu wyraziła zgodę.

Działo się to jedenaście lat temu.

To admirał Lafever, zastępca dyrektora do spraw operacji, poprosił Simone o dołączenie do jego osobistej krucjaty przeciwko Dywizji. Nie mogła odmówić, a poza tym chętna była podjąć nowe wyzwanie. Wszelkie ślady jej pracy w CIA zostały wymazane. Stworzono prostą legendę: jest nauczycielką, jedną z gromady Europejczyków, którzy podróżują z kraju do kraju, zajmując zwolnione stanowiska w kolejnych amerykańskich szkołach. Praca męża w Banku Światowym stanowiła naturalną przykrywkę.

Przyjechała do Bejrutu miesiąc przed Emmą. Chcąc nawiązać znajomość, pomogła Emmie załatwić kwatery dla misji Lekarzy bez Granic, która służyła jako jej przykrywka. Przyjaźń przyszła w sposób naturalny. Ostatecznie obie miały wiele wspólnego. Ciągnie swój do swego, można by rzec. Nie minęło dużo czasu, a rozmawiały z sobą codziennie.

Przez cały czas Simone obserwowała.

Demaskowała członków sieci Emmy jednego po drugim, choć nie zdążyła zapobiec wybuchowi w szpitalu, w którym zginął libański inspektor policji prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa premiera Libanu.

W Genewie kontynuowała pracę. Zaledwie miesiąc temu zidentyfikowała Theo Lammersa jako członka nowej siatki Emmy. Przekazała wiadomość Lafeverowi i tym razem Lafever się nie wahał. Zawsze liczyła się z tym, że może dojść do zabójstwa. W czasie poprzednich zadań zwykle tak bywało.

Simone minęła bez przeszkód dwa punkty kontrolne, zatrzymując się i pokazując dokumenty. W obu punktach patrzyła w oczy kontrolera, nie całkiem z szacunkiem. Za każdym razem została szybko odprawiona.

Zamiast skręcić w prawo na autostradę, która wiodła w kierunku zachodnim do Landquart, pojechała na wschód, w głąb doliny. Wiedziała, że Jonathan się nie zorientuje, bo na tej trasie skręcała co chwila. A gdyby nawet, to nie miało znaczenia. Bagażnik był zamknięty.

Nigdzie nie pojedzie.

Biedaczysko.

## 72

Alphons Marti stał na wzgórzu nad łąką, wsparty pod boki niczym zwycięski generał.

- Myślałeś, że nie sprawdzę, kto dał cynk CIA? Wiesz, jak ogromnie mi zależało na przygwoźdzeniu Amerykanów. Za długo korzystali z naszej przestrzeni powietrznej, przerzucając podejrzanych do swoich tajnych więzień.

Robi mi się niedobrze na myśl o niewinnych ludziach, których uprowadzili, i o zniszczonym życiu.

- Od kiedy są niewinni? - parsknął von Daniken. - Amerykanie zapobiegli niejednemu atakowi. Ich system zdaje egzamin.

- Tak nam wmawiają. Wielcy i potężni, a jednak zawsze gotowi zdeptać prawo, gdy im to odpowiada. Tym razem ich mieliśmy. Gassan był w samolocie.

Mieliśmy idealną okazję, żeby pokazać światu, co znaczy Szwajcaria.

- Pod jakim względem? W przeszkadzaniu wojnie z terroryzmem?

- Wojnie z terroryzmem? Nie masz pojęcia, jak gardzę tym frazesem. Nie, chodzi mi o przyzwoitość, uczciwość i prawa szarego człowieka. Myślę, że to podstawowe wartości najstarszej ciągłej demokracji świata. Nie sądzisz?

Von Daniken wstrząsnął się z obrzydzenia.

- Nie będę udawać, że wierzę, iż kogokolwiek obchodzi, co o tym myślę.

Wiem tylko, że to Gassan powiedział CIA o planowanym ataku na naszej ziemi.

- A co z tym? Zbliżyłeś się do znalezienia drona?

- Znacznie.

Odpowiedź zaskoczyła Martiego.

- Tak?

- Furgonetka użyta do przewiezienia BSP została sfotografowana przez jedną z naszych kamer monitorujących, gdy wczoraj w nocy przejeżdżała przez Zurych.

W tej chwili policja zuryska przeczesuje osiedla wokół lotniska, wypatrując samochodu.

- Wbrew moim rozkazom.

- Dokładnie. Powinienem dwa dni temu powiedzieć, żeby się pan pieprzył.

Wiedziałem, że coś panu chodzi po głowie. Niestety, nie wiedziałem, jaki z pana zdrajca.

- Zdrajca? - Marti poczerwieniał. - To nie ja skontaktowałem się z CIA.

- Nie - powiedział von Daniken. - Zrobił pan coś gorszego.

- Mam tego dość. Jesteś skończony, Marcusie. Umyślnie zdradziłeś moje zaufanie. Przekazałeś tajne informacje obcemu rządowi. Oddaj broń moim ludziom. - Po obu stronach Martiego stali oficerowie Federalnej Służby Bezpieczeństwa przydzieleni mu do ochrony. Minister zwrócił się do jednego z nich: - Skuć go. Moim zdaniem, istnieje ryzyko ucieczki. - Popatrzył na von Danikena. - Może zadzwonisz do swojego przyjaciela Palumbo i zapytasz, czy nie wyciągnie cię z tego szamba?

- Chwileczkę. - Coś w głosie von Danikena sprawiło, że ludzie nie ruszyli się z miejsca. Biernie przyglądali się wojnie pomiędzy swoimi zwierzchnikami.

- Dalej, skuć go - polecił Marti.

Von Daniken zrobił krok do przodu i położył dłoń na przedramieniu Martiego.

- Chodź ze mną. Musimy pogadać.

- Do diabła, co ty sobie wyobrażasz? Von Daniken zacisnął rękę.

- Zaufaj mi. To coś, co musi zostać między nami.

Jeden z ochroniarzy ruszył w ich stronę, ale Marti pokręcił głową. Von Daniken poprowadził go w dół wzgórza, z dala od funkcjonariuszy.

- Furgonetka nie jest jedynym odkryciem, jakiego dokonaliśmy - powiedział, gdy przeszli dwadzieścia metrów. - Trop pieniędzy wypłacanych Lammersowi i Blitzowi doprowadził nas do pewnego zagranicznego funduszu otwartego przez bank Tingeli. Zdaje się, że znasz Tobiego, prawda? Czy nie studiowaliście razem? Obaj skończyliście prawo, jak sobie przypominam. Tobie z początku nie kwapił się do pomocy. Musiałem mu przypomnieć o obowiązkach obywatela Szwajcarii.

- Bez wątplenia łamiąc prawo - warknął Marti, wyszarpując rękę. Von Daniken zignorował komentarz.

- Jak z pewnością ci wiadomo, bank, do którego należy fundusz, przechowuje wszystkie wyciągi z kont swoich klientów. Tobie był uprzejmy dać mi kopie comiesięcznych wyciągów... dla dobra publicznego. Obaj byliśmy zaskoczeni, gdy zobaczyliśmy, że kapitał założycielski funduszu pochodził nie z Teheranu, lecz z Waszyngtonu.

- Z Waszyngtonu? To śmieszne.



- Z konta należącego do amerykańskiego Departamentu Obrony.  
- Ale Mahmoud Quitab był irańskim oficerem. Sam mi to powiedziałeś. -  
Gdy Marti zrozumiał, że to prowadzi donikąd, zmienił taktykę. - Tak czy siak, Tobi nie miał prawa ujawniać takich informacji. Złamał wszelkie możliwe bankowe prawa ochrony danych.

- Być może - odparł von Daniken. - A jednak jestem pewien, że twoi koledzy z Rady Związkowej chętnie poznają nazwiska kilku osób finansowanych przez fundusz. Musisz wiedzieć, że wytropiliśmy parę wpłat na prywatne konto w berneńskim oddziale Narodowego Banku Szwajcarskiego. Masz tam konto, prawda? Numer 517620... uf, pomożesz mi?

Martiemu twarz pobrała.

Von Daniken mówił dalej: - Od dwóch lat dostajesz pięćset tysięcy franków miesięcznie z funduszy Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych. Nie mów mi nic o zdradzie. Ty jesteś płatnym agentem na usługach obcego rządu.

- To absurd!

- Całe twoje gadanie o przygwożdżeniu CIA i zrobieniu wstydu Ameryce to mydlenie oczu. Chciałeś zwinąć Gassana z tego samolotu w Bernie, żeby nie został przesłuchany przez CIA. Nie chciałeś, żeby przekazał Palumbo jakiegokolwiek informacje o ataku.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. O jakim ataku tym razem? - Marti odwrócił się w stronę swoich ludzi, żeby ich przywołać.

- Nawet o tym nie myśl - wycedził von Daniken, wyjmując kartkę z kieszeni. - Wszystko jest tutaj czarno na białym. Konto 517623 AA. Konto numerowe, ale nawet one już nie są anonimowe. Spójrz, jeśli mi nie wierzysz.

Marti obejrzał dokument.

- Nie przejdzie w sądzie. Niedopuszczalny dowód. Nie do przyjęcia.

Wszystko.

- Kto mówi o sądzie? Już wysłałem kopię pocztą elektroniczną do pani prezydent, z załączoną notką w sprawie naszego dochodzenia. Nie sądzę, że będzie chciała mieć szpiega w rządzie. A ty jak myślisz?

- Ale... ale... - Marti spuścił głowę. Von Daniken wyjął papiery z jego ręki.

- Zatem, Alphonsie, co takiego robi Jonathan Ransom?

- Nie wiem.

- Nie wiesz czy nie chcesz powiedzieć?
- Wiem tylko, że chcieli usunąć go z drogi. On nie bierze w tym udziału.
- W czym? Nie kłam. Gdzieś czai się banda terrorystów z dronem, który w ciągu czterdziestu ośmiu godzin ma uderzyć w samolot.
- Mówiłem ci. Nic nie wiem o dronie.
- W takim razie, co wiesz? Nie dostajesz pięciuset tysięcy franków miesięcznie za kręcenie młynka palcami. Kto? Dlaczego? Od kiedy? Jeśli możesz mi powiedzieć coś, co pomoże zapobiec atakowi, to najważniejsza chwila. Masz jedyną szansę, żeby złagodzić oskarżenie.
- Powiem ci - odparł Marti po długim milczeniu - ale jeśli ktoś spyta, wszystkiemu zaprzeczę.
- Von Daniken czekał. Marti westchnął.
- Nie wiem nic o ataku. Zależało im na licencji eksportowej. Udzielenie zgody leży w gestii ministra sprawiedliwości.
- Komu zależało?
- Johnowi Austenowi.
- Kto to taki?
- Przyjaciel. Współwyznawca.
- Nie wciskaj mi kitu. Kim on jest?
- Generał brygady amerykańskich sił powietrznych, szef Agencji Obronnego Wywiadu Osobowego. W rzeczywistości jego zadanie polega na kierowaniu ściśle tajną jednostką zwaną Dywizją. Dwa lata temu jego organizacja zaaranżowała zakup firmy w Zug, zwanej ZIAG, która produkuje wysokiej klasy sprzęt elektromechaniczny. ZIAG wysyłał produkty do Parveza Jinna w Iranie.
- Moje zadanie polegało na wyrażeniu zgody. Ale to już skończone.
- Jakie produkty?
- Marti popatrzył na von Danikena, jakby pytanie było osobistą obrazą.
- A jak myślisz?
- Jestem policjantem. Wolę, gdy przestępcy składają zeznania.
- Wirówki. Stal typu maraging. Takie rzeczy. Dopilnowałem, żeby wszystkie papiery wędrowały odpowiednimi kanałami i żeby nikt z odprawy celnej nie przyglądał im się uważnie.
- Chcesz powiedzieć, że chodzi o urządzenia potrzebne do wzbogacania uranu i budowy broni jądrowej?
- Marti skinął głową.
- Nie moja sprawa, co z tym zrobią.

- A co z atakiem?

- Mówiłem ci. Nic nie wiem o ataku. Równie mocno jak ty chcę zapobiec wystrzeleniu drona.

Von Daniken myślał nad tym, mrużąc oczy. Próbował zrozumieć, dlaczego Stany Zjednoczone miałyby udaremniać własne wysiłki mające na celu niedopuszczenie, by Irańczycy weszli w posiadanie technologii do produkcji broni jądrowej. Odtworzył wypadki ostatnich dni - morderstwo Blitza i Lammersa, odkrycie drona i materiałów wybuchowych, a teraz rewelacja, że należąca do Amerykanów firma w Szwajcarii zaopatrywała Iran w najnowocześniejsze urządzenia do produkcji broni nuklearnej.

Powoli coś zaczynało mu świtać.

Potworna myśl.

Spojrzał na Martiego z nową, głęboką nienawiścią.

- Dlaczego?

Ale Alphons Marti nie odpowiedział. Zacisnął ręce i pochylił głowę, jak gdyby w modlitwie.

## 73

O pierwszej Sepp Steiner, szef pogotowia ratunkowego w Davos, wyszedł z biura położonego na wierzchołku Jakobshorn, dwa tysiące dziewięćset pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza. Prognozy pogody zapowiadały nadciągający z południa układ wysokiego ciśnienia, ale na razie niebo było przymglone i groźne jak zawsze. Przeszedł na drugą stronę budynku i sprawdził barometr. Igła wskazywała osiemset osiemdziesiąt milibarów.

Temperatura: minus cztery stopnie Celsjusza. Puknął w szkło palcem i igła barometru skoczyła do dziewięćset pięćdziesięciu.

Zadarł głowę i przyjrzał się chmurom. Przez trzy dni niebo przypominało morze w czasie bezwietrznej pogody. Dziś rano zaszła zmiana. Powietrze zrobiło się znacznie bardziej suche. Wiatr zmienił kierunek. Wiał z południa.

Steiner wrócił do biura i zabrał lornetkę - nikona 8X50 - z którą, jak żartowali koledzy, wyglądał niczym dowódca czołgu. Podniósł ją do oczu i omiótł górę ze wschodu na zachód. Po raz pierwszy od tygodnia dostrzegł szczyty nad Frauenkirch. Zatrzymał wzrok na Furdze, skierował szkła na Kraniec Romana, niemal pionowy żleb, gdzie dawno temu zginął jego starszy brat. Kobieta wciąż tam leżała, głęboko w szczelinie. Gdyby chodziło o jego żonę, Steiner nie chciałby, żeby na wieki spoczywała w lodzie.

Wiatr osłabł. Wprost nad jego głową chmury się rozerwały i ujrział lazurowe niebo. Wrócił truchtem do stacji meteorologicznej. Termometr wskazywał minus dwa stopnie. Nadciągnął ciepły front.

Wbiegł do środka, włączył radio i wezwał swoich ludzi.

Pora wrócić do Romana.

Trzy godziny później grupa Steinera dotarła do garbu, gdzie ostatnio widziano Emmę Ransom. Weszli szlakiem używanym tylko w czasie pięknej pogody, ulubionym przez alpinistów. Był krótszy, ale bardzo stromy, z dwoma pionowymi odcinkami po dwadzieścia metrów każdy.

Zniknęły ostatnie ślady układu burzowego, który od pięciu dni zalegał nad całym krajem. Na błękitnym niebie królowało popołudniowe słońce. Rozległe pole śniegu migotało jak posypane tysiącami diamentów.

Steiner spojrzał na górę. Nie zachował się ślad walki na śmierć i życie, jaka rozegrała się w tym miejscu. Nie można było również zlokalizować szczeliny.

Rozkazał ludziom utworzyć tyralierę. Każdy trzymał dwumetrową

tyczkę.

Przesuwali się krok po kroku, wbijając tyczki w śnieg. To Steiner znalazł szczelinę, gdy wbił tyczkę i nie napotkał oporu.

Kwadrańs później ludzie oczyścili ze śniegu dziesięciometrowy spłacheć, umożliwiając dobry widok i swobodne zejście do szczeliny. Wbite w śnieg chorągiewki znaczyły granice przepaści. Steiner polecił połączyć liny. To on miał zejść po ciało. Po ostatnim sprawdzeniu uprząży i węzłów, zapalił latarkę górniczą i zawołał: „Asekuracja!” Przepuszczając linę w palcach, zszedł tyłem w głąb szczeliny.

Tu powietrze było chłodniejsze. W pewnym momencie lodowe ściany ustąpiły warstwowanemu granitowi. Światło z góry ściemniało. Niebawem trafił do mrocznego raju, wpatrując się w krąg światła z halogenowej żarówki.

Po zsunięciu się po pierwszej linie - dokładnie czterdzieści metrów - zobaczył ciało. Kobieta leżała na brzuchu, z jedną ręką wyciągniętą nad głowę, jakby wzywała pomocy. Skalne ściany się odsunęły, mógł więc zjeżdżać szybciej, jak kamień spadający do stawu. Gdy zbliżył się do dna szczeliny, zobaczył krzyż ratownika na kurtce i kasztanowe włosy przysłaniające twarz.

Jego stopy dotknęły ziemi.

- Jestem - powiedział przez radio.

Odpiął linkę. W nikłym świetle kobieta wydawała się delikatna, spoczywając snem wiecznym. Kałuże krwi zebrały się wokół jej nóg i głowy. Steiner zdjął plecak, wyjął uprząż do transportu zwłok, kilka karabinków i kominiarzkę do okrycia twarzy, żeby nie pokaleczyła się w czasie wyciągania na powierzchnię.

Ułożył sprzęt obok ciała. Potem, jak miał w zwyczaju, ukląkł i zmówił modlitwę za zmarłych.

Wsunął ręce pod tułów, żeby podnieść ciało i przewrócić na plecy. W ten sposób łatwiej założyć uprząż. Ale natychmiast poczuł coś dziwnego. Długie, splątane włosy opadły. Kamienie i śnieg posypały się za ziemię. Stał, trzymając w rękach pusty skafander, patrząc na spodnie leżące na ziemi.

Z jego ust wyrwało się zduszone sapnięcie. Tu nie było żadnego ciała.

## 74

Jechali w złą stronę.

Minęło dziesięć minut, odkąd został zamknięty w bagażniku. Czuł, jak pokonali pierwszy ostry zakręt za miastem, ale wciąż czekał na serpentynę w dół, która poprzedza wjazd na autostradę. Jeśli się nie mylił, wóz jechał pod górę, nie na dół. Był pewien, że Simone ma powody, żeby nie wypełniać jego instrukcji.

Ale jakie? Czyżby zobaczyła blokadę na drodze? Czy policja zamknęła autostradę?

Zaniepokojony, włączał kolejne funkcje zegarka. Wysokościomierz wskazał tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt metrów, a minutę później dziesięć metrów więcej.

Miał rację. Jechali w górę. Przełączył na kompas. Samochód kierował się na wschód. Jechali wzdłuż autostrady, która prowadzi do Tiefencastel, a potem do St. Moritz. Zamiast zbliżać się do Zurychu i konsulatu amerykańskiego, coraz bardziej się oddalali.

- Simone - krzyknął, waląc w klapę bagażnika. - Zatrzymaj wóz! Chwilę później samochód zjechał na pobocze. Jonathan podniósł się na łokciu, muskając głową klapę. Miał atak klaustrofobii, narastał w nim strach. Usłyszał chrzęst śniegu. Męski głos. Policja? Czy dotarli do punktu kontrolnego? Wstrzymał oddech, wyęzając słuch, żeby ułoić rozmowę.

Drzwi się otworzyły i wóz się zakołysał, gdy pasażer opadł na fotel. Potem Jonathan usłyszał trzask i samochód wrócił na drogę.

- Simone! Kto jest z tobą? Uderzył mocniej.

- Simone! Odpowiedz!

Zaczęło grać radio, z głośników nad jego głową popłynęła głośna basowa muzyka. Przyspieszyli i Jonathan przewrócił się na bok. Miał swoją odpowiedź.

Leżał na plecach z otwartymi oczami i analizował wypadki ostatnich dni: zbyt szybkie zjawienie się Simone w Arosie, jej błagania, żeby wyjechał z kraju, niechęć do wytropienia człowieka, który nadał bagaże Emmy, frustracja, gdy próbował ratować życie Blitzla. Wszystko miało na celu sprowadzenie go z tropu.

Gdy nie uległ jej namowom, wydała go łowcom skalpów. Zerwał z szyi medalik świętego Krzysztofa. Musiał być w nim jakiś nadajnik. Dlatego

zabójca mógł trafić za nim do Davos. Ale to nie wyjaśniało, jak uzyskał wstęp do zielonej strefy. Podobnie jak Emma, Simone na pewno miała sprzymierzeńców.

Światło sączyło się wokół skrajów klapy. Przyświecając tarczą zegarka, Jonathan znalazł zamek ukryty pod płytą pilśniową. Kluczami Emmy zrobił rysę, potem wywiercił dziurkę, powiększył ją, wsunął palec i zaczął rwać okleinę.

Wreszcie otwór stał się na tyle duży, że mógł dotknąć zamek. Znał się na wozach i wiedział, że jest tam pinezka, którą można wcisnąć, żeby zwolnić zatrzask. Nie był pewien, co zrobi po otwarciu bagażnika. Wyskakiwanie z samochodu pędzącego sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę nie będzie mądrzejsze niż czekanie, aż zawodowy zabójca strzeli mu z bliska w głowę.

Musnął palcami haczykowaty zatrzask, wsunął pod niego kciuk i nacisnął z całej siły. Palce ześliznęły się z metalu. Spróbował jeszcze raz, na próżno. Nic z tego.

Samochód zwolnił i ostro skręcił w lewo, zjeżdżając z twardej nawierzchni.

Jechali zakosami i musiał się zaprzeć, żeby nie uderzać w ściany bagażnika.

Wycie silnika świadczyło, że stok jest stromy. Ostre zakręty, przyspieszanie i zwalnianie na przemian przyprawiały go o mdłości. Wreszcie serpentyna się skończyła. Jonathan odetchnął głęboko, ale nie poczuł się lepiej.

Zsunął się na tył bagażnika, odciągnął wykładzinę i wyjął skrzynkę z narzędziami schowaną wewnątrz zapasowej opony. Najlepszym, co znalazł, była łyżka do zmiany opon. Trzasnął nią w zamek z nadzieją, że pęknie i się otworzy.

Bez powodzenia.

Wóz stanął, silnik zgasł. Jonathan zacisnął łyżkę w prawej ręce. Narzędzie wydawało się lekkie i nedorzeczne. Mimo wszystko, jak mógł najlepiej, przygotował się do wyskoczenia z bagażnika. Usłyszał szmer klucza wsuwanego w zamek. Klapa się podniosła i popołudniowe słońce uderzyło go w twarz, oślepiło. Odruchowo zamknął oczy i podniósł rękę, broniąc się przed blaskiem.

Chwila wahania drogo go kosztowała.

- Wsiadaj - powiedziała Simone.

Obok niej stał szczupły mężczyzna z ciemnymi włosami, jasną karnacją i

martwymi oczami, trzymając pistolet u boku. Nie trzeba było go przedstawiać.

- Bądź łaskaw - powiedział, podkreślając słowa ruchem pistoletu. -I nie zwracaj sobie głowy tym, co trzymasz.

Jonathan puścił łyżkę i wysiadł z bagażnika. Zatrzymali się w zatoczce kilkadziesiąt metrów od szczytu góry. Widok był złowieszczy, strzeliste granitowe wierzchołki otaczały ich ze wszystkich stron.

- Przypuszczam, że za późno mówić o moim wyjeździe z kraju. - Jonathanowi nagle zaschło w gardle. Potrzebował wody.

- Próbowałam cię ostrzec - odezwała się Simone.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że pracowałaś z Emmą? To by wystarczyło.

- Nie pracowałam. W rzeczywistości, podobnie jak ty, chcę się dowiedzieć, co robiła.

- W takim razie, po czyjej stronie stoisz? Simone tylko na niego patrzyła.

Zrobił krok w stronę zewnętrznego skraju zatoczki i ujrzał stromą skalną ścianę. Oceniał, że jakieś tysiąc metrów dzieli krawędź od dna doliny. Simone wyciągnęła rękę.

- Muszę mieć wszystkie informacje, które przekazał ci Parvez Jinn.

- Nie dał mi niczego.

- Chcesz powiedzieć, że przejechałeś szmat drogi na spotkanie z Jinnem i nawet nie spytałeś, co wywoził cichcem z tego kraju? Myślałam, że wręcz wmusił ci to wszystko.

- Pojechałem zobaczyć się z Jinnem, żeby zapytać, czy wie, dla kogo pracowała Emma i czy podała mu prawdziwe nazwisko.

- Nie, wcale nie. Przyjechałeś do Davos, żeby wywikłać się z kłopotów.

Zdobyć swój dowód.

Jonathan milczał.

- Dlaczego utrudniasz?

- Nie musisz tego robić, Simone.

- Masz rację. Ja nie. Ale obecny tu Ricardo tak. Ricardo, zabójca, wciągnął powietrze nosem.

- Proszę, jeśli masz jakieś informacje, czas przekazać je pani Noiret.

- O co chodzi w twojej grze? - zapytał Jonathan, ignorując mężczyźną, który niedawno próbował go zastrzelić i zasztyletować. - Blitza też kazałaś zabić temu facetowi?

- Prowadzę taką samą grę jak każdy inny w tym biznesie. To nie zabawa



w doktora.

Jonathan wyjął z kieszeni pendrive'a i podniósł go na dłoni.

- Jest tu cały program atomowy Iranu. Jinn myśli, że to wystarczy, by rozpocząć wojnę.

Simone rzuciła okiem na pendrive'a.

- Czyżby? Te sprawy mnie nie interesują.

- Powiedz mi, dla kogo pracujesz i dlaczego tak bardzo chciałaś dopaść Emmę.

Powiedz mi, a to będzie twoje.

- Pracuję dla Centralnej Agencji Wywiadowczej. Jestem twoim przyjacielem.

Wierz mi.

- Przyjacielem? - Jonathan pokręcił głową. Odwrócił się szybko, zrobił zamach i rzucił pendrive'a w przepaść.

- Merde - Simone przyskoczyła do krawędzi. Z wściekłością spojrzała na niego, potem na mężczyznę o imieniu Ricardo. - Jest twój.

Jonathan wzniósł oczy ku niebu i wziął głęboki oddech. Powietrze było cudownie rześkie. Niebawem będzie z Emmą.

Rozległ się trzask, jakby dłoń plasnęła w nagie plecy. Jonathan skulił się, pewien, że poczuje coś ostrego i ostatecznego. Wciągnął powietrze. Nic go nie uderzyło.

Zabójca padł na kolana. Czerwona plama rozkwitła na jego piersi. Sapnął i upadł na śnieg, krew płynęła mu z ust.

Simone odwróciła się, przeszukując wzrokiem teren za nimi. Jakaś postać oderwała się od skały. Osoba w czarno-szarym stroju, w wełnianej czapce na głowie i ciemnych okularach. Ściągnęła czapkę i burza bursztynowych włosów spłynęła na ramiona. Kilka kroków od nich zdjęła okulary.

- Ty - szepnęła Simone. - Ale jak...

Emma Ransom podniosła pistolet i strzeliła jej w czoło. Simone Noiret zachwiała się i cofnęła o krok, oszołomiona, nic nierozumiejąca. Emma wściekle kopnęła ją w pierś. Simone runęła w przepaść.

Emma podeszła do krawędzi i patrzyła, jak spada.

## 75

Stała trzy metry dalej, trzymając w rękach dziwny pistolet z tłumikiem i składaną kolbą. Nie miała złamanej nogi. Jonathan nie dostrzegł śladu obrażeń, jakie musiał spowodować stumetrowy upadek. Patrzyła na niego jak na obcego, nie okazując, że chce go przytulić czy pocałować, że w ogóle cieszy ją jego widok.

- Przecież cię widziałem - powiedział. - W szczelinie.

- Myślałeś, że mnie widzisz.

- Krew... ślady na śniegu... miałaś złamaną nogę. Widziałem kość.

- Nie moją. Wszystko było niesłychanie niechlujne. Musiałam się spieszyć.

Gdy odkryłam...

- Emmo.

- .. że jest przewidziane na ten weekend, zaczęłam...

- Emmo! - krzyknął. - Czy w ogóle tak masz na imię?

Nie odpowiadając, odwróciła się i ruszyła truchtem w dół. Jonathan stał jak wrośnięty w ziemię, przepełniony mieszaniną sprzecznych uczuć: zdumienie, gniew, uniesienie i gorycz walczyły o lepsze. Posortowanie emocji zajęło mu parę minut. Wciąż oszołomiony, pospieszył za nią w dół drogi, gdzie dwa zakręty niżej stał samochód. Podniszczony volkswagen golf. Chciał zająć miejsce za kierownicą, ale go uprzedziła, otworzyła drzwi i wsunęła głowę do kabiny. Nim wsiadł po stronie pasażera, silnik już mruczał, bieg był wrzucony i wóz ruszał.

- Rozmawiałem ze szpitalem - oznajmił. - Pielęgniarka powiedziała mi, że Emma Everett Rose, która się tam urodziła, zginęła w wypadku samochodowym dwa tygodnie później.

- Później. Później ci wszystko powiem.

- Nie chcę wszystkiego. Chcę tylko prawdy.

- Nawet prawdę. Teraz musisz mi coś powiedzieć. Pendrive Jinna. Wciąż go masz, prawda? Nie rzuciłeś go w przepaść?

Jonathan wyjął z kieszeni pendrive'a.

- Nie. Wyrzuciłem twój. Wyrwała mu go z ręki.

- Wybaczę ci. Tym razem.

Pędziła jak na torze wyścigowym, dodając gazu na prostych, hamując na zakrętach, płynnie zmieniając biegi. Emma, która nie umiała szybko

wrzucić biegu, nawet gdyby od tego zależało jej życie.

Do tej pory uważał je za dwie odrębne osoby. Była Emma Ransom, jego żona, i Eva Kruger, szpieg. Wmawiał sobie, że Emma jest prawdziwa - autentyczna - a Eva to przykrywka. Patrząc, jak prowadzi, zrozumiał, że się mylił. Po raz pierwszy widział prawdziwą Emmę, kobietę, która nigdy nie pozwoliła mu się zobaczyć. Wtedy przyszło mu na myśl, że jej nie zna. Zamierzał dowiedzieć się o niej wszystkiego.

- Nie spodziewałam się, że będziesz w tym taki dobry - odezwała się, gdy dotarli na dno doliny i skręcili na zachód, w kierunku Davos i Zurychu.

- Czego się spodziewałaś?

- Bałam się, że zwiniesz manatki i znikniesz w górach na parę lat. Odstawiając samotnego eksploratora.

- Mógłbym, gdybym nie dostał kwitów bagażowych. Wszystko stanęło na głowie, gdy odebrałem bagaże. Po tym, jak zabiłem policjantów, nie mogłem się wycofać. Musiałem kontynuować, bo tylko tak mogłem się oczyścić. Simone próbowała mnie namówić do wyjazdu z kraju, ale gdy zobaczyłem, co jest w torbie, nie mogłem uciec. Musiałem wiedzieć.

- Że też akurat wtedy pociąg nie dostarczył poczty. - Pokręciła z niesmakiem głową. - Chyba się myliłam, przypuszczając, że uciekniesz w góry.

- Wybaczę ci. Tym razem.

Zaśmiała się, ale tylko na znak ustępstwa. Śmiech zabrzmiało głucho.

- A teraz - powiedział - twoja kolej. Ułatwię ci. Zaczynaj od rozpadliny. Co właściwie tam zobaczyłem?

Cień padł na jej twarz. Zmiana nastroju przypominała gwałtowny spadek temperatury.

- Swoją kurtkę, oczywiście. Perukę. Spodnie narciarskie. Sztuczną krew.

- Jak zeszłaś sama do szczeliny? To zbyt niebezpieczne.

- Nie zeszłam.

- Co to znaczy? - warknął.

- Weszłam od dołu. Sam pokazałeś mi szlak tamtego lata po ślubie. Jonathan zamknął oczy, przypominając sobie. Przyjechali do Davos na weekend, żeby wędrować po górach, i spędzili popołudnie na eksplorowaniu labiryntu jaskiń i rozpadlin w lodowcu.

- Ale te jaskinie są dostępne tylko latem. Nie można wejść tam w zimę, co dopiero w czasie śnieżycy.

Emma przekrzywiła głowę, mówiąc mu w ten sposób, że nie ma racji.

- W zeszły piątek nie poleciałam na zebranie do Amsterdamu. Przyjechałam tu, żeby sprawdzić, czy mój plan jest wykonalny.

- Wykonalny? To szpiegomowa czy co? Zignorowała uwagę.

- Okazuje się, że jeśli znajdziesz drogę do właściwego miejsca u stóp lodowca, możesz wejść do jaskiń. Zaprogramowałam ręczny GPS i naniosłam trasę tam i z powrotem, żeby się nie zgubić, gdyby padał śnieg.

- Dlatego nalegałaś, żeby jechać do Ascony, a nie do Zermatt - powiedział, czując się trochę współwinnym.

- Miałam dobry powód. To była nasza rocznica. Tu wspinaliśmy się pierwszy raz osiem lat temu.

- Nasza rocznica. Fakt. - Wtedy zrozumiał, że skłamała w związku z pogodą i zepsuła radio. - Skąd wiedziałaś, że nie zejdziemy do szczeliny i nie poznamy prawdy?

- Nie wiedziałam - przyznała. - Postawiłam na to, że Steiner i jego zespół ruszą w góry ratować kobietę ze złamaną nogą, nie będą wyciągać jej ze stumetrowej szczeliny. Lina jest ciężka. Nie powinni zabierać niczego więcej niż potrzeba.

Zdziwiłam się, że mieli dwie liny.

- Steiner... Znasz jego nazwisko. - Spojrzał przez okno. Kolejne ciosy padały jeden za drugim.

- Musiałam pokręcić się po Davos, żeby zyskać pewność, iż wszystko pójdzie zgodnie z planem. Słuchałam jego rozmów przez telefon i radio. Nie rób takiej zaskoczony miny. Przechwycenie rozmowy przez komórkę to bułka z masłem.

- A potem? Nie wiedziałaś, że pójde tropem kwitów bagażowych?

- Miałam nadzieję, że ich nie dostaniesz. Chciałam sama odebrać bagaż w Landquart, ale to było za duże ryzyko. Skoro nie żyłam, musiałam pozostać martwa.

Jonathan obrócił się w fotelu.

- Byłaś tam? Widziałaś, co się działo na stacji? Widziałaś, co robili ze mną ci policjanci?

Emma skinęła głową.

- Przepraszam, Jonathanie. Chciałam pomóc. Opadł na fotel. Zabrakło mu słów.

- Później śledziłam cię do hotelu - podjęła - ale się spóźniłam. Ludzie z naszego zespołu już przetrząsnęli pokój. Zjawiłeś się zaraz po ich wyjściu. Nie miałam czasu wejść do środka. Raz myślałam, że mnie zobaczyłeś. W

lesie za hotelem.

Jonathan wspomniał, że wyczuwał kogoś w pobliżu i patrzył na drzewa, ale nikogo nie zobaczył.

Nagle miał dość. Przestało go interesować, kto, co i kiedy. To wszystko było tylko dekoracją. Chciał wiedzieć dlaczego.

- O co chodzi, Em? - zapytał cicho. - W co jesteś zamieszana?

- W to, co zwykle - odparła, nie odrywając oczu od drogi.

- Zaopatrujesz Parveza Jinna w zakazany sprzęt do wzbogacania uranu.

To uważasz za zwykłe?

- Zdobyłby to prędzej czy później.

- Nie bądź taka.

- Jaka?

- Cyniczna. Jakby cię to nie obchodziło.

- To dlatego, że obchodzi mnie to, co robię.

- A co robisz? Dla kogo pracujesz? CIA? Dla Angoli?

- Dla CIA? Boże, nie. Jestem z Obrony. Pentagon. Coś zwane Dywizją.

- Zatem dla kogo pracowała Simone? Dla KGB? Emma zastanowiła się, muskając policzek palcami.

- Prawdę mówiąc, nie wiedziałam o niej do dziś. Przypuszczam, że dla CIA.

- Dlaczego CIA miałyby zabijać kogoś, kto pracuje dla Stanów Zjednoczonych?

- Władza. Tego chcą. My ją mamy. Zażarta rywalizacja trwa od paru lat.

- Myślałem, że nienawidzisz amerykańskiego rządu.

Nikły uśmiech powiedział mu, że grubo się myli. Rozwiał się kolejne złudzenie.

- Więc jesteś Amerykanką?-zapytał.

- Boże, chciałam poczekać z wnikaniem w to wszystko. To tak cholernie skomplikowane. - Przegarnęła włosy ręką. - Tak, Jonathanie, jestem Amerykanką. Jeśli się zastanawiasz nad akcentem, jest prawdziwy. Wychowałam się pod Londynem. Mój ojciec służył w siłach powietrznych i stacjonował w Lakenhath.

- On cię w to wciągnął?

- Przypuszczam, że z początku chodziło o rodzinę. Tata był wojskowym i tak dalej. Ale zostałam, bo jestem w tym dobra. Ponieważ mogę zmienić coś, w co wierzę. Ponieważ to lubię. Robię to z tego samego powodu, co ty. Oboje żyjemy naszą pracą i nic innego nie ma znaczenia.

- Dlatego mnie wybrałaś?

- Z początku tak.

- Chcesz powiedzieć, że później coś się zmieniło?

- Wiesz, co się zmieniło. Zakochaliśmy się.

- Ja się zakochałem - powiedział Jonathan. - Nie jestem pewny, czy ty też.

- Nie musiałam z tobą zostawać. Nikt mnie nie zmuszał, żebym za ciebie wyszła.

- Ani cię nie powstrzymywał. Kto zapewniłby ci lepszą możliwość realizacji twoich zadań niż lekarz, który naprawdę lubi trudne misje? Co właściwie robiłaś we wszystkich tych miejscach? Zabijałaś ludzi? Jesteś zabójcą jak ten facet, którego zastrzeliłaś?

- Oczywiście, że nie. - Emma zbagatelizowała sugestię, jakby nigdy nie strzelała z pistoletu, nie mówiąc o zabiciu dwojga osób niespełna pół godziny temu.

- Zatem, co robisz?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Ty, Blitz i Hoffmann sprzedawaliście Irańczykom sprzęt do wzbogacania uranu. Jinn był przekonany, że robicie to w celu wywołania wojny. Mówił, że popełniliśmy błąd, wchodząc do Iraku bez dowodu na to, iż mają broń masowego rażenia, i że nie zrobimy tego znowu.

- Parvez tak powiedział? Oby gnił w piekle na wieki.

- Ładnie tak mówić o człowieku, z którym się pieprzyłaś?

- Odpieprz się, Jonathanie! To nieuczciwe.

- Nieuczciwe? Okłamywałaś mnie przez osiem lat. Udawałaś, że jesteś moją żoną. Nie mów mi, co jest uczciwe.

- Jestem twoją żoną.

- Jak możesz tak mówić, skoro nie znam nawet twojego imienia! Emma odwróciła oczy. Jeśli spodziewał się łez, to spotkał go zawód.

Miała kamienną twarz.

- No i? - zapytał. - To prawda? Chcieliście zacząć wojnę?

- Chcieliśmy jej zapobiec.

- Rozdając bomby atomowe?

- Przyspieszyliśmy rozwój sytuacji, żeby mieć nad nią kontrolę. Zaopatrywaliśmy Irańczyków w technologię, jakiej rozpaczliwie pragnęli, żeby następnie zdemaskować ich przed światem. To wyprzedzanie biegu wypadków.

Nie możemy sobie pozwolić, żeby ktoś nas zaskoczył. Nie tym razem. Zresztą to nie będzie wojna, tylko kampania powietrzna.

- Czy dzięki temu mam się czuć lepiej?

- Nie bądź taki cholernie naiwny. Niektórym ludziom po prostu nie wolno zezwolić na posiadanie broni nuklearnej. Jeśli Iran ją zdobędzie, możesz się założyć, że niedługo później będąciamieli naprawdę źli chłopcy. To wszystko na ten temat.

- A co będzie, jeśli wezmą odwet?

- Z czym? Daliśmy im sprzęt do produkcji niewielkiej ilości wzbogaconego uranu. Teraz zamierzamy go zabrać.

- Jinn powiedział, że mają pociski dalekiego zasięgu. Jeśli ktoś zaatakuje ich ośrodki wzbogacania, nie zawahają się ich użyć. Prezydent jego kraju planuje oznajmić to światu w przyszłym tygodniu.

- Jinn kłamał - powiedziała Emma z wcześniejszą niewzruszoną pewnością siebie, ale jej twarz pobladła. - Iran nie ma takich pocisków.

- Nazwał je KH-55. Mówił, że weszli w posiadanie czterech sztuk rok temu i że są w ich bazie w Karshun nad Zatoką Perską.

- Wykluczone. Łgał.

- Zaryzykujesz? Jeśli Stany Zjednoczone albo Izrael zbombardują Iran, mułowie w Teheranie z miejsca podejmą decyzję o ostrzelaniu Jerozolimy i saudyjskich pól naftowych. Jak myślisz, co się wtedy stanie?

- Chryste. - Emma ściągnęła brwi, mięśnie jej żuchwy prężyły się wściekle. - KH-55? Jesteś pewien?

- Wiesz, co to takiego?

- Rosjanie nazywali je granatami. To poddźwiękowy sterowany pocisk dalekiego zasięgu zdolny przenieść głowicę atomową. Stary jak świat, i system naprowadzania jest przestarzały, ale działa.

- Niedobrze.

- Mówił mi, że ma dla mnie niespodziankę, gdy zobaczę się z nim w Davos.

Dwulicowiec.

Jonathan zrozumiał, że trącił czułą strunę.

- Jeśli jesteś taka pewna siebie, dlaczego musiałaś zniknąć?

- Pewna siebie? Boże, naprawdę w to wierzysz? - Emma spojrzała na niego. - Wiesz, co to jest dron?

- Mniej więcej. Jeden z tych zdalnie sterowanych samolotów, które robią zdjęcia. Wiem, że mogą też wystrzeliwać pociski.

- Jeden jest w Szwajcarii, przygotowywany do ataku. Nie powinnam o tym wiedzieć, ale Blitzowi się wypsnęło. Był moim kontrolerem, jedyną osobą, która znała całość obrazu. Powiedział, że to będzie najważniejsza rzecz, jaką zrobiliśmy. Osobista misja szefa.

- Chcesz powiedzieć, że twoi kumple, ta Dywizja, planują kogoś załatwić za pomocą drona?

- Nie kogoś. Coś. Samolot pasażerski.

- Tu? W Szwajcarii? Boże, Emmo, musimy powiadomić policję.

- Już wiedzą. Przynajmniej niektórzy. Dochodzenie prowadzi człowiek, który próbował zatrzymać cię w Davos. Nazywa się Marcus von Daniken. Kieruje Służbą Analiz i Prewencji, szwajcarskim kontrwywiadem. Jest przekonany, że to ty obmyśliłeś spisek.

- Ja?

- Zasadniczo wszystko sprowadza się do tego, że von Daniken wierzy, iż jesteś mną.

- Bo byłem w domu Blitz'a?

- Tak, między innymi. Gdybyś poszedł na policję, spędziłbyś resztę życia za kratkami. Zabicie policjanta byłoby najmniejszym powodem. Wiesz zbyt wiele o Thorze... o Dywizji. Mamy przyjaciół, którzy by o to zadbali. W każdym razie, dlatego musiałam zniknąć. Zdecydowałam, że muszę położyć temu kres. Mam sporo krwi na rękach, ale do tej pory nigdy nie splamiła mnie krew niewinnych.

- Wiesz, kiedy to się stanie?

- Mniej więcej za parę godzin.

- W takim razie, co tu robisz?

Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy.

- Wciąż jestem twoją żoną.

Wyciągnęła rękę i Jonathan wsunął w nią palce.

- Musimy powiedzieć von Danikenowi.

Emma popatrzyła na niego, łzy zalśniły w jej oczach.

- Obawiam się, że to nie takie proste.



## 76

Urzędnik kontroli paszportowej zuryskiego lotniska Kloten popatrzył na długą kolejkę przybyłych. Samolot przyleciał z Waszyngtonu. Sprawdził w komputerze, czy są jakieś ostrzeżenia dotyczące pasażerów. Ekran był pusty.

Zlustrował pyzate twarze i pokaźne brzuchy. Nikogo podejrzanego.

- Następny - zawołał.

Podszedł wysoki, tęgi mężczyzna i położył paszport na ladzie. Urzędnik już miał go przepuścić, ale zmienił zdanie. Otworzył paszport i przeskanował pasek magnetyczny. Nazwisko: Leonard Blake. Miejsce zamieszkania: Palm Beach.

Data urodzenia: 1 stycznia 1955.

- Cel wizyty, panie Blake?

- Interesy.

Porównał twarz mężczyzny z fotografią. Siwe, krótko ścięte włosy. Opalony.

Przystrzyżone wąsy. Drogie okulary słoneczne. Złoty rolex. I dres z poliestru.

Kiedy ci Amerykanie nauczą się ubierać?

- Jak długo pan zostanie?

- Dzień, może dwa.

Urzędnik sprawdził w komputerze. Nazwisko Blake nie podniosło alarmu.

Kolejny bogaty Amerykanin bez odrobiny gustu. Mocno przybił stempel.

- Miłego pobytu.

- Danke schon.

Urzędnik skrzywił się, słysząc jego akcent. Ręką dał znać kobiecie na czele kolejki.

- Następny!

Pan Leonard Blake zabrał torby i podszedł do stanowiska wypożyczalni samochodów, gdzie miał zarezerwowany wóz średniej wielkości. Po wypełnieniu papierów udał się do garażu i szybko znalazł auto. Położył torby na tylnym siedzeniu i usiadł za kierownicą. Przez chwilę poprawiał lusterka i ustawienie fotela. Przez cały czas rozglądał się po parkingu. Panowała tu cisza jak w grobie. Rozpiął bluzę i wyjął pas pogrubiający, który zwiększał jego wagę o prawie dziesięć kilogramów i obwód brzucha o dwadzieścia

centymetrów. Położył go z tyłu, zapuścił silnik i wyjechał z garażu.

Kierował się na południe, na autostradę. Dwadzieścia minut później był w centrum miasta. Znalazł parking na Talstrasse i przeszedł dwie przecznice do Bahnhofstrasse, słynnej arterii, która wiedzie znad Jeziora Zuryskiego do głównej stacji kolejowej. Po drodze minął kilka modnych butików. Chanel.

Cartier. Louis Vuitton. Podobno nieruchomości przy długiej na dwa kilometry zuryskiej Bahnhofstrasse są najdroższe na świecie. Ale Leonard Blake nie przyleciał do Zurychu na zakupy.

Poszedł na południe, w kierunku jeziora, potem skręcił w wąską ulicę. Dobrze wykorzystał wiele witryn sklepów, zwalniając na tyle, by w szybach obserwować przechodniów za sobą. Nie widząc powodów do zmartwień, przyspieszył kroku.

Zatrzymał się przy trzecim wejściu po prawej stronie. Na barokowych drewnianych drzwiach wisiała dyskretna tabliczka w wygrawerowanych splecionymi literami G i B. Litery oznaczały Gessler Bank.

Wewnątrz powitał go portier w uniformie. Blake napisał na kartce swoje nazwisko i numer konta. Portier odbył ściszoną rozmowę przez telefon. Minęła minuta i z długiego korytarza wyłonił się pracownik banku.

- Dzień dobry, panie Blake - powiedział bezbłędnie po angielsku. -Czym możemy służyć?

- Chciałbym zajrzeć do swojej skrytki depozytowej.

- Proszę ze mną.

Wsiedli do windy i zjechali trzy piętra poniżej poziomu ulicy. Winda się otworzyła i pracownik zaprowadził Blake'a do sejfów, którego otwartych drzwi strzegło dwóch uzbrojonych strażników. Blake został wprowadzony do prywatnego pomieszczenia, gdzie dał pracownikowi swój klucz. Minutę później ten wrócił z dużą skrytką depozytową.

- Proszę zadzwonić, gdy pan skończy.

Blake zamknął drzwi. Choć nie było ku temu powodu, przekręcił klucz w zamku, potem zdjął okulary i usiadł.

Ostrożności nigdy dość, pomyślał Philip Palumbo, gdy otworzył skrytkę.

Wyjął kopertę zawierającą ważne paszporty brazylijskie dla siebie i członków swojej rodziny, wystawione na nazwisko Perrera. W skrzynce leżały również pliki franków szwajcarskich, dolarów amerykańskich i euro. Cała suma wynosiła sto tysięcy dolarów. Pieniądze zostały zarobione legalnie i opodatkowane.

Przeznaczone na ucieczkę. Człowiek w jego fachu przysparza sobie

poważnych wrogów. Wiedział, że pewnego dnia przyjdą po niego. A kiedy to zrobią, będzie przygotowany. Wyjął dziesięć tysięcy dolarów. Mógłby zabrać te pieniądze i zniknąć. Miał kryjówki na całym świecie, gdzie mógłby się ukryć. Odnalezienie go zajęłoby im lata.

Wrzucił pieniądze z powrotem do skrzynki.

Nie był stworzony do uciekania.

Z jego wyliczeń wynikało, że ma trzydzieści sześć godzin na wypełnienie misji i powrót do domu. Za godzinę, przed siódmą czasu urzędowego wschodnioamerykańskiego, kierowca odkryje zwłoki admirała Lafevera.

Stwierdzi, że ktoś włamał się do domu, znajdzie admirała w gabinecie, zastrzelonego przez złodzieja. Niedługo później zjawi się policja. O dziewiętej wieści o morderstwie dotrą do Langley. Zostaną wyciszone, dopóki dyrektor nie zweryfikuje faktów i nie poskłada wiarygodnej historii. Palumbo był świadom, że pomimo jego starań nikt nie kupi historyjki o włamaniu.

Upłyną trzy godziny, zanim zostanie wydane oficjalne oświadczenie. Południe w Waszyngtonie. Szósta wieczorem w Zurychu. Dochodzenie ruszy z kopyta, śledczy sprawdzą terminarz Lafevera, przepytają jego najbliższych współpracowników. W pewnym momencie - prawdopodobnie nie wcześniej niż późnym popołudniem, a może nawet jutro rano - Joe Leahy wspomni o rozmowie, jaką poprzedniego dnia odbył z nim w bufecie. Jego zainteresowanie Lafeverem i operacją „Gołębiak” zostanie starannie odnotowane. Mimo to będzie mnóstwo podobnych tropów do prześledzenia. Człowiek nie zostaje zastępcą dyrektora do spraw operacji - narodowym superszpiegiem, jak można by rzec - nie mając konkurencji, w Agencji i poza nią. Na wypadek, gdyby Agencja zadzwoniła do jego domu, żona wiedziała, co powiedzieć. Skontaktuję się z mężem przez komórkę, a on natychmiast oddzwoni. Rozmowa z nim nie będzie priorytetowa.

Ale w pewnym momencie technicy z wydziału policji w Wirginii znajdą ślady mózgu Lafevera w ogrodzie za domem i wtedy będzie wiadomo, że ciało zostało przeniesione. Sytuacja stanie się poważnie napięta.

Trzydzieści sześć godzin to maksimum.

Palumbo wyjął ze skrzynki drugą kopertę. Ta była znacznie cięższa niż pierwsza. Otworzył ją i wysypał zawartość na stół. Walther PPK nietknięty od trzech lat. Sprawdził magazynek oraz suwadło i z zadowoleniem stwierdził, że broń jest w idealnym stanie. Koperta zawierała również tłumik, ale nie sądził, że dziś będzie go potrzebować.

Zamknął skrzynkę i zadzwonił po pracownika banku.

Pięć minut później był z powrotem na ulicy.

Minęła czternasta czasu lokalnego, gdy przejechał przez Limmatbrucke i wjechał do tętniącej życiem dzielnicy Seefeld. Celem podróży był ponury budynek przeczną od jeziora. Żołnierze w oliwkowych mundurach i kamizelkach z kevlaru, uzbrojeni w regulaminowe pistolety maszynowe M-16A1 armii amerykańskiej, patrolowali Dufourstrasse przed numerem 47, gdzie mieści się konsulat Stanów Zjednoczonych. Dwóch umundurowanych policjantów miejskich dotrzymywało im towarzystwa.

Na chodniku przed gmachem stały trzy czarne mercedesy. Wszystkie miały tablice dyplomatyczne z małymi amerykańskimi flagami w górnym prawym rogu. Stanowiły potrzebny mu dowód, że generał John Austen, założyciel i dyrektor tajnej agencji szpiegowskiej znanej jako Dywizja, jest w domu.

Austen był legendą we wszystkich wydziałach służby. Każdy chciałby mieć na koncie takie dokonania. Był nawróconym wysłannikiem piekieł. Albo, używając jego języka, upadłym aniołem, zmartwychwstałym, by stanąć po prawicy Pana; Panem w tym przypadku był prezydent Stanów Zjednoczonych. Honorowy absolwent Akademii Lotnictwa rocznik 1967, wyszkolony pilot odrzutowca, został wysłany do Wietnamu, gdzie odbył ponad sto dwadzieścia misji za sterami phantoma F-4 i zestrzelił dziewięć północno wietnamskich migów. Skończył wojnę jako as przestworzy i major przed trzydziestką.

Ale na jego lśniące zbroi nie brakowało rys. Kiedy nie latał, hulał na całego.

Noc po nocy wodził swoją bandę wesołych lotników po jaskiniach rozpuszty Sajgonu, pijąc do upadłego i pieprząc wszystko w zasięgu wzroku. Zwali się „Rangersami Austena” na cześć bandy maruderów z czasów II wojny światowej o podobnej nazwie. Krążyły plotki o używaniu narkotyków, o gwałtach, nawet o morderstwie. Ale skrzętnie je wyciszano. Nikt nie chciał wykruszyć, pozbawić połysku czy w jakikolwiek inny sposób uszkodzić pancerza prawdziwego bohatera.

Potem przyszedł rok 1979 i kryzys zakładników w Iranie. Austen był oczywistym kandydatem do oddziału pułkownika Charliego Beckwitha.

Instruktor i pilot doświadczalny po wojnie, usiadł za sterami ogromnego transportowca Hercules C-130, który miał przerzucić komandosów na irańską pustynię. Tym razem szczęście mu nie dopisało. Straszliwie poparzony w

wypadku, w którym straciło życie ośmiu żołnierzy, wrócił z pustyni odmieniony.

Odmówił przejścia w stan spoczynku, a po powrocie do zdrowia zajął stanowisko dyrektora nowo utworzonego Dowództwa Operacji Specjalnych z siedzibą w bazie lotniczej MacDill w Tampa na Florydzie. Wierzył, że przeżył dzięki cudowi, i oddał życie Jezusowi Chrystusowi.

Zamiast hulać, Austen studiował Biblię i organizował spotkania modlitewne.

We wtorki i piątki wieczorem jego dom na Orange Lane wypełniał się grzesznikami, żołnierzami i oficerami szukającymi szybszej ścieżki do awansu i chwały. Austen szybko stworzył wierną - niektórzy mawiali, że niewolniczą - kadrę oficerów, którzy zajmowali stanowiska w czterech wydziałach służby. Oni także nazwali się „Rangersami Austena”, ale tym razem głosili słowo Chrystusa i skrajnie agresywne poglądy polityczne swojego założyciela. Ameryka była „miastem na wzgórzu”, latarnią demokracji dla całego świata. A Izrael był jej najbliższym sprzymierzeńcem, godnym obrony za wszelką cenę.

Austen szybko się wspinał po szczeblach kariery. Mając czterdzieści lat, został pułkownikiem, czterdzieści trzy - generałem brygady, a przed czterdziestymi szóstymi urodzinami dostał drugą generalską gwiazdkę. Występował wraz z najsłynniejszymi ewangelikami w niedzielnych porannych programach telewizyjnych. Zwano go „wojownikiem Boga” i „pilotem Jezusa”. Stał się twarzą religijnej prawości.

A potem jego kariera jakby utknęła w martwym punkcie. Nie dostał trzeciej gwiazdki ani towarzyszącego jej dowództwa dywizji. Przestał pojawiać się w telewizji. Wprowadził się do Pentagonu jako szef „kostnicy karier” zwanej Agencją Wywiadu Osobowego i zniknął z powierzchni ziemi. Ale jego obecność wciąż zaznaczała się w siłach zbrojnych. Setki jego Rangersów awansowało i teraz było generałami w siłach lądowych, admirałami w marynarce wojennej.

Wszyscy pozostali wierni Johnowi Austenowi.

To wtedy, uświadomił sobie Palumbo, Austen stworzył Dywizję. Nie zapadł się pod ziemię. Przeciwnie. Wspiął się na bardziej chwalebny poziom.

Palumbo minął konsulat i przejechał sto metrów. Kiedy znalazł wolne miejsce do parkowania, powiedział sobie, że szczęście się do niego uśmiecha. Jego rozgorączkowany umysł wypatrywał wszelkich znaków świadczących, że nie naraża kariery, a także przyszłości żony i rodziny bez powodu.

Zatrzymał się, położył torbę na kolanach. Miał tam dwa telefony komórkowe, paralizator i urządzenie do przechwytywania rozmów z GSM w obudowie laptopa. Włączył je i zaprogramował na przeszukiwanie częstotliwości pod kątem numerów zaczynających się od czterysta pięćdziesiąt pięć - prefiksu telefonów, jakie ambasady amerykańskie wydają personelowi stałemu i wizytującemu. Włożył słuchawki i przeskakiwał z rozmowy na rozmowę.

Wytropienie Austena okazało się łatwe. Jak wszyscy dobrzy szpiedzy, Austen żył zgodnie ze swoją przykrywką. Z racji piastowanej funkcji jego miejsce pobytu przez cały czas było znane i odnotowane. Palumbo zadzwonił z biura w CIA do biura Austena w Pentagonie i dowiedział się, że Austen wizytuje stolice zachodnioeuropejskie w celu nawiązania kontaktu z podległymi mu attaché wojskowymi. Wcześniej w tygodniu odwiedził ambasadę w Bernie, skąd wyskoczył do Paryża i Rzymu. O drugiej w piątek po południu miał się stawić w konsulacie amerykańskim w Zurychu. Fakt, że attaché wojskowi nie są przydzielani do konsulatów, umknął zdaje się uwadze wszystkich poza Palumbo. Widział, że Austen przyjechał do Zurychu z konkretnego powodu, a tym powodem był dron. Wiedział też, że Austen ma wrócić do Stanów nazajutrz wcześniej rano. Przerazało go to, co generał zamierzał zrobić w tym czasie.

Wysłuchał pół tuzina rozmów, zanim usłyszał angielski.

- Właśnie wychodzimy. Wszystko gotowe?

W jednej chwili rozpoznał zakonserwowany dymem, nosowy głos Austena z teksańskim akcentem.

- Gotowe, panie generale - padła odpowiedź. - Siedzimy i czekamy.

- Będę za pół godziny.

Rozmowa się zakończyła. Palumbo określił współrzędne GPS przechwyconej łączności. Czerwona kropka nałożona na plan Zurychu wskazała miejsce strony nadrzędnej, czyli inicjującej rozmowę. Telefonowano z Seestrasse 47, spod adresu konsulatu amerykańskiego. Strona podrzędna, czyli odbierająca, znajdowała się w Glattbrugg, miasteczku sąsiadującym z Zurychem. Bardziej interesująca niż adres była lokalizacja. Kropka mrugała sto metrów od południowej granicy lotniska zuryckiego. Bingo.

Spojrzał w lusterko wsteczne, gdy grupa ludzi opuściła konsulat i wsiadła do mercedesów. Wizyta dyrektora Agencji Wywiadu Osobowego dobiegła końca.

Samochody zjechały na jezdnię i minęły Palumbo. Był za mądry, żeby je

śledzić na tłocznych i jednokierunkowych ulicach nieznanego mu europejskiego miasta.

Albo by je zgubił albo zostałby zauważony. Położył laptopa na fotelu pasażera i zapuścił silnik. Dokładnie wiedział, dokąd jedzie Austen. Problemem była nie strategia, ale wykonanie. Palumbo musiał dotrzeć tam pierwszy.

Jechał agresywnie, wymijając tramwaje, przejeżdżając na żółtym świetle, na autostradzie wyciągając sto osiemdziesiąt na godzinę. Przez cały czas przysłuchiwał się strumieniowi rozmów z telefonu Austena. Większość miała charakter oficjalny i dotyczyła problemów, jakie napotykali podlegający mu attaché. Charakter kilku był bardziej tajemniczy. Bez nazwisk. Skrótowe, ze wzmiankami o „zamknięciu centrum dowodzenia”, „przeprowadzce do głównego domu” i, najbardziej przerażające, „gość będzie o czasie”.

Palumbo dotarł do Glattbrugg w osiemnaście minut. Adres znalazł bez trudu.

Znajdował się na cichym osiedlu, gdzie rosło mnóstwo drzew, a domy stały co dwadzieścia metrów. Zaparkował za sznurem skromnych pojazdów. Ledwo wyłączył silnik, gdy w lusterku wstecznym zobaczył czarnego mercedesa z tablicami dyplomatycznymi. Jak się spodziewał, przyjechał jeden wóz. Austen porzucił przykrywkę. Działał jako dyrektor Dywizji.

Gdy mercedes go mijał, Palumbo dostrzegł w przelocie mężczyznę obok kierowcy. Siwiejące włosy, szlachetny profil, skóra na twarzy zbyt napięta, dziwnie lśniąca i pomarszczona.

Oparzenia. Odznaka honoru Austena.

Palumbo ruszył za Austenem. Mercedes skręcił na podjazd sto metrów dalej.

Palumbo zatrzymał się za nim, tarasując mu odwrót. Wsiadł w okamgnieniu, przyskoczył do drzwi kierowcy, przycisnął odznakę do okna. Odznaka była fałszywa, ale kupiła mu kilka sekund.

Kierowca otworzył drzwi, podnosząc ręce, żeby pokazać, że nie ma złych zamiarów. Palumbo wyciągnął go z wozu i dźgnął paralizatorem w szyję. Dwa tysiące woltów przemieniło kolana mężczyzny w galaretę. Upadł nieprzytomny.

Palumbo wsunął się na jego miejsce i zatrasnął drzwi.

- Witam, generale - powiedział.

- Kim pan jest, do diabła? - zapytał John Austen. Palumbo nie miał czasu na wyjaśnienia.

- To koniec - oświadczył. - Zamykamy operację.

- O czym pan mówi?

Palumbo rzucił paralizator i wyjął z kurtki walthera.

- Jaki samolot jest celem?

- Kimkolwiek pan jest, do cholery, lepiej, żeby miał pan dobre wytłumaczenie napaści na mojego adiutanta.

- Który samolot zamierzacie strącić?

- Wynocha z mojego wozu!

Palumbo wbił kciuk w miejsce pomiędzy szczęką a uchem Austena, naciskając jeden konkretny punkt. Usta generała otwarły się w niemym krzyku. Czuł się tak, jakby ktoś wbił mu miecz w czubek czaszki.

- Jaki samolot planujecie zestrzelić? - powtórzył Palumbo. Odsunął kciuk i generał zgiął się wpół.

- Kto cię przysłał? - wysapał. - Lefever? To ty zabiłeś Lammersa i Blitza?

Palumbo przycisnął lufę pistoletu do jego policzka. Z bliska skóra lśniła niczym poślizgnięty wosk i była napięta jak na bębnie.

- Gdzie jest dron? Rozwalę ci łeb, jeśli nie powiesz.

- Nie ośmielisz się.

- Jesteś tego pewien?

- Śmiało. To nic nie zmieni.

- Tak, zmieni. Będziesz trupem, a dron nie wystartuje i nie wysadzi w powietrze samolotu pełnego niewinnych ludzi.

- Nikt nie jest niewinny. Wszyscy rodzimy się w grzechu.

- Mów za siebie. Gdzie jest główny dom? Słyszałem, jak mówiłeś, że przenosicie się do głównego domu.

Austen zamknął oczy.

- „O, radości, nie mam niczego i jestem nikim - wyrecytował. - Widzę tylko chwałę żywego Chrystusa i nie dbam o nic z wyjątkiem Jego woli”.

Palumbo spojrział przez okno. Kierowca wciąż był nieprzytomny. Coś się poruszyło za firankami w panoramicznym oknie nad garażem. Znow naciśnął ten sam punkt i trzymał, tym razem dłużej.

- Gdzie jest dron? Tu? To jest główny dom? Zwolnił nacisk.

Austen wlepił w niego oczy. Lśniły w nich łzy, ale Palumbo nie mógłby powiedzieć, czy z bólu, czy z jakiegoś pokręconego poczucia poświęcenia.

- Dziękuję - powiedział Austen.

- Za co?

- Chrystus miał swoją próbę. Przetrzymał ją i został wybawiony. Teraz



moja kolej.

- Chrystus nie był mordercą.

- Nie rozumiesz? Wszystko dzieje się tak, jak przepowiedziano w Apokalipsie.

Izraelici władają Jerozolimą. Pan jest gotów do powrotu. Nie możesz nic zrobić, aby temu zapobiec. Żaden z nas nie może. Możemy tylko pomóc.

Bredzi, pomyślał Palumbo.

- O który lot wam chodzi? Wiem, że to będzie dziś wieczorem. Ale Austen słuchał tylko własnego głosu.

- Pan do mnie przemówił. Powiedział mi, że jestem naczyniem jego woli. Nie możesz mnie powstrzymać. On na to nie pozwoli.

- To niczyja wola, tylko twoja.

Na zewnątrz trzasnęły drzwi. U szczytu schodów domu pojawili się dwaj mężczyźni. Palumbo podniósł rękę do stacyjki, ale nie znalazł kluczyków.

Popatrzył na Austena, a ten odpowiedział równie aroganckim spojrzeniem jak zawsze. Palumbo zrozumiał, że to on. To on ma pilotować drona.

Podniósł bron do skroni Austena.

- Nie mogę pozwolić, żebyś zabił tych wszystkich ludzi.

Cień po lewej stronie przysłonił słońce. Szyba pękła, szkło zasypało kabinę.

Ręka wsunęła się do środka i chwyciła go za ubranie. Palumbo ją odtrącił. Austen już sięgał po broń. Palumbo uderzył go łokciem w twarz, pchnął z powrotem na fotel. Podniósł pistolet. W tej samej chwili ktoś złapał go za kołnierz i szarpnął do tyłu. Strzelił. Kula strzaskała okno po stronie pasażera. Pięść uderzyła go w skroń. Upuścił pistolet. Drzwi się otworzyły i poczuł, że ktoś wyciąga go z samochodu na podjazd. To nie może tak się skończyć, pomyślał, szamocząc się i wierzgając.

Samolot... ktoś musi ich ostrzec.

A potem but uderzył go w głowę i świat pociemniał.

Samolot linii El Al, rejs 863 non stop z Tel Awiwu do Zurychu, wystartował z międzynarodowego lotniska Lod zgodnie z rozkładem, o osiemnastej dwanaście czasu lokalnego. Pilot, kapitan Eli Zuckermann, były pilot myśliwski i pracownik służby cywilnej z dwudziestosześcioletnim doświadczeniem, mający łącznie siedem tysięcy wylatanych godzin, poinformował pasażerów, że czas trwania lotu airbusa A-380 jest przewidziany na cztery godziny i pięćdziesiąt pięć minut.

Pogoda na trasie zapowiada się dobrze, mogą wystąpić najwyżej niewielkie turbulencje. Samolot będzie leciał nad Cyprem, Atenami, Macedonią i Wiedniem, by wylądować w Zurychu o dwudziestej siedem czasu środkowoeuropejskiego. Zuckermann, historyk amator w wolnym czasie, mógłby dodać, że w miejscach tych stacjali bitwy Aleksander, Cezar, Tamerlan i Napoleon; owe bitwy zadecydowały o losach cywilizacji w późniejszych stuleciach.

Wszystkie miejsca w samolocie były zajęte. Na liście pasażerów widniały sześćset siedemdziesiąt trzy nazwiska, w tym: Dahlia Borer z Jerozolimy, dyrektor izraelskiego Czerwonego Krzyża; Abner Parker z Boca Raton na Florydzie, amerykański emeryt, który stracił nogi w bratobójczym ogniu w Wietnamie; Zane Cassidy z Edmond w Oklahomie, pastor Kościoła Biblii Mesjasza i kierownik grupy siedemdziesięciu siedmiu ewangelicznych chrześcijan; Myer Cohen, przywódca Izraelskiej Partii Osadników w drodze do Waszyngtonu, żeby lobbować w Kongresie na rzecz ekspansji osadników na Zachodnim Brzegu; Jaser Mohammed, arabski członek Knesetu, również w drodze do Waszyngtonu, żeby lobbować w Kongresie za zakazem ekspansji osadników na Zachodnim Brzegu.

Dwaj ostatni siedzieli obok siebie. Po wstępnej konwersacji i wymianie poglądów politycznych, jeden z nich wyjął szachownicę. Resztę lotu spędzali w przyjaznym milczeniu, zgarbieni nad swoimi skoczkami i pionami.

Trzystu siedemdziesięciu mężczyzn, trzysta kobiet łącznie z sześćdziesięciorgiem czworgiem dzieci. Plus osiemnastoosobowa załoga.

Gdy samolot wszedł na pułap rejsowy na wysokości jedenastu tysięcy dwustu metrów, Zuckermann drugi raz zwrócił się do pasażerów, oznajmiając, że wyłącza znak nakazujący zapięcie pasów i że można spacerować po dwupokładowej maszynie, najnowszej we flocie El Al. Z

przyjemnością dodał, że mają silny wiatr w ogon, co skróci czas lotu. Powinni wylądować o dziewiętnastej pięćdziesiąt. Piętnaście minut przed czasem.

Życzył wszystkim przyjemnej podróży i na koniec zapowiedział, że odezwie się do pasażerów krótko przed lądowaniem.

Nie - powiedział von Daniken do telefonu. - Nie mamy szczegółów dotyczących konkretnego zagrożenia. Wiemy tylko, że w kraju działa komórka terrorystyczna, której celem jest zniszczenie samolotu pasażerskiego. Nie wiemy, kim są ani gdzie są w tej chwili. Ale powtarzam: wiemy, że tu są, najprawdopodobniej w Zurychu lub w Genewie. Wszystkie nasze dowody wskazują na próbę zamachu na samolot, albo w powietrzu, albo na lotnisku, w ciągu następných czterdziestu ośmiu godzin.

Mówił do dyrektora państwowego Urzędu Lotnictwa Cywilnego, instytucji, która ma ostatnie słowo we wszystkich sprawach związanych z lotami kończącymi się i zaczynającymi na lotniskach szwajcarskich. Dyrektor był przyjacielem, kolegą z wojska, ale przyjaźń nie wchodziła w grę w sprawach takiej wagi.

- Żebyśmy się dobrze zrozumieli, Marcusie. Mamy zamknąć wszystkie główne lotniska w kraju do odwołania?

- Tak.

- Ale to oznacza odwołanie wszystkich lotów i skierowanie samolotów na lotniska we Francji, Niemczech i Włoszech.

- Jestem tego świadom.

- Mówimy o ponad stu lotach tylko dziś wieczorem. Czy masz pojęcie, jaki wpływ taka decyzja wywrze na cały europejski ruch powietrzny?

- Nie prosiłbym, gdybym nie uważał, że to absolutnie konieczne.

Nastąpiła pauza. Von Daniken mógł wyczuć udrękę rozmówcy.

- Muszę mieć zgodę pani prezydent - oznajmił dyrektor Urzędu Lotnictwa Cywilnego.

- Nie ma jej w kraju. W tej chwili nie można się z nią skontaktować.

- A wiceprezydent?

- Rozmawiałem z nim. Nie chce podejmować decyzji bez rozmowy z nią.

- Skontaktowałeś się z Federalną Służbą Ochrony? Ochrona samolotów w obrębie naszych granic leży w ich gestii.

- Przed chwilą. Nie ma szans. Mogą co najwyżej przekazać ostrzeżenie wszystkim pilotom. Poinformowanie ich niewiele pomoże. Sądzymy, że atak zostanie przeprowadzony za pomocą uzbrojonego drona. Konstrukcja samolotów pasażerskich nie pozwala na wykonywanie manewrów unikowych.

- Nie - przyznał szef lotnictwa cywilnego. - Zdecydowanie nie. Co z wojskiem?

- Minister obrony upoważnił wojsko do rozlokowania baterii pocisków Stinger powietrze-ziemia wokół lotnisk w Zurychu, Genewie i Lugano. Niestety, nie zdążą zająć stanowisk do jutra rana.

Von Daniken nie dodał, co powiedział mu dowódca obrony powietrznej.

„Problem w tym, że stinger może równie dobrze zestrzelić samolot pasażerski jak drona”.

- Przykro mi, Marcusie, ale mam związane ręce. W chwili, gdy usłyszysz coś od pani prezydent, daj mi znać. Tymczasem wystosuję ostrzeżenie do szwajcarskiej kontroli ruchu powietrznego. Powodzenia.

- Dzięki.

Von Daniken odłożył telefon.

Na dwóch biurkach leżały plany Zurychu i Genewy. Myer stał obok planu Zurychu. Piórem dzielił obszar wokół każdego lotniska na kwadraty, tworząc siatkę poszukiwań.

Von Daniken podszedł i pochylił się nad planami.

- Ilu funkcjonariuszy mamy?

- Pięćdziesiąt dwuosobowych zespołów pracuje na osiedlach wokół Flughafen w Zurychu. W Genewie tylko trzydzieści pięć. Chodzą od drzwi do drzwi i pytają, czy ktoś widział czarną lub białą furgonetkę albo jakąś podejrzaną aktywność.

Von Daniken zdusił gniew. Połączone siły policyjne dwóch największych miast kraju liczyły ponad dziesięć tysięcy ludzi. Oddelegowanie stu siedemdziesięciu zakrawało na kpiny.

- Tylko tylu dali komendanci. Marti jest członkiem Rady Związkowej i ministrem sprawiedliwości. Znają jego podejście do sprawy - wyjaśnił Myer.

- Tak? Cóż, podejście Martiego się zmieniło. Musimy do nich zadzwonić i dać im znać.

Von Daniken przyjrzał się planowi. Wokół zuryckiego lotniska leżały cztery gemeente, czyli gminy: Glattbrugg, Opfikon, Oerlikon i Kloten. Łącznie sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców w około ośmiu tysiącach domów i bloków.

Myer zacieniował różowym piórem kwadraty, które już zostały sprawdzone.

Stanowiły mniej niż dziesięć procent całego obszaru.

- A więc? - zapytał von Daniken. - Jakie są ostatnie wiadomości?

- Około tuzina czarnych volkswagenow vanow, nieodmiennie należących do sąsiada. Żadnych zgłoszeń o podejrzanej aktywności z wyjątkiem tych zwyczajnych. Ktoś zagląający w nocy przez okno, ktoś spuszcający benzynę z samochodu, para śpiewających za głośno pijanych nastolatków. Ale żadnych terrorystów z supernowoczesnym dronem.

- Ani jednej wzmianki o miniaturowym samolocie z rozpiętością skrzydeł prawie osiem metrów, toczącym się ulicą przed domem, co?

- Ani jednej.

Von Daniken przysiadł na skraju biurka.

- A co z Martim? Pójdzie na dno? - zapytał Myer.

Von Daniken pokręcił głową. Wyjaśnił, że z uwagi na okoliczności Alphons Marti nie zobaczy więzienia od środka. Tobi Tingeli pogwałcił szwajcarskie prawo bankowe, pokazując mu korespondencję klienta. Dowód comiesięcznych przelewów z amerykańskiego Departamentu Obrony na konto Martiego nigdy nie zostanie przyjęty w sądzie. Von Daniken nie uzyska zezwolenia na przeszukanie terenów zakładu ZIAG, jeśli Marti nie złoży zeznania pod przysięgą dotyczącego firmy eksportującej zakazane materiały. Marti będzie musiał ustąpić z urzędu, ale zrobi to pod jakimś pretekstem, najpewniej zrezygnuje z przyczyn zdrowotnych.

- Więc ujdzie mu na sucho - skomentował Myer. Von Daniken wzruszył ramionami.

- Jestem pewien, że obaj znajdziemy jakiś sposób, żeby w przyszłości urozmaicić mu życie.

- Z wielką przyjemnością.

Von Daniken nalał kawy do kubka i usiadł za biurkiem. Nie mógł przestać myśleć, że Marti był na amerykańskiej liście płac. Licencje eksportowe. Produkty dwojakiego zastosowania. To wszystko cuchnęło spiskiem. Ale w jakim celu?

Dlaczego wyposażać wroga w dzieło szatana?

Dopił kawę, potem zadzwonił do Philipa Palumbo. Był ciekaw, czyjego kontakt w CIA wykopał jakieś informacje o zabójcy winnego śmierci Lammersa i, co potwierdziły ostatnie raporty medyczne, Gottfrieda Blitzera alias Mahmouda Quitaba. Zgłosiła się poczta głosowa. Von Daniken zostawił swoje nazwisko i numer, nie wspominając słowem, w jakiej sprawie dzwoni. Palumbo nie potrzebował podpowiedzi.

Amerykanie. Byli wszędzie, gdzie tylko spojrzeć. Kluczem jest Ransom.

Spotkał się z Blitzem i Jinnem. Jedyna osoba wiążąca obie operacje.

W tej chwili zauważył Hardenberga zmierzającego w jego stronę. Nie miał marynarki i jego brzuch kołysał się jak kula do bowlingu.

- Panie inspektorze - zawołał z daleka. - Mam coś.

- Najpierw złap oddech.

- O Excelsior Trust, tym w Curaçao - mówił Hardenberg, posapując. - Przyszło mi na myśl, że jeśli mają tytuł własności jednego domu, mogą mieć tytuł innego.

Nie byłem na spotkaniu z generałem Chaubertem, ale powiedziano mi, że dron musi mieć jakąś bazę operacyjną, z której pilot będzie go widział na własne oczy.

- Zgadza się.

- Więc skontaktowałem się z rejestratorem podatkowym we wszystkich osiedlach wokół lotnisk w Genewie i Zurychu, i poprosiłem o sprawdzenie, czy w najnowszych dokumentach sprzedaży nie występuje nazwa funduszu.

- I? - Von Daniken założył ręce za plecy, mając nadzieję, że nie wygląda na zbyt przejętego.

- Na razie odpowiedziały tylko dwa z siedmiu osiedli, ale wygląda na to, że Excelsior Trust nabył dom w Glattbrugg.

Von Daniken przełknął ślinę, czując, jak rozgrzewa go iskierka nadziei.

Glattbrugg sąsiadowało bezpośrednio z zuryskim lotniskiem.

- Dokładnie gdzie?

- Dom stoi niespełna kilometr od południowego krańca pasa.

## 79

Zlecenie trafiło do 69. Eskadry Izraelskich Sił Powietrznych, znanej również jako „Młoty”. Eskadra stacjonowała w bazie lotniczej Tel Nof na południowy wschód od Tel Awiwu, w południowej części pustyni Negev, i składała się z dwudziestu siedmiu samolotów McDonnell Douglas F-151 thunder. F-151, napędzane przez dwa silniki turbowentylatorowe Pratt & Whitney, mogą rozwijać prędkość dwa i pół macha, czyli około trzech tysięcy kilometrów na godzinę, i mają zasięg dwóch tysięcy mil morskich. Mogłyby uderzyć w siedemdziesiąt procent wyznaczonych celów na terenie Iranu bez uzupełniania paliwa w powietrzu. Co ważniejsze, F-151 był jedynym samolotem w izraelskich siłach powietrznych zdolnym do przenoszenia B61-11 EPW.

Bomby penetrujące z głowicami nuklearnymi spoczywały w wózkach na lśniącej betonowej podłodze. Sam ich wygląd onieśmiał. Długie na siedem i pół metra, miały cztery stateczniki za ostrym nosem i cztery na ogonie. B61-11 były smukłe, jak przystało na amunicję lotniczą. Ich średnica, siedemdziesiąt centymetrów, odpowiadała idealnie ośmiocalowemu lufom haubicy wykorzystanym do ich budowy. Wyposażone w zapalnik opóźniający, uderzały w ziemię z prędkością sześciuset metrów na sekundę, przedzierając się przez piętnaście metrów granitu lub zbrojonego betonu przed detonacją. Głowica o sile dziesięciu kiloton i wytworzone przez nią fale sejsmiczne mogły zniszczyć każdą konstrukcję do głębokości czterdziestu pięciu metrów pod powierzchnią ziemi. I przy okazji wyrzucić do atmosfery ponad sześćdziesiąt tysięcy ton opadu radioaktywnego.

- W samą porę - powiedział generał Danny Ganz, gdy wraz ze Zvi Hirschem wszedł do wielkiego hangaru.

- Istny cud - przyznał Hirsch.

W pobliżu grupa techników wiozła jeden z pocisków po gładkiej betonowej podłodze. Ustawili go pod lukiem samolotu, podnieśli lewarkiem wózek i przymocowali pocisk do komory. Hirsch i Ganz patrzyli, jak mocują drugą bombę, potem trzecią. Ganz westchnął w duchu na ten widok. Był zmęczony walką. Zmęczony stałą czujnością. Zastanawiał się, czy Izrael kiedyś zazna luksusu pokoju.

- Pierwsza fala skoncentruje się na nowo odkrytym ośrodku wzbogacania w Challus - mówił. - Następnie zajmiemy się wyrzutniami pocisków i



zakładami produkującymi głowice bojowe. Paru ludzi z Sayeret dziś w nocy podświetli cele dla naszych ptaszków. Przerzucimy ich śmigłowcami z okrętów w Zatoce.

- Dziś? - zapytał Zvi Hirsch, nie kryjąc konsternacji. - Czy nie trochę za wcześnie? Pamiętaj, co powiedział prezydent. Nie możemy działać pochopnie.

Musimy mieć powód.

Ganz skrzyżował ramiona.

- Parę minut temu odebrałem telefon od przyjaciela z Pentagonu. Kolegi pilota, prawdę mówiąc.

- Od kogo?

- Generała Johna Austena.

- Tego fanatyka?

- Wolę nazywać go przyjacielem Izraela. - Ganz pochylił się, żeby mieć pewność, iż nikt nie podsłucha ich rozmowy. - Ma informacje wskazujące, że w ciągu następnych dwunastu godzin dojdzie do ataku godzącego w nasze interesy.

- Gdzie?

- Gdzieś w Europie - odparł Ganz. Spojrzał w wytrzeszczone, jakby martwe oczy Hirscha. - Nie sądzę, żebyśmy musieli długo czekać.

## 80

Jak ich znajdziemy? - zapytał Jonathan.

- Zajrzyj na tylne siedzenie i weź mojego laptopa - odparła Emma.  
Włączył komputer.

- Jakieś hasło?

- To samo. Wiesz, wystraszyłeś wszystkich jak cholera, łamiąc kod. Przez ciebie będą musieli przeprojektować cały system Intelink.

- Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

Jechali brzegiem Jeziora Zuryskiego. Była szósta wieczorem. Światła skrzyły się na zboczach jak w pejzażu z baśni. W czasie jazdy z gór Emma wreszcie się otworzyła i zaczęła mówić. Nie chciała mu powiedzieć wszystkiego, co robiła w przeszłości, ale wyjaśniła, jak go znalazła, i opowiedziała o planowanym przez Johna Austena zestrzeleniu samolotu. Był to pierwszy krok w naprawieniu rozdźwięku pomiędzy nimi.

Powiedziała mu, jak wejść do programu. Na ekranie ukazała się szczegółowa mapa Szwajcarii. Kazała mu wpisać litery VD.

Migająca czerwona kropka pojawiła się w pobliżu przedmieść Zurychu. Mapa powiększyła się, aż ukazały się ulice.

- Co to jest? - zapytał.

- System lokalizacji Lo Jack - odparła. - Trzy dni temu umieściłam nadajnik w wozie von Danikena. Musiałam mieć go na oku. Sygnał z jego samochodu jest przesyłany do satelity i odbija się prosto do nas.

- Byłaś bardzo zajęta.

Emma uśmiechnęła się tajemniczo.

- Gdzie on jest?

- Całkiem blisko.

- Glattbrugg?

Jonathan przyjrzał się planowi.

- Skąd wiedziałaś?

- Cholera. - Emma wcisnęła pedał gazu.

# 81

Zuryska kontrola powietrzna, tu El Al 8851, rozpoczynam podchodzenie wstępne.

- Przyjąłem, El Al 8851. Masz zgodę na podejście. Przejdź na wektor jeden-siedem-zero i zejź na trzy tysiące metrów. Masz numer 6 na siatce.

- Potwierdzam.

Pilot z niecierpliwością słuchał rozmowy między kontrolą powietrzną i El Al rejs 8851.

Zamknął oczy i wyszeptał krótką modlitwę. Prosił o pomoc i pewną rękę.

Modlił się o odwagę, żeby doprowadzić misję do końca. Nie był złym człowiekiem. Drżał, stojąc w obliczu śmierci ponad sześciuset osób. Wiedział, że Chrystus czuł to samo, gdy wziął krzyż na ramiona. Ich śmierć będzie dla niego równie bolesna, jak ukrzyżowanie.

- Czas - powiedział John Austen.

Wszedł do garażu. Jego ludzie wyjęli trumny z szaf i przetoczyli stalowe pojemniki na środek podłogi. Złożyli drona z precyzją ekipy technicznej Formuły 1. Najpierw koła na rozporkach, osadzone w podwoziu i zablokowane. Następnie długie, giętkie skrzydła, spięte jedno z drugim i przyśrubowane do kadłuba.

Austen przytoczył wózek z gondolą zawierającą dwadzieścia kilogramów semteksu i przymocował ją do brzucha BSP.

- Dobrego lotu - powiedział, muskając palcami stalową powłokę drona.

Wrócił do salonu z widokiem na lotnisko. Jedną ścianę zajmowały przyrządy.

Monitory radaru i kamery z dziobu. Płaskie panele podające prędkość, wysokość, pozycję nad ziemią. W centrum znajdowała się klawiatura z dżojstikami po obu stronach. Pilot usiadł w fotelu i przez chwilę sadowił się wygodnie.

- Silniki włączone - zawołał, gdy pstryknął zapłon. Czerwone światełko zamrugało pięć razy, potem zapłonęło równo. Choć nie siedział w dronie, czuł, jak samolot z drzeniem budzi się do życia. Dreszcz podniecenia przebiegł mu po kręgosłupie. Dwadzieścia osiem lat czekał na tę chwilę. Datę miał wypisaną w głowie, podobną do tablicy na miejscu historycznego wydarzenia. Dwudziesty czwarty kwietnia 1980 roku.

Operacja „Szpon Orła”.

On, John Austen, wówczas major lotnictwa Stanów Zjednoczonych, został wybrany do poprowadzenia herculesa C-130 na irańską pustynię, co było pierwszym etapem desperackiego, zbyt ambitnego planu ratunku pięćdziesięciu trzech zakładników z Ambasady Amerykańskiej w Teheranie. Na pokładzie miał sześćdziesięciu czterech członków nowo utworzonych Sił Operacji Specjalnych, wyszkolonych przez pułkownika Charliego Beckwitha i dowodzonych przez podpułkownika Williama „Jerry'ego” Boykina.

Lot na pustynię przebiegał zgodnie z planem. Jedyne incydent trwał siedem minut, gdy samolot wszedł w habub, oślepiającą burzę pyłową nad Daszte Kawir, Wielką Pustynią Słoną, która rozciąga się na sześćset pięćdziesiąt kilometrów w południowo-zachodniej części kraju. Transportowiec dość dobrze poradził sobie z burzą, silniki turbowentylatorowe wytrzymały atak żwiru i piasku. Austen wylądował bez problemów w wyznaczonym miejscu pod kryptonimem „Pustynia Jeden”. Za nim przyleciało osiem śmigłowców Sea Stallion z lotniskowca USS „Nimitz” znajdujące się na Morzu Arabskim.

Helikoptery miały przerzucić elitarną jednostkę do Teheranu, a po odbiciu dyplomatów wrócić z nimi do samolotu Austena, gotowego do lotu powrotnego nad Zatoką Perską do Arabii Saudyjskiej.

Na nieszczęście nie trzeba było długo czekać.

Jeden z helikopterów wylądował niesprawny; hydraulikę diabli wzięli w tej samej burzy, przez którą leciał Austen. Drugi musiał zawrócić z powodu usterki układów. W sześciu sprawnych śmigłowcach, zamiast planowanych ośmiu, było za mało miejsca do przewiezienia odbitych zakładników z Teheranu. Misja została odwołana.

Gdy jeden ze śmigłowców startował, łopaty wzbily wir drobnego pustynnego pyłu. Oślepiiony pilot stracił orientację i wpadł na stojącego pięćdziesiąt metrów dalej herculesa. Łopaty wirnika przecięły główny statecznik. Helikopter runął na transportowiec, zalewając go paliwem i przemieniając w ogniste piekło.

Austen pamiętał niespodziewany wstrząs maszyny, wybuch wściekłości i zamieszania. Do diabła, co jest grane? - zastanowił się. Jego myśli zostały spieczone przez oślepiający błysk i skauteryzowane przez falę gorąca, która pochłonęła go w okamgnieniu. Przypięty do fotela, widząc płomień liżące ciało, powtarzał: „Już nie żyję, już nie żyję”.

Ale żył. Odpiął pasy, wyrwał się z piekła. Wytoczył się z wraku. Jego skafander, jego włosy, jego całe ciało stało w płomieniach.

Kilku żołnierzy przewróciło go na ziemię i toczyło po twardym pustynnym piasku, gasząc ogień.

Odzyskał przytomność w śmigłowcu wiozącym go na USS „Enterprise”.

Pochylał się nad nim sanitariusz. Austen podniósł rękę i chwycił krzyż zwisający z jego szyi. Szok ocalenia jak impuls elektryczny przebiegł przez jego dłoń w górę ramienia. Dookoła siebie widział światło. Tym razem nie blask płomieni, ale uzdrawiającą jasność. W tej chwili Austen zobaczył Jego. Zobaczył Pana, swojego Zbawcę. Wysłuchał Jego słów i obiecał, że je wypełni. Wiedział, że będzie żył. Miał misję do spełnienia.

On, John Austen, który nie postawił nogi w kościele od bierzmowania w wieku trzynastu lat, pijak i kobieciarz, który deptał świętość przysięgi małżeńskiej, hazardzista, który wzywał imię Pańskie nadaremno, poganin we wszystkich znaczeniach tego słowa, został wybrany na herolda Drugiego Przyjścia Pana Wszchemogącego, Jezusa Chrystusa.

Austen przeprowadził kontrolę układów przed startem. Lotki. Olej. Płyn przeciw zamarzaniu. Włączył kamerę na dziobie. Zobaczył ulicę przed domem.

Szereg lamp ustawionych po obu stronach pasa, pełniących funkcję świateł granicznych.

Przesunął manetkę przepustnicy i dron ruszył.

„Mahdi I” był gotów do lotu.

## 82

W centrum dowodzenia von Daniken podniósł lornetkę do oczu i zza firanek przyjrzał się rezydencji. Dom zakupiony przez Excelsior Trust stał na Holzwegstrasse 33. Była to solidna piętrowa budowla zaprojektowana bez cienia wyobraźni. Pudło w kolorze kości słoniowej z szarym łupkowym dachem. Ogród wokół domu. Balkon przy sypialni na piętrze. Ale von Danikena najbardziej interesowała droga dojazdowa. Oczyszczona ze śniegu, biegła prosto i równo przez pięćset metrów. Na jego oko idealnie nadawała się na pas startowy.

Przesunął lornetkę w lewo. W kącie posesji stała szopa. Nie wyglądała na dość dużą, by pomieścić drona, ale przecież generał Chabert powiedział, że można go szybko złożyć. Na zewnątrz panował spokój, nic też nie świadczyło, że wewnątrz domu coś się dzieje.

Ogrodzenie wokół lotniska wznosiło się zaledwie dziesięć metrów dalej. Z jednej strony wspinało się na łagodne wzniesienie, potem skręcało na północ i biegło w prostej linii przez trzy kilometry wzdłuż lasu szpilkowego. Z drugiej strony przecinało szeroką łąkę zasypaną śniegiem. Dalej łąka ustępowała rozległej betonowej płycie postojowej, zalanej blaskiem umieszczonych wysoko, oślepiających świateł. Południowy skraj lotniska zuryskiego.

Gdzieś startował samolot. Hałas przybierał na sile, w miarę jak maszyna się zbliżała. W ciągu paru sekund ryk silników zagłuszył wszelkie inne dźwięki.

Von Daniken opuścił lornetkę i wrócił do jadalni.

- Dobrze wybrali. Żadnych sąsiadów. Dobry widok na lotnisko. Niczym niezakłócona linia wzroku.

- Nie tylko na lotnisko - dodał niski, krępy mężczyzna z kręconymi czarnymi włosami i cienkim jak ołówek wąsikiem hazardzisty. Nazywał się Michael Berger. Był kapitanem specjalnego oddziału szturmowego policji zuryskiej. To on miał przypuścić atak na drzwi domu. - Wszyscy, którzy są wewnątrz, zobaczą nas ze stu metrów. Jak pan sądzi, ilu ich jest?

- Nie mamy pewności, ale co najmniej pięciu. Może być więcej.

- Uzbrojeni?

- Na pewno. To zawodowcy. Parę tygodni temu weszli w posiadanie dwudziestu kilogramów semteksu-H, który bez wątpienia jest w dronie.

Berger ponuro pokiwał głową, oceniając szanse powodzenia i przeżycia.

- Uderzymy z powietrza. Dwa śmigłowce. Nasz zespół zjedzie na linach.

Zgramy to ze startem jakiegoś samolotu pasażerskiego. Śmigłowce są wyposażone w tłumiki, które pozwalają na prawie bezgłośny lot. Wyślemy drugi zespół główną drogą i przypuścimy atak od frontu. Pańscy przyjaciele nie usłyszą piśnięcia, dopóki nie uderzymy. Cała operacja powinna trwać nie więcej niż sześćdziesiąt sekund. Von Daniken ostentacyjnie przeglądał szkice.

- Ile razy to robiliście? Berger zmrużył oczy.

- Nigdy. Ale mamy za sobą sporo ćwiczeń.

Inspektor tylko pokiwał głową.

- Będziemy gotowi za czterdzieści minut - powiedział Berger. - Powiedzmy, o dziewiętnastej dwadzieścia.

Mężczyźni zsynchronizowali zegarki.

Von Daniken podszedł do okna od frontu, gdzie Myer trwał na stanowisku z lornetką.

- Nikt w sąsiedztwie nic nie widział ani nie słyszał?

- Najwyraźniej od paru dni panował tu spory ruch. Ludzie wchodzili i wychodzili. Samochody jeździły w tę i z powrotem, parkowały przed domem.

- A furgonetka?

- Nie.

Kapitan Berger stanął w drzwiach na tyłach i dał znak, że pora ruszać. Von Daniken dołączył do niego i razem pobiegli do furgonetki. Wsiedli i zasunęli drzwi.

Po dwóch minutach jazdy dotarli do miejscowej straży pożarnej, gdzie czekali ludzie Bergera. Na przyległym boisku stały dwa śmigłowce Aerospatiale Ecureil, wirniki obracały się powoli.

W remizie panowało wręcz namacalne napięcie, gdy policjanci wkładali granatowe jednoczęściowe kombinezony, kamizelki z kevlaru i nylonową uprząż ze sprzętem: radiem, granatami, amunicją. To nie są ćwiczenia.

Było ich dwudziestu pięciu. Wydawali się starsi, niż von Daniken miał nadzieję, i niejeden nie bez trudu zapiął kamizelkę na wydatnym brzuchu.

Standardowe uzbrojenie składało się z pistoletu maszynowego Heckler & Koch HP47. Dwóch miało wielkie, niezdarne strzelby Wingmaster, używane do wyważania drzwi.

Zatrzeszczało radio von Danikena. Zgłosił się Myer.

- W domu zapaliły się światła.

- Światła w domu - zagrzmiał Berger, zwracając się do swojego oddziału. Remiza cuchnęła potem i strachem.

- Jakież rozmowy? - zapytał von Daniken.

Jeden z zespołów technicznych miał mikrofon laserowy wycelowany w okna domu. Urządzenie odczytywało wibracje szyb powodowane przez głosy w domu i tłumaczyło je na coś, co przypominało oryginalne brzmienie.

- Telewizor jest włączony - odparł Myer. - Miejmy nadzieję, że głośno. Berger podzielił swoich ludzi na dwie grupy po ośmiu, pozostałych zostawiając w rezerwie.

- Muszę mieć oficjalne zielone światło.

- Masz je. - Von Daniken wyciągnął rękę i życzył mu powodzenia. Berger odwrócił się do swoich ludzi.

- Ruszamy za pięć minut - zawołał.

Von Daniken ruszył do stanowiska dowodzenia, idąc ścieżką przez las.

Spojrzał w niebo. Noc była piękna, na aksamitnej zasłonie nieba skrzyły się gwiazdy, sierp księżyca wisiał nisko nad horyzontem. Dziewiętnasta szesnaście.

Zapadła noc. Usłyszał, jak Berger rozkazuje ludziom wsiadać do helikopterów.

Wbił ręce w kieszenie i przyspieszył kroku.

- Von Daniken.

Zatrzymał się, obrócił dokoła, próbując zlokalizować osobę, która się odezwała. Nie dostrzegł nikogo.

Z cieni wyszedł wysoki, barczysty mężczyzna.

- Nazywam się Jonathan Ransom. Zdaje się, że pan mnie szuka.



## 83

Jonathan zbliżył się do policjanta, trzymając ręce z dala od tułowia, żeby pokazać, iż jest nieuzbrojony, jak kazała mu Emma.

- Musi pan powstrzymać swoich ludzi - powiedział. - Tych, których pan szuka, tutaj nie ma.

- Nie? - zapytał von Daniken czujnie.

- Nie. Drona też nie.

- Dlaczego pan mi to mówi?

- Bo ja też chcę ich powstrzymać. Popełnił pan błąd. To nie mnie pan szukał.

- Zatem kogo?

- Mnie. - Emma wyszła z cieni za jego plecami. - Pan Blitz i pan Lammers byli moimi kolegami, nie Jonathana.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem, panno...

- Pani Ransom.

Von Daniken zastanowił się. Przeskakiwał spojrzeniem z mężczyzny na kobietę i przez chwilę wydawało się, że rozumie ich desperację.

- Pani jest Emmą Ransom. - Wskazał ją palcem, jakby bez przekonania. - Kobieta, która zginęła w wypadku w górach w zeszły poniedziałek?

- Nie było żadnego wypadku.

- Najwyraźniej.

Popatrzyła mu w oczy. Połączyło ich milczące porozumienie zawodowców.

Dała mu chwilę na przemyślenie sytuacji, potem powiedziała: - Jonathan w żaden sposób nie jest zamieszany w ten spisek. Policjant, którego zabił, wykonywał nasze rozkazy. On i jego partner zaatakowali mojego męża, żeby wejść w posiadanie pewnych rzeczy, które należały do mnie. Jonathan działał w samoobronie. Nie mogę powiedzieć nic więcej z wyjątkiem tego, że to mnie pan szukał. Nie mojego męża. Musi pan mnie wysłuchać. Namierzyliscie niewłaściwy dom. Organizuje pan atak na przynętę.

- Na przynętę? - powtórzył von Daniken sceptycznie.

- Tak.

- Skąd ta pewność?

- Bo wiem, gdzie jest właściwy dom.

- Musimy się spieszyć - dodał Jonathan. - Niech pan ich odwoła.

Von Daniken przypominał flegmatycznego, niewzruszonego, zmęczonego boksera, który zbiera siły do ostatniego starcia. Jego usta się poruszyły i Jonathan przypuszczał, że sortuje tuziny pytań, które go nękały.

- Gdzie jest dron? - zapytał von Daniken.

- W domu na szczycie. Lenkstrasse 4. - Emma wskazała wzgórze, które wznosiło się pięć kilometrów za nimi.

- I atak jest przewidziany na tę noc?

- Lot El Al z Tel Awiwu.

Na pasie samolot przygotowywał się do startu. Przerażliwe zawodzenie potężnych silników przeszło niebo. Potem skądś bliżej napłynął inny hałas, niższy. Zadarli głowy. Nisko nad nimi przemknęły dwie szare sylwetki.

- Niech pan ich zatrzyma - powiedziała Emma.

- Skąd mogę wiedzieć, czy można pani zaufać?

- Bo tu jestem.

Von Daniken wyjął z kieszeni krótkofalówkę i podniósł ją do ust. Nim zdołał powiedzieć słowo, noc wybuchła w szeregu eksplozji, trzasku szkła i staccato strzałów. Na niebie rozbłysła flara. Jej blask oświetlał sylwetki ludzi biegnących na tyły domu.

Von Daniken pobiegł ścieżką, Jonathan i Emma tuż za nim. Dotarli do stanowiska dowodzenia i weszli tylnymi drzwiami. Tuzin mężczyzn stał w salonie, patrząc przez okno, gdy radio policyjne ryknęło przeraźliwie.

- Pokój czysty.

- Kuchnia czysta.

- Sypialnia czysta.

Głosy zgłaszały się kolejno i meldowały w telegraficznym stylu. Potem usłyszeli jazgot pistoletu maszynowego.

- Padnij!

Przepadły pozory porządku. Teraz głosy nakładały się bez ładu i składu.

- Kto jest?

- Zły facet.

- Stać... co, do diabła?

- Jest związany.

- Ale miał broń.

- Dawać tu szefa... natychmiast!

Von Daniken spojrzał gniewnie na Emmę, ale nic nie wyczytał z jej miny. Jej oczy nie odrywały się od radia.

Zamieszanie skończyło się równie nagle, jak się zaczęło. Stali w ciszy,

czekając na kolejne wieści. Minęła minuta. Na ulicy zaczął szczekać pies.

Nagle usłyszeli głos Bergera.

- Marcusie, chodź tutaj.

Von Daniken wskazał na Emmę i Jonathana.

- Zostańcie.

Szedł zdecydowanym krokiem środkiem drogi. Chciał biec, ale był szefem wydziału policji federalnej i wiedział, że wyglądałby nieprofesjonalnie.

Procedura to było wszystko, co mu pozostało.

Wszedł po schodach po dwa stopnie naraz, mijając wychodzących żołnierzy.

W powietrzu wisiał zapach prochu, piekąc go w oczy. Zasilanie w domu zostało odcięte tuż przed atakiem. Korytarze były ciemne, pełne dymu. Von Daniken zapalił latarkę. Z pokoju wyszedł Berger z przyczernioną twarzą.

- Widzieli, że nadchodzimy - mówił, prowadząc go do salonu. - Ukartowali to.

- Co takiego?

- Spójrz.

Von Daniken zaświecił na coś pośrodku podłogi. Na boku leżał mężczyzna przywiązany do krzesła z niskim oparciem. Usta miał zaklejone taśmą. Trzymał pistolet, też umocowany taśmą. Krew z jego piersi utworzyła kałużę, która wciąż rosła na drewnianej podłodze. Zmarł z szeroko otwartymi oczami.

- Jesteśmy wyszkoleni, żeby strzelać na widok broni - powiedział Berger.

Von Daniken podszedł bliżej, czując ogarniające go odrętwienie. Jego umysł odrzucał przyjęcie do wiadomości tego, co widziały oczy. Zastrzelonym człowiekiem był Philip Palumbo.

- Co jeszcze wiecie o dronie? - zapytał von Daniken po powrocie na stanowisko dowodzenia.

- Będzie tam grupa złożona z nie mniej niż sześciu osób - odparła Emma.

- Czterech do złożenia drona i pełnienia straży. Jeden jako kontroler lotu i drugi do sterowania. Uzbrojeni po zęby.

Von Daniken podszedł do okna i spojrzał na wzgórze. Znał ten teren, lesiste zbocze z ruinami starożytnych murów, które kiedyś otaczały cytadelę Zurychu.

Gdy oczy przywykły do mroku, ujrzał samolot startujący z lotniska. Wzbił się w niebo i skręcił ostro w prawo, przelatując prosto nad tym

miejscem.

Popatrzył na drogę. Ludzie Bergera wychodzili z domu. Nie było czasu na przegrupowanie.

- Weź wóz - rozkazał Hardenbergowi. Zwrócił się do Myera: - Masz rozkład lotów, o który prosiłem?

Myer wyjął z kieszeni plik papierów. Von Daniken przestudiował listę przylotów i odlotów. Na dwudziestą pięć było przewidziane lądowanie El Al rejs 8851 z Tel Awiwu. Sprawdził, która godzina. Wpół do ósmej. Spojrzał na Emmę.

- Co jeszcze może mi pani powiedzieć?

- Do domu prowadzą dwie drogi. Jedna posłuży jako pas startowy. Druga biegnie z tyłu. Proponuję, żebyśmy podzielili się na dwie grupy. Ja zajdę od frontu.

Von Daniken popatrzył na tę arogancką, pewną siebie kobietę, która wydawała mu rozkazy w jego własnym kraju. Żółć podeszła mu do gardła. Była to żółć młodszego człowieka, niestosowna dla głównego inspektora.

- Dobrze. Potrzebna pani broń?

Emma przechyliła głowę w stronę Jonathana.

- Tylko dla niego. - Zaczekała, aż von Daniken da jej mężowi pistolet i dwa magazynki, potem podjęła: - Wokół domu będą rozstawieni ludzie. Trzeba podjechać jak najbliżej, następnie włączyć światła i syreny. To powinno ich wystraszyć. Po ataku na przynętę raczej się nas nie spodziewają.

- Człowiek, który dowodzi... Nazywa się Austen? Emma nie odpowiedziała.

- Może pani z nim pomówić? - kontynuował von Daniken. - Posłucha pani, gdy usłyszysz, że jest otoczony?

- Nie. On słucha tylko jednego głosu.

- Co ma pani na myśli?

- Tylko to, że się nie zatrzyma. Nie teraz.

Von Daniken połączył się przez radio z dowódcą grupy antyterrorystów i kazał mu jak najszybciej zabrać ludzi tylną drogą na Lenkstrasse. Uprzedził, że mają się spodziewać ognia maszynowego.

W tej chwili Hardenberg podjechał białym radiowozem audi. Von Daniken otworzył drzwi.

- Macie wóz? - zapytał Emmę Ransom.

- Na drodze z tyłu.

- W takim razie powodzenia.

Von Daniken wsiadł na tył audi. Kurt Myer, trzymając pistolet maszynowy Heckler & Koch, siedział z przodu na miejscu pasażera.

- Szczerze mówiąc, dawno nie strzelałem - przyznał, spoglądając przez ramię.

- Jak dawno?

- Nigdy.

- Daj to mnie.

Myer podał mu pistolet. Von Daniken wprowadził nabój do komory i przełączył broń na ogień ciągły.

- Celujesz i naciskasz spust. Coś powinienes trafić. Pilnuj tylko, żeby to nie był jeden z nas.

Myer chwycił pistolet i położył na kolanach.

- Wczytaj Lenkstrasse w systemie nawigacyjnym - polecił von Daniken, gdy wóz przyspieszył.

Hardenberg wpisał adres. Na ekranie pojawiła się mapa. Lenkstrasse, prosta jak linijka, biegła wzdłuż miejskiego parku. Dom stał przy północnym końcu, na tyłach parku.

- Jedź na tyły - powiedział von Daniken.

Przemierzyli ulice Glattbrugg, przemknęli pod autostradą, potem rozpoczęli stromą, krętą wspinaczkę na wzgórze. Von Daniken zadzwonił na lotnisko.

Połączenie z wieżą uzyskał po paru minutach. Przedstawił się.

- Jaki jest status El Al 8851?

- Będzie dwadzieścia minut wcześniej - odarł kontroler ruchu. - Przewidziany czas lądowania dziewiętnasta czterdzieści pięć.

Spojrzał na zegar na desce rozdzielczej. Dziewiętnasta trzydzieści sześć.

- Proszę skontaktować się z pilotem i powiedzieć, żeby opóźnił lądowanie.

Mamy potwierdzone zagrożenie tego samolotu.

- Jest sześćdziesiąt kilometrów od podchodzenia wstępnego. Nie zgłosił żadnych problemów. Jest pan pewien?

- Mamy powody sądzić, że z ziemi zostanie przypuszczony atak na El Al 8851.

- Ale nie otrzymałem powiadomienia z biura głównego...

- Proszę to zrobić. - Von Daniken mówił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Tak jest.

Inspektor się rozłączył. Sześćdziesiąt kilometrów. Jeśli mniejszy dron,

który widział w biurze Lammersa, miał zasięg pięćdziesięciu kilometrów, ten większy mógł dotrzeć dziesięć razy dalej. Jeżeli nie uda im się zatrzymać bezzałogowego samolotu przed startem, będzie za późno.

- Przed nami blokada drogowa - powiedział Hardenberg.

- Objedź. Masz miejsce na poboczu.

- Włączyć syrenę?

- Zaczekaj, aż podjedziemy bliżej.

Hardenberg zjechał z drogi w śnieg i powoli przebijał się przez zasy. Wóz kołysał się łagodnie.

- Spokojnie, spokojnie.

- Żaden problem - odezwał się Myer, gdy audi wjechało na jezdnię.

-Mówiłem...

Przednia szyba eksplodowała, zasypując wnętrze szkłem. Kule darły karoserię.

Opona pękła, audi przechyliło się na bok. Chłodnica wybuchła w syku pary.

- Kryj się! - krzyknął von Daniken. Chwilę później zbryzgało go coś ciepłego i wilgotnego. Wytarł twarz i oderwał ręce pokryte krwią. Kurt Myer leżał wykręcony pomiędzy fotelami, z twarzą przemienioną w miazgę kości i chrząstki.

Hardenberg otworzył drzwi i przeczółgał się jak komandos na tył wozu. Von Daniken uchylił drzwi, policzył do trzech i rzucił się do lasu. Padł na ziemię twarzą w śnieg.

Ogień maszynowy ucichł, od czasu do czasu pojedynczy strzał wzbijał lód w powietrze.

- Dzwon do kapitana Bergera! - wrzasnął do Hardenberga.

- Zostawiłem telefon w samochodzie.

Von Daniken obmacał kieszenie. Upuścił komórkę w czasie pospiesznej ucieczki. Wyciągnął służbowy pistolet i manipulował nim, aż w końcu udało mu się wprowadzić nabój do komory i odbezpieczyć. Zaklął pod nosem. Zegarek wskazywał siódmą czterdzieści dwie. Podchwycił hałas od strony szczytu wzgórza. Było to wycie silnika odrzutowego drona.

Rozejrzał się. Dom stał trzydzieści metrów dalej. Nowoczesny budynek, wsparty na wielkich stalowych filarach. Ciemne okna nadawały mu charakter opuszczonego. Ale on nie dał się na to nabrać.

Podniósł głowę, by mieć lepszy widok. Kula uderzyła w pień drzewa dziesięć centymetrów od niego. Wtulił policzek w śnieg. Gogle

noktowizyjne.

Oczywiście. Jak inaczej mogliby go widzieć w tych przeklętych ciemnościach?

- Biegnij na dół - powiedział do Hardenberga. - Musisz ostrzec innych.

Hardenberg siedział z plecami przyciśniętymi do tylnego zderzaka, jego twarz była bielsza od lodu.

- Dobra - odparł, ale nawet nie drgnął.

- Trzymaj się pod osłoną wozu, a nie będą mogli cię trafić - dodał von Daniken.

Hardenberg przełknął ślinę i wzruszył ramionami. Ruszył na czworakach w dół drogi. Von Daniken patrzył. Pięć kroków. Dziesięć. Nisko, nakazywał mu w milczeniu. Hardenberg przepelzł jeszcze kilka metrów, potem ostrożnie podniósł głowę.

- Nisko - szepnął von Daniken, dając znać ręką, że ma przypaść do ziemi.

Hardenberg opacznie zrozumiał gest i zaczął się podnosić.

- Nie! - krzyknął von Daniken co sił w płucach. - Padnij! Hardenberg z wahaniem skinął głową i podjął drogę w dół wzgórza.

Kula uderzyła go w głowę i upadł na beton.

- Klaus!

Von Daniken przetoczył się na plecy, czując obrzydzenie do samego siebie.

## 84

Kapitan Eli Zuckermann poprawił ustawienie lotek i uchylił przepustnicę, przygotowując się do wyłączenia autopilota. Latanie odrzutowcem pasażerskim stało się tak zautomatyzowane, że po wprowadzeniu do komputerów pokładowych danych konkretnego lotu - miejsca lądowania, wysokości rejsowej, maksymalnej dopuszczalnej prędkości względem ziemi - samolot mógł dosłownie lecieć sam. Zuckermann czuł, że ma pełną kontrolę nad maszyną tylko w czasie startu i lądowania, raptem trzydzieści minut w czasie każdego lotu.

Przez resztę czasu monitorował przyrządy i sprawdzał, czy pierwszy oficer ma łączność z ziemią. Nie była to dokładnie praca, o jakiej marzył, gdy przed laty odszedł z lotnictwa jako as, mający na koncie dwadzieścia trzy zestrzelone samoloty podczas trzech wojen.

Zuckermann wcisnął przycisk wyłączający autopilota. Samolot zadrżał i opadł, gdy przeszedł na sterowanie ręczne. Gdy zmienił położenie orczyka, A-380 rozpoczął łagodny skręt na południe. Noc była czysta, idealna pogoda do latania. Widział w dali światła miasta, a za nimi wielką czarną pustkę, Alpy.

Wysunął klapy i samolot zaczął powoli opadać ku Zurich Flughafen.

- Szesnaście minut do przyziemienia - powiedział drugi pilot.

Zuckermann stłumił ziewnięcie. Jak się spodziewał, lot minął spokojnie.

Spojrzał na zegarek - piętnaście minut do lądowania - potem zerknął na pierwszego oficera.

- Benny, co myślisz o kolacji? Sznycel wiedeński czy fondue?

- El Al 8851, tu kontrola Zurych. Mamy nagły wypadek. Kod 33. Zawracaj do Basel-Mulhouse, wektor dwa-siedem-dziewięć. Wejdź na dziewięć tysięcy metrów. Jak najszybciej.

Kod 33. Atak ziemiaŻpowietrze.

- Roger. Kod 33. El Al osiemdziesiąt osiem pięćdziesiąt jeden wchodzi na wektor dwa-siedem-dziewięć. Wchodzę na dziewięć tysięcy metrów. Macie kontakt radarowy z tym obiektem?

- Nie, El Al 8851. Jeszcze nie mamy go na radarze.

- Dziękuję, Zurych.

Eli Zuckermann zacieśnił uprząż i wymienił zmartwione spojrzenie z pierwszym oficerem. Ujmując mocno wolant, skręcił ostro i pchnął



przepustnicę.

Samolot przyspieszył.

Czas zobaczyć, co potrafi to maleństwo.

## 85

Mahdi jeden, wszystkie układy zielone. Możesz startować. Niech Bóg będzie z tobą.

Generał John Austen uruchomił silnik. Obroty silnika turbowentylatorowego Williams wzrastały płynnie. Zwolnił hamulec i dron zaczął się toczyć po pasie.

W słuchawkach usłyszał trzask fajerwerków. Na ekranie po lewej zobaczył latające iskry. Nie, nie iskry. To ogień z luf broni jego ludzi. Usłyszał głos.

- Policja.

- Trzymać ich z daleka.

Austen otworzył przepustnicę i dron przyspieszył. Wezbrała w nim duma i poczucie spełnienia. Dokonał tego. Spełnił powierzona mu misję. Izrael, prawowity właściciel Ziemi Świętej, szykował się do ataku. Sam Iran był odpowiednio uzbrojony. Siły Goga i Magoga gotowe do bitwy na równinach Armagedonu.

Widział z najmniejszymi szczegółami, jak konflikt się rozwinie zgodnie z planem boskim.

Izraelska ofensywa powietrzna zawiedzie.

Iran odpowie wystrzeleniem pocisków dalekiego zasięgu KH-55, których sprzedaż osobiście nadzorował. Głowice nuklearne o sile dziesięciu kiloton spadną na Teł Awiw, ale nie na samą Jerozolimę. Pan w swej potęgze ochroni najświętsze ze swoich miast. Amerykanie napadną na Iran. Fundamentalistyczna Republika Islamska przestanie istnieć.

Wszystko przygotowane na powrót Pana. A później nastąpi Wniebowstąpienie.

Austen odciął się od narastającego huku wymiany strzałów, skupiając wzrok i myśli na ekranie. Drzewa przemykały z coraz większą prędkością. Światła wzdłuż pasa błyskały. Prędkościomierz wskazywał sto węzłów... sto dziesięć...

Pociągnął drążek. Dziób zaczął się podnosić...

Wtedy to zobaczył. Światła pędzące w kierunku drona. Samochód w miejscu, gdzie nie powinno być żadnego samochodu.

Zacisnął dżojstik w dłoni i pociągnął do siebie, jednocześnie przesuwając dźwignię przepustnicy.

- Leć!

## 86

Słyszałaś? - zapytał Jonathan z przestraszeniem.

Emma spojrzała na niego.

- Co?

Opuścił szybę i wysunął głowę z samochodu.

- Nie jestem pewien, ale... - Głośny trzask rozbrzmiał w powietrzu, potem drugi. Dźwięki były ciche, jak z kapiszonowców, jakimi bawią się dzieci. - Strzały. Słyszysz?

Emma zjechała na pobocze w połowie drogi na szczyt. Zbocze porastał średniowieczny las. Niedaleko drogi widniały resztki starożytnych murów, spękane bazaltowe bloki porośnięte mchem. Głęboko w lesie strzały mrugały jak świetliki.

- Von Daniken. To ich zajmie na jakiś czas. - Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. - Na pewno chcesz to zrobić?

Jonathan skinął głową. Podjął decyzję kilka dni temu.

- Przesiądź się - powiedziała Emma. - Ty prowadzisz. Chyba że wolisz strzelać.

Jonathan znieruchomiał w drzwiach.

- Chciałem powiedzieć, że nienawidzisz broni.

- Nienawidzę.

Minęli się przed maską, ich ramiona się musnęły. Jonathan usiadł za kierownicą i dostosował fotel do swojego wzrostu. Emma zamknęła drzwi i kazała mu jechać. Zaczęła wsuwać naboje do magazynka. Zauważył, że już nie wygląda zbyt profesjonalnie. Pewność siebie znikła z jej twarzy, oddech miała przyspieszony. Bała się tak samo jak on.

Wrzucił bieg i przyspieszył, jadąc pod górę. Ledwo pokonali dziesięć metrów, gdy reflektory oświetliły barierkę ustawioną w poprzek drogi.

- Rób, co chcesz, ale się nie zatrzymuj. Wóz nabrał prędkości, pędząc ku barierze.

- Zgaś światła.

Jonathan posłuchał. Ciemność spowiła drogę. Przysunął twarz bliżej szyby.

Ledwo widział górny skraj przeszkody, białą linię przecinającą serce ciemności.

Wcisnął gaz. Wóz uderzył w barierę, rozsiewając kawałki drewna. Droga

się wyrównała. Oświetlały ją latarnie ustawione w równych odstępach po obu stronach.

Znów zagrzecotały pistolety maszynowe. Przerazająco blisko. Kule uderzyły w wóz, bębniąc jak grad po dachu blaszanej szopy. Strzaskały przednią szybę, wyrywając wielką dziurę i zostawiając zwisający, pokryty pajęczyną pęknięć płat szkła. Wiatr wpadł do wnętrza wozu. Jonathan zobaczył kilka postaci klęczących na śniegu, ich sylwetki migotały w ogniu z luf.

- Jedź! - Emma wychyliła się przez okno, strzelając w cienie.

Wtedy to zobaczył. Srebrną bestię z wielkimi skrzydłami i gondolą wiszącą pod brzuchem.

- Emmo!

Dron pędził na nich z drugiego końca drogi.

- Szybciej - powiedziała. - Staranuj go.

- Ale... - Popatrzył na nią. To było samobójstwo.

- Zrób to!

Jonathan wrzucił trzeci bieg i wcisnął gaz do dechy. Silnik zawył i wóz skoczył do przodu. Zdawało się, że dron nie ma zamiaru wystartować. Pędził ku nim niepokonane, złośliwy metaliczny owad. Emma strzelała w samolot.

Jonathan nie miał pojęcia, czy kule trafiają w cel. Wbijał oczy w gondolę pod kadłubem. To bomba. Dwadzieścia kilogramów semteksu, powiedziała Emma.

Odpowiednik czterystu kilogramów TNT. Bomba dość wielka, by unicestwić samolot pasażerski.

- Szybciej. - Emma schowała głowę do kabiny.

Nos drona oderwał się od ziemi, potem opadł. Jonathan przygotował się na zderzenie, przymrużył oczy w oczekiwaniu na wybuch, cudowny rozbłysk...

Dron startował. Nos wzniosł się w powietrze. Przednie koła oderwały się od asfaltu. Niedobrze. Zaraz się z nimi zderzą. Instynkt nakazywał mu wcisnąć hamulec. Mocniej zacisnął ręce na kierownicy i wduśił gaz.

Wrzasnął.

Błysk srebra przemknął nad ich głowami. Dron zniknął. Wzbił się w powietrze.

Sekundę później eksplodowała jedna z przednich opon. Wóz podskoczył, skręcił w lewo, zjechał na pobocze. Jonathan przekręcił kierownicę w

przeciwnym kierunku, ale niewiele to dało. Śnieg był zbyt głęboki. Samochód posuwał się coraz wolniej. Trafił na przysypaną śniegiem łatę lodu i ślizgał się na boki, wreszcie zatrzymał się w zagłębieniu pomiędzy kilkoma dębami jakieś dwadzieścia metrów od domu.

Emma wcisnęła mu pistolet w rękę.

- Człowiek, którego szukasz, jest w domu. Znajdź aparaturę, on tam będzie.

Nie zawracaj sobie głowy mówieniem do niego. Nie przestanie, dopóki nie zrobi tego, co zamierza. Masz osiem kul.

- A co z tobą?

- Zostanę tutaj - odparła. - Kiedy zacznę strzelać, biegnij do lasu i okrąż dom.

Wejść na taras, wspinając się po filarze. Stamtąd musisz jakoś dostać się do środka.

Wtedy zobaczył, że została postrzelona. Jej ramię opadało dziwnie, kurtkę miała spryskaną krwią.

- Jesteś ranna.

- Idź - powiedziała. W jej oczach odbijał się jego niepokój. - Zanim cię zauważą.

Jonathan wahał się przez ułamek sekundy, potem poszedł. Za jego plecami Emma zaczęła ostrzeliwać dom.

## 87

Zasilanie.

Von Daniken leżał w śniegu, nie czując zimna, nie czując niczego. W czasie odprawy dwa dni temu dowiedział się, że sterowanie dronem wymaga ogromnych ilości energii. Jeśli odetnie zasilanie, dron zostanie unieszkodliwiony. Będzie latać, ale nie będzie można nim sterować. Prędzej czy później skończy się paliwo. Istniały duże szanse, że spadnie na ziemię i eksploduje na niezamieszkanym terenie. Niezależnie od tego, gdzie spadnie, nie zabije sześciuset osób.

Przetoczył się na brzuch, podniósł głowę i przeszukał wzrokiem zbocze. Kule uderzały w ziemię tuż przed nim, zasypując mu oczy lodem i żwirem. Schylił głowę, przy okazji zjadając garść śniegu, ale zdążył zobaczyć prostokątną metalową skrzynkę stacji transformatorowej, która rozprawała energię po okolicy.

Stacja transformatorowa znajdowała się parę metrów dalej na płaskim stopniu wyciętym w zboczu. Wyżej biegł mur starożytnej cytadeli. Wielkie kamienne bloki zapewniały pewną ochronę.

Poczołgał się pod górę, przekopując przez głęboki śnieg. Nie mógł opanować dreszczy. Odpoczął po paru metrach i podniósł głowę, gotów w każdej chwili rzucić się na dół. Strzały brzmiały mniej więcej jak wcześniej, ale nie były wymierzone w niego. Płynęły z drugiej strony wzgórza. Kaliber też był inny.

Ransom i jego żona.

Usłyszał hałas silnika odrzutowego. Pomyślał, że to niemożliwe, by taki mały samolot wytwarzał taki ogłuszający hałas. Wycie zmieniło ton, stawało się coraz wyższe, wyteżone. Dron startował. Von Daniken przekreślił się na bok i spojrzał w niebo. Przez chwilę widział srebrne ostrze mknące nad czubami drzew.

Kucnął i popędził pod górę. Nie szukał osłony. Wiedział, że jest łatwym celem, ale cisza w najbliższej okolicy wzbudziła w nim irracjonalną pewność siebie. Przed nim majaczył dom, podobny do betonowego bunkra.

Nagle znalazł się na miejscu.

Zadyszany, przypadł do skrzynki. Była zamknięta na kłódkę. Odsunął się, wycelował i strzelił. Kula zniszczyła zamek. Skrzynka otworzyła się jak muszla.

Zajrzał do środka. Nalepka ostrzegała, żeby niczego nie dotykać z uwagi na niebezpieczeństwo porażenia prądem. Czaszka i skrzyżowane piszczele na drugiej naklejce ilustrowały zagrożenie. Miał przed sobą płataninę przewodów, jednych splecionych w grube, wielobarwne warkocze, innych w gumowych osłonach. Wszystko wydawało się strasznie skomplikowane. Spodziewał się jakiegoś głównego wyłącznika, który będzie mógł pociągnąć. Wyciągnął szyję, żeby mieć lepszy widok.

Kula uderzyła go w ramię i obróciła dokoła. Zanim zrozumiał, co się dzieje, leżał twarzą w dół na śniegu. Przekreślił się na plecy, oszołomiony, pozbawiony tchu, nagle nie wiedząc, co ma zrobić. Leżał przez parę sekund, dochodził do siebie.

Zmusił się do podniesienia na kolano, wycelował w dom i oddał kilka strzałów na oślep. Odrzut pistoletu sprawił, że poczuł się silny i pełen dobrej myśli.

Wycelował w skrzynkę i opróżnił magazynek. Nic się nie stało.

Zachwiał się, miał zawroty głowy. Uznał, że sytuacja jest absurdalna. Strzelał po raz pierwszy od trzydziestu lat, i to w wielkie metalowe pudło. Osunął się na ziemię. Śnieg u jego stóp był czerwony. Spróbował poruszyć lewą ręką, ale zamarzła. Stracił w niej czucie. Nagle stwierdził, że jego uwagę przyciąga śnieg.

Woda, pomyślał.

Nie potrzebował broni, żeby dopiąć swego.

Sięgnął oburącz do skrzynki, chwycił pęk przewodów i szarpnął. Snop iskier posypał się na ziemię. W jednym miejscu migotał niebieski łuk elektryczny.

Zdrową ręką podniósł garść śniegu i wrzucił do skrzynki. Przewód zaskwierczał, potem znów zaczął iskrzyć. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale z pewnością nie tego.

Macał w skrzynce, aż znalazł większy pęk, rurę grubości policyjnej pałki.

Szarpał ją raz po raz. Wreszcie wyrwał, odsłaniając postrzępione miedziane przewody.

Patrząc na nie, myślał o dronie i samolocie z Izraela. Wiedział, że samolot nie zdoła uciec przed dronem, tak jak człowiek, choć napędzany strachem, nie prześcignie rekina. Potem pomyślał o Philipie Palumbo, leżącym w ciemności, podziurawionym przez kule.

Von Daniken zgarnął więcej śniegu. Zasypał odsłonięte przewody i przyklepał. Usłyszał krótki trzask, potem zapadła cisza.



Przez chwilę był pewien, że znów się nie udało, ale potem prąd przebiegł przez jego ręce do piersi. Plecy wygięły się w spazmie. Otworzył usta do krzyku, ale przepływ prądu sparaliżował mu gardło. Ostatkiem sił oderwał ręce od śniegu.

Coś wybuchło mu w piersi i rzuciło go w powietrze.

Jonathan biegł prostopadłe do samochodu, klucząc między drzewami. Śnieg, głęboki i nierówny, utrudniał poruszanie się. Dwa razy upadł na kolana i podniósł się nie bez wysiłku. Po pięćdziesięciu metrach skręcił w prawo, na ścieżkę równoległą do drogi. Szybko znalazł resztki muru z czasów rzymskich, niegdyś chroniącego miasto. Przeskoczył nad nim, przykucnął i ruszył pochylony wzdłuż niego na tyły domu.

Dom wspierał się na bliźniaczych stalowych filarach, zakotwiczonych w zboczu, biegnących pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Dotarł do nich, zatrzymał się i przekrzywił głowę. Strzały ucichły. Cisza sprawiała wrażenie równie złowieszczej. Ze szczytu wzgórza dochodził odgłos uruchamianych silników. Co najmniej jeden wóz zostawił po sobie szlak spalonej gumy.

Filary, śliskie, wilgotne i okropnie zimne, trudno było złapać, a co dopiero wspinać się po nich. Objął jeden, zaczął się podciągać. Gdy dotarł na górę, ręce paliły go z zimna, a ubranie miał mokre od potu. Wcisnął kolano w kąt pomiędzy belkę i filar, wyprostował się i sięgnął ręką do balkonu. Sapiąc i modląc się, spuścił nogi, złapał brzeg drugą ręką i wciągnął się na taras.

Rozsuwane drzwi, zamknięte na klucz, ustąpiły, gdy cofnął się i strzelił w szybę. Szkło się rozsypało, odłamek ugrzązł mu w łydce. Krzywiąc się, wyszarpnął go. Krew spłynęła do buta.

W domu panowała cisza. Nigdzie nie paliło się światło. Jeśli były tu strażę, to już opuściły statek. Słyszał tylko buczenie prądu niskiej częstotliwości. Przeszedł przez pokój i wyszedł na korytarz. Drzwi na końcu zagroziły mu drogę. Wejścia strzegła klawiatura numeryczna. Strzelił w zamek. Na próżno. Zamek i drzwi były ze stali.

Przyłożył ucho do drzwi, usłyszał niski szum i poczuł wibracje. Nagle buczenie ucichło. Drgania znikły. Cały dom zamarł, jakby został odłączony od prądu.

Oczy Jonathana powędrowały na klawiaturę. W miejscu, gdzie przed chwilą paliło się czerwone światełko, zobaczył zielone. Padło zasilanie.

Podniósł rękę i nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły.

Trzymając pistolet przed sobą, wszedł do pomieszczenia, które nie mogłoby zostać nazwane inaczej jak tylko centrum operacyjnym.

Panoramyczne okno po lewej stronie wychodziło na lotnisko w Zurychu. Wprost przed sobą miał ścianę przyrządów i monitorów, wznoszącą się od podłogi do sufitu. W fotelu, tyłem do niego, siedział mężczyzna z ręką na dżojstiku. John Austen.

Parę kroków dalej drugi mężczyzna obsługiwał pulpit z aparaturą kontrolno-pomiarową.

- Zasilanie awaryjne włączone - zameldował. Emma powiedziała, że to będzie inżynier lotu. - Łączność satelitarna nawiązana. Mamy obraz. - Podniósł głowę, zobaczył Jonathana i poderwał pistolet.

Jonathan strzelił dwa razy. Mężczyzna upadł na ścianę. Jonathan podszedł do Pilota.

- Odsuń się od przyrządów.

Pilot nie odpowiedział. Przesunął dżojstik w prawo. Z ekranu przed nim płynął dziwny zielony blask. Jonathan z początku niczego nie rozróżniał. Potem dostrzegł majaczącą w dali szarą sylwetkę. Kontury stawały się coraz wyraźniejsze. Dostrzegł dziób, ogon i szereg światełek w oknach kabiny pasażerskiej. Był to obraz odrzutowca z kamery na podczerwień.

Oczy Jonathana przesunęły się na ekran radaru. Pośrodku widniały dwie plamki świetlne, niewiarygodnie blisko siebie. Litery pod jedną oznajmiały „El Al 8851H”. Druga nie była opisana.

- Mówiłem, odsuń się od pulpitu.

- Spóźniłeś się - powiedział John Austen.

Nie przestanie, dopóki nie zrobi tego, co zamierza, powiedziała Emma. Wierz mi, znam go.

Jonathan podszedł, przyłożył lufę do karku mężczyzny i nacisnął spust.

Pilot upadł na pulpit.

Jonathan ściągnął go z fotela.

Samolot na ekranie był teraz znacznie większy. Rozróżnił skrzydło, zarys kadłuba i błyskające światła lądowania. Wszystko niewiarygodnie blisko.

Jonathan pchnął dżojstik do przodu.

Samolot był coraz bliżej. Spóźnił się. Dron uderzy w cel. Na konsoli mrugało czerwone światło. Zapalnik zbliżeniowy uzbrojony. Spojrzał na ekran radaru.

Dwie plamki stopiły się w jedną. Spojrzał na obraz z kamery. Samolot wypełniał cały ekran.

Odruchowo przygotował się na wstrząs.

Wtedy samolot zniknął z pola widzenia. Ekran pociemniał. Jonathan

spojrzał na radar. Plamka opisana „El Al 8851H” wciąż mruwała. Chwilę później pojawiła się druga. Odległość pomiędzy nimi rosła.

Trzymał drążek dżojstika w dół, gdy dron pędził w ciemność.

Zlokalizował wysokościomierz na konsoli i patrzył, jak liczby maleją z ośmiu tysięcy dwustu metrów do sześciu tysięcy, potem do trzech i w końcu do zera.

Ekran zaczął śnieżyć.

Jonathan znalazł Emmę zgarbioną na fotelu pasażera. Była ledwo przytomna.

- Próbowałem go powstrzymać - powiedział. - Nie posłuchał. Skinęła głową i dała znak, żeby się zbliżył.

- Nigdy nikogo nie słuchał - szepnęła. Jonathan spojrział na milczący las.

- Dokąd poszli?

- Są duchami. Nie istnieją.

Ujął jej rękę. Była wiotka i zimna.

- Muszę zawieźć cię do szpitala.

- Świat myśli, że nie żyję. Nie mogę jechać do szpitala.

- Trzeba cię operować, żeby wyjąć kulę.

- Jesteś lekarzem. Możesz się mną zająć, prawda?

Jonathan obniżył oparcie i obejrzał ranę. Kula przeszła przez ramię i utknęła pod łopatką.

- Powstrzymałaś atak. Teraz możesz się ujawnić. Emma pokręciła głową, uśmiechnęła się żałośnie.

- Wyłamałam się z szeregu. Za coś takiego dają tylko jedną karę.

- Ale Austen działał na własną...

- Nie jestem pewna. - Przesunęła się w fotelu. - Tak czy siak, to nie ma znaczenia. Dywizja jest jak Meduza. Odetnij głowę, a w jej miejsce wyrośnie dziesięć. Ukarzą mnie dla przykładu.

Jonathan mocniej ścisnął jej rękę.

- Będą cię obserwować - dodała. Jej głos nagle nabrał siły. Znow była agentką.

Do tego została wyszkolona. - Będą podejrzewać, że ktoś ci pomagał. Sam nie znalazłbyś drona. Prędzej czy później odkryją prawdę. Ktoś pójdzie w góry i stwierdzi, że nie miałam żadnego wypadku. Popełniłam błędy. Zostawiłam ślady.

- Pójdę z tobą.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

Jonathan patrzył na nią, niezdolny wykrztusić słowa. Emma dotknęła jego policzka.

- Mamy parę dni, zanim zaczną szukać.

Z dołu napłynęło zawodzenie syren. Jonathan odwrócił się i zobaczył

niebieskie światła błyskające w lesie, kierujące się w stronę domu. Podjechał radiowóz. Wsiadł Marcus von Daniken z ręką na temblaku. Podeszedł do nich.

- Udało się?
- Tak - odparł Jonathan.
- Dzięki Bogu. Jonathan wskazał dom.
- Jest tam dwóch ludzi.
- Martwi?

Skinął głową. Von Daniken zastanowił się. Popatrzył na Emmę.

- Kim pani jest?
- Niebawem się pan dowie.
- Wezwę ambulans.
- Ja się nią zajmę - powiedział Jonathan.

Von Daniken przeciągnął ręką po masce podziurawionej przez kule. Rzucił Jonathanowi kluczyki.

- Niebieski volkswagen. Zostawiłem go za centrum dowodzenia. Proszę go zabrać i wynieść się jak najdalej stąd.

- Dziękuję - powiedziała Emma.

- Wisicie mi przysługę. - Szwajcar odwrócił się i niepewnym krokiem odszedł w stronę domu.

Nadjeżdżały kolejne radiowozy. Śmigłowiec opadł nisko i krążył, oświetlając scenę wydarzeń.

Jonathan sięgnął do wnętrza wozu i wziął żonę na ręce.

- Jestem Jonathan - powiedział.

- A ja Cary. Miło cię poznać. Odwrócił się i zniósł ją ze wzgórza.

## Epilog

Izraelskie samoloty 69. Eskadry zaatakowały o świcie. Leciwały nisko nad wodą, poniżej zasięgu irańskiego radaru. Nowo zainstalowane systemy przeciwlotnicze miały tylko parę sekund, żeby zareagować. Nim wystrzelono pierwszy pocisk, było już za późno. Bomby uderzyły w cele z zabójczą celnością.

W ciągu kilku minut szesnaście konwencjonalnie uzbrojonych bomb penetrujących wykonało zadanie. Instalacja w Karshun nad Zatoką Perską została starta z powierzchni ziemi. Cztery pociski dalekiego zasięgu KH-55, uzbrojone w głowice nuklearne o sile dziesięciu kiloton i przechowywane w magazynie broni dziesięć metrów pod powierzchnią ziemi, zostały niszczone.

Operacja „Słowik” zakończyła się powodzeniem.

W gabinecie premiera wszyscy odczuli ulgę, jakkolwiek chwilową. Państwo Izrael już nie musiało się obawiać niespodziewanej zagłady. Zagrożenie zostało zażegnane, granice zabezpieczone. Na razie.

W następstwie ataku opinia publiczna poznała dowody o prawdziwym charakterze irańskiego programu wzbogacania uranu. Światowi przywódcy stanowczo potępili Islamską Republikę Iranu i wezwali do natychmiastowego zakończeniu programu nuklearnego. Stany Zjednoczone zrobiły krok dalej i wystosowały ultimatum wzywające Teheran do przekazania całego zapasu wzbogaconego uranu w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin pod groźbą interwencji zbrojnej. Rząd w Teheranie zasłaniał się frazesami, ale w końcu spełnił żądania, aby nie ryzykować powtórnej kompromitacji.

Tylko Zvi Hirsch znał tożsamość osoby, która dostarczyła jego krajowi szczegółowe informacje o całym irańskim programie nuklearnym i spowodowała, że cel nalotu został zmieniony z Challusu na Karshun. A on nie mówił.

Idąc ulicą po wyjściu z rezydencji premiera, podrzucił w dłoni mały pendrive.

Zdumiewające, co potrafią zrobić ci komputerowi spece.

KONIEC

# Spis treści

[Tytułowa](#)

[Wstęp](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)  
[32](#)  
[33](#)  
[34](#)  
[35](#)  
[36](#)  
[37](#)  
[38](#)  
[39](#)  
[40](#)  
[41](#)  
[42](#)  
[43](#)  
[44](#)  
[45](#)  
[46](#)  
[47](#)  
[48](#)  
[49](#)  
[50](#)  
[51](#)  
[52](#)  
[53](#)  
[54](#)  
[55](#)  
[56](#)  
[57](#)  
[58](#)  
[59](#)  
[60](#)  
[61](#)  
[62](#)  
[63](#)  
[64](#)  
[65](#)  
[66](#)  
[67](#)



[68](#)  
[69](#)  
[70](#)  
[71](#)  
[72](#)  
[73](#)  
[74](#)  
[75](#)  
[76](#)  
[77](#)  
[78](#)  
[79](#)  
[80](#)  
[81](#)  
[82](#)  
[83](#)  
[84](#)  
[85](#)  
[86](#)  
[87](#)  
[88](#)  
[Epilog](#)

*Torres*